

Śmierć i zapisana krwią
tajemnica z przeszłości


GORZKA
CZEKOLADA

NELE NEUHAUS W IMIE WIECZNEJ PRZYJAZNI



NELE
NEUHAUS
**W IMIĘ
WIECZNEJ
PRZYJAŹNI**

Przełożył
Miłosz Urban



Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Spis postaci

Prolog

Dzień 1

Dzień drugi

Dzień trzeci

Dzień czwarty

Dzień piąty

Dzień szósty

Dzień siódmy

Epilog

Podziękowania

Tytuł oryginału
IN EWIGER FREUNDSCHAFT

Copyright © by Ullstein Buchverlage GmbH, Berlin. Published in 2021 by Ullstein Verlag
Copyright © 2022 for the Polish translation by Media Rodzina Sp. z o.o.

Projekt logotypu Gorzka Czekolada
Dorota Wątkowska

Projekt okładki i łamanie
Radosław Stępiak

Zdjęcia na okładce
Shutterstock

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich.
Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność, promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich, a więc nie kopiujesz, nie skanujesz i nie udostępniasz książek publicznie. Dziękujemy za to, że wspierasz autorów i pozwalasz wydawcom nadal publikować książki.

ISBN 978-83-8265-344-1

Gorzka Czekolada jest imprintem wydawnictwa
Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań
tel. 61 827 08 50
wydawnictwo@mediarodzina.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Dla Marion, mojej cudownej redaktorki.

Dziękuję Ci za cudowną współpracę.

Niniejsza książka jest powieścią, choć jak to z powieściami bywa, niektóre postaci mają swoje pierwowzory w rzeczywistości, a ja mogłam zaczerpnąć z ich życia ten czy inny szczegół biograficzny. Sytuacje, w których te postaci uczestniczą, są fikcyjne i zostały przeze mnie wymyślone. Wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, a także do zdarzeń, jest przypadkowe i niezamierzone.

SPIS POSTACI

WYDZIAŁ K11:

OLIVER VON BODENSTEIN, szef wydziału K11

PIA SANDER, wcześniej KIRCHHOFF, policjantka, wydział K11

dr NICOLA ENGEL, szefowa pionu kryminalnego komendy policji w Hofheim

KAI OSTERMANN, policjant, wydział K11

KATHRIN FACHINGER, policjantka, wydział K11

CEM ALTUNAY, policjant, wydział K11

TARIK OMARI, policjant, wydział K11

CHRISTIAN KRÖGER, policjant, szef zespołu techników kryminalistyki

prof. HENNING KIRCHHOFF, szef Instytutu Medycyny Sądowej we Frankfurcie

dr FREDERICK LEMMER, medyk

RONNIE BÖHME, asystent sekcyjny

I INNI W KOLEJNOŚCI ALFABETYCZNEJ:

GRETA ALBRECHT, pasierbica Bodensteina

KAROLINE ALBRECHT, żona Bodensteina

WALDEMAR BÄR, gospodarz budynku wydawnictwa Winterscheid

COSIMA VON BODENSTEIN, była żona Bodensteina

MARIE-LOUISE VON BODENSTEIN, jego szwagierka

QUENTIN VON BODENSTEIN, jego brat

SOPHIA VON BODENSTEIN, jego najmłodsza córka

JULIA BREMORA, redaktorka Henninga Kirchhoffa w wydawnictwie Winterscheid

ANJA DELLAMURA, szefowa działu artystycznego

wydawnictwa Winterscheid

PAULA DOMSKI, dziennikarka kulturalna i żona Alexandra Rotha

HELLMUTH ENGLISCH, uznany i nagradzany pisarz

STEFAN FINK, mąż Dorothei Winterscheid-Fink oraz właściciel drukarni Fink

MARIA HAUSCHILD, agentka literacka Henninga Kirchhoffa

JOSEFIN LINTNER, właścicielka księgarni House of Books w Centrum Men-Taunus

JOSEF MOOSBRUGGER, agent literacki Severina Veltena

ALEXANDER ROTH, redaktor prowadzący w wydawnictwie Winterscheid

SEVERIN VELTEN, bestsellerowy autor

HEIKE WERSCH, była redaktor prowadząca w wydawnictwie Winterscheid
i redaktorka Severina Veltena

CARL WINTERSCHEID, szef wydawnictwa Winterscheid

DOROTHEA WINTERSCHEID-FINK, kuzynka Carla i kierowniczka działu handlowego
wydawnictwa Winterscheid

HENRI WINTERSCHEID, ojciec Dorothei i były szef wydawnictwa Winterscheid

MARGARETHE WINTERSCHEID, jego żona i matka Dorothei

PROLOG

Île de Noirmoutier, 18 lipca 1983

O Boże, ależ jestem zakochana! Zakochana w tej cudownej wyspie! Jest dokładnie taka, jak opowiadał John – po prostu magiczna! I jej surowe piękno, którego nie dostrzega się na pierwszy rzut oka – płaski fragment lądu pod bezkresnym niebem, którego błękitu od sześciu dni nie skaziła żadna chmurka. Już samo światło tutaj jest wprost trudne do opisanie. Nic dziwnego, że Noirmoutier nazywana jest l'Île de Lumière, wyspą światła. Kocham po prostu te białe domki z niebieskimi okiennicami i pomarańczowymi dachami, którym nadano piękne imiona, jak „Toi et moi”, „Stella Maris”, „Nid d'amour”, czy „Luciole”, wąskie uliczki z kwitnącymi malwami, woń pinii, od której w popołudniowym żarze aż kręci się w głowie i – przede wszystkim – morze! Pewnie dziwnie to zabrzmie, ale ta wyspa porusza coś w głębi mojej duszy, zupełnie jakbym w jakimś innym życiu już tu kiedyś była, i marzę, by zostać tu na zawsze. Uwielbiam ogródki solne z połyskującymi kałużami solanki, z których pozyskuje się *fleur de sel*, sprzedawaną na każdym rogu ulicy.

A sam dom to czyste szaleństwo! Dwanaście pokoi i trzy tarasy. Z piętra rozciąga się widok na wydmy, białą plażę i morze! Na posesji znajduje się jeszcze maleńki domek, w którym mieszka gospodyni Finette z mężem. Oni dbają tu o wszystko. Mam wrażenie, że to cudowny sen, a ta rozwydrzona banda bogatych dzieciaków nie potrafi niczego docenić! Dla nich to coś normalnego. Jak słucham, gdzie też oni nie spędzali wakacji: Bahamy, Sylt, Kalifornia, Majorka, Portugalia! A ja pierwszy raz w życiu jestem nad morzem! Nikomu o tym nie wspomniałam. Nie muszą wiedzieć.

Dzisiaj z Götzem, Stefanem i Marią pojechałam Citroënem mèhari na wycieczkę do jedyne go lasu na wyspie, Bois de la Chaise. Jest tam plaża, na której stoją rzędy białych przebieralni jeszcze z dziewiętnastego wieku. Wyobrażałam sobie, jak dawniej eleganckie damy w letnich kapeluszach i długich sukniach zmieniały tam

ubrania. Jest tu też sporo precudnej urody willi z *belle époque*, które kryją się przy niewielkich, skalistych zatoczkach, a na długim, drewnianym moło stoją wędkarze i wpatrują się cierpliwie w spławiki. Na koniec pojechaliśmy do hali targowej w głównym porcie Noirmoutier-en-l'Île, i jeśli wcześniej nie miałam pewności, tam ostatecznie się przekonałam, że trafiłam do rajy! Ale, jak w każdym prawdziwym rajy, i w tym można spotkać węże. Gdybym tylko wiedziała, jak paskudnie i egoistycznie będą się zachowywać, poczekalabym na Johna i dopiero razem z nim przyjechała. Zbyt pochopnie zgodziłam się na prośbę Götza i dałam mu słowo, i z każdym dniem coraz bardziej tego żałuję. Mimo że Mia dobrze gra swoją rolę, pozostali prędzej czy później muszą się zorientować w tym teatrze. W ogóle nie potrafię zrozumieć, po co zapraszał tu Heike, Alexa, Josi i Mię. Może też z powodu rodziców? Spędzają tu razem czwarte czy piąte wakacje, więc po trochu to już tradycja. Ale też myślę czasem, że Götz lubi poczucie władzy i w skrytości delectuje się wydawaniem poleceń i dręczeniem pozostałych, nawet jeśli temu zaprzecza. Obrzydliwość, jak dookoła niego skaczą i podkładają sobie nogi, żeby tylko zyskać jego uznanie. Dla niego to tylko gra, ale moim zdaniem bardzo niebezpieczna gra, bo nie rozumie, że to, co dla niego jest zabawne, oni traktują śmiertelnie poważnie. Pokręcona banda. Coraz częściej myślę, że trzymają się kurczowo czegoś, co już nie istnieje. Jeszcze tylko trzy dni do przyjazdu Johna! Odliczam każdą godzinę...

PS Dzisiaj były świeże ostrygi, które kupiliśmy na targu. Chciałabym, żeby to lato trwało wiecznie. Mimo podłych węży.

Poniedziałek 3 września 2018

O d dziesięciu dni, czyli od chwili, kiedy zniszczyła nie tylko jego karierę, ale i całe jego życie, nie odpowiadała na mejle i nie odbierała telefonów. Uciekając przed falą oburzenia, schował się w swoim mieszkaniu; jak strachliwa myszka zaszył się w swojej norce, przed którą zebrali się dziennikarze, ekipy telewizyjne i zawiedzeni fani, którzy czyhali tylko, by go dopaść, ledwie wystawił czubek nosa za drzwi. Zgoda, popełnił wielki błąd. I zawiódł zaufanie. Ale przecież to ona na niego naciskała, to ona go w zasadzie zmusiła, a jego wina polegała na tym, że wbrew rozsądkowi uległ jej namowom, trochę z próżności, a trochę pewnie dlatego, że potrzebował pieniędzy. Zapewniała go, że nikt nie zauważy – bo kto by znał jakąś nieznaczącą książeczkę od dawna nieżyjącego chilijskiego autora? A teraz, kiedy bez ostrzeżenia rzuciła go na pożarcie opinii publicznej, ignorowała go, swojego najlepszego autora, swoje „dzieło”, jak go często nazywała. Długo użalał się nad sobą, ale w końcu jego strach ustąpił miejsca złości, potem przyszła wściekłość, aż w końcu zawładnęła nim nienawiść tak potężna, że podobnej nie czuł nigdy dotąd. Był zrujnowany. Jego dobre imię skompromitowane. A najgorsze, że wciąż nie miał pojęcia, dlaczego mu to zrobiła. Ubiegłej nocy postanowił w końcu się z nią rozmówić i zażądać wyjaśnień. Dawniej pojechałby do niej pociągiem, bo skrycie napawał się swoją rozpoznawalnością i tylko udawał, że nie zauważa, jak ludzie chichoczą podekscytowani i odwracają głowy, żeby mu się przyjrzeć. W wywiadach chwalił się skromnością i zapewniał, że nie lubi wzbudzać zainteresowania, ale tak naprawdę był niemal uzależniony od pełnych uwielbienia spojrzeń kobiet i ich nieśmiałych próśb o selfie albo autograf. Miał jednak dość rozumu, by unikać takich spotkań po tym, jak jego oszustwo zostało obnażone. Dziennikarze i fani zmęczeni się czekaniem, dzięki czemu mógł niezauważenie wymknąć się z mieszkania i wsiąść do samochodu. Pół godziny później stanął przed pomalowaną na czerwono kutą bramą. Spocily mu się dłonie, kiedy odczytał jej

nazwisko na wypłowiałym szyldzie dzwonka, obok skrzynki pocztowej. Opuściła go odwaga, bo uświadomił sobie, że zaraz będzie musiał przeprowadzić rozmowę, którą od kilku dni do znudzenia powtarzał w swojej głowie. Jej dom skrywał się za krzakami róż, rododendronów i kilkunastoma paskudnymi mamutowcami. Przed domem znajdował się podwójny garaż z nowoczesną bramą zwróconą w stronę ulicy, chociaż główny budynek pochodził pewnie z lat trzydziestych ubiegłego wieku. Okna z białymi szprosami i okiennicami o barwie wypłowiałej czerwieni, delikatny balkonik na środku na pierwszym piętrze i dwa wole oka na poddaszu. W gruncie rzeczy był to bardzo ładny dom, lecz na tle zadbanych willi w sąsiedztwie sprawiał wrażenie niekochanego i zaniedbanego; podobnie jak jego właścicielka, którą jeszcze do niedawna uważał za mieszkankę centrum dużego miasta. Ich rozmowy telefoniczne przeciągały się niejednokrotnie do późna w nocy, a on wyobrażał ją sobie w pięknej secesyjnej willi niedaleko parku Grüneburg we Frankfurcie, w której nieraz gościł. Jak to możliwe, że mimo dwunastu lat ścisłej współpracy tak mało o niej wiedział? Przez ten czas ani razu nie odwiedził jej w domu. Nic nie wiedział o niej ani o jej prywatnym życiu, za to ona znała wszystkie jego sekrety, jego strachy i marzenia, upodobania i słabości. To właśnie ona doceniła jego pierwszy manuskrypt, odrzucony wcześniej przez ponad trzydzieści wydawnictw. To ona go odkryła i uczyniła z niego autora wydawnictwa Winterscheid. Dostał zaszczytu będącego udziałem niewielu wybrańców, najlepszych spośród najlepszych. Przez te wszystkie lata stała się osobą, z której zdaniem najbardziej się liczył, szczególnie po rozpadzie jego małżeństwa. Często dyskutowali o postaciach z jego książek, jakby mówili o ludziach z krwi i kości; razem ślęczeli nad jego tekstami i poprawiali pojedyncze zdania i sformułowania tak długo, aż oboje byli zadowoleni. To ona zachęcała go do dalszej pracy i dopingowała, kiedy nie mógł niczego napisać i chciał wszystko rzucić. I również ona dwanaście lat wcześniej zadzwoniła, żeby przekazać fantastyczną wiadomość, że jego debiutancka powieść *Czule* z miejsca podbiła listy bestsellerów. Pamiętał, jakby to było wczoraj: siedział przy kuchennym stole upstrzonym śladami po mokrych kubkach i przypaleń papierosami, tym samym, przy którym pisał *Czule*, i odczuwał mieszaninę niedowierzania i nieziemskiego szczęścia.

Dla niego uznanie, z jakim w końcu spotkała się jego książka, było ważniejsze od liczby sprzedanych egzemplarzy. Wiedział, że tamtej rozmowy telefonicznej

nigdy nie zapomni, mimo że w kolejnych latach dzwoniła do niego jeszcze dziesiątki razy, często z nawet lepszymi wiadomościami. Pierwsze miejsce na liście bestsellerów. Nagroda dla najlepszej książki. Nagroda imienia Büchnera. Prawa do ekranizacji. Sprzedaż licencji do dwudziestu czterech krajów. Zachwyty krytyków w prasie. Wygłosił ogromną liczbę odczytów; na początku głównie w niewielkich księgarniach, później w większych salach. Wywiady. Programy w telewizji. Na targach książki we Frankfurcie stoisko wydawnictwa ozdobił olbrzymi plakat z jego podobizną. Awansował na gwiazdę krajowej sceny literackiej. Przez dziesięć lat napisał jeszcze siedem książek z lekkością, która pozwoliła mu wierzyć, że nigdy nie przestanie tworzyć. Jednak po *Na lewym brzegu rzeki* nagle wszystko się skończyło. W jego głowie i sercu niespodziewanie zapanowała pustka. Ogarniała go coraz większa rozpacz, kiedy miesiąc po miesiącu wpatrywał się w migający kursor na pustym ekranie. Napisał dziesięć, może piętnaście strasznie nieporadnych wstępów, by w końcu uznać, że nie ma w sobie niczego, co mógłby opowiedzieć. Nie miał pojęcia, o czym mógłby napisać.

Początkowo wszyscy zachowywali się bardzo cierpliwie. Nikt na niego nie naciskał, bo przecież żaden poważny autor nie tworzy książek taśmowo. Wydawnictwo, podobnie jak wcześniej, przysyłało mu szampana na urodziny i święta i dalej zapraszano go na legendarne wieczory przy kominku w siedzibie firmy, a on podróżował po kraju i zarabiał, dając odczyty. A jednak, gdy przychodziła noc, nie mógł zasnąć. Miał wrażenie, że skończył się sen o życiu pisarza, a świadomość kończących się oszczędności i tego, jak szybko znika z list bestsellerów – ostatnio trafił nawet na *Czule* i *Orzeł czy reszka* w supermarkecie, w koszu z przecenionymi książkami – zmusiła go do konstatacji, że niedługo będzie musiał znaleźć sobie pracę, żeby zarobić na chleb. Nieomal przyplącił to atakiem paniki. Cóż za porażka! Cóż za poniżenie!

Dzięki właścicielce domu z czerwonymi okiennicami i mamutowcami w ogrodzie nie został do tego zmuszony, znalazła ona bowiem remedium na jego problem: wykopała skądś dawno zapomnianą powiastkę, a on stworzył z niej *Jednonogiego żurawia*. Na początku nie czuł się z tym dobrze, ale szybko zauważył, że powieść ma jego charakterystyczny styl, nawet jeśli inspirację zaczerpnął od kogoś innego. Książka ukazała się w marcu. Premierę miała na targach książki w Lipsku i z miejsca wskoczyła na pierwsze miejsce listy bestsellerów. Pokochali ją i krytycy, i czytelnicy, na konto wpłynęła reszta gwarantowanego honorarium,

a jego przestały nękać ataki paniki. Mógł teraz odsapnąć, bo wydawało się, że zapewnił sobie kilka kolejnych lat wśród najpoczytniejszych autorów w kraju. Wydawnictwo nie kryło zadowolenia, redaktorka była szczęśliwa, a księgarnie, krytycy i fani nie posiadali się z radości. I wtedy, jak grom z jasnego nieba... to!

Zauważył jakiś ruch w oknie na piętrze. Czyli była w domu... kobieta, którą kiedyś podziwiał, ba, kochał wręcz, a teraz z całego serca nienawidził. Zrobił głęboki wdech, zebrał się na odwagę i sięgnął do dzwonka. Żadnej reakcji. W rododendronach szalały dwa kosy. Od czasu do czasu ulicą przejeżdżał jakiś samochód. Z okolicznych ogrodów dobiegały pojedyncze głosy i wybuchy śmiechu. Ktoś rozpałił grill. Po drugiej stronie drogi jakiś człowiek wyprowadzał psa, ale nie zwracał na niego uwagi.

Drżąc, stał pod płotem, i przez chwilę nawet pomyślał, żeby odpuścić. Ale nie! Nie mógł teraz podkulić ogona i wrócić do siebie bez uzyskania odpowiedzi. Przecież tu chodziło o jego egzystencję, o jego dobre imię i wiarygodność! Obróciła jego życie w gruzy, więc chciał usłyszeć od niej słowa wyjaśnienia, dlaczego bez ostrzeżenia zdemaskowała go jako plagiatora i zniszczyła wszystko, co zbudowali razem. Trzęsły mu się kolana, kiedy stanął w miejscu, którego nie było widać z ulicy. Potem przelazł przez płot i zdecydowanym krokiem ruszył po poprzerastanym mchem trawniku w stronę domu.

DZIEŃ 1

Czwartek 6 września 2018

Za dziesięć minut musimy wychodzić. – Główny inspektor policji Oliver von Bodenstein podał córce śniadaniówkę z kanapkami do szkoły, a deskę do krojenia włożył do zlewu.

– Muszę jeszcze pobiec do pokoju po pracę na plastykę – powiedziała Sophia. – Z czym mi zrobiłeś?

– Pastrami i szynka z piersi kurczaka – poinformował Bodenstein, dla którego codzienne przygotowywanie śniadania stało się nieodłącznym rytuałem, pozwalającym zacieśnić więź z córką. Przez większość czasu Sophia mieszkała z matką, oczywiście jeżeli ta nie była akurat na jakiejś ekspedycji z ekipą filmową, a u niego spędzała jedynie co drugi weekend. Jednak choroba Cosimy sprawiła, że córka przeprowadziła się do niego na stałe, bo nikt nie potrafił przewidzieć, kiedy była żona Olivera będzie mogła wyjść ze szpitala.

– Masło i mięso są strasznie niezdrowe i szkodliwe dla klimatu – skomentowała Greta, pasierbica Bodensteina. Dziewczyna w poplamionej piżamie siedziała przy kuchennym stole i nie odrywając oczu od smartfona, zajadała muesli. – Przy okazji, przez to dostaje się raka, nie tylko od papierosów.

Sophia pobladła i przestraszona spojrzała na tatę.

– Ups, o rany, zagapiłam się i wypowiedziałam słowo na r! – Greta przycisnęła dłoń do ust i uśmiechnęła się ze skruchą, jednak w jej oczach paliła się czysta złośliwość. – Strasznie mi przykro.

– Leć po obrazek, Sophia. – Bodenstein czuł, jak wali mu serce. Nauczył się nie reagować na bezustanne zaczepki i prowokacje osiemnastolatki, bo to nieuchronnie prowadziło do kolejnej kłótni z jej matką. Karoline niezmiennie trzymała stronę Grety i usprawiedliwiała każdy przejaw chamstwa i bezczelności nastolatki. A ona doskonale zdawała sobie z tego sprawę i bez skrępowań

korzystała ze wsparcia matki. Od pierwszego dnia zaczęła traktować Bodensteina z otwartą niechęcią i zazdrością; chwyciła się każdego sposobu, żeby go wyeliminować z życia matki. Wyrafinowanie jej ataków często wprawiało go w prawdziwe osłupienie. Nie wolno mu było, na przykład, sięgać przy śniadaniu po poranną gazetę, gdyż zapach farby drukarskiej miał ponoć szkodzić nastolatce. Na liście rzeczy zakazanych znalazła się również muzyka klasyczna, która wywoływała w Grecie spazmatyczny płacz, bo przypominała jej babcię. A od kiedy zamieszkała z nimi Sophia, niemal dziewiętnastoletnia dziewczyna orzekła, że musi spać w sypialni matki, na materacu obok jej łóżka, bo inaczej dręczą ją koszmary. Poza kilkoma miesiącami, które spędziła w szkole z internatem, sytuacja w domu od pięciu lat nic się nie poprawiała, a wręcz przeciwnie – w obecności Greta życie domowe przypominało spacer po polu minowym.

– Wymknęło mi się. – Dziewczyna wyszczerzyła się do Bodensteina leniwie i skręciła tłuste włosy na szyi w kok.

– No oczywiście. Jak zawsze niechący – odparł z ironią w głosie i włożył brudne naczynia do zmywarki. Nienawidził takich kłótni. Był wściekły, że nie może wygarnąć tej podłej dziewczynie, co naprawdę myśli, nie ryzykując przy tym, że zaszkodzi to jego małżeństwu. Ale najbardziej przeszkadzało mu to, że nie może zapewnić swojej dwunastoletniej córce spokojnej rodzinnej atmosfery – tym bardziej teraz, kiedy ciężko chora Cosima leżała w szpitalu, a Sophia niczego nie potrzebowała bardziej od poczucia równowagi i harmonii.

– Zarzucasz mi kłamstwo? – Greta podniosła głos. – Tylko dlatego, że twoja była ma raka, nie mogę już mówić prawdy? O to ci chodzi?

Bodenstein w milczeniu policzył do dziesięciu.

– Ej! Zapytałam cię o coś!

Do kuchni wróciła Sophia, niosąc obraz, który przez tydzień malowała akwarelkami i z którego była bardzo dumna. Po ojcu odziedziczyła gęste, ciemne włosy, a po matce zielone oczy i wiotką, szczupłą figurę. Greta najbardziej zazdrościła jej tego ostatniego, tym bardziej że przez lata objadania się bez umiaru wpędziła się w sporą nadwagę.

– A co to niby jest? – prychnęła osiemnastolatka szyderczo. – Przedszkolaki lepiej by coś takiego namalowały!

– Pewnie. Ty to akurat musisz wiedzieć, z twoim doświadczeniem z przedszkolakami – prychnęła Sophia lekceważąco, zanim Bodenstein zdążył cokolwiek powiedzieć. – Ile tam w końcu przepracowałeś? Jeden dzień? Czy wywalili cię po dwóch?

– Zamknij się, głupia krowo! – Greta zaczerwieniła się jak burak.

Kilka szkół skreśliło ją z listy uczniów z powodu braku umiejętności interpersonalnych i niewystarczających postępów w nauce, a w zeszłe wakacje wyleciała nawet z internatu placówki zajmującej się trudnymi przypadkami uczniów, którzy sobie nie radzą. Po tym, jak dwukrotnie nie zdołała ukończyć ostatniej klasy gimnazjum, zamknęła się przed nią droga do matury, więc została bez wyuczonego zawodu i zatrudnienia. Ojciec załatwił jej praktyki w przedszkolu w Bad Soden, ale rzuciła je już po pierwszym dniu, twierdząc, że jest uczulona na linoleum, którym wyłożona była podłoga w tej placówce, a poza tym z powodu dziecięcych krzyków rzekomo nabawiła się migreny. Całkowicie straciła zainteresowanie koniem, którego dostała od rodziców krótko po traumatycznym przeżyciu w dzieciństwie. Jej matka co miesiąc ponosiła horrendalne koszty zapewnienia zwierzęciu odpowiedniej ilości ruchu.

W progu kuchni stanęła Karoline. Letnia żółta sukienka i sandały z rzemieniami podkreślały jej szczupłą figurę i opaleniznę, a błyszczące ciemne włosy związała w luźny kok. Jeszcze niedawno Bodenstein przywitałby ją komplementem, za co odpłaciłaby się gorącym pocałunkiem. Dziś jednak od razu zwrócił uwagę na jej zaciśnięte nerwowo szczęki, wąskie usta i złe spojrzenie, którym omiotła go, jakby był przejrzysty.

– Jesteście dla mnie podli! – krzyknęła Greta i jak na rozkaz zalała się łzami.

– Co tu się dzieje? – zapytała Karoline z irytacją w głosie.

– Twój małżonek się ze mnie naśmiewa! – skłamała nastolatka bez zająknienia.

– Ale tata przecież niczego nie... – zaczęła Sophia z oburzeniem, jednak Greta nie dała jej dokończyć.

– Oni się nade mną znęcają! Ciągłe się ze mnie śmieją, że jestem gruba!

– To nieprawda! Nikt tak nie mówił! – zaprzeczyła Sophia, skonsternowana bezczelnością tych kłamstw. W przeciwieństwie do ojca, nie cofała się przed konfrontacją, bo nie pozwalało jej na to poczucie sprawiedliwości – nawet jeśli

czasem łatwiej było nie zaprzeczać Grecie, żeby nie wywołać kolejnego napadu wściekłości.

– A właśnie, że prawda! Myślisz, że jestem ślepa i nie widzę, jak na mnie patrzycie i się śmiejecie? – Jak zawsze, kiedy chciała ukryć, że kłamie, nakręcała się coraz bardziej i atakowała z coraz większą histerią.

– Uspokój się proszę, Gretulko! – Karolina próbowała ją udobruchać i wyciągnęła ramiona, żeby przytulić córkę, lecz ona odepchnęła ją brutalnie. Gretulka! Bodenstein zaczął się gotować ze złości. Że też znów musi wysłuchiwać tych idiotycznych zdrobnień i przepraszającego tonu, którym Karoline zwracała do córki! Ale Greta od początku była jej bolączką. Kobieta bezustannie miała wyrzuty sumienia, bo uważała, że przez obowiązki służbowe zaniedbała córkę. Od lat Bodenstein próbował przekonać żonę, żeby poszukała dla niej i siebie profesjonalnej pomocy, bo jego zdaniem problemem dziewczyny była nieprzepracowana trauma, której przed laty obie doświadczyły, a potem zlekceważyły doniosłość jej skutków. Trzynastoletnia wówczas Greta stała obok babci, kiedy starszą kobietę przez kuchenne okno postrzelił snajper, a Karoline nie tylko musiała oglądać zmasakrowane zwłoki matki, ale też przyjąć do wiadomości, że jej ojciec, szanowany kardiochirurg, został później skazany na karę wieloletniego więzienia. Sprawę tajemniczego snajpera prowadził wówczas Bodenstein i później wiele razy miał wrażenie, że tamte traumatyczne wydarzenia zmieniły się w pole minowe, na które ani on, ani jego żona nie byli skłonni się zapuszczać. Greta odrzuciła wcześniej pomoc kilku terapeutów, jednak poza Bodensteinem nikt na poważnie nie próbował stawiać jej żadnych granic. Dopiero kiedy Karoline jednoznacznie dała mu do zrozumienia, że wychowanie córki to sprawa nie jego, lecz tylko i wyłącznie jej, mężczyzna złożył broń i starał się nie wtrącać. Mieszanka wyrzutów sumienia i strachu przed niekontrolowanymi napadami wściekłości Grety powodowała, że Karoline zawsze jej ulegała, zamiast powstrzymać i szukać źródła konfliktów. I właśnie do tego to doprowadziło: żyli w ciągłym napięciu, pod dyktando narcystycznej osiemnastolatki.

– Dłużej tego nie zniosę! Nie pozwolę im się tak traktować! – zawyła Greta i wycelowała oskarżycielsko palec w stronę Bodensteina. – Wyprowadzam się do taty! Jeszcze dzisiaj!

Bodenstein westchnął ciężko. Wiedział, że to puste groźby; nowa rodzina ojca Grety też nie chciała mieć z nią nic wspólnego, bo wobec macochy dziewczyna

zachowywała się równie bezczelnie jak wobec niego.

– Nienawidzę cię! – syknęła Greta jadowniczo i wybiegła z kuchni. – Nienawidzę was wszystkich!

– Dlaczego musicie ją tak denerwować? – zapytała Karoline, patrząc z wyrzutem na Bodensteina i Sopię. – Ona naprawdę nie ma łatwo w życiu!

– Ja też nie mam łatwo w życiu – wypaliła dziewczynka. – Moja mama ma raka, jeśli ktoś o tym zapomniał.

Na piętrze głośno trzasnęły drzwi, a chwilę później rozległo się dudnienie muzyki.

– Jak mogłabym o tym zapomnieć, co? – odpowiedziała Karoline gorzkim tonem i omiotła Bodensteina umęczonym spojrzeniem. – Twój ojciec więcej czasu spędza z nią niż ze mną.

Po tych słowach odwróciła się i ruszyła w stronę schodów, by jeszcze raz spróbować udobruchać Gretę. Bodenstein odprowadzał ją przez chwilę wzrokiem. W końcu dotarło do niego, że to była kropla, która przelała czarę i nie było już odwrotu.

– Chodź, musimy jechać – powiedział do Sopi. Razem weszli do garażu i wsiedli do jego porsche. Bodenstein jeździł nim – a był to prezent od jego byłej teściowej – tylko w dni wolne od pracy. Jego przełożona Nicola Engel nie była zadowolona, kiedy parkował taki samochód pod komisariatem. Trzy minuty później jechali już Gagering w stronę centrum.

– To jest takie aspołeczne, że Greta bezustannie kłamie i wygaduje te ohydne rzeczy o tobie, a Karoline zawsze jej w wierzy! – oburzała się Sopia. – Wiesz, że mówi na mamę Rakietka albo pani Wątrobianka Raczyńska? I czy to prawda, że na raka wątroby chorują jedynie alkoholicy?

Bodenstein z taką siłą zacisnął dłonie na kierownicy, że pobiełały mu kostki. Bardzo wyraźnie poprosił Karoline, żeby na razie nie dzieliła się z Sopią szczegółami choroby Cosimy, ale najwyraźniej nie posłuchała i natychmiast pobiegła z tym do swojej córki, która oczywiście musiała wykorzystać tę wiedzę przeciwko znieawidzonej dwunastolatce.

– Choroba mamy nie ma nic wspólnego z alkoholem – wyjaśnił, walcząc, by zachować jak najbardziej rzeczowy ton. – Wiele lat temu w czasie którejś z wypraw

twoja mama złapała zapalenie wątroby i lekarze podejrzewają, że rak wątroby to właśnie skutek tamtego zakażenia.

– Czy mama umrze?

– Jestem przekonany, że nie – odpowiedział. – Lekarze robią wszystko, co tylko mogą, żeby pomóc jej wrócić do zdrowia.

– Hm. – Sophia spojrzała na niego przelotnie. – Greta powiedziała, że jak mama umrze, to zostaniemy bez pieniędzy, bo ty jesteś policjantem i prawie nic nie zarabiasz.

– Że co, proszę?! – Bodenstein popatrzył na córkę osłupiały.

– I jeszcze, że jeśli nie będę robiła, co mi każe, to się postara, żeby jej matka nas wyrzuciła, bo to jest jej dom, a nie twój. Czy to prawda, tato? Będziemy musieli przeprowadzić się do mieszkania w bloku?

Bodenstein poczuł się tak, jakby dostał obuchem w głowę, i przez chwilę miał wrażenie, że zaraz pęknie mu serce.

– Nie, nie będziemy musieli – uspokoił Sophię.

– Nienawidzę Greta – oznajmiła jego córka z przekonaniem właściwym dwunastolatce. – Gdyby się dało, nie chciałabym jej już nigdy widzieć. Do końca życia!

Ja też – pomyślał Bodenstein. Zdecydowanie!

Włączył kierunkowskaz i zatrzymał się w zatoczce przy szkole córki. Sophia, która nie przepadała za publicznym okazywaniem uczuć, tym razem objęła go za szyję i pocałowała w policzek.

– Kocham cię, tato!

– Ja ciebie też kocham, maleńka – odpowiedział.

– Możesz dać mamie mój obrazek, jak u niej będziesz?

Sophia wróciła na swój fotel i puściła do niego oko.

– A nie potrzebujesz go na plastykę?

– Nie. – Uśmiechnęła się przebiegle. – W zeszłym tygodniu dałam go do oceny i dostałam najwyższą. Tylko nic nie mówiłam Grecie.

– Ty to jesteś niezła! – Bodenstein zachichotał. – Oczywiście, że zaniosę go mamie. Na pewno bardzo się z niego ucieszy.

Sophia wysiadła, zarzuciła sobie plecak na ramię, jeszcze raz się do niego uśmiechnęła, po czym dała się porwać potokowi uczniów i uczennic zmierzających do wejścia.

Bodenstein włączył się do ruchu. Rozmyślnie ignorował natarczywe wibrowanie komórki. To Karoline próbowała się do niego dodzwonić, najpewniej z przeprosinami i wyjaśnieniami, ale on miał już dość powtarzania w kółko tego samego. Miał dość kłótni, dość przypisywania mu rzeczy, których nie zrobił, dość zarzutów, po których następowały pełne skruchy i płaczliwe zapewnienia, że go kocha i nie pozwoli, żeby Greta stała między nimi. Wiedział, że nie miną nawet trzy dni i teatr zacznie się od nowa. Bodenstein przez chwilę miał ochotę odebrać połączenie i powiedzieć Karoline, czego dowiedział się od Sophii, ale w końcu zmienił zdanie. W myślach zobaczył w skrócie całe swoje życie i ogarnęło go przygnębienie, bo właśnie do niego dotarło, że znów stał się ofiarą swoich wyobrażeń. Od samego początku związek z Karoline był skomplikowany i niepewny. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego wciąż od nowa powtarza te same błędy, zamiast wyciągać z nich wnioski. Nie mógł już dłużej ignorować faktu, że miał pięćdziesiąt kilka lat i właśnie waliło się jego drugie małżeństwo. Na czerwonym świetle sprawdził, że Karoline nagrała się już dwa razy i przysłała mu pięć esemesów. Wiedział, że to dopiero początek, jeśli dalej będzie ją ignorował. Ale tym razem nie zamierzał się ugiąć. Nie przeczyta i nie odsłucha żadnej wiadomości, bo przecież i tak wiedział, co ma mu do przekazania, i że to nic, ale to zupełnie nic nie zmieni.

*

Nadkomisarz Pia Sander z daleka widziała biegające luzem dwa wyżły weimarskie. Szła właśnie w stronę parkingu przy Sauerborn, wracając z porannego spaceru z psem przez Süsse Gründchen, malowniczą dolinę ze strumykiem i dziko rosnącymi drzewami owocowymi.

– No super – westchnęła i skróciła zwijaną smycz, na której wyprowadzała Beck'sa, aż pies znalazł się tuż przy niej. Malinois również dostrzegł dwójkę przedstawicieli swojego gatunku, którzy właśnie załatwiali grubszą potrzebę pośrodku łąki. Momentalnie się spiął, nastroszył sierść na karku i zaczął cicho warczeć.

– Spokojnie.

Właścicielka wyżłów szła ścieżką przez trawę i przyciskała telefon do ucha. Pia nie spodziewała się, że kobieta zdąży zapiąć swoje psy na smycze, zanim rzucą się na Beck'sa.

– Może pani wziąć psy na smycze! – zawołała.

– One nie gryzą! – odkrzyknęła nieznajoma z daleka i dalej rozmawiała przez telefon.

– Ale mój pies tak! – odpowiedziała Pia i chwyciła Beck'sa za obrozę. Mimo że z natury był dobrotliwym i dobrze zsocjalizowanym zwierzęciem, nienawidził, kiedy inne psy go zaczepiały albo wręcz atakowały. Weimarczyki też w końcu zauważyły Beck'sa i rzuciły się w jego stronę, skupione na celu jak wystrzelone rakiety. Dwa przeciwko jednemu, który w dodatku był jeszcze zapięty! Natychmiast rozległ się jazgot i szczekanie. Przy całej dobrotliwości, Beck's był jednak bardzo walecznym psem i nie pozwolił się zdominować, i już po kilku sekundach zacisnął zęby na karku większego i cięższego od siebie wyżła numer jeden.

– Eddi! Billy! Do mnie! – piszczała kobieta i wymachując ramionami, biegła przez wysoką trawę, jednak jej psy ani myślały słuchać jej wrzasków i gwizdania.

– Niechże pani coś zrobi! – darła się nieznajoma na Pię. – On go zagryzie!

– To pani powinna coś zrobić! – odpowiedziała Pia. Nawet we śnie nie przyszłoby jej do głowy gołymi rękoma rozdzielać walczące w amoku zwierzęta. – Pani psy podbiegły do mojego, który jest zapięty!

Po tym, jak Beck's ugryzł drugiego weimarczyka w ucho, wyżeł uznał, że pobliski las jest znacznie bardziej interesujący niż walka ze zwinniejszym przeciwnikiem i czmychnął między krzaki. Pierwszy przewrócił się na plecy i zaczął skamleć, na co Beck's się cofnął.

– Pozwę panią! Drogo będzie to panią kosztować! – Kobieta uniosła telefon i zrobiła Pii zdjęcie. – O, tutaj mam dowód!

– Jeśli to sprawi pani radość, to proszę bardzo. – Pia wzruszyła ramionami. – Mogę jeszcze pani dać swój numer telefonu.

– Taki agresywny pies powinien chodzić w kagańcu! – oburzała się blondynka.

– Bzdura, mój pies wcale nie jest agresywny. Bronił się, to wszystko. Gdyby trzymała pani swoje psy na smyczy albo potrafiła je kontrolować, całej sytuacji

dałoby się uniknąć. – Pia ucięła dyskusję.

– Moje psy muszą się wybiegać! – Nieznajoma, typowa mieszkanka okolic, z blond pazim na głowie i zaciętym wyrazem twarzy, szukała teraz ran na swoich psach. – O! Tutaj! Widzę krew! Ten kundel je pogryzł!

– Same są sobie winne – mruknęła Pia. – Przy okazji, ta dolina to rezerwat flory i fauny. Podlega ochronie. Przy wejściu stoi tabliczka z informacją, że dla ochrony dzikich zwierząt psy muszą być prowadzone na smyczy.

Beck's otrząsnął się i z pewnością zwycięzcy wyrzucił tylnymi łapami trochę darni w powietrze. Właścicielka weimarczyków powiedziała pod nosem coś, co brzmiało jak „głupia zdzira” i prychnęła pogardliwie. Pia uznała, że jakakolwiek dalsza dyskusja będzie stratą czasu.

– Świetna robota, Beck's. – Poglaskała psa. – Obronileś się.

Nie uszła nawet pięćdziesięciu metrów, kiedy właścicielka wyłów obrzuciła ją stekiem obelg, co nosiło znamiona publicznego użycia słów nieprzyzwoitych. Pia nie zareagowała, mimo że przez chwilę naszła ją pokusa spuszczenia Beck'sa ze smyczy i polecenia mu, aby skoczył agresywnej kobiecie do gardła.

Minionej jesieni wzięła w pracy trzy miesiące wolnego, żeby spędzić ten czas z siostrą Kim i jej córką Fioną, które wcześniej wpadły w ręce psychopatycznego mordercy. Jednak Kim, jak zawsze, kiedy w jej życiu pojawiały się kłopoty, wybrała ucieczkę i przyjęła ofertę pracy profilerki, złożoną przez doktora Davida Hardinga z USA. Jej rozczarowana córka Fiona wróciła do Zurychu, więc Pia pozostały czas wykorzystwała na kurs w policyjnej szkole dla psów, gdzie Beck's przeszedł szkolenie na psa obrończego; jasnobrązowy malinois śpiewająco zdał egzamin końcowy. Poprzedni właściciel psa trzymał go w domu i wypuszczał jedynie do dużego ogrodu. Po śmierci Theodora Reifenratha wiosną zeszłego roku, zwierzęciem zaopiekowali się sąsiedzi zmarłego, jednak szybko się okazało, że ich dzieci cierpią na bardzo silne uczulenie na sierść. Pia nie wahała się długo i adoptowała psa, żeby uchronić go przed trafieniem do schroniska. Ta decyzja bardzo ją uszczęśliwiła, uważała bowiem, że życiu bez czworonoga wyraźnie czegoś brakuje. Poranne spacerki przed pracą były idealnym początkiem dnia, a regularna dawka ruchu dobrze wpływała na jej zdrowie. Dyrektorka Nicola Engel osobiście udzieliła Pii pozwolenia na przyprowadzanie Beck'sa do pracy. Pies szybko stał się legendą komisariatu, gdyż pomógł Pii trafić na ślad seryjnego mordercy. Co więcej, czworonożny nabytek wywołał zachwyt pozostałej części

wydziału K11, a Beck's, nieskomplikowany i łasy na smakołyki, w wyjątkowy sposób otworzył swoje psie serce na jednego ze współpracowników swojej pani, Kaia Ostermanna, który zawsze miał w szufladzie coś dobrego i chętnie się tym dzielił.

Pia dotarła do parkingu przy kompleksie sportowym Sauerborn. Poza jej pomarańczowym kabrioletem mini stał tam tylko jeden samochód, czarny SUV. Pia zrobiła zdjęcie jego tablicy rejestracyjnej i dopiero wtedy wpuściła Beck'sa na podłogę przed fotelem pasażera, po czym sama wsiadła za kierownicę, uruchomiła silnik i otworzyła dach, by cieszyć się powiewem chłodnego wiatru. Powietrze było jeszcze rześkie, ale zarówno bezchmurne niebo, jak i prognoza pogody zapowiadały kolejny suchy dzień z temperaturami ponownie przekraczającymi poziom przewidziany dla tej pory roku. Po długotrwałej fali upałów w ostatnich miesiącach i nadzwyczajnej suszy sielski krajobraz przedgórza gór Taunus, pełen łąk z dziko rosnącymi drzewami owocowymi, maleńkimi strumykami i gęstymi, cienistymi lasami, zaczął przypominać spalone słońcem okolice Andaluzji. Cała Europa od miesięcy zmagала się z rekordowymi upałami, a potężna burza w miniony weekend przyniosła tylko chwilowe ochłodzenie. W całej okolicy wysychały studnie i podziemne zbiorniki, a poziom wód gruntowych obniżył się tak bardzo, że do wielu miejscowości wodę pitną musieli dostarczać strażacy. Do tego nic nie zapowiadało rychłej zmiany pogody.

– ...od czerwca do sierpnia przez siedemdziesiąt pięć dni temperatura nie spadła poniżej dwudziestu pięciu stopni Celsjusza, a przez dwadzieścia poniżej trzydziestu stopni – informowała prowadząca w radiu, jakby poza rekordowymi upałami i Donaldem Trumpem nie było żadnych innych tematów wartych poruszania. – Od początku prowadzenia rejestru pomiaru temperatur w 1881 roku nigdy nie zanotowano takich wartości...

Pia jechała wzdłuż dębowego lasu, by przed szpitalem skręcić w Kronberger Strasse. Poprzedniego dnia miała małą scysję z Christophem, której nie zakończyli, przy czym on z samego rana wyjechał na spotkanie organizacji European Association of Zoos and Aquaria. Ponieważ jej mąż potrafił być równie uparty jak ona sama, Pia nie spodziewała się jakiegokolwiek znaku życia od niego przed sobotą, kiedy miał wrócić. Ona również nie zamierzała ustępować, mimo że powód do kłótni był naprawdę idiotyczny: Christoph był zazdrosny, i to akurat o jej byłego męża Henninga Kirchhoffa, szefa frankfurckiego Instytutu Medycyny

Sądowej. Henning dopiero co skończył pisać drugi kryminał, po tym jak jego pierwsza książka wydana ubiegłej jesieni okazała się zaskakującym sukcesem. Główni bohaterowie jego powieści – frankfurcki lekarz sądowy i jego była żona – komisarz wydziału do walki z terrorem kryminalnym i zabójstw – prowadzą dochodzenie w sprawie opartej na prawdziwych zdarzeniach, i to ta mieszanina realizmu i fikcji zafascynowała nie tylko czytelników, ale i prasę. A Henning nie tracił żadnej okazji, żeby zareklamować swoją książkę *Nielubiana*. Bardzo chętnie uczestniczył w odczytach i prezentacjach, udzielał wywiadów i – dzięki wsparciu pewnej bardzo pracowitej doktorantki niespodziewanie zaczął pojawiać się na Instagramie, Facebooku i YouTubie oraz zapraszać na swoją stronę internetową. Krótco przed Bożym Narodzeniem jego powieść wspięła się na pierwsze miejsce listy bestsellerów w kategorii wydań w miękkiej oprawie i stała się najczęściej zamawianą książką listopada portalu Amazon. Wtedy zainteresowały się nim telewizje i Henning zaczął pojawiać się we wszystkich znaczących programach w konwencji talk-show w kraju, bo każdy chciał pochwalić się rozmową przed kamerami z prawdziwym lekarzem sądowym i do tego prawdziwą gwiazdą w swoim makabrycznym fachu.

– Twój były pozuje na profesora Börne! – kpił wtedy Christoph.

Tymczasem Henning ukończył drugą książkę, która premierę miała zaplanowaną już niedługo, bo na frankfurckich targach książki na początku października. Parę miesięcy wcześniej w czasie jakiejś luźnej rozmowy Henning zapytał, czy Christoph miałby coś przeciwko wykorzystaniu zoo fundacji Opla w Kronbergu – którego ten od lat był dyrektorem – jako jednego z miejsc akcji swojej powieści, oraz obsadzenia postaci szefa placówki w jakiejś drugoplanowej roli. Mąż Pii nie brał wówczas jego działań na poważnie, więc bez wahania wyraził zgodę i zaraz o tym zapomniał – aż do teraz, bo kiedy trzy dni temu Henning przysłał Pii złożony już tekst *Przyjaciół po grób*, Christoph pierwszy zajął się lekturą. Początkowo bawiły go niemożliwe do przeoczenia nawiązania do prawdziwej zbrodni, w czasie badania której poznał Pię, lecz szybko mina mu zrzęda i zrobił się strasznie zły.

Z głośników samochodu rozległ się dźwięczny sygnał telefonu Pii, akurat w chwili, kiedy skręcała w ulicę Heinricha Heinego.

– Sander – zgłosiła się.

– Cześć, Pia. – Dzwonił Henning, zupełnie jakby wyczuł, że właśnie o nim myślała.

– Witaj, Henning – odparła chłodno. – Dziękuję, że w końcu raczyłeś oddzwonić. Jestem na ciebie naprawdę wściekła!

– Dlaczegoż to? – W jego głosie słychać było zaskoczenie.

– Z powodu twojej najnowszej książki miałam straszną awanturę z Christophem – wyjaśniła Pia. – Przeczytał ją i się zagotował.

– Poczekaj, chwileczkę! – Henning wszedł jej w słowo. – Przecież pytałem go o zgodę! No i ten bohater nie może narzekać na swój los, prawda? Koniec końców, to dyrektor zoo zdobywa policjantkę!

– Daj spokój, Henning! – warknęła Pia, nie kryjąc zdenerwowania. – W twojej książce policjantka idzie do łóżka ze swoim byłym. Naprawdę musiałeś?

– Ale to jeszcze zanim cokolwiek zdarzy się między nią i dyrektorem zoo. – Henninga wyraźnie bawiła ta rozmowa. – No i poza tym ona przyłapuje swojego byłego w niedwuznacznej sytuacji z panią prokurator.

– Jeśli nie chcesz narażać mojego małżeństwa, zmień przynajmniej dedykację – powiedziała. – „Dla Pii” całkowicie wystarczy. „Z miłością” – to jest kompromitujące.

– Tak uważasz? Dobrze, zobaczę, czy jeszcze mogę coś zrobić. Oزالidy zostały już zatwierdzone i wróciły do drukarni – odparł Henning. – Właśnie, ja też mam do ciebie sprawę: mogłabyś podjechać na chwilę do Bad Soden? Właśnie dzwoniła do mnie Maria, moja... hm... znaczy dzwoniła pani Hauschild... eeee... moja agentka. Znacie się chyba, prawda?

– Oczywiście, że tak. Poznałyśmy się na premierze twojej pierwszej książki. – Pię zastanowiło, co mogło oznaczać zupełnie nietypowe dla jej byłego męża jąkanie. Nie po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że coś musiało się dzieć między nim a kobietą, która namówiła go, by dobrze po pięćdziesiątce całkowicie odmienił swoje życie i zaczął robić coś zupełnie nowego, mianowicie napisał powieść kryminalną. Uwagi policjantki nie uszło, jak bardzo Henning zmienił się od tego czasu; zupełnie jakby rola sarkastycznego mizantropa nigdy mu do końca nie odpowiadała.

– Dobra, to co się z nią dzieje?

– Z nią... nic się nie dzieje. Ja... ja zaraz mam wykład i nie mogę sam pojechać, dlatego obiecałem jej, że zadzwonię do ciebie.

– To o co w takim razie chodzi?

Pia zatrzymała się przed garażem i pilotem uruchomiła mechanizm otwierania bramy.

– Czekam pod domem znajomej, z którą od kilku dni nie ma kontaktu. Obawiam się, że stało się tam coś niedobrego, bo na drzwiach zauważyła ślady krwi, a przynajmniej tak jej się wydaje.

– Aha. – Pia darowała sobie pytanie, czy gdyby nie miał akurat wykładu, rzeczywiście wsiadłby sam w samochód i o wpół do dziewiątej rano pojechał tak daleko, by sprawdzić, czy potwierdzą się przeczucia jego agentki. – Niech będzie, podjadę tam. Ale tylko pod jednym warunkiem: zmienisz dedykację w książce.

– Zaraz dzwonię do wydawnictwa i poproszę redaktorę, żeby się tym zajęła – zapewnił ją Henning pospiesznie. – Słowo honoru.

– Okej – zgodziła się Pia łaskawie. – I tak jeszcze nie wyjechałam do pracy. Dokąd mam jechać?

– Burgbergstrasse 74 – wyrecytował Henning. – I wielkie dzięki, Pia. Jesteś kochana!

Pia zamknęła bramę garażu i wyjechała na ulicę.

– Czasem lepiej, żebyś się nie odzywał, wiesz? – powiedziała i zakończyła rozmowę.

*

– Cześć, Oliver. – Cosima się ucieszyła, kiedy wszedł do jej sali, lecz był to ledwie cień jej dawnego promiennego uśmiechu. Bodenstein poczuł ucisk w piersi, kiedy to zauważył. Rak odebrał całą siłę i energię, którymi Cosima zawsze emanowała, a chemioterapia dokończyła dzieła spustoszenia. Na wąskim szpitalnym łóżku leżał ledwie strzęp kobiety, którą niegdyś była. Na początku pierwszego małżeństwa Oliver żył w bezustannym strachu, że lada dzień może zostać wdowcem z dwójką dorastających pociech. Nie mógł spać za każdym razem, kiedy Cosima wyruszała na kolejną ze swoich filmowych ekspedycji w najodleglejsze zakątki świata, by kręcić tam dokumenty i reportaże. W czasach, kiedy nie było

jeszcze telefonów komórkowych, całymi dniami czy wręcz tygodniami czekał na jakikolwiek znak życia od niej, usiłując jednocześnie pogodzić wychowywanie dzieci z pracą. Po każdej nieprzespanej nocy obiecywał sobie, że już nigdy więcej nie puści jej tak daleko, bo nie radził sobie z bezustannym strachem o jej bezpieczeństwo. Ale kiedy wracała, wyczerpana, lecz promieniejąca ze szczęścia, i ku radości dzieci czasem z jakimś bezpańskim kotem albo psiakiem, którego przygarnęła gdzieś po drodze, jego obawy znikwały, jakby ich nigdy nie było. Nauczył się cieszyć się tym, że może wziąć ją w ramiona, całą i zdrową i trzymać tak, dopóki znów nie obudzi się w niej zew podróży, który popchnie ją na kolejną wyprawę filmową.

Już na samym początku, kiedy się w niej zakochał, zrozumiał, że ta pełna temperamentu i nade wszystko ceniąca wolność kobieta nigdy nie zadowolili się spokojnym i uporządkowanym życiem, jakiego on potrzebował, ale miłość sprawiła, że zacisnął zęby i wszystko akceptował, jej wyprawy filmowe, towarzystwo specyficznych ludzi z jej branży, którzy czasem przez kilka tygodni z nimi pomieszkiwali, czas, który spędzała przy montażu materiałów i jej wyjazdy na festiwale filmowe na całym świecie. Dopiero przed dziesięciu laty serce złamał mu jej romans z rosyjskim badaczem terenów polarnych i wspinaczem. Długo nie mógł jej tego wybaczyć, lecz w końcu i z tym sobie poradził, i to nie jedynie dla dobra dzieci, a przez ostatnich kilka lat ich relacje układały się wręcz bardziej harmonijnie niż w okresie małżeństwa.

– Cześć, Cosi – odpowiedział. – Jak się czujesz?

– Całkiem nieźle – odparła i usiadła na łóżku. Nawet głos jej się zmienił i brzmiał teraz słabo i krucho, a skóra przybrała żółtawy odcień i stała się cienka jak pergamin. Jej połyskliwe rude włosy padły ofiarą chemioterapii, podobnie jak rzęsy i brwi.

– Spójrz tylko, co Sophia dla ciebie namalowała. – Bodenstein rozprostował zwinięty w rulon obraz córki i obrócił go w jej stronę. – Dostała za niego najwyższą ocenę.

– Panorama Frankfurtu! Ależ pięknie jej to wyszło! – Cosima się ucieszyła. – Poproszę pielęgniarki, żeby powiesiły go tak, żebym cały czas go widziała.

Bodenstein odłożył malunek na stolik pod telewizorem. Jak na salę szpitalną, pokój Cosimy wydawał się niemal luksusowy, dysponował bowiem niewielkim

balkonem, piękną łazienką, a nawet kącikiem wypoczynkowym z kanapą i skórzanymi fotelami oraz minibarkiem.

– Mogę coś dla ciebie zrobić? – zapytał Oliver. – Potrzebujesz czegoś? Masz co czytać?

– Dziękuję, niczego mi tu nie brakuje. Chociaż wiele bym teraz oddała, żeby zapalić – wyznała Cosima i uśmiechnęła się przekornie. – Nie masz przypadkiem papierosów?

– Nie. Od trzech tygodni żadnego nie wypaliłem. – Bodenstein spojrzął na zegarek, po czym usiadł. Miał jeszcze pół godziny, zanim rozpocznie się maraton badań, włącznie z EKG, rentgenem klatki piersiowej, rezonansem magnetycznym, tomografią wolumetryczną oraz biopsją wątroby. – Wiesz przecież dlaczego.

– Pewnie, że wiem.

Popatrzyli na siebie.

– Wyglądasz na przygaszonego. Co się dzieje, Oliver? Gnębi cię, że się na to wszystko zgodziłeś?

– Nie, zupełnie nie o to chodzi. – Bodenstein westchnął. Nie chciał obciążać Cosimy swoimi problemami, ale zbyt dobrze go znała, by cokolwiek mógł przed nią ukryć.

– Zazdrość Karoline stała się nie do zniesienia – wyjaśnił i krótko opowiedział o scenie, jaka miała miejsce przy śniadaniu. – Nie mogę dalej tego tolerować i mieć nadzieję, że w końcu wszystko się unormuje. Bo się nie unormuje. A najbardziej cierpi na tym Sophia. Chciałbym przenieść ją do moich rodziców, albo do Louise i Quentina, przynajmniej do czasu, aż znajdę lepsze rozwiązanie.

– Przykro mi – odparła Cosima. – Oczywiście, zrób tak. Niech Sophia pomieszka trochę u twojej rodziny. Tak będzie dla niej lepiej. Również wtedy, jak będzie już po wszystkim.

– Też mi się tak wydaje.

Tyle razy już omawiali medyczne aspekty tego, co ich czekało, że dzisiejsza rozmowa dotyczyła innych, ogólniejszych tematów. Oliver opowiedział Cosimie o najnowszym kryminale Henninga Kirchhoffa, na który z niecierpliwością czekał cały wydział K11 i który tak bardzo zdenerwował męża Pii Sander. Śmiali się i cieszyli rzadkimi chwilami normalności i bez troski.

Choroba Cosimy uświadomiła Bodensteinowi, że życie jest za krótkie, by marnować je na rzeczy, których w rzeczywistości robić się nie chce, albo na ludzi, po których nie można się spodziewać niczego dobrego. Wszystko mogło się skończyć z dnia na dzień. Dwa miesiące temu Cosima poszła na zakupy i w sklepie straciła przytomność, po czym trafiła do szpitala. Lekarze zdiagnozowali u niej raka wątroby w zaawansowanym stadium, a jej przypadkowo odkryta choroba głęboko wstrząsnęła całą rodziną. Komórki rakowe nie zajęły jeszcze węzłów chłonnych ani innych organów, więc istniała szansa, że przeszczep wątroby uratuje jej życie. Cosima znalazła się na liście Eurotransplantu wśród oczekujących na wątrobę od zmarłego dawcy, a lekarze rozpoczęli zabiegi chemoembolizacji tętniczej, które miały powstrzymać rozrost istniejących guzów do czasu znalezienia odpowiedniego organu. Nikt jednak nie wiedział, jak długo może to potrwać, dlatego Lorenz i Rosalie poddali się testom na zgodność jako potencjalni dawcy, jednak okazało się, że część wskaźników nie pasuje. Przepisy w tym względzie stanowią jednoznacznie, że organ do przeszczepu od żywego dawcy może pochodzić jedynie od członka rodziny, małżonka albo życiowego partnera, dlatego Bodenstein również się przebadał. Wyniki testów pokazały wysoką zgodność, pozwalającą mu na bycie dawcą dla Cosimy, więc podjął decyzję, by oddać część wątroby matce swoich dzieci. Po bardzo starannym wywiadzie lekarskim i środowiskowym komisja do spraw przeszczepów dała w końcu zielone światło i dzisiaj czekały go dalsze szczegółowe badania. Był to wyścig z czasem, bo stan Cosimy wyraźnie się pogorszył i groziło jej, że będzie zbyt słaba, by w ogóle poddać się operacji, a to oznaczałoby wygraną raka.

– Za dziesięć dziewięta – stwierdził Bodenstein. – Muszę już ruszać.

– Powiedziałaś Karoline? – zapytała Cosima.

– Nie – wyznał Bodenstein. – I nie zamierzam jej niczego mówić. Jutro zabieram swoje rzeczy i przeprowadzam się do Marie-Louise do hotelu. Będę blisko Sophii i będę miał spokój.

– O! – westchnęła Cosima, ale nic nie powiedziała.

– Już dawno powinienem był to zrobić – powiedział.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Oliver – wyszeptała Cosima. – Jestem ci ogromnie wdzięczna. I nawet, jeśli to się nie uda...

– Uda się – przerwał jej natychmiast. – Uda się i wyzdrowiejesz. Zobacysz.

– Niestety, istnieje możliwość, że tak się nie stanie, i dobrze o tym wiesz. – Cosima spojrzała na niego spokojnie. – Ale jeśli mi się nie uda i już z tego nie wyjdę, to miałam przynajmniej cudowne życie. I w bardzo dużej części zawdzięczam to tobie, Oliverze. Mamy troje cudownych dzieci i czworo przesłodkich wnucząt. Mogłam rozwijać się zawodowo w tym kierunku, który dawał mi szczęście. Więc gdyby to miał być koniec, opuszczę ten świat zadowolona – dokończyła zachrypniętym głosem. Bodenstein poczuł ucisk w gardle.

– Ani mi się waży umierać, nie po tym wszystkim, przez co muszę tu przejść – zażartował, choć ani trochę nie było mu do śmiechu. – Pomyślałaś w ogóle, jak nieprzyjemna jest biopsja wątroby?

Cosima się uśmiechnęła, ale szybko spoważniała.

– Bardzo doceniam to, co dla mnie robisz – odpowiedziała. – Tym bardziej że wiem przecież, jak nienawidzisz igieł i zastrzyków.

*

Pia była nawet zadowolona, że Henning dostarczył jej wymówkę, dzięki której nie musiała pokazywać się od rana w biurze. Poza kilkoma uszkodzeniami ciała, wysadzonym bankomatem i dwoma podpaleniami, K11 nie miało ostatnio zbyt wiele do roboty, więc dyrektor doktor Nicola Engel zorganizowała dla podległego jej personelu szkolenia o pasjonującej tematyce, takiej jak *Indywidualne kompetencje w działaniu – pewność siebie i otwartość na obywateli, Analiza zdarzenia kryminalnego, od taktyki do strategii, czy Kompetencje metodyczne – działania dopasowane do sytuacji i ukierunkowane na grupę docelową*. Uczestnictwo w nich na początku było fakultatywne, jak wynikało z mejlowego okólnika, jednak kiedy na pierwszych zajęciach pojawiły się ledwie trzy osoby, w kolejnym mejlu słowo „fakultatywne” zostało zastąpione przez „obligatoryjne”, i to pogrubioną czcionką. Tylko nagle i uzasadnione sytuacje związane z pracą mogły zwolnić z obowiązku odbycia kursu doskonalącego. I z tego właśnie powodu Pia nie narzekała na konieczność ustalenia miejsca pobytu przyjaciółki agentki byłego męża.

Na miejsce pojechała wzdłuż Parkstrasse nad starym parkiem zdrojowym, skręciła w Burgbergstrasse i zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu numeru podanego przez Henninga. Jak się okazało, wskazany dom stał w głębi ogrodu,

przysłonięty przez rozrośnięte krzaki rododendronów, w cieniu wysokich drzew iglastych o chropowatej, rdzawobrazowej korze. Na niewysokim murku odgradzającym nieruchomość od ulicy siedziała jakaś blondynka i rozmawiała przez telefon. Pia zaparkowała za białym smartem na frankfurckich numerach, sięgnęła po plecak, zapięła Beck'sa na smycz i wysiadła. Kobieta zakończyła połączenie, wstała i zdjęła okulary przeciwsłoneczne. Przez chwilę nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok psa, ale szybko spoważniała.

– Pani Hauschild, prawda? – Pia przywitała agentkę Henninga.

– Dzień dobry, pani Kirchhoff! – odpowiedziała kobieta.

– Sander. Dawniej Kirchhoff – poprawiła ją policjantka z uśmiechem.

– No tak, oczywiście. Przepraszam i dziękuję, że pani tak szybko przyjechała.

Z bliska Maria Hauschild nie wyglądała już tak młodo, ale ciągle bardzo atrakcyjnie, i Pia przez chwilę się zastanawiała, czy Henning poszedł z nią do łóżka.

– Nie ma o czym mówić. I tak byłam w okolicy.

Agentka miała na sobie białą lnianą koszulę, dzinsy do połowy łydki i jaskrawozielone buty sportowe. Włosy przycięte w boba miały raczej srebrnoszarą barwę, a nie blond, lecz gdyby nie delikatne zmarszczki wokół jej oczu i nad górną wargą, można by pomyśleć, że nie skończyła jeszcze pięćdziesiątki.

– Ależ piękny pies – pochwaliła. – Jak się wabi?

– Beck's – wyjaśniła Pia. – Jak piwo.

Na dźwięk swojego imienia Beck's przekrzywił głowę i zamachał wyczekująco ogonem.

– Henning powiedział, że martwi się pani o znajomą. – Po kłótni z Christophem i nieprzyjemnym spotkaniu z nadętą właścicielką wyżłów, Pia nie była w nastroju, by zaczynać od uprzejmości czy rozmów o niczym, dlatego przeszła od razu do rzeczy.

– Tak, to prawda. Od kilku dni staram się skontaktować z moją przyjaciółką Heike, ale nie odbiera telefonu ani nie odpisuje na mejle i esemesy. – Agentka nie ukrywała zaniepokojenia. – Znamy się od przeszło czterdziestu lat i przez ten czas ani razu nic takiego się nie zdarzyło. Ale ona niedawno straciła pracę, więc obawiam się, że mogło... hmm... jej się coś stać.

– W jakim sensie? – Pia zmarszczyła czoło. – Podejrzewa pani, że mogła coś sobie zrobić?

– Nie wiem. – Maria Hauschild wzruszyła bezradnie ramionami. – Ale to bardzo nietypowe, żeby całymi dniami się ze mną nie kontaktowała. I to akurat po tym wszystkim, co się wydarzyło...

Pia nienawidziła, kiedy ludzie nie kończyli zdania, czekając wyraźnie, żeby wyciągać z nich każdą kolejną wiadomość. Ale dopóki nie było pewności, czy przyjaciółkę agentki rzeczywiście spotkało coś złego, Pii nie interesowały żadne dodatkowe informacje z jej życia.

– Henning powiedział, że zauważyła pani ślady krwi na drzwiach – zaczęła.

– Tak, proszę, zaprowadzę panią i pokażę – zaoferowała się Maria Hauschild i otworzyła bramę z obłazącymi płatami czerwonej farby, po czym weszła na teren posesji. Pia zajrzała przez niewielkie okno do dwustanowiskowego garażu. W środku stał jeden ciemny samochód.

– To jej wóz – powiedziała agentka. – Już wcześniej sprawdziłam.

– Czy istnieje możliwość, że pani przyjaciółka po prostu dokądś wyjechała? – zapytała Pia. – Może pojechała pociągiem albo poleciała odwiedzić znajomych czy rodzinę? Kiedy człowiek traci pracę, czasem potrzebuje odmiany.

– Heike nie ma rodziny, a jej grono przyjaciół też jest bardzo ograniczone – stwierdziła Maria Hauschild. – I ona nigdy nie podróżuje. A już na pewno nie pojechałaby nigdzie pociągiem, bo nie wytrzymałaby tyle czasu bez palenia. Może mi pani wierzyć, naprawdę dobrze ją znam.

Pia szła za nią z psem na smyczy. Ścieżkę prowadzącą do domu pokrywały mech i opadłe igliwie. Ogród sprawiał wrażenie zaniedbanego. Upał ostatnich miesięcy zasuszył kwiaty i krzaki, a trawnik od dłuższego czasu wymagał koszenia do tego stopnia, że bardziej przypominał łąkę. Weranda wyglądała, jakby od dawna nikt z niej nie korzystał. Ktoś postawił do góry nogami na stole sześć krzeseł ogrodowych, a obok czekały na gości dwuosobowa huśtawka, zwinięty parasol i pokryty rdzą grill. Dla zasuszonych roślin w doniczkach w najróżniejszych kolorach i wielkościach było już za późno na ratunek. Wypłowiwała, niegdyś pewnie intensywnie czerwona markiza wisiała smętnie obok korby do jej rozciągania. W wielu miejscach na ścianach odpadał tynk, a z jednej strony bluszcz wspinał się aż do wysokości rynny.

– Kiedy po raz ostatni rozmawiała pani z przyjaciółką? – zapytała Pia.

Odpowiedź Marii Hauschild zagłuszył jazgot piły mechanicznej. Na posesji po prawej stronie wznosił się olbrzymi budynek w stanie surowym, który w przyszłości zapewne miał stać się jednym z tych nowoczesnych betonowo-szklanych kłoców, które z niewiadomego powodu stały się ostatnio bardzo popularne. W czasie spacerów z psem Pia widziała już kilka takich nowoczesnych domów. Ilekroć je mijała, nie mogła się nadziwić, jak dzięki sprytnemu architektowi oraz chętnym do negocjacji urzędnikom wydziału budownictwa i architektury tak elastycznie dawało się traktować zapisy miejscowego planu zagospodarowania. W okolicach, gdzie od zawsze dominowały jednorodzinne domy z garażem i ogrodem, wyrastały niespodziewanie kanciaste przeszklone bunkry, często z miejscami parkingowymi na podziemnych kondygnacjach, które co do milimetra wykorzystywały dozwoloną powierzchnię zabudowy działki. Budziły przy tym nieodmiennie przerażenie sąsiadów, którzy niemal z dnia na dzień znajdowali się w cieniu kilkupiętrowych kostek.

Pia powtórzyła pytanie.

– W zeszłym tygodniu – przyznała Maria Hauschild. – Pewnie wydaje się to pani dziwne, że dopiero po kilku dniach zaczęłam się martwić. Ale Heike miała zaproszenie do rozmowy w programie na żywo i ten występ był dla niej bardzo ważny, bo wcześniej przez wiele lat była tam współprowadzącą. No i się nie pojawiła. A nie zgłosiła wcześniej, że jej nie będzie.

– Rozumiem.

Stały przed drewnianymi drzwiami pokrytymi białą farbą; w niektórych miejscach już była popękana, a w innych odchodziła płatami.

– To wejście do kuchni. Heike korzysta z nich częściej niż z głównych drzwi – wyjaśniła agentka i wskazała na kilka plam na schodku i jedną rozmazaną na pomalowanym drewnie. – Widzi pani? To jest krew, prawda?

Pia kazała psu warować i dopiero kiedy Beck's położył się grzecznie na ziemi, przykucnęła przy schodkach i obejrzała rdzawobrazowe plamy.

– Tak, to rzeczywiście może być krew – potwierdziła. – Jednak proszę nie zakładać od razu najgorszego. Pani przyjaciółka mogła na przykład skaleczyć się w czasie pracy w ogrodzie.

Albo dostała krwotoku z nosa. Albo wynosiła na taras świeży stek na grilla. Pia zajrzała przez przeszklenie w drzwiach. W środku zobaczyła tylko kuchenne szafki i lodówkę. Z bocznej kieszeni plecaka wyjęła parę rękawiczek jednorazowych i wciągnęła je, po czym zapukała do drzwi.

– Już wcześniej próbowałam – powiedziała pani Hauschild.

– Jak możemy dostać się do środka? – zapytała Pia. – Bo rozumiem, że nie ma pani klucza.

– Ja... nie mam... myślałam, że w nagłych sytuacjach policja może wyważyć drzwi – wyjaśniła kobieta, patrząc na nią niepewnie.

– To prawda, możemy to zrobić. – Pia odwróciła się w jej stronę. – Ale nie mam przesłanek, by sądzić, że w tej chwili popełniane jest tutaj przestępstwo i nie jest to żadne nagłe zdarzenie. Pani przyjaciółka jest osobą pełnoletnią i może przemieszczać się zgodnie ze swoją wolą, nie informując o tym nikogo. Gdybym kazała wyłamać drzwi, byłoby to naruszenie miru domowego.

– Ale ja się naprawdę bardzo o nią martwię – zapewniła Maria Hauschild z naciskiem. – Co będzie, jeśli jest ranna i leży gdzieś w środku? Wydawnictwo Winterscheid było jej rodziną. Od ponad trzydziestu lat. Ona żyje dla pracy i dla swoich autorów. A teraz nic jej nie zostało.

Pia znieruchomiała.

– Winterscheid? Czy to nie aby to wydawnictwo, w którym publikuje Henning?

– Tak, to samo. – Agentka potwierdziła ruchem głowy.

– Może ktoś inny dysponuje zapasowym kluczem? – dopytywała się policjantka.
– Na przykład któryś z sąsiadów?

– Nic o tym nie wiem. – Pani Hauschild zmarszczyła brwi.

Nagle zacisnęła usta i z determinacją w oczach opuściła rękaw bluzki. Zanim Pia zdążyła zareagować, uderzyła łokciem w przeszklenie i wybiła szybę.

– Co to miało być? – wykrzyknęła Pia. – Przecież to jest włamanie!

– Chętnie pokryję wszystkie szkody. – Pani Hauschild wsunęła dłoń do środka, przekreśliła sterczący z zamka klucz i otworzyła drzwi. – A teraz, skoro da się wejść, warto byłoby sprawdzić, czy nie leży gdzieś w środku, prawda?

– Heike?! – zawołała i już chciała przestąpić próg.

– Stać! – powstrzymała ją Pia. – Pani poczeka tutaj, a ja sama rozejrzę się po domu... na wypadek, gdyby... no cóż...

– No tak, oczywiście! – Maria Hauschild potaknęła poruszona.

Ludzie odbierają sobie życie z daleko bardziej błahych powodów niż utrata pracy, więc jeśli przyjaciółka pani Hauschild rzeczywiście coś sobie zrobiła i jej ciało przez kilka dni leżało w domu, to przy panujących upałach nie mogło wyglądać szczególnie atrakcyjnie. Pia weszła do środka. Szkło z wybitej szyby zachrząściło pod jej butami. Pociągnęła nosem. W powietrzu czuć było woń wypalonych papierosów, ale brakowało charakterystycznego zapachu rozkładających się zwłok, przypominającego połączenie aromatu sera i amoniaku. Pomieszczenie tonęło w półmroku z powodu brudnych szyb z pokładami dymu tytoniowego. Lodówka cicho mruczała. Pia rozejrzała się po przestronnej kuchni. Na kuchence stały patelnie i garnki. Podniosła pokrywkę jednego z nich i zobaczyła zaschnięte resztki jedzenia. Przezrysty dzbanek ekspresu do kawy był w połowie opróżniony, a zmielona kawa w filtrze pokryła się pleśnią. Kuchenny stół z litego drewna służył najwyraźniej za biurko do pracy. Wokół zamkniętego laptopa piętrzyły się papiery, książki, przeczytana poczta i zamknięte jeszcze koperty. Obok przepelnionej popielniczki i porcelanowego kubka do kawy, w którym pływały kółka pleśni, leżała paczka papierosów i zapalniczka. Pia zajrzała do lodówki. Kilka butelek wina. Masło. Wędliny. Ser. Sześciopak jajek. Dużo gotowych sałatek. Parę wypełnionych plastikowych pojemników. Wyszła na korytarz prowadzący z kuchni do drzwi wejściowych. Zajrzała do pokoju obok. Wszędzie piętrzyły się stosy książek, gazet i czasopism. Pomieszczenie przy kuchni służyło zapewne zaginionej właścicielce domu jako sypialnia. Łóżko nie było pościelone. Przez oparcie wysokiego krzesła wisiały przewieszane ubrania, na stoliku nocnym leżały opakowania leków i książki, a na podłodze obok łóżka stała kolejna popielniczka oraz kieliszek z zaschniętymi resztkami czerwonego wina. Na pogniecionej poduszce leżała grzbietem do góry otwarta książka, jakby czytająca ją osoba dopiero co ją odłożyła, a na pufie czekała torebka. Pia otworzyła ją i poza całą masą najróżniejszych drobiazgów znalazła wytarty portfel z pewną ilością gotówki, kartami kredytowymi i bankomatowymi, dowodem osobistym, dowodem rejestracyjnym i prawem jazdy wystawionym na Heike Wersch.

Wszystko wskazywało na to, że Maria Hauschild miała rację. Coś tutaj nie grało. Nikt, kto zamierzał wyjechać na kilka dni, nie zostawiał w domu portfela ze

wszystkimi dokumentami. Sięgała właśnie po telefon, by zadzwonić do swojego współpracownika, Christiana Krögera, kiedy rozległo się szczekanie Beck'sa. Pia wyszła na korytarz. Czarny kot jak strzała przemknął obok jej nóg, a zaraz za nim pojawił się pies, w którego oczach dostrzegła czystą żądzę mordy. W przypadku kotów, z wyjątkiem jej własnych, całkowicie zawodziła kontrola Beck'sa nad impulsami. Pia spróbowała jeszcze schwycić ciągnącą się za nim smycz, lecz nie była dostatecznie szybka. Kot popędził schodami na piętro, z malinoisem depczącym mu po piętach.

– Niech to szlag! – zaklęła Pia i rzuciła się biegiem za zwierzętami. – Beck's! Stój! Wracaj!

Beck's rozzszekał się ostrzegawczo, a Pia momentalnie się spięła. Znała głos swojego psa i od razu wiedziała, że jego ton nie oznacza niczego dobrego. Czyżby trafił tam na zwłoki Heike Wersch? Zdyszana pokonała ostatnie stopnie i zatrzymała się przestraszona. W ciemnym korytarzu siedział nieruchomo na podłodze starszy mężczyzna w piżamie w paski i opierał się o ścianę. Beck's stał przed nim i go oszczekiwał, dokładnie tak, jak nauczył się na zajęciach dla psów obrończych.

– Spokój! Dobra robota! – Pia chwyciła go za obrozę i odciągnęła kawałek. Pies zamilkł i machał tylko nerwowo ogonem.

– Przepraszam, jeśli pana wystraszył. – Pia przykucnęła. – Nazywam się Pia Sander i jestem z policji.

Mężczyzna popatrzył na nią. Miał bose stopy, kilkudniowy zarost i rozczochrane włosy.

– Proszę... – wyszeptał drżącym głosem. – Pomocy...

Kiedy się poruszył, rozległo się dzwonienie. Dopiero wtedy Pia zauważyła, że na prawej nodze ma zapięty łańcuch.

*

– Następny przystanek: Hauptwache! – zaanonsował komputerowy głos. Julia Bremora schowała do torebki tablet, na którym przeglądała notatki do swoich dzisiejszych prezentacji, i wstała. Zostało dwadzieścia minut do dziesiątej, a mimo że poprzedni wieczór się przeciągnął do późna, nie potrzebowała dzisiaj budzika, żeby wstać o czasie. Uroczystość we włoskiej restauracji w Westend okazała się

prawdziwym sukcesem, głównie dzięki temu, że akurat jeden z jej autorów był gwiazdą wieczoru. W zasadzie spodziewała się raczej, że stara gwardia redaktorów wydawnictwa Winterscheid nie powstrzyma się przed narzekaniem, że gościem honorowym tegorocznego spotkania został autor kryminałów, a nie jakiś udekorowany i doceniony literat. Jednak po tym, jak cztery tygodnie wcześniej z pracy wyleciała Wersch, ta stara wiedźma, która tylko spiskowała i siała zamęt, nastrój w wydawnictwie uległ wyraźnej poprawie. Dzięki temu poprzedniego wieczoru Henning Kirchhoff pełnym humorem wykładem naszpikowanym anegdotami z codziennej pracy lekarza sądowego oraz odczytaniem kilku fragmentów swojego najnowszego kryminału zdołał wyczarować uśmiechy – nawet jeśli ukradkowe i nieśmiałe – również na twarzach frakcji przeciwników linii Carla Winterscheida. A na koniec wszyscy pospołu bili radośnie brawo, włącznie z szefem działu literackiego, panem Rothem, który nosił grzywę w stylu Beethovena i okulary o okrągłych szklach w rogowych oprawkach, jakie jeszcze trzydzieści lat temu mogły wydawać się na czasie. Julia pękała z radości i dumy, bo w przemowie przed wszystkimi pracownikami, pracowniczkami, przedstawicielami i przedstawicielkami szef wydawnictwa wręcz przesadnie ją pochwalił. Według niego Julia wykazywała się niesamowitym wyczuciem słowa i treści, trendów, tematów na czasie i rynku książki, a abstrahując od tych komplementów, samo jego spojrzenie wystarczyło, żeby ugięły się pod nią kolana. Oczywiście, że pozostali uśmiechali się przy tym i zgrzytali zębami, jednak ich zawiść była Julii zupełnie obojętna. Nikomu z nich nie udało się wcześniej samodzielnie odkryć nowego autora, którego pierwsza powieść z miejsca podbiłaby rynek i została najczęściej kupowanym kryminałem roku, deklasując wszystkich pewniaków w przedbiegach. A wszystko wskazywało na to, że druga powieść Kirchhoffa, *Przyjaciele po grób*, która miała ukazać się za trzy tygodnie, a której pierwszy nakład liczył sto pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy, przyćmi sukces swojej poprzedniczki i jeszcze bardziej spektakularnie podbije listy bestsellerów. Oczywiście, Henning Kirchhoff nigdy nie zdobędzie literackiej Nagrody Nobla jak Günther Gantenberg czy Alfred Kempermann, nie dostanie również nagrody imienia Georga Büchnera czy jakiegokolwiek innego literackiego trofeum. Nie zaliczał się również do ulubieńców krytyków literackich, jak Marina Bergmann-Ickes, Robert Sachtleben, Severin Velten, Gesa Richter czy Fabian Maria Noll, ale za to jego książki docierały do bardzo szerokiego kręgu odbiorców. *Nielubiana* okazała się czarnym koniem zeszłego roku, szturmem podbijając listy

bestsellerów tygodnika „Der Spiegel” i portalu Amazon, i osiągając takie wyniki sprzedażowe, o jakich ci nadęci autorzy i ich agenci mogli jedynie pomarzyć. Dobra sprzedaż i sukces komercyjny przestały budzić podejrzliwość i pogardę, od kiedy półtora roku wcześniej Carl Winterscheid przejął stery tego renomowanego wydawnictwa i wdrażając zupełnie nową strategię, uratował je przed nieuchronnym, wydawałoby się, bankructwem.

Pociąg się zatrzymał. Drzwi rozsunęły się z pneumatycznym westchnięciem, a peron zalał tłum ludzi, w większości ubranych w garnitury, którzy resztę dnia spędzić mieli w okolicznych bankach, biurach i kancelariach adwokackich. Julia wbiegła schodami do wyjścia ze stacji metra, przeszła na drugą stronę Biebergasse i skręciła w Schillerstrasse. Dziś, drugiego dnia spotkania z przedstawicielami handlowymi, miała zaprezentować cztery tytuły z wiosennego planu wydawniczego. Od tygodni czekała na tę chwilę! Uśmiechnęła się, widząc z daleka monumentalną neoklasycystyczną bryłę siedziby wydawnictwa o nietypowej, lekko wklęsłej fasadzie, potężnych kolumnach i z kilkunastoma kamiennymi puttami rozmieszczonymi parami na portyku. Budynek należał do tych nielicznych budowli, które w niemal nienaruszonym stanie przetrwały potężne bombardowania w czasie drugiej wojny światowej. Każdego ranka Julia czuła radość i dumę, kiedy wchodziła do holu i spoglądała na oprawione w ramki portrety znanych autorów zawieszane na ścianach klatki schodowej. Uwielbiała swoją pracę. Pasjonowało ją wyszukiwanie nowych propozycji wydawniczych, a potem walka o nie w czasie cotygodniowych kolegiów redakcyjnych. Kochała pomagać swoim autorom w szlifowaniu fabuły ich książek, uwielbiała rozmowy z agentami z kraju i z zagranicy, pisanie tekstów na okładki i dokonywanie rewizji złożonych tekstów tuż przed wysłaniem ich do druku. Poza tym już za trzy tygodnie zaczynały się Frankfurckie Targi Książki, najważniejsze wydarzenie w świecie literatury, a ona, Julia Bremora, tym razem miała znaleźć się w jego centrum, a nie przyglądać się wszystkiemu jako anonimowa młodsza redaktorka. Nie tym razem! Jako odkrywczyni nowej gwiazdy niemieckiej sceny literatury kryminalnej zapewniła sobie rozpoznawalność w branży. Jej terminarz targowy był wypełniony po brzegi. Co trzydzieści minut kolejny punkt. Spotkania z agentami z Anglii, Francji, Włoch i Stanów Zjednoczonych w Literackim Centrum Agentów. Negocjacje dotyczące sprzedaży licencji. A wieczorami przyjęcia wydawnicze, gdzie będzie mogła porozmawiać ze znajomymi z innych

firm, wymienić się najnowszymi plotkami i nacieszyć zgiełkiem. W chwili, kiedy przestępowała próg, odezwał się jej telefon. Dzwonił Henning Kirchhoff.

– Dzień dobry – przywitała się grzecznie.

– Dzień dobry – odpowiedział Kirchhoff, a jego głos zabrzmiał bardzo oficjalnie.

– Mam nadzieję, że pani nie obudziłem.

– Nie, oczywiście, że nie. Jestem już w wydawnictwie. – Julia wsiadła do przeszklonej windy i wybrała trzecie piętro. – Fantastycznie wypadł wczorajszy wieczór, prawda? Wszyscy byli zachwyceni!

Kabina ruszyła w górę.

– Tak, rzeczywiście wspaniale wyszło. – Kirchhoff najwyraźniej nie był w nastroju do luźnej rozmowy. Odkasznął. – Wie pani, musielibyśmy zmienić jedną rzecz w tekście.

– Oj! – wymsknęło się Julii. – To będzie raczej bardzo trudne. W zeszłym tygodniu zatwierdziłam skład i przekazałam tekst do działu produkcyjnego, żeby zwolniono go do druku.

– Nie prosiłbym, gdyby to nie było naprawdę ważne – naciskał Kirchhoff. – Obiecałem byłej żonie zmianę w dedykacji, która powinna brzmieć tylko „Dla Pii”.

Tylko dedykacja! Całe szczęście, że nie chodzi o ingerencję w treść samej powieści! Julia odetchnęła z ulgą. Ciekawe, dlaczego akurat teraz przyszło mu to do głowy? Przecież miał naprawdę wystarczająco dużo czasu, żeby sobie wszystko przemyśleć i ustalić!

– Sprawdzę, czy mi się jeszcze uda wprowadzić tę zmianę. – Kabina zwolniła i się zatrzymała. Julia ruszyła korytarzem w stronę swojego maleńkiego biura. W zasadzie nie miała czasu zajmować się takimi sprawami, ale Henning Kirchhoff był jej najważniejszym autorem, więc nie chciała go w żaden sposób zrazić.

– Kontaktowała się może z panią tą redaktorką, która niedawno została u was zwolniona? – zapytał Kirchhoff.

– Myśli pan o pani Wersch? Czy się ze mną kontaktowała? – Julia nie potrafiła ukryć zaskoczenia. – Nie. Dlaczego pan o to pyta?

– Moja agentka, pani Hauschild, zaczęła się martwić, bo od kilku dni nie może się do niej dodzwonić i nikt u niej nie otwiera – wyjaśnił. – Żeby ją uspokoić, zadzwoniłem rano do byłej żony i poprosiłem, żeby podjechała tam i się rozejrzała. Zgodziła się, ale pod warunkiem, że zmienię dedykację.

Julia poczuła ciarki na plecach i z trudem przełknęła ślinę. Wiedziała, że była żona Henninga Kirchhoffa była pierwowzorem głównej bohaterki jego książek i tak samo jak Ina Grevenkamp, Pia Sander służyła w policji, w wydziale K11 komisariatu w Hofheim, gdzie była odpowiedzialna za brutalne przestępstwa, takie jak morderstwa i pobicia ze skutkiem śmiertelnym. Co zatem mogła oznaczać wizyta funkcjonariuszki wydziału zabójstw w domu Heike Wersch?

– Aha... – Julia niechcący upuściła torebkę na podłogę i przysiadła na biurku, bo niespodziewanie ugięły się pod nią kolana. Z przerażeniem zauważyła też, że trzęsą jej się dłonie. – Czy... pan... ma już od niej jakieś wieści?

– Nie, ale Maria informuje mnie na bieżąco – odparł Kirchhoff, nie zdając sobie sprawy, jaką reakcję wywołują jego słowa. – Wydaje się, że coś tam nie gra. Czekają teraz na techników od zabezpieczania śladów.

– Och! – Dzięki dotychczasowej współpracy z nim Julia sporo wiedziała o policyjnych procedurach wdrażanych w przypadku znalezienia zwłok. A techników kryminalistyki nie wzywało się bez powodu. Coś się więc musiało wydarzyć, i to coś złego. Coś, co mogło obciążać jej sumienie. Momentalnie cień przykrył dzień, na który tak bardzo się cieszyła.

– ...byłoby wspaniale, gdyby udało się to pani jeszcze jakoś odkręcić. – Miała wrażenie, że głos Henninga Kirchhoffa dociera z bardzo daleka.

– Tak, tak, oczywiście – wydukała. – Postaram się... zaraz wyślę mejla w tej sprawie.

Najchętniej poprosiłaby go, żeby informował ją o rozwoju wydarzeń, ale przecież nie mogła tego zrobić, nie wzbudzając podejrzeń. Był jej autorem i dobrze jej życzył, ale jednocześnie był byłym mężem policjantki, która uznała za wskazane wezwać techników od zabezpieczania śladów do domu Heike Wersch. Julia zakończyła rozmowę i przez chwilę patrzyła w czarny monitor. Pani Wersch nie należała do przyjemnych osób; była wyniosła, przemądrzała i w brutalny, raniący sposób bezpośrednia. Julia jej nie znosiła, a czasem wręcz szczerze nienawidziła. Nieraz w czasie redakcyjnych kolegiów dochodziło między nimi do burzliwej wymiany zdań. Mimo to Julia ją szanowała; była przecież ikoną niemieckojęzycznej literatury współczesnej i przez ponad dwadzieścia lat *spiritus rector* wydawnictwa. Niedawno została z dnia na dzień zwolniona z pracy, a teraz pewnie spotkało ją coś złego. Niech to szlag! Julia przygryzła dolną wargę,

próbując stłumić wzbierające poczucie winy. Dlaczego nie mogła utrzymać buzi na kłódkę i zachować dla siebie tego, co przypadkiem usłyszała?

*

Pia poprosiła, by Maria Hauschild weszła na piętro. Agentka stała teraz oniemiała, przyciskając dłonie do ust. Ruszyła się dopiero, kiedy policjantka poleciła jej wezwać karetkę. Na jednej z komódek w korytarzu Pia znalazła klucz, który pasował do zamka na kostce staruszka i go uwolniła. Mężczyzna z wdzięcznością przyjął szklankę wody, którą mu podała, po czym zaczął wołać Heike i jakąś Gisele. Pia szybko zweryfikowała początkowe założenie, że pani Wersch przetrzymywała staruszka, który najpewniej był jej ojcem, wbrew jego woli, a to za sprawą porozklejanych wszędzie karteczek. „Ubrania”, „załóż kapcie!”, „kran – lewa zimna, prawa ciepła”, „spuszczaj wodę” czy „pamiętaj pić wodę!” i „gaś światło”. Łańcuch okazał się dostatecznie długi, by mężczyzna poruszał się swobodnie po całym pięttrze, jednak nie mógł zejść na parter. Pani Wersch zastosowała to praktyczne, choć wątpliwe moralnie i etycznie rozwiązanie, by zapewnić ojcu bezpieczeństwo, ilekroć musiała opuścić dom i zostawić go samego. Na stole w korytarzu stało kilka pustych butelek po wodzie i telefon dla seniorów z dużą klawiaturą numeryczną, a obok niego leżała kartka z zapisanymi numerami. Pierwszy kontakt na liście opisany został jako Heike, drugi doktor Sniehotta (lekarz domowy), a na samym końcu widniał numer stacjonarny do Klausa i Gerdy Wiedebusch (sąsiedzi).

– Kim pani jest? – Pan Wersch powtórzył pytanie skierowane do Marii Hauschild. Siedział na krześle i głaskał Beck’sa po głowie.

– Jestem Mia, przyjaciółka Heike i córka notariusza Molitora – wyjaśniła agentka, również kolejny raz. – Razem chodziłyśmy do szkoły w Kelkheim, a potem też razem studiowałyśmy. Dawniej często tu bywałam.

– Jest pani córką notariusza Molitora? To przecież niemożliwe. – Staruszek otaksował ją uważnym spojrzeniem. – Mia od notariusza to nastolatka, a pani... pani to raczej stare pudło.

Pia zacisnęła usta, żeby się nie zaśmiać, i telefonem zrobiła zdjęcie karteczki z numerami. Wybrała pierwszy z nich, do Heike. „Wybrany numer jest chwilowo niedostępny”, poinformowała ją automatyczna sekretarka. Kolejny był numer do

lekarza. Mężczyzna nie odbierał, więc Pia zostawiła mu nagraną wiadomość z prośbą o oddzwonienie. W końcu zadzwoniła do Christiana Krögera, szefa wydziału techniki kryminalistycznej komendy policji w Hofheim, a potem jeszcze do swojego współpracownika, Cema Altunaya. Obu potrzebowała na miejscu, by zbadać ślady krwi.

Pod posesję podjechała karetka i wysiadł z niej lekarz. Maria Hauschild zeszła na parter, by wskazać mu drogę. Kiedy Pia miała pewność, że staruszek jest bezpieczny pod opieką sanitariuszy, również udała się na parter, by wypytać agentkę Henninga o jej zaginioną przyjaciółkę. Znalazła ją na jednym z zardzewiałych krzeseł ogrodowych na tarasie. Kobieta siedziała zgarbiona, pobladła i była wyraźnie poruszona.

– Heike nawet słowem nie wspomniała, że zajmuje się ojcem – powiedziała głuchym głosem i opuszkami palców wskazujących przesunęła po skórze pod oczyma. Potem wyprostowała się i wstała. – Co to za przyjaźń, jak się takie rzeczy ukrywa, prawda?

Pia już wcześniej zadała sobie to samo pytanie.

– Chodźmy, lepiej będzie, jeśli poczekamy poza terenem posesji – powiedziała. – Wezwałam na miejsce techników kryminalistyki.

– Czyli myśli pani, że Heike coś się stało? – zapytała Maria Hauschild z troską i ruszyła schodami za Pią.

– No cóż, nie wykluczam takiej możliwości. – Policjantka wzruszyła ramionami. Wpuściła Beck'sa na podłogę przed fotelem pasażera. Zostawiła w swoim mini uchylony dach, żeby zwierzę się nie przegrzało. Potem napisała wiadomość do kolejnego ze współpracowników, Kaia Ostermanna, z prośbą o przeszukanie baz danych pod kątem zgłoszeń ujawnionych niedawno zwłok niezidentyfikowanych kobiet.

– No dobrze, to co mogłaby mi pani powiedzieć o swojej przyjaciółce? – Pia na początku chciała wykorzystać betonowy słupek ogrodzeniowy w charakterze biurka, lecz jej wzrok padł na pojemnik na odpady, stojący na chodniku przed dwustanowiskowym garażem. Kolanem przysunęła go do murka, podłożyła plecak na pokrywie i przygotowała notatnik i długopis.

– Pani używa jeszcze zwykłego papieru do robienia notatek? – Zaskoczona agentka uniosła brwi.

– Jestem dość staromodna. – Pia się uśmiechnęła.

– To bardzo sympatyczne. – Maria Hauschild spoważniała. Przez jej bladą twarz przemknął cień uśmiechu.

– Z jakiego powodu pani przyjaciółka straciła pracę? – zaczęła policjantka.

– Heike miała problem z nowym szefem. Przez dwadzieścia lat była odpowiedzialna za plan wydawniczy, ale półtora roku temu wszystko się zmieniło. Heike nie jest łatwym człowiekiem. Z powodu swojej bezpośredniości szybko zraża do siebie ludzi. Do tego jest impulsywna, kłótniwa i łatwo wygłasza raniące opinie. Często spierała się ze swoim szefem, aż w końcu cztery tygodnie temu wywalił ją z pracy. Z dnia na dzień! Bez okresu wypowiedzenia! Po trzydziestu latach w wydawnictwie. Zaraz podała go za to do sądu pracy i ma duże szanse na wygraną, bo wypowiedzenie miało jakieś wady formalne w związku z tym, że Heike należała do rady zakładowej.

– Żeby zwolnić kogoś z pracy bez okresu wypowiedzenia, trzeba mieć naprawdę dobry powód – zauważyła Pia.

– Zgaduję, że szef firmy dowiedział się, że Heike planuje założyć własne wydawnictwo i ściągnąć do niego swoich autorów i współpracowników z Winterscheid.

To rzeczywiście stanowiło wystarczający powód, by zwolnić ją z pracy.

– Kto wiedział o jej planach? – dopytywała się Pia.

– Na pewno ja. – Pani Hauschild zamyśliła się i zaczęła wyliczać: – Poza tym długoletni znajomy Heike i szef rady programowej wydawnictwa Alexander Roth. Poprzedni szef wydawnictwa Henri Winterscheid i jego żona. Prawdopodobnie również żona Alexandra, Paula Domski, z którą Heike wcześniej prowadziła program *Paula czyta*. No i oczywiście autorzy, których Heike widziałyby w swoim wydawnictwie. I ich agenci. Obawiam się, że krąg wtajemniczonych jest dość szeroki.

– Z kim, poza panią oczywiście, przyjaźni się pani Wersch? I z kim jest mocno związana zawodowo? – drążyła policjantka.

– Heike nie ma zbyt wielu przyjaciół. Ale jej następcę na stanowisku szefa rady programowej Alexandra Rotha na pewno można określić tym mianem – odparła Maria Hauschild. – I Josefin Lintner. Razem z mężem są właścicielami księgarni

w centrum handlowym Men-Taunus. Heike, Alexander, Josi i ja przyjaźnimy się od czasów szkolnych. Nawet razem studiowaliśmy.

Pia wszystko notowała.

– Josef Moosbrugger, znajomy agent literacki z Frankfurtu... jego również bez wahania wskazałabym jako przyjaciela Heike. Od lat razem organizują wakacyjne warsztaty dla ambitnych pisarzy i pisarek hobbystów i zapraszają ich do domu Moosbruggera w Toskanii, niedaleko Sieny. Przy czym...

– Przy czym co?

– Nie, nieważne.

Maria Hauschild dwoma palcami zaczęła masować nasadę nosa. Mimo opalenizny była bardzo blada, a na czoło wystąpiły jej krople potu. Niespodziewanie zrobiła się roztrzęsiona i zdenerwowana.

– Dobrze się pani czuje? Nic pani nie jest? – Pia skończyła notować ostatnie nazwiska, uniosła wzrok i dopiero wtedy zauważyła jej stan.

– Nie, wszystko dobrze, dziękuję. – Agentka wyjęła z torebki butelkę wody, odkręciła ją i upiła kilka łyków. – Nie mogę zrozumieć, dlaczego Heike nikomu nie powiedziała, że opiekuje się ojcem. Jesteśmy przecież przyjaciółkami, i to od zawsze!

Pia nie ciągnęła tego tematu. Nieraz już słyszała takie wyrzuty, zupełnie jakby bycie czyimś najlepszym przyjacielem miało stanowić gwarancję pełni zaufania i uczciwości! A jednak to właśnie ze strony tych tak zwanych przyjaciół często spotykała kogoś największa krzywda. Nierzadko zawiedzione zaufanie prowadziło wprost do szuflad chłodni w prosektorium w podziemiach Instytutu Medycyny Sądowej.

– Czy pani Wersch ma wrogów?

Zanim agentka otworzyła usta, żeby udzielić odpowiedzi, do Pii zadzwonił Kai Ostermann. Zgodnie z informacjami z baz danych policji, w całych Niemczech nie znaleziono w ciągu ostatnich trzech dni zwłok niezidentyfikowanej kobiety.

– Super, dzięki, Kai. – Policjantka szybko zakończyła rozmowę, bo już kolejna osoba próbowała się do niej dodzwonić. Numer należał do lekarza rodzinnego pana Werscha. Doktor Sniehotta potwierdził, że od dłuższego czasu zajmował się ojcem Heike. Pia opisała mu pokrótce sytuację staruszka i zapytała, czy ma kontakt do jakichś krewnych swojego pacjenta.

– O ile mi wiadomo, pan Wersch poza córką nie ma żadnej rodziny – odparł lekarz. – Jego żona zmarła wiele lat temu, a syn odszedł jeszcze jako dziecko. Przed dziesięcioma laty u pana Werscha zdiagnozowano chorobę Alzheimera, ale córka nie zgodziła się oddać go do domu opieki. Naprawdę wspaniale się nim zajmowała. Na czas wyjazdów służbowych umieszczala go u Świętej Elżbiety, w domu opieki krótkoterminowej dla osób starszych w Bad Soden.

Czy lekarz wiedział, że Heike Wersch przypinała ojca łańcuchem, kiedy wychodziła z domu?

– Znam kierowniczkę Świętej Elżbiety – ciągnął doktor Sniehotta. – Jeśli pani chce, mógłbym się z nią skontaktować i zapytać, czy nie znalazłoby się miejsce dla pana Werscha. Na wypadek, gdyby jego córce rzeczywiście coś się stało.

– To byłoby bardzo miłe z pana strony. – Pia podziękowała za informacje i zakończyła rozmowę. Lekarz z pogotowia zszedł na parter i otworzył bramę sanitariuszom, którzy nieśli za nim ojca pani Wersch na noszach. Po przeciwnej stronie ulicy stała para staruszków, kobieta i mężczyzna, który wspierał się na chodziku. Oboje przyglądali się z zainteresowaniem rozwojowi wydarzeń.

– Co mu jest? – Pia zwróciła się do lekarza z pogotowia, którego poznała wcześniej w podobnych okolicznościach.

– Jest odwodniony, ma niski cukier i jest zdezorientowany, ale poza tym wygląda stabilnie – odparł lekarz. – Najpierw weźmiemy go do szpitala. Ma jakichś krewnych, których moglibyśmy powiadomić?

– Chwilę temu skończyłam rozmawiać z jego lekarzem rodzinnym. – Pia wzruszyła ramionami. – Nic nie wie o żadnej rodzinie. – Podała mu swoją wizytówkę.

– Niech ktoś informuje mnie na bieżąco, postaram się ustalić, kto się nim zajmie.

Trzasnęły drzwi karetki i zaraz potem pojazd ruszył. Lekarz z pogotowia wsiadł do osobnego samochodu i również odjechał. Pia spojrzała na agentkę.

– Potrzebuje mnie pani tutaj do czegoś jeszcze? – zapytała Maria Hauschild.

– Nie, w tej chwili wszystko mamy załatwione – odparła Pia. – Dziękuję za informacje. Jeśli będę miała jakieś pytania, na pewno się skontaktuję.

– Dobrze. – Kobieta się zawahała. – Ja... chociaż nie, nic.

– O co chodzi?

– Pewnie nie może pani przekazywać żadnych informacji ludziom spoza rodziny, prawda?

– Generalnie tego nie robimy – potwierdziła policjantka. – Ale jeśli dowiem się czegokolwiek na temat miejsca przebywania pani Wersch, dam pani znać.

– Bardzo dziękuję. – Agentce wyraźnie ulżyło. – To bardzo miłe z pani strony. Mam wielką nadzieję, że Heike jest cała i zdrowa.

Pożegnała się, a Pia odprowadziła ją wzrokiem, patrząc, jak przechodzi przez ulicę i wsiada do białego smarta.

– Przepraszam panią – odezwał się mężczyzna z chodzikiem i przedstawił się grzecznie. – Jestem Klaus Wiedebusch, a to moja żona Gerda. Mieszkamy obok i jesteśmy sąsiadami Gernota Werscha i trochę się o niego martwimy. Czy mogłaby nam pani powiedzieć, co się dzieje i kim pani jest? I gdzie jest Heike?

– Pia Sander, policja, wydział terroru kryminalnego i zabójstw w Hofheim – przedstawiła się Pia. – Przyjaciółka Heike Wersch poinformowała nas, że od kilku dni nie może się z nią skontaktować.

Jak niemal każdy, kto nie ma na co dzień do czynienia z policją, również państwo Wiedebusch poczuli się bardzo nieswojo.

– Kiedy po raz ostatni widzieli państwo Heike? – zapytała Pia przyjaznym tonem.

Staruszkowie spojrzeli na siebie.

– Nie pamiętam dokładnie – odpowiedziała pani Wiedebusch niepewnie. – To mogła być sobota. Tak, to musiała być sobota. Gernot siedział na tarasie, my rozmawialiśmy z nim przez płot i wtedy dołączyła do nas Heike.

– Pan Wersch cierpi na alzheimera, prawda? – ciągnęła Pia.

– Tak, niestety – potwierdziła pani Wiedebusch. – Ale czasem ma lepsze dni i mnie rozpoznaje. Rozmawiamy wtedy o pogodzie albo o ogrodzie. Heike cudownie się nim zajmuje. Bez niej już dawno trafiłby do domu starców.

– Ja widziałem Heike jeszcze w poniedziałek po południu. Ktoś ją odwiedził, jakiś mężczyzna. Ale nie został długo – przypomniał sobie sąsiad. – Byłem wtedy przed domem, żeby ściąć przekwitłe malwy. Wieczorem miała przejść burza i chciałem mieć to z głowy. – Poklepał rączkę chodzika i się roześmiał. – Tego cuda potrzebuję na dłuższych odcinkach. W domu daję sobie radę bez niego, chociaż wszystko robię jakby w zwolnionym tempie.

– Jak wyglądał ten mężczyzna? – zainteresowała się Pia.

– Hm, miał szpakowate, kędzierzawe włosy do ramion i nosił okulary. Taki artysta, wie pani. Niemłody już – opowiadał sąsiad. Pia ponownie sięgnęła po notes i zapisywała jego słowa.

– Znamy Heike, od kiedy była małą dziewczynką – powiedziała pani Wiedebusch. – Wcześniej, kiedy jej matka jeszcze żyła, przychodziła do mnie na lekcje pianina.

– Co się stało jej matce?

– Och, to była straszna tragedia. – Niepewność wywołana obecnością policji całkowicie zniknęła, a starsze małżeństwo okazało się całkiem rozmowne. – Młodszy brat Heike, Daniel, zginął potrącony przez autobus. To się stało przed ratuszem, kiedy szedł do szkoły. Miał dopiero siedem lat. Gisela nigdy sobie z tym nie poradziła. Zaczęła pić i kilka lat później zmarła. To było około 1980 roku. Przez jakiś czas Gernot mieszkał sam, ale potem zaczął chorować i wtedy Heike się do niego sprowadziła.

– To znaczy, że nigdy nie wyszła za mąż? – Pia zajrzała do notatek. – Nie ma dzieci? Może są jacyś krewni?

Starsze małżeństwo wymieniło spojrzenia, po czym oboje pokręcili głowami.

– Zawsze powtarzaliśmy: Heike świetnie radzi sobie bez mężczyzn. Ona wyszła za swoją pracę. To wielka postać w świecie ksiązek – objaśnił pan Wiedebusch.

– Kiedy Gernot jeszcze jakoś sobie radził, często się nim opiekowaliśmy, jak Heike wyjeżdżała albo musiała zostać dłużej w pracy. W podziękowaniu zawsze dostawaliśmy coś do czytania. Czasem nawet z dedykacją od autora – dodała pani Wiedebusch z dumą. – Dopóki Heike pracowała w telewizji, co niedzielę oglądaliśmy *Paula Czyta*, ten program, który prowadziła i zapraszała autorów i ekspertów, żeby porozmawiać z nimi o książkach. Heike potrafi być wybitnie sarkastyczna! Jak odeszła, zrobiło się nudno.

Dopiero w tej chwili zaczęło do nich docierać, z kim rozmawiają.

– Czy Heike spotkało coś złego? – zapytał staruszek z troską. – Dla Gernota to byłaby prawdziwa katastrofa.

– Nie mam pojęcia – wyjaśniła Pia zgodnie z prawdą. – Ale nie mogę tego wykluczyć. W domu zastałam samego pana Werscha, zdeorientowanego i odwodnionego, dlatego musi trafić teraz na trochę do szpitala.

– Heike nigdy nie zostawia pojemników na śmieci na ulicy. – Pan Wiedebusch wskazał na kubek, na którym Pia położyła plecak. Stojąca obok staruszka skinieniem głowy potwierdziła słowa męża.

– No cóż. – Pia po raz trzeci tego przedpołudnia sięgnęła po wizytówkę i podała ją swoim rozmówcom. – Bardzo proszę o telefon, gdyby przypomnieli sobie państwo cokolwiek nietypowego, co miało miejsce w ciągu ostatnich trzech dni albo co wcześniej uznali państwo za nieważne.

– Oczywiście, zadzwonimy, jeśli coś nam przyjdzie do głowy – obiecało starsze małżeństwo. – Miejmy nadzieję, że Heike nic się nie stało i że lada chwila wróci cała i zdrowa.

– Też mam wielką nadzieję, że tak będzie – zapewniła ich Pia, choć instynkt podpowiadał jej, że to mało prawdopodobne. Z dotychczasowych relacji wyłaniał się obraz osoby trudnej w kontaktach z ludźmi, ale też bardzo odpowiedzialnej, która z miłością i oddaniem zajmowała się chorym ojcem. Ktoś taki jak ona nie wyjeżdżał ot tak, po prostu, na urlop i nie popełniał samobójstwa, nie dbając o zakończenie swoich spraw.

*

Od czasu niewiarygodnej metamorfozy, którą przeszedł cztery dni wcześniej, od biurka wstawał tylko po picie albo do ubikacji. Nie podnosił rolet, nie łądował telefonu, nawet nie jadł i nie spał. Stracił rachubę czasu; nie wiedział, czy to dzień, czy już noc, ale to nie miało znaczenia, bo w końcu znów mógł pisać. Od czterech dób siedział przy komputerze, jego palce skakały po klawiszach, a on pisał jak w transie. Po raz pierwszy w życiu czuł, że naprawdę żyje. Że jest człowiekiem. Mężczyzną. Czuł się jak ktoś, kto naprawdę ma coś do opowiedzenia, a nie jak oszust opisujący to, co mu się wydawało, że powinien czuć. Zawsze miał wrażenie, że jest jedynie pasywnym obserwatorem, kimś, kto bojaźliwie chowa się za kuchenną firanką i przygląda się, jak inni grają w grę zwaną życiem. Stąd takie właśnie były jego książki: nieporadne opisy z drugiej ręki. Z jakim mozołem szukał właściwych słów i sformułowań, jak nieskończenie długo męczył się z zawiłymi, czasem długimi na pół strony zdaniami, które ostatecznie i tak nigdy nie wyrażały tego, co rzeczywiście miał na myśli! A teraz? Jak cudownie lekko spływało wszystko z jego głowy do palców! Czuł uskrzydlenie, lekkość i szczęście, bo

uwolnił się z gorsetu, w który sam dał się wcisnąć. Jej strofujący głos umilkł na zawsze. Nigdy już nie będzie mogła zakazać mu korzystania z przymiotników! Nigdy już nie będzie okrawała jego postaci, którymi brzydził się po tych zabiegach, bo wydawały mu się pozbawionymi życia wycinankami!

Severin Velten nie mógł uwierzyć, jak kolosalna zmiana zaszła w nim w ciągu ostatnich kilku dni. Jego stare Ja, niepewne, ociągające się i przepelnione nienawiścią Ja wsiadło do samochodu, pojechało do niej, wysiadło przed jej domem i weszło na płot, i chyba właśnie tam musiało zostać – to stare, tchórzliwe i oderwane od życia Ja. Wyzwolił się ze starego Severina, jak wąż zrzucający wylinkę, a do jej domu podszedł już nowy Severin, i to on, pewny siebie i wściekły, zażądał od niej wyjaśnień. Jego nowe Ja, którego nie poznała, bo wygląd zewnętrzny dzieliło ze starym, słabym i tchórzliwym, nie dało się jej zakrzyczeć ani zastraszyć. Wiedział, że zrobił coś, za co pewnego dnia zostanie pociągnięty do odpowiedzialności, i wiedział, że nie będzie się wypierał, tylko po męsku i z dumą poniesie konsekwencje.

Jednak wcześniej chciał – nie, musiał! – dokończyć tę książkę i opowiedzieć historię, którą zakazała mu spisać, bo wydała jej się zbyt trywialna dla Severina Veltena. Ale on kochał tę opowieść, kochał jej bohaterów. Fizycznie odczuwał to samo, co oni. Cierpiał i kochał, i mordował wraz z nimi. Byli tak żywiłowo, brutalnie i totalnie prawdziwi, jak to, czego dokonał własnymi rękoma, a on nie wikłał się dłużej w skomplikowane, niemal niezrozumiałe zdania wielokrotnie złożone, tak bardzo uwielbiane przez jego krytyków. O nie, jego zdania były teraz krótkie i precyzyjne i nie pozostawiały miejsca na rozliczne interpretacje, tylko wyrażały dokładnie to, co chciał przekazać. W końcu to, co pisał, było prawdziwe. To był on sam. Może nawet powinien być jej wdzięczny za to, że go publicznie skompromitowała? Pewnego dnia jego błędy zostaną mu wybaczone i wszyscy zrozumieją, co i kto pchnął go do tego, by ukraść myśli i słowa innego autora. Jednak w tej chwili było mu to obojętne. Teraz liczyło się tylko to, że znów potrafił pisać, i to lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

*

Na budowie obok zapanowała cisza, a niedokończona bryła budynku sprawiała wrażenie wymarłej. Pia musiała czekać na przyjazd techników kryminalistyki,

więc żeby nie marnować czasu, wyjęła telefon i zaczęła szukać w internecie informacji na temat Heike Wersch. Ku jej zaskoczeniu, wyszukiwarka wypluła setki trafień, z których część donosiła o wydarzeniach sprzed kilku dni. Na samym początku Pia otworzyła dość skąpą notkę w Wikipedii, z której dowiedziała się, że zaginiona urodziła się w 1962 roku we Frankfurcie nad Menem, maturę zdała w gimnazjum Friedricha Schillera w Kelkheim, a następnie w Tübingen i Frankfurcie studiowała teorię literatury, germanistykę i anglistykę. Pracowała jako redaktorka w wydawnictwie Winterscheid, jako tłumaczka i krytyczka literacka, a od 2004 do 2016 razem z dziennikarką kulturalną Paulą Domski prowadziła cotygodniowy program literacki *Paula czyta*. Pia wróciła do wyszukiwarki i wybrała zakładkę „Grafika”, po czym otworzyła zdjęcie Heike Wersch, z lekko kpiącym uśmiechem pozującej na tle regału z książkami, i zrobiła zrzut ekranu; grzywa rudych loków, przykuwające wzrok czarne, prostokątne oprawki okularów i żarzący się papieros między palcami wydawały się jej znakami rozpoznawczymi. Pia przejrzała z zainteresowaniem podlinkowane artykuły o wiele mówiących tytułach, takich jak *Perły literatury rzucone przed wieprze mamony*, *Kombinatorzy w spadku*, czy wreszcie *Albowiem nie wie, co czyni*, i zorientowała się, że pani Wersch po zwolnieniu dyscyplinarnym nie wystarczyło pozwanie dawnego pracodawcy przed sądem pracy. Równolegle rozpoczęła ona kampanię publicznego prania brudów, wymierzoną osobiście w jej byłego szefa, Carla Winterscheida. Już pobieżna lektura wystarczyła, by dojść do wniosku, że zaginiona nie potrafiła gryźć się w język, więc musiała narobić sobie wielu wrogów.

Na ulicy niemal jednocześnie pojawiły się trzy granatowe furgonetki marki Volkswagen, którymi poruszali się technicy kryminalistyki, których zadaniem było ujawnianie i zabezpieczanie śladów. Zaraz za nimi zatrzymały się dwa radiowozy i jeden cywilny samochód z zasobów komendy, z którego wysiedli Cem Altunay, Tarik Omari i Kathrin Fachinger. W furgonetkach przybył na miejsce cały wydział techniki kryminalistycznej, włącznie z jego szefem, Christianem Krögerem. Pia zdjęła okulary, wsunęła telefon do kieszeni i wyszła im na powitanie.

– No i to jest godna reprezentacja – pokiwała głową. – Czy ten urodzaj może mieć coś wspólnego z kursami doszkalającymi?

– Rany, Pia, nie masz pojęcia, jakie to są okropne nudy! Nie do zniesienia po prostu! – poskarżył się Tarik Omari, najmłodszy członek zespołu K11, i przewrócił

oczyrna.

– Dzisiejszy wykładowca ma jakieś sto lat i sam zasypia, przemawiając – potaknęła Kathrin Fachinger. – Nie mam pojęcia, gdzie Engel znalazła taką żywą skamienielinę!

– Mamy szczerą nadzieję, że znajdziesz zajęcie dla nas wszystkich. Nieważne co, byle było. – Cem Altunay dopiero co wrócił z czterotygodniowego urlopu w Turcji. Z ciemną opalenizną i idealnie przystrzyżonymi włosami wyglądał bardziej na gwiazdora z Hollywood niż na policjanta z wydziału zabójstw.

– Obawiam się, że znajde. – Nawet jeśli początkowo myślała, że Maria Hauschild niepotrzebnie się martwi, teraz cała sytuacja jej samej wydawała się bardzo poważna. Często powody, dla których ktoś staje się mordercą, wydają się osobom postronny przerażająco banalne, jednak Pia przez dwadzieścia lat pracy w policji sporo przeżyła i wiele widziała, więc nie miała złudzeń, że ludzie są zdolni do wszystkiego. Zupełnie inaczej niż w filmach, w wypadku zabójstw wyjątkowo rzadko sprawcą jest człowiek w żaden sposób niezwiązany z ofiarą; w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach ofiara i sprawca się znają, a wiele morderstw i zabójstw popełnianych jest przez partnerów.

– Mieszkanka tego domu, Heike Wersch, od poniedziałku nie dała znaku życia. Przyjaciółka zaczęła się martwić, bo nie mogła się z nią w żaden sposób skontaktować, a dzisiaj rano zauważyła plamy krwi na drzwiach od strony kuchni. Zadzwoiła zaraz do Henninga, a on do mnie z prośbą, żebym się rozejrzała.

– Dlaczego skontaktowała się z lekarzem sądowym, zamiast wybrać numer na policję? – zainteresował się Tarik.

– Bo się dobrze znają – wyjaśniła Pia. – Ta przyjaciółka, Maria Hauschild, to przy okazji agentka Henninga. Na początku podejrzewałam, że pani Wersch gdzieś wyjechała, bo dopiero co straciła pracę, ale na ten moment wykluczam taką możliwość. Samobójstwo również nie wchodzi w rachubę, bo Beck's na piętrze domu trafił na jej chorego na demencję ojca. Zaginiona się ojcem opiekowała, przypinając go łańcuchem za nogę. Staruszek był odwodniony i niespokojny, ale trafił już pod opiekę lekarza i jest w drodze do szpitala.

– Jak ta kobieta się nazywała? Annie Wilkes? – zażartował Cem. – Annie Wilkers? Jak ta kobieta z filmu *Misery*?

– To nie jest zabawne, Altunay. – Kröger najchętniej przejmowałby każde miejsce zbrodni na wyłączność, zanim ktokolwiek zdąży coś poprzeszawiać albo zanieczyścić. Niezadowolony zmarszczył brwi. – Najpierw po całym domu biega mi pies, potem lekarz i sanitariusze, to jak ja mam tam zabezpieczyć jakiegokolwiek ślady?

– Heike Wersch? Czy to nie jest przypadkiem ta kobieta, która prowadziła niedzielny program o książkach? – zainteresowała się Kathrin Fachinger. – Puszczali to przed południem chyba? Taka przed sześćdziesiątką, ruda grzywa, loki i zachrypnięty głos palaczki?

– Ta sama – potwierdziła Pia. – Znalazłam jej zdjęcie w internecie i zrobiłam zrzut ekranu, zaraz je roześlę.

– Nie chcesz chyba nam wmówić, że w niedzielne przedpołudnie oglądasz programy o książkach? – zapytał Tarik Omari i z niedowierzaniem popatrzył na koleżankę. – Serio?

– A co w tym złego? – Kathrin Fachinger wzruszyła ramionami. – Dopóki ta cała Wersch była współprowadzącą, program był naprawdę ciekawy, tak samo jak kiedyś *Kwartet literacki* z Marcelem Reich-Ranickim. Kiedy odeszła, zrobił się nudny.

Tarik i Cem wymienili rozbawione spojrzenia.

– Głupki! – prychnęła Kathrin rozeźlona. – Tak trudno uwierzyć, że w niedzielę puszcza ją w telewizji cokolwiek poza piłką nożną i Formułą 1?

Kiedy Kröger i jego ludzie rozładowywali swój sprzęt i wkładali białe jednorazowe kombinezony, Pia poprosiła umundurowanych funkcjonariuszy z prewencji o niewpuszczanie osób postronnych w poblizsze działki. Doświadczenie mówiło jej, że wiadomość o pojawieniu się policji i techników błyskawicznie rozejdzie się po okolicy i lada chwila ściągną tutaj pierwsi gapie. Potem wróciła do swojego zespołu.

– Rozmawiałam już z państwem Wiedebusch, którzy mieszkają przez płot – wyjaśniła. – Wy zajmijcie się rozpytywaniem wśród wszystkich sąsiadów, nawet tych dalszych. Chcę wiedzieć, kiedy po raz ostatni widzieli Heike Wersch i czy miała z kimś na pieńku.

Po tym, jak wszyscy się rozeszli, Pia z Krögerem ruszyli w stronę domu. Policjantka pokazała otwarte drzwi kuchenne z plamami krwi i wyjaśniła,

dłaczego na ziemi leżą kawałki wybitej szyby. Jeśli w środku domu znajdowały się jakiegokolwiek ślady przemocy, Kröger i jego ludzie na pewno je znajdą.

*

Jasne światło wpadało przez wysokie okna i oświetlało sięgające sufitu przeszklone regały biblioteki na drugim piętrze siedziby firmy. Na półkach stały wszystkie książki, które zostały wydane przez wydawnictwo Winterscheid od chwili jego powstania w 1919 roku, a wiele spośród nich należało do najbardziej znaczących dzieł ówczesnej literatury niemieckiej. Z okazji dorocznego spotkania z przedstawicielami handlowymi stoły w pomieszczeniu zostały ustawione w podkowę. Julia podeszła do pulpitu od otwartej strony i przesunęła wzrokiem po twarzach przedstawicieli oraz współpracowników i współpracowniczek z działów handlowego i redakcji. Carl Winterscheid zajął miejsce z tyłu i skinął głową, żeby dodać jej otuchy. Julia ze zdziwieniem zauważyła, że wśród obecnych znalazły się Silvia Blanke, Christine Weil i Manja Hilgendorf. Trzy redaktorki, które przez całe lata ściśle współpracowały z Heike Wersch i zdecydowanie opowiadały się przeciwko nowej linii wydawnictwa, a teraz ze zbolalymi minami demonstrowały brak zainteresowania tytułami wpisanymi do wiosennego planu z działów rozrywka i literatura faktu. A Alexander Roth, redaktor prowadzący, ziewał, dyskretnie zakrywając usta dłonią, i spoglądał ukradkiem na zegarek. Czy już wiedział, że Heike Wersch zaginęła?

Julia starała się koncentrować na swojej prezentacji i nie myśleć o kłótni między Alexandrem Rothem a Heike Wersch, którą niechcący podsłuchiwała kilka miesięcy wcześniej. W trakcie ich burzliwej wymiany zdań poszło o to, że pani Wersch zamierzała założyć własne wydawnictwo i zabrać do niego ze sobą najważniejszych autorów literatury z Winterscheid oraz część współpracowników. Roth, który najwyraźniej początkowo popierał jej plany, zaczął się wahać, co sprawiło, że Heike wpadła w straszną wściekłość. Julia od początku była świadoma doniosłości informacji, które niechcący podsłuchiwała, lecz mimo to przez pewien czas nie wiedziała, jak zareagować. W końcu zwierzyła się Alei Schalk, asystentce zarządu i jedynej koleżance z firmy, z którą zdarzało jej się wyjść gdzieś w piątkowy wieczór. Alea z miejsca udała się do szefa wydawnictwa i zrelacjonowała mu, co usłyszała, nie zdradzając jednak źródła tych informacji. Następnego dnia Alexander Roth awansował na redaktora prowadzącego działu

literackiego, obejmując wakujące od roku stanowisko, które wcześniej przez dwadzieścia lat zajmowała Heike Wersch, obsadzona na nie jeszcze przez wujka Carla Winterscheida, Henriego. Ku przerażeniu Julii, ledwie trzy dni później w czasie cotygodniowego kolegium redakcyjnego Heike została zwolniona dyscyplinarnie z pracy, po tym, jak kilkakrotnie odezwała się niegrzecznie do Carla Winterscheida. Pod okiem kierownika musiała posprzątać swoje biuro i oddać klucze, co było aktem ostatecznego poniżenia i spowodowało, że jeszcze bardziej pogłębiły się różnice między i tak już podzielonymi pracownikami, a po korytarzach zaczęły krążyć najdziwsze plotki.

Heike Wersch nie miała skrupułów i bardzo szybko wystąpiła publicznie przeciwko wydawnictwu i osobiście przeciw Carlowi Winterscheidowi; w swojej zapalczowości nie zawahała się nawet przed poświęceniem swojego autora i ujawniła, że najnowszy bestseller Severina Veltena jest plagiatem. Wiadomość ta przebiła się na pierwsze strony gazet, bo prasa spragniona była takich skandali, tym bardziej że w końcu pojawiła się szansa, by dotrzeć do jakichś informacji na temat wewnętrznej sytuacji w wydawnictwie. Krążyły bowiem plotki, że od kiedy półtora roku wcześniej stery przejął Carl Winterscheid, panowała w nim bardzo niespokojna atmosfera. Szef wydawnictwa nie dał się namówić na żaden publiczny komentarz ani zajęcie stanowiska, mimo że wymierzone w niego ataki miały bardzo personalny charakter i były krzywdzące, a Heike Wersch mogła wygrać przed sądem pracy, do którego zaskarżyła swoje zwolnienie.

Julia czuła się trochę winna całej tej sytuacji, bo przecież gdyby trzymała buzię na kłódkę i nie wypaplała wszystkiego Alei, prawdopodobnie do niczego by nie doszło. Z drugiej strony – czy nie powinna być lojalna w stosunku do swojego pracodawcy? W stosunku do niego, a nie do jakiejś kobiety, która...

– Może pani zaczynać, pani Julio. – Dorothea Winterscheid-Fink, szefowa działu handlowego, którą wszyscy w wydawnictwie tytułowali „pani Wi-Fi”, przyjaźnie skinęła głową.

Julia nabrała głęboko powietrza, oczyściła głowę z myśli o technikach kryminalistyki i byłej żonie Henninga Kirchhoffa, którzy akurat przeszukiwali dom Heike Wersch, i rozpoczęła swoją prezentację.

– Z wielką radością chciałabym państwu przedstawić młodą i bardzo wyjątkową autorkę i jej najnowszą powieść – zaczęła z dużą pewnością siebie. – Jestem ogromnie dumna, że udało mi się pozyskać dla naszego wydawnictwa Shannon

Schwarz, jedno z największych objawień niemieckiego rynku self-publishingu. W ciągu trzech ostatnich lat Shannon wydała thriller ekonomiczny i dwie powieści kryminalne, a oprócz tego pierwsze tomy bardzo obiecującej serii z silnymi kobiecymi protagonistkami, przy czym każda z jej książek trafiała do zestawienia pięćdziesięciu najpopularniejszych e-booków. Młoda autorka jest bardzo aktywna w mediach społecznościowych, ma wielu fanów i tym samym mocną pozycję rynkową.

Udało jej się przekonać do siebie przedstawicieli handlowych, co sugerowały zadawane przez nich pytania i zadowolony uśmiech szefowej. Pozytywne emocje wywołał również projekt okładki *Lodowych sióstr*, jednak sam tytuł nie wzbudził zachwyty, a przedstawiciele handlowi określili go jako słaby i niewiele mówiący. W trakcie dyskusji, jaka wywiązała się po tej części prezentacji, nagle otworzyły się drzwi, do biblioteki wpadł siwy mężczyzna w jasnobłękitnym garniturze z bawełny seersucker i potoczył dookoła dzikim wzrokiem. Zaraz za nim próg przekroczyli Henri Winterscheid z żoną. Przedstawiciel handlowy, odpowiedzialny za kontakt z księgarniami w Nadrenii-Północnej Westfalii i Dolnej Saksonii, przerwał w pół zdania i razem z pozostałymi spojrzął zaskoczony w stronę drzwi. Siwy intruz z wykrzywioną z wściekłości twarzą ruszył w stronę Carla Winterscheida.

– Co ci strzeliło do łba, żeby spławiać mnie przez telefon, kiedy do ciebie dzwonię?! – krzyczał, nie panując nad sobą. – Na kolanach cię trzymałem i karmiłem, kiedy jeszcze robiłeś w pieluchę, a teraz ci się wydaje, że możesz wysłać tego adwokacine, żeby się mnie pozbyć?

Głos mu się załamywał i odbijał echem od pokrytej parkietem podłogi.

– Też mi miło pana powitać, panie Englisch – odparł uprzejmie Carl Winterscheid i wstał zza stołu. Dopiero w tym momencie Julia uświadomiła sobie, że wrzeszczący nieproszony gość to światowej sławy pisarz Hellmuth Englisch i laureat nagrody Georga Büchnera, który na żywo w niczym nie przypominał uśmiechniętego mężczyzny z portretu na klatce schodowej.

– Życzę sobie godnego odszkodowania za ten... za ten zasrany świstek! – Englisch, czerwony jak rak, pogardliwym gestem cisnął przed siebie jakąś kartkę. – Chcę, nie, ja żądam, żeby wydawnictwo wywiązało się z umowy!

Przerwał, żeby nabrać powietrza.

– Hellmuth, proszę, nie denerwuj się tak strasznie! – Alexander Roth poderwał się z krzesła i rozkładając szeroko ramiona, ruszył w kierunku starego pisarza; ten jednak odepchnął go zniecierpliwiony.

– A ty czego tu szukasz, co? – syknął Englisch jadowicie. – Jesteś tylko pionkiem pozbawionym jaj, bo gdybyś je miał, nigdy byś nie dopuścił, żeby ten tutaj... ten ignorant traktował mnie jak ostatniego śmiecia!

Słyszając taką tyradę pod swoim adresem, redaktor prowadzący poczerwieniał.

– Skupmy się na tym, po co tu przyszliśmy – rozległ się głęboki bas Henriego Winterscheida, kontrastujący mocno z rozedrganym falsetem Hellmutha Englischa. – Carl, Hellmuth zasłużył chyba, żebyś osobiście z nim porozmawiał, a nie krył się za plecami swojej sekretarki, nie sądzisz?

Julia nigdy jeszcze nie spotkała osobiście poprzednika i krewnego Carla Winterscheida. Jego twarz знаła jedynie ze zdjęć, a z opowieści starych pracowników wydawnictwa wyłaniała się postać przypominająca wcielenie Boga. Dawniej, w kwiecie wieku, musiał naprawdę robić wrażenie: wysoki, z gęstymi, przyprószonymi siwizną włosami, ostrymi rysami twarzy, żywym spojrzeniem i orlim nosem, który nadawał mu arystokratyczny wygląd. Obecnie, wsparty ciężko na lasce, wyglądał krucho i delikatnie, lecz mimo upałów nie pozwolił sobie na dobór mniej oficjalnej garderoby: ubrał się bowiem w szary garnitur, białą koszulę, krawat i wypolerowane na połysk buty.

– Wypowiedzenie współpracy autorowi formatu Hellmutha Englischa, i to w dodatku w taki sposób, to ogromny wstyd! To świadectwo braku klasy! – zawołał patetycznie, a jego żona z lodowatym uśmiechem zaciśniętych ust przytakiwała każdemu słowu.

– To nie jest najlepsza okazja na roztrząsanie tego tematu, tato – wtrąciła się Dorothea Winterscheid-Fink, nie kryjąc irytacji. – Jesteśmy w połowie...

– Pozwól, że sam będę decydował, która okazja jest najlepsza, Dorotheo! – zganił ją były szef wydawnictwa. Kobieta otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć, ale ubiegł ją Carl Winterscheid.

– Masz święte prawo do wyrażania swojego niezadowolenia, Henri – zapewnił go. – Koniec końców, jeszcze jesteś udziałowcem tego wydawnictwa.

– Jeszcze? Co to ma niby znaczyć? – zdenerwowała się pani Wi-Fi, ale Carl zignorował protest kuzynki. Kiedy znów się odezwał, mówił uprzedzająco

uprzejmym tonem i w pełni kontrolował mimikę twarzy. Dokładnie w ten sam sposób wypowiadał się podczas pamiętnego kolegium, kiedy wyrzucił z pracy Heike Wersch.

– Nie powinieneś zapominać, że przez ostatnie osiemnaście miesięcy udało mi się wyciągnąć z kłopotów wydawnictwo Winterscheid, które ty niemal wpędziłeś w bankructwo – zwrócił się do wuja.

– Nikt nie wpędził wydawnictwa w bankructwo! – Staruszek prychnął pogardliwie.

– Nie tylko udało nam się utrzymać wszystkie miejsca pracy, ale nawet stworzyć nowe. Co więcej, byliśmy w stanie wypłacić autorom tantiemy, co w przeszłości bez pomocy z zewnątrz nie było takie oczywiste – ciągnął Carl Winterscheid niewzruszonym tonem. – Dobre książki to w moim przekonaniu te, które ludzie chcą czytać i które się sprzedają, a nie te chwalone przez krytyków i recenzentów, które potem kurzą się na półkach, bo nikt po nie sięga. Jak myślisz, ile z tysiąca tytułów oferowanych przez wydawnictwo sprzedało się w 2017 roku w nakładzie przekraczającym dwa tysiące egzemplarzy? No, Henri? Ile? Podam ci ich dokładną liczbę. Osiem. I to tylko dlatego, że znajdują się na liście obowiązkowych lektur szkolnych.

– Co za głupie gadanie! – żołądkował się Henri Winterscheid.

– Na nową książkę pana Englischa czekamy już siedem lat, i przez ten czas regularnie wypłacamy kolejne raty zaliczki! W wysokości, która, nawiasem mówiąc, nigdy się nie zwróci ze sprzedaży! Na taki luksus mogą sobie pozwalać jedynie wydawnictwa w świetnej kondycji finansowej. Moja strategia polega na tym, by dzięki sukcesom komercyjnych tytułów wydawać również książki, które tak lubisz określać jako „dobrą literaturę”, wujku Henri. Ale żeby to było możliwe, musimy uporządkować sytuację i pozbyć się balastu.

Na twarzy Hellmutha Englischa przysłuchującego się tej wymianie ciosów widać było drgające nerwowo mięśnie. Teraz jednak nie wytrzymał.

– Chcesz przez to powiedzieć, że moje dzieła to dla ciebie balast? – oburzył się i wyciągnął w stronę Carla Winterscheida groźnie zaciśniętą pięść. – Co ty sobie w ogóle wyobrażasz, ty nadęty smarkaczu? Ciebie jeszcze nie było na świecie, kiedy mnie typowano do literackiego Nobla!

– Dlatego też jesteśmy bardzo dumni z faktu wydawania książek tak znanej osoby, jak Hellmuth Englisch – odparł Carl Winterscheid. Wszystkie obelgi i pretensje starego pisarza spływały po nim jak woda po kaczcze. – Jednak podjęliśmy decyzję, że żaden tytuł, który w ostatnich latach przynajmniej się nie zwrócił, nie będzie dłużej oferowany w formie papierowej, tylko jako e-book. Niezależnie od tego, czyje nazwisko widnieje na okładce.

– Jeszcze tego pożałujesz! – zagotował się Hellmuth Englisch. – Moje nazwisko to w literackim świecie waga ciężka! Przyjdzie taki dzień, że będziesz błagał mnie o powrót do Winterscheid. Ale mowy nie ma! Nigdy! Klamka zapadła!

Dopiero kiedy skończył mówić, zorientował się, że przerwał spotkanie z przedstawicielami handlowymi. Nerwowo mrużąc oczy, spojrzął na tablice, na których prezentowane były projekty okładek książek z wiosennego planu. W końcu zerwał jeden z plakatów i z niezrozumiałym, oburzonym bulgotem zmiął go w kulkę.

– Co to w ogóle za śmieci? – wysyczał jadownicę, aż ślina strzykała mu pomiędzy zębów. Odwrócił się, spojrzął ze złością na swojego byłego wydawcę i rozłożył szeroko ramiona. – Romanse? Kryminały? Co za upadek! Henri, jak mogłeś do tego dopuścić? Moje nazwisko ma być wymieniane w jednym szeregu z tymi... z tymi... grafomankami i... pensjonarkami?

Julia rozejrzała się z niedowierzaniem; pozostali z zażenowaniem odwracali głowy. Nawet szef wydawnictwa i szefowa działu sprzedaży nie protestowali, kiedy ten oszalały człowieczyna w pogniecionym garniturze krytykował kilka miesięcy jej ciężkiej pracy i poniżał jej autorów! Jej rozczarowanie szybko ustąpiło miejsca oburzeniu, a potem zagotowała się z wściekłości i eksplodowała. Jeśli Julia czegoś szczerze nienawidziła, to na pewno niesprawiedliwości i arogancji, nawet jeśli prezentował je kandydat do Nagrody Nobla. Zdecydowanym krokiem wyszła z za pulpitu.

– Kto dał panu prawo, aby w taki sposób obrażać moich autorów, autorki i ich książki? – zaatakowała staruszka, wydarła mu z rąk zgnieciony plakat i zaczęła go rozprostowywać. – Nie ma pan żadnych podstaw, żeby w ten sposób poniżać młodych autorów, którzy napisali fantastyczne książki!

W przestronnej bibliotece zapanowała taka cisza, że byłoby słychać przelatującą muchę. Kompletnie zdezorientowany Hellmuth Englisch spojrzął na nią wodnistymi oczyma.

– Co... co to w ogóle za babsztyl? – wydukał. – Wiesz, do kogo mówisz?

– O tak, wiem, i to bardzo dobrze, kim pan jest, panie Englisch! – Julia oparła dłonie na biodrach. – I wiem też, że powinien się pan wstydzić! Jestem oburzona pana podłym zachowaniem. Bez słowa wyjaśnienia czy przeprosin przerywa pan moją prezentację przygotowaną dla przedstawicieli handlowych, ciska się pan po bibliotece jak Rumpelsztyk i robi pan z siebie błazna! Wydaje się panu, że te wrzaski na kimkolwiek zrobiły wrażenie?

Starzec pobladł gwałtownie, by chwilę później oblać się szkarłatnym rumieńcem. Julia miała wrażenie, że przez ułamek sekundy w jego spojrzeniu widziała coś na kształt szacunku, lecz zaraz potem mężczyzna odwrócił się bez słowa i szybkim krokiem wyszedł z biblioteki; Silvia Blanke i Manja Hilgendorf ruszyły za nim jak dwie przestraszone kury, a na koniec pomieszczenie opuścili Henri i Margarethe Winterscheid. Zagrożenie minęło. Ledwie zamknęły się za nimi drzwi, wszyscy przebudzili się z ośupiałego letargu i zaczęli mówić jedno przez drugie. Julia zauważyła, że Alexander Roth jest blady, siedzi jeszcze bardziej zgarbiony niż zazwyczaj i niewidzącym wzrokiem patrzy gdzieś w dal. Energicznym ruchem odrzuciła warkocz na plecy i wróciła za pulpit. Jej wzrok zatrzymał się na Carlu Winterscheidzie, który z założonymi na piersi ramionami stał oparty o blat stołu i mierzył ją niezgłębionym spojrzeniem lodowatobłękitnych oczu z taką intensywnością, że poczuła ucisk w żołądku. Nie wiedziała, czy będzie chciał ją z miejsca wyrzucić z pracy, czy może da jej naganę.

– Proszę o spokój! – zawołała Dorothea Winterscheid-Fink, odkaszlnęła i zmusiła się do uśmiechu. – Bardzo wszystkich przepraszam za niedogodności. Pani Julio, proszę mówić dalej.

Więzy rodzinne, przemknęło Julii przez głowę. Nie po raz pierwszy w życiu cieszyła się skrycie, że jej rodzice nie oczekiwali, by została w rodzinnej wiosce i przejęła firmę ogrodniczą.

*

Technicy kryminalistyki pracowali wewnątrz domu, a pracownicy K11 rozeszli się po sąsiadach, dlatego Pia uznała, że to dobry czas, by wrócić do siebie i szybko się przebrać. Wszystko wskazywało na to, że czeka ją długi dzień, a nie miała ochoty narażać się na reprimendę od szefowej, która niechybnie skomentowałaby jej

poprzecierane dzinsy i stare buty sportowe, swobodny strój w czasie porannych spacerów z psem. Od kiedy obie drżały o bezpieczeństwo siostry Pii – Kim, a potem w dramatycznym pościgu dopadły seryjnego mordercę, stosunki między nimi zmieniły się diametralnie – można je było określić wręcz jako przyjacielskie. Dyrektor Engel, która wcześniej pilnowała formalnego dystansu, zaproponowała jej nawet przejście na „ty” – dlatego właśnie Pia nie chciała niepotrzebnie prowokować szefowej, która przykładła dużą wagę do stroju odpowiedniego w miejscu pracy.

Na chodniku po przeciwnej stronie zebrali się nieodłączni w takich sytuacjach gapie. Umundurowani policjanci z prewencji zajęli pozycje wzdłuż działki pani Wersch, żeby uniemożliwić wejście osobom postronnym. Wieść o możliwym przestępstwie rozchodziła się w spokojnej okolicy z prędkością światła i przyciągała ciekawskich, jak kawałek ciasta przyciąga osy. W nieco dalej oddalonym bloku po drugiej stronie drogi głodni sensacji mieszkańcy wylegli na balkony i pootwierali okna, by nagrywać telefonami sceny poniżej, choć w rzeczywistości nie działo się nic wartego uwiecznienia. Niektórzy wychylali się nad parapetami i przez lornetki usiłowali dojrzeć jakieś mrozące krew w żyłach szczegóły. Fascynacja okropieństwami i zbrodniami towarzyszy ludzkości od zarania dziejów. W średniowieczu gawiedź tłoczyła się tłumnie wokół stosów i szubienic, dziś wielu zaczytuje się w ociekających krwią kryminałach czy ogląda przerażająco brutalne horrory.

Pia wróciła na miejsce po około czterdziestu pięciu minutach. Zdążyła w tym czasie wziąć prysznic, przebrać się i nawet nałożyć przyzwoity makijaż. Ponieważ w samochodzie panowała zbyt wysoka temperatura dla psa, zapięła Beck'sa i przeszła na drugą stronę ulicy. Zwierzę zaczęło obwąchiwać pojemnik na śmieci. Pia złapała za uchwyt i wciągnęła kubeł na posesję, by odstawić go obok garażu, między niebieskim i brązowym pojemnikiem. Beck's szarpał smyczą i piszczał.

– Pia! – zawołał Tarik, idąc w jej stronę. – Dowiedziałem się kilku interesujących rzeczy. Otóż pani Wersch udało się wywalczyć nakaz wstrzymania prac na budowie obok i od tamtego czasu sprawa toczy się przed sądem. Poszło o przekroczenie dopuszczalnej powierzchni zabudowy w stosunku do powierzchni działki oraz o planowany montaż pompy ciepła z wymiennikiem gruntowym.

– Poważnie? Przecież przez całe przedpołudnie prace trwały tam w najlepsze – zdziwiła się Pia. – Jeszcze półtorej godziny temu było słychać wycie pił do drewna.

– Tylko że to nie byli robotnicy – wyjaśnił Tarik. – Wyobraź sobie, że inwestor płaci ludziom za to, żeby przychodzili robić hałas, bo to wkurza panią Wersch.

– Mogę się założyć, że wiesz, jak się ten gość nazywa, co? – Pia szarpnęła mocno smyczą. – Cholera, Beck’s! Przestań się szarpać, bo wrócisz do samochodu!

– No pewnie. Zrobiłem zdjęcia tablicy informacyjnej budowy. – Tarik wyjął z kieszeni telefon i odszukał fotografię. – Proszę: inwestorem jest niejaki Marcel Jahn, zamieszkały w Bad Soden. W niedzielę po południu państwo Jahn i pani Wersch wdali się w głośną kłótnię, nie po raz pierwszy zresztą. Wiem to od sąsiadki mieszkającej po drugiej stronie budowy. Obrzucali się przy tym takimi epitetami, że kobieta musiała interweniować, bo wszystkiemu przysłuchiwały się jej dzieci. W odpowiedzi żona inwestora jeszcze ją zwymyślała.

Beck’s skakał na Pię i dyszał.

– Co mu jest? – zapytał Tarik. – Normalnie tak się nie zachowuje.

– Nie mam pojęcia, co w niego wstąpiło. – Pia z trudem utrzymywała psa na smyczy. Gdzieś niedaleko rozległ się charakterystyczny bulgot silnika porsche 911.

– Szef przyjechał! – zdziwił się Tarik. – Co tu robi?

Bodenstein podjechał czarnym bolidem, który na co dzień starannie skrywał przed oczyma współpracowników, zaparkował za pomarańczowym mini Pii i wysiadł. Mimo że do mistrzostwa opanował skrywanie swoich uczuć pod maską neutralnego wyrazu twarzy, a tego dnia na dodatek założył okulary przeciwsłoneczne, Pia od razu zauważyła, że coś jest nie tak. Emanował przygnębieniem znacznie głębszym niż ktoś, kto ma po prostu zły dzień; czuła, że to coś znacznie poważniejszego. W ciągu ostatnich miesięcy Bodenstein stracił ponad dziesięć kilogramów, a w jego ciemnych, gęstych włosach pojawiało się coraz więcej siwych pasemek. Przez całe lata Pia była świadkiem, jak ten troskliwy człowiek, ucieleśnienie uczciwości i lojalności, pada ofiarą problemów niszczących jego życie osobiste. Bodenstein miał bowiem autodestrukcyjną słabość do określonego typu kobiet: skupionych na celu socjopatek, bez skrupułów wykorzystujących jego dobroduszość i opiekuńczość. Po Nicoli Engel, Cosimie von Bodenstein, Annice Sommerfeld i Ince Hansen nastąpiła Karoline Albrecht, w której Oliver miał pecha zakochać się sześć lat wcześniej, w trakcie pewnego

dochodzenia, mimo że na pierwszy rzut oka widać było ciężki bagaż problemów, jakie z sobą nosiła – równie poważnych, co nierozwiązywalnych. I w dodatku, jakby w życiu prywatnym Bodensteina mało było trosk, kilka miesięcy temu u Cosimy zdiagnozowano raka. Szef nigdy o tym nie mówił, ale Pia wiedziała, jak mocno emocjonalnie jest związany z matką swoich dzieci. Od zakończonego lata temu romansu Cosima żyła w samotności, więc Bodenstein, najlepiej jak potrafił, się nią opiekował. Do tego czuł się zobowiązany, by godzić troskę o byłą żonę z wychowywaniem ich dwunastoletniej córki, atakami zazdrości obecnej żony i wybuchami złości jej nieźrównoważonej córki. Każda inna osoba na jego miejscu już dawno by się poddała, jednak on, hołdujący etosowi swojego arystokratycznego pochodzenia, wybrał heroiczne poświęcenie.

– Cześć, szefie – przywitała go Pia. – Myślałam, że masz dzisiaj wolne?

– Bo miałem – potaknął Bodenstein. – Ale doktor Engel poprosiła mnie, żebym podjechał i sprawdził, czy sytuacja tutaj uzasadnia obecność dwunastu osób. Przy okazji, szkolenie zostało przesunięte, a nie odwołane.

– A niech to szlag! – zmartwił się Tarik.

– Dobra, chodźmy sprawdzić, jak technicy stoją z robotą. – Pia chciała ruszyć, ale Beck's zaparł się wszystkimi czterema łapami o ziemię i nie pozwolił jej odejść. Dopiero wtedy zaświtało jej, o co może mu chodzić. Kiedy popuściła smycz, Beck's doskoczył do pojemnika na śmieci, powąchał go i zaczął szczeleć. Pia się nachyliła. Na widok brązoworudych plam na plastikowej ścianie i narożniku czarnego kontenera wzrosło jej tętno.

– Spójrzcie tylko – zwróciła się do Bodensteina i Tarika, zmuszając się do zachowania spokoju. – Myślicie, że to może być krew?

Bodenstein zdjął okulary przeciwsłoneczne. Pia od razu zauważyła fioletowe cienie pod jego oczyma. Obaj mężczyźni przyjrzeni się plamom na plastiku i potaknęli.

– Tarik, skocz proszę po Krögera – polecił Bodenstein. – Niech weźmie ze sobą szybki test na obecność ludzkiej krwi.

– Już lecę. – Omari ruszył w stronę domu, a Pia w tym czasie chwaliła wylewnie psa, nagradzając go za czujność ulubionymi smakołykami.

– U ciebie wszystko w porządku? – zapytała szefa naturalnym tonem.

– Niezupełnie.

– Z Cosimą coś nie tak? Gorzej się czuje?

– Nie. Zważywszy na okoliczności, jest w całkiem niezłym stanie.

Bodenstein nie należał do osób obnoszących się ze swoimi uczuciami. Pod tym względem nie różnili się z Pia, choć w innych kwestiach byli niczym ogień i woda. Policjantka wiedziała, że nie ma sensu zmuszać go do mówienia, bo jeśli sam nie będzie chciał, to i tak nic nie powie.

– Wyprowadzam się od Karoline – oznajmił w końcu.

Ku zaskoczeniu Pii, jego słowa wywołały w niej falę ulgi. Niewiele brakowało, a westchnęłaby i powiedziała „w końcu”, jednak na szczęście w porę ugryzła się w język.

– Przykro mi – powiedziała, siląc się na neutralność.

– Niepotrzebnie. Już dawno powinienem był to zrobić – odparł Bodenstein. – Dobra, to słucham, co tu się dzieje?

Pia wdrożyła szybko szefa w szczegóły sprawy i przedstawiła dotychczasowe ustalenia na temat zaginionej, oraz uzasadniła, dlaczego nie sądzi, by Heike Wersch wyjechała gdzieś albo odebrała sobie życie.

– Czekaj, jak ona się nazywała? I gdzie pracowała? – zainteresował się Bodenstein.

– Czysty przypadek, że w tym samym wydawnictwie, w którym ukazują się książki Henninga – odparła Pia. – Czyli Winterscheid.

– No proszę, to dlatego nazwisko od razu wydało mi się dziwnie znajome. – Policjant zmarszczył czoło. – O ile mnie pamięć nie myli, jakieś dwa albo trzy tygodnie temu wywołała spory skandal, prawda?

– Tak jest, przed chwilą czytałam o tym w internecie. – Pia potaknęła. – Po zwolnieniu nie przestawała krytykować byłego pracodawcy, ba, nie zostawiła na nim suchej nitki i publicznie wywlekała wszystkie brudy, o jakich wiedziała.

– To też, ale nie tylko. Przede wszystkim poszło o Severina Veltena, którego zdemaskowała jako plagiatora i zniszczyła mu reputację, a przy okazji mocno zaszkodziła całemu wydawnictwu – mówił Bodenstein. – Velten to jeden z najważniejszych współczesnych autorów, a jego książki obsypano chyba wszystkimi dostępnymi nagrodami literackimi, więc jej oświadczenie wywołało medialne trzęsienie ziemi. Jego ostatnia powieść, *Jednonogi żuraw*, ukazała się

wiosną tego roku i przez całe tygodnie okupowała pierwsze miejsca zestawień bestsellerów.

– *Jednonogi żuraw?* – Pia pokręciła głową. – Komu przychodzą do głowy takie pokręcone tytuły?

– Pikanterii temu skandalowi dodaje fakt, że Veltena miała zdradzić jego własna redaktorka i przy okazji długoletnia redaktorka prowadząca wydawnictwa, która dopiero co została zwolniona dyscyplinarnie z pracy – referował Oliver. – Okazało się, że Velten bez skrupowania zżynał od jakiegoś innego autora. I to nie kilka zdań, ale całą fabułę. Teraz oczywiście podejrzenie padło na wszystkie książki, które wydał, że też są plagiatami, a Winterscheid, bardzo zasłużone i renomowane wydawnictwo bądź co bądź, musi się gęsto tłumaczyć.

Pia lubiła czytać i jeśli miała choć trochę wolnego czasu, najchętniej sięgała po kryminały, jednak nigdy nie zastanawiała się, skąd się biorą książki, które zapełniają potem regały w księgarniach, a słowo „agent” kojarzyła raczej ze szpiegami i Jamesem Bondem niż z osobą dostarczającą do wydawnictw propozycje od autorów. Dopiero od czasu kiedy Henning zaczął pisać, zyskała podstawowe rozeznanie w świecie wydawniczym.

– Czyli ten pisarzyna będzie pałał żądzą mordy na samą myśl o naszej zaginionej – wywnioskowała Pia z opowieści szefa. Ściągnęła gumkę z kucyka, bezpretensjonalnym gestem przeczesła palcami sięgające ramion włosy, po czym zwinęła je w prosty węzeł. Bodenstein odruchowo pomyślał o tym, ile czasu jego żona spędza rano w łazience, zanim uzna, że fryzura, garderoba i makijaż spełniają jej oczekiwania.

– Koniecznie musimy z nim porozmawiać – potwierdził. – Tak samo jak z szefostwem wydawnictwa, w którym wcześniej pracowała.

Po chwili wrócił Tarik, a wraz z nim pojawił się Christian Kröger w białym kombinezonie.

– Co takiego ważnego macie, żeby odrywać mnie od pracy? – zapytał poirytowany. – O, cześć Oliver. Od dawna tu jesteś?

– Nie, dopiero przyjechałem – pokręcił głową Bodenstein. – Szefowa chce wiedzieć, czy uzasadnione są takie nakłady siły roboczej.

– Zdecydowanie uzasadnione, stary! Ba, za mało nas tu jeszcze! – zapewnił go Kröger.

Pia wskazała głową na kubek na odpady, na którym było widać rudawe plamy.

– To jest krew – stwierdził mężczyzna po krótkiej analizie śladów. Rozerwał torebkę zawierającą zestaw do szybkich testów, potarł wacikiem plamę na plastiku, wsunął go do próbki z odczynnikiem, potrząsnął kilka razy energicznie, a kiedy uznał, że już czas, kilka kropel roztworu umieścił w otworze na plastikowej obudowie testu i odłożył go na klapie brązowego pojemnika na makulaturę.

– Tak przy okazji – zaczął, czekając na wyniki testu. – W kuchni musiała mieć miejsce prawdziwa jatka. Jakiś skończony dyletant próbował to posprzątać, ale najwyraźniej nie miał pojęcia, że jeśli chce się skutecznie usunąć ślady krwi, konieczne jest użycie wybielacza na bazie chloru. Na dodatek ten ktoś przeoczył kilka rozbryzgów krwi na szafkach.

– Pamiętacie taki przypadek sprzed kilku lat, jak jeden typek udusił swoją partnerkę, a potem wcisnął jej zwłoki do pojemnika na śmieci? – zapytała Pia.

– Tak – potaknął Bodenstein. – Cztery lata temu dokładnie, we Frankfurcie.

– Nasi musieli prawie sześć tygodni czekać, aż ostygnie popiół i żużel ze spalarni odpadów, który tymczasem trafił na składowisko w Wicker, żeby w ogóle można było zbadać jego zawartość – ciągnął Kröger. – Ale opłaciło się, bo ostatecznie trafili na kawałki kości ofiary.

– Tarik. – Pia spojrzała na kolegę. – Dowiedz się, proszę, kiedy ostatnio odbierano odpady zmieszane z tej ulicy.

– Pewnie, już lecę.

Kröger spojrzał na próbnik testu.

– Dwie czerwone linie. – Przeniósł wzrok na Pię i Bodensteina. – Bez najmniejszych wątpliwości to ludzka krew.

– To mamy przynajmniej pewność. Sprawdzaliście już samochód w garażu? – zapytała policjantka.

– Spokojnie, wszystko po kolei. – Kröger skrzywił się z dezaprobatą i zanim otworzył bramę podwójnego garażu, polecił jednemu ze swoich ludzi przynieść kluczyki do czarnego bmw, które zauważył w kuchni na wieszaku na klucze. Bodenstein i Pia stanęli w wejściu i przyglądali się, jak obchodzi samochód i przygląda mu się uważnie ze wszystkich stron.

– Z bagażnika coś kapie – stwierdziła Pia i zaraz pomyślała o najgorszym. Przez szybę zajrzała do wnętrza samochodu, ale nie dostrzegła w nim niczego niepokojącego. Po chwili wrócił technik z kluczykami i pilotem odblokował centralny zamek. Po otwarciu drzwi wszyscy poczuli smród rozkładu zmieszany ze słabą wonią starego dymu z papierosów.

– No dobrze, w takim razie zajrzyjmy, co tu się skrywa. – Kröger stanął przy bagażniku. – Cokolwiek to jest, nie ma przyjemnego zapachu.

Uniósł klapę bagażnika. Bodenstein i Pia nachylili się odruchowo i zaraz odskoczyli, bo z wnętrza uniosła się chmara much.

*

Prezentację trzech pierwszych książek pracownicy wydawnictwa i przedstawiciele handlowi nagrodzili gromkim aplauzem. Swoją ulubioną tytuł Julia zachowała jednak na popołudnie. Dla pełnego czarnego humoru kryminału będącego jednocześnie swoistym poradnikiem wymyśliła specjalną niespodziankę: w czasie prezentacji miał pojawić się autor i osobiście odczytać kilka stron ze swojej książki. O jej pomysły wiedziała jedynie szefowa działu sprzedaży oraz recepcjonista, którego zadaniem było przesmugłowanie Torstena Bussego do biblioteki. I choć na początku bardzo się na to cieszyła, po niespodziewanej scenie zrobionej przez Hellmutha Englischa jej euforia mocno przygasła. Poczowała wibrowanie telefonu. Wiadomość od Karli. Koleżanka z działu beletrystyki napisała: „Super dałaś radę, Juli”, a na koniec dodała ikonkę z uniesionym kciukiem. Powoli docierały do niej kolejne gratulacje, pisane ukradkiem pod stołami. Dało się z nich wyczytać uznanie i zachwyt, jednak każdy wolał składać je w tajemnicy. Wiele rzeczy w tym wydawnictwie odbywało się w podobnie niejawnym sposób i to sprawiało, że Julia czuła się nieswojo. Poza tym była zła na pozostałych. Wściekła wręcz i jednocześnie rozczarowana, bo wcześniej nikomu nie starczyło odwagi, żeby stanąć w obronie swoich autorów. Wszyscy siedzieli cicho jak myszki, zamiast głośno protestować przeciwko temu, że jakiś starzec z przerostem ego postanowił wykorzystać ich jako publiczność do swoich celów. W wydawnictwie, w którym wcześniej pracowała, również nie wszystko odbywało się tak, jak powinno; w dość krótkim czasie przez fotel szefa przewinęły się trzy osoby, a każda z nich oznaczała kolejne zmiany, brak poczucia stabilności

i bezustanne spory kompetencyjne. Jednak po kilku tygodniach w końcu zapanował tam spokój i można było wrócić do codziennej rutyny. Tutaj było inaczej. Nikt nie grał w otwarte karty, a zatrudnieni w wydawnictwie podzielili się na dwa obozy. Po jednej stronie znaleźli się starsi pracownicy i pracownice, którzy na zachodzące w Winterscheid zmiany spoglądali krytycznym wzrokiem lub wręcz je kontestowali. W drugim obozie zebrała się młodsza część zespołu, głównie ci, którzy jak na przykład Julia, w wydawnictwie zostali zatrudnieni już przez Carla Winterscheida w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy. Wprawdzie wszyscy zachowywali się w stosunku do siebie z szacunkiem, jednak „starzy” trwali przy dawnych przyzwyczajeniach i tworzyli zamknięty, elitarny klub, do którego „nowi” nie mieli wstępu. Do tego dochodziły dziwaczny nawyk pracy przy zamkniętych drzwiach i regularne spotkania w willi właściciela w parku Grüneburg, na które Henri Winterscheid i jego żona zapraszali w każdy pierwszy czwartek miesiąca. Bankiety te były reminiscencją legendarnych wieczorów przy kominku, które dawniej gromadziły elitę intelektualną kraju.

Julia spojrzała na Alexandra Rotha, który nerwowo przebierał palcami po ekranie telefonu i podobnie jak ona, niewiele uwagi poświęcał prezentacji redaktora działu literatury faktu, który opowiadał o książce jakiejś młodej lekarki poświęconej tematyce ludzkich jelit. W co on grał? Czy żałował, że Heike Wersch straciła pracę? A może cieszyło go, że po dwudziestu latach pozostawania w jej cieniu w końcu nie musiał się nią przejmować? Carl Winterscheid również sprawiał wrażenie, jakby myślami był gdzie indziej. Siedział nieruchomo z ramionami splecionymi na piersi i skrzyżowanymi nogami, a Julia przez chwilę rozważała, czy mógł mieć coś wspólnego ze zniknięciem Heike. Na pewno miał motyw.

Pani Wi-Fi zaprosiła wszystkich do pokoju socjalnego piętro niżej, gdzie czekał zamówiony bufet, co zostało nagrodzone radosnym aplauzem. Przy akompaniamencie szurania krzesłami i prowadzonych półgłosem rozmów zebrani ruszyli na poczęstunek. Julia spiesznym krokiem skierowała się w stronę drzwi, by wyjść z sali, zanim ktoś się do niej odezwie. Nie była głodna i nie miała ochoty słuchać nieszczerych komplementów, a poza tym chciała zadzwonić do Shannon Schwarz i opowiedzieć jej o pełnej zachwyty reakcji przedstawicieli handlowych na jej *Lodowe siostry*. Miało to dla niej o tyle duże znaczenie, że niewiele brakowało, a Shannon wiosną podpisałaby umowę z innym wydawnictwem, przekonywana

przez swojego agenta, że większe, sieciowe wydawnictwo będzie mogło zainwestować w nią więcej pieniędzy i zaproponować większy budżet reklamowy niż Winterscheid. Znajomość Shannon Schwarz z Julią cały czas się rozwijała, więc autorka wyznała w tajemnicy, że ktoś wysoko postawiony w wydawnictwie poradził jej agentowi udać się do konkurencji. Julia od razu pomyślała o pani Wersch. Kierując się tym podejrzeniem, wpadła wściekła do jej ciasnego biura, by zażądać wyjaśnień w związku z tym nieuczciwym sabotażem.

– Kiedy ktoś mnie pyta o zdanie, to mówię, co myślę – warknęła wtedy Heike Wersch, z nieodłącznym papierosem między żółtymi od nikotyny palcami. W czarnych, kanciastych okularach o szklach grubych jak denka od butelek po winie zawsze kojarzyła się Julii z profesorem Trelawney z filmów o Harrym Potterze. – Agent, z którym znamy się od lat, chciał poznać moją opinię na temat tego, czy Winterscheid to odpowiednie wydawnictwo dla młodej autorki kryminałów. Wyjaśniłam, że znam inne, które byłyby odpowiedniejsze. To wszystko.

– Niewiele brakowało, a zmarnowałyaby mi pani kilka miesięcy pracy nad tym transferem! – zarzuciła jej Julia.

– Niewiele brakowało, ale wyszło na pani, prawda? – odpowiedziała Heike Wersch i zaśmiała się kpiąco. – Najwyraźniej zrobiła pani coś właściwie skoro autorka wbrew radzie agenta jednak wybrała Winterscheid.

– Na przyszłość proszę zachować swoje światłe rady dla siebie – odparła Julia oschle. – Kryminały to nie pani gatunek, więc jeśli jeszcze ktoś kiedyś zada pani takie pytanie, może pani śmiało odesłać go do mnie.

Kiedy później odgrywała w myślach tę scenę, nie potrafiła sobie wytłumaczyć, skąd wzięła dość odwagi, by w ten sposób rozmawiać z panią Wersch, bądź co bądź legendą literackiego świata – wiedziała za to, że podziałało. Heike Wersch przez dłuższą chwilę milczała, po czym uśmiechnęła się półgębkiem.

– Niezły ryk, lwico – odpowiedziała, ku zaskoczeniu Julii. – Ma pani rację. W przyszłości tak zrobię. A pani powinna na zawsze zapamiętać, jak ważne jest zaufanie w kontaktach między redaktorami i autorami.

Julia szła schodami i czytała po drodze wiadomość, której autorką była koleżanka z działu produkcji. W ostatniej chwili udało jej się zmienić zgodnie z życzeniem autora dedykację w *Przyjaciołach aż po grób*. W pierwszym odruchu Julia chciała od razu przekazać Henningowi Kirchhoffowi dobrą nowinę, jednak

szybko zmieniła zdanie. Jeśli powstrzyma się z tym do wieczora albo nawet do kolejnego dnia, być może uda jej się wyciągnąć w rozmowie jakieś wieści na temat Heike Wersch. Dotarła już niemal na trzecie piętro, kiedy się zorientowała, że nieopatrznie zostawiła w bibliotece torebkę. Przeklęła pod nosem i zawróciła. Już sięgała do klamki, kiedy usłyszała ze środka podniesiony głos Dorothei Winterscheid-Fink.

– No oczywiście, że jestem zła! Rany, jestem po prostu wściekła! Ty na moim miejscu zachowałbyś spokój? Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Jak mogła być tak nielojalna! Zaraz jej wygarnę, już do niej dzwonię!

Julia się zawahała. Nie chciała podsłuchiwać, ale pilnie potrzebowała swojej torebki, zanim uda się na spotkanie z Waldemarem Bärem, by razem z nim przemyścić do budynku Torstena Bussego.

– Dzisiaj rano nie stawiała się na rozprawie przed sądem pracy. – Julia przestraszyła się, bo rozpoznała głos Carla Winterscheida. Nie miała najmniejszej ochoty narażać mu się drugi raz tego samego dnia. Lecz zanim zdążyła się odwrócić i odejść, mężczyzna pojawił się w drzwiach biblioteki. – Jej adwokat próbował się do niej dzwonić, i to nie raz, ale miała wyłączony telefon. Sędzia był tak zdenerwowany, że...

Na widok Julii szef wydawnictwa przerwał w pół zdania.

– Przepraszam... ja... zapomniałam torebki – wyjąkała zawstydzona. Czyżby właśnie rozmawiali o Heike Wersch? Jeśli tak, najwyraźniej żadne z nich nie miało pojęcia o jej zaginięciu ani o tym, że policja już się tym zajmuje po sygnale od Marii, przyjaciółki redaktorki.

Zza pleców Carla Winterscheida wyjrzała Dorothea.

– Julio, wszystkie trzy prezentacje były fantastyczne! – Uśmiechała się, a po jej wcześniejszym zdenerwowaniu nie pozostał nawet ślad. – I bardzo odważnie pani postąpiła. Dała pani Hellmuthowi do myślenia! Zejdziemy na obiad? Dzwoniłam do pana Bära, spotykamy się o drugiej przed jego biurem.

Wyszła z biblioteki i ruszyła w stronę schodów.

– Porozmawiamy wieczorem – zwrócił się do niej Carl Winterscheid, po czym spojrzał na Julię. – Znalazłaby pani chwilę, pani Julio?

– Oczywiście. – Podeszła do krzesła, zdjęła z oparcia torebkę i z walącym dziko sercem wróciła na korytarz. Mimo że znała swojego szefa od osiemnastu miesięcy,

wciąż nie potrafiła go rozgryźć. Po pierwszej rozmowie próbowała odszukać coś na jego temat, jednak w mediach społecznościowych w zasadzie nie istniał, a jego ślad można było znaleźć jedynie w postaci opisu dotychczasowej kariery. W wydawnictwie nikt tak naprawdę nie wiedział, czy się z kimś spotyka, a nawet czy jest żonaty. Od samego rana do późna w nocy przesiadywał w biurze na ostatnim piętrze siedziby wydawnictwa, a w kontaktach z pracownikami zachowywał uprzejmy dystans. Jak zawsze, kiedy nie można ustalić na czyjś temat faktów, zaczynają pojawiać się najdziksze plotki. Wielu podejrzewało, że Carl Winterscheid jest gejem. Inni utrzymywali, że ma żonę, która mieszka w Stanach Zjednoczonych, a niektórzy zapewniali, że owszem, był żonaty, ale młodo owdowiał i to sprawiło, że jest taki nieprzystępny. I tylko jedno było pewne: mimo młodego wieku Carl Winterscheid był bardzo zdolnym menedżerem i robił wielką karierę w amerykańskim koncernie medialnym Pegasus, ale bez wahania odrzucił propozycję objęcia bardzo lukratywnego stanowiska dyrektora zarządzającego holdingu na Europę, by przejąć znacznie mniej lukratywny fotel szefa upadającego wydawnictwa, założonego przez jego dziadka.

Przed kilkoma tygodniami Julia wpadła na niego w czasie sobotnich zakupów w hali targowej Kleinmarkthalle. Ku jej zaskoczeniu szef wydawnictwa zaprosił ją na kawę, następnie na lampkę prosecco, a potem, zamiast dokończyć sprawunki, przegadali całe przedpołudnie, by ustalić, że żadne z nich w zasadzie nie zna nikogo we Frankfurcie poza ludźmi z wydawnictwa. Julia pochodziła z Kraju Saary, studiowała w Erlangen, Monachium i Paryżu, potem odbyła praktykę w domu wydawniczym Piper, po której dostała pracę w berlińskim Ullsteinie. Na początku zatrudniono ją jedynie w ramach zastępstwa za kobietę, która poszła na urlop macierzyński, by następnie zaoferować jej stanowisko młodszej redaktorki. I chętnie by tam została, gdyby akurat dwa lata temu jej osobista sytuacja nie uległa gwałtownemu pogorszeniu – do tego stopnia, że postanowiła ubiegać się o pracę w tworzonym właśnie dziale literatury rozrywkowej w wydawnictwie Winterscheid we Frankfurcie.

Carl urodził się wprawdzie w okolicy, a po śmierci rodziców zamieszkał w willi w parku Grüneburg, z wujkiem Henrim i jego żoną Margarethe, jednak nie uczył się we Frankfurcie, tylko w szkole z internatem, więc prawie nikogo nie znał. W trakcie rozmowy okazało się, że nie tylko to ich łączy: oboje lubili swoją pracę i dużo z siebie dawali, woleli biegać niż pocić się w siłowniach, preferowali

kuchnię azjatycką, lubili krzyżówki, wino z RPA i byli fanami serialu Netflix'a *House of Cards*. Mimo wspólnego spędzenia tego dziwnego przedpołudnia, co zresztą nigdy więcej się nie powtórzyło, nie przeszli na ty, a Julia nie miała zamiaru niczego w tej kwestii zmieniać. Już raz poznała mężczyznę, który w aż niepokojący sposób wydawał się do niej pasować, straciła czujność i zbyt szybko mu zaufała; niewiele brakowało, by ten błąd przyplącała życiem.

– To było coś, naprawdę – powiedział Carl Winterscheid, uśmiechając się z zadowoleniem, kiedy na klatce schodowej ucichły kroki jego kuzynki. – A wyraz twarzy Hellmutha, kiedy nazwała go pani Rumpelsztykiem! Bezcenny! Pani troska o swoich autorów zrobiła na mnie duże wrażenie.

– Zachowałam się trochę bez szacunku, nie powinnam była go w ten sposób strofować – odparła Julia. – Przecież to w końcu...

– ...dinozaur, zgadzam się z panią. Dinozaur, który w dodatku nie potrafi się zachować – przerwał jej Carl, na co Julia nie mogła powstrzymać śmiechu. Wiedziała, że jej szef od dziecka obracał się w kręgach najważniejszych powojennych pisarzy i filozofów z kraju i zagranicy, a wielu z nich znał osobiście, gdyż zaliczali się do grona przyjaciół jego sławnego dziadka, legendarnego wydawcy Carla Augusta Winterscheida.

– Jak wielu jego kolegów cierpiących na znaczny przerost ego, również Englisch się odkleił i stracił kontakt z rzeczywistością. Tacy jak on wierzą w swoją przebrzmiałą sławę i nie potrafią zaakceptować prostego faktu, że ich czas minął. Nikt im nie może odebrać, że kilkadziesiąt lat temu należeli do najważniejszych autorów niemieckojęzycznych, ale spójrzmy prawdzie w oczy, do Goethego czy Schillera nawet wtedy było im daleko. Czasy się zmieniają. Gusta czytelnicze również. Mało kto dzisiaj sięga po Alfrieda Kempermana, Fabiana Marię Nolla, Marinę Bergmann-Ickes czy Volkera Böhma. – Julia miała wrażenie, że jego twarz na chwilę spochmurniała. – Mój wujek nigdy tego nie pojął i przez upartą wiarę w etos klasyki prawie mu się udało doprowadzić wydawnictwo do ruiny. – Przerwał i przez chwilę patrzyli na siebie. – Cieszę się, że zdołała pani pozyskać dla nas Shannon Schwarz – dodał.

– O tak, ja również! – Julia się uśmiechnęła. – Chociaż naprawdę niewiele brakowało, a ta cała Wersch pokrzyżowałaby mi plany! Dobrze, że jej się nie udało, bo przedstawicielom książka Shannon bardzo przypadła do gustu. To będzie duża rzecz!

– Nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł ją przeczytać – odparł szef. – I ten nowy kryminał Henninga Kirchhoffa. Jego wczorajszy wykład bardzo mnie zachęcił.

Julia spojrzała na ekran telefonu. Za dziesięć druga. Na obiad było już za późno, ale to jej nie przeszkadzało. Akurat kiedy chciała powiedzieć szefowi, czego dowiedziała się od Kirchhoffa, rozdzwoniła się jego komórka. Carl wyjął telefon z kieszeni.

– Do zobaczenia później – pożegnał się i przyciskiem wezwał windę. – Cieszę na pani kolejną prezentację!

*

– Co to niby jest? – Pia z obrzydzeniem przyglądała się temu czemuś, co było przyczyną smrodu zgnilizny i sączącego się płynu, który kapał z bagażnika na podłogę garażu. Przedmiot miał wielkość piłki futbolowej, która z powodu panujących upałów zmieniła się w okropnie cuchnącą bezkształtną masę, pełną poruszających się chaotycznie białych robaków. Kröger, całkowicie uodporniony na najbrzydliwsze strony życia, trącił znaleźisko czubkiem palca.

– Moim zdaniem, kiedyś był to „kurczak bio, świeży, z podrobami”, o wadze 1,3 kilograma – oznajmił po chwili. – Foliowe opakowanie pękło, ale etykieta zachowała się w dość dobrym stanie i jest czytelna.

– Pewnie zapomniała zabrać go z bagażnika, kiedy wracała z zakupów – zgadywał Bodenstein. – Dasz radę znaleźć datę przydatności do spożycia?

– Czekaaj... – Kröger nachylił się jeszcze niżej nad znaleźiskiem. – Przechowywać w temperaturze 3–5 stopni, spożyć do 5.09.2018.

– To by oznaczało, że kupiła go najpóźniej w poniedziałek trzeciego września – policzyła Pia. Czy zgniły kurczak mógł przybliżyć ich do rozwiązania zagadki ostatnich godzin życia Heike Wersch?

Kröger przekazał samochód dwójce swoich ludzi, którzy natychmiast zajęli się znajdowaniem i zabezpieczaniem śladów, a sam z Pią i Bodensteinem udał się do domu pani Wersch. Ktoś opuścił rolety w kuchennych oknach, więc w środku panował półmrok. Naniesiona na wszystkie powierzchnie mieszanka luminolu sprawiła, że podłoga pomiędzy stołem a szafkami pokryta była wielkimi, emanującymi jasnoniebieską poświatą plamami. Podobnie wyglądały rozbryzgi

i rozmazane ślady wleczenia w stronę kuchennych drzwi, ale również na drzwiach szafki pod zlewem, na futrynie i na ścianie obok drzwi. Kobieta z wydziału techniki kryminalistycznej zajęta była tworzeniem dokumentacji fotograficznej układu świecących plam na podłodze.

– To raczej nie wygląda na zwykły krwotok z nosa – stwierdził Bodenstein. Przy tak jednoznacznych śladach obecność kilkunastu techników kryminalistycznych i kompletnej obsady wydziału K11 nie powinna spotkać się z naganą doktor Nicoli Engel.

– Sądząc po tym, co tu widzimy, musimy założyć, że pani Wersch padła ofiarą zbrodni – potaknęła Pia.

– Mogła się też skaleczyć. Może bierze leki rozrzedzające krew i nie mogła zatamować krwawienia – zaprzeczył Kröger, który z zasady nie zgadywał, tylko opierał się na faktach. – Na dodatek nie mamy przecież pewności, czyja to krew.

– Szeffie, jedna sprawa. – W drzwiach kuchni pojawił się technik kryminalistyczny. – W pojemniku na śmieci, w środku, zabezpieczyliśmy ślady ludzkiej krwi. I w samochodzie też, na pedale hamulca i na klamce przy drzwiach.

– Ciekawe, co teraz wymyślisz? – zapytała Pia z lekką kpina. – Tak mocno krwawiła z nosa, że nachyliła się nad pojemnikiem na śmieci?

Kröger zignorował jej zaczepkę.

– Okej. Zabezpieczyć wszystkie ślady i najszybciej, jak się da, przekazać do laboratorium do badań razem z pozostałymi próbkami – polecił swojemu pracownikowi. – Sprawdźcie łazienkę i sypialnię, żebyśmy mieli próbki porównawcze do badań DNA. Wyniki są potrzebne na wczoraj. Czyli najlepiej, żeby były dzisiaj.

– Biorę się za to. Będę naciskał na laboratorium, żeby się pospieszyli. – Technik odszedł, a w kuchni zapanowała cisza.

– Chyba powinniśmy rozważyć scenariusz, w którym ciało pani Wersch zostało stąd zabrane przy okazji odbioru odpadów zmieszanych. – Pia wyraziła głośno to, co wszystkim chodziło po głowach. – Nawet jeśli jeszcze nie mamy pewności, czy to rzeczywiście jej krew, wykluczyłabym możliwość, że wyjechała, bez opieki zostawiając w domu chorego ojca, tak samo, jak wykluczyłabym samobójstwo.

– Jestem tego samego zdania. – Bodenstein potaknął.

– Wiemy, dokąd trafiają odpady z Bad Soden? – zapytała Pia.

– Do ciepłowni w Eschborn. Tam są spalane – wyjaśnił Kröger.

– W takim razie będziemy potrzebowali nakazu przeszukania dla tego domu i najlepiej też dla spalarni – potaknął Bodenstein.

– Chyba żartujesz! Wiesz w ogóle, ile taka akcja będzie kosztować? – zdenerwował się Kröger. – Engel łeb mi urwie, jak bez jednoznacznych dowodów zablokuję pracę całej spalarni i zawnioskuję o kupę ludzi, żeby przekopać się przez hałdy śmieci! Ja już dawno wyczerpałem cały budżet wydziału na ten rok, więc najpierw musiałbym napisać kilkadziesiąt podań...

– Ja się tym zajmę – uspokoił go Bodenstein. – Jeśli testy DNA potwierdzą, że ślady z pojemnika na odpady to krew pani Wersch, będziemy mieli dobre uzasadnienie.

– Z tego będą kłopoty – zrzędził Kröger. – Już teraz czuję, że będą.

– Nawet jeśli – Bodenstein wzruszył obojętnie ramionami – świat się przez to nie zawali.

– Czekaaj, co się z tobą dzieje? – zapytał Kröger, raczej zaskoczony niż poirytowany. – Przecież znasz zasady równie dobrze jak ja!

Miał rację, bo Bodenstein znał je jak mało kto. Wszyscy w komendzie w Hofheim wiedzieli, jak skrupulatnie ich przestrzega. Jednak jakie znaczenie miały wytyczne i reguły, kiedy komuś walił się świat? Naprawdę, nikomu nie życzył śmierci, jednak w tej chwili skomplikowane dochodzenie było jedyną rzeczą, która pozwoliłaby mu skupić się na czymś innym i nie myśleć o trosce o Cosimę i problemach w drugim małżeństwie.

Poklepał Krögera po ramieniu, po czym rzucił okiem na ekran telefonu. Karoline w końcu się poddała i przestała do niego wydzwaniać – przynajmniej na razie.

Drogą do drzwi kuchennych pędził Tarik Omari.

– Ostatnia zbiórka odpadów na tej ulicy była we wtorek, a śmieciarka jeździła przed południem – zameldował, lekko zdyszany. – Wiem to od sąsiadów. Dziwili się, dlaczego pani Wersch nie wciągnęła kubła na posesję.

– Mam nadzieję, że żaden więcej idiota nie grzebał przy pojemniku – burknął Kröger i spojrzał krzywo na Pię. – Wystarczy, że będę musiał wykluczać twoje odciski palców.

– A ja mam nadzieję, że nie chciałeś nazwać mnie idiotką – odpowiedziała policjantka jeszcze ostrzej. – Pojemnik na śmieci przesunęłam nogą i złapałam za uchwyt, to wszystko.

– Za wywóz odpadów zmieszanych w Bad Soden odpowiedzialna jest firma z Liederbach – ciągnął Tarik. – Kai jest już z nimi w kontakcie i próbuje ustalić, kto konkretnie obsługiwał ten rejon.

Z rozpytania sąsiadów wrócili również Cem i Kathrin.

– Sąsiadka z domu naprzeciwko powiedziała, że w poniedziałek o wpół do piątej po południu panią Wersch odwiedził jakiś starszy mężczyzna z siwymi, lokowanymi włosami. – Kathrin zajrzała do notatek. – Zanim wszedł do środka, spędził kilka minut, czekając przed bramą. Niestety, nie widziała, kiedy wyszedł.

– Inny z sąsiadów widział zaginioną w nocy z poniedziałku na wtorek – dodał Cem. – Dość późno, gdy po północy wyszedł z psem na spacer, bo wcześniej mocno padało. Pani Wersch wyjeżdżała akurat samochodem z garażu. Sąsiad twierdzi, że często wyjeżdżała gdzieś w nocy, ale zawsze na krótko i szybko wracała. Prawdopodobnie tylko po alkohol i papierosy.

– Pani Wersch mieszka tu sobie dość dyskretnie i z nikim nie utrzymuje bliższych kontaktów, to wiemy już na pewno – ciągnęła Kathrin. – Nikt nie powiedział o niej niczego złego, ale też nikt z okolicy tak naprawdę jej nie zna. Nieliczni wiedzą, że zajmuje się ojcem, za to większość zdaje sobie sprawę, że miała program w telewizji.

– Szef budowy po sąsiedzku ze szczerego serca jej nienawidzi – dodał Cem. – Od półtora roku kolejnymi pozwami, wnioskami i procesami uniemożliwia mu dokończenie stawianego obiektu. W weekend doszło między nimi do głośnej kłótni, i to przy ludziach, na środku ulicy. W trakcie zajścia żona szefa budowy kopała i opluwała samochód pani Wersch.

– Będziemy musieli z nim porozmawiać – potaknął Bodenstein.

– Właśnie, przy okazji: rozmawiałam przed chwilą z Josefem Moosbruggerem, agentem, z którym pani Wersch była jakoby bliżej zaprzyjaźniona. – Do rozmowy włączyła się Pia. – Jego nazwisko podała mi Maria Hauschild. Wyobraźcie sobie, że ten gość jest agentem jednonogiego żurawia! Niesamowity zbieg okoliczności, co?

– Niesamowity! – Bodenstein był naprawdę zaskoczony.

– Czyim agentem? – zapytali chórem Cem Altunay, Kathrin Fachinger i Tarik Omari.

Pia wyjaśniła współpracownikom, kim jest Severin Velten i opowiedziała o wywołanym przez panią Heike Wersch skandalu związanym z plagiatem, jakiego ten autor się dopuścił.

– Pan Moosbrugger pracował dawniej w wydawnictwie Winterscheid, stąd zna się z panią Wersch – ciągnęła. – Raz, a czasem dwa razy w roku organizują wspólnie w jego domu w Toskanii warsztaty dla obiecujących autorów, którzy marzą o sławie i są gotowi zapłacić grube pieniądze za pomoc w realizacji tych marzeń. W tej chwili pan Moosbrugger nie wyraża się przychylnie o pani Wersch, co jest dość zrozumiałe, biorąc pod uwagę sytuację z *Jednonogim żurawiem*.

– Ja i Pia zostaniemy na miejscu, aż ludzie Christiana skończą z kuchnią i garażem, a potem razem pojedziemy do spalarni odpadów. – Bodenstein przejął dowodzenie. – Tarik, ty objedziesz wszystkie stacje benzynowe w okolicy. Spróbuj ustalić, czy w nocy z poniedziałku na wtorek pani Wersch była na którejś z nich po papierosy czy cokolwiek innego. Cem, ty pojedź do Liederbach do zakładu gospodarki komunalnej, znajdź obsadę śmieciarki, która obsługiwała ten teren, i pogadaj z nimi. Na koniec rozpytajcie wśród sąsiadów, których rano nie było w domach. Mamy jakieś foto zaginionej?

– Tak, wysłałam już na naszą grupę – potaknęła Pia.

– Kathrin, ty jedź, proszę, do biura i postaraj się ustalić wszystko, co się da na temat pani Wersch. Póki co, nie mamy pewności, czy kobieta nie żyje, dlatego niech Ostermann sprawdzi na lotniskach, czy dokądś nie poleciała, albo czy nie rezerwowała biletu na pociąg. Poza tym potrzebny mi będzie wykaz połączeń z jej komórki i lokalizacja.

– Mamy zgodę prokuratury na takie działania? – zapytała Kathrin Fachinger.

– Będziemy mieli – odpowiedziała Pia, ubiegając szefa. – Poszlaki, którymi dysponujemy, wystarczą do uzasadnienia wniosku.

Rankiem sprawa dotyczyła zaginięcia, lecz w ciągu dnia pojawiły się przesłanki jednoznacznie wskazujące na brutalne przestępstwo, co pozwalało rozpocząć dochodzenie w sprawie, bez wskazywania podejrzanych, i zgodnie z kodeksem postępowania karnego umożliwiało pozyskiwanie zastrzeżonych danych od urzędów, banków i operatorów telekomunikacyjnych.

– Dobra, moi drodzy, do roboty! – polecił Bodenstein. – Widzimy się o szóstej.

– Kathrin, mogłabyś wziąć Beck'sa? – poprosiła Pia. – Jest za gorąco, żeby siedział w samochodzie i czekał.

– Żaden problem. – Kathrin Fachinger wzięła od niej smycz i woreczek ze smakołykami.

– Ups, przyjechaliśmy jednym samochodem – zauważył Cem.

– To podrzuć najpierw Kathrin do komisariatu i możesz jechać dalej. – Bodenstein błyskawicznie rozwiązał problem.

– A ty weź mój wóz. – Pia podała Tarikowi kluczyki. – Mnie dzisiaj wozi szef. Tylko uważaj na fotoradary! To mini jest szybsze, niż na to wygląda.

Troje policjantów i pies ruszyli w stronę samochodów. Pia wpisała w wyszukiwarce „Maria Hauschild” i znalazła stronę internetową agencji literackiej o takiej samej nazwie.

– „Agencja została założona w 1989 przez Erika Hauschilda i była jedną z pierwszych agencji literackich w Niemczech, która reprezentowała nie tylko niemieckich autorów i autorki, ale również klientów i wydawnictwa z zagranicy, specjalizując się w beletrystyce i literaturze faktu” – przeczytała Bodensteinowi.

– „Wśród naszych autorów znajdują się Daniel Klee, George Dragon, André Grenda, Kristina Jagow, Petra Maria Mayer-Büchele, Mathis Haas i Henning Kirchhoff”.

– No proszę, to są bardzo znane nazwiska! – Bodenstein aż gwizdnął z wrażenia. – Nie mam pojęcia, ile zarabiają agenci literaccy, ale zakładam, że dostają procent od sprzedaży książek klientów.

Żeby nie wyjść na kompletną ignorantkę, po raz drugi tego samego dnia Pia była zmuszona pospiesznie szukać w Wikipedii informacji o autorach, o których nigdy wcześniej nie słyszała, a to, na co natrafiła, zrobiło na niej wrażenie. Z domu wyszedł Kröger. Zdjął kaptur jednorazowego kombinezonu i rękawiczki.

– W kuchni już skończyliśmy – oznajmił. – Jeśli chcecie, możecie wejść się rozejrzeć. Teraz bierzemy się za garaż i skończymy samochód, a na koniec sprawdzimy ogród.

– Sam George Dragon sprzedał w Niemczech ponad trzydzieści milionów książek. – Pia była zaskoczona. – Trzydzieści milionów! Niesamowite, naprawdę!

– Twój były mąż musi się ostro starać, jeśli chce go dogonić – zauważył Kröger kpiącym tonem.

– Miałeś okazję przeczytać jego najnowszy kryminał? – zainteresował się Bodenstein.

– Żebyś wiedział! Szanowny pan profesor był uprzejmy podesłać mi tekst po składzie. Możliwe, że po prostu spietrał, bo bał się, że go potem pozwę. – Kröger wzruszył ramionami. – Oględnie mówiąc, nie przepadam za Kirchhoffem, z wzajemnością zresztą. To nie jest żadna tajemnica, ale obaj jesteśmy profesjonalistami w swoich dziedzinach i dlatego się szanujemy. Dokładnie w taki sposób przedstawił bohatera, którego wzorował najwyraźniej na mnie. Dobrze sobie z tym poradził, nie powiem. Bo Kris Krüger, nieco ekscentryczny i pedantyczny szef wydziału techniki kryminalistycznej, w rzeczywistości jest cichym bohaterem tej książki. – Skłonił się wyniośle przed Pią i Bodenstemem. – On, a nie baron von Buchwaldt czy pani komisarz Grevenkamp!

Bodenstein z uśmiechem pokręcił głową. Próba podboju świata literatury rozrywkowej przez lekarza początkowo budziła jego rozbawienie, jednak musiał przyznać, że były mąż Pii miał prawdziwy talent. Świetnie się czytało, z jakim komizmem przerysowywał cechy swojego alter ego, introwertycznego i cynicznego doktora Gunnara Grevenkampa. Nastawienie dziekana medycyny i rady uniwersytetu wahało się od krytycznego do lekceważącego, jednak tylko do czasu, bo kiedy Kirchhoff niemal z dnia na dzień stał się rozpoznawalnym autorem bestsellerów i był regularnie zapraszany do telewizji, przełożeni dostrzegli potencjał reklamowy dla uczelni i z zachwytem wspierali swojego pracownika. Większość policjantów i policjantek z komendy rejonowej w Hofheim czuła dumę z tego, że ich miejsce pracy znalazło się w prawdziwym kryminale, ba, nawet Nicola Engel okazała dość dystansu, by zezwolić Henningowi na zobrazowanie w powieściach swojej postaci jako „dr Nathalie Devil”.

Rozdzwoniła się komórka Pii.

– O wilku mowa – mruknęła i odebrała. – Cześć, Henning. Pamiętasz, co mi obiecałeś?

– Już dawno załatwione! – zapewnił ją były mąż. – Od razu po naszej rozmowie zadzwoniłem do mojej redaktorki. Zajmie się tym.

– Czyli co, załatwione, czy dopiero się tym zajmie?

– Zajmie się.

– Słuchaj, jak tego nie wyrzucisz, będę miała naprawę ciężką przeprawę z Christophem. – Pia odwróciła się, żeby Bodenstein i Kröger nie słyszeli, o czym mówi. – Jest już wystarczająco wściekły, że go tak ośmieszasz.

– Bzdura! – zdenerwował się Henning. – A czemu niby tak go ośmieszam, co?

– W twojej książce dyrektor zoo wymiotuje na widok okaleczonych zwłok – przypomniała mu Pia.

– No i? O ile dobrze pamiętam, dokładnie tak ta scena wyglądała naprawdę. – W głosie lekarza słychać było rozbawienie.

– A to, jak Tristan von Buchwaldt zastanawia się, co jego współpracowniczkę fascynuje w „przysadzistym, ponurym choleryku”? Twoim zdaniem to jest miłe? – Pia posłużyła się cytatem z manuskryptu. – Prosiłam cię, żebyś to zmienił.

– Słyszałaś kiedykolwiek o wolności twórczej? – drażnił się z nią Henning, ale już po chwili zmienił temat i spoważniał. – Wiecie już, co się stało z przyjaciółką Marii?

– Nie – odpowiedziała Pia krótko.

– Czyli jak, jeszcze nie wiecie, czy nie zamierzasz mi powiedzieć?

– I to, i to.

– Czyli wyłączasz mnie z tej sprawy.

Pia przez chwilę wyobraziła sobie, jak Henning i Maria Hauschild pośród burzy z piorunami wciskają zwłoki Heike Wersch do kubła na śmieci, po czym wracają razem szorować kuchnię. Szybko jednak porzuciła ten pomysł, gdyż jej były mąż nie pozostawiłby tak rzucających się w oczy śladów. Poza tym, kto jak kto, ale on doskonale wiedział, jakich chemikaliów użyć, by całkowicie usunąć krew. Mimo to pozostała w niej iskierka nieufności.

– Co jest między wami? No wiesz, między tobą a Marią Hauschild? – zapytała.

– A co miałoby być? Nic, zupełnie nic! – odparł Henning niewinnym tonem. – Maria to moja agentka. To wszystko. Nasze relacje dotyczą jedynie sfery zawodowej.

– Skoro tak twierdzisz, nie mam podstaw, żeby to podważać – potaknęła Pia. – Jak dobrze ją znasz?

– Nie rozumiem?

– Maria nie wiedziała, że Heike Wersch mieszka z chorym ojcem i się nim zajmuje. A twierdziła, że przyjaźnią się już kilkadziesiąt lat z okładem. Poza tym przy mnie wybiła szybę w drzwiach kuchennych, żeby wejść do domu.

– Martwiła się, to wszystko – mruknął Henning. – Niektórzy mają przyjaciół, którzy o nich dbają.

– Co to niby miało znaczyć? – zdenerwowała się Pia. – Przecież mam przyjaciół!

– Ale ja nie – wyjaśnił lekarz. – Nikt by nie zauważył, gdyby coś mi się stało. Ewentualnie współpracownicy i studenci, bo nie przyszedłbym do pracy.

Jego ostatnia uwaga sprawiła, że Pia poczuła się nieswojo; gdyby nie Christoph, znajdowałyby się w takiej samej sytuacji jak Henning.

– Na wypadek gdyby pani Hauschild pytała, powiedz jej, że nie wiesz niczego nowego.

Potem zakończyła rozmowę i weszła do domu pani Wersch, gdzie czekał na nią Bodenstein.

*

Po skończonej rozmowie telefonicznej Carl Winterscheid w zamyśleniu spoglądał na portret nieżyjącego od wielu lat dziadka, legendarnego szefa wydawnictwa, Carla Augusta Winterscheida, wiszący na ścianie naprzeciwko między dwoma wysokimi regałami z książkami. Szanowny przodek, na którego cześć rodzice dali mu to samo imię, był niezwykle osobowością – charyzmatyczny przywódca z instynktem biznesmena, wyjątkowo mądry człowiek o nadzwyczajnym wyczuciu literackim, wizjoner i organizator.

Abraham Liebman, właściwy założyciel i współwłaściciel wydawnictwa, miał zdolność przewidywania i w porę zauważył, co się dzieje z Niemcami. Kiedy w 1931 razem z rodziną opuścił kraj, by wyemigrować do Stanów Zjednoczonych, Carl August Winterscheid przejął zarządzanie wydawnictwem, a w 1934, pod naciskiem nazistowskiej dyktatury, musiał zmienić nazwę firmy i dalej działał pod swoim nazwiskiem. Miał dość odwagi, by podejmować niepopularne w tamtym czasie decyzje, przy czym zawsze kierował się dobrem swoich autorów i pracowników – zupełnie na odwrót niż Henri, jego najstarszy syn, który niemal zrujnował dzieło jego życia, gdyż nie znał się ani na literaturze, ani na prowadzeniu biznesu.

Carl często prowadził w myślach długie rozmowy z człowiekiem, który przez pięćdziesiąt lat stał na czele firmy i przeprowadził ją przez bardzo burzliwe czasy, by uczynić z niej najważniejsze wydawnictwo literatury niemieckojęzycznej funkcjonujące po wojnie. W ostatnich miesiącach wielokrotnie zadawał sobie pytanie, co dziadek zrobiłby na jego miejscu. I mimo zmasowanej krytyki z powodu wprowadzania zmian koniecznych, by uratować wydawnictwo, a także zarzutów, że niszczy stuletnią tradycję, był przekonany, że Carl August potrafiłby docenić jego działania.

Z zamyślenia wyrwało go pukanie do drzwi.

– Tak? – zawołał. Do biura zajrzała jego kuzynka Dorothea.

– Przeszkadzam? – zapytała.

– Skądże, zapraszam. – Wyprostował się. – I jak, jesteś zadowolona?

– Z czego niby? – Zamknęła za sobą drzwi.

– Ze spotkania z przedstawicielami.

– A, o tym mówisz. Tak, nawet bardzo. Wiosenny plan wydawniczy zapowiada się naprawdę świetnie. Przedstawiciele byli zachwyceni. Beletrystykę i literaturę faktu mamy doskonale przygotowaną. Mogę nalać sobie coś do picia?

– Oczywiście, częstuj się. – Carl wstał i obszedł biurko. – Mogę...

– Poradzę sobie, dzięki. – Pewnym krokiem podeszła do barku ukrytego w szafie, reliktu z czasów, w których to jej ojciec, a Carla wujek Henri Winterscheid z upodobaniem urządzał w tym biurze libacje. – Też się czegoś napijesz?

– Chętnie. Szkockiej.

Dorothea sięgnęła po odpowiednie trunki, przygotowała szklanki, a potem otworzyła lodówkę.

– Co cię trapi, Doro? – zapytał Carl i spojrzał na kobietę, którą znał, od kiedy tylko pamiętał. Kiedy jako sześciolatek osierocony przez matkę wprowadził się do willi swego wujka, Dorothea dopiero co skończyła dwadzieścia lat i poświęcała mu sporo czasu. Również później, kiedy mieszkał w Ameryce u swego ojca chrzestnego, kuzynka z mężem regularnie go odwiedzali. Córka Henriego Winterscheida dość długo zajmowała się kupnem i sprzedażą książek w największej sieci księgarni w kraju, by później przejść do działu handlowego S. Fischera, z początku pracując dla nich na zlecenie, później jako menedżer do

spraw klientów kluczowych i zastępcą dyrektora działu handlowego, ażeby pięć lat temu w końcu dać się ściągnąć do wydawnictwa swojego ojca. Carl zaoferował jej stanowisko dyrektorki działu handlowego i miejsce w zarządzie firmy. I ani przez chwilę nie żałował żadnej z tych decyzji. Dorothea od samego początku popierała jego pomysł rozszerzenia oferty wydawniczej, więc zyskał w niej wierną sojuszniczkę. Kobieta jak własną kieszeń znała tajniki rynku księgarskiego i całą branżę wydawniczą, do tego była bystra, pracowita i wyjątkowo opanowana. Carl nigdy jeszcze nie widział jej w stanie tak silnego wzburzenia jak właśnie teraz.

– Jestem po prostu wściekła! Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo! – wyjaśniła. – Mam wrażenie, że zaraz eksploduję!

Carl usłyszał dzwonięcie lodu w szklance, a potem charakterystyczny odgłos przypominający skrzywienie styropianu, kiedy whisky ogrzewała zamrożone kostki. Dorothea zamknęła drzwi barku i podała mu jedną ze szklanek.

– Przed chwilą rozmawiałam z ojcem. Zadzwoiłam, żeby mu powiedzieć, jaka jestem oburzona i zawstydzona jego wyskokiem i zachowaniem Hellmutha dzisiaj rano w czasie prezentacji. – Upiła łyczek alkoholu. – Poza tym zapytałam go, skąd nagle przyszło mu do głowy sprzedawać udziały w firmie i, przede wszystkim, dlaczego dowiaduję się o tym jedynie przez przypadek! Dziesięć lat temu, kiedy wydawnictwo stanęło na krawędzi bankructwa, odrzucił ofertę Franza Bärlaucha, i to kilka razy z rzędu. Nawet dziesięciu procent nie chciał mu sprzedać. Teraz zaczął coś kręcić, ale w końcu powiedział, że to nie moja sprawa i nie mam się tym interesować. Nie odpuściłam i drążyłam, aż w końcu przyznał, że zysk ze sprzedaży swoich udziałów chce zainwestować w nowe wydawnictwo Heike! Wiesz w ogóle, jak się ma nazywać? Winterscheid & Wersch!

– Że co?! – Carl nie wierzył własnym uszom. – Jak w ogóle mógł wpaść na taki pomysł?

– Twierdzi, że nie może się dłużej identyfikować z nowym profilem wydawnictwa! – Dorothea prychnęła sarkastycznie. – Moim zdaniem, on po prostu zazdrości ci sukcesu. Dzisiaj ruszyliśmy z drukiem nowego Kirchhoffa. Za jednym zamachem zleciliśmy też drugi nakład. – Spojrzała na Carla. – O ile mnie pamięć nie myli, nigdy jeszcze nie było w tym wydawnictwie pozycji o takim nakładzie początkowym! To nie daje mojemu ojcu spokoju.

– Żeby sprzedać swoje udziały, musiałby mieć do tego prawo, to na początek. – Carl nie wiedział, czy powinien czuć zaskoczenie, rozczarowanie, czy raczej

wybuchnąć śmiechem. Już kiedy był dzieckiem, jego wujek i ciocia robili, co mogli, żeby trzymać go z dala od wydawnictwa. Kiedy skończył jedenaście lat, pozbyli się go z domu, wysyłając do szkoły z internatem i z nieskrywaną ulgą przystali na jego prośbę, gdy jako czternastolatek zapytał, czy mógłby przenieść się do swojego ojca chrzestnego do Ameryki. Dokładali wszelkich starań, by nie wdrażać go w prowadzenie rodzinnej firmy, mimo że po zmarłym ojcu odziedziczył czterdziestoprocentowy pakiet udziałów w wydawnictwie. – Wspomniał może, komu je zaoferował?

– Nie. – Dorothea pokręciła głową. – Franz Bärlauch zmarł w zeszłym roku, więc jego można wykluczyć. Ale ktokolwiek chciałby kupić udziały mojego ojca, potrzebuje również mojej zgody. Moje mikre dwanaście procent to mniejszość blokująca.

– W żadnym razie nie powinnaś wyrazić zgody – powiedział Carl. – Jak już kiedyś wspomniałaś: udziały twojego ojca to twój spadek. Nosisz nazwisko Winterscheid i jesteś jego jedynym dzieckiem.

– Jakby to kiedykolwiek się dla niego liczyło! – westchnęła Dorothea ponuro.

– Mnie bardziej zastanawia, czy Henri zdaje sobie sprawę ze skutków sprzedaży udziałów. – Carl pokiwał w zamyśleniu głową. – On i twoja matka stracą prawo do mieszkania w swojej willi, bo to część majątku wydawnictwa. Będą musieli również zrezygnować z usług Waldemara Bära albo zaczną za nie płacić z własnej kieszeni, jeśli będą chcieli mieć szofera.

– Tak daleko jego plany na pewno nie sięgały. – Dorothea zaśmiała się pogardliwie. – Z tego, co wiem, nowe wydawnictwo miałyby mieć siedzibę właśnie w tej willi. – Nagle spoważniała.

– Cholera! Jak ja nienawidzę tej Heike! – wyrzuciła z siebie. – Za to, co zrobiła z Veltenem i w ogóle za jej totalną nielojalność! – Z głośnym stuknięciem odstawiła szklankę na stole konferencyjnym. – W wiosennym planie wydawniczym mamy dwa – tylko dwa! – tytuły literackie. Mogę się założyć, że ta fałszywa żmija wszystkie inne wstrzymała, żeby zachować je dla swojego nowego wydawnictwa! A Alexowi sporo brakuje do jej wyczucia w tej dziedzinie. Musimy szybko wymyślić jakieś kryzysowe rozwiązanie, jeśli nie chcemy, żeby wszyscy ważni autorzy przeszli do konkurencji! Wiesz, co mnie najbardziej wkurza? To, że jeszcze musimy jej zapłacić!

– Otóż nie, nie musimy. – Carl upił łyk szkockiej. – Heike nie pojawiła się dzisiaj na rozprawie przed sądem pracy. Jej adwokat będzie miał kontuzję palców od wybierania jej numeru, ale nawet nie raczyła odebrać. Powiem ci jedynie, że sędzia nie był zachwycony. – Carl uśmiechnął się na wspomnienie tej sytuacji. – Musimy wprawdzie wycofać zwolnienie dyscyplinarne i rozwiązać umowę za porozumieniem stron, ale za to odpada nam płacenie jakichkolwiek odszkodowań.

– No proszę, czyli są jednak jakieś dobre wiadomości! – Dorothea rozchmurzyła się wyraźnie. Usiadła w jednym z wygodnych foteli dla gości, ustawionych naprzeciwko biurka Carla, i zsunęła szpilki ze stóp.

– Co to takiego? – Nachyliła się i przyjrzała się uważnie jasnoniebieskiemu samochodzikowi Matchboxa, który Carl ustawił obok klawiatury. Nagle jej twarz rozjaśnił zaskoczony uśmiech. – Że ty go jeszcze trzymasz! Podarowałam ci go za to, że byłeś dzielny u fryzjera! Ile ty wtedy mogłeś mieć lat, co? Najwyżej pięć!

– Poważnie? – Carl wrócił za biurko i usiadł. – Ja już tego zupełnie nie pamiętam.

– Lubieś go przede wszystkim z powodu tego białego pieska na tylnej kanapie. – Dorothea wzięła autko do ręki i zajrzała do środka. – Mój Boże, kiedy to było?!

– No właśnie... – Mężczyzna potaknął zamyślony. – Wiesz, co jest w tym wszystkim najdziwniejsze? To autko dostałem w zeszłym tygodniu pocztą, w miękkiej kopercie. Bez nadawcy. Prawdę mówiąc, myślałem, że to ty mi je przysłałaś.

– Dlaczego miałabym to zrobić? – Dorothea uniosła brwi. W tej samej chwili odezwała się jej komórka. Sięgnęła do torebki i odstawiła samochodzik na biurko. – Wybacz, muszę odebrać.

Carl potaknął.

– Jestem jeszcze w wydawnictwie – powiedziała do telefonu. – Tak... mieliśmy spotkanie z przedstawicielami... nie, jeszcze mam kilka spraw do załatwienia. Tak... w porządku... przed ósmą na pewno stąd nie wyjdę.

Carl oparł palec na dachu odrapanego modelu fiata i przejechał nim ostrożnie drogę między stosem dokumentów a klawiaturą. Gdzie się podziewał mały samochodzik przez te wszystkie lata? Kto mu go przysłał? I dlaczego akurat teraz?

– Rozmawiałem z załogą śmieciarki, która we wtorek obsługiwała rejon Bad Soden
– powiedział Cem.

Wieczorem w sali odpraw na pierwszym piętrze komisariatu w Hofheim zebrał się cały zespół wydziału K11. Do spotkania dołączyła nawet dyrektorka doktor Nicola Engel, która wciąż uważała, że jej ludzie rozdmuchali niewinne zaginięcie, żeby uniknąć uczestnictwa w sesji kursów doszkalających.

– Pracownik odpowiedzialny za opróżnianie kubłów nie potrafił sobie przypomnieć, czy pojemnik pani Wersch był cięższy niż zwykle, ale stwierdził, że prawie zawsze jest on wypełniony po samo wieko, bo kobieta ma zwyczaj wyrzucania książek do odpadów zmieszanych. Za to na pewno nie zauważył śladów krwi.

– My odwiedziliśmy zakład utylizacji odpadów z terenu Men-Taunus i spotkaliśmy się tam z szefem instalacji – relacjonowała Pia. – Ciepłownia w Eschborn spala odpady zmieszane z całej okolicy i częściowo również z Frankfurtu, a popioły i żużel z paleniska trafiają na składowisko w Wicker. Na podstawie danych z wagi wjazdowej da się ustalić, do którego zsypu trafiła zawartość śmieciarek opróżnianych we wtorek, a następnie obliczyć, na jakiej głębokości znajdują się przywiezione odpady.

– Jaką mamy pewność, że zwłoki rzeczywiście znajdowały w pojemniku na śmieci? – Doktor Nicola Engel spojrzała na Pię pytającym wzrokiem. Beck's podniósł się ze swojego ulubionego miejsca pod stołem konferencyjnym, podszedł spokojnie do dyrektorki i oparł głowę na jej kolanach, domagając się należytej mu porcji pieśczoł.

– Stuprocentowej pewności oczywiście nie mamy – przyznała Pia. – Jednak przeprowadzona na miejscu analiza potwierdziła, że krew znaleziona w kuchni, na krawędzi bagażnika i w pojemniku na odpady pochodzi od tej samej osoby płci żeńskiej. Teraz musimy poczekać na wyniki dokładnej analizy zabezpieczonego DNA.

– Jesteśmy przekonani, że pani Wersch ani nigdzie nie wyjechała, ani nie popełniła samobójstwa, bo zajmowała się ojcem z demencją i na pewno nie zostawiłaby go samego w domu – dokończył Tarik Omari. – Wcześniej, w przypadku podróży służbowych, nawet jeśli trwały tylko jeden czy dwa dni, zostawiała go w domu opieki krótkoterminowej. Potwierdziło to kilkoro sąsiadów, jej lekarz domowy i kierowniczka takiej instytucji w Bad Soden.

– W przypadku morderstw nie obowiązuje kryterium opłacalności przeprowadzenia czynności, jednak zatrzymanie całej spalarni odpadów pociągałoby za sobą spore koszty, a przeszukanie hałdy śmieci zaangażowałoby bezprecedensową liczbę pracowników. Potrzebuję mocnych dowodów, zanim wydam zgodę na taką akcję – zdecydowała doktor Engel niezwykle łagodnym tonem i pogłaskała psa po głowie. Obecność Beck’sa w biurze miała pozytywny wpływ nie tylko na jej nastrój; odkąd Pia zaczęła go przyprowadzać, dyrektorka coraz częściej rezygnowała z noszonych przez nią dotąd biznesowych kostiumów i szpilek i przychodziła do pracy w dżinsach. – Dlatego najpierw poczekamy na wyniki analizy śladów DNA.

– Bramka zsypowa, przez którą interesująca nas śmieciarka zrzucała we wtorek odpady do bunkra, została tymczasowo zamknięta – powiedział Bodenstein i spojrzał na Kaia Ostermanna. – Co udało ci się ustalić?

– Heike Wersch trafiła na listę osób poszukiwanych – odparł Kai. – Sprawdziłem też bazy danych policji federalnej, krajowej i osób zaginionych, ale w ostatnim czasie nie zgłaszano znalezienia zwłok kobiet o nieustalonej tożsamości. Nie trafiłem też na żadne rezerwacje lotnicze ani kolejowe na jej nazwisko. Wystąpiłem już o listę logowań jej telefonu komórkowego i o listę połączeń wychodzących i przychodzących z ostatnich tygodni. Przy odrobinie szczęścia jutro będę miał te dane u siebie.

Następnie Cem, Tarik i Kathrin zdali relacje z rozmów z sąsiadami.

– Wiemy zatem, że ktoś odwiedził ją w poniedziałek późnym popołudniem, a potem ktoś kolejny przyszedł do niej wieczorem. Jak dotąd nie znamy tożsamości żadnego z tych mężczyzn – podsumowała Pia. – Następnie widziana była w nocy, jak wyjeżdżała samochodem z garażu, jednak nie udała się na żadną z pobliskich stacji benzynowych po papierosy, jak wcześniej przypuszczaliśmy. – Tak jest – potwierdził Tarik. – A jeden z sąsiadów widział ją jeszcze potem o wpół do drugiej w nocy, jak wystawiała śmieci na chodnik.

– To przeczyłoby wersji, że zwłoki zostały ukryte w kubie z odpadami – zauważyła Nicola Engel. – Podobnie jak ślady krwi w bagażniku i wnętrzu auta. Czy bierzecie pod uwagę możliwość, że udała się dokądś piechotą i miała wypadek?

– Sprawdziłem wszystkie szpitale w okolicy – odpowiedział Kai Ostermann. – Do żadnego nie zgłosiła się osoba o nazwisku Wersch ani nie trafiła kobieta

- o nieustalonej tożsamości, choćby częściowo odpowiadająca naszemu rysopisowi.
- Ale w takim układzie istnieje też możliwość, że po prostu nie została jeszcze znaleziona – dokończyła Kathrin.
 - Mogła też zostać porwana i jest teraz gdzieś przetrzymywana – podsunął Tarik.
 - O, właśnie! Może to ten jedenogoi żuraw ją uprowadził i więzi teraz u siebie w piwnicy! – Pii ten scenariusz bardzo przypadł do gustu. – Facet miał pełne prawo czuć do niej wielką urazę.
 - Jedenogoi żuraw? Kto to taki? – zainteresowała się Nicola Engel.
 - Pia mówi o Severinie Veltenie, autorze książki o takim właśnie tytule – wyjaśnił Bodenstein i opowiedział przełożonej o wydarzeniach, które miały miejsce po zwolnieniu Heike Wersch z pracy.
 - No proszę! Czyli zaginiona jest redaktorką Severina Veltena? – Nicola Engel z wrażenia szerzej otworzyła oczy. – Jestem wielką fanką jego powieści!
 - Gość zrzuca od innych twórców i trzyma to w tajemnicy – prychnął Cem pogardliwie. – Plagiatowanie to łamanie prawa.
 - Nikt jeszcze nie dowiódł ponad wszelką wątpliwość, że w jego przypadku mamy do czynienia z plagiatem – zaprzeczyła dyrektorka. – Zresztą nawet gdyby miało się okazać, że tak było, to co z tego? W kinematografii jest zatrzęsienie remake'ów i nikt nie robi z tego powodu zamieszania.
 - To porównanie trochę nie trzyma się kupy, szefowo. – Cem potrząsnął głową.
 - Zanim producent zacznie prace nad remakiem, musi zakupić prawa do oryginalnego filmu.
- Zanim rozmowa przekształciła się w pełną pasji dyskusję na temat etyki i prawa w kontekście praw autorskich, Bodenstein poprosił Kathrin Fachinger, by przedstawiła swoje ustalenia na temat zaginionej.
- Heike Wersch, lat pięćdziesiąt sześć, urodzona we Frankfurcie. Redaktorka, krytyczka literacka, dziennikarka prowadząca audycje telewizyjne, tłumaczka – referowała policjantka. – Przed kilkoma laty w tygodniku „Der Spiegel” ukazał się artykuł, w którym sportretował ją dziennikarz Takis Würger. Opisał ją jako jedną z najbardziej wpływowych osób świata literatury niemieckojęzycznej. Jako szara eminencja w tym środowisku budzi zarówno respekt, jak i postrach, bo potrafi wynieść autora na sam szczyt, ale też zupełnie go zniszczyć.

– No oczywiście! Przecież wiem, kto to jest! – przerwała jej Nicola Engel. – Często oglądałam jej program o książkach. Puszczali go w niedzielę.

– Ja też go oglądałam! – Kathrin się ucieszyła i rzuciła Cemowi i Tarikowi wyzywające spojrzenie.

– A ja nie – stwierdził Kai Ostermann sucho. – Ale dzisiaj włączyłem sobie kilka filmików *Paula czyta* na YouTube i jedno muszę przyznać: Heike Wersch w każdym z odcinków dostarcza motywów potencjalnym mordercom. – Spojrzał w notatki. – Kobieta nie przebiera w słowach i wali bez ogródek po nazwisku. Weźmy na przykład autora kryminałów Svena Klizecka, którego nazwała głupkiem i beztalenciem, a jego książki scharakteryzowała jako „boleśnie stereotypowe grafomaństwo”, do tego stwierdziła, że są „idiotyczne”, „żałosne”, „odrażające” i „męczące”, że wręcz „obrażają czytelników”. W jednym z odcinków wyznała nawet, że gdyby miała wybierać między lekturą kolejnej powieści José Cueño a zatruciem zepsutą rybą, bez wahania sięgnęłaby po talerz.

– Czy to wystarczy, żeby kogoś zamordować? – zastanawiała się Pia na głos.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to pewnie poczułbym się skrajnie obrażony, gdyby ktoś publicznie, przed kamerami, obrzucał podobnymi inwektywami książkę, nad którą siedziałem kilka miesięcy czy nawet lat, i na koniec z odrazą wyrzucał ją do kosza na śmieci.

– Tak przy okazji, to zawsze większą przyjemność sprawiało mi czytanie książek, które wyrzucała do śmieci, niż tych, które polecała – zauważyła Kathrin.

– Sekundka, o co chodzi z tym wyrzucaniem do śmieci? Dosłownie to robiła? – Bodenstein pisał coś na telefonie, ale przerwał i z zainteresowaniem przesunął wzrokiem po zebranych.

– To jeden ze stałych elementów jej programów, taki znak charakterystyczny. Książki, które jej się nie spodobały, po omówieniu trafiają do kubła na śmieci – wyjaśniła Nicola Engel.

– No i to by było coś! – Cem uśmiechnął się szeroko. – Urażony autor zrobił krytyczce literackiej to samo, co ona jego książce!

– Ciekawa hipoteza – uznał Bodenstein.

– Mielibyśmy do czynienia z książkowym przykładem morderstwa – zażartował Tarik.

– *W kubie* – dorzucił Kai, nie kryjąc rozbawienia. – Najnowszy thriller...

– Wystarczy, moi drodzy! – Nicola przerwała rozweselonemu towarzystwu. – Koleżanko Fachinger, proszę kontynuować.

– Przed kilkoma tygodniami pani Wersch została dyscyplinarnie wyrzucona z wydawnictwa Winterscheid, w którym przepracowała ponad trzydzieści lat. – Policjantka wróciła do omawiania sylwetki zaginionej. – Po zwolnieniu udzieliła kilku wywiadów, w których w wyjątkowo niepochlebny sposób wypowiadała się na temat swojego byłego szefa, Carla Winterscheida. Wszystkie gazety szeroko opisywały tą sprawę. W internecie można znaleźć jeszcze więcej informacji o tym sporze. – Policjantka zaczęła przeglądać notatki, aż znalazła właściwą kartkę i zaczęła czytać: – „Nie uspokaja się sytuacja w znanym i cenionym wydawnictwie Winterscheid z Frankfurtu, odkąd w styczniu 2017 roku stery znajdującego się w tarapatach finansowych przedsiębiorstwa przejął Carl Winterscheid (lat 34), wnuk legendarnego założyciela firmy, Carla Augusta Winterscheida (zmarłego w 1989 roku). Do prasy ponownie docierają informacje o wewnętrznych konfliktach. Jak wieść niesie, starzy pracownicy wydawnictwa sprzeciwiają się nowej linii programowej, narzuconej przez dyrektora. «On nie ma zielonego pojęcia o literaturze!», skarży się wieloletnia redaktorka prowadząca Heike Wersch (lat 56), która od ponad trzydziestu lat zajmuje się najważniejszymi autorami, wśród których wymienić należy choćby zdobywcę literackiej Nagrody Nobla Alfrieda Kempermana, a także Hellmutha Englischa czy Franziskę Mannesfeldt. «Carl Winterscheid to chciwy ignorant bez klasy i jakiegokolwiek zrozumienia, czym jest dobra książka. Zamierza przekształcić najlepsze wydawnictwo w kraju w jednego z wielu masowych producentów kiczowatych czytadeł. Prawdę mówiąc, nie powinnam się temu dziwić, skoro pochodzi z tej linii rodziny, która za nic miała wartości, a zależało jej jedynie na pomnażaniu majątku». – Podniosła wzrok. – Ten artykuł ukazał się przed trzema tygodniami. Kilka dni później publicznie zdemaskowała Severina Veltena jako plagiatora, który swoją najnowszą powieść w całości ukradł jakiemuś chilijskiemu autorowi. Media uznały to za akt zemsty.

– Hm. – Nicola Engel ściągnęła usta i bezwiednym gestem lewej dłoni podrapała Beck'sa za uchem. – Gdyby miało się potwierdzić, że Heike Wersch padła ofiarą zbrodni, prasa rzuciłaby się na ten temat jak dzika.

W przeciwieństwie do swego poprzednika, który uwielbiał reprezentacyjne konferencje prasowe i błysk fleszy, nie przepadała za medialnym szumem. Znana

i ceniona krytyczka literacka zamordowana – być może – przez sławnego na całym świecie pisarza i wrzucona do kubła na śmieci; taki temat spadłby z nieba prasie, która z radością zaczęłaby pisać o czymkolwiek innym poza Donaldem Trumpem, brexitem i rekordowo gorącym i suchym latem. Pia spojrzała szybko na szefa. Miała wielką nadzieję, że Nicola Engel, mimo swego nieskrywanego uwielbienia dla talentu Severina Veltena, nie będzie próbowała ingerować w dochodzenie.

– Nie mam wyjścia i muszę powiadomić o tej sprawie krajowego ministra spraw wewnętrznych i komendanta głównego policji. – Kobieta wstała i strzepnęła ze spodni psią sierść. – Prosiłabym o zachowanie całkowitej dyskrecji i wyczucie. Bodenstein, proszę informować mnie na bieżąco o postępach.

– Oczywiście – potaknął Oliver.

– I żadnych żartów o kubłach na śmieci, rozumiano? – Nicola Engel spojrzała znacząco na Cema, Tarika i Kaia. Zanim wyszła z sali, zatrzymała się w progu, odwróciła się i popatrzyła na Pię.

– Jakiego wzrostu jest pani Wersch? – zapytała policjantkę.

– Nie mam pojęcia, niestety – odparła zaskoczona Pia. – Dlaczego może to mieć jakieś znaczenie?

– Bo ktoś wysoki albo przy kości nie zmieściłby się w kuble na śmieci.

– W jej kuble akurat by się zmieścił. – Tarik ruszył Pii z odsieczą. – Na posesji pani Wersch i jej ojca stoi dwustuczterdziestolitrowy pojemnik.

DZIEŃ DRUGI

Piątek 7 września 2018

Tato! Nie mogłam cię znaleźć!

Bodenstein poderwał głowę wybudzony nagle z głębokiego snu. Przez chwilę rozglądał się zdezorientowany, usiłując ustalić, kto się na niego rzucił, by w końcu uświadomić sobie, że leży w łóżku w pokoju gościnnym w suterenie domu Karoline.

– Dlaczego śpisz na dole? – Sophia była wyraźnie roztrzęsiona. Przytuliła się do niego, objęła go za szyję i tak mocno ścisnęła, że Bodenstein nie mógł zaczerpnąć tchu. – Wszędzie cię szukałam, tato! Gerda powiedziała, że Karoline wywaliła cię z domu! – Ze zdenerwowania dostała czkawki, jak w czasach kiedy była małym dzieckiem.

– Bzdury gada, kochanie. Przecież nie zostawiłbym cię tutaj samej, prawda? – mruknął Oliver i przytulił córkę. – Bez ciebie nigdzie się nie ruszę.

Z cichym szlochem Sophia przytuliła go jeszcze mocniej. Doskonale potrafił zrozumieć jej strach przed porzuceniem i samotnością. Całe życie córki naznaczone było niepewnością: nigdy nie miała jednego domu, bo na zmianę mieszkała u Cosimy i u niego, ba, nawet weekendów nie spędzała zawsze w tym samym miejscu. Na dodatek Cosima wyjeżdżała na trwające po kilka tygodni ekspedycje, a wtedy dziewczynka trafiała do Lorenza, Rosalie, do dziadków czy nawet do koleżanek, bo Bodenstein musiał przecież pracować. Dwunastolatka pakowała swoje rzeczy do walizki z pomocą stewardessy i nauczyła się szybko odnajdywać w nowych miejscach. Tak przynajmniej wyglądało to z zewnątrz, a jednak w tym przypadku pozory myliły, bo istota rzeczy nie przedstawiała się już tak różowo. Na dodatek od wykrycia choroby u matki dziewczynka jeszcze mocniej potrzebowała bliskości.

– Która jest godzina? – Bodenstein poczekał, aż córka się uspokoi, odszukał komórkę i spojrzął na czarny ekran.

– Dwadzieścia po siódmej – poinformowała Sophia.

– Dobrze, że mnie obudziłaś. – Pocałował córkę w czoło. – Telefon mi się zupełnie rozładował, więc budzik by się nie włączył.

– Dlaczego spałeś w pokoju dla gości? – zainteresowała się Sophia, kiedy przeciągał się, ziewając. Oliver nie wiedział, czy powinien jej powiedzieć, że poprzedniego wieczoru Karoline zamknęła się w ich sypialni, zapłakana i obrażona z powodu tego, że przez cały dzień nie reagował na jej wiadomości. Sophia zasługiwała na szczerłość, tym bardziej że miała już dwanaście lat, więc była dość duża, by zrozumieć sytuację. Poza tym sama i tak niedługo by się zorientowała.

– Mogę pożyczyć twoją szczoteczkę do zębów? – zapytała, przerywając jego rozmyślenia, jak przedstawić sytuację, żeby nie zaczęła się obwiniać za trudne stosunki między jej ojcem i macochą.

– Dlaczego nie użyjesz swojej? – Bodenstein spojrzął na nią zdziwiony.

– Bo Greta zamknęła się w naszej łazience i bierze kąpiel.

– Musiała akurat o tej porze? Przecież ma cały dzień na kąpiele.

– Ona to robi tylko po to, żeby mnie wkurzyć. Zazwyczaj jestem od niej szybsza, ale dzisiaj wyprzedziła mnie już na korytarzu. – Sophia się skrzywiła. – Jak tylko wyjdę do szkoły, ona wróci do łóżka i będzie oglądała Netflixa. Karoline powiedziała, że to łazienka Greta, a ja tu jestem tylko gościem, więc na przyszłość mam wcześniej wstawać.

Słyszając jej słowa, Bodenstein poczuł taki przyływ adrenaliny, że momentalnie otrząsnął się z resztek snu i zmęczenia. Włożył szybko spodnie, skarpetki i buty, po czym otworzył drzwi na korytarz.

– Dokąd idziesz? – zapytała Sophia z niepokojem. – Co chcesz zrobić?

– Idziemy po twoją szczoteczkę do zębów – odparł mężczyzna ponuro. Bodenstein z natury był bardzo pokojowo nastawionym człowiekiem i niemal szczylił się tym, że w nerwowych i stresujących sytuacjach zwykle potrafił zachować panowanie nad sobą. Teraz jednak trząsnął się z wściekłości. Oczyma wyobraźni widział już siebie, jak mocarnym kopniakiem wywala drzwi do łazienki, a potem chwytą za włosy tę odrażającą i fałszywą dziewczuchę, która od

sześciu lat go terroryzowała i zniszczyła jego małżeństwo, wyciąga ją z wanny i zrzuca ze schodów.

– Nie, tato! Proszę, nie rób tego! Jak raz nie umyję zębów, to nic się nie stanie! – przestraszyła się Sophia. Oliver był tak zły, że zignorował jej prośby. Zdecydowanym krokiem wmaszerował schodami na piętro i zabębnił pięścią w zamknięte drzwi łazienki.

– Greto, wpuść proszę Sopię, żeby mogła umyć zęby i się uczesać – polecił, z trudem panując nad głosem. – Nie chcę, żeby spóźniła się do szkoły.

– No to ma pecha. Bo akurat leżę w wannie – stwierdziła Greta.

– I zaraz będziesz mogła do niej wrócić. – Bodenstein zacisnął pięści. – Otwórz. Proszę. Drzwi.

– Tato, daj spokój, chodźmy już! – poprosiła Sophia drżącym głosem. Jej wielkie oczy wypełniły się łzami, co podziałało na Olivera jak płachta na byka. Teraz już nie chodziło o jakąś szczoteczkę do zębów, a o zasady. Greta tyranizowała nie tylko jego, ale również jego córkę, a on jej dotychczas nie bronił tak, jak powinien.

– Otwieraj te cholerne drzwi, bo je wyłamie! – ryknął. W tej samej chwili na końcu korytarza pojawiła się Karoline. Miała jeszcze mokre włosy po porannym prysznicu, ale zdążyła się ubrać do wyjścia.

– Co to za krzyki o tak wczesnej porze? – zapytała wyraźnie zła.

– Twoja córka blokuje łazienkę, mimo że ma cały dzień na leżenie w wannie – wycedził Bodenstein. – Poprosiłem, żeby wpuściła Sopię, bo musi umyć zęby przed wyjściem do szkoły.

– No i? Przecież to łazienka Greta. – Karolina spojrzała na niego zdziwiona. – Może z niej korzystać kiedy chce i jak długo jej się podoba.

Oliver nagle się uspokoił.

– Mówisz serio? – zapytał żonę i popatrzył jej w oczy. To, co w nich zobaczył, w najmniejszym stopniu nie poruszyło jego serca. Miał przed sobą zupełnie obcą osobę. – Ja i Sophia jesteśmy jedynie gośćmi w twoim domu?

Z wnętrza łazienki dobiegł plusk, mokre kroki po posadzce, a potem szcęknięcie zamka i drzwi stanęły otworem. W progu stanęła Greta, kompletnie naga i ociekająca wodą. Uśmiechnęła się prowokacyjnie i cisnęła w stronę Bodensteina szczoteczkę do zębów Sophii.

– Trzymaj swoją zasraną szczoteczkę, głupi zboku! I co, zadowolony? – krzyknęła, po czym zatrzasnęła głośno drzwi.

– Wszystko jasne – powiedział Oliver głuchym głosem. Nachylił się, podniósł z ziemi szczoteczkę do zębów i podał ją płaczącej córce.

– Co to miało znaczyć? Co jest jasne? – Karoline spojrzała na niego, oczekując odpowiedzi.

– Kochanie, poczekaj na mnie na dole – poprosił Bodenstein, zwracając się do córki. – Ja się szybko ubiorę i zaraz jedziemy.

Ruszył w stronę sypialni. Karoline pobiegła za nim.

– Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać? – zapytała. – Oliver! Dlaczego nie odpowiadasz na moje wiadomości?

Odwrócił się tak szybko, że prawie na niego wpadła.

– Bo wygoniłaś mnie z naszej sypialni i dlatego, że pozwalasz swojej córce nazywać mnie głupim zbokiem – wyjaśnił chłodno. – Dlatego, że od miesięcy ignorowałaś każdą moją prośbę. Dlatego, że żadna z was nie myśli o tym, co czuje Sophia, mimo że obie przysięgałyście mi na wszystkie świętości, że będzie inaczej. Czy to wystarczy?

– Musisz zrozumieć, że to naprawdę trudna sytuacja dla Grety... – zaczęła Karoline, ale Bodenstein miał tej śpiewki po dziurki w nosie.

– Wystarczy! – uciął krótko.

Oczy Karoline w jednej chwili wypełniły się łzami. Jej nastroje zmieniały się szybciej niż kwietniowa pogoda. Dawniej można było liczyć na dłuższe okresy względnej normalności i spokoju, ale od kiedy Cosima trafiła do szpitala, a do domu wprowadziła się Sophia, życie z Karoline zmieniło się w nieustający rollercoaster napadów zazdrości, skruchy, żalu i zapewnień, że wszystko się zmieni. Tym razem Bodenstein miał już dość. Trzymał się wszystkich zaleceń psychologów i terapeutów. Próbował zapewniać żonie poczucie bezpieczeństwa i bliskości. Był słowny, uważny, tolerancyjny i wyrozumiały, a mimo to sytuacja ustawicznie się pogarszała. Bywało, że Karoline wydzwaniała do niego nawet trzydzieści razy dziennie, by sprawdzić, gdzie i z kim akurat przebywa. Bezustannie podejrzewała go o niewierność, wpadała w histerię i przysięgała dozgonną miłość, by za pół minuty obrzucić go stekiem inwektyw.

Bodenstein wyjął z szafy świeże rzeczy i się przebrał.

– Porozmawiajmy o tym wszystkim – poprosiła go Karoline. – Przysięgam, że będę...

Nagle rozdzwonił się telefon stacjonarny na nocnym stoliku po jej stronie łóżka. Kobieta podniosła słuchawkę.

– Tak? – zgłosiła się i przez chwilę słuchała osoby po drugiej stronie. – Nie, nie może w tej chwili rozmawiać. Proszę spróbować później, już na jego komórkę.

Po czym przerwała połączenie.

– Dlaczego nie mogę w tej chwili rozmawiać? – Bodenstein nie krył irytacji. – Kto dzwonił?

– Pani Sander – wyjaśniła Karoline, a jej ton ociekał sarkazmem. – Twoja Pia. Ona też jest ważniejsza ode mnie, prawda? Tak samo jak Nicola, Cosima czy cała reszta tych twoich babsztyli! Później sobie do niej oddzwonisz. Musimy porozmawiać, Oliverze. Tu i teraz.

– Wczoraj wieczorem rzeczywiście mieliśmy czas na rozmowy. Ale postanowiłaś zamknąć się w sypialni, zostawiając mnie pod drzwiami – odparł Bodenstein i wyciągnął rękę. – Tu i teraz muszę oddzwonić do mojej współpracownicy. Podaj mi, proszę, telefon.

W tej samej chwili ponownie rozległ się sygnał przychodzącego połączenia. Bodenstein bez słowa mierzył żonę zdecydowanym spojrzeniem. W końcu Karoline się ugięła i niechętnym gestem podała mu bezprzewodową słuchawkę, po czym minęła go w milczeniu i weszła do łazienki.

– Szefie, od wczoraj próbuję się do ciebie dodzwonić! – Usłyszał głos Pii. – Co się z tobą dzieje? Wyprowadziłeś się już, czy co?

– Nie. – Bodenstein spojrział szybko w stronę łazienki, ale jego żona nie mogła usłyszeć pytania Pii. – Zapomniałem podłączyć komórkę do ładowania.

– No okej. Ale posłuchaj tego: wczoraj wieczorem odwiedziliśmy z Tarikiem kilkoro sąsiadów z Bad Soden, których nie zastaliśmy przy rozpytaniach przed południem. I jeden z nich powiedział, że w poniedziałek wieczorem około siódmej widział jakiegoś faceta na ulicy przed domem Heike Wersch. To się pokrywa z informacjami, które wczoraj przekazał nam inny sąsiad. Facet czekał jakiś czas przed bramą i patrzył na dom, a potem wziął i przelazł przez płot. Nasz rozmówca podał nam dość szczegółowy opis nieznanego, na co Tarik wpadł na pomysł, żeby pokazać mu zdjęcie jedno nogiego żurawia.

– Severina Veltena? – Bodenstein zdjął z wieszaka marynarkę i zamknął drzwi szafy. – A skąd Tarik miał jego fotkę?

– W internecie są ich setki, gość jest naprawdę sławny – wyjaśniła Pia. – Sąsiad jest w każdym razie przekonany, że to on czekał przed bramą, a potem przeszedł przez płot. Wprawdzie inny z sąsiadów miał widzieć panią Wersch po tej wizycie, więc żuraw...

– Severin Velten.

– Tak, racja. Nie mogłam sobie przypomnieć jego nazwiska. Chodziło mi o to, że on nie mógł jej zabić.

– Okej – potaknął Bodenstein. – Odwiozę Sophię do szkoły i za pół godziny jestem w biurze. Kai powinien do tego czasu ustalić adres zamieszkania Veltena. Musimy z nim porozmawiać. Czyli co, do zobaczenia na miejscu!

– Ze wszystkimi chcesz rozmawiać, tylko nie ze mną! – poskarżyła się Karoline głuchym głosem. – Co ja takiego robię źle?

– Muszę już iść. – Bodenstein wyszedł z sypialni, nie całując jej na do widzenia. W tej chwili wołał szukać zwłok, niż prowadzić kolejną bezproduktywną rozmowę z żoną.

*

Kai Ostermann narysował pisakiem na białej tablicy dużą oś czasu, na której we właściwej kolejności pozaznaczał wszystkie sytuacje, kiedy to zauważono Heike Wersch i jej gości, o czym opowiedzieli jej sąsiedzi. Czas tych zdarzeń był tylko przybliżony, a opisy poszczególnych osób bardzo ogólnikowe, dość indywidualne i nie zawsze zgodne, ale dawały pierwszy spójny obraz przebiegu poniedziałku, choć wciąż pozostawały do wypełnienia liczne luki. Dochodzenie zawsze przypominało bardzo skomplikowaną łamigłówkę, a każda, z pozoru nawet najbliższa informacja mogła okazać się kluczem do drzwi, za którymi skrywała się prawda. Poza Bodensteinem w sali odpraw zebrał się już cały zespół K11, włącznie z Nicolą Engel.

Pia stanęła obok przełożonej i razem patrzyły na tablicę, usiłując zrekonstruować wydarzenia, które rozegrały się w miniony poniedziałek w domu Heike Wersch. O wpół do szóstej wieczorem na teren posesji wszedł mężczyzna o kędzierzawych włosach i w okularach. Tarik udał się z kartą bankomatową

zaginionej do banku Taunussparkasse i wydrukował tam listę operacji. Dzięki temu policja wiedziała, że trzeciego września, cztery minuty po siódmej wieczorem Heike Wersch w jednym z supermarketów w Bad Soden zapłaciła kartą za zakupy 186,88 euro. Trudno było wyrokować, czy przypięła ojca wychodząc po zakupy, czy później, oraz brakowało informacji, co stało się z zakupionymi rzeczami, poza kurczakiem bio, który został w bagażniku. Wczesnym wieczorem, między siódmą a wpół do ósmej, przez płot na posesję zaginionej wszedł drugi mężczyzna, nieco młodszy tym razem, w którym jeden z sąsiadów rozpoznał pisarza Severina Veltena. Nikt nie był w stanie powiedzieć, skąd wziął się tam starszy typ o wyglądzie artysty, a potem autor, ani jak i kiedy stamtąd wyszli. O wpół do drugiej w nocy inny z sąsiadów widział Heike Wersch, jak wystawia kubel z odpadami na chodnik. Jeszcze kolejny w czasie nocnego spaceru z psem miał zwrócić uwagę na samochód, który sąsiadka wyprowadziła z garażu i gdzieś odjechała.

– To wszystko nie układa się w sensowną całość. – Pia spojrzała na pozostałych.
– Co się stało z zakupami? Za taką kwotę trochę tego musiało być.

– Wiemy może, kiedy konkretnie były opróżniane kubły na tej ulicy? – zapytała Nicola Engel.

– We wtorek przed jedenastą rano – odparł Tarik.

– Ten kędzierzawy typ o wyglądzie artysty... kto to może być? – zastanawiała się Pia.

– Obstawiałbym Alexandra Rotha – odezwał się Kai zza pleców pozostałych. Siedział przy stole konferencyjnym przed komputerem, który teraz odwrócił tak, żeby Pia mogła zobaczyć ekran. – To redaktor prowadzący w wydawnictwie Winterscheid. Zastąpił na tym stanowisku Heike Wersch. Znalazłem jego zdjęcie na stronie wydawnictwa.

– Aha. – Nicola Engel, Pia, Cem, Kathrin i Tarik przyglądali się fotografii przedstawiającej mężczyznę o przyjaznym uśmiechu.

– Maria Hauschild, agentka Henninga, opisała go jako przyjaciela Heike Wersch – przypomniała sobie Pia. – Znają się podobno już od podstawówki.

– Trzeba z nim dzisiaj porozmawiać – zdecydowała Nicola Engel. – Z szefem wydawnictwa przy okazji też.

– Znacznie bardziej chciałabym zadać kilka pytań Severinowi Veltenowi – odpowiedziała Pia. – Wczoraj wieczorem spędziliśmy z Kaiem trochę czasu na poszukiwaniach w internecie. To jeden z najbardziej uznanych pisarzy w Niemczech. Jego książki zgarnęły masę nagród. Po ujawnieniu tej sprawy z plagiatem rozpętała się prawdziwa gównoburza. Gość stracił gościnną profesurę na uniwersytecie w Berlinie i odsunęły się od niego autorskie organizacje branżowe. To koniec jego kariery, facet się skompromitował. Ze względu na ilość hejtu wylewającego się w komentarzach zablokowano dostęp do jego strony internetowej i profilu na Facebooku. Dlatego jeśli miałabym wskazać kogoś z dobrym motywem, kto chciałby zemścić się na Heike Wersch, on byłby pierwszy w kolejce.

Nicola Engel ściągnęła usta i zaczęła się zastanawiać.

– Możesz mieć rację – przyznała po krótkim wahaniu. – Choć mimo to nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Severin Velten był do czegoś takiego zdolny.

W trakcie niemal każdego dochodzenia Pia spotykała ludzi, którzy nie chcieli uwierzyć, że ktoś, kogo znali, może być mordercą. Ale to, że jej szefowa również się do nich zalicza, było dla niej dużym zaskoczeniem.

Nicola Engel rozejrzała się i zmieniła temat.

– A gdzie się podziewa Bodenstein?

– Jest już w drodze – odparła Pia.

– Wiesz może, co się z nim ostatnio dzieje? – Dyrektorka odprowadziła ją kawałek na bok. – Zaczynam się o niego martwić.

– Nie chciałabyś chyba, żebym plotkowała o moim bezpośrednim przełożonym, prawda?

– Czyli coś wiesz. – Nicola Engel nie dawała za wygraną i zmierzyła Pię zmrużonymi oczyma. – Powiedział ci, co z nim jest?

– A już na pewno byś nie chciała, żebym musiała okłamywać swoją główną przełożoną. – Pia zwinnie uniknęła odpowiedzi i opuściła niebezpieczne terytorium. – Przy okazji: otrzymałam informację od lekarza rodzinnego Heike Wersch, że udało się znaleźć miejsce w domu opieki w Bad Soden dla jej ojca, gdy tylko wypuszczą go ze szpitala. Myślisz, że jest sens próbować z nim porozmawiać? W sumie mógł coś słyszeć albo widzieć.

– On nie ma przypadkiem alzheimera? – Nicola Engel bez protestów przystała na zmianę tematu.

– Niestety, i to dość zaawansowanego.

– Moglibyście spróbować – zgodziła się dyrektorka. – Chorzy na alzheimera miewają przeblęski, kiedy wszystko kojarzą.

– Przyszła wam do głowy możliwość, że to nie Heike Wersch wystawiła kubel na śmieci i nie ona wyjeżdżała z garażu samochodem, bo już od dawna była martwa? – zapytał Tarik.

– Trudno powiedzieć, ale sąsiad twierdzi, że to jednak była ona. – Cem był dość sceptyczny.

– Niby tak, ale pomyśl o naszym mordercy z dnia matki – oponował Tarik. – Zmylił nie tylko swoje ofiary, ale i nas!

– Poza tym było wtedy już ciemno i padało – dokończyła Kathrin. – Może sąsiadowi tylko się wydawało, że to była ona.

Początek dochodzenia to czas, w którym dozwolone były wszystkie, nawet najbardziej szalone hipotezy. Rzadko kiedy do wykonania policyjnej pracy wystarczał jeden dobry pomysł; znacznie częściej konieczna była mieszanka zgadywanek, dociekań, kombinacja najróżniejszych możliwości, które razem naprowadzały śledczych na właściwy trop.

– Uwaga, uwaga! Słuchajcie! – Do sali odpraw wmaszerował Christian Kröger, na co Beck's zerwał się ze swojego miejsca pod stołem i rzucił się, żeby go przywitać. – Mamy wyniki z laboratorium. DNA krwi zabezpieczonej w kuchni, na klapie bagażnika, wewnątrz samochodu i na kubie na śmieci ponad wszelką wątpliwość zgadza się z DNA próbek porównawczych zabezpieczonych ze szczoteczki do zębów i szczotki do włosów znalezionych w łazience zaginionej. – Mężczyzna nachylił się i pogłaskał psa. – A zatem tak, jest to krew Heike Wersch.

Żadne z nich nie chciało znaleźć ciała zaginionej w bagażniku jej samochodu, jednak jeszcze trudniejsza do zaakceptowania była świadomość, że ktoś mógł ją zamordować, a później wyrzucić zwłoki do kubła jak śmieci.

– Miałam szczerą nadzieję, że unikniemy przekopywania się przez tony odpadów – westchnęła Nicola Engel. – Jeśli szanowny pan von Bodenstein zechce zaszczyścić nas wkrótce swoją obecnością, proszę mu przekazać, żeby się u mnie pojawił. Mamy już ślad przemieszczania się komórki zaginionej?

– Dzisiaj powinien do nas dotrzeć – odparł Kai Ostermann. – Dodatkowo ich pospieszyłem.

– Jeśli można, wziąłbym na siebie koordynację działań w spalarni odpadów – wtrącił się Kröger. – Zajmowałem się tym już kilka razy wcześniej i wiem, z czym to się je. Jeśli dostanę do dyspozycji kilka osób z K11, nie będziemy musieli ściągać nikogo dodatkowo z prewencji, a to oznacza wyraźną redukcję kosztów.

– I to jest dobry argument, można zaczynać, kolego Kröger. Koleżanko Sander, proszę informować mnie na bieżąco. – W obecności innych dyrektorka dalej zwracała się do Pii z zachowaniem służbowego dystansu. – Niedługo mam spotkanie w Wiesbaden, ale cały czas jestem dostępna pod telefonem.

Po tych słowach szefowa wyszła z sali odpraw.

– Kai, ustaliłeś już adres Severina Veltena? – Pia celowo czekała z tym pytaniem, aż zostaną sami, bo obawiała się, że Nicola Engel odwoła wszystkie pilne spotkania, byle tylko móc być przy przesłuchaniu swojego ulubionego autora.

– Pewnie. – Ostermann uśmiechnął się szeroko, bo trafnie odgadł jej zamiary. – Jest zameldowany we Frankfurcie przy Bachforellenweg, w dzielnicy Westhafen.

*

Ubiegłego wieczoru Julia nie położyła się do łóżka, tylko siedziała przy biurku, pracowała i ziewała. Dopiero około drugiej w nocy zasnęła nad korektą tłumaczenia francuskiej powieści, do której prawa udało jej się nabyć zeszłej jesieni po zaciętej licytacji z innym wydawnictwem. Wiedziała, że tego dnia musi oddać gotowy tekst, bo czas naglił i trzeba było przystąpić do łamania. Presja wzięła się stąd, że francuski oryginał został udostępniony dużo później, niż im obiecywano, potem trzeba było znaleźć dla niego nowego tłumacza, a na dodatek książkę zaplanowano jako jeden z głównych tytułów na targi, które rozpoczynały się już za cztery tygodnie. Niekiedy praca pod presją czasu bywała wręcz fascynująca, jednak z pośpiechem zawsze wiązało się większe niebezpieczeństwo popełnienia błędów, których w innych sytuacjach dałoby się uniknąć. Zazwyczaj nie miała problemu ze skupieniem się na pracy; dzisiaj jej myśli krążyły wokół innego tematu. Bardzo chciała zapytać Henninga Kirchhoffa, czy jego była żona podzieliła się z nim jakimiś informacjami na temat Heike Wersch i czy udało się ustalić jej miejsce pobytu. A jeśli rzeczywiście spotkało ją coś złego? Czy była żona

mogła mówić mu o takich sprawach? Ani nikt z rodziny, ani nikt z najbliższych znajomych Julii nie miał nigdy styczności z prawdziwym przestępstwem – może z wyjątkiem wujka, do którego mieszkania włamali się złodzieje, a jej kontakty z policją ograniczały się dotychczas do jednej kontroli drogowej, i to też krótko po tym, jak odebrała prawo jazdy.

Nagle rozdzwonił się telefon. Julia podskoczyła przestraszona i spojrzała na ekran; niestety, nie był to Kirchhoff, tylko Anja Dellamura, szefowa działu artystycznego. Umówiły się na szybki lunch w MoschMosch przy placu Goethego, żeby omówić ostatnie szczegóły jutrzejszej sesji fotograficznej w parku przy willi wydawnictwa. Dział handlowy koniecznie potrzebował nowych zdjęć Millie Fischer, autorki, której powieści ukazywały się wcześniej w grupie Droemer; dział marketingu specjalnie na tę okazję wynajął znaną fotografkę, wizażystkę i stylistkę. Julia wpadła na pomysł, żeby po zaplanowanej na trzy do czterech godzin sesji wziąć pisarkę do jakiejś dobrej restauracji na obiad, a później oprowadzić po pełnych historii wnętrzach wydawnictwa. Poprosiła panią Winterscheid-Fink, by wzięła na siebie rolę przewodniczki, na co ta się zgodziła, mimo że wizyta Millie Fischer wypadła w sobotę. Julia westchnęła ciężko i wróciła do tekstu, nad którym pracowała. Była pewna, że w końcu znajdzie pretekst, by zadzwonić do Kirchhoffa.

*

Bodenstein był nieogolony i wyglądał jeszcze gorzej niż poprzedniego dnia. Pia i Kai Ostermann byli tego samego zdania, gdy zobaczyli go po przyjeździe do biura. Beck's zerwał się z legowiska przy biurku Kaia i przywitał policjanta zamaszystymi ruchami ogona.

– Dzień dobry! – Pia spojrzała na niego znad swoich notatek. Była akurat zajęta spisywaniem raportu z wydarzeń w domu Heike Wersch, który musiała przesłać do wirtualnej bazy spraw systemu ComVor. – Szefowa chce z tobą rozmawiać.

– To już załatwione – pokiwał głową Oliver. – Wpadłem na nią na korytarzu. Gdzie są pozostali?

– W drodze do spalarni odpadów – wyjaśniła policjantka i wróciła do pisania. – Christian wziął na siebie koordynację tej akcji. Cem, Kathrin i Tarik pojechali razem z nim. Ja też zaraz kończę.

– Sorry za szczerość, szefie, ale wyglądasz, jakbyś potrzebował kawy. – Kai wyjrzał zza ściany monitorów na swoim biurku. – Dopiero co zaparzyłem. Częstuj się, proszę.

– Dzięki, ale wezmę taką na wynos. Twoja jest dla mnie za mocna. – Bodenstein odrzucił propozycję.

– Pfff! – prychnął Kai i machnął pogardliwie ręką.

Parzona przez niego kawa – napar o barwie i konsystencji smoły – którą produkował w przedpotopowym, nigdy nieodkamienianym ekspresie, była słynna wśród wszystkich funkcjonariuszy i funkcjonariuszek. Jednak poza Cemem, który pił ją z maleńkich filiżanek do espresso, nikt, kto jej spróbował, nie ryzykował powtórzenia tego błędu.

– Zamknij, proszę, drzwi – poprosiła szefa Pia.

– Dlaczego? – zdziwił się Oliver, ale postąpił zgodnie z jej życzeniem.

– Od kiedy szefowa zrezygnowała z chodzenia na szpilkach, człowiek nigdy nie wie, kiedy się zbliża – odpowiedział Kai z chichotem. – A Pia się boi, że będzie chciała siedzieć wam nad głową, jak ściągniecie jej ulubionego autora na rozmowę.

– Kai znalazł już adres jednonogiego żurawia – wyjaśniła Pia. – Mieszka we Frankfurcie przy Bachforellenweg, w dzielnicy Westhafen. W poniedziałek wieczorem był u Heike Wersch i ma motyw. Doktor Engel zgodziła się, żebyśmy z nim porozmawiali.

– Jeszcze by tylko brakowało, żeby miała coś przeciwko, bo lubi książki tego faceta! – oburzył się Bodenstein. – Pojedziemy zamienić z nim kilka słów, zanim dołączymy do reszty w spalarni odpadów. Kai, wyślij, proszę, radiowóz pod adres Severina Veltena. Jeśli uznamy, że trzeba go zatrzymać, będziemy mieli transport do komisariatu.

Nieco później siedzieli w cywilnym samochodzie służbowym i drogą A66 zmierzali w stronę Frankfurtu. Bodenstein wysłuchał sprawozdania Pii z porannej odprawy i zajął się pisaniem czegoś w komórce. Niedługi odcinek między Westkreuz i zjazdem Frankfurt Westhafen i późniejszy przejazd Gutleutstrasse upłynął im w ciszy. Znali się tak dobrze i od tak dawna, że żadne z nich nie odczuwało presji, by każdą chwilę ciszy wypełniać rozmową. Dwadzieścia pięć minut później Pia skręciła w Zanderstrasse i znalazła parking niedaleko budynku,

w którym mieszkał Severin Velten, jednego z dwunastu siedmiopiętrowych apartamentowców z widokiem na marinę i kołyszące się na wodzie jachty. Przed wejściem stał zaparkowany radiowóz. Słońce padające na rzekę odbijało się tysiącami refleksów w przeszklonej fasadzie Westhafen Tower, która wyglądała jak butelka cydru. Westhafen pełniło dawniej ważną funkcję jako znaczący punkt przeładunkowy dla transportowanych rzeką towarów, jednak początek lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku przyniósł gwałtowny spadek znaczenia rzeczno-portu, który przez kilka następnych dekad coraz bardziej podupadał gospodarczo. Uratowała go decyzja jednego z urzędników ratusza, który wpadł na pomysł, by zapomniane okolice przemysłowe przekształcić w tereny mieszkalne. W ten sposób plama wstydu na mapie Frankfurtu zmieniła się w jeden z najbardziej pożądanых adresów z marynistycznym sznytem: apartamenty nad wodą, mimo że w centrum Frankfurtu.

– Byliśmy kiedyś w jednym z tych domów, po tamtej stronie, tyle że wtedy przyjechaliśmy kogoś zatrzymać. – Pia spojrzała na szefa. – Sprawa Śnieżki, pamiętasz?

– Nie. Nigdy tu nie byłem – odparł Bodenstein. Dopiero wtedy Pia uświadomiła sobie, że sama musiała dokonać zatrzymania aktorki Nadji von Bredow, bo jej szef w drodze do Frankfurtu spowodował wypadek. Do dziś doskonale pamiętała, jak siedział na barierze energochłonnej przy zjeździe z autostrady i wyglądał jak kupka nieszczęścia, patrząc, jak służby wciągają na lawetę złom, który został z jego samochodu. Mimo że działo się to dziesięć lat wcześniej, Bodenstein wyglądał niemal tak samo jak teraz, bo to był czas, kiedy waliło się jego małżeństwo z Cosimą.

Wysiedli, przywitali się z funkcjonariuszami z radiowozu, podeszli do drzwi i zadzwonili kilka razy, lecz nikt nie otwierał. Pia wybrała inny przycisk. A potem kolejny. I jeszcze jeden. Brak reakcji.

– Nie ma się co dziwić, że nikt nie otwiera. Jak ktoś może sobie pozwolić na mieszkanie tutaj, w piątek przed południem nie będzie siedział u siebie, tylko gdzieś tam – zauważył jeden z umundurowanych funkcjonariuszy i wykonał nieokreślony gest w kierunku wieżowców leżącej nieopodal dzielnicy bankowej. Dopiero przy ostatniej próbie z głośnika domofonu odezwał się kobiecy głos. Słyszając na powitanie „policja kryminalna” i widząc legitymację, którą Pia podstawiła pod obiektyw kamery, mieszkanka, jak każda prawa obywatelka, bez

wahania zwolniła elektrozamek i wpuściła ich do środka. Jak się chwilę później dowiedzieli, Severin Velten dość mocno popadł w niełaskę pozostałych mieszkańców apartamentowca, co, o dziwo, nie wiązało się wcale tak bardzo z oszustwem literackim, a raczej z faktem, że budynki przy Bachforellenweg oblegane były dzień w dzień przez rzesze zawiedzionych fanów, fanek i przedstawicieli prasy, ba, nawet przez ekipy telewizyjne. Nie dało się wyjść z domu, nie narażając się na podtykanie mikrofonu pod nos, denerwowała się kobieta mieszkająca bezpośrednio nad pisarzem. Ona sama Veltena widziała po raz ostatni w zeszły poniedziałek, pierwszego dnia po tym, jak ustało oblężenie i nikt nie czekał pod budynkiem. Mężczyzna minął ją ze spuszczoną głową, mruknął jakieś niewyraźne powitanie i przemknął do windy, niosąc kilka toreb i ciągnąc walizkę na kółkach. I nawet nie przeprosił za niedogodności, jakich był przyczyną.

– No proszę, jedno nogi żuraw nam czmychnął – mruknęła Pia, kiedy wracali do samochodu.

– Zapytajmy agenta, czy wie, gdzie przebywa jego klient – zaproponował Bodenstein.

– Facet natychmiast do niego zadzwoni i go ostrzeże – przeciwstawiła się Pia. – Wolałabym go zaskoczyć.

Podziękowali funkcjonariuszom z radiowozu i wsiedli do samochodu, by udać się do spalarni odpadów w Eschborn. Tym razem miejsce za kierownicą zajął Bodenstein, więc kiedy jechali w stronę autostrady A5, Pia zadzwoniła do Kaia, który pracował w biurze, i poprosiła, żeby spróbował ustalić, gdzie Severin Velten mógł szukać schronienia.

– Już się za to biorę – obiecał Kai. – Sprawdzę też, czy ma samochód. Jeśli trzeba, mogę dodać go do listy poszukiwanych.

– Dobry pomysł, zajmij się tym. Później się odezwę – odpowiedziała Pia i zakończyła rozmowę. Kusiło ją, żeby zapytać Olivera, jak wygląda jego sytuacja z Karoline, ale ledwie otworzyła usta, z głośników samochodu rozległ się dźwięk przychodzącej rozmowy. Ponieważ do radia przez bluetooth podłączony był telefon Bodensteina, na ekranie pojawiła się nazwa dzwoniącego: *Szkoła Kelkheim*.

– To ze szkoły Sophii – zaniepokoił się Oliver. – Wybacz, muszę to odebrać.

– Pan Bodenstein? Dzień dobry, tu sekretariat szkoły Eichendorf, Melzer z tej strony. – Z głośników popłynął przyjemny, kobiecy głos. – Jest ze mną pana córka, Sophia, i skarży się na bóle brzucha, biedactwo. Mógłby pan przyjechać ją odebrać?

Bodenstein spojrzał pytająco na Pię, na co ona skinęła głową, by dać mu do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko.

– Tak, oczywiście – zapewnił sekretarkę. – Będę za pół godziny.

*

Zakład termicznego przetwarzania odpadów znajdował się na obrzeżach Eschborn, w trójkącie wyznaczonym przez autostrady 66 i 5; już z daleka widać było wysoki na sto metrów murowany komin, wyraźnie górujący nad otaczającą go przemysłową zabudową okolicy. Pia zapewniła go, że ona i Kröger bez problemu dadzą sobie radę sami, więc zostawił ją przed bramą zakładu i ruszył w kierunku Kelkheim, by odebrać córkę ze szkoły i dostarczyć ją do rodziców. Pia żałowała często swojej bezdzietności, jednak w takich sytuacjach cieszyła się, że nie ma podobnych trosk. Krögera, Tarika, Cema i Kathrin zastała pogrążonych w rozmowie z szefem i kilkoma pracownikami instalacji termicznego przekształcania odpadów z odzyskiem ciepła, którzy, mimo niezbyt kuszącej perspektywy przekopywania się przez tysiące metrów sześciennych odpadów, wykazywali się wyjątkową chęcią pomocy. Nie po raz pierwszy policja szukała zwłok w odpadach zmieszanych, więc wszyscy mieli już jako takie pojęcie, co trzeba zrobić, by przeprowadzić taką akcję bez wyłączania działania całej instalacji.

– Na podstawie zapisów z wag wjazdowych z wtorku udało nam się ustalić, do którego szybu zrzucały ładunek przyjeżdżające śmieciarki i oczywiście natychmiast go zamknęliśmy – tłumaczył kierownik zakładu. – Mimo to konieczne będzie zejście na dwa dni w głąb, czyli inaczej rzecz ujmując, na około sześć metrów.

– Jak to będzie wyglądało? – zapytała Pia. – Nasi ludzie będą musieli zejść tam na dół?

– Broń Boże! W żadnym wypadku! – Kierownik zakładu potrząsnął energicznie głową. – Zapraszam za mną, pokażę pani, jaki mamy plan.

Po tym, jak wszystkim przybyłym przydzielono kaski ochronne, razem weszli do potężnej hali. Stały w niej śmieciarki jedna za drugą, a ta, której kolej przychodziła, cofała przy akompaniamencie głośnego pikania do jednego z dziesięciu szybów, by zrzucić do niego swoją zawartość, przy czym przez cały proces kierowcy nie musieli wysiadać z pojazdu. Okrutny smród i hałas pracujących śmieciarek były nie do zniesienia.

– Oto nasz bunkier na odpady – objaśnił kierownik, prawie krzycząc. – Sześćdziesiąt pięć metrów długości, trzynaście szerokości i dwadzieścia cztery głębokości, podzielony na dziesięć szybów. Średnio dziennie przyjmujemy około sto trzydzieści transportów, przez pięć dni w tygodniu. Bunkier może pomieścić około dwudziestu tysięcy metrów sześciennych odpadów komunalnych i z działalności gospodarczej, co przekłada się na około dziesięć tysięcy ton. Chwytnak załadowniczy poruszający się po suwnicy może za jednym razem podnieść pięć ton odpadów, co objętościowo porównać można do samochodu średniej wielkości. Wyładunek następuje bezpośrednio do paleniska, gdzie odpady są spalane. Temperatura rusztu na samym początku sięga około 1200 stopni Celsjusza, a na końcu 85. Można powiedzieć, że po spalaniu zostaje tylko lawa.

Stanęli na krawędzi szybu numer dziewięć. Pia nigdy wcześniej nie była w spalarni odpadów, więc ogrom tego miejsca i potęga pracujących tu urządzeń zrobiły na niej wielkie wrażenie. Zadrżała, kiedy spojrzała w głąb cuchnącej otchłani wypełnionej śmieciami. Czy gdzieś w tym wszystkim leżały zwłoki Heike Wersch? Na samą myśl o tym zrobiło jej się nieswojo. Wprawdzie nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ktoś zabija w afekcie albo popełnia morderstwo, jednak często umiała znaleźć przyczynę, która doprowadziła do popełnienia zbrodni. Nie umiała jednak w żaden sposób pojąć, jak ktoś mógł po swoim czynie postąpić w taki sposób jak ten. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby zdecydować się na coś takiego? Całkowity brak szacunku i człowieczeństwa był w zasadzie bardziej szokujący niż sama zbrodnia.

– Za pomocą chwytnaka na suwnicy wybierzemy odpady z szybu numer dziewięć i przetransportujemy je na ogólny plac składowania – tłumaczył kierownik zakładu. – Istnieje bardzo duża szansa, że śmieci z wtorku nie trafiły jeszcze do spalania.

Kröger poprosił o pokazanie placu, gdzie miały trafić odpady, po czym rozpoczęła się dyskusja, jaki sposób przedzierania się przez cuchnące zwały byłby

najwydajniejszy. Pia nie zazdrościła nikomu, kto miał stać na brzegu placu i przez lornetkę obserwować, czy wśród przeładowywanych odpadów nie pojawią się ludzkie szczątki. Kierownik spalarni zaproponował użycie ultraszybkiej kamery, która nagrywałaby moment otwierania chwytaka, bo to w razie potrzeby umożliwiłoby wielokrotne przeglądanie nagrań w dobrej rozdzielczości.

Christian Kröger doskonale nad wszystkim panował, a przygotowania do rozpoczęcia prac miały zająć jeszcze trochę czasu, więc Pia uznała, że jej obecność nie będzie konieczna. Postanowiła udać się do wydawnictwa Winterscheid i porozmawiać z byłym szefem oraz najbliższymi współpracownikami Heike Wersch, by jak najwięcej się o niej dowiedzieć. Cem, wrażliwy esteta, bez chwili wahania zgodził się jechać z Pią i nie ukrywał radości, że może zostawić nieprzyjemną robotę innym. Tarik i Kathrin woleli zostać; uznali, że ciekawiej będzie grzebać w śmieciach niż w przeszłości potencjalnej ofiary. Przez całą drogę do samochodu Cem milczał i miał zamyśloną minę.

– Paskudnie tam jest, co? – Pia w końcu uznała, że czas przerwać ciszę. – Ten smród i hałas! Jednego dnia bym tam chyba nie wytrzymała.

– Ja też nie. – Cem wsiadł za kierownicę. – I jest mi z tego powodu bardzo wstyd.

– Dlaczego? – Pia nie kryła zdziwienia.

– Mój ojciec całe życie przepracował przy wywozie śmieci, a zaczął jako dwudziestojednolatek, zaraz po tym, jak przeniósł się z Gaziantep w Turcji do Niemiec – wyjaśnił Cem. – Harował jak szalony, żeby sfinansować nam wykształcenie. Ani razu nie był na chorobowym, aż w wieku pięćdziesięciu jeden lat po prostu przewrócił się i umarł. To, że mogłem ukończyć szkołę średnią i pierwszy w rodzinie zdałem maturę, a potem poszedłem na studia, to tylko jego zasługa. Mój ojciec był ze mnie szalenie dumny. A ja wstydzilem się przyznać, że jeździ śmieciarką i opróżnia kubły.

– Najważniejsze, że dzisiaj widzisz to inaczej i teraz to ty jesteś dumny z niego.

– Pia spróbowała podnieść kolegę na duchu. – Kiedy byłam młoda, też zawsze myślałam, że mój ojciec to straszny obciach. Rodzice moich koleżanek i kolegów z klasy byli lekarzami, szefami zarządów, bankierami inwestycyjnymi, architektami i przedsiębiorcami, a mój tylko zwykłym trybikiem w Hoechst AG.

– Moi synowie wstydzą się przed kolegami, że ich stary jest gliniarzem. Gdybym chociaż był jakimś pilotem, trenerem piłki nożnej czy kimś równie fajnym. Ale nie.

Gliniarz. – Ciem uśmiechnął się krzywo. – Chyba nie należy oczekiwać, że dzieci będą dumne z rodziców.

– Chyba nie – zgodziła się Pia. – To raczej niemożliwe. A właściwy osąd przychodzi, kiedy jest już za późno.

*

Przyczyna silnych bólów brzucha Sophii nie była dla Bodensteina żadną tajemnicą, więc w drodze do Kelkheim przeprowadził jedną po drugiej trzy rozmowy telefoniczne, i kiedy odbierał bladą i nieszczęśliwą córkę z sekretariatu, miał już przygotowany plan.

– Mogę pojechać z tobą do biura? – poprosiła Sophia. – Nie będę ci przeszkadzała, przysięgam.

– Niestety, nie mogę cię tam zabrać. – Bodenstein otworzył jej drzwi pasażera. – Ale za to zawiozę cię do babci i dziadka.

– Naprawdę? – Twarz córki momentalnie pojaśniała.

– Najpierw pojedziemy do Karoline, żebyś mogła zabrać swoje rzeczy. Wszystko już ustaliłem i omówiłem z mamą. Na razie zamieszkaż u Quentina i Marie-Louise; mają dość miejsca i bardzo się cieszą, że będą mieli cię u siebie.

– Naprawdę? – upewniła się Sophia, a w jej głosie słychać było niedowierzenie. – I już nie będę musiała oglądać Grety?

– Nie, nie będziesz musiała – obiecał jej Oliver. W tym momencie córka nie wytrzymała i popłakała się z radości, objęła go w pasie i mocno przytuliła.

– Dziękuję, tatusiu! Dziękuję! – wyszlochała. – Ja tam naprawdę już nie mogłam!

– Wiem. – Bodenstein westchnął poruszony i pogłaskał ją po głowie. Chciał dla niej jak najlepiej; chciał dać jej ciepło rodzinne i namiastkę rodziny... czasem jednak nawet najlepsze chęci nie wystarczały.

Krótką przejażdżka ze szkoły do domu Karoline wystarczyła, by Sophia zapomniała o bólu brzucha. Dziewczynka uwielbiała posiadłość Bodensteinów i wszystkich jej mieszkańców: babcię, dziadka, stryjka i ciocię, a przede wszystkim swoją starszą siostrę Rosalie, która w styczniu po raz pierwszy została mamą i razem z mężem, Jeanem-Yvesem St. Clairem, prowadziła pałacową restaurację.

– O rany, będę mogła codziennie rano przed szkołą chodzić do stajni i witać się z końmi, psami i kotami! – Sophii buzia się nie zamykała. – A potem już w autobusie będę spotykała się z przyjaciółkami!

Pozostawienie córki pod opieką brata i szwagierki też było rozwiązaniem tymczasowym, ale o dalszych krokach chciał decydować dopiero, kiedy wyjaśni się, co z Cosimą. Ostatniej nocy znów nie mógł zasnąć. Leżał w łóżku i rozmyślał, co się stanie, jeśli byleż żonie nie pomoże przeszczep wątroby. Nie dopuszczał do siebie możliwości, że Cosima mogłaby nie przeżyć, bo świat bez niej w ogóle był poza zasięgiem jego wyobraźni. Jednak powoli docierała do niego potrzeba zmierzenia się z rzeczywistością, mimo że najchętniej dalej by ją ignorował. Co dziwne i nieco zaskakujące, lubił ją jeszcze bardziej, od kiedy nie łączyła ich miłość i pożądanie. Pojawiła się między nimi niewymuszona zażyłość, taka, która zrodzić się może jedynie z długiej przyjaźni, ze wszystkimi jej wzlotami i upadkami – dlatego w pewnym sensie zazdrość Karoline nie była nieuzasadniona, bo już po tym, jak proza codziennego życia przygasiła zakochanie i pasję, najważniejsze miejsce w jego sercu należało nie do niej, a do Cosimy.

Pięć minut później zatrzymał się przed kostką z betonu i szkła, w której nigdy nie poczuł się jak w domu, otworzył bramę garażu i wjechał do środka. Nigdy wcześniej nie zwrócił na to uwagi, ale już sam widok tego miejsca wywoływał w nim nerwowy skurcz żołądka i przyspieszony puls. Fakt, że najchętniej nie zatrzymywałby się tu wcale, tylko jechał dalej, pokazywał, w jakim kryzysie było jego małżeństwo. Sophia wyskoczyła z czarnego porsche i pobiegła na piętro, prosto do swojego pokoju, żeby się spakować. W salonie były opuszczone rolety i grał telewizor. Greta leżała na kanapie. Bodenstein ją zignorował, wszedł do gabinetu i usiadł przy biurku, by spakować wszystkie prywatne dokumenty i papiery do przepastnej walizki pilotki, którą podarowała mu kiedyś Karoline, a on nigdy jeszcze nie użył. W przestronnym neseserze znalazło się miejsce nawet dla jego komputera, wszystkich ładowarek, kabli i zawartości szuflad.

– Co tu robisz o tej porze? – Greta stała w drzwiach salonu, kiedy wynosił walizkę do wiatrołapu. Bodenstein nie odpowiedział. Jego niechęć do tej młodej dziewczyny była tak wielka, że wywoływała fizyczny ból. Zajrzał do kuchni, która przypominała pobojuwisko.

– No dalej, słucham! – prychnęła córka Karoline bezczelnie i skrzyżowała ramiona na piersi, lecz on zignorował jej wezwanie. W następnej chwili na

schodach pojawiła się Sophia, z wypchanym plecakiem i dużą torbą.

– Gotowa! – zawołała zachwycona.

– He? – Greta przestała się uśmiechać. Oparła dłonie na biodrach. – Co tu się dzieje? Nie mów, że stąd spieprzacie?

Sophia nie zaszczyciła jej nawet przelotnym spojrzeniem. Również Bodenstein nie udzielił jej odpowiedzi, tylko bez słowa wyszedł z domu.

*

Wydawnictwo Winterscheid mieściło się przy Schillerstrasse, niedaleko frankfurckiej giełdy. Pia przez całą drogę szukała w internecie informacji na temat szefa firmy, Carla Winterscheida. Przewijała wyniki z wyszukiwarki z linkami do artykułów, które już знаła. W końcu trafiła na jego profil zawodowy na LinkedIn, jednak udało jej się go otworzyć dopiero, kiedy Cem podyktował jej dane do swojego konta.

– Carl August Winterscheid, urodzony 17 marca 1984 roku we Frankfurcie nad Menem – czytała na głos. – Studia na kierunkach zarządzanie i literaturoznawstwo na uniwersytetach w Stanford i Yale.

– O wow! – Cem aż gwizdnął z uznaniem. – To pierwsza dziesiątka w Stanach!

– Niesamowita kariera jak na tak młodego człowieka – potaknęła Pia. – W Pegasus Media Group bardzo szybko zajmował coraz wyższe stanowiska, aż do objęcia funkcji młodszego wiceszefa w Pegasus Media Europe. Ale potem niespodziewanie wrócił do kraju, żeby przejąć zarządzanie średniej wielkości wydawnictwem. Dość nietypowy ruch jak na menedżera.

– Zgaduję, że to była kwestia emocjonalna czy wręcz sentymentalna. – Cem skrzywił się z Junghofstrasse w Neue Meinzner. – Wydawnictwo pozostaje w rękach jego rodziny, a współzałożył je jego dziadek.

Pia ograniczyła wyszukiwanie do najnowszych wyników.

– O kurczę, to jest niezłe! – zawołała zaskoczona. – We wtorek wieczorem Carl Winterscheid pojawił się jako gość w programie o literaturze *Paula czyta*. Maria Hauschild, ta agentka, powiedziała, że Heike Wersch też była tam zaproszona, ale nie przyszła do studia!

– No i? – zapytał Cem.

– Carl Winterscheid zdecydował o zwolnieniu dyscyplinarnym dla Heike Wersch – wyjaśniła Pia. – W odpowiedzi ona zaczęła obrzucać go błotem i skompromitowała jednego z najważniejszych autorów wydawnictwa. Dawna przyjaciółka Heike Wersch, Maria Hauschild, scharakteryzowała ją jako osobę impulsywną i kłótliwą. Myślisz, że siedziałyby grzecznie w tym programie obok dawnego szefa i rozmawiała z nim o jakichś budżetach?

– Coś sugerujesz?

– Heike Wersch przez całe lata współprowadziła ten program. Możemy założyć, że dobrze zna producentów i doskonale wiedziała, kto jeszcze dostał zaproszenie. Jestem przekonana, że chciała wykorzystać program na żywo do opluwania go żółcią. Teraz wypadałoby odpowiedzieć na pytanie, czy Carl Winterscheid dowiedział się z wyprzedzeniem, że spotka tam swoją dawną podwładną, czy raczej miało to być dla niego nieprzyjemnym zaskoczeniem.

– Chcesz powiedzieć, że gdyby wiedział, w ogóle by się tam nie pojawił? – Cem włączył kierunkowskaz, skręcił w Börsenstrasse, by po kilkudziesięciu metrach zjechać na parking giełdy.

– Właśnie tak – potwierdziła Pia. – Ale się pojawił. Czyli albo naprawdę nie miał pojęcia, albo już wtedy wiedział, że Heike nie przyjdzie.

– Dlatego, że wcześniej sam ją zamordował, a ciało ukrył w kontenerze na śmieci – dokończył Cem. Otworzył okno, wyjął czerwony żeton z automatu parkingowego, po czym ruszył i przejechał pod otwierającym się szlabanem.

– Ten gość to nie żaden uduchowiony mól książkowy, tylko cwany i twardy menedżer. – Pia przyglądała się zdjęciom Carla Winterscheida, które podsuwała jej wyszukiwarka. – Miał przed sobą wspaniałą karierę w amerykańskim koncernie medialnym, ale z niej zrezygnował, bo zdecydował się przejąć niewielkie niemieckie wydawnictwo i sprawić, żeby znów przynosiło zyski. Ktoś taki idzie do celu po trupach.

– Ale zazwyczaj jedynie w przenośnym sensie – zaprotestował Cem. – Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, żeby bystry biznesmen, a ten facet jest przecież bardzo bystry, zabijał byłą pracownicę dla udowodnienia swojej racji.

– No cóż, pewnie niedługo sami się przekonamy – odpowiedziała Pia. – W moim odczuciu on i jedenonogi żuraw mieli dobry motyw.

Dopiero na czwartym piętrze parkingu znaleźli wolne miejsce, zjechali windą na parter i przeszli na drugą stronę ulicy. Przy tak ładnej, niemal letniej pogodzie, miasto było pełne ludzi. W porze lunchu w ogródkach restauracji próżno by szukać wolnych stolików, a schody frankfurckiej giełdy obsiedli młodzi ludzie, pracownicy okolicznych biurów i bankierzy w garniturach i krawatach. Wszyscy korzystali ze słońca, czymś się posilali albo patrzyli w smartfony, albo robili obie rzeczy jednocześnie. Dzieci pod opieką matek wspinały się na statuy byka i niedźwiedzia z brązu, a grupka japońskich turystów robiła zdjęcia tych symboli hossy i bessy na rynku papierów wartościowych.

W przeciwieństwie do spalarni odpadów czy biura, gdzie wszyscy ubrani byli mniej lub bardziej swobodnie, tutaj, między maklerami i biznesmenami, Cem doskonale wtapiał się w otoczenie w śnieżnobiałej koszuli i doskonale skrojonym jasnoszarym garniturze.

Kilka minut później dotarli do pięciopiętrowego do gmachu wydawnictwa i weszli do holu. Sama jego wielkość zrobiła na nich spore wrażenie. Pia od razu zwróciła uwagę na brązowe popiersie ustawione dumnie na cokole między szklaną windą a szerokimi schodami. Na ścianie ponad nim wymalowano sentencję: *Człowiek jest panem swojej profesji za cenę bycia również jej ofiarą.*

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc?

Za znajdującą się po prawej stronie holu prostą recepcją z blatem z ciemnego drewna siedziała młoda kobieta z włosami ufarbowanymi na kruczoczarny kolor i spiętymi w luźny kok na czubku głowy. Cem nazywał taką fryzurę „palmą wściekłości”, bo miał wrażenie, że kobiety, które ją preferują, często noszą w sobie tajoną agresję. – Dzień dobry – odparła Pia. – Ten cytat na ścianie, kto jest jego autorem?

– Nie mam pojęcia – wyznała kobieta. – Muszę jednak przyznać, że codziennie jestem coraz bardziej zła, kiedy na niego patrzę.

– Doprawdy? A dlaczego? – zapytał Cem zaskoczony.

– Człowiek jest panem swojej profesji – wyjaśniła właścicielka „palmy wściekłości”. – Przecież to jest dyskryminujące dla kobiet! Czysty szowinizm! I to akurat tutaj, w miejscu, gdzie dziewięćdziesiąt procent obsady to kobiety!

– To cytat z Nietzschego – wyjaśnił policjant. – Na pewno nie miał na myśli niczego dyskryminującego, kiedy wypowiadał te słowa.

– Nieważne. W naszych czasach takie cytaty są przestarzałe i krzywdzące. Nie wolno się nimi posługiwać! – Dopiero teraz kobieta zdała sobie sprawę, jak dobrze prezentuje się jej rozmówca i oblała się rumieńcem. Pia nieraz była świadkiem wrażenia, jakie Cem robił na kobietach. – Państwo są... ja... to znaczy... ja pana skądś znam, prawda?

– Nie, raczej na pewno nie. Może mnie pani z kimś pomyliła. – Cem przesłał jej swój szarmancki, hollywoodzki uśmiech, jednocześnie pokazując legitymację policyjną. – Nazywam się Cemal Altunay, a to Pia Sander. Chcielibyśmy spotkać się z panem Winterscheidem.

Recepcjonistka otworzyła z wrażenia szerzej oczy, ale bez słowa komentarza sięgnęła po słuchawkę i zaczęła z kimś rozmawiać.

– Proszę poczekać, za pięć minut ktoś po państwa przyjdzie – oznajmiła w końcu i wróciła do swojej pracy. Do holu weszło kilka młodych, roześmianych i rozgadanych kobiet. Pozdrowiły recepcjonistkę i wsiadły do windy. Cem podszedł do wysokiego regału ustawionego naprzeciwko recepcji, na którym prezentowane były wydawnicze nowości, a Pia przyjrzała się uważniej popiersiu z brązu. *Abraham Liebman, założyciel wydawnictwa. 1872–1954*, odczytała wygrawerowany napis na tabliczce pod nim. Dziwne, bo przecież w internecie przeczytała, że wydawnictwo założył dziadek obecnego redaktora naczelnego.

– Pia, spójrz tylko na to! – zawołał Cem i pokazał jej książkę, którą wziął z półki i podniósł nad głowę. – Nowy kryminał Henninga! Już gotowy!

– Serio? – Pia ruszyła w jego stronę. – Jak to możliwe? Jeszcze wczoraj zaklinał się na wszystkie świętości, że zdąży zmienić dedykację!

Wzięła książkę od Cema i przyjrzała się papierowej obwolucie, na której widać było walącą się drewnianą chatę i przeczytała szybko tekst z tyłu. Ponownie otworzyły się drzwi i do holu weszły kobiety wracające z przerwy obiadowej. Pia z ciekawością zajrzała do środka i zdębiała, widząc tytułową stronę *Nielubianej*.

– To musi być jakiś błąd. – Przekartkowała książkę i rozczarowana stwierdziła, że to rzeczywiście pierwsza powieść Henninga. – A okładka jest słabo zrobiona, byle się trzymała.

– Bo to tak zwane *dummy*, czyli makieta – wyjaśnił ktoś przyjemnym, niskim barytonem zza jej pleców. – Nową okładkę zakłada się na inną książkę, żeby mieć lepsze wyobrażenie, jak ta pozycja będzie się prezentować.

– Aha. – Pia od razu rozpoznała Carla Winterscheida. Na żywo szef wydawnictwa prezentował się jeszcze atrakcyjniej niż na zdjęciach w internecie. Wysoki, szczupły, o kanciastej twarzy z trzydniowym zarostem, niesfornej ciemnoblonde czuprynie, z szerokimi ustami o wąskich wargach i oczami w barwie ciemnej, gorzkiej czekolady, do jakich Pia miała słabość. Miał na sobie białą koszulę z podwiniętymi rękawami i rozpiętym guzikiem pod szyją. Do tego włożył zwykłe dżinsy, a na ręce zapiął prosty, skromny zegarek.

– Carl Winterscheid – przedstawił się. – Słyszałem, że chcecie państwo ze mną rozmawiać.

– Tak, po to tu przyszliśmy. – Pia nie liczyła się z tym, że sam szef wydawnictwa pofatyguje się przywitać ich w holu. Szybko zaprezentowała siebie i Cema. – Przyszliśmy zamienić z panem kilka słów na temat kobiety, którą niedawno zwolnił pan z pracy, Heike Wersch.

– Okej. – Jego odpowiedź brzmiała trochę jak pytanie, a on sam zdawał się bardziej zaintrygowany niż zaniepokojony. – Chodźmy do mojego gabinetu.

Gestem zaprosił ich w stronę windy.

– Byłam przekonana, że założycielem wydawnictwa był pański dziadek. – Kiedy czekali na przeszkloną kabinę, Pia spojrzała na brązowe popiersie.

– Był, ale nie sam. Wydawnictwo założył w 1919 roku razem z Abrahamem Liebmanem – wyjaśnił mężczyzna. – Liebman już wówczas był jedną z najważniejszych postaci na krajowym rynku wydawniczym i to od niego mój dziadek nauczył się wszystkiego. Liebman szybko się zorientował, w jakim kierunku zmierza jego ojczyzna i w 1931 roku wyemigrował z rodziną do USA. Naziści zażądali wówczas zmiany nazwy wydawnictwa na „Winterscheid” i pozwolili mojemu dziadkowi dalej prowadzić działalność. Liebman nigdy już nie wrócił do kraju, ale zachowała się jego korespondencja z największymi pisarzami. Mój dziadek i Abraham do samej śmierci pozostawali w przyjacielskich stosunkach. Niestety, przez ostatnie dziesięciolecia ta część historii firmy popadła w zapomnienie, dlatego kazałem przynieść z piwnicy popiersie Liebmana i ustawić je na honorowym miejscu.

– Ten cytat z Nietzschego na ścianie to też pana pomysł?

Pojawiła się winda. Carl Winterscheid wpuścił gości przodem.

– Tak. – Na twarzy mężczyzny pojawił się młodzieńczy uśmiezek. – Mój dziadek był ogromnym wielbiciele Nietzschego, a to jeden z jego ulubionych cytatów. Niestety, spotyka się on z krytyką niektórych pracowników wydawnictwa, więc pewnie będę musiał zastąpić go innym. „Człowiek jest panią swojej profesji za cenę bycia również jej ofiarą”, taka trawestacja. Ale brzmi równie dobrze, nie sądzi pani?

– Szczerze mówiąc, nie interesuje mnie za bardzo, czy człowiek jest panem czy panią swojej profesji – skwitowała Pia bez uśmiechu. – To całe zamieszanie z gender to kwestia indywidualnej wrażliwości. A w mojej pracy nie mam na to czasu.

– Ciekawe – stwierdził mężczyzna i spojrział uważnie na Pię. – Wydawało mi się, że akurat w policji kobiety mają znacznie trudniej.

– Nie mylił się pan – potaknęła Pia. – Ale naprawdę pan uważa, że można zmienić czyjeś nastawienie, zmieniając sam język? Dawniej często spotykałam się z prawdziwym mobbingiem, a dziś jestem tu, gdzie jestem, podczas gdy większość facetów, którzy uważali, że jako kobieta nie mam czego szukać w policji, dalej patroluje ulice.

Przeszklona kabina bezgłośnie ruszyła w górę. Można z niej było oglądać klatkę schodową ozdobioną czarno-białymi fotografiami autorów wydawnictwa. Pia próbowała dojrzeć, czy na którejś z nich dostrzeże oblicze Henninga, jednak na taki zaszczyt jej były mąż musiał chyba jeszcze poczekać.

– Dziękuję, że znalazł pan dla nas czas – powiedział Cem. Jego obycie i zrównoważenie często rekompensowało gburowatość Pii. Usiedli przy stole w gabinecie Carla Winterscheida. Cem i Pia podziękowali za zaproponowaną kawę i inne napoje. – Heike Wersch, pańska pracownica, zwolniona stosunkowo niedawno, kilka dni temu zaginęła bez śladu. Wszystko wskazuje na to, że padła ofiarą przestępstwa.

– O jasna cholera... – wymsknęło się szefowi wydawnictwa. Jego reakcja, zupełnie nieoczekiwana i szczerą, pozwoliła Pii przenieść go z początku listy hipotetycznych sprawców na sam jej koniec. – To... Boże, to straszne! Ale nie wiecie tego na pewno, prawda?

Mężczyzna był wyraźnie wstrząśnięty, ale szybko zapanował nad emocjami.

– Pani Wersch po raz ostatni była widziana w poniedziałek wieczorem – odparł Cem. – Potem ślad po niej zaginął.

– Co się teraz stanie z jej ojcem? – zaniepokoił się Winterscheid. – Mieszkają razem, bo Heike się nim opiekuje.

– Ich lekarz rodzinny zajął się organizacją przeniesienia go do domu opieki. – Pia była zaskoczona, że szef firmy zdawał się wiedzieć więcej o prywatnym życiu zaginionej niż jej przyjaciółka Maria Hauschild. Przez chwilę próbowała ocenić siedzącego naprzeciwko mężczyznę. W jednym z wywiadów Heike Wersch określiła go jako lodowatego i pozbawionego krztyny empatii niedouczzonego tępaka, dla którego liczył się tylko zysk, i zarzuciła mu próbę zniszczenia wydawnictwa. Na Pii Carl Winterscheid robił wręcz odwrotne wrażenie. Z drugiej strony, ludzie wciąż zdają się wierzyć, że przestępcy muszą wyglądać jak przestępcy i mówić jak przestępcy, choć rzeczywistość prawie nigdy nie idzie w parze z tym stereotypem. Mordercy, a w każdym razie większość z tych, z którymi Pia miała do czynienia, wyglądali zupełnie przeciętnie i ich zachowanie również nie rzucało się w oczy. Zatem wrażenie, jakie ktoś robi na ludziach, może mylić.

– Jak mógłbym państwu pomóc? – zapytał szef wydawnictwa.

– Staramy się ustalić, kim była Heike Wersch i jak wyglądało jej życie – wyjaśniła Pia i sięgnęła po notatnik. – Dlatego rozmawiamy z jej znajomymi, sąsiadami i znajomymi z pracy. Co mógłby pan o niej powiedzieć?

– Słyszała pani zapewne o różnicy zdań, która ostatecznie doprowadziła do jej dyscyplinarnego zwolnienia – zaczął Carl Winterscheid. – Była świetną, naprawdę wyjątkową redaktorką prowadzącą o nadzwyczajnym wyczuciu trendów w literaturze. Bardzo chętnie kontynuowałbym z nią współpracę, ale niestety, nie potrafiła dostrzec pozytywów w prowadzonej przeze mnie restrukturyzacji wydawnictwa oraz szansy poszerzenia pól, w jakich działamy.

– Dlaczego nie? – zapytał Cem.

– Od ponad dziewięćdziesięciu lat Winterscheid działało jako wydawnictwo czysto literackie, wypuszczające na rynek pozycje wymagające intelektualnie – tłumaczył Carl Winterscheid. – Tyle że ta latami sprawdzająca się taktyka przestała wystarczać. Wuj, który przede mną kierował wydawnictwem, nie poradził sobie z wprowadzeniem go w XXI wiek. Nie potrafił zrozumieć, że czasy

się zmieniły, a ludzie mają inny gust czytelniczy. Pod sam koniec jego urzędowania większość pozycji sprzedawała się w nakładach nieprzekraczających tysiąca egzemplarzy w roku. Wydawnictwo stanęło na krawędzi bankructwa. W takim momencie ja przejąłem stery i nie zwlekając, poszerzyłem program wydawniczy o nowe działy, mianowicie rozrywkę i literaturę faktu. Dla pani Wersch to było świętokradztwo. Mój wuj – i proszę mi wierzyć, że nie chodzi mi o to, żeby go obrazić – był raczej kimś w rodzaju wizytówki wydawnictwa. To z pewnością bardzo charyzmatyczna postać, ale nieszczególnie zna się na literaturze. Za program wydawniczy odpowiedzialna była Heike Wersch. Miała bardzo szerokie pełnomocnictwa w tym zakresie, a mój wuj dawał jej wolną rękę w sprawach podpisywania umów z agentami i autorami. To uległo zmianie wraz z moim pojawieniem się w firmie. Ograniczanie kompetencji Heike Wersch odbierała jako szykany i osobistą obrazę.

– Po tym, jak zwolnił ją pan dyscyplinarnie, Heike Wersch obrzuciła firmę bardzo ciężkimi oskarżeniami. Ale nie tylko firmę, bo pana również, w zasadzie głównie pana osobiście – ciągnęła Pia. – To musiało pana dotknąć i zdenerwować, prawda?

– Zastanawia się pani, czy miałbym wystarczający motyw, żeby jej coś zrobić. – Winterscheid zachował poważną minę, ale w jego oczach pojawił się kpiący błysk.

– Skoro tak pan chce to ująć... – Pia się uśmiechnęła. Skrzyżowanie ostrza z równorzędnym przeciwnikiem było odświeżającym doznaniem.

– Bycie pod prężeniem takiego potoku inwektyw i oczerniających kłamstw nie jest oczywiście niczym przyjemnym – przyznał Carl Winterscheid. – Ale też liczyłem się z takim obrotem spraw. Pani Wersch jest osobą bardzo wybuchową i impulsywną. Przez półtora roku siała zamęt w firmie. Przy każdej okazji krytykowała nową linię wydawniczą i bezustannie próbowała podważać mój autorytet. Decyzję, żeby kierowanie redakcją literacką powierzyć innemu pracownikowi, odczytała jako osobiste poniżenie. Dlatego zupełnie nie byłem zaskoczony jej reakcją. Prawnik i pozostali członkowie zarządu namawiali mnie, żebym podjął kroki prawne i pozwał Heike Wersch do sądu, ale nie chciałem tego robić. To by tylko nadało tej sprawie rozgłosu.

Czy z jego słów przemawiała zarozumiałość czy raczej mądrość? Pia miała wcześniej kilka razy do czynienia z właścicielami firm czy menedżerami najwyższego szczebla, mężczyznami kierującymi się żądzą władzy i ambicją,

takimi na przykład jak Fridtjof Reifenrath, który był biologicznym ojcem jej siostrzenicy Fiony, czy Carsten Bock, skompromitowany przez aferę korupcyjną, Siegbert Kaltensee, Friedhelm Döring czy wreszcie Claudius Terlinden. I wszyscy oni mieli jedną cechę wspólną: pod maską kulturalnych i dobrze wychowanych, serdecznych ludzi kryli się w rzeczywistości nastawieni wyłącznie na zysk amoralni egoiści bez serca, którzy każdą porażkę traktowali jak osobistą obrazę. Czy Carl Winterscheid, mimo milej powierzchowności, też się do nich zaliczał?

– Przed sądem pracy poniósł pan jednak porażkę – zauważyła Pia, bo nie do końca przekonywało ją jego opanowanie i rozsądek. Ale też prawdą jest, że osoby zajmujące kierownicze stanowiska powinny mieć grubszą skórę i większą odporność na krytykę.

– W gruncie rzeczy nie możemy mówić o porażce – zaprzeczył Carl Winterscheid. – Udało nam się znaleźć kompromisowe rozwiązanie, z którym obie strony sobie poradzą.

– Zatem rozumiem, że osobiste ataki nie zrobiły na panu wielkiego wrażenia – ciągnęła Pia. – Jednak pani Wersch zaszkoziła również jednemu z pańskich najważniejszych autorów i tym samym całemu wydawnictwu, czy tak?

– Sprawę z Severinem Veltenem bez najmniejszych wątpliwości trzeba postrzegać w kategoriach zemsty ze strony pani Wersch – potaknął Carl Winterscheid. – Tyle że takim działaniem znacznie bardziej niż wydawnictwu zaszkoziła swoim planom na przyszłość.

– W jakim sensie?

– Więzy między autorem a redaktorem jest bardzo specjalna. Do jej powstania konieczna jest spora doza zaufania ze strony autora i dużo wycucia ze strony redaktora, który powinien umieć spełnić oczekiwania swojego autora i oczekiwania wydawnictwa. – Carl Winterscheid odchrząknął. – Pani Wersch to wyjątkowo doświadczona redaktorka. W jej portfolio autorów i autorek, którymi nierzadko zajmuje się od dziesięcioleci, znalazłaby pani najważniejszych twórców w naszym kraju. Jednak żaden pisarz czy pisarka nie jest w stanie produkować książek na komendę. Czasem taki proces trwa dość długo, a zdarza się również, i to nierzadko, że wydawnictwo musi zaakceptować przerwę, której autor potrzebuje. Tak było w przypadku Severina Veltena. Wcześniej napisał siedem bestsellerowych i wielokrotnie nagradzanych powieści. Pani Wersch mimo to wywierała na niego presję, bo koniecznie chciała widzieć jego kolejną książkę

w roli przodującego tytułu w tegorocznym wiosennym planie wydawniczym. W końcu podsunęła mu jakieś niewielkie dziełko zmarłego chilijskiego autora i zaproponowała, żeby się nim zainspirował. Velten miejsce akcji przeniósł do Niemiec, ale akcję, postaci, no cóż, nawet dialogi zapożyczył z oryginału. Być może nikt by tego nie zauważył, gdyby pani Wersch sama nie zdemaskowała tego, co zrobił. Wybuchł niesamowity skandal. Tym bardziej że *Jednonogi żuraw* był literacką sensacją początku roku i miał potencjał i duże szanse na zdobycie nagrody dla najlepszej niemieckiej książki, nie mówiąc o innych wyróżnieniach. I w ten sposób pani Wersch wcale nie zaszkodziła wydawnictwu, któremu chciała zaszkodzić, bo ku zaskoczeniu wszystkich skandal zwiększył sprzedaż książki Veltena. Na tyle, że przeskoczyła wszystkie jego dotychczasowe pozycje. Próbowaliśmy wycofać cały nakład z księgarni, ale te były zachwycone popytem. A nam udało się dojść do porozumienia ze spadkobiercami chilijskiego autora oryginału.

– A co na to wszystko... pan... Velten? – zainteresowała się Pia.

– Od wybuchu skandalu nie pokazuje się publicznie. Zaszył się gdzieś, żeby przeczekać burzę – wyjaśnił Carl Winterscheid. – Znalazł się w kiepskiej sytuacji, bo w naturalny sposób wszystkie jego książki stały się podejrzone. Jestem jednak przekonany, że czytelnicy mu wybaczą.

Pia odruchowo pomyślała o Nicoli Engel i potaknęła.

– Velten popełnił poważny błąd, za który będzie publicznie przeproszał, gdy przyjdzie na to czas. Za to pani Wersch zniszczyła swoje dobre imię i zburzyła wiarę w jej lojalność i uczciwość wobec autorów. Dlatego większość pisarzy i pisarek, którzy planowali pożegnać się z Winterscheidem i przejść do jej nowego wydawnictwa, zmieniła zdanie i pozostała z nami.

Wszystko, co mówił, brzmiało logicznie i przekonująco. Sposób bycia Carla Winterscheida przypominał Pii dobre maniere i opanowanie jej szefa. Zastanawiała się, czy cokolwiek mogło wyprowadzić go z równowagi. Wiedziała również, że ludzie, którzy doskonale nad sobą panują, kiedy przekroczona zostanie granica ich wytrzymałości, robią rzeczy, do których w normalnych warunkach nigdy by się nie posunęli. Czy Heike Wersch mogła do tego stopnia zdenerwować Carla Winterscheida, że ten ją w złości zabił, a zwłoki upchnął w pojemniku na śmieci? Tylko co by na tym zyskał?

– We wtorek wieczorem był pan gościem w programie *Paula czyta* – zmieniła temat. – Miał pan świadomość, że Heike Wersch również otrzymała zaproszenie do udziału?

– Nie – odpowiedział Carl Winterscheid zaskoczony. – Nie miałem o tym pojęcia.

– Pojawiłby się pan tam, gdyby pan o tym wiedział?

Mężczyzna zawahał się, ale szybko pokręcił głową.

– Nie, nie sądzę, że bym wziął udział w takim programie.

– W jaki sposób dowiedział się pan o planach pani Wersch związanych z otwarciem własnego wydawnictwa? – Cem dołączył do rozmowy.

– Od kogoś, kto przez przypadek o nich usłyszał.

– Czy ten ktoś ma imię i nazwisko? – zapytała Pia.

– Oczywiście. – Carl Winterscheid potaknął. – Ale nie chcę go ujawniać.

– Żeby formalnościom stało się zadość. – Pia otworzyła notatnik. – Gdzie pan był w poniedziałek wieczorem?

– Tutaj.

– Ma pan jakichś świadków, którzy mogliby to potwierdzić?

– Nie, nie sądzę. Pracowałem prawie do północy. Często zostaję w biurze do późna.

– Jeszcze tylko jedno pytanie – zaczął Cem. – Studiował pan na najlepszych uniwersytetach w Stanach Zjednoczonych. Mimo młodego wieku zrobił pan karierę. Co pana skłoniło, żeby wrócić do Niemiec i przejąć upadające wydawnictwo?

Po raz pierwszy od początku rozmowy na twarzy Carla Winterscheida pojawił się szczery uśmiech.

– Kilka powodów – odparł. – Przede wszystkim to dla mnie sprawa sentymentalna. Wydawnictwo Winterscheid to rodzinna firma, a ja odziedziczyłem po dziadku udziały. Poza tym uwielbiam wyzwania. Jako CEO w dużym koncernie medialnym, takim jak Pegasus, człowiek nie ma styczności z tworzeniem książek i z ich twórcami. Jest się tylko menedżerem. A ja chcę być blisko książek. Dobrych książek; tych, które inni czytają. Dlatego chcę przywrócić świetność temu wydawnictwu, spuściznie mojego ojca i dziadka.

I oto się pojawiły: pasja i emocje, których Pii dotychczas brakowało. Carl Winterscheid był jednocześnie realistą i idealistą, który spoglądał na wszystko z odpowiedniej perspektywy i nie bał się podejmować decyzji i rozwiązywać problemów. Heike Wersch była problemem, który rozwiązał dzięki dobrej strategii i za pomocą legalnych środków. Dlatego nie musiał jej zabijać.

*

Carl Winterscheid osobiście zaprowadził ich do redaktora prowadzącego, Alexandra Rotha, którego znacznie mniejsze biuro mieściło się na czwartym piętrze. Pia nigdy wcześniej nie była w żadnych wydawnictwie, więc rozglądała się z ciekawością. Wszędzie tylko książki, książki i jeszcze więcej książek. W każdym pomieszczeniu stały sięgające sufitów regały. Na ścianach wisiały oprawione plakaty przedstawiające okładki albo zapraszające na dawno już nieaktualne spotkania z autorami. W powietrzu czuć było zapach papieru i kurzu, taki sam, jaki zapamiętała z biblioteki miejskiej, w której jako dziecko bywała z rodzeństwem przynajmniej raz w tygodniu. Na widok korpulentnego pięćdziesięciokilkulatka z kręconymi, siwawymi włosami i w niemodnych już okrągłych rogowych okularach zyskała pewność, że Kai miał rację. Alexander Roth, mężczyzna o czerwonej twarzy opuchniętej od nadmiaru alkoholu albo nadciśnienia, z całą pewnością był gościem, którego w poniedziałkowe popołudnie zauważył jeden z sąsiadów Heike Wersch. I nawet nie próbował temu zaprzeczyć.

– Po co pan do niej pojechał? – dopytywał się Cem.

– Ja... martwiłem się o nią. Nie odzywała się, więc chciałem sprawdzić, co się z nią dzieje. – Redaktor prowadzący mocno się pocił, choć w jego biurze panował przyjemny chłód. – Heike... to znaczy pani Wersch... to moja przyjaciółka. Znamy się od trzydziestu lat co najmniej.

Pia przyglądała się mężczyźnie, który był całkowitym przeciwieństwem swojego szefa. Nerwowo bawił się palcami, jakby chciał w ten sposób ukryć poczucie winy, i robił, co mógł, by nie unikać jej wzroku. Mimo upału na dworze miał na sobie koszulę z długimi rękawami i dżinsy, wszystko w egzystencjalnej czerni.

– A o co naprawdę panu chodziło, kiedy pojechał pan do swojej dawnej współpracownicy i przyjaciółki? – zapytała Pia przyjaźnie.

– Jak to... nie rozumiem? – Jego jabłko Adama poruszało się nerwowo w górę i w dół. Alexander Roth nie potrafił zachować spokoju i bezustannie się poruszał, kręcił na krześle, strzelał palcami i kołysał stopą. W końcu zdjął okulary i potarł mocno zaczerwienione oczy.

– Z tego, co wiemy, pani Wersch została zwolniona dyscyplinarnie z powodu jej planów założenia innego wydawnictwa. Znał pan jej zamiary? Czy pani Wersch zwracała się do pana z prośbą o wsparcie? A może chciała, żeby odszedł pan razem z nią?

Alexander Roth odkasznął i założył okulary.

– Hm, tak – odpowiedział w końcu. – Heike chciała, żeby Henri, to znaczy Henri Winterscheid, były szef tego wydawnictwa, i ja, no, żebyśmy razem prowadzili jej nową firmę. I jest na mnie zła... bardzo... bo jej odmówiłem.

– Dlaczego miałby pan cokolwiek zmieniać? – Cem uśmiechnął się łagodnie. – Przecież dopiero co awansował pan na stanowisko redaktora prowadzącego. To pewna praca w uznanym wydawnictwie.

– Tak, to też ma mi za złe – wyznał Roth i z ciężkim westchnieniem przeczesał siwawe loki palcami. – Czy to moja wina, że nowe kierownictwo firmy zaproponowało mi to stanowisko? Co ja za to mogę?!

– No cóż, mógł pan odmówić – zauważył Cem. – Jako lojalny, stary przyjaciel i partner w nowej firmie.

– Wie pan co, ja mam już pięćdziesiąt sześć lat. Lubię swoją pracę tutaj. Podoba mi się nowa linia wydawnictwa. Poza tym, nie lubię zmian. – Alexander Roth zaczął się niepotrzebnie tłumaczyć i jeszcze bardziej się zaczerwienił. Pia miała wrażenie, że w każdej chwili może stracić przytomność i osunie się na biurko. W jego okularach odbijało się światło, więc nie mogła dostrzec jego oczu.

– O czym rozmawialiście w poniedziałek po południu? – zapytała.

– Moja żona... Paula Domski... zaprosiła Heike do swojego programu we wtorek wieczorem. Chciałem ją poprosić, żeby odrzuciła zaproszenie i tam nie szła.

– Dlaczego?

– Bo... – przerwał, oderwał wzrok od okna i zmusił się, by spojrzeć na siedzących przed nim policjantów. – Moja żona do tego samego programu zaprosiła również Carla Winterscheida. Ja... ja znam Heike. Wiem, jaka potrafi być impulsywna i...

i jak obraźliwie traktować innych. Poza tym... poza tym uznałem, że to nie fair, że Carl nie miał pojęcia, z kim się tam spotka. Chciały wciągnąć go w pułapkę.

Czy rzeczywiście pierwsze skrzypce grała tu lojalność wobec szefa, czy raczej chodziło mu o zachowanie pracy, a więc przede wszystkim o siebie?

– Jest pan z szefem na ty? – zainteresował się Cem.

– Tak, Carl sam mi to zaproponował – wyjaśnił Alexander. – Znam go w zasadzie od urodzenia. Jego matka była moją przyjaciółką, byłem nawet na jego chrzcie. – Uśmiechnął się delikatnie. – Potem długo go nie widziałem, a kiedy dwa lata temu niespodziewanie stanął przede mną, w ogóle go nie poznałem. No właśnie, a teraz ten chłopiec sprzed lat został moim szefem.

Było to jakieś wyjaśnienie potrzeby ochrony człowieka, który z całą pewnością takiej ochrony nie potrzebował.

– Jak pani Wersch zareagowała w poniedziałek na taką prośbę?

Alexander Roth wydał z siebie dźwięk będący mieszaniną śmiechu i prychnięcia.

– Wyśmiała mnie. – Przestał się kotłować i splótł dłonie na brzuchu. – Chciałem przy okazji porozmawiać z nią o sprawie z Veltenem. Nie pomogła sobie tym wyskokiem.

– Chyba dobrze, gdy opinia publiczna dowiaduje się, że któryś z autorów kradnie własność intelektualną drugiego, prawda?

– Tak, oczywiście. Plagiatu, szczególnie tak dosłownego i obszernego, nie da się wytłumaczyć pomyłką czy błędem. – Roth zachowywał się teraz zupełnie inaczej. – Pikanterii całej sprawie dodaje fakt, że to Heike miała naciskać Severina, żeby zrobił to, co zrobił. Od kiedy wiedza o tym stała się powszechna, Heike jest spalona w naszej branży. Tylko proszę mnie źle nie zrozumieć: to, że jestem już za stary na przygody i nie uśmiechał mi się pomysł zaczynania od zera w nowym wydawnictwie, nie oznacza wcale, że mi na niej nie zależało. Przez ponad trzydzieści lat współpracowaliśmy na różnych polach, odnosiliśmy razem sukcesy i jesteśmy przyjaciółmi.

– Wróćmy do poniedziałkowego wieczoru. Co wydarzyło się później? – Pia wróciła do najważniejszego wątku rozmowy.

– Tego, niestety, w ogóle nie pamiętam – odparł Roth ku jej kompletnemu zaskoczeniu. – Po naszej rozmowie poszedłem prosto do baru. Ja... jestem

alkoholikiem. Byłem trzeźwy przez ponad piętnaście lat. Ale ta cała sytuacja z nią za bardzo mnie stresowała. We wtorek rano żona odebrała mnie z komisariatu policji w Eschborn.

– Wie pan może, dlaczego zadajemy panu te wszystkie pytania?

– Nie. A w każdym razie nie mam pewności.

– Pani Wersch zaginęła i od wtorku rana nie ma z nią żadnego kontaktu.

Pia zauważyła, że spojrzenie Rotha na ułamek sekundy stało się zupełnie puste, ale szybko odzyskał kontrolę nad sobą.

– Zaginęła? Jak to? – zapytał zdezorientowany. – Myślałem, że wyjechała.

– Skąd taki pomysł?

– No cóż, ona nie... nie pojawiła się we wtorkowym programie w telewizji. – Redaktor prowadzący zaczął się jąkać. – Poza tym... powiedziała mi, że potrzebuje trochę czasu, żeby odpocząć od tego zamieszania.

Pia zapisała coś w notatniku, a Alexander Roth znów zaczął się denerwować.

– Wczoraj dotarł do nas sygnał na temat jej zaginięcia. Zgłosiła się do nas jej dawna przyjaciółka zaniepokojona brakiem kontaktu.

– Dawna przyjaciółka?

– Maria Hauschild, agentka literacka. Pan również ją zna?

– Maria. Oczywiście, że się znamy. I to od dawna.

– A czy zna pan ojca pani Wersch? – zainteresował się Cem.

– Ojca pani Wersch? – powtórzył Roth powoli, jakby chciał zyskać na czasie i przemyśleć odpowiedź. – Nie... to znaczy tak. Znałem go. Ale on od lat mieszka w domu opieki dla seniorów. Czy coś mu się stało? Umarł?

– Nie, nie umarł. Ojciec pani Wersch choruje na demencję i mieszka z nią w domu. Pani Wersch zajmuje się nim od lat. – Pia ze złośliwą satysfakcją stwierdziła, że Alexander Roth o prywatnym życiu swojej przyjaciółki, mimo tego, co sam deklarował, wie tak samo mało jak również z nią zaprzyjaźniona Maria Hauschild. – Raczej nie wyjechałaby z domu, zostawiając chorego staruszka na kilka dni samego, prawda?

– Ja... też myślę... że nie. Nie, to... nie zrobiłaby czegoś takiego – wyjąkał Alexander Roth i najpierw się zaczerwienił, po czym prawie natychmiast pobladł.

– Czy będzie miał pan coś przeciwko pobraniu wymazu ze śluzówki ust w celu przeprowadzenia testu DNA? – poprosiła Pia. – Gdyby to było możliwe, chętnie zdjęlibyśmy panu również odciski palców. Proszę się niczym nie przejmować, to tylko po to, aby nasi technicy mogli pana wykluczyć.

– Nie będę miał nic przeciwko... – szepnął Roth, oblewając się potem. – Proszę pobierać.

*

Bodenstein zawiózł córkę do rodziców. Ledwie Sophia wysiadła z samochodu, pobiegła szukać jego brata Quentina. W przeciwieństwie do starszych dzieci Olivera, których nigdy nie interesowało prowadzenie gospodarstwa z uprawami i hodowlą zwierząt, Sophia uwielbiała taką pracę i wszystko, co się z nią wiązało. Również dorosłych już dzieci Quentina i Marie-Louise nie zajmowało życie w majątku, w którym dorastały; dlatego Bodenstein nie wykluczał, że pewnego dnia to jego najmłodsza córka zajmie miejsce Quentina. Chciał zaraz ruszać dalej i wracać do pracy, jednak matka naciskała, żeby został na chwilę i coś zjadł, bo w rozmowie wymknęło mu się, że od trzech dni nie miał czasu na porządny posiłek. W rodzinie Bodensteinów nikt nie obnosił się ze swoimi emocjami. Zamiast słów, współczucie okazywało się czynami i niewzruszoną solidarnością; tak oto Oliver pod czujnym okiem matki na stojąco zjadł plaster zimnej pieczeni wołowej w sosie ziołowym. Najbliższa rodzina wiedziała o chorobie Cosimy, jednak na jej wyraźną prośbę nikt poza Lorenzem i Rosalie nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji.

– Bardzo się o ciebie martwię – powiedziała niespodziewanie jego matka, łamiąc rodzinne tabu. – Źle wyglądasz, Oliverze. Co się dzieje? Możemy ci jakoś pomóc?

– Bardzo mi pomagacie, opiekując się Sophią – zapewnił ją i odstawił talerz do zlewu. – To duża odpowiedzialność i sporo pracy.

– Oj, mój drogi... – westchnęła matka z troską, uniosła dłoń i pogłaskała go po policzku. Wzruszył go ten rzadki i pełen czułości gest; do tego stopnia, że przez chwilę walczył z pragnieniem, by jak mały chłopiec oprzeć głowę na jej ramieniu i poczekać, aż go zapewni, że wszystko będzie dobrze. Nie chciał jednak obarczać osiemdziesięcioletniej kobiety swoimi problemami. Czy i jak byłaby w stanie mu pomóc? Jego życie zmieniło się w mroczną otchłań wysysającą z niego całą energię

i poczucie pewności. Dawniej również zdarzały się trudniejsze momenty, jednak był wtedy młodszy i miał w sobie więcej optymizmu. Tylko w pracy czuł się jeszcze w miarę dobrze, choć wiedział, że już niedługo czeka go poważna rozmowa z Nicolą i Pią na temat zbliżającej się operacji i jego osobistej sytuacji. Wtedy mroczna otchłań również jego pracę pogrąży w ponurym cieniu.

– Dzięki, mamie – powiedział głucho i spróbował się uśmiechnąć. – Wszystko się jeszcze wyprostuje.

– Uważaj na siebie – poprosiła go. – I pamiętaj, że jeśli cokolwiek będzie nie tak, nasze drzwi zawsze są dla ciebie otwarte.

Bodenstein potaknął, ale nic nie powiedział. Z wdzięcznością przytulił staruszkę do piersi i pocałował w policzek. Już w samochodzie sprawdził telefon, w którym wcześniej wyłączył dźwięk. Kai próbował się z nim skontaktować, więc od razu oddzwonił.

– Szefie – odezwał się policjant niemal natychmiast. – Dostałem dane z logowań komórki Heike Wersch. W nocy z poniedziałku na wtorek do pięć po północy była zalogowana do tej samej stacji przekaźnikowej w Bad Soden. Później zaczęła się przemieszczać i zgodnie z wykazem, do czwartku rano, konkretnie do jedenastej dwadzieścia dwie, była zalogowana do jednej i tej samej stacji około dwa kilometry dalej.

– A potem?

– To wszystko, nie ma nic potem. Pewnie rozładował jej się telefon.

– W takim razie prawie na pewno dalej znajduje się w tym samym miejscu – domyślił się Bodenstein i skręcił w lewo, w kierunku Schneidhain.

– Też tak uważam – potwierdził Ostermann. – I na pewno nie jest to spalarnia odpadów w Eschborn. Coś mi też mówi, że jej ciała również tam nie znajdziemy.

– Gdzie jest stacja przekaźnikowa, do której była zalogowana aż do końca działania telefonu? – zapytał Bodenstein.

– Gdzieś pomiędzy Königstein, Mammolshain i Neuenhain.

A zatem w lesie. Ktoś, by zatrzeć ślady, mógł porzucić jej telefon gdzieś w ściółce. Choć oczywiście nie dało się wykluczyć, że w tym miejscu znajdowało się również jej ciało. Bodenstein zaczął intensywnie myśleć i porównywać koszty wezwania grup poszukiwawczych z psem do wykrywania zwłok z kosztami przekopywania się przez setki ton odpadów w spalarni. Szybko podjął decyzję.

– Dzwon do Christiana. Niech się wstrzyma z dalszymi działaniami. Najpierw sprawdzimy las – polecił. Cieszył się w duchu, bo to nieco odrywało go od problemów w prywatnym życiu. – Wyślij też informację na naszą grupę. Widzimy się za godzinę na odprawie. Christian też powinien w niej uczestniczyć.

*

Alexander Roth stał w swoim biurze przy oknie i wyglądał na Schillerstrasse. Z góry widział, jak jego goście wychodzą z budynku, skręcając w stronę giełdy i znikają w tłumie. Przepocona koszula lepiła mu się do ciała i każdą komórką tęsknił do uspokajającej porcji wódki, byle tylko uspokoić dygot. Gliniarze, ten fałszywy typ o urodzie George'a Clooneya i blondyna, która nawet na chwilę nie przestawała pisać w notatniku, musieli go przejrzeć, był o tym przekonany. No bo niby po co były im próbki jego śliny i odciski palców? Nie pamiętał, czy dotykał czegoś w domu Heike ani czy zostawił tam jakieś podejrzane ślady. Był słabym aktorem i nie łudził się nawet, że kupili jego rzewną bajeczkę i uwierzyli, że to z troski o dawną przyjaciółkę szkolną i długoletnią współpracowniczkę pojechał wtedy do Bad Soden. Alexander Roth sam nie wiedział, dlaczego skłamał, ale łgarstwo od dawna było jego pierwszym odruchem. Czy policji uda się ustalić, gdzie rzeczywiście był w poniedziałek wieczorem? Najgorsze, że sam nie potrafił sobie do końca przypomnieć, co wtedy robił. Na pewno mocno się pokłócili, on z Heike. Był okropnie rozczarowany i zły, kiedy mu zagroziła, że ujawni, jak...

Ktoś zapukał do drzwi. Do gabinetu zajrzała Dorothea.

– Hej, Alex – zaczęła. – Chciałeś być przy wyborze okładek. Tyle że jesteśmy już mocno... – przerwała i przyjrzała mu się uważniej. Dopiero wtedy zauważyła odłożoną na biurku słuchawkę. – O co chodzi? Coś się stało? Jesteś blady jak ściana!

Alexander Roth nabrał głęboko powietrza. Wrócił za biurko, usiadł i słuchawkę, którą podniósł wcześniej, by nikt mu nie przeszkadzał, odłożył na widełki.

– Właśnie miałem wizytę policji kryminalnej – wyjaśnił. – W sprawie Heike.

– Policja? Kryminalna? – zainteresowała się Dorothea. Zamknęła za sobą drzwi i usiadła na krześle dla gości, tym, które przed chwilą zajmowała blond funkcjonariuszka. – A co się dzieje z Heike?

– Ponoć zniknęła.

– Czekaj, wyjaśnij, jak to rozumieć.

– Nikt nie wie, gdzie się podziewa. – Alexander Roth przesunął dłonią po twarzy. Chciał, żeby Dorothea jak najszybciej sobie poszła, by mógł wreszcie pociągnąć łyk wódki. – Miałaś w ogóle pojęcie, że jej ojciec choruje na demencję, a ona się nim opiekuje u siebie w domu?

– Że co? – Dorothea wytrzeszczyła oczy. – No coś ty! Nigdy mi o tym nie wspomniała. Ale też nie byłam z nią tak blisko jak ty. Co jeszcze powiedziała policja? Mów!

– A co spodziewasz się usłyszeć? – Roth wzruszył ramionami. – Maria nie mogła dodzwonić się do Heike, więc wczoraj do niej pojechała. I wezwała policję.

– Czego chcieli od ciebie? – W oczach Dorothei, ukrytych za okularami w różowych oprawkach, pojawiła się niezdrowa żądza sensacji. Dla niej to wszystko było ekscytującą nowością. – Masz z tym coś wspólnego? Abstrahując od tego, że Heike cię nienawidzi za zajęcie jej stanowiska.

– Ja... ja byłem u niej w poniedziałek – wyznał Alexander Roth.

Dorothea przestała się uśmiechać i popatrzyła na niego wstrząśnięta.

– Boże, Alex! – wyszeptała z trudem. – Powiedz, czy ty ją zabiłeś?

– Nie gadaj bzdur! Co to w ogóle ma być? – Zaśmiał się nieswojo. – Chciałem z nią pogadać i przekonać ją, żeby nie szła do programu Pauli, bo miała zaproszenie na wtorek wieczorem.

Telefon na jego biurku zaczął dzwonić.

– I osiągnąłeś swój cel – oznajmiła szefowa sprzedaży chłodno. – Niezależnie od tego, jakimi środkami, ale osiągnąłeś.

Idź stąd w końcu – pomyślał Alexander i oparł dłoń na słuchawce. Dorothea zrozumiała ten gest właściwie i wstała, lecz zanim wyszła, położyła mu na biurku teczkę, którą ze sobą przyniosła.

– Trzymaj, to są projekty okładek do nowego tytułu Ismini Papadimakopoulo. Dellamura prześle ci je mejlem. Wyślij je do jego agenta i daj mi zaraz znać, jaki będzie odzew. Nam najbardziej przypadły do gustu numery trzy i siedem.

– Pewnie. Zamknij, proszę, za sobą drzwi, dobrze?

Ledwie Dorothea wyszła, Alexander zerwał się z miejsca i ruszył w stronę stołu w narożniku, pod którym stała ukryta lodówka. Wyjął z niej butelkę, odkręcił

zakrętkę, przytknął szyjkę do ust i wziął kilka dużych łyków lodowatej wódki, po raz pierwszy od poprzedniego wieczoru. Z przymkniętymi oczyma rozkoszował się ostrym paleniem w gardle i działaniem alkoholu, który w cudowny sposób uspokajał jego system nerwowy. Zignorował dzwonienie telefonu.

*

– Telefon komórkowy pani Wersch był zalogowany do tej samej stacji przekaźnikowej w Bad Soden od piątku trzydziestego pierwszego sierpnia, do pięć po północy we wtorek czwartego września – referował Kai i flamastrem zakreślił okrąg wokół lokalizacji stacji. – To oznacza, że pani Wersch, a przynajmniej jej komórka, nie oddalała się od posesji na więcej niż sto pięćdziesiąt do dwustu metrów. W przeciwnym razie przelogowałyby się do innej stacji.

– Nie byłbym tego w stu procentach pewny – zauważył trzeźwo Christian Kröger. – One działają w taki sposób, że kiedy któraś ze stacji jest przeciążona, komórka może przelogować się do innej, z mniejszym obciążeniem.

– Pełna zgoda – potaknął Kai. – Jednak rzadko się zdarza, żeby stacje przekaźnikowe były przeciążone w okolicach północy.

Cały zespół wydziału K11 zebrał się na odprawie. Christian Kröger, Kathrin i Tarik zajęli miejsca w pobliżu otwartego okna, bo smród odpadów, którym przesiąkły ich ubrania, był nie do zniesienia.

– Na całe szczęście mamy do czynienia z telefonem wyposażonym w moduł GPS i z funkcją lokalizacji. – Kai przymocował mapę do metalowej tablicy. – Dzięki temu znamy dokładne współrzędne miejsca, gdzie znajdował się do chwili wyłączenia się.

– W środku lasu – stwierdził Kröger.

– Znam tę okolicę – powiedziała Pia. – Przynajmniej trzy razy w tygodniu zabieram tam Beck'sa na spacer.

– Jutro z samego rana, powiedzmy o ósmej, zaczniemy poszukiwania – zdecydował Bodenstein. – Spotykamy się na parkingu przed Leśną Karczmą Hubertus przy Sophienruhe w Neuenhain.

– Dlaczego nie sprawdzimy tego miejsca od razu dzisiaj, skoro mamy tak dokładne dane? – zapytała Kathrin Fachinger.

– Dlatego, że dopiero jutro będziemy mogli skorzystać z psa do poszukiwania zwłok – wyjaśnił Bodenstein.

– Ustaliłem z kierownictwem spalarni, że szyb numer dziewięć tymczasowo pozostanie zamknięty – poinformował Christian Kröger. – Jeśli w lesie niczego nie znajdziemy, wracamy do Eschborn i kontynuujemy, co zaczęliśmy.

– Świetnie. – Bodenstein skinął głową. Zaraz potem Kröger opuścił odprawę.

– Co wam się udało ustalić w trakcie wizyty w wydawnictwie? – zapytał Bodenstein.

– Carl Winterscheid to biznesmen – zaczęła Pia. – Jest elokwentny, uprzejmy, rozsądny i trudny do rozgryzienia. Kiedy mu powiedziałam, że Heike Wersch prawdopodobnie została zamordowana, odruchowo zareagował strachem. Opisał nam sytuację, która doprowadziła do jej zwolnienia, i nawet nie próbował udawać, że nie byli skłóceni. Mimo to nie uważam, żeby miał motyw. Pozbył się problemu w sposób całkowicie legalny, dzięki zwolnieniu dyscyplinarnemu, a potem w sądzie pracy.

– Skandal wokół *Jednonogiego żurawia* Severina Veltena nie zaszkodził wydawnictwu, a można powiedzieć, że wręcz przeciwnie – dokończył Cem. – Ponoć od ujawnienia kontrowersji książka sprzedaje się jeszcze lepiej niż jego inne powieści.

– Czy to oznacza, że Severin Velten również nie miał motywu, żeby zamordować panią Wersch? – zapytała Kathrin.

– Perspektywa autora jest zupełnie inna niż wydawnictwa – zauważył Bodenstein. – Zapytaliście, gdzie moglibyśmy go znaleźć?

– Winterscheid powiedział, że po wybuchu afery Velten się gdzieś przyczaił, cokolwiek by to miało znaczyć – dokończyła Pia.

– Wyobraźcie sobie, że mam pomysł, gdzie mógł się zamelinować – obwieścił Kai Ostermann. – Obejrzałem o nim kilka programów na YouTube. Wśród nich trafiłem na program sprzed dwóch lat, w którym Velten spaceruje polną drogą z krytykiem literackim mówiącym lokalnym akcentem, i rozmawiają o jego najnowszej książce. Był to jeden z tych programów, gdzie dziennikarze odwiedzają swoich rozmówców w ich domach, a rozmowa zeszła między innymi na temat wyboru niewielkiej wioski w górach Taunus na pustelnię pisarską.

Usiadł do komputera, a jego palce zatańczyły po klawiaturze. Chwilę później odwrócił ekran tak, żeby pozostali mogli go zobaczyć.

– Przecież to Oberems! – zawołali Pia i Bodenstein chórem. – Z tyłu widać ośrodek konferencyjny Commerzbanku! – ciągnęła policjantka. – A jak się kamera zakołysała, na ekranie pojawił się odcinek B8 w stronę Bad Camberg i odcinek z tyłu Oberrod i Niederrod.

– Świetna robota, Kai. – Bodenstein pochwalił podwładnego. – Jeśli Velten ukrył się w swojej pisarskiej pustelni, bez problemu go znajdziemy.

– Mogę zacząć poszukiwania w urzędowym rejestrze nieruchomości tamtego rejonu. I jeszcze w urzędzie miejskim... wiecie może, pod jakie miasto podlega ta dziura?

– Glashütten – powiedziała Pia.

– Powinniśmy porozmawiać jeszcze o Alexandrze Rocie – zauważył Cem. – Gość zastąpił Heike Wersch na stanowisku redaktora prowadzącego w wydawnictwie Winterscheid, a opierając się na tym, co sam nam powiedział, jest nie tylko jej byłym kolegą z pracy, ale też przyjacielem od czasów podstawówki.

– Co ciekawe, okazało się, że podobnie jak Maria Hauschild, on też nie wiedział, że pani Wersch opiekuje się chorym ojcem. – Pia przerzuciła kilka stron w notatniku. – Wiedział za to Carl Winterscheid, szef wydawnictwa. Jego pierwsze pytanie po tym, jak powiedzieliśmy o naszych podejrzeniach, że pani Wersch mogła paść ofiarą przestępstwa, dotyczyło chorego staruszka. Miałam wrażenie, że jego zainteresowanie było zupełnie szczere.

– Pia została fanką Carla Winterscheida. – Cem się uśmiechnął.

– Generalnie jestem fanką ludzi, którzy nie próbują nas okłamywać, jak na przykład Alexander Roth, który chyba nie powiedział ani słowa prawdy – odparowała Pia. – Przyznał wprawdzie, że w poniedziałek odwiedził zaginioną, ale cała historia była strasznie naciągana.

– Ponoć chciał ją powstrzymać przed wzięciem udziału we wtorkowym programie swojej żony, bo dowiedział się, że zaprosiła do siebie również jego szefa, który w ogóle nie przeczuwał konfrontacji ze skorą do awantur byłą pracownicą.

– Jaki szlachetny! – zakpiła Kathrin. – Wierzycie mu?

– Trochę tak, trochę nie. – Pia wzruszyła ramionami. – Był tam, ale na pewno nie z tego powodu, który chciał nam wmówić.

– Gość był strasznie nieswój – potaknął Cem. – Roztrzęsiony i nerwowy. Ponoć wrócił do picia po piętnastu latach abstynencji. Tym tłumaczył, dlaczego nie pamięta, co robił w poniedziałek wieczorem. Ponoć film mu się urwał, bo po wizycie u Heike Wersch poszedł jakoby do jakiegoś baru. Twierdzi, że dopiero we wtorek rano żona odebrała go z wytrzeźwiająki przy komisariacie w Niederhöchstadt.

– To akurat będzie łatwo sprawdzić – stwierdził Bodenstein. – Musimy też porozmawiać z prowadzącą ten program.

– Paula Domski – zabrał głos Kai Ostermann, który błyskawicznie znalazł w internecie potrzebne informacje. – Dziennikarka zajmująca się kulturą i krytyczka literacka. Ma nawet własną stronę internetową.

– Nie wiem, czym my się teraz zajmujemy, przecież to do niczego nie prowadzi – przerwała mu Pia z irytacją. – Będziemy błądzić po omacku, dopóki nie znajdziemy zwłok Heike Wersch. Cała masa ludzi miała całą masę powodów, żeby być na nią wściekła, ale przecież tak naprawdę nie mamy nawet pewności, że ona nie żyje!

– Zgoda, istnieje prawdopodobieństwo, że została porwana i jest gdzieś przetrzymywana – potaknął Tarik zgodnie ze swoją wcześniejszą hipotezą.

– Może Alexander Roth był taki nerwowy, bo w poniedziałek wieczorem ją gdzieś wywiózł i uwięził. – Cem rozwinął pomysł Tarika.

– Jestem przekonana, że nie żyje – zaprzeczyła Pia. – To tylko przeczucie, bo nie mamy dowodów. Proponuję, żebyśmy poczekali do jutra rana, aż pojawi się pies wyszkolony do poszukiwania zwłok i coś znajdzie, bo przedwczesne rozmowy ze wszystkimi po kolei mogą ostrzec sprawcę.

Bodenstein odchrząknął.

– Pia ma rację – zdecydował, odsunął się z krzesłem od stołu i wstał. – Na dzisiaj to wszystko. Jutro rano spotykamy się w lesie, w umówionym miejscu. Możecie zapomnieć o wolnym weekendzie. Tymczasem dobranoc i do jutra.

– Chciałem jeszcze... – zaczął Kai, ale szefa nie było już w sali.

Bodenstein był wyczerpany. Dudniło mu w głowie i kilka razy czuł tego dnia ucisk w piersi, tak mocny, że się przestraszył. Od rana jego głowa pracowała na dwa fronty i wiedział, że jeszcze przez jakiś czas się to nie zmieni, a co gorsza, będzie go to zżerało od środka, jeśli nie zrealizuje w końcu decyzji podjętej poprzedniego dnia. Półtorej godziny wcześniej rozmawiał z szefem oddziału onkologicznego: wróciły jego wyniki i wszystkie były dobre. Jeśli o niego chodziło, z medycznego punktu widzenia nic nie stało na przeszkodzie, by został dawcą wątroby. Dlatego nic nie może mu się stać, dopóki Cosima nie odzyska sił po chemioterapii na tyle, by przetrwać operację. Od kiedy Sophia trafiła w bezpieczne miejsce, miał o jedną troskę mniej. Teraz jednak czekała go rozmowa z Karoline, pakowanie swoich rzeczy i wyprowadzka. Ze szwagierką ustalił wcześniej, że tymczasowo zamieszka w pałacowym hotelu, przynajmniej do czasu, aż znajdzie dla siebie jakiś kąt.

Najchętniej spakowałby się w spokoju i samotności, zanim Karoline wróci do domu, lecz kiedy wjechał samochodem służbowym do garażu podziemnego, jej auto stało już obok porsche, jakby coś podejrzewała. Wróciła całkiem niedawno, bo silnik jej SUV-a cicho pykał i strzelał, stygnąc. Bodenstein zrobił głęboki wdech, otworzył wewnętrzne drzwi i wszedł do środka. Karoline zastał w salonie przy sprzątanym bałaganu pozostawionego przez Gretę. Szybkimi ruchami zbierała paczki po czipsach i puste butelki.

– Cześć – przywitał się.

– Greta powiedziała, że Sophia przyjechała po południu zabrać wszystkie swoje rzeczy i żadne z was nie zamieniło z nią ani słowa – powiedziała Karoline w odpowiedzi na powitanie. Spojrzała na niego krótko. Miała zaczerwienione oczy. – Była strasznie rozbita. Ledwie mogła coś z siebie wykrztusić, tak bardzo płakała. Nie potrafisz cię zrozumieć, Oliverze! Jak możesz być tak bez serca?

– Sophia miała silne bóle brzucha. Musiałem odebrać ją wcześniej ze szkoły – wyjaśnił, nie reagując na zarzuty. – Nie chciała tu dłużej mieszkać. Dlatego przeniosłem ją tymczasowo do moich rodziców.

– Rozumiem. – Karoline minęła go i weszła do kuchni, która wyglądała, jakby cała zgraja nastolatków właśnie skończyła w niej huczną imprezę. Brudne garnki i patelnie piętrzyły się w różnych miejscach, a blender był oblepiony jakimiś zielonymi resztkami. Między brudnymi talerzami walały się skórki owoców, a na wyspie leżała wytłoczka po jajkach pełna skorupki i innych składników przygotowywanych koktajli. Szafki były pootwierane, tak samo apteczka, a płyta

kuchenki zapryskana była tłuszczem. – No cóż. Może tak będzie lepiej. Greta będzie miała więcej spokoju.

Karoline zamknęła szafki i zaciskając usta, zabrała się do wyrzucania resztek jedzenia do kosza. Bodenstein patrzył, jak pracuje i z mieszaniną tęsknoty i bezradności zastanawiał się, gdzie podziła się tamta mądra i ciepła kobieta, w której przed sześcioma laty się zakochał. Po trudnych początkach, pełnych nieporozumień i przypadkowego zadawania sobie bólu, zaczęli się rozumieć, a Karoline dała mu szansę zamknięcia przeszłości i pogodzenia się z nią. Była pierwszą kobietą, przed którą się otworzył, bo dawała mu poczucie, że szczerze interesuje ją, jakim jest człowiekiem. Przez jakiś czas po ślubie ich związek był wspaniały, a on liczył, że pozostanie taki na zawsze. I właśnie wtedy Grecie udało się wbić klin między nich, a Karoline jej na to pozwoliła. Kobieta powoli odsuwała się od niego coraz dalej, jednocześnie wykształcając w sobie paranoiczną zazdrość o niemal każdą osobę w jego pobliżu, w tym szczególnie o Cosimę i Sopię. Kiedy się kłócili – a działo się to coraz częściej – żeby go zranić, celowo wykorzystywała przeciwko niemu rzeczy, które jej kiedyś wyjawiał. Z każdą uszczypliwością, każdą złośliwością i każdym niesprawiedliwym zarzutem jego zaufanie i miłość kawałek po kawałku erodowały, aż pozostała po nich kupka gruzu. Mimo że stawała potem przed nim zalana łzami i przepraszała tysiącrotnie, nie mogła cofnąć wypowiedzianych słów, które tkwiły w jego sercu jak drzazgi.

– Sophia powiedziała mi o rzeczach, które bardzo mnie poruszyły – zaczął, po czym streścił złośliwości i okrucieństwa, jakimi Greta dzień w dzień dręczyła jego córkę.

– Chyba w to nie wierzysz! – Karoline prychnęła pogardliwym śmiechem.

– Wręcz przeciwnie, wierzę w każde słowo. Sophia nie wymyśliła sobie tego wszystkiego.

– Bzdura. Greta nigdy by czegoś takiego nie powiedziała.

– Nie chcę z tobą więcej rozmawiać o twojej córce – westchnął Bodenstein znużonym tonem. – Wyprowadzam się do hotelu.

– A to niby dlaczego? – Karoline znieruchomiała. W jej spojrzeniu widział szczerze niezrozumienie, czym naprawdę go zaskoczyła. Czyżby nie zauważyła jeszcze, że ich małżeństwo dobiegało właśnie końca?

– Nie czuję się tu mile widziany – wyjaśnił.

– Rozumiem, chodzi ci o dzisiejszy poranek! – Zaśmiała się i wróciła do czyszczenia kuchenki. – Greta nie miała niczego złego na myśli.

W tej chwili dotarło do niego, że dalsza rozmowa jest pozbawiona sensu. Karoline nie chciała dostrzec problemu. Zostawił ją sam na sam z pobjowiskiem, które próbowała uprzątnąć, i ruszył na piętro. Z szafy w korytarzu wyjął walizkę i torby podróżne, i zaniósł je do sypialni. Kiedy przed sześcioma laty przeniósł się tu ze swojego domu w Ruppertshain, meble i pudła przeprowadzkowe ustawił na początku w przestronnym garażu. I czekały tam do zeszłego roku, aż podarował meble córce Rosalie, która po sześciu latach i pobycie w wielu różnych krajach postanowiła wrócić do Niemiec, do Kelkheim, gdzie kupiła z mężem niewielki domek. Większość pudeł, jedno po drugim, wróciło na strych u rodziców, bo w domu Karoline nie było takiej przestrzeni pod płaskim dachem. Dzięki temu nie miał zbyt wiele do pakowania. Otworzył walizkę i rozsunął drzwi szafy, w której trzymał marynarki i spodnie. Kiedy chciał sięgnąć po pierwszy wieszak, jego dłoń trafiła w próżnię. Wszystkie ubrania, wszystkie garnitury, marynarki i spodnie zostały zrzucone na dno szafy i wymieszane.

– Co za kanalia! – mruknął, bo nie miał najmniejszych wątpliwości, że to sprawka Greta. Sięgnął po zrzucone rzeczy i w pierwszej chwili miał wrażenie, że ze zdenerwowania jego mózg płata mu figle, jednak po chwili nie miał już wątpliwości: wszystkie ubrania zostały pocięte w wąskie paseczki. Serce zaczęło walić mu tak mocno, że w uszach słyszał szum krwi. Gwałtownym ruchem otworzył szufladę komody, by z niedowierzaniem stwierdzić, że taki sam los spotkał jego bieliznę i skarpetki. Niczego nie oszczędziła: bokserki, slipy, T-shirty, koszule, a nawet stare spodnie od dresu, płaszcze i kurtki – wszystkie padły ofiarą nożyczek córki Karoline. Nie zostało mu nic poza tym, co miał na sobie. Wyjął komórkę i udokumentował ogrom zniszczeń, po czym spakował torby do walizki, zapiął ją i ruszył do łazienki. Zrobiło mu się słabo, kiedy przeczytał napis zrobiony szminką na lustrze. Greta wycisnęła mu do kosmetyczki tubkę pasty, jego krem do twarzy i krem do golenia, i wszystko poląła wodą kolońską. Nic nie zostało oszczędzone. Pocięła nawet przewód jego maszynki do golenia.

– Co tu robisz? – W drzwiach łazienki stanęła Karoline.

– Ktoś pociął mi wszystkie ubrania – powiedział, z trudem powstrzymując wściekłość. – I nie próbuj mi wciskać, że jestem w twoim domu mile widziany. –

Pokazał jej zniszczoną kosmetyczkę i wskazał na słowa nabazgrane na lustrze. *Wypierdalaj, pedofilu.*

– Sam jesteś temu winien, Oliverze – zaczęła Karoline. Bodenstein nie wierzył własnym uszom. – Dlaczego nie zostawisz tego biednego dziecka w spokoju? Wiesz przecież, że Greta jest bardzo wrażliwa!

– Ona nie jest wrażliwa, tylko psychicznie chora – odparł. – I pilnie potrzebuje profesjonalnej pomocy. Otwórz wreszcie oczy!

Chwycił pustą walizkę i idąc po schodach, poprosił dyspozytora policji o przysłanie kogoś z prewencji, żeby odebrał jego samochód służbowy. Nie był zaskoczony zniknięciem wszystkich książek i płyt CD, ale też nie zamierzał się poniżać, próbując wydobyć je ze śmieci. Całe szczęście, że wcześniej zabrał ze sobą wszystkie ważne dokumenty.

Może to i dobrze, że w taki akurat sposób wszystko dobiegło końca: jakby pożar doszczętnie strawił jego dotychczasowe życie i będzie mógł teraz zacząć od nowa. Karoline zeszła za nim do podziemnego garażu, gdzie czekała kolejna nieprzyjemna niespodzianka: Greta dała upust swojej złości na niego, niszcząc jego porsche. Na drzwiach jego ukochanego sportowego wozu, który otrzymał w prezencie ślubnym od byłej teściowej, matki Cosimy, Greta wydrapała słowo „PEDOFIL”, a na masce wielkiego penisa. Na widok zniszczeń poczuł bolesne ukłucie w sercu, ale nie pozwolił sobie na okazanie złości. Otworzył bramę garażu i obfotografował dzieło Greta. Karoline przyglądała mu się w milczeniu.

– Oddam auto do lakierowania i odkupię wszystkie zniszczone rzeczy, a potem prześlę ci rachunki – powiedział do żony. – Jeśli je pokryjesz, nie będę wnosił oskarżenia.

Przed garażem zatrzymał się radiowóz. Bodenstein przekazał umundurowanemu policjantowi kluczyki do samochodu służbowego i poprosił o dostarczenie go na parking komisariatu. Potem włożył swoją walizkę na siedzenie pasażera, wsiadł za kierownicę i otworzył dach.

– To wszystko? – zapytała Karoline głuchym tonem.

– Tak, to by było na tyle – potwierdził Bodenstein. – Powodzenia.

Kiedy wyjechał na ulicę, miał wrażenie, jakby właśnie zrzucił z barków wielki ciężar. Zamiast żalu czuł jedynie ulgę.

*

Alexander Roth stał w swoim biurze przy oknie i spoglądał na rozświetlone siedziby banków w wieżowcach, które widział coraz mniej wyraźnie. Zamglony przez alkohol mózg pogrążał się w przeszłości. Dawniej często zostawali dłużej w pracy i siedzieli tu do późna w nocy – Henri, Heike i on. Prowadzili pełne pasji rozmowy o przesyłanych manuskryptach i autorach, przygotowywali strategie i wykuwali plany, pili, palili i dużo się śmiali. Nierzadko szli potem razem coś zjeść albo wypić jeszcze jednego na drogę. Nigdy nie brakowało im tematów do dyskusji. O, tak, byli świetnym zespołem i to przez niemal trzydzieści lat. Teraz wszystko się zmieniło. Bolało go, że wiele osób z wydawnictwa obarcza go winą za kłopoty finansowe firmy. Szczególnie młodsze koleżanki, te, które mogłyby być jego córkami, patrzyły na niego jak na dinozaura, który czystym przypadkiem przeżył kredę i dotrwał do współczesności. Traktowały go z uprzedzającą grzecznością, ale bez krztyny szacunku czy uwagi. Wszyscy w wydawnictwie – włącznie z nim samym – awans na stanowisko redaktora prowadzącego działu literackiego traktowali jako czysto strategiczne posunięcie szefostwa. Wprawdzie oficjalne uzasadnienie mówiło coś o nim jako o symbolu kontynuacji dotychczasowej linii i o tym, że cieszył się zaufaniem autorów, jednak on wiedział. Carl był sprytnym lisem, tak samo bystrym, jak dawniej jego ojciec. Kiedy tylko dotarły do niego plotki o Heike i jej planach założenia nowego wydawnictwa, zaoferował jej stanowisko Alexowi, który dotychczas zawsze stał w drugim szeregu. Carl wiedział, że próżność nie pozwoli mu odrzucić takiej propozycji. Jednak spoglądając z pewnej perspektywy, awans był dla Alexa niczym Oscar za całokształt pracy, nagroda pocieszenia za to, że nigdy nie dochrapał się kierowniczej funkcji. W branży każdy zdawał sobie z tego sprawę. Dopiero po kilku miesiącach zorientował się, że Carl zastawił na niego wyrefinowaną pułapkę, w którą z radością dał się zwabić. I właśnie dlatego wszystko zaczęło się sypać. Heike nigdy mu nie wybaczyła, że jej odmówił. Robiła swoje plany przekonana o jego wsparciu, a on haniebnie zostawił ją na lodzie. Wtedy zarzuciła mu, a potem wzburzona wykrzyczała, że zachował się jak pozbawiony zasad i kręgosłupa tchórz, a na koniec stwierdziła, że zrobił to, by zobaczyć jej klęskę, która miałaby być zemstą za to, że zawsze była od niego dużo lepsza.

– Trzęsiesz portkami, że nie podolasz, bo w rzeczywistości niczego sobą nie reprezentujesz i bez nazwiska Winterscheid, za którym od ponad trzydziestu lat

wygodnie się kryjesz, jesteś żalonym zerem! – rzuciła mu pogardliwie w twarz. Mimo że boleśnie go zraniła, nic nie powiedział, bo nie chciał jej jeszcze bardziej nastawić przeciwko sobie. Heike Wersch miała nadzieję, że da Carlowi Winterscheidowi nauczkę i zakładając własne wydawnictwo, przejmie jego najważniejszych autorów. Jej plany spaliły na panewce, bo poza Henrim wszyscy jej odmówili: Stefan, Maria, Josi, a na koniec nawet on. Takiego poniżenia nie była w stanie znieść; jej rozbuchane ciągłymi sukcesami ego nie radziło sobie z porażką i odmowami, z którymi spotykała się w każdym wydawnictwie, do którego drzwi zapukała. Właśnie wtedy, zaślepiona przez złość, popełniła najgorszy błąd, jaki może przydarzyć się redaktorce: zdradziła swojego najbardziej utytułowanego autora, i to tylko dlatego, że wolał pozostać przy Carlu Winterscheidzie.

Alexander Roth dopił zawartość szklanki i stwierdził, że już do połowy opróżnił butelkę, którą otworzył tuż po wizycie gliniarzy. Po piętnastu latach abstynencji znacznie szybciej odczuwał działanie alkoholu. Kręciło mu się w głowie i miał lekkie mdłości, które wynikały prawdopodobnie z faktu, że w zasadzie od rana niczego jeszcze nie jadł. Na dodatek bolała go głowa, tak mocno, jak chyba jeszcze nigdy, nawet w momentach, gdy dręczył go kac gigant. Nienawidził się za powrót do nałogu, jednak tylko alkohol pozwalał mu zapanować nad strachem, który ostrymi ząbkami wgryzał się w jego mózg, ilekroć przypominał sobie o groźbach Heike. I o dziwnym liście, który dziesięć dni wcześniej przyszedł wraz z pocztą do jego biura w najzwyczajniejszej szarej kopercie, bez wypełnionego pola nadawcy. Od tamtego dnia nie potrafił logicznie myśleć ani normalnie zasnąć.

Kiedy wcześniej zapukała do jego biura policja kryminalna, wpadł w taką panikę, że niewiele brakowało, a wszystko by im wyznał, byle tylko pozbyć się w końcu strasznego brzemienia przygniatającego duszę. Na to jednak był zbyt wielkim tchórzem, bo wiedział, że w ten sposób zniszczyłby nie tylko swoje życie, ale również życie żony i dorosłych córek, które nie były niczemu winne. Strachem przepelniała go myśl o spędzeniu reszty życia za kratkami. Czuł za to do siebie odrazę, a mimo to tliła się w nim jeszcze nadzieja, że wyjdzie z tego wszystkiego obronną ręką.

Uniósł podkładkę z biurka, wyjął spod niej dwie kartki i przeczytał je starannie, linijka po linijce, choć ich treść znał już na pamięć. Ktoś o wszystkim wiedział. Ktoś nieprzychylny. Były czasy, kiedy niemal o tym nie myślał, ba, w ogóle o tym nie pamiętał. Nie miał pojęcia, kto przysłał mu ten list, ale jedno było całkowicie

pewne: wszystko ujrzy światło dzienne, jak nie dzisiaj, to jutro, ale to się prędzej czy później stanie. Ludzie, którzy mu zaufali i którym zawdzięczał wszystko, co miał i kim był, dowiedzą się, że ich przez te wszystkie lata okłamywał.

Alexander wstał. Musiał przytrzymać się krawędzi biurka i poczekać, aż zatrzyma się karuzela w jego głowie. Potem podszedł do niszczarki do papieru i wsunął w szczelinę maszyny obie kartki. Czy nie byłoby najrozsądniej zadzwonić do tej blondyny, oddać się w jej ręce i do wszystkiego przyznać?

Nie. Nie potrafiłby tego zrobić. A może jednak? *Kunktator! Tchórz!* W jego głowie echem rozlegały się obelgi wykrzywane przez Heike. Szybko, by się nie rozmyślić, sięgnął po komórkę, wybrał numer i poczekał, aż ktoś się zgłosi.

– To ja – powiedział głuchym głosem. – Musimy porozmawiać.

*

– Chyba żartujesz? Nie wierzę, po prostu nie wierzę! – Cosima ze słabym uśmiechem przeglądała zdjęcia na jego komórce. – Co za złośliwa mała jędra!

– Ale trzeba jej oddać, że naprawdę się postarała, żeby niczego nie przeoczyć – potaknął Bodenstein. – Spójrz tylko tutaj: obcięła nawet szczoteczkę do zębów.

Złość na Gretę przeszła mu w chwili, kiedy dom Karoline zniknął w lusterku wstecznym – teraz potrafił się już nawet z tego śmiać. W końcu nie musiał usprawiedliwiać się ze wszystkiego, co robił, nie musiał niczego tłumaczyć i znosić niekończących się dyskusji. Przez sześć lat obchodził się z tą dziewczyną jak z jajkiem i przez sześć lat ich życie kręciło się wokół niej. Jego gehenna wreszcie dobiegła końca.

– Jedyne, czego mi żal, to ta ładna kosmetyczka, którą przywiozłaś mi kiedyś z Nowego Jorku – powiedział, odbierając komórkę.

– Racja, kupiłam ją w takim niewielkim sklepie w Sag Harbor – przypomniała sobie Cosima. – Jak się czujesz z tym wszystkim? Zastanawiałeś się, gdzie będziesz mieszkać?

– Nie. – Oliver pokręcił głową. – Teraz najważniejsza jest twoja operacja. Sophia jest w dobrych rękach.

– Rozmawiałeś już z Nicolą i Pią?

– Nie, jeszcze nie.

– Powinieneś jak najszybciej to załatwić.

– Wiem. Załatwię – obiecał. – Mamy akurat nową sprawę. Zaginęła redaktorka Severina Veltena, tego pisarza.

Dawniej też często rozmawiali o jego pracy. Cosima interesowała się tym, co on robi, i zdarzało się, że kiedy drzewa przysłaniały mu las, umiała mu coś doradzić.

– Heike Wersch? – Kobieta nie kryła zaskoczenia.

– Znasz ją? – Bodenstein nie był nadmiernie zdziwiony, bo czasem miał wrażenie, że nie ma człowieka, którego nie znałaby jego była żona.

– Znam to dużo powiedziane. Ona dość długo współprowadziła program o książkach z moją dawną przyjaciółką Paulą – wyjaśniła Cosima. – Kilka razy się spotkałyśmy, to wszystko.

– Paula Domski to twoja dawna przyjaciółka? – zainteresował się Bodenstein. – Nigdy nie słyszałem, żebyś o niej wspominała!

– Bo to przyjaciółka z czasów przed tobą. – Cosima się uśmiechnęła. – Paula i ja byłyśmy na pierwszym roku w szkole dziennikarskiej Henriego Nannena w Hamburgu. Chociaż jak tak teraz myślę, to mogłeś ją spotkać: przez kilka miesięcy mieszkała w mieszkaniu studenckim, które wynajmowałam. Wyprowadziła się dopiero, kiedy znalazła coś dla siebie.

Bodenstein zupełnie tego nie pamiętał. Najwyraźniej Paula Domski nie zrobiła wówczas na nim zbyt wielkiego wrażenia; choć z drugiej strony, od tamtego czasu minęło przynajmniej trzydzieści osiem lat.

– Utrzymujecie jeszcze kontakt? – zapytał.

– Nie. Kilka lat temu wpadłyśmy na siebie w Mannheim w czasie jakiegoś festiwalu filmów dokumentalnych i wypiliśmy lampkę wina. Pamiętam, że strasznie mi się wtedy wyzalała, bo akurat przenieśli się z mężem z Frankfurtu do szeregowca w Liederbach, ponoć dla dobra dzieci. Uważała, że to okropne, zmienić się z wielkowiejskiej mieszkanki kamienicy w Bornheim w podmiejską matkę.

Bodenstein zauważył, jak bardzo męczyło ją mówienie, więc zmienił temat. Cosima chciała wiedzieć, jak wyglądała ich wyprawka, najpierw Sophii, a potem jego. Pokazała mu przy okazji nagranie, które dostała od córki.

– Nasza mała rolniczka. – Uśmiechnęła się z czułością. – Jest najszczęśliwsza, mogąć czyścić końskie boksy i jeździć traktorem.

– Mój ojciec jest pełen nadziei, że chociaż jego najmłodsza wnuczka odziedziczyła gen prowadzenia gospodarstwa – zażartował Oliver.

– Na pewno będzie ją na to stać, gdy do tego dojdzie – odparła Cosima. – Poprosiłam mamę, żeby zmieniła swój testament, wpisując w niego ciebie i dzieci.

– Cosi, przecież wyjdiesz z tego zdrowa! – zdenerwował się Bodenstein. – Musisz tego chcieć!

– Oczywiście, że chcę przeżyć. Ale mam też trochę rozsądku w głowie – odparła jego była żona. – Kiedy spoglądam w lustro, widzę śmierć wyglądającą mi zza pleców. Poza tym, nawet jeśli z tego wyjdę, każdy przyzna, że to nierozsądne, dwa razy płacić podatek od spadku. To przecież bardzo duże kwoty.

Uniosła ramię, a on schwycił ją za dłoń.

– Byłam złą matką – szepnęła. – Nie! Nie zaprzeczaj, proszę! To ty wychowywałeś nasze dzieci, nie ja. To ty dawałeś im poczucie przynależności do rodziny i przekazałeś system wartości. To, czym są dzisiaj, zawdzięczają tylko tobie. Mnie brakowało matczynego instynktu.

– Przygotowujesz sobie tekst mowy pożegnalnej? – Bodenstein ukrył troskę i smutek, siląc się na żartobliwy ton, a Cosima oczywiście go przejrzała. Wyglądała gorzej niż przed dwoma dniami, a jemu krwawiło serce na widok jej cierpienia. – Przy okazji, lekarka powiedziała, że poprawiły ci się wyniki krwi i guz się zmniejszył – dodał i ścisnął ostrożnie jej kruchą dłoń. – Dasz radę, Cosi! Razem damy radę!

– Dziękuję, kochany. Dziękuję, że ze mną jesteś. – Zmęczona oparła głowę na poduszce i drugą ręką złapała go za dłoń. – Byłam w bardzo różnych miejscach na świecie, w najodleglejszych zakątkach, jakie człowiek może sobie wyobrazić. Ale nigdy nie udało mi się odwiedzić Irlandii. Od kiedy byłam małą dziewczynką, marzyłam, żeby przemierzyć tę zieloną wyspę w cygańskim wozie ciągnionym przez konia w łaty. Zobaczyć Connemare. Galway. Cork. Dzięki prądowi zatokowemu ponoć rosną tam nawet palmy. Pojedziesz ze mną do Irlandii?

Bodenstein miał wrażenie, że pęknie mu serce. Przerazające było bezradne patrzenie, jak cholerna choroba wysysa siły z jej ciała. Czy tak się z nim zegnała? Czy czuła, że tej walki już nie wygra?

– Tak – wyszeptał i przysunął usta do jej dłoni, żeby nie widziała jego łez. – Tak, Cosi. Pojadę tam z tobą. Słowo honoru.

*

Za oknami panowała ciemność. Po męczącym tygodniu i spotkaniu z przedstawicielami handlowymi większość koleżanek i kolegów wcześniej wyszła z pracy, by przedłużyć sobie weekend. Ekipa sprzątająca również zrobiła swoje i opuściła budynek. Julia ziewnęła, przeciągnęła się i potarła oczy. Lubiła pracować do późna. Kiedy w wydawnictwie zapadała cisza, nikt nie dzwonił i nikt nie przeszkadzał, w końcu mogła się naprawdę skupić; tyle że od kilku dni nic już nie było tak, jak dawniej. Całą redakcję lotem błyskawicy obiegnęła wiadomość, że w południe przyszła policja kryminalna i chcieli rozmawiać najpierw z Carlem Winterscheidem, a potem z Alexandrem Rothem. Z miejsca zaczęto snuć różne domysły. Julia dowiedziała się o wszystkim po południu w kuchni od koleżanki z działu redakcji, której wiadomość przekazała osoba z działu handlowego, a tę z kolei poinformowała dziewczyna z recepcji. Nikt nie wiedział oczywiście niczego konkretnego, jednak nie było wątpliwości, że wizyta policji wiązała się ze zniknięciem Heike Wersch. Julia zadzwoniła do Henninga Kirchhoffa, niby tylko po to, żeby powiedzieć mu, że udało się wprowadzić zmiany w dedykacji, o które prosił. Udało jej się mimochodem zapytać też o panią Wersch. Ku jej rozczarowaniu autor nie miał żadnych nowych informacji, choć możliwe również, że coś wiedział, ale nie chciał się z nią tą wiedzą podzielić. Medyków sądowych obowiązywała pewnie taka sama tajemnica zawodowa jak zwykłych lekarzy. Julia spojrzała na zegarek: było już wpół do dziesiątej. Najwyższy czas wrócić do domu, bo następnego dnia musiała wcześniej wstać, by zdążyć na sesję zdjęciową Millie Fisher. Wyłączyła komputer, spakowała kilka drobiazgów i złapała się na tym, że cały czas chodzi jej po głowie pytanie, czy aby Carl Winterscheid nie maczał palców w zaginięciu Heike Wersch. Od czasu ich przypadkowego spotkania w hali targowej i przyjemnego przedpołudnia, które spędzili we dwoje, Julia często myślała o swoim szefie. Przeczesała internet w poszukiwaniu jakichkolwiek informacji na jego temat, choć trochę ją to zawstydzalo, bo czuła się, jakby go stalkowała. To, na co natrafiła, zagęszczało tajemnicę wokół jego osoby. Z LinkedIn i Xing oraz z magazynów branżowych „Buchreport” i „Börsenblatt” poznała dokładnie ścieżkę jego kariery. Nie wiedziała za to nic na temat jego prywatnego życia, a on sam o nim nigdy nie mówił. W całostronicowym i bardzo szczegółowym opisie sylwetki Carla Winterscheida, który ukazał się w „FAZ” półtora roku wcześniej przy okazji przejęcia przez niego sterów wydawnictwa,

wspomniał wprawdzie krótko o rodzinie, ale nie poruszył tematu związków. W internecie nie znalazła żadnych zdjęć przedstawiających go z kobietą ani z mężczyzną, a jego hasło w Wikipedii ograniczało się do kilku krótkich zdań. Dlaczego tak przystojny, inteligentny i bystry mężczyzna jak on miałby żyć w pojedynkę? Czyżby za tą pociągającą fasadą krył się jakiś sekret? Tamtego przedpołudnia po spotkaniu w hali targowej powiedział trochę o sobie, jednak głównie rozwodził się na temat tego, co lubi, a za czym nie przepada. Po zastanowieniu doszła do wniosku, że w czasie rozmowy w zasadzie tylko reagował na to, co ona mówiła, nie zdradzając nic o sobie.

Julia wyłączyła lampkę na biurku i wyszła na korytarz. O tak późnej porze wolała unikać jeżdżenia windą, bo nie chciała ryzykować utknięcia między piętrami. Jej kroki rozbrzmiewały echem na klatce schodowej, oświetlonej jedynie lampami ewakuacyjnymi. Czasem Carl Winterscheid przypominał jej byłego chłopaka, z którym latem dwa lata wcześniej wszystko wydawało się nieprawdopodobnie dobrze układać. Lennart, który wyglądał jak młody Leonardo DiCaprio, skakał wokół niej, walczył o nią i przez kilka miesięcy byli naprawdę nieprzytomnie szczęśliwi, bo nigdy wcześniej tak się nie zakochała i nie czuła się tak bardzo związana z innym człowiekiem. Aż do chwili, gdy Lennart pokazał swoje prawdziwe oblicze, a ona zrozumiała, że tak naprawdę nic z tego, co mówił, nie było prawdą.

Niepostrzeżenie oddaliła się wówczas od przyjaciół i rodziny, bo Lennart był niezadowolony, gdy z kimkolwiek chciała się spotykać. Obrażał się na nią albo straszył wybuchami złości, a ona przeproszała go setki razy i próbowała mu to wynagrodzić. W ten perfidny sposób udało mu się wyrzucić wszystkich z jej życia, podczas gdy sam zajął w nim centralne miejsce. Nawet kiedy zaczęła to dostrzegać, odpychała od siebie tę świadomość. Miała przecież trzydzieści jeden lat, była dorosłą kobietą, wykształconą i pracującą na odpowiedzialnym stanowisku, ale Lennart coraz częściej wpadał w furję, a ona nie wiedziała, jak reagować. Kiedy zaczął kontrolować jej komórkę, dzwonić do niej kilkadziesiąt razy dziennie i obrzucać wyzwiskami, zrozumiała coś, co wszyscy dookoła już dawno wiedzieli: musiała jak najszybciej zakończyć ten związek. Pozbycie się Lennarta okazało się trudniejsze, niż przypuszczała, bo mężczyzna nie przyjął jej decyzji do wiadomości, zaczął ją prześladować, dręczyć i terroryzować. Żeby w końcu mieć spokój, wystąpiła do sądu o zakaz zbliżania się i wyjechała z miasta.

Wciąż jeszcze nie uporała się ze wszystkimi skutkami tego destrukcyjnego związku i czasem zadawała sobie pytanie, czy kiedykolwiek potrafi jeszcze zaufać innemu mężczyźnie. No i całkiem zwątpiła w swoją znajomość ludzkich charakterów.

Czy Carl Winterscheid mógł mieć za sobą równie traumatyczne przeżycia co ona? Skąd brał się mrok, który czasem dostrzegała w jego spojrzeniu? Fascynował ją, ale budził też jakiś niepokój, bo nie potrafiła go rozgryźć. Czy mu się podobała? A może za dużo sobie obiecywała po krótkiej rozmowie sprzed kilku tygodni? Pewnie był po prostu uprzejmy dla swojej pracownicy, którą szanował jako szef, i to wszystko. Ona wracała sama do domu, a on prawdopodobnie siedział właśnie z jakąś kobietą przy kolacji i w ogóle o niej nie myślał. Żałosne. Ale to właśnie samotność robiła z ludźmi. A ona była samotna, mimo że otaczało ją mnóstwo ludzi.

Dotarła akurat na parter i chciała wyjść tylnym wyjściem, bo główne w piątki od ósmej wieczorem było zamknięte i zabezpieczone alarmem, kiedy wysoko nad jej głową ruszyła winda. Zatrzymała się przestraszona. Kto poza nią był w budynku? Z walącym dziko sercem cofnęła się do korytarza prowadzącego do sekcji pocztowej i stamtąd obserwowała, jak z przeszklonej kabiny wysiada Alexander Roth. Mężczyzna przeszedł tuż obok niej, a potem rozległ się odgłos otwieranych drzwi prowadzących na podwórze, jednak on nie wychodził, tylko kogoś wpuszczał do środka.

– Dzięki, że jesteś – usłyszała Julia. Ciężkie drzwi zamknęły się z trzaśnięciem, więc nie mogła dosłyszeć, co odpowiedziała osoba, która weszła do budynku. Kto to mógł być? Kto tak późno postanowił odwiedzić wydawnictwo? Julia przywarła do ściany, żeby nikt jej nie zauważył. Serce waliło jej jak szalone, a ona w duchu zwymyślała samą siebie od głupich krów. Co jej do głowy strzeliło, żeby się ukrywać?

– Chodźmy do mojego biura – powiedział Roth. Było już za późno, żeby się ujawnić. Julia poczekała, aż winda ruszy w górę i dopiero wtedy przemknęła się do tylnego wyjścia. Ciężkie drzwi zamknęła za sobą najciszej, jak umiała.

DZIEŃ TRZECI

Sobota 8 września 2018

Pia wyszła z budynku oddziału rehabilitacyjnego przy szpitalu w Bad Homburg, z jednej z bocznych kieszeni plecaka wydobyła bilet i wsunęła go w szparę automatu parkingowego. Od przeszło roku co dwa tygodnie wczesnym rankiem wsiadała w samochód i jechała do Bad Homburg, by na specjalistycznych maszynach trenować mięśnie utrzymujące jej kręgosłup w pionie. Wysiłek się opłacał, bo dzięki niemu od ośmiu miesięcy nie zmagала się z bezustannym bólem, i to wszystko bez operacji, tabletek czy zastrzyków. Przez całe lata cierpiała za sprawą bolących pleców i kiedy już była gotowa pójść pod nóż, ktoś poradził jej spróbować jeszcze tej metody treningowej. Kręgosłup był w opłakanej kondycji i niewiele mogła na to poradzić, jednak dzięki specjalnym ćwiczeniom była w stanie przez cały dzień pracować, nie odczuwając najmniejszych dolegliwości. Automat poinformował ją, że parkowanie było bezpłatne, więc Pia wróciła do samochodu, który stał na stosunkowo pustym parkingu. Kolejna zaleta wczesnego wstawania. Pilotem odblokowała drzwi, a Beck's, który czekał na nią zwinięty na dywaniku przed siedzeniem pasażera, podniósł głowę, nastawił uszu i zaszczekał radośnie. Pia wsiadła za kierownicę i otworzyła dach. Miała jeszcze sporo czasu, żeby zabrać Beck'sa na spacer, zanim rozpocznie się akcja poszukiwawcza w lesie. Już miała ruszać, ale powstrzymał ją sygnał komórki. Kai wysłał wiadomość na czat wydziału K11. *Pracownicy leśni zgłosili znalezienie zwłok w lesie między Königstein i Mammolshain. Kto mógłby sprawdzić, czy to nie jest przypadkiem HW?*

Mogę tam być za piętnaście minut – odpisała.

Wyjechała z parkingu i krótko przed Oberursel skręciła na B455, która przebiegała obok Kronberg w kierunku Königstein. Mijając zoo fundacji Opla, zobaczyła samochód terenowy męża stojący na miejscu dla pracowników i mimowolnie się uśmiechnęła. Poprzedniego wieczoru, po prawie trzech dniach pełnego urażonej dumy milczenia, ona i Christoph niemal równocześnie wysłali

sobie emotki serduszek, po czym zadzwonili do siebie i porozmawiali. Udało im się zażegnać kryzys i Pia cieszyła się, że jej mąż wróci do domu.

O tak wczesnej porze w Königstein prawie nie było ruchu. Pia okrążyła rondo, zjechała trzecim zjazdem i mając na liczniku dokładnie czterdzieści osiem kilometrów na godzinę, minęła zamontowany tam na stałe fotoradar. Za budynkiem kliniki kolejowej przy wyjeździe z miejscowości skręciła w lewo, w stronę Bad Soden. Wysokie drzewa liściaste po obu stronach drogi wyciągały gałęzie nad ulicę, tworząc zacieniony zielony korytarz. Już z daleka dostrzegła radiowóz zaparkowany na lewym poboczu. Zwolniła, włączyła kierunkowskaz i zatrzymała się obok umundurowanej koleżanki, która ze splecionymi na piersi ramionami stała obok otwartego szlabanu.

– Dzień dobry – przywitała się Pia i zdjęła ciemne okulary.

– Dzień do... aaa! – Sierżant Silvia Wittich odskoczyła ze strachem, bo Beck's obudził się właśnie, podniósł głowę i ziewnął szeroko, prezentując wspaniałe zębiska.

– Przewóz psa w taki sposób jest niezgodny z przepisami – zganiła Pię z bezpiecznej odległości. – Zwierzę do transportu powinno przebywać w odpowiedniej klatce lub zostać zabezpieczone w inny sposób, ale na pewno nie wolno wozić go luzem, trzymając go na dywaniku!

– Hau! – Beck's się ucieszył, wskoczył na siedzenie pasażera i zamerdał ogonem.

– Wiem. – Pia uśmiechnęła się ze skruchą. – Mój mąż wziął samochód z klatką transportową, a ja nie mogłam zostawić psa samego w domu, bo nie wiedziałam, jak długo mnie nie będzie.

– Dokładnie tę samą historyjkę słyszałam kilka tygodni temu, nie pamięta pani?

– Silvia Wittich skrzywiła się kwaśno. – Wtedy poprzestałam na pouczeniu. Ale nienawidzę, jak ktoś robi ze mnie idiotkę, koleżanko!

– Bardzo przepraszam... – zaczęła Pia, jednak kobieta nie chciała słuchać dalszych tłumaczeń i wymówek.

– Zna pani przepisy o ruchu drogowym – przerwała jej krótko. – To będzie trzydzieści euro. W przypadku sytuacji zagrożenia byłoby to dwa razy więcej i doszedłby jeden punkt karny. Zapłaci koleżanka na miejscu, czy mam wysłać mandat pocztą?

– Wolę zapłacić teraz. – Pia zagoniła Beck'sa z powrotem na dywanik, wyjęła z plecaka portfel i podała policjantce kartę bankomatową. – Niestety, nie mam gotówki.

– To żaden problem, koleżanko. – Silvia Wittich uśmiechnęła się jeszcze szerzej i wróciła do radiowozu po przenośny terminal płatniczy. Czekaając na nią, Pia bębniła niecierpliwie palcami po kierownicy. Była zła na siebie, bo w domu, w garażu, stał samochód wyposażony w zgodną z przepisami klatkę do przewozu psów, stare terenowe volvo, które rok wcześniej odkupiła od Henninga. Po powrocie z treningu pleców planowała wrócić i zamienić samochody. Ale jak pech, to pech.

Sierżant Silvia Wittich podała jej potwierdzenie zapłaty i oddała kartę.

– Dziękuję – powiedziała. Jej mina jednoznacznie świadczyła o tym, że wystawienie mandatu polepszyło jej humor. – Cały czas na wprost, tak, jak prowadzi leśna droga. Tylko trzeba uważać na drewno, sporo tego się tam wala. Szkoda byłoby zniszczyć takie ładne małe autko bez przepisowej klatki na psy.

– Dzięki za radę. – Pia zgrzytnęła zębami. – Za chwilę będę tędy wracać. Dostanę kolejny mandat?

– Jeśli zabezpieczy koleżanka psa w sposób zgodny z przepisami, to oczywiście, że nie.

– Rozumiem. – Pia zmusiła się do kolejnego uśmiechu i przez chwilę zastanawiała się, czy nie będzie lepiej poszukać innej drogi z powrotem. – Miłego dnia!

Tocząc się leśną drogą z prędkością spacerującego pieszego, Pia mijała świeżo powalone pnie, częściowo już uprzątnięte, pocięte i ułożone w sągi. W powietrzu unosił się zapach świeżego drewna. Beck's siedział wyprężony na miejscu pasażera, z jedną łapą opartą wygodnie na desce rozdzielczej, i rozglądał się z zaciekawieniem. Przedostające się przez zielony sufit promienie słoneczne oświetlały drogę przeciętą koleinami wyżłobionymi przez koła ciężkich maszyn i usłaną połamanymi gałęziami. Pia próbowała unikać przeszkód i największych dziur, jednak po kilkuset metrach musiała się poddać. Jej mini miało niecałe piętnaście centymetrów prześwitu, więc istniało duże ryzyko, że gdzieś się zawiesi albo najedzie na ułamany konar i uszkodzi coś pod autem.

– Chodź, Beck's. – Zamknęła dach, przypięła smycz do obroży i wypuściła psa z samochodu. Potem zarzuciła plecak na ramię i w dalszą drogę ruszyła na piechotę. Żwir chrząścił pod podszewkami jej sportowych butów, dookoła słychać było ćwierkanie ptaków i bzyczenie owadów, i gdyby nie świadomość, że idzie oglądać ludzkie zwłoki, cieszyłaby się tym przyjemnym spacerem. Dzięki Beck'sowi dobrze poznała lasy między Bad Soden, Mammolshain i Königstein. Po pięciu minutach marszu dostrzegła jaskrawożółtą potężną maszynę do wycinki drzew, zwaną harvesterem, zaparkowaną niebezpiecznie blisko stromego zbocza. Wokół niej kręciło się kilku mężczyzn. Po prawej stronie drogi znajdował się coraz węższy pas stromo opadającego terenu, który zmieniał się dalej w kamienisty wąwóz, ciągnący się przez kilka kilometrów, aż do łąk w Süsse Gründchen. Już z daleka było widać, że niedawno musiało dojść tutaj do obsunięcia ziemi, bo w wąwozie i na wąskiej ścieżce prowadzącej dalej leżało kilkadziesiąt przewróconych i częściowo połamanych świerków. Pia pomyślała, że okolica wygląda, jakby olbrzymy grały tu w bierki.

– Dzień dobry – przywitała się z mężczyznami, którzy na wszelki wypadek odsunęli się od Beck'sa. – Pia Sander, policja kryminalna, Hofheim. Słyszałam, że macie coś dla nas.

– W końcu ktoś przyjechał. Najwyższy czas – burknął jeden z pracowników.

– Od godziny siedzimy na tyłkach i marnujemy dzień – poskarżył się kolejny.

Pia zignorowała ich narzekania.

– Kto tu kieruje pracami? – zapytała.

– Ja – usłyszała czyjś głos. Ona i Beck's jak na komendę odwrócili głowy. Na zboczu, między drzewami, stał... D'Artagnan. Z długimi do ramion kręconymi włosami, wąsikiem i bródką wyglądał tak, jakby właśnie wracał z przesłuchania do roli w filmie historycznym. Jednak zamiast kaftana, koszuli z falbankami i kapelusza z piórkiem miał na sobie prozaiczne dżinsy i robocze buty. Zwinnie zeskoczył ze skarpy i zatrzymał się przed policjantką. Miał najwyżej trzydzieści kilka lat, był umięśniony, uważny i uśmiechał się szarmancko.

– Wotan Velázquez, pracuję dla HessenForst – przedstawił się. – Jestem leśnikiem odpowiedzialnym za ten okręg.

– Że... co, proszę? – Pia miała wrażenie, że się przesłyszała, jednak mężczyzna musiał być przyzwyczajony do takich reakcji, kiedy podawał swoje nazwisko.

– Imię Wotan zawdzięczam mojej matce, która uwielbia mitologię nordycką – wyjaśnił, wzruszając lekko ramionami. Pia nie po raz pierwszy zastanawiała się, co skłania ludzi do obarczania dzieci takimi imionami. – Nazwisko mam po ojcu, który jest Hiszpanem, a pracuję dla HessenForst, które zarządza lasami.

Pia przedstawiła się leśnikowi i zapytała, gdzie trafili na zwłoki.

– Leżą tam niżej, w wąwozie – odparł Wotan. – Znaleźliśmy je dzisiaj rano i to przez czysty przypadek, bo po burzy w weekend musieliśmy wjechać tutaj ciężkim sprzętem, żeby posprzątać wiatrołomy. Proszę za mną, pokażę pani, gdzie dokładnie.

Schodząc wąską ścieżką do wąwozu, z psem blisko przy nodze, Pia opowiedziała leśnikowi o poszukiwaniach zaginionej kobiety, której telefon komórkowy po raz ostatni logował się z tej właśnie okolicy. Musiała uważać, żeby nie potknąć się o jakiś korzeń albo nie poślizgnąć się na skale ukrytej pod liśćmi, bo Velázquez narzucał dość żwawe tempo.

Wygląd lasu budził żal i strach. Jeszcze niedawno, bo latem, był gęsty i cienisty, a dziś wyraźnie przerzedził się wzdłuż wąwozu. Wysokie, soczyście zielone świerki zmieniły barwę na rdzawoszarą i zrzuciły większość igieł.

– Te wszystkie drzewa przewróciła ostatnia burza? – zainteresowała się Pia. – Mam wrażenie, że w zeszłym tygodniu aż tak źle tu nie wyglądało.

– Niestety. – W głosie leśnika słychać było gorzką rezygnację. – Upał i susza panujące przez kilka ostatnich miesięcy szczególnie mocno osłabiły świerki, które stały się przez to podatne na ataki korników. – Zatoczył ramieniem dookoła. – Od kwietnia w zasadzie bez przerwy wywozimy z lasu martwe drzewa, żeby jak najbardziej ograniczyć rozprzestrzenianie się tego szkodnika. Łagodna jesień i sucha, ciepła wiosna sprzyjały masowemu rozmnażaniu się i rozrostowi populacji. Można się spodziewać, że w przyszłości coraz częściej będziemy mieli do czynienia z taką pogodą. Zasluga globalnego ocieplenia.

Odlamany czubek masywnego świerka blokował dalszą drogę. Mężczyzna zatrzymał się i wskazał ręką w dół stromego zbocza.

– Tam leżą. Pewnie nikt by ich nigdy nie znalazł, gdyby akurat to drzewo nie przewróciło się prosto na drogę.

– Czy ktokolwiek ich dotykał albo przemieszczał? – zapytała Pia.

– Nie. – Velázquez pokręcił głową. – Moi ludzie przerwali pracę natychmiast po zauważeniu ciała. Wie pani, często się zdarza, że trafiamy na zwłoki albo tylko fragmenty zwłok. Bywa, że znajdujemy same kości. Kilka lat temu niedaleko Altkönig odkryto kompletny szkielet mężczyzny obok roweru górskiego.

Pia słyszała wcześniej tę historię, jednak zawsze traktowała ją jako miejską legendę, na równi z opowieścią o wielkim pająku, który mieszkał w korzeniach juki. Mrużyła oczy i wyteżała wzrok, a mimo to nie mogła niczego dojrzeć... chociaż... a jednak! Sporo niżej zauważyła jakiś błysk. Słońce odbijało się od czegoś z metalu. Co to mogło być? Sprzączka paska?

– Ktoś pewnie się poślizgnął albo potknął i spadł – zgadywał leśnik, prowadząc ją dalej do wąwozu. – Często tak się dzieje, kiedy ludzie noszą w górach niewłaściwe obuwie.

Drogę od dna wąwozu dzieliło dobrych czterdzieści albo pięćdziesiąt metrów. Od jak dawna leżały tam znalezione zwłoki? Pia dobrze wiedziała, jak zmieniają się ludzkie szczątki po kilku dniach w wysokiej temperaturze, więc zanim ruszyła, aby pokonać ostatni fragment zejścia, przygotowała się wewnątrz na to, co miała zobaczyć. Velázquez szedł pewnym krokiem kozicy górskiej, przedzierając się przez paprocie, jeżyny i pokrzywy. Pia ociekała potem. Czowała, jak kolce jeżyn haczą o jej dzinsy, a w pewnej chwili niewiele brakowało, by się przewróciła, bo o coś zaczepiła nogą. W powietrzu unosił się słodkawy zapach rozkładu, tym intensywniejszy, im bliżej dna się znajdowali. Velázquez prowadził ją korytem wyschniętego strumyka. Musieli wspiąć się na kilka odłamków skalnych i pokonać kilka przewróconych drzew, jednak w końcu dotarli na miejsce.

– Są tam dalej, pod pnem – powiedział Velázquez.

Pia owinęła smycz Beck'sa wokół gałęzi przewróconego drzewa i wciągnęła lateksowe rękawiczki. Wszędzie słychać było bzyczenie much, które chmarą obsiadły ciało, a smród rozkładających się zwłok był tak intensywny, że Pia przez chwilę musiała walczyć z odruchem wymiotnym. Zmusiła się, by zrobić kilka głębokich wdechów ustami. To pozwoliło jej przyzwyczać się do zapachu rozkładu. Poza tym, na świeżym powietrzu łatwiej było go znieść niż w zamkniętym pomieszczeniu. Pia przykucnęła przy leżących na brzuchu zwłokach. Sądząc po ubraniu, była to raczej kobieta: oliwkowozielony T-shirt, cienka beżowa kamizelka i spodnie trzy czwarte w tym samym kolorze, na stopach sportowe buty, a na nadgarstkach paski kijków nordic walking. To od jednego

z nich musiało odbijać się światło, które zauważyła z góry. Skóra karku widoczna spod stalowoszarych włosów zdążyła już przybrać zielonkawy odcień. Pełne oczekiwania napięcie, które Pia odczuwała, szybko ustąpiło miejsca rozczarowaniu. To nie mogła być Heike Wersch, która obnosiła się z burzą rudych loków! Tylko jak duże było prawdopodobieństwo, że na niewielkim obszarze leżały zwłoki dwóch osób? Wyjęła z kieszeni telefon i obfotografowała ciało pod różnymi kątami, by starannie udokumentować stan, w jakim się znajdowało.

– Muszę je odwrócić. Byłby pan w stanie mi w tym pomóc? – poprosiła leśnika.

– Pewnie! – Wotan Velázquez bez wahania ruszył w jej kierunku.

– To nie będzie ładny widok – ostrzegła go szybko. Z plecaka wyjęła kolejną parę jednorazowych rękawiczek i podała je mężczyźnie. – Jeśli będzie pan musiał zwymiotować, proszę uważać, żeby nie na zwłoki.

– Bez obaw, nie będę musiał – uspokoił ją Velázquez. – Śmierć i rozkład to naturalne elementy obiegu materii w przyrodzie.

– Okej, w takim razie możemy zaczynać.

Wiedziała, że Kröger i Henning będą wyjątkowo niezadowoleni, jeśli choć dotknie zwłok, nie wspominając w ogóle o zmianie ich położenia, jednak czuła, że musi mieć pewność, zanim w drogę w góry Taunus na akcję poszukiwawczą niepotrzebnie ruszą oddziały rezerw prewencji i przewodnicy z psem do odnajdywania zwłok. Wyjaśniła leśnikowi dokładnie, w jaki sposób powinien schwytać zwłoki i jaki ruch wykonać, a on wypełniał jej polecenia precyzyjnie i bez wahania. Nie przeszkadzały mu chmary krążących wokół much, kiedy bez wysiłku obrócił ciało na plecy. Twarz martwej kobiety była już mocno spuchnięta i zielonkawa, a rysy ledwo widoczne. W nosie i ustach kotłowały się białe larwy, a po lewej stronie głowy częściowo brakowało skóry. Leżące w lesie zwłoki często padają ofiarą dzikich zwierząt. Pia przykucnęła i przyjrzała się uważnie twarzy i mocno przekrzywionej głowie martwej kobiety.

– Widzi pan to? – zwróciła się do leśnika, który przyklęknął obok niej, i wskazała punkt na potylicy.

– Rana głowy – odparł Velázquez. – Mogła się uderzyć, spadając ze zbocza, prawda?

– No właśnie nie sędzę. – W trakcie małżeństwa z Henningiem Pia znacznie więcej czasu spędziła w salach sekcyjnych piwnic Instytutu Medycyny Sądowej we

Frankfurcie niż u siebie w domu, a jej były mąż okazał się świetnym nauczycielem. Przez szesnaście lat naoglądała się zwłok ofiar utopień, pożarów i zgonów z przyczyn naturalnych, które były w najróżniejszych stadiach rozkładu, do tego ofiar strzelanin, morderstw, pobic i wypadków samochodowych, ale także ciał, w przypadku których przyczyna śmierci nie była na pierwszy rzut oka oczywista. Czasem były to wręcz same kości, a Henning, specjalista antropologii sądowej, próbował odkryć ich tajemnicę – nierzadko z sukcesem.

– Niech pan tylko spojrzy na symetrię brzegów rany – poinstruowała leśnika. – Są wyraźnie zaznaczone. Moim zdaniem wygląda to na ślad po uderzeniu ciężkim kanciastym przedmiotem. Dokładniej będzie to widać dopiero w czasie sekcji, po usunięciu skalpu.

Sięgnęła ostrożnie do lewej kieszeni spodni denatki i wydobyła z niej smartfon. W drugiej kieszeni znalazła pęk kluczy. Potem na własnym telefonie otworzyła zdjęcie Heike Wersch i porównała je z twarzą osoby, której zwłoki miała przed sobą. Wiedziała, że nie powinna dać zmylić się brakiem rudych loków, bo zaginiona mogła nosić perukę.

– No i? – zapytał Wotan Velázquez z ciekawością. Krótki wykład z medycyny sądowej nie zrobił na nim wrażenia. – To ta kobieta, której szukacie? Czy ktoś inny?

– A pan jak sądzi? – Pia pokazała mu zdjęcie na smartfonie. Mężczyzna przyjrzał się fotografii, po czym nachylił się nad zwłokami.

– Tak, to jedna i ta sama osoba – stwierdził z przekonaniem. – To byłby naprawdę niesamowity przypadek, gdyby w podobnych okolicznościach trafić na dwie kobiety o tak charakterystycznym znamieniu przy lewej brwi.

– Jestem tego samego zdania. I bardzo dziękuję za pomoc. – Pia podniosła się i zaczęła pisać wiadomość na wydziałowy czat:

HW zlokalizowana. Można odwołać akcję poszukiwawczą.

*

Krótko po ósmej Carl Winterscheid opuścił hotel przy placu Eschersheimer Tor, w którym mieszkał od niemal dwóch lat, przeszedł na drugą stronę Bleichstrasse i po pięćdziesięciu metrach skręcił w Schillerstrasse. Po jego powrocie do Frankfurtu wuj i ciotka, nie przejawiając wielkiego entuzjazmu, zaprosili go do

zajęcia jednego z pustych mieszkań w wielkiej willi przy Grüneburgpark, która była przecież własnością wydawnictwa, jednak jemu nie uśmiechało się mieszkanie pod jednym dachem z Henrim i Margarethe i udawanie, że są zgodną rodziną. Mieszkanie w hotelu było niezobowiązujące i dla samotnej osoby miało w zasadzie same zalety. Nie musiał troszczyć się o meble, obrazy czy sprzęty AGD ani zatrudniać sprzątaczkę. Każdego wieczoru wracał do czystego pokoju, w którym czekały jego wyprane ubrania i świeże ręczniki, miał do dyspozycji saunę, łaźnię parową i siłownię, a rano w świetnie wyposażonym bufecie częstował się śniadaniem. Goście mieszkający w hotelach przez długi czas nie są niczym wyjątkowym. Udo Lindenberg od trzydziestu lat wynajmował pokój w bardzo eleganckim frankfurckim hotelu Atlantic, a wielka kreatorka mody Coco Chanel podczas niemal całego zawodowego życia mieszkała w paryskim hotelu Ritz.

Carl podszedł do drzwi od podwórza, na którym zostawiał samochód, na manipulatorze wpisał kod wyłączający alarm i wszedł do budynku wydawnictwa. Na piąte piętro wbiegł schodami, w kuchni uruchomił ekspres do kawy i wsypał do młynka miarkę ziaren kawy kopi luwak. Poranna filiżanka naparu tej wyjątkowej odmiany, którą poznał ledwie kilka lat wcześniej w czasie wyjazdu służbowego na indonezyjską wyspę Sumatrę, była jedyną ekstrawagancją, na jaką sobie pozwalał.

Włączył czekający na biurku komputer i upił łyk kawy. Sięgając po pocztę, którą zostawiła mu asystentka, zamarł z dłonią tuż nad stosem korespondencji, bo na samej górze znowu leżała kremowa koperta bąbelkowa. Podobnie jak poprzednim razem, adres odbiorcy napisany został czarnym flamastrem, wyraźnym odręcznym pismem, a poniżej znalazła się czytelna adnotacja: *Do rąk własnych!!!!* Po chwili wahania Carl wziął ją do ręki i obrócił. Brak nadawcy. Stempel pocztowy nosił wczorajszą datę. Targany z jednej strony ciekawością, a z drugiej irytacją z powodu braku danych osoby, która wysłała do niego ten list, Carl Winterscheid ważył kopertę w dłoni i myślał. Przesyłka była cięższa niż poprzednia, ta, w której znajdował się jedynie jego samochódzik. W końcu ciekawość zwyciężyła. Otworzył kopertę ostrożnie, jakby spodziewał się, że może zawierać węglik albo jakąś inną neurotoksynę, lecz nie wysypał się z niej na biurko żaden podejrzany proszek. W środku znajdował się spięty gumką recepturką plik kartek. Jeszcze raz zajrzał uważnie do koperty, ale, jak poprzednim razem, niczego więcej nie znalazł. Kiedy zdejmował gumkę, pomiędzy kartek wysunęło się zdjęcie. Spojrzał na nie.

Fotografia przedstawiała sześcioro młodych ludzi w letnich ubraniach, trzech mężczyzn i trzy kobiety, stojących na jakichś stopniach. W tle, zza drzew i krzaków, wyłaniał się fragment pomalowanego na biało domu. Na odwrocie zdjęcia ktoś napisał długopisem NOIRMOUTIER. Datownik był tak wyblakły, że ledwo było go widać, jednak Carl był przekonany, że odczytał 08-1983. Odłożył fotografię, sięgnął po kartki i zaskoczony stwierdził, że to najwyraźniej napisany na maszynie manuskrypt. Na pierwszej stronie znajdował się tytuł. W IMIĘ WIECZNEJ PRZYJAŹNI. A pod nim... miał wrażenie, że jego serce zatrzymało się na kilka sekund. Poniżej zamieszczono imię i nazwisko. KATHARINA WINTERSCHIED. To była jego matka!

Co to w ogóle miało znaczyć? Czy ktoś pozwolił sobie na bardzo niesmaczny żart? Drżały mu dłonie i w pierwszym odruchu chciał cisnąć manuskrypt do kosza. Nie interesowała go matka, której nie mógł wybaczyć, że trzy dni przed jego pójściem do pierwszej klasy popełniła samobójstwo, czyniąc z niego sierotę. Kiedy umarła, był zbyt mały, by dobrze ją zapamiętać; w głowie miał tylko niewyraźne, porwane obrazy. A Henri i Margarethe, u których zamieszkał, bardzo rzadko mówili o niej czy o jego ojcu. Z biegiem lat kobieta, która wydała go na świat, stała się niewyraźnym cieniem, podobnie jak złość i żal, które do niej odczuwał przez całą podstawówkę i pobyt w internacie. Szkoda mu było marnować emocje i czas na osobę, której prawie nie znał i dla której najwyraźniej on sam również się nie liczył.

Carl spoglądał na manuskrypt. Poza kilkoma zdjęciami, masą książek i paroma ciuchami Katharina Winterscheid w zasadzie nic po sobie nie pozostawiła. Zupełnie jakby nigdy nie istniała. Od ciotki wiedział, że babcia również młodo odeszła, a matka była nieślubnym dzieckiem i nigdy nie poznała swojego ojca. Nic nie było w stanie wzbudzić jego zainteresowania nią. Teraz niespodziewanie pojawił się na jego biurku opatrzony jej imieniem i nazwiskiem manuskrypt spisany na maszynie; Carl czuł wzbierającą ciekawość. Myśl, że jego matka trzymała te strony w dłoniach, w jakiś dziwny sposób budziła jego wzruszenie. Przekartkował je niepewnie. Pośrodku drugiej strony znajdowało się tylko jedno zdanie. Dedykacja.

Jak zawsze, na zawsze – dla Carla, mojego największego skarbu.

To zdanie było jak cios, który z prymitywną, pierwotną siłą trafił go prosto w serce. Łzy napłynęły mu do oczu i jednocześnie poczuł palącą, niepohamowaną

złość, tak ogromną, że budziła w nim strach. Jakim prawem napisała takie słowa, a niedługo potem odebrała sobie życie, pozostawiając go zupełnie samego? Mowy nie ma, nie przeczyta tego! A już na pewno nie teraz! Musiał mieć spokojną i chłodną głowę, więc nie mógł pozwolić, by coś takiego go rozpraszało. Zdecydowanym ruchem wsunął kartki z powrotem do koperty i to samo zrobił z fotografią. Później się tym zajmie. Kiedyś. Może.

*

Na leśnej drodze podskakiwały jeden za drugim cztery samochody, po czym zaparkowały obok potężnego harwestera i czekających nieopodal pracowników leśnych. Na początku podjechała niebieska furgonetka volkswagena, należąca do zespołu techników kryminalistyki, za nią czarny SUV Henninga Kirchhoffa i furgonetka zakładu pogrzebowego, którego zadaniem był transport doczesnych szczątków Heike Wersch do Instytutu Medycyny Sądowej. Kawalkadę zamykał cywilny radiowóz, którym przyjechali szef Pii, Cem i Tarik. Pia natychmiast zauważyła, że Oliver ma na sobie te same rzeczy, które nosił poprzedniego dnia, co w jego przypadku w zasadzie się nie zdarzało. Mężczyzna przykładął wielką wagę do nienagannego wyglądu i dopiero przed paroma laty odzwyczaił się od noszenia codziennie innego krawata. Beck's ucieszył się na widok nowo przybyłych.

– Zanim zaczniecie robić mi wyrzuty: z pomocą pana leśnika obróciłam ciało – poinformowała Pia swojego byłego męża i szefa wydziału techniki kryminalistycznej Christiana Krögera. – Musiałam wiedzieć, czy to na pewno Heike Wersch, żeby nie rozpoczynać niepotrzebnie poszukiwań. Najpierw zrobiłam oczywiście masę zdjęć.

– Nie ma o czym mówić. – Kröger skinął głową.

– Dobrze, że o tym pomyślałaś – pochwalił ją Henning. – Rozumiem, że jesteś przekonana, że to przyjaciółka Marii?

– Tak, to na pewno ona – potaknęła Pia. – Przykro mi.

Obaj mężczyźni przygotowali swoje przybory i włożyli jednorazowe kombinezony. Tym razem żaden z nich nie chwalił się, że pierwszy przybył na miejsce. Ich odwieczna i przy tym wręcz dziecinna rywalizacja, który z nich pierwszy dotrze do zwłok, zdawała się należeć do przeszłości. Obaj, bez docinków

i złośliwości, zaskakująco zgodnie ruszyli pod przewodnictwem leśnika i w towarzystwie dwóch techników ścieżką na dno wąwozu.

– Co się z nimi dzieje? – Pia pokręciła z niedowierzaniem głową i przez chwilę odprowadzała ich wzrokiem.

– Wydaje mi się, że Krögerowi od początku chodziło o to, żeby Henning w końcu docenił jego pracę i przyznał, że jest przydatna – odparł Bodenstein i ruszył za nimi.

– I co, tak nagle Henning zaczął go doceniać? – zapytała Pia. – Jakoś nie zauważyłam wyraźnej zmiany w jego zachowaniu.

– To dlatego, że Henning wybrał bardziej wyrafinowany sposób. – Bodenstein się uśmiechnął. – Zrobił to za pośrednictwem lekarza sądowego w swoich powieściach, który z uznaniem wypowiada się na temat alter ego Krögera. Słyszałaś przecież sama, z jaką dumą Christian o tym mówił.

Nagle komórka Pii zasygnalizowała przychodzące połączenie. Kai informował o ustaleniu adresu Severina Veltena we wsi Oberems.

– Mam tam wysłać radiowóz? – zapytał.

– Nie, nie musisz. Pojedziemy tam z szefem, jak tylko tu skończymy – odpowiedziała Pia i spojrzała pytająco na Olivera, który potaknął szybko.

Henning i Kröger przyjrzeni się zwłokom i po chwili również oni nabrali przekonania, że to szczątki Heike Wersch. Lekarz przystąpił do wstępnych oględzin ciała, a Christian i jego ludzie zabrali się do tworzenia dokumentacji fotograficznej miejsca jego znalezienia.

– Poniedziałkowy wieczór chronologicznie nie trzyma mi się kupy – zaczęła Pia na głos. – Denatka przypięła ojca łańcuchem, bo chciała jechać po zakupy. Kiedy wróciła, czekał już na nią Severin Velten, dlatego nie mogła uwolnić ojca. Jeden z sąsiadów uważa, że widział ją po północy. A teraz leży martwa pośrodku lasu, z kijkami do nordic walkingu, telefonem w jednej kieszeni i kluczami w drugiej. W takim razie kiedy i w jaki sposób jej krew znalazła się na meblach i podłodze w kuchni, i na pojemniku na śmieci?

– Tym bardziej że o północy prawie na pewno już nie żyła, skoro jej komórka pięć po dwunastej przelogowała się ze stacji przekaźnikowej blisko jej domu do innej, dwa kilometry dalej – dopowiedział Tarik. Od tamtego czasu nie zmieniała położenia aż do czwartku, kiedy bateria wyzionęła ducha.

– Serio, czy ktokolwiek trenuje nordick walking sam, w lesie, w środku nocy? – Cem spojrział na pozostałych.

– I to po tak dużej utracie krwi – dokończyła Pia. – Zastanawialiście się może, co się stało z jej zakupami?

– Dopóki nie będziemy mogli ponad wszelką wątpliwość udowodnić, że było inaczej, musimy zakładać, że żyła jeszcze po północy – zdecydował Bodenstein. – Jednak Tarik może mieć rację ze swoją hipotezą. Możliwe, że sprawca założył jej perukę. Nie dość, że było ciemno, to jeszcze lało, więc nawet sąsiad, który ją dobrze znał, mógł się w takich warunkach pomylić.

– Dzięki, szefie! – Tarik uśmiechnął się dumnie.

– Mogę wam przerwać? – wtrącił się Henning, na co wszyscy zwrócili się w jego stronę. – Jedna rzecz w związku ze zwłokami dowodzi jednoznacznie, że ta kobieta wcale nie zamierzała spacerować. Kto wskaże, o co chodzi, dostanie VIP-owskie zaproszenie na premierę mojej książki.

– Ja nie muszę brać w tym udziału – powiedziała Pia. – Mam już swoje zaproszenie.

– Jeśli już, to dwa zaproszenia, bo chciałbym zabrać żonę – zasugerował Tarik.

– To do roboty, O'Malley. – W oczach Henninga pojawił się błysk. – Jeśli pan zgadnie, ma pan zapewnione dwa miejsca w pierwszym rzędzie.

– Omari – poprawił go Tarik. – Nazywam się Omari.

Wszyscy nachylili się nad szczątkami redaktorki Severina Veltena, a Henning, w uniwersyteckim stylu, stał z założonymi rękoma i przyglądał się policjantom jak profesor na ćwiczeniach studentom pierwszego roku.

– Kijki są za krótkie – oznajmił leśnik. Mężczyzna stał z tyłu, kawałek od zwłok. – Już wcześniej zwróciłem na to uwagę. Są tak niedopasowane, że nie dałoby się z nimi chodzić.

– Bardzo dobrze! Fantastyczna spostrzegawczość! – Henning uśmiechnął się zadowolony. – Świetnie. A kim pan w ogóle jest?

– Wotan Velázquez. Jestem leśnikiem odpowiedzialnym za ten teren.

– Ktoś nam właśnie zepsuł zabawę! – poskarżył się Tarik. – Też bym do tego doszedł.

Pia nachyliła się i spróbowała wydłużyć jeden z kijków. Żeby obrócić dolną część i wyciągnąć ją z górnej, trzeba było trochę siły.

– Rzeczywiście – potaknęła. – Ktoś je skrócił i zabezpieczył. Nie ma szans, żeby same się skróciły w czasie upadku.

– Bo to się stało jeszcze w garażu – wyjaśnił Bodenstein. – Tak w każdym razie podejrzewam. Sprawca wepchnął zwłoki Heike Wersch do bagażnika swojego wozu i przywiózł je tutaj, żeby upozorować wypadek. W pośpiechu i nerwach zapomniał najwyraźniej ponownie wydłużyć kijków. Poza tym pomyślał dosłownie o wszystkim... komórka w kieszeni, klucze w drugiej, odpowiednio dobrane buty...

– Niby tak, ale do butów sportowych powinna mieć skarpetki, a nie ma – wtrącił Henning.

– Masz już jakiś pomysł, co było przyczyną śmierci? – zapytał Oliver.

– Podejrzewam, że zmarła w wyniku odniesionego urazu głowy – wyjaśnił lekarz. – Część z tych ran, które widać, są bardzo poważne, jednak dopiero sekcja da odpowiedź, które z nich powstały *ante*, a które *post mortem*, no i oczywiście które z nich były śmiertelne. Jednego jestem pewien: jej zgon nastąpił w innym miejscu.

– Dzięki, Henning – powiedziała Pia. – Kiedy planujesz przeprowadzić sekcję?

– Jeszcze dzisiaj wieczorem. – Kirchhoff westchnął ciężko. – Biedna Maria! To będzie dla niej szok.

W przypadku Henninga publiczne okazywanie emocji było równie niecodzienne, jak w przypadku Bodensteina zjawienie się w pracy w tym samym ubraniu, co poprzedniego dnia. Co tu się działo?

– Chodź, Pia. Pojedziemy pogadać z Veltenem – zdecydował Bodenstein. – Cem, Tarik, wesprzyjcie Krögera i jego techników. Musimy wiedzieć, gdzie dokładnie ciało zostało wyjęte z samochodu i zrzucone ze zbocza do wąwozu. A w laboratorium powinni bardzo dokładnie zbadać odciski opon i porównać je z...

– Hej, Oliver, nie musisz mi mówić, jak mam wykonywać swoją robotę! – przerwał mu Kröger, który słyszał wskazówki Bodensteina.

– Przez głowę by mi to nie przeszło – zapewnił go policjant krótko.

Pia przekazała Tarikowi Beck'sa, woreczek ze smakołykami i kluczyki do swojego auta, i wyjaśniła przy okazji, że powinien poszukać innej drogi wyjazdowej z lasu, jeśli nie chce nadziać się na służbistkę przy szlabanie i pozbyć

się bez sensu trzydziestu euro. Dopiero kiedy skończyła, ruszyła za szefem pod górę.

– Mam przeczucie, że między Henningiem i tą całą Marią Hauschild coś się dzieje – powiedziała, kiedy zmierzali już do służbowego auta Bodensteina. – Nawet go o to zapytałam, ale zaprzeczył i upierał się, że łączą ich jedynie stosunki służbowe.

– Dlaczego sądzisz, że jest inaczej? – Bodenstein otrząsnął się z zamyślenia.

– Sama nie wiem. – Pia wzruszyła ramionami. – To przeczucie.

– Niedawno mi mówił, jak bardzo się cieszy, że w końcu może robić, co mu się podoba, i nikomu nie musi się z tego tłumaczyć – ciągnął Oliver. – Odniosłem wrażenie, że jest bardzo szczęśliwy, mieszkając w służbowym lokalu w Instytucie.

– Nikt nie powiedział, że zaraz musi ją prosić o rękę – zachnęła się Pia. – Może tylko z nią sypia.

– To byłoby wyjątkowo nieprofesjonalne zachowanie ze strony agentki – zauważył Bodenstein. – Przy okazji, miałem możliwość przeczytać jego najnowszą powieść. W tym, oczywiście, również dedykację.

– Udało się ją jeszcze zmienić. – Pia poczuła, jak oblewa się rumieńcem.

– Pia, ty jesteś jedyną kobietą, jaka się liczy dla twojego byłego męża – zauważył Bodenstein, ubierając w słowa myśl, która pojawiła się w jej głowie, kiedy czytała pierwszą powieść Henninga. Ku jej zakłopotaniu to, co w *Przyjaciółach po grób* można było wyczytać między wierszami, miało jeszcze bardziej jednoznaczny wydźwięk. Książka ta była w zasadzie mniej lub bardziej bezpośrednim wyznaniem miłości – do niej. Christoph również zwrócił na to uwagę.

– Bzdura – zaprotestowała gwałtownie. – Jestem szczęśliwą mężatką. Henning i ja zostaliśmy... jakby... starymi przyjaciółmi, których wcześniej coś łączyło.

– To tak samo, jak ja i Cosima – zauważył Bodenstein. – Znamy się od trzydziestu pięciu lat, mamy trójkę dzieci i całą masę wspólnych wspomnień. To nas łączy na zawsze, a Karoline nie potrafiła tego znieść. Od zawsze była cholernie zazdrosna o wszystko, co wiązało się z Cosimą.

– Dość niefartownie, że przy tym wszystkim pracuje dla matki Cosimy – mruknęła Pia.

– Zgadza się. – Bodenstein westchnął ciężko i zamilkł na kilka sekund. – Zostanę dawcą i oddam Cosimie część wątroby.

Pii odebrało mowę i z wrażenia się zatrzymała.

– O Boże... – szepnęła zaszokowana. – Nie wiedziałam... to znaczy... nie mówiłeś nigdy, że jest w takim stanie, że potrzebuje przeszczepu!

– Niestety. Ma raka wątroby. Pojawił się jako powikłanie po żółtaczce przebytej wiele lat temu. Przeszczep organu od dawcy jest jej ostatnią szansą, a zegar cały czas tyka. Jak pojawią się przerzuty, będzie za późno. Dzieci nie nadawały się na dawców, siostry Cosimy z jakichś powodów odmówiły, a jej matka jest za stara. Los chciał, że w moim przypadku wszystkie testy wskazują na zgodność.

– A kiedy... kiedy będziesz... kiedy będziecie operowani? – Pia z trudem oswajała się z tą nowiną. – Czy to nie będzie dla ciebie niebezpieczne?

Jej wiedza na temat przeszczepu organów od żyjących dawców ograniczała się do tego, co widziała w amerykańskim serialu *Chirurgdzy*, jednak zdawała sobie sprawę, że procedura wycięcia fragmentu wątroby też może być sporym obciążeniem.

– Jakies ryzyko istnieje, to jasne – potaknął Bodenstein. – Jak w przypadku każdej innej operacji, dawca też jest narażony na komplikacje. Jednak pozostała część wątroby szybko się odradza i rozrasta prawie do pierwotnej wielkości, podobnie jak przeszczepiony fragment. Przez ostatnich kilka tygodni przeszedłem całą serię badań. Jako pięćdziesięcioośmiolatek mieszczę się jeszcze w granicach wieku przewidzianych dla dawców. Od półtora miesiąca nie wypilem ani odrobiny alkoholu i nie wypaliłem ani jednego papierosa.

– O Boże... – powtórzyła Pia. – Jestem w totalnym szoku. Nie mogę uwierzyć, że się na to zdecydowałeś. Co na to Karoline?

– O niczym nie wie – wyznał Bodenstein. – W zasadzie nikt o tym nie wie poza naszymi rodzinami. I teraz tobą.

Dotarli do samochodu służbowego i wsiedli do środka.

– Ale zdanie Karoline na ten temat nie ma dla mnie żadnego znaczenia. – Bodenstein zapiął pas. – Wczoraj się od niej wyprowadziłem.

– Serio? I zostawiłeś u niej wszystkie ciuchy? – Pia uruchomiła silnik, włączyła wsteczny bieg i zawróciła na szerokiej leśnej drodze.

– Tak, zostawiłem. – Bodenstein uśmiechnął się delikatnie. – Jak na to wpadłaś?

– Bo wczoraj miałeś na sobie tę samą koszulę i te same spodnie.

– No cóż, jeśli dzisiaj nie zdążę zrobić zakupów, jutro pewnie znowu pojawię się tak samo ubrany – wyjaśnił. – Greta nie tylko zniszczyła mi samochód, ale też za pomocą nożyczek zmieniała wszystkie ubrania w spaghetti.

– Słucham?! – Pia zdjęła nogę z gazu i z niedowierzaniem popatrzyła na szefa.

Bodenstein, dla którego odzyskana wolność była warta więcej niż szafa pełna ubrań, opisał Pii, jak wyglądało jego wczorajsze rozstanie z Karoline, i nie mógł się powstrzymać przy tym od śmiechu.

– To zupełnie nie jest śmieszne. – Pia skinęła przyjaźnie policjantce przy szlabanie, po czym wjechała na ulicę i przyspieszyła. – Ona powinna trafić do dobrego psychologa. I to jak najszybciej.

– Jestem tego samego zdania. Jej matka zresztą też. Na szczęście to już nie mój problem. Naprawdę robiłem wszystko, co mogłem, żeby przekonać Karoline do szukania specjalistycznej pomocy. Nie dałem rady – zakończył Bodenstein. – I wystarczy. Smutny koniec jest i tak lepszy niż smutek bez końca.

*

Wczesnym przedpołudniem droga B8 nie była jeszcze kompletnie zakorkowana przez wyjeżdżających na weekend mieszkańców miasta, więc szybko dotarli na miejsce. Bodenstein rozmawiał przez telefon ze swoją starszą córką Rosalie, która przebywała akurat w dziale z męską bielizną centrum handlowego Men-Taunus, i dyktował jej listę rzeczy, które ma dla niego kupić. Pia nie czuła potrzeby posiadania wiedzy na temat rozmiarów slipów szefa, jednak rozumiała sytuację, w jakiej się znalazł. Wiadomość o stanie zdrowia byłej żony Olivera bardzo ją wstrząsnęła. Doskonale pamiętała pierwsze spotkanie z Cosimą von Bodenstein w sierpniu trzynastcie lat wcześniej, przy winnicy w Hochheim, gdzie znaleziono ciało wysoko postawionego prokuratora. Ona sama dopiero co kupiła gospodarstwo Birkenhof i zaczęła służbę w policji w Hofheim, a tamta sprawa była jej pierwszą, przy której współpracowała z Bodensteinem. Potem jeszcze wiele razy spotykała Cosimę; widziała, jak sypie się małżeństwo szefa i to, jak później, dzięki trójce dzieci, Oliver i Cosima ponownie się do siebie zbliżyli. Nie mogła uwierzyć, że ta pełna energii, silna kobieta, i to ledwie parę lat starsza od niej, miałyby umrzeć, jeśli na czas nie otrzyma przeszczepu.

Chwilę po wyjeździe z Glashütten Bodenstein skończył zdalne zakupy i się rozłączył.

– Dobrze, to teraz pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że nasz żuraw będzie siedział w domu – powiedział i zatarł dłonie. – Powiem szczerze, że nie podejrzewałbym pisarza o wciśnięcie ludzkich zwłok do kosza na odpady, ale porzucenie ciała w lesie, szczególnie żeby zatrzeć ślady, jest już dużo bardziej prawdopodobne.

– To jest właśnie błąd myślenia stereotypami. – Pia pokręciła głową. – Czym taki pisarz miałby się niby różnić od pierwszego lepszego gościa z ulicy? Wczoraj spędziłam trochę czasu w internecie i dowiedziałam się, że jest cała masa pisarzy, którzy dokonali morderstw. Jeden z holenderskich autorów kryminałów posunął się nawet do tego, że przepuścił ciało żony przez maszynkę do mielenia mięsa i karmił tym potem swoje gołębie.

– Serio? – Bodenstein skrzywił się z odrazą. – W jaki sposób wpadł?

– Był na tyle głupi, że zakopał jej czaszkę pod altaną w ogrodzie, a kilka lat później sprzedał dom. – Pia zwolniła nieco, bo wjeżdżali w teren zabudowany. Nawigacja prowadziła ich drogą przez całą wieś, by w końcu kazać im skręcić w lewo, w ślepą uliczkę przy samym skraju lasu.

– Jesteśmy. Numer czterdzieści osiem – oznajmiła Pia i wyłączyła silnik. – To miejsce wygląda na opuszczone.

Wysiedli i ruszyli w stronę zaniedbanego bungalowu. Rolety we wszystkich oknach były opuszczone, przez co dom tonący w cieniu wysokich świerków sprawiał ponure i mroczne wrażenie, mimo że dzień był gorący i słoneczny. Dach porastała gruba warstwa mchu pokrytego warstwą igieł z drzew rosnących obok, a okalający działkę płotek myśliwski był zmurszały i niekompletny.

– W tym wywiadzie na YouTube Velten powiedział, że dom bardzo długo stał pusty, bo poprzedni właściciel powiesił się w garażu i minęło kilka tygodni, zanim go znaleźli – powiedział Bodenstein.

– Aha. – Pia odruchowo spojrzała w stronę bramy garażu. – Przytulne żurawie gniazdko.

Nacisnęli nieopisany żadnym nazwiskiem dzwonek umieszczony obok przerdzewiałej skrzynki na listy i poczekali. Nic się nie wydarzyło, więc otworzyli walącą się furtkę i weszli na teren posesji.

– Całkiem niedawno przejechał tędy jakiś samochód. – Bodenstein szedł za Pią, wskazując na połamaną trawę i dwa ślady opon. Minęli miejsce, które niegdyś pełniło funkcję kwietnika, i uchylili staromodną bramę do garażu. – Proszę, a w środku stoi wóz na frankfurckich numerach.

– Jedno jest pewne: zupełnie się nie boi ducha poprzedniego, powieszzonego właściciela. – Pia uniosła pięść i zdecydowanym ruchem uderzyła kilka razy w drzwi. – Pan Velten? Policja! Proszę otworzyć!

Przez chwilę nic się nie działo. Pia zbierała się już, żeby obejść budynek, kiedy drzwi uchyliły się lekko, a ze środka wydobył się obłok papierosowego dymu. Z pogrążonego w mroku wnętrza domu spoglądał na nich blady, nieogolony mężczyzna. Był drobnej budowy, miał bose stopy i zapadnięte oczy, a jego ubranie stanowił zaplamiony T-shirt i szare spodnie od dresu.

– Severin Velten? – upewnił się Bodenstein. Na zdjęciach, które znał, pisarz wyglądał zupełnie inaczej: zachwycony sobą, wyniosły, z dwoma podbródkami, starannym przedziałkiem, do tego zawsze w eleganckiej koszuli i pulowerze. Wynędzniała postać naprzeciwko prawie w niczym nie przypominała sławnego autora. Z jego rysów zniknęła pewność siebie, za to wyglądał szczuplej i młodziej.

– A kto pyta? – Velten zmierzył Pię podejrzliwym spojrzeniem.

– Policja. – Bodenstein pokazał mu legitymację.

W oczach Severina Veltena pojawił się błysk.

– A, policja! – powtórzył. – Świetnie, świetnie. Bo już się obawiałem, że jakiś upierdliwiec z prasy mnie znalazł. – Niespodziewanie na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi. – Proszę bardzo, zapraszam do środka. Spodziewałem się waszej wizyty.

*

Słońce uśmiechało się radośnie z jasnoblękitnego wrześniowego nieba, pozbawionego najmniejszej chmurki, jeśli nie liczyć kilku smug kondensacyjnych. Punktualnie dwadzieścia po dziewiątej rano na dworcu głównym wysiadła Millie Fischer, uśmiechnięta i radosna, mimo że musiała wstać, kiedy inni jeszcze spali. Zgodnie z ustaleniami, została stamtąd odebrana przez Julię, a później, po krótkim kursie taksówką, obie kobiety wysiadły przed willą wydawnictwa w Westendzie, gdzie czekały na nie Anja Dellamura, fotografka, i jej zespół. Anja

stosunkowo często organizowała sesje zdjęciowe dla autorów, więc знаła różne lokalizacje, a na tę konkretną wybrała klasycystyczny pawilon w pobliżu wejścia do przestronnego parku. Lata lodowatych zim zmatowiły marmur, a porastający ściany bluszcz wspinał się po dachu w kształcie kopuły, co nadawało budowli ponurego piękna. Waldemar Bär, dozorca siedziby wydawnictwa, ogrodnik i kierowca w jednej osobie, zawczasu przygotował wszystko na sesję, włącznie z drobnym poczęstunkiem, kawą i schłodzonymi napojami, tak że Julia nic już nie musiała robić. Na jednym ze stołów ogrodowych wizażystka rozłożyła się ze swoim kramem, na który składało się kilkadziesiąt słoiczków, pęset, pędzli, mikstur i kredek. Millie Fischer okazała się na szczęście wyjątkowo nieskomplikowaną osobą. Autorka śmiała się i żartowała z Anją i makijażystką, i bez sprzeciwu zносиła nakładanie make-upu i układanie włosów. W tym samym czasie fotografka ze swoim zespołem sprawdzała warunki oświetleniowe i robiła próbne ujęcia. Nieco dalej w głąb parku, na końcu długiego podjazdu wysypanego żwirem, stała willa wydawnictwa – wzniesiony pod koniec dziewiętnastego wieku dumny budynek z żółtego piaskowca w stylu grynderskim, w którym mieszkał pierwszy założyciel wydawnictwa wraz ze swoją żoną i gdzie do dzisiaj przechowywane było archiwum Liebmana.

Julia naląca sobie kawy, z oferowanego poczęstunku wybrała rogalik czekoladowy i usiadła kawałek dalej, na białej ławce pod rozłożystym drzewem ginkgo biloba. Mimo że pracę w wydawnictwie podjęła półtora roku temu, nie miała jeszcze okazji odwiedzić tego miejsca. Jako redaktorka z działu rozrywki nie zaliczała się do elitarnego kręgu tych, których Margarethe i Henri Winterscheidowie zapraszali na towarzyskie spotkania w willi. Przywilej ten zarezerwowany był tylko dla starszych pracowników i pracowniczek. Ciekawe, jak tu się mieszkało? W wysokich, starych drzewach dookoła domu ćwierkały ptaki, a w idyllicznym otoczeniu człowiek czuł się raczej jak na wsi niż pośrodku wielkiego miasta. Julia nie miała pojęcia, czy wolno było robić zdjęcia pięknego domu i cudownego parku, ale mimo to odłożyła filiżankę z kawą i sięgnęła do torebki po telefon. Ku swemu zaskoczeniu zauważyła, że cztery minuty przed dziesiątą rano otrzymała wiadomość tekstową od Carla Winterscheida. *Dzień dobry, napisał. Przepraszam, że niepokoję w weekend, i to jeszcze tak wcześnie, ale jeszcze dzisiaj chciałbym się z Panią spotkać. Czy zechciałaby Pani wpaść później do biura na chwilę? Jeśli znajdzie Pani czas oczywiście. Pozdrawiam, CW.* Julia przeczytała

wiadomość po raz kolejny i mimowolnie poczuła motylki w brzuchu. Co miała o tym sądzić? Jak zareagować? Dlaczego szefowi zależało, żeby spotkać się z nią w sobotę w siedzibie wydawnictwa? Czy wydarzyło się coś tak ważnego, że nie mógł poczekać z tym do poniedziałku? W jakiś sposób było to ekscytujące, ale też czuła się trochę zagubiona. Chyba że nie chodziło o żadne sprawy zawodowe, tylko o...

– Dzień dobry pani. Czy wszystko zostało przygotowane zgodnie z pani oczekiwaniami? – zapytał ktoś zza jej pleców. Drgnęła i odwróciła się przestraszona.

– O, pan Bär! Dzień dobry... nie słyszałam, jak pan podchodzi! – zaczęła się jąkać i nieporadnie schowała telefon do kieszeni. – Tak, tak, wszystko jest naprawdę super, dziękuję bardzo!

– Nie ma za co. – Waldemar Bär się uśmiechnął. Julia lubiła starszego mężczyznę za jego nienachalny, grzeczny sposób bycia. Niezależnie od tego, jak nerwowa atmosfera panowała w wydawnictwie czy podczas organizowanych przez firmę wydarzeń, Waldemar Bär nigdy nie tracił opanowania i jeśli pojawiał się problem, zawsze potrafił znaleźć rozwiązanie. Przy pawilonie rozpoczęła się już sesja zdjęciowa. Millie Fischer pozowała na stopniach, na siedząco i na stojąco, i przez cały czas uśmiechała się prosto do obiektywu, jakby nie było na świecie przyjemniejszego zajęcia. Co kilka chwil podbiegała do niej makijażystka, poprawiała puder na twarzy, układała włosy i doprowadzała do ładu ubranie.

– Uh, coś takiego jest zupełnie nie dla mnie – powiedziała Julia. – Zdecydowanie wolę się trzymać na uboczu.

– W takim razie łączy nas wspólna cecha – potaknął pan Bär.

Ciężka, żelazna brama drgnęła i zaczęła się otwierać, a po chwili na podjeździe pojawił się ciemnozielony jaguar i potoczył w kierunku willi.

– O, oto i ona! – Julia wstała z ławki, kiedy z samochodu wysiedli Dorothea Winterscheid-Fink i jej mąż. Szefowa działu handlowego zapowiedziała swoje przybycie tym chętniej, że Millie Fischer należała do najcenniejszych transferów do wydawnictwa w ostatnim czasie, więc zależało jej, by autorka czuła się doceniana. Pani Wi-Fi ruszyła przez trawnik w stronę pawilonu. Sesja została na chwilę przerwana, żeby przybyła mogła zamienić kilka zdań z pisarką i fotografką,

jednak Julia widziała, że uśmiecha się z przymusem. W końcu kobieta podeszła do niej i do Anji.

– Nie dam rady wziąć udziału we wspólnym lunchu, mimo że się do tego zobowiązałam – oznajmiła półgłosem. – Wczoraj wieczorem Alexander Roth miał wypadek. Przyjechaliśmy z mężem po matkę i zaraz ruszamy dalej, do szpitala.

– Pan Roth miał wypadek? – powtórzyła Julia. Zadrżała i poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku. Widziała go przecież wczoraj wieczorem, całego i zdrowego, jak tylnym wejściem wpuszczał kogoś do wydawnictwa.

– Tak, niestety, ale sama nic więcej jeszcze nie wiem – odparła szefowa działu handlowego. – Będę pod komórką, gdyby działo się coś ważnego.

Anja zapewniła ją, że nie musi się martwić, bo wszystko ma pod kontrolą.

– Mogę się założyć, że znów za głęboko zajrzał do butelki – powiedziała kpiąco, kiedy pani Wi-Fi nie mogła jej już słyszeć. – *Don't drink and drive!*

Julia chciała coś dodać, ale w tym momencie uświadomiła sobie, że koleżanka nie ma pojęcia o zaginięciu Heike Wersch. Czy to mógł być przypadek, że w tak krótkim czasie coś złego spotyka dwie osoby, które znała? Pani Wi-Fi zniknęła w willi, a jej mąż, którego Julia widziała po raz pierwszy, oparł się o błotnik jaguara i gawędził z panem Bärem.

– Dlaczego seniorka rodu jedzie z nimi do szpitala? – zapytała Julia.

– Pewnie dlatego, że dobry stary Alex stał się kimś w rodzaju członka rodziny – wyjaśniła Anja. – Był najlepszym przyjacielem Götza, zmarłego brata Dorothei, i cały czas jest szefem fundacji założonej przez Winterscheidów.

– A, rozumiem.

Julia przyglądała się, jak pani Winterscheid-Fink z matką wychodzą z domu i schodzą po schodach. Pan Bär otworzył staruszcze drzwi jaguara, poczekał, aż wsiądzie, i zamknął je.

– Wie pan cokolwiek o stanie pana Rotha? Jak się czuje? – Anja zwróciła się do Waldemara, kiedy znów do nich podszedł.

– Najwyraźniej nie za dobrze – odparł mężczyzna poważnym tonem. – Miał ponoć wypadek na rowerze i leży w śpiączce.

– O Boże, to straszne! – W przeciwieństwie do szefowej działu artystycznego, Julia była szczerze poruszona tragedią. Nie miała wprawdzie zbyt wiele do czynienia z redaktorem prowadzącym, ale przecież codziennie mijali się

w wydawnictwie i nawet go lubiła. Niepostrzeżenie dzień stał się znacznie smutniejszy, a śmiech Millie Fischer, dobiegający od strony pawilonu, wydawał się dziwnie nie na miejscu.

– No niestety, niestety – potwierdził Waldemar Bär. – Panie mi wybaczą, ale gdyby coś było potrzebne, wystarczy zadzwonić do bocznego wejścia.

– Poradzimy sobie. Dziękuję! – powiedziała Anja.

Julia odprowadziła go wzrokiem, jak ze schyloną głową zmierza w stronę domu. Jeśli wiadomość o wypadku Alexandra Rotha tak bardzo ją poruszyła, co musiał czuć człowiek, który redaktora prowadzącego znał od ponad trzydziestu lat?

– Dobra, muszę iść je tam trochę pogonić, bo na wpół do pierwszej zarezerwowałam dla nas stolik w Ojo de Agua – zdecydowała Anja Dellamura. Wyglądało na to, że temat pogrążonego w śpiączce współpracownika nic a nic jej już nie obchodził. – Millie świetnie się w tym odnajduje, nie sądzisz?

– Zdecydowanie tak – potaknęła Julia. Nagle odezwał się jej telefon. Poczekala, aż Anja podejdzie do fotografi, i dopiero wtedy sięgnęła do kieszeni. Kiedy spojrzała na ekran, serce prawie stanęło jej z wrażenia. Dzwonił Carl Winterscheid!

– Dzień dobry – przywitał się oficjalnym tonem. – Muszę niestety wyjść, i to dość pilnie, ale chciałbym panią... chciałbym z panią coś omówić. Czy jest pani jeszcze w parku?

– Ja... tak – odparła kobieta niepewnie.

– Świetnie – uznał Carl Winterscheid. – Będę za dziesięć minut.

I zanim Julia zdążyła cokolwiek powiedzieć, szef zakończył połączenie.

*

W domu Severina Veltena umeblowanie było bardzo oszczędne, lecz kiedy zaprowadził ich do salonu, Pia z trudem powstrzymała okrzyk zachwyty. Ogromne okno panoramiczne, sięgające od podłogi do sufitu, oferowało zapierający dech w piersiach widok na ogromną dolinę, aż po Ober- i Niederrod. W przestronnym pomieszczeniu z podniszczonym parkietem nie było żadnych mebli poza stołem i pojedynczym krzesłem. Na blacie stał włączony laptop, a oprócz niego lampka biurkowa, przepelniona popielniczka, która błagała

o opróżnienie, i kilka butelek wody. Na podłodze dookoła stołu wałało się kilkadziesiąt pustych butelek i zgniecione kartoniki po papierosach. Powietrze było gęste od dymu; było go tak dużo, że drapał Pię w gardło i drażnił jej oczy.

– Dlaczego spodziewał się pan naszej wizyty? – zapytała pisarza.

– No cóż, dlatego, że zabiłem Heike? Policja potrafi szybko ustalać takie rzeczy – wyjaśnił szczerze, zaskakując ich otwartością. – Prawdę mówiąc, sam chciałem oddać się w ręce wymiaru sprawiedliwości zaraz po tym, jak skończę pisać nową książkę. Bo znów mogę tworzyć! Przez pięć lat zmagalem się z blokadą twórczą, miałem kompletną pustkę w głowie! Zero pomysłów. Nic mnie nie inspirowało. A teraz... nagle... słowa same spływają z moich palców na klawiaturę! Od tamtej chwili piszę bez przerwy, dzień i noc... To jest po prostu... niesamowite!

Roześmiał się, a Pia i Bodenstein wymienili zdezorientowane spojrzenia. Co się tu działo?

– Od tamtej chwili? – drążył policjant. – Co miał pan na myśli?

Velten nie odpowiedział. Uniósł dłonie, zacisnął je kilka razy, przyglądając się im z wyrazem zachwytu na twarzy, jakby widział je po raz pierwszy w życiu.

– Dotychczas używałem ich jedynie do pisania powieści – wymamrotał. – Ale teraz... teraz pozbawiłem nimi życia innego człowieka.

– Panie Velten – zaczął Bodenstein od początku. – Czy w zeszły poniedziałek odwiedził pan Heike Wersch w jej domu w Bad Soden?

– Tak, w rzeczy samej – potwierdził Velten, opuścił dłonie i spojrzał na Olivera. – Pojechałem tam, żeby z nią porozmawiać. Byłem zrozpaczony. Zniszczyła mi karierę, ba, całe życie mi zniszczyła! I to bez ostrzeżenia. Pewnego ranka rozdzwonił się mój telefon. To mój agent. Chciał zapytać, czy to prawda. A ja na to, że co ma być prawdą? O co chodzi? Ale już wtedy miałem złe przeczucia. Bo musicie wiedzieć, że ja wcale tego nie chciałem. Powiedziałem Heike, że niczego więcej nie napiszę, bo potrzebuję przerwy, i poprosiłem, żeby mnie zrozumiała. Że jestem pusty w środku, że nic we mnie nie zostało. Ale ona koniecznie chciała mieć coś mojego do wiosennego planu wydawniczego. Błagała mnie, prawie zebrała. Ale jak się nie da, to przecież się nie da, prawda? Wiecie, jak to jest, gdy człowiek całymi tygodniami siedzi przed pustą pierwszą stroną edytora tekstów i patrzy w ekran, bo nie ma niczego, o czym chciałby opowiedzieć?

Pytanie było czysto retoryczne, Velten nie oczekiwał na nie odpowiedzi, a Pia i Oliver bali się cokolwiek powiedzieć, żeby nie przerwać mu słowotoku. Velten przeczesał palcami splecione włosy, po czym odruchowo sięgnął po paczkę papierosów i zapalniczkę.

– Pewnego dnia Heike przysłała do mnie do domu i przyniosła taką małą książeczkę. *El hombre que robó las plumas del cóndor*. Nowelka chilijskiego autora z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku. Sto dwanaście stron. – Velten prychnął. – Powiedziała: przeczytaj tylko. Zainspiruj się. A ja to zrobiłem. Tak, ukradłem mu tę historię, ale przecież zrobiłem z niej coś zupełnie nowego, rozumiecie? Coś zupełnie innego! I zrobiłem to dla niej, dla Heike, żeby miała moją książkę i żeby wydawnictwu dobrze szło. Skąd mogłem wiedzieć, jak bardzo się w ten sposób narażę?

– Może wróćmy jeszcze na chwilę do minionego poniedziałku... – poprosił Bodenstein.

– No tak, poniedziałek, za bardzo zbaczam... przepraszam. – Velten odłożył papierosy i zapalniczkę i zamyślony podrapał się po potylicy. Przy każdym jego ruchu coraz wyraźniej czuć było kwaśny odór starego potu. – Więc tak, zadzwonił do mnie Josef, mój agent. Był strasznie wzburzony i powiedział, że Heike w wywiadzie w „FAZ” określiła moją książkę jako plagiat. A potem mój telefon zaczął dzwonić i nie przestawał. Dzwonił całymi dniami, bezustannie. Niewiele brakowało, a bym zwariował. Pod domem zebrał się tłum hien z prasy i telewizji i z kamerami i mikrofonami czyhali na mnie, żądając oświadczeń... – Zamilkł i usiadł ciężko na krześle. W jednej chwili zrobił się bardzo ponury. – Wiedziałem, że jestem skończony. Po takim zarzucie człowiek nie jest w stanie się już podnieść. A od samego początku miałem złe przeczucia, od kiedy tylko ukazała się ta książka i zaczęła być chwalona. Przy każdym wywiadzie, przy każdej recenzji i każdym omówieniu przez krytyka literatury drżałem cały, że ktoś zauważy w końcu podobieństwo do *El hombre que robó las plumas del cóndor*. Nie dało się tego wykluczyć, choć prawdopodobieństwo było znikome. Ale nawet przez myśl mi nie przeszło, że akurat ona mnie zdradzi.

– Domyśla się pan, dlaczego to zrobiła? – zapytała Pia.

Severin Velten uniósł głowę i spojrzał na nią zaczerwienionymi oczyma.

– Heike chciała założyć własne wydawnictwo. Do spółki z Henrim Winterscheidem i kilkorgiem innych osób. Zależało jej, żebym się do niej

przeniósł. Ale ja nie chciałem. Nie lubię zmian. Poza tym podoba mi się w Winterscheid. Dlatego mnie zdradziła. Wpadła we wściekłość, bo uznała, że ją obraziłem. W jej zamysle miałem być najważniejszym autorem nowego wydawnictwa, a ja nie chciałem do niej dołączyć. Poza tym postanowiła się zemścić na Carlu. Za wyrzucenie z roboty. Taktyka spalonej ziemi. Zawsze to powtarzała. Że jak odejdzie, zostawi po sobie spaloną ziemię.

Velten przygryzł dolną wargę.

– Dziennikarze i fani całymi dniami koczowali pod moim domem. Nawet na chwilę nie mogłem wyjść na zewnątrz. Próbowałem dzwonić do Heike. Pisałem do niej. Ale ona nie reagowała. W poniedziałek sępy w końcu dały mi spokój i wreszcie mogłem wymknąć się niepostrzeżenie. Pojechałem do niej, ale Heike nie chciała ze mną rozmawiać. Nawrzeszczała na mnie i nazwała mnie zdrajcą. A przecież ja tylko chciałem, żeby powiedziała prawdę! Chciałem, żeby przyznała, że mnie zmusiła do spisywania z tej książki!

Velten zamilkł i przez kilka sekund patrzył przed siebie pustym wzrokiem.

– Co się wydarzyło w domu pani Wersch? – zapytał po chwili Bodenstein.

– Nie chciała mnie wysłuchać. Zrzuciłem jej komputer na podłogę, a ona wpadła w furję i mnie zaatakowała. Ale byłem gotów i się broniłem. – Pisarz uśmiechnął się, nie kryjąc dumy.

– Rozumiem... A jak się pan przed nią bronił?

Velten spojrzał na swoje dłonie i się zamyślił.

– Jestem raczej pokojowym typem człowieka. A w zasadzie tchórzem – powiedział w końcu, bardziej do samego siebie niż do Bodensteina. – Zawsze unikałem konfrontacji i starałem się nie doprowadzać do konfliktów. Nieszczególnie lubię ludzi, a kłótni szczerze nienawidzę. Raczej starałem się obserwować życie z dystansu, niż brać w nim udział. Jakbym był tylko widzem. Ale od chwili kiedy zebrałem się na odwagę, pojechałem do Heike i nie ustąpiłem podczas kłótni... coś się zmieniło.

Wstał z krzesła. W jego oczach pojawił się nienaturalny gorączkowy błysk, a blada twarz oblała się rumieńcem.

– Od tamtej chwili odczuwam wszystko zupełnie inaczej! Przemoc, fizyczna konfrontacja, pasja, wściekłość i zaspokojenie... wszystko naraz! W jednej chwili przestały być dla mnie teoretycznymi pojęciami, czymś, co dotychczas tylko sobie

wyobrażałem i opisywałem, bazując na cudzych doświadczeniach... o nie, teraz te emocje są autentyczne! I moje! Sam je przeżyłem i sam je odczuwam! To zupełnie tak, jakbym całe życie spędził pod wodą, a teraz nagle się wynurzyłem i świat, który widziałem niewyraźny i rozmazany, niespodziewanie nabrał ostrości! – Velten trząsł się w euforii, jakby był pod wpływem narkotyków. – Nie zamierzałem zrobić jej krzywdy. Nie po to tam pojechałem. Chciałem się tylko dowiedzieć, dlaczego mi to zrobiła i dlaczego wszystko upubliczniła. Ale zamiast mi to wyjaśnić, zaczęła obrzucać mnie inwektywami. A przeklinać to ona umiała jak mało kto! Mój Boże, aż żałuję teraz, że nie miałem notatnika, żeby zapisać te bardziej smakowite! – Zachichotał i pokręcił głową. – Podniosłem wtedy jej laptop, a kiedy nie przestawała mnie obrażać i poniżać, uderzyłem ją nim w głowę. Żeby w końcu się uspokoiła i wysłuchała, co mam do powiedzenia. A ona... ona się przewróciła i nagle wszędzie było pełno krwi... ja...

– Panie Velten – przerwała mu Pia. – W tej chwili muszę pana poinformować, że wszystko, co pan od teraz powie, może zostać użyte przeciwko panu. Ma pan prawo zachować milczenie, jeśli miałby się pan sam obciążyć. Ma pan również prawo do rozmowy z adwokatem.

Velten spojrział na nią krótko. Miał błyszczące oczy szaleńca, choć Pia odniosła wrażenie, że ani opisywane wydarzenia, ani sytuacja, w jakiej się znalazł, nie robiły na nim szczególnego wrażenia.

– Wiem, że trafię za to do więzienia – wyznał. – W końcu zabiłem człowieka. Własnymi rękoma pozbawiłem ją życia! Ale wiecie co? W chwili kiedy wyrznąłem ją laptopem w głowę i usłyszałem chrzęst pękającej czaszki, a potem zobaczyłem, jak się zalewa krwią, i we mnie coś pękło. Jakby pękła tama. Nagle zdałem sobie sprawę, co chcę napisać! Na stacji benzynowej kupiłem kilka sztang papierosów, pojechałem do swojego agenta do Frankfurtu i po prostu zacząłem tworzyć! Wcześniej pisanie było żmudnym procesem, który wymagał walki z każdym zdaniem. Ale od poniedziałku w zasadzie nie wstaję od komputera! Nie spałem jeszcze i nic nie jadłem. To jest jak... to jest obłąd! Szaleństwo! Nigdy jeszcze czegoś takiego nie przeżyłem. Rozumiecie, o czym mówię?

– Na której stacji kupił pan papierosy? – zapytała Pia.

– A to ma jakieś znaczenie? – Velten spojrział na nią poirytowany.

– Otóż ma.

– Jakaś stacja w miejscowości obok Bad Soden. Przypadkowo się na nią natknąłem.

– Może Sulzbach?

– Tak. Całkiem możliwe, że to tam.

Pia wyjęła telefon z kieszeni i odeszła na bok. W internecie odszukała godziny działania stacji benzynowej w Sulzbach, co potwierdziło jej przypuszczenia. Napięcie ją opuściło. Gdyby prawdą miało być to, co Severin Velten właśnie im opowiadał, może i rzeczywiście mógł zabić Heike Wersch, ale nie wystarczyłoby mu czasu na posprzątanie kuchni i podrzucenie ciała do lasu, bo sklep przy stacji zamykał się o dziesiątej wieczorem.

– Tak, chyba jestem w stanie zrozumieć, o czym pan mówi – potaknął Bodenstein. – Mimo to muszę pana poprosić, by udał się pan z nami do komisariatu.

– Jestem aresztowany? – W oczach pisarza pojawiło się zainteresowanie. – Tak normalnie, z kajdankami i w ogóle?

– Kajdanki raczej nie będą konieczne. No chyba, że będzie pan stawiał opór – wyjaśnił Bodenstein. – I nie, nie aresztujemy pana, chcemy z panem porozmawiać i zadać kilka pytań.

– W porządku, to zrozumiałe. – Velten podrapał się po nosie i spojrzał wokół. – Okej, okej. Zastanówmy się. Hm. Mógłbym sam się zgłosić, jak skończę pisać? Nie ucieknę za granicę i powiem wszystko, co chcecie wiedzieć, przysięgam. Ale teraz mam *flow* i za żadne skarby nie mogę przerywać pracy.

– Niestety, nalegam, by od razu udał się pan z nami. – Bodenstein nie był skory do ustępstw. – Ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby wziął pan ze sobą swój laptop.

*

Ledwie dotarli do komisariatu w towarzystwie świeżo wykąpanego i przebranego Severina Veltena, Pia odebrała telefon od Henninga, który zapowiedział, że za mniej więcej godzinę rozpocznie sekcję zwłok Heike Wersch.

– Z naszej strony wyślę ci Tarika i Cema – zdecydowała Pia i puściła Olivera z Veltenem przodem. – Mamy tutaj dość ważne rozpytanie. Masz już zdjęcia rentgenowskie?

– Tak. Böhme się tym zajął i są gotowe. Dlaczego pytasz?

– Czy Wersch mogła zostać zabita uderzeniem laptopa? – Pia zatrzymała się przy schodach. – Zależy mi na odpowiedzi, bo mamy tutaj akurat podejrzanego, który twierdzi, że w ten sposób pozbawił ją życia.

– Rozumiem, że masz wątpliwości?

– No właśnie. Znaczy wiesz, wydaje mi się, że rano widziałam dość wyraźnie kanciasty otwór w potylicy denatki. Nawet rozmawiałam o tym z leśnikiem, który znalazł ciało – wyjaśniła Pia. – Gdybym miała obstawiać, bardziej wyglądała na zadaną młotkiem czy czymś takim niż laptopem.

– Poczekaj, sprawdzę.

Pia słyszała w tle stukanie klawiatury. Również w Instytucie Medycyny Sądowej do przeszłości należały czasy, kiedy zdjęcia rentgenowskie dostarczane były na kliszach i wieszane na podświetlanych szafkach. Dziś trafiały bezpośrednio z aparatu rentgenowskiego na komputerowe dyski.

– No dobrze – odezwał się Henning po dłuższej chwili. – Na zdjęciach widzę dość wyraźne złamania kości potylicznej w jej dolnej części. Nie gwarantuję, że to ostateczny wniosek, przynajmniej dopóki nie zobaczę wnętrza czaszki, ale tak, możesz mieć rację: wygląda to na ślady trzech mocnych uderzeń. I jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, żeby takie obrażenia zostały zadane laptopem.

– Podejrzany twierdzi, że słyszał chrzęst pękających kości – dodała Pia. – A później ofiara strasznie mocno krwawiła.

– Zmarła ma ranę na czole, tuż poniżej linii włosów, powstałą w wyniku uderzenia – odparł Henning. – Wszystko oczywiście zależy od siły, jaką napastnik włożyłby w cios laptopem. Z założenia każdy rodzaj obrażeń czaszki wywołany ciężkim narzędziem o wyraźnych krawędziach może prowadzić do bardzo poważnych skutków. Ale jest też możliwe, że twój podejrzany rzeczywiście słyszał trzask, tyle że nie kości, a pękającego laptopa.

– Dzięki, na razie mi to wystarczy. Zadzwoń proszę, jak skończysz sekcję.

Henning obiecał, że tak zrobi, więc Pia zakończyła połączenie. W drodze po schodach wysłała wiadomość na wydziałowy czat, po czym weszła do budynku, w którym mieścił się komisariat policji.

W korytarzu przed dyżurką Bodenstein zdjął kajdanki i uwolnił pisarza, by przekazać go dyżurującym funkcjonariuszom, do których obowiązków należało

załatwienie wszystkich formalności.

– Dziwna ptaszyna z tego jednonogiego żurawia, co? – mruknęła Pia, kiedy szli na górę. – Dlaczego tak się upierał, że koniecznie musisz zakuć go w kajdanki?

– Facet dopiero co opuścił swoją wieżę z kości słoniowej i zasmakował zwyczajnego, przyziemnego życia – zgadywał Bodenstein. – Dlatego spieszy się, żeby jak najpełniej doświadczyć tego nowego stanu.

– Oby tylko nie nastawał, żebyśmy w czasie przesłuchania świecili mu lampą prosto w oczy. – Pia przytrzymała szefowi drzwi przeciwpożarowe prowadzące na klatkę schodową. – Musimy porozmawiać z jego agentem. Jeśli Velten rzeczywiście był na stacji benzynowej w Sulzbach przed dziesiątą wieczorem i kupował tam papierosy, a potem pojechał do Frankfurtu, nie zdążyłby wywieźć ciała Heike Wersch do lasu.

W sali odpraw Bodenstein poinformował resztę wydziału o najnowszych ustaleniach. Cem i Tarik zostali oddelegowani do uczestniczenia w sekcji zwłok Heike Wersch w Instytucie Medycyny Sądowej, a Kathrin miała się zająć umieszczeniem Severina Veltena w jednej z cel dla zatrzymanych.

– Kolego von Bodenstein – rozległ się nagle głos Nicoli Engel. – Słyszałam, że zatrzymał pan Severina Veltena. Dlaczego?

Wszyscy odwrócili się jak na komendę. Nikt nie wiedział, że szefowa była w swoim biurze.

– Pan Velten przyznał się do zabójstwa Heike Wersch – wyjaśnił Oliver. – Twierdzi, że w poniedziałek wieczorem doszło między nimi do kłótni, w wyniku której uderzył ją laptopem w głowę i pozbawił życia.

Twarz Nicoli Engel pozostała niewzruszona.

– Czy transport w kajdankach był konieczny?

– Sam o to poprosił. – Bodenstein wzruszył ramionami. – Nawiasem mówiąc, wyraziłem też zgodę, żeby zabrał ze sobą swój laptop, bo nie chciał przerywać pracy.

– Czy poprosił o spotkanie z prawnikiem? – dopytywała się dyrektorka.

– Nie – odpowiedziała Pia. – Jest skupiony jedynie na książce, nad którą pracuje. Nic więcej go nie obchodzi. Twierdzi, że chciał się oddać w nasze ręce zaraz po tym, jak skończy książkę.

Doktor Engel weszła do sali odpraw i zamknęła za sobą drzwi. Między jej brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka; zastanawiała się najwyraźniej, jakich problemów może się spodziewać w związku z zatrzymaniem tak sławnej postaci.

– Proszę mnie teraz uważnie wysłuchać – zaczęła po chwili. – Severin Velten to bardzo ważna osoba. Bardzo ważna. Jest jednym z najślawniejszych pisarzy w naszym kraju, a jego nazwisko od kilku tygodni nie schodzi z pierwszych stron gazet. Dlatego nie możemy sobie pozwolić na najmniejszy nawet błąd. Poza tym oczekuję od wszystkich zachowania absolutnej dyskrecji.

– Oczywiście – odparł Bodenstein z niewzruszoną miną.

– Osobiście zajmę się Veltenem – zdecydowała Nicola Engel, potwierdzając obawy Pii. – Na kiedy zaplanowaliście jego przesłuchanie?

– Jeszcze tego nie ustalaliśmy. Najpierw chcemy porozmawiać z jego agentem – odparła Pia. – Wygląda na to, że Veltenowi do szczęścia potrzebny jest jedynie prąd do laptopa i popielniczka.

– Tym lepiej. Proszę zapewnić mu wszystko, czego potrzebuje. – Dyrektor Engel skinęła głową, otworzyła drzwi i wyszła bezgłośnie w swoich sneakersach.

– Super – burknęła Kathrin Fachinger rozeźlona. – Chce mi odebrać najbardziej interesującą osobę, jaką kiedykolwiek zatrzymaliśmy. Co mam teraz zrobić?

– Mogłabyś się zatroszczyć, żeby w celi, do której trafi Velten, zdemontowano czujnik dymu, a potem pomożesz mi wyłuskać numery telefonów, które w poniedziałek wieczorem były zalogowane po kolei do konkretnych stacji przekaźnikowych w Bad Soden – zaproponował Kai. – Trzeba przejrzeć setki rekordów.

– Spodziewasz się jakichś konkretnych wyników? – zapytała go Pia.

– Może nasz sprawca był uprzejmy zabrać ze sobą komórkę, kiedy mordował Heike Wersch i wywoził ją potem do lasu. – Kai wzruszył ramionami. – Szukam numeru, który do północy był zalogowany do stacji przekaźnikowej 4870IW-332, a potem przelogował się do 4870IW-334.

– To chyba nie jest do końca legalne – zganiła go Kathrin. – Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Zdaję, ale zupełnie się tym nie przejmuję – odparł Kai z uśmiechem. – To jak, pomożesz mi, czy wolisz się dąsać?

*

Julia nie mogła się doczekać przyjazdu szefa. Nieustająca paplanina Anji, makijażystki i Millie Fischer działała jej na nerwy. Do tego stopnia, że zaczęła się zastanawiać, jak wykręcić się ze wspólnego lunchu, by nie obrazić ważnej autorki. Czuła się zmęczona na samą myśl o spędzeniu półtorej godziny na small talku i udawaniu zainteresowania. W końcu, dwadzieścia minut po jedenastej, na podjeździe pojawiło się srebrne audi Carla Winterscheida.

– O ja cie, przecież to auto szefa! – Anja nie kryła zaskoczenia. – Nie miałam pojęcia, że też przyjedzie zobaczyć sesję!

Julia ze zdziwieniem obserwowała, jak współpracowniczka z kokieteryjnym wdziękiem poprawia szybko włosy, wygładza sukienkę i sprawdza w lustrze, które makijażystka przygotowała dla Millie Fischer, czy dobrze wygląda. Dopiero wtedy odwróciła się w stronę Carla i obdarzyła go szerokim uśmiechem wybielonych zębów. Szef skinieniem głowy odpowiedział na powitanie i zapytał krótko, czy wszystko idzie zgodnie z planem, po czym podszedł do autorki i zamienił z nią kilka zdań. Był równie skupiony i uprzejmy jak zawsze, i tylko jego oczy zdradzały wewnętrzne poruszenie; pewnie wiedział już o wypadku Alexandra Rotha i jego pobycie w szpitalu.

– Pani Julio, znalazłaby pani dla mnie chwilę? – zwrócił się do Julii.

– Słucham? Ja? Znaczący tak, oczywiście. – Miała nadzieję, że przekonująco odegrała zaskoczenie, bo idąc z szefem w stronę jego samochodu, czuła na plecach świdrujące spojrzenie Anji Dellamury. Gdyby wścibska szefowa działu artystycznego i przy okazji znana plotkarka, dowiedziała się, że ona i Carl wymieniali wiadomości przez WhatsAppa, news lotem błyskawicy dotarłby do każdej osoby zatrudnionej w wydawnictwie.

– Dość niedawno otrzymałem kopertę bąbelkową bez nadawcy, w której był matchbox, taki mały model samochodu – zaczął Carl. – To był jasnoniebieski fiat z białym plastikowym pieskiem na tylnej kanapie. Moja ukochana zabawka z czasów dzieciństwa. Przez trzydzieści lat jej nie widziałem. Zupełnie o niej zapomniałem.

– Mhm... – Julia liczyła się z najdziwniejszymi możliwościami, jednak nie spodziewała się historii o jakimś resorku, więc zdeorientowana zmrużyła oczy.

– Wczoraj razem z pocztą przyszła kolejna koperta bąbelkowa bez nadawcy – ciągnął szef wydawnictwa. – Tym razem w środku znalazłem zdjęcie i manuskrypt sporządzony na maszynie do pisania.

– Manuskrypt? – powtórzyła Julia, coraz bardziej zdezorientowana.

Bardzo wiele osób uważa się za powołane do tworzenia literatury, marzy o sławie i wielkich pieniądzach i bez żadnej samokrytyki oraz wstydu stawia swoje wypociny i siebie na równi z dziełami uznanych autorów. Każdego dnia do wydawnictw i agencji literackich trafiają dziesiątki niezamówionych manuskryptów. Praktykanci sortują je wstępnie, sprawdzają i zdecydowaną większość odrzucają, bo dziewięćdziesiąt dziewięć procent z nich jest bardzo zła, a ich autorzy – albo autorki – pozbawieni talentu. Kiedy Julia szła na jakąś imprezę albo przyjęcie, nigdy nie zdradzała, czym się zajmuje, bo wystarczyło wspomnieć, gdzie pracuje, by po chwili pojawił się ktoś z genialnym pomysłem (swoim, ciotki, sąsiadki czy koleżanki z pracy) na przyszły bestseller. Zdarzyło się już kilka razy, że zupełnie nieznane osoby ni stąd, ni zowąd wciskały jej do ręki propozycje wydawnicze. Nawet w czasie targów ludzie chodzili po stoiskach i rozdawali swoje wypociny przelane na papier. A ci najbezcześniejsi wysyłali swoje propozycje bezpośrednio do szefa wydawnictwa.

– Tak. Domyślam się, że to, o czym opowiadam, brzmi dla pani trochę dziwnie. – Carl Winterscheid mówił cichym głosem. – Ale na manuskrypcie jako autorka widnieje moja matka. I... zadedykowała tę książkę właśnie mnie.

To rzeczywiście zabrzmiało co najmniej dziwnie, ale obudziło ciekawość Julii.

– Czy pańska matka... to znaczy, czy pan w ogóle wiedział, że ona pisała?

– Nie. Ja w zasadzie zupełnie nic o niej nie wiem, bo zmarła, kiedy miałem sześć lat. – Carl Winterscheid zacisnął usta, jakby szukał w głowie odpowiednich słów. Dopiero po chwili mówił dalej: – Wiem, że to prywatna sprawa i zrozumieć, jeśli mi pani odmówi. Ale pani jest... mam do pani zaufanie. – Jego twarz rozjaśnił przelotny uśmiech; uśmiech, jakiego Julia nigdy wcześniej u niego nie widziała. – Nie mam w tej chwili czasu, żeby się tym zajmować. Dlatego to panią chciałem poprosić o przeczytanie tego tekstu i zdanie mi relacji, co pani o nim sądzi. Kiedy znajdzie pani na to chwilę, oczywiście.

Julia nie liczyła się z taką prośbą ze strony szefa wydawnictwa i w pierwszym odruchu chciała mu odmówić. Dlaczego sam nie przeczyta manuskryptu? I czego właściwie od niej oczekuje? Prawił jej komplementy, żeby ją zmanipulować i żeby uwierzyła, że rzeczywiście jest jedyną osobą, która może mu pomóc? Czyżby był podobnym manipulantem jak Lennart – z początku szarmancki, a potem niszczyielski? A może po prostu bezwstydnie wykorzystywał pozycję przełożonego? W jej głowie jak na zawołanie pojawiło się wspomnienie słów terapeutki, która ostrzegała ją, by nigdy więcej nie dała się zwieść narcystycznym typom. Niech to szlag, pomyślała. Jej podejrzliwość przybierała patologiczne rozmiary. Gdyby z podobną prośbą zwrócił się do niej przyjaciel albo przyjaciółka, potraktowałyby to jako dowód zaufania, a nie próbę manipulacji. Carl najwyraźniej jej ufał. A ona też musiała w końcu zacząć ufać innym.

– Pewnie. – Skinęła głową, choć nie była do końca przekonana, czy to właściwy krok. – Tak, mogę się tym zająć.

– Dziękuję – odparł Carl. – Bardzo to doceniam. Naprawdę. To nie jest pilna sprawa. Tym bardziej teraz, przed targami, kiedy jest pani zarzucona pracą.

– Domyśla się pan, kto mógł przysłać samochodzik i manuskrypt? – zainteresowała się Julia.

– Nie, nie mam pojęcia. – Mężczyzna wzruszył bezradnie ramionami. – Mam wrażenie, że ktoś chce mi coś w ten sposób przekazać. Ale jeśli miałyby to być wiadomości, to nic z niej nie rozumiem.

Otworzył drzwi po stronie pasażera, podniósł z siedzenia kopertę bąbelkową i wyjął z niej zdjęcie. Zanim podał je Julii, przyjrzał mu się uważnie. Sześcioro młodych ludzi około dwudziestki, w ubraniach w charakterystycznym stylu lat osiemdziesiątych, na schodkach przed białym budynkiem.

– Wiem, że wszyscy się wcześniej znali – powiedział Carl dziwnym tonem. – Ale nie miałem pojęcia, że się tak blisko przyjaźnili.

– Wszyscy? Czyli kto? – Julia popatrzyła na zdjęcie i drgnęła z wrażenia, bo w jednym z młodych ludzi, szatynie z lokami i w okularach, rozpoznała Alexandra Rotha. A kobietą, która ogniście rude włosy miała zaplecione w gruby warkocz, była najpewniej Heike Wersch. Obok niej siedziała na schodach szczupła, mocno opalona dziewczyna w bikini i krótkich spodenkach, z trwałą w stylu lat osiemdziesiątych i papierosem między palcami.

– Czy to Maria Hauschild? – zapytała Julia.

– Tak, tak mi się wydaje – potaknął Carl. – Pozostali to chyba Stefan Fink, mąż mojej kuzynki Dorothei, i Josefín Lintner.

– Właścicielka księgarni w centrum handlowym Men-Taunus?

– Właśnie ona.

– Kim jest ten drugi chłopak?

– To Götz, mój kuzyn. To zdjęcie wykonano krótko przed jego śmiercią.

Przed jego śmiercią. Na dźwięk tych słów Julia poczuła dziwny skurcz w żołądku.

Przez chwilę żałowała, że zgodziła się szefowi pomóc. Mogła przecież odmówić, jednak jej fascynacja pełnymi napięciami historiami i tajemnicami była silniejsza niż zdrowy rozsądek.

– Jak do tego doszło? – zapytała.

– Utonął. Morze wyrzuciło jego ciało na plażę – wyjaśnił Carl. – Wypadek, w którym swój udział miał pewnie alkohol. Götz miał dopiero dwadzieścia jeden lat.

– To naprawdę straszne, bardzo mi przykro – powiedziała Julia współczująco. – Kto zrobił im to zdjęcie? I co oznacza ten napis, NOIRMOUTIER?

– Noirmoutier to francuska wyspa na Atlantyku. Moja rodzina posiadała tam kiedyś dom. Ale po śmierci kuzyna wuj go sprzedał. – Carl spojrzał przelotnie na zegarek. – Muszę lecieć.

– Jedzie pan do szpitala, do pana Rotha? – Dopiero kiedy Julia skończyła pytanie, uświadomiła sobie, że to przecież zupełnie nie jej sprawa. Szef miał na ten temat inne zdanie.

– Tak – potaknął i westchnął ciężko. – Nie wiem, czy to wszystko się jakoś wiąże, ale pan Roth...

Przerwał w pół zdania. Julia podążyła za jego wzrokiem. Na balkonie nad głównym wejściem do willi stało dwóch starszych mężczyzn i spoglądało na nich z góry, jak dwóch tetryków z *Muppet Show*. Od razu rozpoznała w nich Henriego Winterscheida i Hellmutha Englischa.

– Pycha przed upadkiem kroczy! – zaskrzeczał pisarz i groźnie potrząsnął pięścią. – Jeszcze wspomnisz moje słowa!

Carl zignorował jego groźby.

– Z góry bardzo dziękuję. – Podał Julii kopertę z manuskrytem, a ona od razu wsunęła ją do torebki. – Później jeszcze do pani zadzwonię, dobrze?

– Tak, pewnie. – Redaktorka zarzuciła pasek torebki na ramię i wróciła pod pawilon. Nie tylko dwóch staruszków na balkonie obserwowało ją i Carla. Każdy ich gest uważnie śledziła również Anja Dellamura. Nie minęła nawet minuta, kiedy zażądała od Julii wyjaśnień, o czym chciał z nią rozmawiać szef wydawnictwa.

– O niczym konkretnym – odparła wymijająco Julia.

– A co jest w kopercie, którą ci przekazał? – Szefowa działu artystycznego nie dawała za wygraną. Redaktorka rozejrzała się uważnie.

– Manuskrypt, który ktoś mu podesłał – szepnęła konspiracyjnie. – Ale to tajemnica! Nikomu nie możesz o tym powiedzieć!

– Phi! – prychnęła Anja z irytacją. – Masz nierówno pod sufitem.

Julia wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się szeroko. Prawda bywa czasem bardziej zaskakująca niż jakakolwiek fikcja.

*

Agencja literacka Moosbrugger mieściła się w dzielnicy Alt-Heddernheim, w pięknym starym budynku z zielonymi okiennicami, przy spokojnej ulicy, wzdłuż której rosły stare drzewa. Niestety, śnieżnobiałe mury szpeciły pojedyncze graffiti. Dokładnie naprzeciwko znajdował się niewielki park z placem zabaw, na którym kilkoro matek i ojców pilnowało swoje pociechy. Obok, na kawałku łąki, starsi chłopcy, krzycząc, grali w piłkę, a nastolatkwie oblegali parkowe ławki. Spora część paliła papierosy albo popijała napoje energetyczne, i wszyscy bez wyjątku trzymali w dłoniach smartfony. Pia znalazła miejsce parkingowe dokładnie naprzeciwko agencji. Od Severina Veltena wiedziała, że Josef Moosbrugger z żoną zajmowali mieszkanie nad biurem, więc kiedy nikt nie reagował na dzwonek, zajrzeli na podwórze i właśnie tam znaleźli agenta literackiego. Mężczyzna leżał wygodnie na leżaku i czytał grubą książkę. Na leżaku obok spał rudy kot.

– Wybrałem niewłaściwy zawód – mruknął Bodenstein z zazdrością.

– No właśnie. Zawsze powtarzam, że człowiek za mało uważał, jak wybierał – potaknęła Pia z sarkazmem. – Pan Moosbrugger?

– Tak? – Mężczyzna odłożył książkę, okulary do czytania przesunął na czoło i podniósł się z leżaka. Pia przedstawiła Olivera i siebie, po czym przeprosiła za najście w sobotnie popołudnie.

– Nic nie szkodzi, naprawdę. Chwilowo jestem słomianym wdowcem, więc i tak przez cały dzień bym pracował. – Josef Moosbrugger był żyłastym mężczyzną w okolicach sześćdziesiątki. Z uważnym spojrzeniem, łobuzerskim uśmiechem i lekkim bawarskim akcentem wskazał ramieniem dookoła. – Latem to moje biuro. Czuję się tu trochę jak na południu Włoch, szczególnie kiedy sąsiadka wywiesi pranie na balkonie.

– Tutaj rzeczywiście da się wypocząć. – Bodenstein z uznaniem pokiwał głową. W jednym z narożników wyłożonego kostką podwórza stał grill, a pod obrośniętą dzikim winem pergolą czekał na gości komplet wypoczynkowy. Między kwitnącymi oleandrami w wielkich, terakotowych donicach, w niewielkim basenie połyskiwała woda, obiecując ochłodę w upalne letnie dni.

– Mogę zaproponować coś do picia? Wodę? Colę? A może uczciwie zmrożone limoncello?

– To bardzo miłe z pana strony, ale dziękuję – odmówiła Pia. – Przyszliśmy do pana w sprawie jednego z pańskich autorów, Severina Veltena.

– No tak. Ach ten Severin! Co dobrego znów nawywijał? – Moosbrugger westchnął ciężko. – Gdyby nie on, siedziałbym teraz obok żony w Toskanii. Niestety, sprawa plagiatu zmusiła mnie do skrócenia pobytu i wcześniejszego powrotu.

Podniósł delikatnie kota i zaprosił Bodensteina i Pię, żeby usiedli. Kiedy oboje skorzystali, Moosbrugger zapalił papierosa. Branża wydawnicza zdawała się ostatnią ostoją dla palaczy.

Bodenstein opowiedział pokrótce, czego dowiedzieli się od Veltena, a mianowicie, że wczesnym popołudniem w ubiegły poniedziałek odwiedził swoją redaktorkę Heike Wersch w jej domu w Bad Soden i tam doszło między nimi do poważnej scysji.

– Tak, wiem. – Moosbrugger potwierdził skinieniem głowy. – Tego samego wieczoru, jakoś przed wpół do dziewiątej pojawił się tu niespodziewanie, mimo że

wcześniej przez czternaście dni nie wystawił nosa z mieszkania i nawet nie odbierał telefonu. Ale żeby nie było, nie mam mu tego za złe, nie po tej gównoburzy, która się wokół niego rozpełtała.

– Co panu powiedział, kiedy tu przyjechał? – chciała wiedzieć Pia. – Jak się zachowywał?

– Był bardzo wzburzony. Twierdził, że pojechał do Heike i zażądał od niej wyjaśnień – relacjonował agent. – Niewiele więcej udało mi się z niego wyciągnąć, bo prawie natychmiast otworzył swój laptop w moim biurze i zaczął pisać. Tyle że między nimi miało dojść do poważniejszej kłótni połączonej z rękoczynami. Byłem zaskoczony, bo to wyjątkowo nietypowe zachowanie dla Severina. On nienawidzi konfrontacji i to mnie wysyła załatwiać różne sprawy, ilekroć spodziewa się oporu... czyli w zasadzie zawsze. Za to Heike jest często strasznie nabuzowana i potrafi dowalić, oj, potrafi. Ma żal do Severina, że nie chciał przenieść się do jej nowego wydawnictwa. Na mnie też jest wściekła, bo uważa, że przekonałem nie tylko jego, ale i pozostałych moich autorów, żeby tego nie robili.

– Dlaczego? – zainteresował się Bodenstein.

– Ech, znamy się z Heike od niepamiętnych czasów – wyznał agent. – Przez wiele lat, zanim założyłem agencję, pracowaliśmy razem w Winterscheidzie, a teraz reprezentuję kilkoro autorów, których jest redaktorką. Ponieważ ich dzieła często zbierają doskonałe recenzje i branżowe laury, ale mało kto chce je czytać, zaczęliśmy z Heike organizować seminaria z nimi w moim domu w Toskanii. Są całe rzesze autorów hobbystów z ogromnymi ambicjami, którzy są gotowi zapłacić za spotkanie i rady od nagradzanych pisarzy. No i jako agent mam też cichą nadzieję, że kiedyś w czasie takich warsztatów uda mi się trafić na prawdziwy nieoszlifowany diament. – Roześmiał się, potrząsając głową. – Kilka razy już się udało.

– Jak długo pan Velten pozostał w pańskim domu? – zapytał Bodenstein.

– Przez całą noc siedział przy komputerze i pisał. Ja w końcu poszedłem do łóżka – relacjonował Josef Moosbrugger. – Rano wypiliśmy razem kawę i chciałem z nim omówić, jak może stosunkowo obronną ręką wyjść z tego całego zamieszania. Tylko że on nie chciał mnie słuchać. Powiedział, że ma w głowie fantastyczną fabułę i nie ma czasu, bo musi ją natychmiast spisać.

– Chwileczkę – przerwał mu Bodenstein. – Co dokładnie Severin Velten powiedział panu o swojej kłótni z Heike Wersch?

– Tylko tyle, że nie chciała go słuchać, dopóki nie walnęła jej laptopem o podłogę. Ona rzuciła się wtedy na niego z pięściami i zaczęła go okładać i wyzywać, a Velten podniósł laptop i zdzielił ją nim w głowę. – Moosbrugger zdusił papierosa w popielniczce. – Miała mocno krwawić i jeszcze głośniej krzyczeć, na co on rzucił się do ucieczki. Próbowałem się do niej dodzwonić, żeby się dowiedzieć, co się właściwie wydarzyło. Ale nie odbierała, pewnie dlatego, że wyświetlał jej się mój numer. Dlatego do niej napisałem. W końcu jej przejdzie. Severin ma trochę racji, chcąc od niej wyjaśnień i oczekując, że sprostuje to, co powiedziała. W końcu ona też ponosi część winy za to, że znalazł się w tak tragicznej sytuacji. Kiedy autor potrzebuje przerwy, trzeba to zaakceptować. Tymczasem ona nie chciała o tym słyszeć. Naciskała na niego i dała mu tę książeczkę ponoć dlatego, żeby w niej szukał inspiracji. Pisarz z fotograficzną pamięcią, a Severin ma taką pamięć, nawet niechcący narazi się na zarzut plagiatu.

– Hm. Jak długo pan Velten został u pana w domu?

– We wtorek rano pojechał do swojej chatki na wsi, żeby w spokoju popracować. Od tamtego czasu ani razu się ze mną nie kontaktował, ale to to nic nadzwyczajnego. Kiedy mój Severin pisze, przepada we własnym świecie. Często się wtedy zdarza, że nic nie je, całymi tygodniami się nie myje i nie pamięta nawet, żeby naładować komórkę.

– Pan Velten zdaje się przekonany, że w czasie kłótni zabił panią Wersch uderzeniem laptopa – wtrącił Bodenstein. – Nie pomyślał pan, że rzeczywiście mógł to zrobić?

– W żadnym razie. – Moosbrugger potrząsnął głową. – Nie, to niemożliwe. Mój Severin nie potrafiłby nikogo skrzywdzić.

Pia uniosła brwi.

– Czy po poniedziałku miał pan jakiś kontakt z panią Wersch? – zapytała.

– Nie. – Mężczyzna zmarszczył czoło. – Kilka razy próbowałem się do niej dodzwonić. Jesteśmy przyjaciółmi, i to od niepamiętnych czasów, więc jeśli są jakieś nieporozumienia, to zawsze się w końcu dogadujemy. Tym razem chyba jest naprawdę wściekła, bo nawet nie odczytała moich wiadomości. – Moosbrugger sięgnął po komórkę, która leżała na stole, założył z powrotem okulary i uruchomił

aplikację WhatsAppa. Potem podsunął ekran Bodensteinowi i Pii. – Proszę, te szare „ptaszki” przy wiadomości, którą wysłałem jej w środę.

– Obawiam się, że pani Wersch nie odczyta już żadnej wiadomości od pana. – Pia pokiwała głową. – Dzisiaj rano znaleźliśmy jej ciało.

– Słucham? – Agent literacki gwałtownie pobladł i się wyprostował. – Ale jak to? Heike nie żyje?

– Niestety. Bardzo mi przykro. Wszystko wskazuje na to, że padła ofiarą przestępstwa.

– O Boże... Nie, to nie może być prawda! – Moosbrugger sięgnął po papierosy. Wydawało się, że dopiero teraz do niego dotarło, dlaczego policja odwiedza go w weekend o takiej porze. – A wy podejrzewacie Severina, tak? Myślicie, że on ma z tym coś wspólnego?

– My nie jesteśmy od sądenia – odparł Bodenstein. – Fakty są jednak takie, że pan Velten był jedną z ostatnich osób, które widziały panią Wersch żywą. W tej chwili czeka w celi na przesłuchanie.

– On... wy... aresztowaliście go?! Jak... co teraz z nim będzie? – Wiadomość o śmierci dawnej przyjaciółki wyraźnie Moosbruggerem wstrząsnęła. Był rozbity; drżały mu dłonie i kiedy chciał przeczesać palcami włosy, niechcący zrzucił okulary z nosa. – Czy... on... czy potrzebuje adwokata? Mogę do niego zadzwonić? Gdzie przebywa? Ja... on... Severin nie ma rodziny. Żadnej. Jest po rozwodzie. Jego rodzice nie żyją. Zostałem mu tylko ja.

W jakiś sposób Pia wzruszała ta troska o podopiecznego. Policjantka zaczęła nawet żałować, że od razu nie poinformowała go o śmierci pani Wersch.

– Najrozsądniej będzie, jeśli zostawi mi pan dane kontaktowe, w tym numer telefonu, a ja skontaktuję się z panem, gdy tylko pan Velten będzie potrzebował pomocy – powiedziała Pia współczującym tonem i podała mu swoją wizytówkę. – Proszę się zanieo nie martwić, jest w dobrej formie i nie ma powodów do narzekania. Dostał nawet pozwolenie na zabranie do celi swojego laptopa, więc cały czas tworzy.

Ta informacja zadziałała na Moosbruggera uspokajająco, jednak ku zaskoczeniu Pii, w jego oczach niespodziewanie pojawiły się łzy. Z trudem panował nad emocjami.

– Wie pani... – zaczął drżącym głosem. – Normalnie w takiej sytuacji zaraz zadzwoniłbym do Heike, żeby jej wszystko opowiedzieć. Ale to... to już niemożliwe.

*

Julia bardzo się ucieszyła, kiedy dobiegł końca wspólny obiad w Ojo de Agua, bardzo przyjemnej argentyńskiej restauracji ze stekami, niedaleko siedziby wydawnictwa. Z trudem była w stanie skupić się na toczących się przy stole rozmowach i nie potrafiła docenić przepysznego carpaccio ze świeżym sosem chimichurri i parmezanem, bo cały czas łamała sobie głowę, kto mógł wysłać Carlowi zabawkę z dzieciństwa, a potem jeszcze manuskrypt ze zdjęciem. I czemu to miało służyć? Co łączyło jego matkę z Heike Wersch, Alexandrem Rothem, Marią Hauschild, Josefin Lintner i mężem szefowej działu handlowego? Czy anonimowe przesyłki mogły mieć coś wspólnego z zaginięciem Heike Wersch? Czy to była wskazówka, czy raczej groźba? Uporczywy głosik z tyłu głowy bezustannie przekonywał ją, że Carl Winterscheid nie jest wcale taki niewinny, na jakiego wygląda. Ani słowem nie wspomniał jej o zaginięciu swojej byłej pracownicy ani o wczorajszej wizycie policji. Zastanawiała się, czy nie daje się właśnie wciągnąć w coś, od czego powinna trzymać się z dala.

Fotografka z dwoma asystentami oraz makijażystka podziękowały za zaproszenie i wyszły z restauracji, a Anja po raz dwudziesty już chyba sprawdziła komórkę. Dorothea Winterscheid-Fink obiecała Millie Fischer zwiedzanie wydawnictwa, ale nie skontaktowała się w tej sprawie.

– Może jeszcze nie wyszła ze szpitala – zasugerowała Julia, kiedy Millie udała się do toalety.

– Możliwe. Kto wie, w jakim stanie jest nasz stary kochany Alex – potaknęła Anja. – Zaraz zadzwonię do Doro i zapytam, bo ja przecież nie mam kluczy. Niby pan Bär też mógłby nas wpuścić, ale wydaje mi się, że zwiedzanie firmy to raczej sprawa zarządu, a nie nasza.

Anja była na ty z szefową działu handlowego, jak zresztą niemal wszyscy starsi pracownicy, ale też z upodobaniem podkreślała to przy każdej okazji. Pani Winterscheid-Fink odebrała po pierwszym sygnale. Julia nie słyszała, co Dorothea mówiła, ale Anja z wrażenia aż otworzyła szeroko oczy i buzię.

– To okropne! – szepnęła szefowa działu artystycznego, udając współczucie, i zaraz potem poruszyła bezgłośnie ustami, by przekazać to, czego się właśnie dowiedziała. Julia odczytała tylko jedno słowo – „martwa” – i poczuła zimny dreszcz. – Boże, to przerażające! Tak... oczywiście... Nie, nie ma problemu. Na pewno to zrozumie, na pewno. Okej, w takim razie... tak... do poniedziałku.

– Co się stało? – zapytała Julia natychmiast. Anja nachyliła się nad stolikiem.

– Nie uwierzysz: Wersch nie żyje! – wyszeptała podekscytowana, a jej oczy aż rozbłysły z przejęcia. – Dzisiaj rano znaleziono ją martwą w lesie! O Boże, ale jazda! Ale co tu dużo mówić, ostatnio przeszło mi kilka razy przez myśl, że ktoś w ją w końcu uciszy.

– To się nie mieści w głowie. Straszne – powiedziała Julia. Poruszyła ją wiadomość o śmierci Heike, ale nie zaskoczyła. Podświadomie nie zakładała, że pani Wersch znajdzie się cała i zdrowa, a mimo to ogarnęło ją przygnębienie, bo czym innym jest życzyć komuś śmierci, a czym innym dowiedzieć się, że ta osoba rzeczywiście zginęła.

– Dowiedziałaś się przy okazji czegokolwiek na temat stanu pana Rotha? – zapytała jeszcze.

– Gość leży na intensywnej terapii i jest w śpiączce – odpowiedziała Anja, zajęta rozsyłaniem przez WhatsAppa najgorętszej wiadomości dnia. Jej brak współczucia i szacunku dla śmierci był odrażający. Mogłaby chociaż udawać, że jest w szoku. Julia zapłaciła kelnerowi kartą kredytową i poprosiła o wystawienie faktury na wydawnictwo, żeby później zgłosić się do księgowości po zwrot za wydatki.

Millie Fischer wróciła z toalety. Anja oznajmiła jej, że jest jej bardzo przykro, ale zwiedzanie wydawnictwa musi się odbyć w innym terminie. Na szczęście nie wyjawiała powodu, dla którego tak się stało. Nawet jeśli autorka poczuła się rozczarowana, nie dała tego po sobie poznać i po dziesięciu minutach szeroko uśmiechnięta siedziała w taksówce. Wcześniej Anja i Julia wyściskały ją przesadnie serdecznie i zapewniły wielokrotnie, że spędziły z nią wyjątkowo udane przedpołudnie, że absolutnie genialnie została wybrana sceneria do sesji zdjęciowej i że nie posiadają się z radości, mogąc wydawać tak wspaniałą autorkę w Winterscheid. W chwili kiedy taksówka zniknęła za zakrętem, Anja przestała się uśmiechać.

– Matko, ależ ci autorzy są męczący! – burknęła. – Nie mam pojęcia, jak redaktorzy z nimi tyle wytrzymują. Powaga. Oni nadają tylko o sobie, jakby o niczym innym nie potrafili mówić, do tego oczekują, że wszyscy będą ich nosili na rękach, dopieszczali i chwalili. O-brzy-dli-wość!

– Wracam do domu – powiedziała Julia, zanim koleżanka zaczęła kolejną tyradę.

– No tak, przecież musisz szybko siadać do tego manuskryptu od szefa, co? – zakpiła Anja.

– Żebyś wiedziała! – Julia uśmiechnęła się szeroko. – Miłego weekendu.

Po czym zostawiła ją przed restauracją i szybkim krokiem ruszyła Hochstrasse w kierunku opery, żeby złapać tam kolejkę miejską do domu.

*

– Z racji zaawansowanego stopnia rozkładu zwłok precyzyjne ustalenie czasu zgonu jest bardzo utrudnione. – Z głośników samochodu służbowego płynął głos Henninga. Pia i Bodenstein jechali A66 i mijali właśnie wieżę telewizyjną w Ginnheim. – Jednak w przybliżeniu mogę stwierdzić, że w chwili znalezienia ciała denatka nie żyła już przynajmniej od pięciu dni.

– W takim wypadku czas śmierci wypadalby w poniedziałek w nocy. – Pia szybko policzyła dni w pamięci. – To by się zgadzało z informacjami od sąsiadów i z naszymi dotychczasowymi ustaleniami.

– Bezpośrednią przyczyną śmierci był masywny krwotok wewnątrzmożgowy wywołany wielokrotnym uderzeniem twardym przedmiotem o czworokątnej nasadzie, którego krawędzie miały około cztery centymetry. Doliczyłem się łącznie siedmiu uderzeń prowadzących do perforacji kości czaszki i uszkodzenia tkanki mózgu, a do tego łącznie siedemnaście śladów po uderzeniach na ramionach i karku.

– Jakiekolwiek ślady świadczące o obronie? – zapytał Bodenstein.

– Nie. – Henning odkaslnął. – Pia, pytałaś mnie wcześniej o możliwe obrażenia wywołane uderzeniem laptopa. Otóż na wysokości prawej kości czołowej opisaliśmy ranę tłuczoną, jednak jej rozmiary sugerują, że uderzenie to w najgorszym razie doprowadziłoby do wstrząśnienia mózgu.

– Okej, dzięki. Czy ta ostatnia rana mogła być źródłem bardzo silnego krwawienia? – Pia cały czas miała w pamięci zeznania Severina Veltena, który twierdził, że po ciosie laptopem Heike Wersch przewróciła się i nagle wszędzie było pełno krwi.

– Jest to wysoce prawdopodobne – potwierdził Henning. – Tym bardziej w tym przypadku, bo wychodzę z założenia, że ofiara regularnie zażywała środki przeciwwzakrzepowe, skoro przeszła operację wszczepienia mechanicznej zastawki aortalnej.

– Jeszcze raz dzięki, Henning – powiedział Bodenstein, nie odrywając wzroku od swojej komórki. – To bardzo cenne informacje, dużo nam dają.

– Żaden problem. Raport ze wszystkimi szczegółami przeprowadzonej sekcji dostaniecie najszybciej, jak to możliwe – odpowiedział były mąż Pii. – Jeszcze tylko jedno pytanie na zakończenie. Dzwoniła do mnie Maria Hauschild. Ktoś zdążył jej przekazać, że Heike nie żyje. Co mogę jej powiedzieć?

– Nie ujawniaj żadnych szczegółów dotyczących przyczyny śmierci – zaczęła szybko Pia. – Ale spokojnie możesz potwierdzić, że rzeczywiście znaleźliśmy jej ciało.

– Mogę jej powiedzieć gdzie?

– Nic nie stoi na przeszkodzie – wtrącił Bodenstein.

– Właśnie, jeszcze jedna sprawa – przypomniał sobie Henning. – Maria wspomniała, że jeden z dawnych przyjaciół zamordowanej trafił właśnie do szpitala. Dzisiaj rano znaleziono go nieprzytomnego.

Pia momentalnie wzmożła czujność.

– Jak się ten człowiek nazywa?

– Nie wiem, ale Maria mówiła o nim Alex – odpowiedział Henning.

– Alexander Roth? – zdziwiła się Pia. – Wczoraj byłam u niego z Cemem, żeby zapytać o Heike!

Henning obiecał ustalić, do którego szpitala trafił Alexander Roth, i się rozłączył.

– Moosbruggera pewnie bolą już palce od pisania na telefonie – mruknął Bodenstein. – Ale to jest po naszej myśli. Może ktoś zadziała pochwycie.

– W czasie wczorajszej rozmowy z Rothem i ja, i Cem odnieśliśmy wrażenie, że bardzo dziwnie się zachowuje – powiedziała Pia zamyślonym głosem.

– Ale dziwnie w taki sposób, jak ktoś, kto nigdy wcześniej nie miał styczności z policją, czy dziwnie-dziwnie? – zainteresował się Bodenstein.

– Obstawiałabym tę drugą możliwość. Wydawał się jakiś taki... winny. – Pia spojrzała przelotnie na szefa. – Co ty tam tyle piszesz?

– Cosima ma coraz lepsze wyniki krwi – wyjaśnił Oliver. – To oznacza, że, miejmy nadzieję, niedługo będzie można przeprowadzić operację. Dlatego zwołuję na dzisiaj wieczór spotkanie rodzinne. Jest sporo spraw do obgadania i ustalenia.

– Jeju... – Pia wydeła policzki i wypuściła głośno powietrze. Poprzedniego wieczoru szukała w internecie informacji na temat szans i ryzyka przy pobieraniu i przeszczepianiu organów od żywych dawców i jej szacunek dla bezinteresowności i poświęcenia Olivera sięgnął teraz poza skalę. Wątroba jest wprawdzie jedynym ludzkim organem, który po takiej ingerencji zachowuje zdolność do pełnej regeneracji, co jednak nie umniejsza w żaden sposób niebezpieczeństwa, na jakie narażony jest dawca, a jej szef nie był już przecież młodym człowiekiem.

– Kiedy chcesz powiedzieć o tym Nicoli?

– Przy najbliższej dogodnej okazji. – Bodenstein schował telefon i zdjął okulary, których używał do czytania. – Istnieje możliwość, że moja operacja zostanie zapowiedziana praktycznie bez uprzedzenia. Jeśli do tego czasu nie złapiemy naszego sprawcy, na ciebie spadnie ciężar prowadzenia dochodzenia.

– Dam sobie radę, możesz się nie martwić – uspokoiła go Pia, choć najchętniej powiedziałaaby coś innego.

– Nie umrę – mruknął Bodenstein, jakby potrafił czytać w jej myślach. – Dwa tygodnie w szpitalu i znów jestem na nogach.

– Oby rzeczywiście tak było. – Po trzynastu latach współpracy Pia i Oliver byli niczym stare małżeństwo: doskonale się znali i wiedzieli, co drugiemu leży na sercu. Z zawodowego punktu widzenia świetnie się uzupełniali, jednak wciąż istniały pewne granice, których nie przekraczali, a jeśli już, to tylko w wyjątkowych sytuacjach i bardzo niechętnie. Do takich obszarów należały na przykład sprawy zdrowotne czy ich życie uczuciowe.

– Severin Velten nie zabił Heike Wersch – orzekł Bodenstein, a Pia z ulgą wróciła do tematów czysto zawodowych.

– Też tak uważam. I ktoś inny wywiózł jej ciało do lasu. Z czystym sumieniem możemy go wypuścić. – Spojrzała na chwilę w prawo, jak za każdym razem, kiedy mijala gospodarstwo Birkenhof, które jeszcze do niedawna było jej domem. Teraz jednak drzewa wzdłuż autostrady rosły tak gęsto, że ledwie udało jej się dostrzec zarys budynków. – Agent ani przez chwilę nie podejrzewał, że Velten byłby w stanie zrobić coś takiego. Wygląda na to, że facet zna go lepiej, niż on sam zna siebie.

– Heike Wersch została zamordowana w wyjątkowo brutalny sposób. – Bodenstein zastanawiał się na głos. Nie trzeba być profilerem, żeby wiedzieć, iż zachowanie sprawcy postępującego w tak drastyczny sposób, z taką złością i agresją, świadczy o osobistym związku między nim a ofiarą. – Która ze znanych nam dotychczas osób z otoczenia zamordowanej byłaby zdolna i gotowa, żeby zmasakrować ją dwudziestoma kilkoma uderzeniami czegoś ciężkiego?

Pia zaczęła się zastanawiać. Z biegiem czasu i wraz z rosnącym doświadczeniem nauczyła się, że nie ma na świecie takiego okrucieństwa, do którego ludzie nie byliby zdolni. Na dodatek często to właśnie przeciętni, nierzucający się w oczy obywatele czy przyjaźni z pozoru sąsiedzi dopuszczają się odrażających zbrodni. Wbrew obrazowi lansowanemu przez książki i filmy, mordercy i zabójcy wyjątkowo rzadko rekrutują się spośród pozbawionych uczuć psychopatów czy szaleńców podążających za podpowiedziami głosów rozlegających się w ich głowach. W rzeczywistości sprawców najczęściej należy szukać w otoczeniu ofiar, a ich motywy prawie zawsze są boleśnie przyziemne: zemsta, zazdrość, zawiść, chciwość albo strach przed karą. Schwytni i postawieni przed sądem często trafiają na zdolnych obrońców, którzy znajdują okoliczności łagodzące w postaci na przykład trudnego dzieciństwa. Dostają krótkie kary więzienia i stosunkowo szybko wychodzą na wolność, podczas gdy ich ofiary już na zawsze pozostają martwe.

– Najważniejsze pytanie brzmi dlaczego – powiedziała Pia. – Wciąż nie mamy jasności co do motywu zbrodni. Musimy dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Cem, Tarik i Kathrin jeszcze dzisiaj zaczną przeszukiwać jej dom. Może trafią na jakąś wskazówkę. Ta kobieta musiała zrobić coś, czym wywołała ogromną nienawiść.

– A my? Co będziemy robić?

– Poczekamy, aż Henning się odezwie, a potem pojedziemy do szpitala, do którego trafił Alexander Roth – zaproponowała Pia. – Mogę się założyć, że sporo się tam dowiemy na temat pani Wersch.

*

Julia rozsiadła się wygodnie na balkonie swojego dwupokojowego mieszkania z plikiem zapisanych na maszynie kartek i dzbankiem mrożonej herbaty. Przez ostatnie półtora roku często tu siadywała i czytała manuskrypty, tłumaczenia, próbne wydruki i interesujące ją angielsko- czy francuskojęzyczne książki, do których prawa były akurat w sprzedaży. Zazwyczaj czytała na ekranie i pod presją czasu, i w czasie lektury wyłapywała w nich błędy, pomyłki logiczne, dziury fabularne i niespójności, ale też zbierała w głowie argumenty dla działu handlowego i marketingu, takie jak cechy wyróżniające daną pozycję czy dopasowanie do oczekiwań grupy docelowej. Czytanie dla przyjemności musiało poczekać na urlop, więc tym bardziej ekscytowała ją możliwość zagłębienia się w zapisanym na maszynie tekście, którego autorką była matka jej szefa. Sam dotyk wystarczał, by się przekonać, że to stary papier, znacznie cieńszy niż dzisiejsze kartki o gramaturze 80, który w dodatku z upływem lat lekko pożółkł. Julia ostrożnie przejrzała sto trzydzieści cztery strony, wszystkie opatrzone przy dolnej krawędzi kolejnymi cyframi. Rozmieszczenie czcionek, słów i akapitów nie było tak regularne, jak na dzisiejszych wydrukach – do tego stopnia, że czuła się, jakby czytała jakiś starodruk, zaskakujące znalezisko, na temat którego miała przygotować fachową opinię. Tytuł z pierwszej strony brzmiał *W imię wiecznej przyjaźni*, a poniżej znajdowało się imię i nazwisko autorki: © Katharina Winterscheid, Frankfurt, 23 maja 1990. Julia odwróciła kolejną kartkę i trafiła na dedykację. *Jak zawsze, na zawsze – dla Carla, mojego największego skarbu.*

– Jak zawsze, na zawsze – mruknęła Julia.

Jak zawsze? Czy to miało jakieś specjalne znaczenie? Bo brzmiało tak, jakby Katharina Winterscheid nie pierwszy raz dedykowała jakąś pracę swemu synowi. Dziwne.

Julia upiła łyk mrożonej herbaty i zaczęła czytać. Już po trzech stronach dała się wciągnąć historii młodej dziewczyny, która dopiero co pochowała matkę i przeprowadziła się do Frankfurtu. To zdecydowanie nie była koślawa próba

pisarska znudzonej pani domu, która wżeniła się w rodzinę Winterscheidów i z miejsca poczuła się jak autorka; o nie, ku zaskoczeniu Julii, Katharina Winterscheid wykazywała się ogromnym talentem do snucia opowieści i w niesamowity sposób umiała budzić do życia swoje postaci. Pisała soczystym, lekkim i płynnym stylem i doskonale panowała nad językiem, podstawowym narzędziem każdego pisarza: nie popełniała błędów ortograficznych, prawie żadnych interpunkcyjnych i dysponowała bardzo szerokim zasobem słownictwa. Niepostrzeżenie Julia znalazła się we Frankfurcie końca lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku, który oglądała z punktu widzenia Karli, pierwszoosobowej narratorki. Czytała, jak bohaterka książki na tablicy ogłoszeniowej na uniwersytecie poszukuje przystępnego cenowo miejsca do zamieszkania i trafia na ofertę Tiny, która do mieszkania wynajmowanego z dwiema innymi dziewczynami poszukuje czwartej współlokatorki. Tina, dziewczyna z dobrego domu, której ojciec zmarł na serce we własnej saunie, kiedy jego córka w swoim pokoju słuchała muzyki, poza sporą sumą odziedziczyła mieszkanie, o którego istnieniu nie miała pojęcia do dnia otwarcia testamentu.

Po pierwszych dwudziestu pięciu stronach Julia była zachwycona, choć nie miała jeszcze pomysłu, do jakiego gatunku powinna zaliczyć powieść. Bawiła ją jednak delikatna ironia i dowcip, z jakim Katharina Winterscheid opisywała trzy dziwne współlokatorki, w przeciwieństwie do niej pochodzące z wykształconych miejskich rodzin. I choć początkowo książkę czytało się jak zabawną powieść romantyczną, niespodziewanie zdarzyło się coś, co Julię zaskoczyło:

Karla miała towarzyszyć swoim trzem nowym koleżankom w czasie przyjęcia, na które zaprosił je Lutz, chłopak Tiny, a uroczystość miała się odbyć we wspaniałej willi z końca dziewiętnastego wieku, w dzielnicy Merton. A Lutz był – przypadkowo albo celowo – synem znanego frankfurckiego wydawcy Hardy'ego Vogelsanga, zaprzyjaźnionego z filozofami klasy Adorno czy Horkheimer. W trakcie lektury Julia odkrywała coraz więcej nawiązań do rzeczywistości, co wzbudzało w niej jednocześnie fascynację, wzruszenie i przerażenie, bo zrozumiała, że powieść Kathariny Winterscheid była mocno autobiograficzna. Czytała dalej, nie marnując czasu na zastanawianie się, skąd i dlaczego akurat teraz wypłynął ten manuskrypt, i po co, po dwudziestu ośmiu latach od jego powstania, ktoś przesłał go anonimowo synowi autorki, bo koniecznie chciała wiedzieć, co się stanie dalej i jak skończy się ta opowieść. Co samo w sobie było

w zasadzie największym komplementem, jakim można obdarzyć propozycję wydawniczą.

*

– To nieprawda! Musieliście się pomylić! To niemożliwe! – Severin Velten potrząsał głową. Dłonie mu drżały i łamał się głos. – Zabiłem ją! Jestem tego pewien. Kiedy wyrznałem ją w głowę laptopem, wyraźnie słyszałem, jak pęka jej czaszka.

– Jesteśmy przekonani, że dźwięk, który pan usłyszał, to odgłos łamiącego się plastiku obudowy laptopa – wyjaśnił mu Bodenstein po raz trzeci albo czwarty, wykazując się ogromną cierpliwością. Velten potrząsnął jednak głową i zaczął mruzczyć coś pod nosem. W pomieszczeniu obok pokoju przesłuchań siedzieli Cem, Tarik, Kathrin i Kai, by dzięki kamerze i mikrofonowi oglądać na żywo rozgrywającą się tam komedię.

– A krew? Wszędzie była krew! Leżała na podłodze i krwawiła! – Wzburzony pisarz wstał i nerwowym krokiem zaczął chodzić tam i z powrotem po ciasnym pomieszczeniu jak dzikie zwierzę w klatce, co chwilę teatralnie unosząc ręce. Podobnie jak na początku uparł się, by zapiąć go w kajdanki, tak dzisiaj naciskał, by jego „przesłuchanie” odbyło się w pozbawionym okien małym pokoiku. Pię z początku bawiło jego dziwaczne zachowanie, jednak teraz zaczęło jej działać na nerwy.

– Nic z tego nie rozumiem! – powtarzał Velten jak zdarta płyta. – Jak człowiek straci tyle krwi, to musi umrzeć!

– Pani Wersch przyjmowała środek antyzakrzepowy Marcumar – powtórzyła Pia, nie licząc, który to już raz. – Dlatego doszło do tak mocnego krwawienia z rany tłuczonej.

Stała oparta o drzwi i ze splecionymi na piersi ramionami przyglądała się człowiekowi, który od dobrych piętnastu minut podejmował rozpaczliwe próby dowiedzenia swojej winy. Nigdy wcześniej nie przeżyła niczego choćby zbliżonego do tej sytuacji. Velten niemal zalał się łzami, kiedy został poinformowany, że nie będzie miał postawionych zarzutów, w związku z czym może opuścić celę i wrócić do domu.

– Nie może pan tu zostać i blokować miejsca dla innych zatrzymanych, jeśli nikt nie zamierza pana o nic oskarżać. – Pia próbowała przemówić mu do rozsądku. Istniał cały szereg przepisów, które mówiły, w jaki sposób należy postępować z podejrzanymi i jak długo wolno ich przetrzymywać w zamknięciu, bo większość ludzi nie może się doczekać, kiedy będą mogli odpowiadać z wolnej stopy. Próżno jednak było szukać jakichkolwiek informacji, co robić z ludźmi, którzy odmawiają opuszczenia celi. Czy dopuszczalne było zastosowanie przymusu bezpośredniego, by ich fizycznie wystawić przed budynek?

– Bardzo was proszę, nie wyrzucajcie mnie stąd! – błagał Velten.

– Nikt pana stąd nie wyrzuca. Grzecznie pana prosimy o udanie się do domu.

– Ale dlaczego nie mogę tu zostać? Przecież nikomu nie przeszkadzam! A większość cel i tak stoi pusta!

– Nie mamy prawa przetrzymywać nikogo bez uzasadnionych powodów.

– Tyle że nikt mnie tu nie przetrzymuje! Ja jestem tutaj z własnej woli!

– To marnowanie pieniędzy podatników.

– W takim razie sam pokryję wszystkie koszty!

Sytuacja powoli stawała się groteskowa. Pisarz po drugiej stronie stołu musiał mieć coś z głową. Pia wymieniła z szefem zrezygnowane spojrzenie i przewracając oczyma, wskazała głową na drzwi, prosząc, by wyszedł z nią na chwilę. Na korytarzu przed salą przesłuchań Pia sięgnęła po słuchawkę telefonu naściennego i wybrała numer doktor Engel.

– Pan Velten nie chce się z nami rozstać – oznajmiła, kiedy dyrektorka w końcu odebrała połączenie. – Co mamy w takiej sytuacji zrobić?

– Poczekajcie, już schodzę – odparła szefowa i odłożyła słuchawkę. Z pomieszczenia obok wyszli pozostali i śmiejąc się, podsuwali coraz zabawniejsze pomysły, jak pozbyć się Veltena z budynku. W chwili kiedy zza narożnika wyszła doktor Engel, z sali przesłuchań dobiegły straszne krzyki i dzikie walenie pięścią w drzwi.

– Chcę stąd wyjść! Wypuście mnie! Wypuście mnie w końcu! – wrzeszczał rozpaczliwie Velten. – Pomocy! Ratunku!

– Boże drogi, co tu się dzieje? Co to za przedstawienie? – Tym razem nawet Bodenstein nie wytrzymał. Złapał za klamkę i gwałtownie otworzył drzwi, które

nawet nie były zablokowane. – Proszę bardzo, nikt tu pana nie trzyma! Może pan iść!

– Ale... to znaczy nie, ja wcale nie chcę nigdzie iść – wydukał Velten i cofnął się niepewnie.

– To po co pan wali w drzwi i woła, że mamy pana wypuścić?

– Bo... ja... znaczy... ja... – Pisarz rozpaczliwie szukał właściwych słów, by wytłumaczyć, o co mu właściwie chodziło.

– Bo chce pan na własnej skórze doświadczyć tego, jak to jest trafić do policyjnej celi, prawda? – pomogła mu Nicola Engel.

Severin Velten otworzył szerzej oczy i popatrzył na dyrektorkę. Nagle twarz mu pojaśniała i potaknął energicznie.

– Dokładnie tak – oznajmił z ulgą. – Dokładnie tak, o to właśnie mi chodzi. W końcu ktoś mnie zrozumiał!

– W porządku. – Nicola Engel zamknęła drzwi i spojrzała na Bodensteina i jego ludzi. – Pan Velten ma prawo zostać u nas tak długo, jak mu się żywnie podoba. Osobiście się nim zajmę. A wy możecie wracać do pracy.

– Ale... – zaczęła Pia.

– Nie ma żadnego ale – przerwała jej dyrektorka i nie dała dokończyć. – Ten człowiek jest największym współczesnym pisarzem w naszym kraju. Mówiłam już o tym. To byłby dla nas zaszczyt, gdyby jego najnowsza powieść, która bez najmniejszych wątpliwości stanie się bestsellerem, powstała właśnie tutaj, w jednej z naszych cel.

Po tych słowach odwróciła się na pięcie i zniknęła w sali przesłuchań.

– Matko, ona jest tak samo szurnięta jak żuraw – mruknęła poirytowana Pia.

– Jezu, ale jazda, odlot kompletny. – Kathrin zachichotała.

– Ona to robi tylko dlatego, że liczy, że największy pisarz w naszym kraju wymieni ją w dedykacji – zakpił Cem.

– Śmierć w kuble, autorstwa Severina Veltena. – Kai się uśmiechnął. – *Dla mojej wielkiej fanki, Nico.*

– Dobra, wystarczy – zdecydował Bodenstein. – Mamy jeszcze kupę roboty. Velten nie jest sprawcą, więc wiecie, co to oznacza: wróciliśmy do punktu wyjścia.

*

– Heike Wersch nie zmarła w czasie spaceru z kijkami po lesie. – Kilka minut później Tarik referował w sali odpraw szczegóły sekcji zwłok. – Badanie pozwoliło ustalić, że najbardziej prawdopodobną przyczyną śmierci było siedem ciosów w potylicę zadanych twardym, tęnym narzędziem o czworobocznej podstawie. Uderzenia doprowadziły do pęknięcia kości czaszki i bardzo poważnego uszkodzenia mózgu, włącznie z wypłynięciem tkanki mózgu na zewnątrz. Poza tym doliczono się siedemnastu wylewów podskórnych wskazujących na kolejne uderzenia w obrębie ramion i karku.

Pia wpatrywała się w tablicę z przodu pomieszczenia. Pod zdjęciem przedstawiającym uśmiechniętą Heike Wersch Kai zawiesił fotografie jej ciała i miejsca, gdzie zostało znalezione. Ujęcia szerokokątne i powiększenia szczegółów. Do tego zapisał jedno pod drugim nazwiska wszystkich dotychczas ustalonych osób z kręgu towarzyskiego ofiary. Pia jednym uchem słuchała sprawozdania Tarika. Za każdym razem, kiedy w trakcie śledztwa trzeba było wrócić do samego początku i zaczynać wszystko od nowa, opanowywała ją głęboka frustracja, jednak póki nie mieli ciała, i tak wszystkie ustalenia były jedynie spekulacjami. Dopiero teraz zaczynała się prawdziwa praca, a wyniki sekcji zwłok mocno zawężyły krąg podejrzanych. Profil osobowościowy sprawcy, który tęnym, twardym narzędziem roztrzaskuje czaszkę i doprowadza do rozprysnięcia się mózgu, a potem dalej zadaje ciosy w ramiona i kark musiał być zupełnie inny niż w przypadku sprawcy, który w afekcie uderza ofiarę laptopem w głowę. W przypadku Heike Wersch ktoś działał bardzo zdecydowanie, z zamiarem pozbawienia życia, co do tego nie było wątpliwości. Tajemnicą za to pozostawała odpowiedź na pytanie, dlaczego to zrobił. Niestety, ślady pozostawione na miejscu zbrodni, w kuchni domu pani Wersch, nie wnosiły wiele do sprawy. Kröger i jego ludzie zabezpieczyli wprawdzie odciski palców i ślady DNA zarówno w pomieszczeniach, jak i w samochodzie ofiary, lecz żaden z nich nie był zapisany w policyjnych bazach danych.

Pia zastanawiała się, jak w podobnej sytuacji postąpiłby doktor David Harding, amerykański profiler, do którego jesienią ubiegłego roku zwróciła się z prośbą o pomoc w dochodzeniu dotyczącym seryjnego mordercy. Jako analityk śledczy, doktor Harding przykładął dużą wagę nie tylko do analizy zachowania sprawcy i ustalenia bardzo dokładnej chronologii zdarzenia, ale też odwoływał się do

wiktyologii, a więc w dużym skrócie badania osobowości ofiary. Jego zdaniem, opłacało się poświęcić czas i wysiłek na lekturę dzienników, kalendarzy, terminarzy, listów i mejli, by jak najwięcej dowiedzieć się o ofierze, jej sytuacji życiowej i prawdziwych motywacjach, gdyż jego zdaniem, żelazną zasadą było to, że sprawca i ofiara musieli się znać, choćby tylko krótko i powierzchownie. Celem wiktyologii, od dawna uznanej i ugruntowanej dyscypliny naukowej w ramach kryminologii, jest rekonstrukcja osobowości i charakteru ofiary i tego, w jaki sposób zaistniał jakiś związek między nią a sprawcą.

Przedłużająca się cisza kazała Pii otrząsnąć się z zamyślenia i rozejrzeć.

– Co się dzieje? – zapytała, widząc, że wszyscy patrzą w jej stronę i na coś czekają. – Wybaczcie, trochę się rozkojarzyłam.

– Chcemy sprawdzić alibi Alexandra Rotha – powtórzył Kai. – Poza tym należałoby złożyć wizytę inwestorowi budowlanemu, z którym ofiara była w sporze.

– Szczerze? Nie chce mi się wierzyć, żeby on mógł być naszym sprawcą. Nie potrafię sobie wyobrazić, że ten facet, który, zgoda, jest cholerykiem, zabrał zwłoki Heike Wersch i w ulewnym deszczu zawiózł je do lasu, po czym zrzucił do wąwozu – wyjaśniła Pia. – Sprawca nie tylko przeniósł je do garażu i ułożył w bagażniku auta, ale wcześniej musiał je odpowiednio przygotować, włącznie z założeniem pętli kijków do nordic walkingu na nadgarstki i schowaniem telefonu i kluczy do kieszeni spodni. Musiał jej wtedy dotykać. To takie... – zamilkła i zaczęła szukać słowa, które najpełniej oddawałoby to, co myślała. – Takie... intymne.

Wszyscy potaknięciem przyznali jej rację.

– To co byś w takim razie proponowała? – zapytał Bodenstein. – Jaki krok byłby teraz najwłaściwszy?

– Wydaje mi się, że należałoby dokładnie przeszukać dom Heike Wersch pod kątem jakichkolwiek wskazówek. Nie mieści mi się w głowie, że przyczyną tak brutalnego morderstwa mógłby być tylko jej opór przed zmianami w wydawnictwie. Tam musi być coś jeszcze, o czym nie wiemy. Jak dotąd w ogóle bardzo mało o niej wiemy, bo nie mamy nic poza krótką charakterystyką przedstawioną przez kilku jej sąsiadów i dwóch byłych współpracowników. Nie mamy pojęcia, jakim była człowiekiem, co miało dla niej znaczenie, co ją inspirowało do działania i czym lubiła się zajmować. Czy skrywała jakieś

tajemnice? Czy mogła kogoś szantażować? Przepracowała dla jednego wydawnictwa trzydzieści lat. Jestem przekonana, że to wystarczający czas, żeby zebrać rozległą wiedzę.

– O czym, na przykład? – zapytała Kathrin.

– Nie mam pojęcia. – Pia wzruszyła ramionami. Rozległ się sygnał jej komórki. Henning przysłał wiadomość: Alexander Roth leżał w szpitalu w Bad Soden, a Maria Hauschild właśnie tam jechała, żeby wesprzeć jego żonę.

– Podskoczę szybko do szpitala – zdecydowała policjantka. – Kto jedzie ze mną?

– Wybacz, ale ja muszę już wracać – odparł Bodenstein, spoglądając na zegar nad drzwiami.

– Ja też. Mój syn gra dzisiaj ważny mecz i obiecałem mu, że będę – przeprosił Cem.

– Eee... moja żona ma dzisiaj urodziny. – Tarik uśmiechnął się usprawiedliwiająco. – Sprosiła na wieczór całą masę gości, więc jeśli się nie pojawię, czekają mnie kłopoty.

– Rany, teraz to się czuję naprawdę głupio – skrzywiła się Kathrin. – Ale wyjątkowo ja również mam już plany na wieczór.

– Ja chętnie z tobą pojadę – zaproponował Kai. – Już od dawna nie pracowałem w terenie.

– Spokojnie, nie ma potrzeby. – Pia wstała i sięgnęła po plecak. – To nie jest nic ważnego, a poza tym mieszkam żabi skok od tego szpitala. Dobra, czyli widzimy się jutro o dziewiątej rano przed domem pani Wersch. Kröger został już poinformowany. Beck's, idziemy!

Pies wstał z posłania pod stołem konferencyjnym, otrząsnął się i ruszył za panią. Prawdę mówiąc, Pia też miała nadzieję, że uda jej się wcześniej wrócić do domu. Wieczorem Christoph wracał z konferencji w Amsterdamie, więc chciała jeszcze zrobić zakupy i ugotować coś dobrego. Któż jednak miałby lepiej zrozumieć to, że musi dłużej popracować, jak nie jej mąż, który sam rzadko kiedy wychodził z pracy o czasie i często brał weekendowe dyżury w zoo.

– Pia, poczekaj! – zawołał Bodenstein. Zatrzymała się przy schodach prowadzących na parter. – Pojadę z tobą – powiedział. – Godzina w tę czy w tamtą mnie nie zbawi.

– Na pewno?

– Tak. Chciałem po prostu przed naradą rodzinną skoczyć jeszcze do centrum handlowego kupić trochę nowych ciuchów. – Bodenstein razem z nią zaczął schodzić schodami. – Powinienem zdążyć, jeśli w szpitalu szybko się uwiniemy.

– W takim razie nie marnujmy czasu. – Pia otworzyła drzwi przeciwpożarowe i wyszła z klatki schodowej. Przed służą bezpieczeństwa przy dyżurce wpadli na Nicolę Engel. Niosła dwa sześciopaki wody mineralnej, karton papierosów i papierową torebkę z logo tajskej restauracji, której posiłki były bardzo popularne wśród pracujących tu policjantów i policjantek.

– Już fajrant? – zapytała z wyczuwalnym sarkazmem. Beck's zainteresował się papierową torbą z jedzeniem.

– Jeszcze nie. Ktoś z kręgu najbliższych znajomych ofiary trafił dzisiaj do szpitala – wyjaśniła Pia. – Jedziemy tam, żeby porozmawiać z rodziną.

– Od kiedy kupujesz papierosy? – zapytał Bodenstein. – I od kiedy lubisz tajske jedzenie? Przecież to zupełnie nie w twoim stylu.

– To karma dla żurawi – zakpiła lekko Pia. – I to by było na tyle, jeśli chodzi o zakaz palenia w budynkach użyteczności publicznej.

– Wyjątkowe okoliczności wymagają wyjątkowego podejścia – odparła Nicola Engel z przekonaniem i chciała ich minąć.

– Nicola, jeszcze jedna sprawa. – Bodenstein zastąpił jej drogę. – Powiedz mi tylko, czy wy w ogóle rozmawiacie? No wiesz, ty i żuraw?

– Oczywiście, że wymieniamy się różnymi uwagami, to jasne. – Nicola spojrzała na niego podejrzliwie. – Dlaczego cię to interesuje?

– Może mogłabyś go przy okazji zapytać, czy w ten poniedziałek, kiedy doszło między nimi do kłótni, Heike Wersch miała na głowie rudą perukę czy nie?

– Oczywiście, że zapytam. Dlaczego to ważne?

– Tak tylko. – Bodenstein wzruszył ramionami. – Zaciekawilo mnie to.

– Dobrze. Zapytam. – Dyrektorce wyraźnie się spieszyło, by zejść na dół, gdzie w jednej z cel przebywał jej ulubiony autor. – To wszystko?

– Póki co, tak.

– Dlaczego chciałeś, żeby go o to zapytała? – zainteresowała się Pia i skinieniem głowy pozdrowiła dyżurnych za pancerną szybą, po czym wyszli na dwór.

– Cały czas chodzi mi po głowie to, co powiedział Tarik – wyjaśnił Bodenstein. – Skąd sąsiedzi wiedzieli, że to była Heike, skoro widzieli ją w środku nocy, w czasie burzy, jak siedzi za kierownicą samochodu, a potem wystawia pojemniki na odpady.

– Bo ją dobrze znali. – Pia wzruszyła ramionami.

– Albo dlatego, że nie liczyli się z możliwością, że to ktoś inny. – Bodenstein zatrzymał się przy schodach. – Gdyby to był jakiś mężczyzna albo blondynka, każdy z nich przyjrzałby się uważniej, z ciekawości albo podejrzliwości. Chciałbym wiedzieć, czy Heike nosiła tę perukę tylko z okazji publicznych wystąpień, czy cały czas, w tym również w domu. Gdyby Tarik miał rację, że morderca się za nią przebrał, musiałby wiedzieć, że ona nie była ruda, tylko nosiła perukę.

– To by potwierdzało, że sprawcy należy szukać w kręgu najbliższych znajomych. – Pia z uznaniem potaknęła głową, bo zaczynała rozumieć tok myślenia szefa. – Teraz to jestem naprawdę ciekawa, jak dobrze nasz żuraw znał swoją redaktorkę.

*

W szpitalu w Bad Soden Bodenstein podszedł do recepcji i zapytał o Alexandra Rotha. Czekaając na informację, Pia omiotła wzrokiem hol wejściowy i zadrżała, bo nagle wróciło do niej wspomnienie najgorszego doświadczenia w jej policyjnej karierze. Niemal dokładnie dziesięć lat wcześniej, na jej oczach człowiek wypadł tutaj przez szklane drzwi. Wszystkie jej wysiłki, by go uratować, spełzły na niczym, bo po kilku minutach wykrwawił się na śmierć. Ilekroć odwiedzała to miejsce, czy to w sprawach służbowych, czy prywatnych, przychodziło jej do głowy, że ten człowiek mógłby dalej żyć, gdyby tylko odpowiednio szybko zareagowała i...

– Pia?

– Tak? Przepraszam, zamysliłam się. – Westchnęła głęboko. – Za każdym razem, kiedy tu jestem, przypomina mi się Hartmut Sartorius.

– Mnie też. – Bodenstein potaknął. – Ja w dodatku nie mogę zapomnieć, że asystentka weterynaryjna rzuciła akurat mnie na ziemię jakimś chwytem judo. Dobrze, chodźmy, musimy dostać się na drugie piętro.

W tej samej chwili przez obrotowe drzwi do holu weszła jakaś kobieta. Srebrnoblond włosy miała przycięte w boba i nosiła duże, ciemne okulary.

– Pani Hauschild? – zapytała Pia, kiedy nowo przybyła stanęła przy recepcji. Agentka Henninga zdjęła okulary i spojrzała na policjantkę. Początkowe zniecierpliwienie szybko ustąpiło, kiedy ją rozpoznała.

– O, dzień dobry, pani Sander – przywitała się. Jej oczy bez makijażu były czerwone i zapuchnięte. – Henning mówił, że pytała pani o szpital, do którego trafił Alex.

– Tak. Dziękuję za informację. Przy okazji, to mój szef, Oliver von Bodenstein. – Pia postanowiła, że przy najbliższej okazji poprosi Henninga o nieprzekazywanie takich próśb osobom trzecim. – Wie pani, co się stało panu Rothowi?

– Tylko bardzo ogólnie. Wiem, że ponoć przewrócił się na rowerze. – Agentka zamaszystym gestem poprawiła włosy. Była wyraźnie wzburzona. – Byłam dzisiaj w Kolonii u jednej z moich autorek i jadłam właśnie lunch, kiedy zadzwoniła Doro i powiedziała, że Alex miał wypadek i leży w śpiączce.

– Doro? Kto to? – zapytała Pia.

– Dorothea Winterscheid-Fink – wyjaśniła Maria Hauschild. – Szefowa działu handlowego wydawnictwa i córka Henriego i Margarethe Winterscheidów. Po jej telefonie wróciłam jak najszybciej.

– Dlaczego?

– Dlaczego?! – Maria z niedowierzaniem powtórzyła pytanie. – Bo jesteśmy starymi przyjaciółmi! A przyjaciele sobie pomagają i się wspierają. A już szczególnie po tym, co się stało z Heike. Wciąż nie mogę uwierzyć, że ona... że ona nie żyje. Przyjaźniłyśmy się blisko w zasadzie od dzieciństwa.

Zanim Pia zdążyła cokolwiek powiedzieć, do rozmowy włączył się Bodenstein.

– Proszę przyjąć moje kondolencje – zaczął ze współczuciem. – To musi być dla pani bardzo trudny czas.

– Dziękuję. Tak, jest trudno. Nie mieści mi się w głowie, że już jej z nami nie ma. A najbardziej boli mnie to, że po raz ostatni rozstałyśmy się w kłótni. – Maria Hauschild ponownie przeczesła włosy palcami; tym razem jednak jej gest był raczej wyrazem kokieterii niż potrzeby. Niemal przyssała się spojrzeniem do twarzy Bodensteina: Pia nigdy nie potrafiła w pełni zrozumieć tego fenomenu, który często obserwowwała. Kobiety, niezależnie od wieku, na jej szefa reagowały prawdziwą fascynacją. Bodenstein nie był może tak hollywoodzko przystojny jak Cem, jednak to nie znaczyło, że nie był atrakcyjnym mężczyzną, a wiek tylko

dodawał mu uroku. Gęste, ciemne włosy, przyprószone na skroniach siwizną i zmarszczki mimiczne wokół brązowych oczu w połączeniu ze szlacheckim nazwiskiem i doskonałymi manierami – dzięki temu wszystkiemu ludzie często zapominali, kim jest i dlaczego w ogóle chciał z nimi rozmawiać. Pia często zazdrościła swojemu szefowi tej cechy, bo kiedy ona prowadziła rozmowy z podejrzanymi czy świadkami, czuła się, jakby na czole miała wytatuowane słowo POLICJA.

Agentka Henninga przechyliła lekko głowę.

– Kogoś mi pan przypomina – powiedziała do Bodensteina. Pia była już w duchu przygotowana na wzruszającą historyjkę z gatunku „przypomina mi pan starego przyjaciela”, ale tym razem zdarzyło się coś zaskakującego.

– No tak, już wiem! – Maria Hauschild spojrzała na niego radośnie. – Wygląda pan trochę jak Tim Bergmann, no wie pan, ten aktor.

– Doprawdy? Co za miły komplement! – Bodenstein, mistrz zdobywania przychylności rozmówców, uśmiechnął się szarmancko i zrobił minę, którą Pia z lekką kpina nazywała „arystokratycznym spojrzeniem”. Brakowało chyba tylko, żeby zgiął się wpół, ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek. – Jeśli nie ma pani nic przeciwko, chętnie udalibyśmy się z panią na górę.

– Oczywiście, zapraszam – odparła agentka. – Wszyscy już są na miejscu, cała paczka. Chętnie państwa przedstawię, panie von Buchwaldt.

– Bodenstein – poprawiła ją Pia.

– No tak, oczywiście, przepraszam, jeśli pana uraziłam. – Maria Hauschild roześmiała się niespodziewanie. Żaloba po śmierci zamordowanej przyjaciółki zdawała się chwilowo należeć do przeszłości. – Z profesorem Kirchhoffem tak często i intensywnie dyskutujemy o fabule jego powieści i charakterystyce postaci, że czasem zapominam rozgraniczyć fikcję i rzeczywistość, szczególnie w chwilach, kiedy spotykam pierwowzory bohaterów.

– Proszę mi wierzyć, że to żaden problem. Wręcz przeciwnie, to dla nas wielki zaszczyt, że możemy wystąpić w książce. – Bodenstein puścił ukradkiem oko do Pii, na co ona z rozbawieniem potrząsnęła głową.

Winda zatrzymała się na parterze i rozsunęły się drzwi. Bodenstein przepuścił przodem agentkę i Pię.

– Kiedy zadzwonił do mnie Josef i powiedział, że znaleziono ciało Heike, nie mogłam z początku w to uwierzyć. – Maria Hauschild znów oddała się rozpacz. – Jak człowiek zna się z kimś od tak dawna, nie jest w stanie pojąć, że tej drugiej osoby już nie ma. A potem jeszcze dotarła do mnie wiadomość o wypadku Alexa. To wszystko jest naprawdę straszne.

– Wie pani może, dlaczego pan Roth wrócił do picia, mimo że przez wiele lat zachowywał abstynencję? – zainteresowała się Pia.

– Pewności mieć oczywiście nie mogę i nie wiem konkretnie, dlaczego znów zaczął zaglądać do kieliszka – zaczęła agentka. – Ale wiem na pewno, że Heike wywierała na niego ogromną presję. Koniecznie chciała go pozyskać do pracy w swoim wydawnictwie. A jak ona wbije sobie coś do głowy, zrobi wszystko, żeby to osiągnąć. Mogę się tylko domyślać, że Alex czuł się strasznie rozdarty, kiedy Carl zaproponował mu stanowisko redaktora prowadzącego. Niektórzy ludzie nie radzą sobie ze stresem i presją równie dobrze jak inni.

– Jak kto? Pani na przykład? – zapytała Pia.

Maria Hauschild popatrzyła na nią i się zamyśliła.

– Hm, tak, chyba dość dobrze radzę sobie z presją. Ale to nie przyszło samo z siebie, musiałam się tego nauczyć – odparła. – Nie jest łatwo podejmować trudne i niepopularne decyzje, szczególnie wobec ludzi, których się lubi. Kto jak kto, ale wy musicie znać to z autopsji.

Oj! – pomyślała Pia. Jeden zero dla agentki.

– Wykonując taki zawód, oboje państwo musicie działać pod ogromną presją – dodała Maria pospiesznie, by złagodzić nieco wydźwięk swojego poprzedniego komentarza. Mimo to Pia dobrze zrozumiała, co – a raczej przede wszystkim kogo – agentka miała na myśli.

– W naszej pracy rzadko mamy do czynienia z ludźmi, których lubimy – odpowiedziała.

– Od czasu do czasu jednak ma to miejsce. Jakkolwiek by było, swojego męża poznała pani przecież w trakcie wykonywania obowiązków służbowych, w czasie dochodzenia w sprawie morderstwa w zoo fundacji Opla, prawda? – zripostowała Maria Hauschild. – I zakochała się w nim pani, mimo że szef długo uważał go za głównego podejrzanego.

– Chyba poproszę Henninga, żeby konstruuując postaci, częściej korzystał z wyobraźni – mruknęła Pia oschle. – Zdradza wszystkie moje tajemnice.

Winda zatrzymała się na drugim piętrze, a kiedy drzwi się rozsunęły, wysiedli i razem udali się na oddział intensywnej terapii. W poczekalni natknęli się na grupę milczących odwiedzających. Poza jedną starszą panią, która z plecami prostymi jak świeca siedziała na miętowozielonym plastikowym krześle, wszyscy pozostali – dwóch mężczyzn i pięć kobiet – pracowicie sprawdzało coś w telefonach. Ku zaskoczeniu Pii, wśród gości dostrzegła Carla Winterscheida. Szybko jednak uświadomiła sobie, że przyszedł tu przecież dla Alexandra Rotha, a nie Heike Wersch.

– Maria! Nareszcie jesteś! – Starsza kobieta wstała z krzesła i ze smutnym uśmiechem otworzyła ramiona. Agentka objęła ją i serdecznie przytuliła.

– Margarethe! Przyjechałam najszybciej, jak mogłam! – zapewniła ją. – Jak on się czuje? Macie jakieś wieści?

– Paula jeszcze nie skończyła rozmawiać z lekarzami – odparła kobieta o czarnych, krótko ściętych włosach, w okularach z jaskrawoniebieskimi kanciastymi oprawkami. – Ale ponoć nie wygląda to dobrze.

– O Boże... – Agentka przywitała się z wysoką blondynką, która pocałowała ją w oba policzki. – To straszne, naprawdę straszne!

Bodenstein i Pia zatrzymali się dyskretnie przy drzwiach i przyglądali się, jak agentka Henninga wita się z pozostałymi obecnymi. Wszyscy byli przygnębieni i poruszeni, i jeśli coś mówili, to tylko szeptem, jakby byli na pogrzebie. Starsza kobieta porwała Marię Hauschild tylko dla siebie, pociągnęła w stronę krzesła obok swojego miejsca i ściskając w obu dłoniach dłoń agentki, szeptała jej coś na ucho. Maria Hauschild spojrzała przepaszająco w stronę Pii i Olivera. Dopiero po chwili w ich stronę ruszył Carl Winterscheid. Jego również Maria przywitała wcześniej uściskiem, co policjantkę nieco zaskoczyło.

– Maria jest moją matką chrzestną – wyjaśnił wydawca, po czym przedstawił wszystkich w pomieszczeniu. Starszą kobietą o siwych włosach była Margarethe Winterscheid, jego ciotka i żona wuja, a jednocześnie poprzednika na stanowisku szefa wydawnictwa, Henriego Winterscheida, który z powodów zdrowotnych nie mógł osobiście pojawić się w szpitalu. Żwawą brunetką w niebieskich oprawkach okularów okazała się jego kuzynka, Dorothea Winterscheid-Fink, a towarzyszył jej

mąż, drugi z mężczyzn w pomieszczeniu, Stefan Fink. Obsypaną piegami blondynką okazała się właścicielka księgarni, Josefin Lintner, a dwie młode kobiety, które siedziały zapłakane na ławce i wyglądały jak kupki nieszczęścia, były córkami Alexandra Rotha. Ledwie Carl skończył przedstawiać zebranych, a z cichym sykiem otworzyły się drzwi z mlecznego szkła, prowadzące na oddział intensywnej terapii. Do poczekalni weszła wysoka kobieta. Chuda jak szczapa szatynka o długich do ramion włosach wyglądała jednocześnie elegancko i zachowawczo w szarym damskim garniturze i z jedwabnym szalem na szyi. Jej widok sprawił, że umilkły prowadzone szeptem rozmowy i wszystkie spojrzenia powędrowały w jej stronę. Ona jednak zwróciła się tylko do Carla Winterscheida.

– Alexander jest w śpiączce i jest podłączony do aparatury podtrzymującej oddech – powiedziała cicho. – Upadając z roweru, odniósł bardzo poważne uszkodzenia twarzy i złamania. Lekarze na razie nie chcą mówić o szansach na wybudzenie. Twierdzą jedynie, że najbliższe dwie doby będą decydujące.

Jedna z młodych kobiet zaczęła szlochać, na co druga pocieszająco objęła ją ramieniem.

Była to zatem Paula Domski, żona Alexandra Rotha i dziennikarka telewizyjna, z którą Heike Wersch przez całe lata prowadziła program o książkach, i przy okazji dawna koleżanka Cosimy von Bodenstein, o czym Pia dowiedziała się po drodze od szefa. W ten sposób nazwiska, które Kai wynotował na tablicy w sali odpraw, zyskały konkretne twarze. Pia, dzięki swojej ogromnej intuicji i znajomości ludzi, wyraźnie wyczuwała napięcie panujące między zebranymi. Szybko zwróciła uwagę na to, że Maria Hauschild, Stefan Fink i Josefin Lintner – świadomie lub nie – trzymali się w pobliżu Margarethe Winterscheid, natomiast córki Alexandra Rotha i Carl Winterscheid dystansowali się od nich. Rolę mediatorki między dwoma obozami wzięła na siebie Dorothea Winterscheid-Fink.

– Och, Paulo! Tak strasznie mi przykro! – Ciszę pierwsza przerwała szefowa działu handlowego. – Biedny Alex! Wybudzi się z tego, prawda?

– Nie wiem, nic nie jest przesądzone – odparła zapytana chłodnym tonem. – Carl, byłabym zobowiązana, gdybyś zechciał tu z nim zostać. – Przesunęła wzrokiem po pozostałych w poczekalni. – A wam dziękuję za przybycie. Alex na pewno się ucieszy, kiedy się o tym dowie. W tej chwili nie możecie mu jednak pomóc. Dlatego prosiłabym, żebyście stąd poszli.

– Alexander jest dla mnie niczym syn. – Na jej słowa mocnym głosem zareagowała Margarethe Winterscheid. – Nigdzie się stąd nie ruszę. Jestem mu to winna.

– Ja również zostanę – dołączyła do niej Maria Hauschild.

– My oczywiście też poczekamy – zadeklarował Stefan Fink w imieniu swoim oraz żony, zaś Dorothea Winterscheid-Fink potwierdziła jego słowa energicznym skinieniem głowy. Reakcje zebranych bardzo wiele mówiły o hierarchii wewnątrz grupy. Nikt nawet nie próbował sprzeciwić się autorytetowi Margarethe Winterscheid i jeśli ona chciała zostać, nikt nie mógł wyjść.

– Róbcie, co chcecie. – Paula Domski wzruszyła ramionami i nawet nie próbowała zamaskować pogardy w tonie głosu. – Zdanie innych i tak was nigdy nie obchodziło. Tylko niech wam się nie wydaje, że w ten sposób możecie cokolwiek naprawić. To wy jesteście winni, że Alex wrócił do picia. Nigdy wam tego nie zapomnę i nie wybaczę. Idźcie wszyscy do diabła!

Gestem dłoni przywołała obie córki, po czym odwróciła się i ruszyła do wyjścia. Poza Carlem Winterscheidem, którego przemowa Pauli Domski wprowadziła w konsternację, nikt nie zareagował na jej zarzuty. Wyglądało na to, że żadne z nich z nie brało jej słów poważnie.

Córki Alexandra Rotha ruszyły za matką, a za nimi z poczekalni wyszli Pia i Oliver. Paula Domski odeszła kilka kroków korytarzem i się zatrzymała. Z ramionami splecionymi na piersi mówiła coś półgłosem do córek.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zaczął Bodenstein, zwracając się do dziennikarki.

– Słucham. – Kobieta spojrzała na niego zniecierpliwiona, by w następnej chwili uświadomić sobie, że dopiero co widziała go w poczekalni. – Jest mi przykro z powodu wypowiedzianych słów. Pan również ma kogoś na intensywnej terapii?

– Nie, jesteśmy z policji – wyjaśnił Bodenstein bardzo uprzejmie. – Czy znalazłaby pani chwilę, by zamienić z nami parę słów?

– Policja? – Paula Domski zamrugnęła zaskoczona. – Tak... to znaczy... tak, oczywiście, że znajdę czas.

Bodenstein zaproponował, by rozmowę dokończyć na zewnątrz, na co Paula Domski natychmiast przystała. Możliwość oddalenia się od niewzruszonego towarzystwa w poczekalni wyraźnie przyniosła jej ulgę.

– Poczekajcie na mnie, proszę. Zaraz wracam – zwróciła się do córek. W drodze na parter Pia i Oliver dowiedzieli się o wynikach badania krwi Alexandra Rotha, który w chwili przyjęcia do szpitala był pod wpływem alkoholu, co prawdopodobnie przyczyniło się do jego upadku z roweru. Ponieważ nie miał w zwyczaju używania kasku, poza kilkoma złamaniami odniósł również poważne obrażenia twarzy.

– Gdyby ktoś go wcześniej znalazł, rokowania byłyby znacznie lepsze. Ale wszystko wskazuje na to, że przez kilka godzin musiał leżeć nieprzytomny w rowie przy drodze, zanim zauważył go kierowca autobusu i wezwał pogotowie. – Kobieta sprawiała wrażenie zaskakująco opanowanej, jednak może po prostu potrafiła doskonale kontrolować swoje emocje. – Tomografia komputerowa nie wykazała uszkodzeń mózgu. Mimo to lekarze nie dają mu dużych szans na wybudzenie. Jego mózg praktycznie przestał działać.

Bodenstein wyprowadził ją przez obrotowe drzwi na zewnątrz i skierował się w stronę ławki pod lipą. Paula i Oliver usiedli, Pia stanęła obok.

– Wczoraj po południu złożyliśmy ze współpracownikiem wizytę w wydawnictwie i przy okazji rozmawialiśmy z pani mężem – zaczęła policjantka i nie była zaskoczona, widząc po minie żony Alexandra Rotha, że nie miała o tym pojęcia. – Zgodnie z tym, co powiedział, w poniedziałek wieczorem pojechał odwiedzić Heike Wersch. Miał ją prosić, żeby we wtorek wieczorem nie brała udziału w pani programie.

– No to udało mu się ją przekonać. – Paula Domski prychnęła, ale bez cienia wesołości. – Nie pojawiła się, mimo że ta cała sprawa to był jej pomysł.

– Jaka cała sprawa? – zapytała Pia.

– Heike chciała rozjechać Carla na żywo, na oczach publiczności – wyznała dziennikarka. – Nie mogła się doczekać, by zemścić się na nim za to, że jej zdaniem niesprawiedliwie ją potraktował. Mój producent był zachwycony pomysłem. Od kiedy Heike odeszła z *Paula czyta*, oglądalność leciała nam na łeb na szyję. W tej chwili mamy około jednego procenta i jesteśmy na czarnej liście nadawcy. Dlatego liczone po cichu na drobny skandal i wzrost oglądalności. Tymczasem ona zostawiła nas na lodzie. Nawet nie dała znać, że nie przyjdzie. Dzwoniłam do niej jak głupia, ale ani nie odbierała, ani nie odpisywała na esemesy.

– W tamtym czasie najpewniej już nie żyła – zauważyła Pia. – Dzisiaj rano znaleźliśmy jej ciało.

– Tak, niedawno dotarła do mnie ta informacja. Paskudna sprawa. – Paula Domski potaknęła, choć nie okazała wielkiego poruszenia. Czy troska o męża przyćmiewała żalobę po dawnej współpracownicy, czy może nie interesował jej los, jaki spotkał Heike Wersch? Wcześniej, w poczekalni, rozmawiała jedynie z Carlem Winterscheidem. Co więcej, jego jedyne poprosiła o pozostanie, a jednocześnie parę dni wcześniej, we wtorek, interesowała ją jedynie oglądalność i była gotowa wystawić tego człowieka w programie na żywo.

– Dobrze znała pani Heike Wersch, prawda? – zapytała Pia. – Dość długo współpracowałyście?

– Tak, dość długo. – Paula Domski skinęła głową. – Byłyśmy zgranym zespołem. Nie określiłabym naszej relacji jako przyjacielskiej, ale zawsze panowały między nami zdrowe, koleżeńskie stosunki. Żałuję, że nie jestem wstrząśnięta ani nie współczuję jej przesadnie, ale nie potrafię. Zbyt wielkie zostawiła po sobie zniszczenia.

– Od kogo dowiedziała się pani o śmierci pani Wersch? – zapytał Bodenstein.

– Od Odwiecznych. – Żona Alexandra Rotha ruchem głowy wskazała na budynek szpitala, a w tonie jej głosu słychać było sarkazm. – Tak nazywam dawnych znajomych mojego męża. Odwieczni przyjaciele. Bo znają się przez całe życie. Od zawsze w zasadzie.

– Rozumiem.

– Pani mąż wspomniał o konflikcie z panią Wersch – drażyla Pia. – Twierdził, że miała do niego wielki żal o przyjęcie stanowiska redaktora prowadzącego, bo ponoć przez to właśnie nie chciał odejść z nią z wydawnictwa.

– Alexander jak mało kto zasłużył sobie na ten awans. A Heike ciężko pracowała, żeby po restrukturyzacji wydawnictwa nikt nawet przez chwilę nie brał pod uwagę powierzenia jej tego stanowiska – zaprzeczyła Paula Domski z naciskiem. – Od pierwszego dnia kontestowała nowy zarząd firmy i siała ferment, gdzie się tylko dało. O tak, w tym była naprawdę dobra. Kiedy się okazało, że nic tym nie wskóra i żadne inne wydawnictwo nie jest zainteresowane zatrudnieniem jej, wpadła na pomysł, żeby założyć własne. Była święcie przekonana, że jej autorzy i współpracownicy gremialnie za nią ruszą, ale szybko przyszło gorzkie

rozczarowanie i dotarło do niej, że nikt jej w zasadzie nie lubi. Zawsze uważała, że wszystko wie najlepiej i nikt jej nie dorównuje, a ludzi dookoła traktowała jak skończonych idiotów i beztalencja. Nigdy się z tym zresztą nie kryła. W wydawnictwie wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy w końcu zniknęła. Jestem przekonana, że nikt jej nie żałował.

– Mimo wszystko miałam wrażenie, że pani mąż nie odczuwał radości z awansu – zauważyła Pia.

– Wręcz przeciwnie. Myślę, że jest bardzo szczęśliwy – stwierdziła Paula Domski. – Tyle że pewne okoliczności bardzo mu to utrudniają – przerwała, a kiedy po chwili zaczęła kontynuować, w jej głosie słychać było powściągliwość, jakby starała się, by nie powiedzieć za dużo. – Jesteśmy małżeństwem od dwudziestu pięciu lat. Mamy dwie cudowne córki, oboje odnosimy sukcesy zawodowe i we wszystkim zawsze się wspieraliśmy. W zasadzie spełnialiśmy wszystkie warunki, żeby prowadzić szczęśliwe i satysfakcjonujące życie. Tyle że Odwieczni i wydawnictwo zawsze byli dla mojego męża ważniejsi niż rodzina. Sami widzieliście, jak to wygląda. To zamknięta, hermetyczna grupka. Ja zawsze byłam poza nią. Historyjki z przeszłości, wspólne wspomnienia i jakieś nawiązania czy aluzje, z których zawsze się śmieją, dla mnie są do dzisiaj niezrozumiałe.

– Co miała pani na myśli, mówiąc, że grono przyjaciół pani męża ponosi odpowiedzialność za jego powrót do nałogu? – zapytała Pia.

– To są jego przyjaciele i przyjaciółki. Wszyscy doskonale wiedzą, że jest niepijącym alkoholikiem. Powinni byli wspierać go w niepicciu, zamiast tak długo wywierać presję, aż sam sięgnął po butelkę – wyjaśniła Paula Domski z gorzkim uśmiechem. – Od niemal siedemnastu lat udawało mu się zachować abstynencję. Ale przed kilkoma miesiącami, krótko po tym, jak Carl zaproponował mu awans na redaktora prowadzącego, musiałam jechać w środku nocy odebrać go z izby wytrzeźwień we Frankfurcie. Policja zgarnęła go w pobliżu dworca, w sztok pijanego i kompletnie zdezorientowanego. Następnego dnia był zdruzgotany. Zalewał się łzami i przysięgał mi na wszystko, że nigdy już nie sięgnie po alkohol. Jak już wicie, nie udało mu się dotrzymać obietnicy – przerwała i zamilkła na chwilę. – Dawniej pił towarzysko. Ale też wtedy w wydawnictwie każdego wieczoru odbywały się libacje i pito przy wszystkich możliwych okazjach, a on bezustannie musiał brać w nich udział. Tym razem miałam jednak wrażenie, że za

jego powrotem do alkoholu stoi coś zupełnie innego. Od kilku tygodni był inny. Zmienił się bardzo. Ale ilekroć próbowałam z nim o tym rozmawiać, zamykał się i zmieniał temat.

Paula Domski odchrząknęła i usiadła prosto.

– Przed kilkoma dniami, nie wiem, to chyba był przedostatni wtorek albo środa, mój mąż wrócił do domu w stanie kompletnego upojenia. Było późno i leżałam już w łóżku. Nie przychodził na górę, więc zeszłam sprawdzić, co się dzieje. Znalazłam go w garażu. Był w takim stanie, że nie mógł wstać. – Na jej twarzy widać było walkę, którą z sobą toczyła, bo wyraźnie nie chciała mówić o słabościach swojego męża. – Nie mam pojęcia, jak tak pijanemu udało mu się wrócić rowerem z Frankfurtu do Liederbach. Zagroziłam mu wyrzuceniem z domu, jeśli natychmiast nie przestanie pić. Wtedy się rozplakał. Powiedział, jak okropnie się boi, że ktoś się dowie, że jest niegodny i że całe jego życie i kariera zbudowane są na kłamstwie.

– Domyśla się pani, o co mu mogło chodzić? – Bodenstein spojrzał na nią uważnie.

– Nie, nie mam pojęcia. Ale nie chciał mi niczego więcej powiedzieć. – Głos Pauli Domski brzmiał głucho. – A teraz pewnie umiera. Albo jego mózg już nigdy nie odzyska sprawności. I nigdy się nie dowiem, co go tak strasznie dręczyło. Mam wrażenie, że w ogóle go nie znałam.

*

– To musi być naprawdę podłe uczucie, kiedy ktoś się dowiaduje, że człowiek, z którym spędziło się pół życia, ma przed tobą tajemnice i w zasadzie nic o nim nie wiesz – westchnęła Pia, kiedy Paula Domski zniknęła w wejściu do szpitala.

– Jest zgorzkniała i zazdrosna o dawnych przyjaciół męża – odparł Bodenstein.

– Dziwisz się? Bo ja nie. – Pia westchnęła. – Odwieczni. Zamknięty krąg, do którego odmówiono jej wstępu. Dość trafnie ich opisała.

– Może to ona zabiła Heike Wersch – zasugerował Bodenstein. – Mogła pojechać do niej i zapytać, co oznaczały słowa jej pijanego męża.

– A kiedy Heike Wersch milczała albo mówiła nie to, co Paula Domski chciała usłyszeć, ta rzuciła się na nią i ją zamordowała? – Pia potrząsnęła głową.

– Moim zdaniem to całkiem możliwe – stwierdził Oliver.

– Mnie chodzi raczej o to, że nie potrafię sobie jej wyobrazić, jak rzuca się na tę całą Wersch i raz za razem uderza ją czymś twardym, aż cała kuchnia spływa krwią i kawałkami mózgu, a na koniec pakuje ją do bagażnika, wywozi do lasu i sprząta ślady.

– Ona za maską opanowania i rozsądku ukrywa wulkan emocji – stwierdził Bodenstein. – Wszystkiego można się spodziewać, kiedy w końcu ujście znajduje tłumiona przez dwadzieścia pięć lat frustracja wymieszana z żalem i pretensjami. Zazwyczaj jest tak, że ci, którzy najlepiej się kontrolują i sprawiają wrażenie opanowanych, noszą w sobie największą zadrę.

– No dobrze, w takim razie musimy sprawdzić, czy ma alibi na poniedziałkowy wieczór. I trzeba pobrać jej odciski palców i próbki DNA. Ale może nie od razu tutaj, w szpitalu, i na pewno nie na oczach pozostałych. – Pia przyglądała się, jak przez obrotowe drzwi wychodzą blond księgarka, Stefan Fink i kobieta o podwójnym nazwisku, a potem kierują się w stronę kącika dla palaczy. Małżeństwo Finków zapaliło papierosy, a blondynka pożegnała się pocałunkami w oba policzki i ruszyła na parking.

– Chodź, to dobra okazja, żeby zamienić z nimi kilka słów na osobności. A jak skończymy, powinniśmy po raz kolejny porozmawiać z Carlem Winterscheidem – zaproponowała Pia. – Facet zna wszystkich Odwiecznych, a mimo to nie należy do ich kręgu. Nie zdziwiłabym się, gdyby coś wiedział i nie miał pojęcia, że to ważne.

– Świetny plan. Paula Domski na pewno nam nie ucieknie – pochwalił ją szef, po czym dyskretnie zerknął na zegarek.

– Mogę sama się tym zająć, żaden problem – zapewniła go Pia. – Idź i kup sobie jakieś świeże ciuchy, zanim pozamykają sklepy.

Bodenstein skorzystał z rady i wrócił do samochodu służbowego, a Pia podeszła do Stefana Finka i jego żony i się przedstawiła. Wcześniej męża kuzynki Carla Winterscheida widziała tylko raz, w poczekalni, jak siedział na krześle, więc była zaskoczona, jaki jest wysoki i barczysty. Z twarzą kanciastą, jakby została wyciosana z jednego bloku granitu, jasnobłękitnymi oczyma, blond rzęsami i brwiami, przypominał jej starzejącego się wodza wikingów. Podobnie jak jego żona był bardzo przybity i smutny, co w obliczu wydarzeń w kręgu jego najbliższych znajomych nie mogło nikogo dziwić.

– Pani była wczoraj u nas w wydawnictwie, prawda? – zapytała Dorothea Winterscheid-Fink i zdusiła niedopałek papierosa o metalowy rant popielniczki. Nie miała na twarzy grama makijażu, a postrzępiona fryzura i lekko zadarty nos sprawiały, że przy potężnym mężu wyglądała wręcz dziewczęco.

– Tak – potwierdziła Pia. – Przyjechałam ze współpracownikiem, żeby porozmawiać z panem Winterscheidem, a potem z panem Rothem. Chodziło o Heike Wersch.

– Stała się rzecz straszna, naprawdę. – Stefan Fink przesunął dłonią po szaroblond włosach sięgających aż do kołnierzyka koszuli. – Żadne z nas nie może otrząsnąć się z szoku.

– Doskonale pana rozumiem. – Policjantka potaknęła. – To musi być dla państwa tym trudniejsze, że znaliście się z panią Wersch od bardzo wielu lat.

– Razem chodziliśmy do szkoły – potwierdził Stefan Fink. – Z Heike byliśmy z tego samego rocznika, ja, Josefin, Maria, Alexander i Götz, starszy brat mojej żony, który też już niestety nie żyje.

Dorothea Winterscheid-Fink była dwa lata młodsza od męża, który zaraz po studiach przejął kierowanie dużą drukarnią, należącą do jego rodziców. Małżonków łączyły więc również więzi biznesowe, gdyż wydawnictwo Winterscheid od ponad pięćdziesięciu lat było jednym z ważniejszych klientów drukarni Fink.

– To naprawdę niespotykane, żeby szkolne przyjaźnie przetrwały próbę czasu. – Pia uśmiechnęła się i pokręciła głową. – Ja już dawno temu straciłam kontakt ze zdecydowaną większością ludzi z mojej klasy.

– Może to wynika z tego, że wszyscy trafiliśmy do branży wydawniczej – odpowiedział Stefan Fink. – Wbrew pozorom, ona wcale nie jest taka liczna, jakby się wydawało, więc nasze drogi i tak się ciągle krzyżowały. Nie jesteśmy oczywiście tak blisko zaprzyjaźnieni jak dawniej, ale staramy się co jakiś czas robić coś razem. Przez całe lata chodziliśmy z Alexem na tenisa, aż do chwili, gdy nasze kolana zaczęły strajkować i musieliśmy odstawić rakiety do szafy. Z Josi, jej mężem i moją żoną regularnie gramy w doppelkopfa. Heike i Maria jeszcze dwa czy trzy lata temu miały wykupiony ten sam abonament co my do Starej Opery.

Uśmiechnął się smutno.

– Staramy się razem świętować, razem pracujemy i wspieramy się, kiedy jest taka potrzeba albo ktoś ma problem – potwierdziła Dorothea. – Z tego właśnie powodu wszyscy jesteśmy dzisiaj przy Alexandrze.

– To naprawdę piękny gest – potaknęła Pia i zdecydowała się na drobną prowokację. – Pani Domski będzie pewnie bardzo wdzięczna za wsparcie dla jej męża.

– No nie, nie będzie, niestety – westchnęła Dorothea Winterscheid-Fink. – Paula od zawsze była zazdrosna o to, że znamy Alexa dłużej niż ona. Próbowaliśmy wszystkiego, żeby wciągnąć ją do naszego grona, ale jej zupełnie na tym nie zależało. Przy każdej okazji dawała nam to wyraźnie do zrozumienia. Ale dzisiaj nie przyjechaliśmy tu dla niej, tylko dla Alexa, naszego przyjaciela. Nie obchodzi nas, co Paula uważa na temat naszej obecności. To ona ponosi winę za to, że jej mąż wrócił do picia. Nigdy nic jej nie pasowało. Alex w żaden sposób nie mógł jej dogodzić i ciągle tylko słyszał narzekanie, że coś jest nie tak. Kto by coś takiego wytrzymał?

Jej wersja brzmiała skrajnie odmiennie niż to, co twierdziła Paula Domski, a Pia uznała to za kolejny dowód, że koniecznie trzeba poznać punkt widzenia obu stron, zanim zacznie się oceniać.

– A co mogliby mi państwo powiedzieć o Heike Wersch? – zapytała. – W ostatnich miesiącach była źródłem wielu kłopotów dla wydawnictwa, prawda? Nie mieliście jej tego za złe?

– Żeby pani wiedziała! Mieliśmy! I to bardzo! – odpowiedziała Dorothea z naciskiem. – Z Carlem i pozostałymi od półtora roku urabiamy sobie ręce po łokcie, żeby uratować wydawnictwo po tym, jak Heike z moim ojcem przez swój ośli upór niemal doprowadzili je do bankructwa! Sama kilka razy sugerowałam jej odejście z pracy, skoro nie potrafiła pogodzić się z restrukturyzacją i nowym profilem wydawniczym, bo nie dało się wytrzymać jej ciągłego knucia i psucia atmosfery w firmie. Ale ona w swoim przerośniętym egocentryzmie uważała, że z jej odejściem wydawnictwo straciłoby swój charakter! – Przerwała na chwilę, a w jej oczach pojawiła się podejrzliwość. – Wiem, że to, co mówię, może świadczyć o niechęci do niej. Ale to nie było tak, że jej nie lubiłam. Tylko że Heike była najbardziej upartą osobą na świecie. Nie znam nikogo bardziej upartego, a jej postępowanie kosztowało mnie ostatnio masę nerwów.

Dorothea Winterscheid-Fink grała swoją rolę, choć nie robiła tego przekonująco. To, co mówiła i każdy jej gest miały w sobie niepotrzebną przesadę. Czy to świadczyło o wyrzutach sumienia? A może coś starała się ukryć? Pia przyglądała jej się uważnie. Czasem łzy w oczach nie świadczą o żalobie i smutku, tylko są wyrazem uzalania się nad sobą lub strachu przed odkryciem jakiejś tajemnicy.

– Chciała założyć własne wydawnictwo – podsunęła Pia.

– Tak, miała takie plany. – Twarz Dorothei Winterscheid-Fink przez chwilę wyrażała poruszenie. Trudno było powiedzieć, ile było w tym szczerości, a ile gry, jednak kobieta szybko zapanowała nad emocjami. – Do spółki z moim ojcem i Alexem. Maria i Josef też o wszystkim wiedzieli, tylko mi nic nie powiedziała. Domyślałam się, że się bała, że powiedziałabym zaraz Carlowi. I słusznie. Bo tak bym właśnie zrobiła.

Carl Winterscheid i tak się dowiedział o zamiarach Heike Wersch i wyrzucił ją z pracy. Pia przypomniała sobie, jak poprzedniego dnia wzbraniał się, by nie zdradzić tożsamości osoby, od której o wszystkim się dowiedział.

– Zrobiłaby pani, czy pani zrobiła? – Pia nie dawała za wygraną.

– Zrobiłabym! – odparła Dorothea Winterscheid-Fink z naciskiem. – Zrobiłabym, tylko że to Carl mi o wszystkim powiedział.

– Nawet gdyby chciała, i tak byś się do niej nie przyłączyła. – Stefan Fink wyciągnął dłoń i pogłaskał żonę po ramieniu.

– To prawda – potaknęła kobieta. – Mimo to byłam na nią strasznie zła. Przede wszystkim dlatego, że zależało jej tylko na pieniądzach i nazwisku mojego ojca. Moim zdaniem to po prostu podłe i niegodne, szczególnie po wszystkim, co dla niej zrobił. Doskonale wiedziała, że nie będzie w stanie budować od podstaw nowego wydawnictwa i jeszcze nim potem kierować. Wprawdzie on sam dalej uważa siebie za wielkiego Zampano i pomysł Heike połechtął jego próżność, ale na Boga, przecież on nie potrafi się już sam ubrać, nie wspominając nawet o wyjściu gdzieś bez pieluchy! – Dorothea Winterscheid-Fink mówiła to ze smutkiem. – Jesteśmy w każdym razie bardzo z matką szczęśliwe, że z tych planów nic już nie będzie. Dla mojego ojca skończyłoby się to strasznym upokorzeniem, a zupełnie sobie na nie nie zasłużył.

– Plany stworzenia nowego wydawnictwa upadły wraz ze śmiercią Heike Wersch? – dopytywała się Pia. – Czy może i tak już wcześniej je porzuciła?

– No cóż, jeśli mam być szczerą, to nie mam pojęcia. – Dorothea Winterscheid-Fink uświadomiła sobie, jak jej wypowiedź mogła zostać zrozumiana, i uśmiechnęła się zawstydzona. Pia wiedziała jednak z doświadczenia, że kiedy ludzie zapewniają o szczerości, mają zazwyczaj coś zupełnie innego na myśli.

– Czy przypuszczają państwo, kto mógłby chcieć zabić panią Wersch? – zapytała prosto z mostu.

– Od rana łamię sobie głowę, kto to mógł być – westchnęła ciężko Dorothea. – Przez ostatnich kilka miesięcy Heike nadepnęła na odcisk całej masie ludzi. Ale żeby ktoś miał się przez to posunąć do morderstwa? Nie, mimo najszczerzych chęci nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– Hm. Heike była mistrzynią w podżeganiu i szczuciu ludzi przeciwko sobie. – Stefan Fink zapalił kolejnego papierosa. – I do tego ta jej bezlitosna bezpośredniość. Przez te wszystkie lata zebrały się całe pokolenia upokarzanych praktykantek, które cierpiały pod jej kierownictwem, dziesiątki autorów i autorek, którym zniszczyła kariery, obrażani dziennikarze, poniżani krytycy, obrzucani inwektywami współpracownicy, kierowcy taksówek, kelnerzy, śmieciarze, sprzedawczynie i rzesza innych osób, które miały aż nadto powodów, by chcieć skrzyć jej kark.

– To niestety prawda – potaknęła Dorothea Winterscheid-Fink, patrząc na męża. – Do tego Heike miała niesamowity talent znajdowania najbardziej czułego punktu, by uderzyć w przeciwnika.

– Tak nawiasem mówiąc, nas, swoich przyjaciół, również nie oszczędzała – dodał Fink. – Nigdy nie owijała w bawełnę i była boleśnie szczerą. Ale my potrafiliśmy sobie z tym radzić, bo wiedzieliśmy, że jej krytyka nie ma w sobie nic osobistego. Bo w gruncie rzeczy, ona zawsze skupiała się na problemie. Była perfekcjonistką i szybko traciła cierpliwość do ludzi, którzy nie potrafili dotrzymać jej kroku. Umiała być okrutna i nie do wytrzymania, ale przy okazji nie da się przecenić jej poczucia humoru. Do tego rozmowy z nią były bardzo inspirujące. Będzie mi jej brakowało.

Pia miała wątpliwości, czy rzeczywiście potrafił przyjąć ostrą krytykę, nie traktując jej osobiście, szczególnie jeśli ostre sformułowania padały z ust

przyjaciółki. Wiele przyjaźni opiera się na drobnych niedopowiedzeniach czy nieszczerościach, bo gdyby obie strony mówiły sobie czystą prawdę, mało która przyjaźń by przetrwała.

– Żałuję, że nie mogę powiedzieć tego samego. – Dorothea Winterscheid-Fink nie była w stanie ugryźć się w język. – Mnie Heike strasznie działała na nerwy swoimi intrygami i niszczeniem wszystkiego. Oczywiście, że nie życzyłam jej śmierci, ale gdyby chciała przenieść się do Ameryki Południowej i nigdy już nie wracać, pewnie bym za nią nie tęskniła.

Tym razem jej słowa zabrzmiały daleko bardziej szczerze niż to, co przed chwilą powiedział jej mąż.

– Wiedzieli państwo, że pani Wersch zajmowała się chorym na demencję ojcem, który z nią mieszkał? – zapytała Pia.

– Tak, wiedzieliśmy. – Dorothea potaknęła, jednak Pii nie umknęło zaskoczenie w spojrzeniu Stefana, kiedy patrzył na żonę.

– Maria Hauschild nie miała o tym pojęcia – wyjaśniła policjantka. – Alexander Roth również. A przecież również zaliczali się do przyjaciół pani Wersch.

– Nie chwaliła się tym wszem wobec. – Dorothea Winterscheid-Fink wzruszyła lekko ramionami.

– Heike była zawsze bardzo blisko związana z ojcem – dodał jej mąż. – Pewnie dlatego, że bardzo wczesnie straciła matkę i brata. Nigdy nie słyszałem, żeby mówiła o jakiejś innej rodzinie. Od zawsze byli tylko ojciec i ona.

– Czy pani Wersch była kiedyś w jakimś trwałym związku? – zainteresowała się Pia, na co małżeństwo Finków ponownie wymieniło szybkie spojrzenia.

– Była. Jednak nie był to oficjalny związek – wyznała Dorothea. – Przez trzydzieści lat była kochanką mojego ojca. Aż do jego wylewu przed dwoma laty.

*

Pia wyprowadziła Beck'sa do leżącego nieopodal lasu, a po powrocie do domu nałożyła mu jedzenie i udała się do łazienki na piętrze, by po długim i męczącym dniu wziąć porządny prysznic. Tuż przed wylotem z Amsterdamu Christoph wysłał jej wiadomość z emotką serduszka. Jego samolot miał wylądować we Frankfurcie dziesięć minut przed ósmą wieczorem, więc mąż do domu powinien

dotrzeć około dziewiątej. Cieszyła się, że go zobaczy. Mimo że nie miała nic przeciwko kilku dniom samotności co jakiś czas, bez Christopha nie czuła się bezpiecznie, a pusty dom stawał się zwykłym budynkiem. Mimo że byli razem od niemal dwunastu lat, wciąż między nimi iskrzyło i to znacznie mocniej niż u wielu par z ich stażem. Po zakończonym rozwodem małżeństwie z Henningiem Pia nie spodziewała się, że znajdzie jeszcze prawdziwą miłość, i mimo że jej nie szukała, ona pojawiła się zupełnie niespodziewanie. Z Christophem mogła się śmiać, kłócić i godzić; był jej najlepszym przyjacielem, doradcą i powiernikiem, a w jego obecności czuła się lepiej niż przy kimkolwiek innym.

Wróciła do kuchni i wyjęła z lodówki bakłażan i cukinię. Siekając cebulę i czosnek, krojąc warzywa w plasterki, podsmażając wszystko na patelni i wstawiając wodę na makaron, nie mogła przestać myśleć o toczącym się dochodzeniu. Fakty, które udało im się zgromadzić, nijak nie chciały do siebie pasować. Jedno za to wydawało się pewne: po tym, jak Severin Velten zdzielił Heike Wersch w głowę i powalił ją na ziemię, a potem uciekł gdzie pieprz rośnie, ktoś musiał wejść do domu denatki i dokończyć spartaczoną przez pisarza robotę z morderczym zdecydowaniem i pewnością. Zachowanie po dokonaniu morderstwa wskazywało wyraźnie na istnienie osobistego związku między ofiarą a sprawcą. Heike nie była mu obojętna, bo gdyby tak było, zostawiłby ją w kuchni na podłodze. Dlaczego więc po morderstwie włożył tyle wysiłku, by swój brutalny czyn upozorować jako wypadek? Czyżby miał nadzieję, że w lesie nikt nie natknie się na jej zwłoki, albo dopiero za kilka miesięcy czy lat, kiedy z pomocą natury pozostałyby z niej same kości? Ale jeśli tak, to dlaczego nie ukrył zwłok w jakimś mniej dostępnym i bardziej odludnym miejscu? Dlaczego włożył do kieszeni Heike telefon i klucze? Przecież dzisiaj każde dziecko wie, że telefon da się zlokalizować! Zachowanie sprawcy przeczyło wszystkiemu, czego Pia dowiedziała się w trakcie swojej kariery na temat psychologii morderców. W myślach próbowała wyeliminować kilka sprzeczności, lecz zawsze kończyła w tym samym miejscu: to po prostu nie miało sensu.

Nalała sobie kieliszek vinho verde i spojrzała na kuchenne drzwi. Dwadzieścia minut do dziewiątej. Woda na makaron zaczęła się gotować. Dodała sól, odrobinę oliwy z oliwek i wrzuciła makaron, po czym nakryła do stołu w zimowym ogrodzie, którego szklane drzwi były rozsunięte na całą szerokość. Akurat w chwili, kiedy makaron osiągnął twardość *al dente*, Beck's zerwał się z legowiska i machając

ogonem, skoczył do drzwi. W następnej sekundzie rozległ się chrobot klucza w zamku. Pia słyszała, jak Christoph rozmawia z psem. Zaraz potem wszedł do kuchni i z radości serce jej szybciej zabiło.

– Cześć! Już wróciłeś! – Zdjęła patelnię z kuchenki, odstawiła na bok, pocałowała męża i objęła go. – Cieszę się, że jesteś!

– A co z naszą wspaniałą kłótnią? – zażartował Christoph i pogłaskał ją czule po policzku.

– Życie jest za krótkie, żeby się kłócić – odparła Pia.

– Święte słowa – przyznał jej rację.

Po posiłku razem posprząтали kuchnię. Christoph opowiedział o konferencji w Amsterdamie, a Pia mówiła o gotowości swojego szefa, by oddać część wątroby śmiertelnie chorej byłej żonie. Mimo że oboje czuli już zmęczenie, Christoph otworzył kolejną butelkę wina. Tego wieczoru dyżur gotowości mieli Cem i Tarik, dlatego Pia nie musiała się powstrzymywać przed piciem alkoholu. Zapalili świece w świeczniku osłoniętym przed wiatrem i usiedli wygodnie na tarasie. Pia zżuła crocsy, a Christoph masował jej stopy. Przez chwilę milczeli i cieszyli się ciszą, winem, delikatnym wieczornym powietrzem i swoją obecnością. Ptaki zamieszkujące drzewa dookoła już spały. Wokół świec krążyło kilka ciem.

– Co cię dręczy? – zapytał Christoph.

– Staramy się rozwiązać sprawę pewnego morderstwa, do którego doszło tutaj, w Bad Soden, tak na marginesie. Przy Burgbergstrasse, kawałek stąd – wyjaśniła Pia i ziewnęła. – Z początku wszystko wskazywało na typowe zabójstwo w afekcie, ale potem sprawa się znacznie bardziej skomplikowała.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Kiedy sprawa nie była prosta, często pomagało opowiedzenie o niej komuś, kto nie myślał w kategoriach kryminalistycznych. Bywało, że samo ubranie jej w słowa pomagało uporządkować fakty i uwypuklało zależności, których wcześniej nikt nie zauważył.

– Ofiarą jest pięćdziesięciosześcioletnia kobieta – zaczęła Pia. – Czystym zbiegiem okoliczności była to przyjaciółka agentki Henninga i do czasu zwolnienia dyscyplinarnego przed kilkoma miesiącami pracowała w wydawnictwie, w którym ukazała się jego książka. Była też redaktorką Severina

Veltena, bardzo znanego pisarza. Jej ciało znaleźliśmy w lesie, w głębokim wąwozie.

– O rany, po takim wstępie chętnie wysłucham całej historii! – Christoph dolał sobie wina i usiadł wygodniej.

Pia rozpoczęła od spotkania z Marią Hauschild pod domem Heike Wersch, a skończyła na spotkaniu w szpitalu, do którego trafił Alexander Roth. Christoph, wielki fan amerykańskich seriali kryminalnych w rodzaju *True Detective* i *Criminal Minds*, uważnie słuchał jej słów i jedynie rzadko prosił, by coś wyjaśniła.

– To wszystko nie ma po prostu sensu – zakończyła Pia. – Można znaleźć dziesiątki ludzi, którzy byli na nią dość źli, żeby po ostrej kłótni, chcący albo niechcący, ją wykończyć, bo najwyraźniej miała talent do wkurzania innych. Ale przecież jest przepaść między działaniem w afekcie a metodycznym i strasznie brutalnym waleniem kogoś w głowę, by roztrzaskać mu czaszkę. Ten ktoś nie był zły czy urażony. Ten ktoś kierował się zwierzęcą nienawiścią.

– Może po prostu wciąż jeszcze za mało wiecie – zauważył Christoph. – Istnieje możliwość, że to mogło nie mieć żadnego związku z wydawnictwem i będziecie teraz musieli pomyśleć o zupełnie innym kierunku.

– Pewnie masz rację. – Pia ziewnęła szeroko. Oczy same jej się zamykały i miała wrażenie, że nie starczy jej sił, by wejść na piętro, do sypialni. – Jutro sprawdzimy dokładnie jej dom. Może trafimy tam na jakieś zupełnie nowe ślady.

DZIEŃ CZWARTY

Niedziela 9 września 2018

Krótko przed ósmą rano Bodenstein wszedł do pustawej sali restauracyjnej w pałacu, wziął jedną z wyłożonych dla gości gazet i usiadł przy stoliku. Już dwie noce w pięciogwiazdkowym hotelu prowadzonym twardą ręką przez jego bratową wystarczyły, by nauczył się doceniać wiążące się z tym przyjemności. Cieszył się nawet takimi drobiazgami, jak możliwość lektury papierowego wydania gazety, gdyż do niedawna zmuszony był czytać wiadomości na czytniku ze względu na ciężką ponoć alergię na celulozę u rozwydrzonej osiemnastolatki. Niewidzialne dłonie zajęły się w nocy świeżo zakupionymi koszulami, które rano czekały na niego wyprane i idealnie wyprasowane razem z wyczyszczonymi butami, a hotelowe łóżko miało cudownie wygodny, twarde materac, na którym spał długo i głęboko. Postanowił, że nie będzie się spieszył z poszukiwaniem nowego lokalu, tym bardziej że Sophia była wniebowzięta, mogąc w końcu przebywać w prawdziwym gospodarstwie. W pałacu mieszkali jego rodzice i dziadkowie, zanim w latach osiemdziesiątych nie został przebudowany na niewielki hotel z nowo urządzoną restauracją. Bodenstein z rodzeństwem spędzili całe dzieciństwo w utrzymanym w stylu Tudorów pałacyku z 1884 roku, i choć mieszkanie tam miało w sobie sporo arystokratycznego czaru, było też raczej niewygodne.

Od przedwczorajszego wieczoru nie miał żadnego znaku życia od Karoline, za to otrzymał dziesiątki wiadomości od Grety, zarówno tekstowych, jak i głosowych, jak zawsze kiedy przegięła i zachowała się niestosownie. Żadnej z nich nie przeczytał i nie odsłuchał. Nie obchodziło go, co miała mu do powiedzenia. Tym razem posunęła się za daleko i powinna to w końcu zrozumieć. Miła obsługa podała mu do stolika kawę. Bodenstein zamówił omlet z warzywami z porannego menu i czekając na jedzenie, zagłębił się w lekturze gazety. Śmierć Heike Wersch znalazła się na pierwszej stronie niedzielного wydania „FAS”, gdzie zamieszczono

jej czarno-białe zdjęcie i pożegnalny tekst na dwie kolumny, w którym wyliczono jej niezaprzeczalne zasługi dla literatury niemieckojęzycznej. Ani słowa o najświeższym skandalu z Severinem Veltenem, zwolnieniu dyscyplinarnym z pracy czy okolicznościach śmierci – o zmarłych mówi się dobrze albo wcale. Oczywiście nikt nie poinformował też czytelników o tym, że przez całe lata była kochanką Henriego Winterscheida, co stanowiło przecież niesamowicie interesującą okoliczność, o czym dowiedział się dopiero wczoraj wieczorem, kiedy Pia zadzwoniła, by mu to zakomunikować.

Jego telefon zaczął wibrować zaraz po tym, jak skończył jeść omlet i muesli z owocami. Sięgając po komórkę, zauważył karcące spojrzenie starszej kobiety siedzącej przy sąsiednim stoliku. Wstał i wyszedł do lobby, zanim zdążyła go zganić i wyjaśnić, że w sali restauracyjnej obowiązuje ścisły zakaz korzystania z telefonów.

– Dzień dobry – przywitał się z Pią.

– Nie powiedziałabym, że jest dobry – westchnęła jego koleżanka. – Właśnie dostaliśmy wiadomość ze szpitala. W nocy zmarł Alexander Roth, nie odzyskawszy wcześniej przytomności.

– No tak, to rzeczywiście nie jest dobra wiadomość. – Bodenstein skinieniem głowy przywitał recepcjonistkę, która odpowiedziała mu serdecznym uśmiechem. Od dawna nie doświadczył tak pozytywnego rozpoczęcia dnia. – Dobrze, gdzie jesteś?

– W szpitalu. Lekarz prowadzący w akcie zgonu przyczynę śmierci zaklasyfikował jako nienaturalną. Dyżurny prokurator został już poinformowany – ciągnęła Pia półgłosem. – Pani Domski z córkami próbują jeszcze dyskutować z lekarzem, chociaż wyjaśniłam im, czym jest postępowanie w celu ustalenia przyczyny śmierci i dlaczego w takim przypadku prokuratura jest zobowiązana do jego zainicjowania.

Wskazanie nienaturalnej lub nieznannej przyczyny śmierci i związana z tym obecność policji zawsze kończą się szokiem i sprzeciwem najbliższych. W zdecydowanej większości przypadków wiadomość o konieczności przeprowadzenia sekcji wywołuje głęboki wstrząs wśród krewnych denata czy denatki, tym bardziej że nikt nie potrafi jednoznacznie powiedzieć, kiedy prokuratura wyda im zwłoki.

– Poproszę Henninga, żeby możliwie jak najszybciej przeprowadził autopsję – ciągnęła Pia. – Coś mi tu nie gra.

– W porządku. – Bodenstein nie zadawał więcej pytań. Z biegiem lat nauczył się ufać intuicji współpracownicy. – A ja zaraz ruszam.

Oliver wyszedł na zewnątrz, minął taras i udał się na parking, z daleka otwierając pilotem zamek służbowego auta. Wyjeżdżając, spojrzął w prawo, w stronę Ruppertshain, na drugim końcu malowniczej doliny. Cudownie było móc znów tu mieszkać i wstawać rankiem przy akompaniamencie piania kogutów i rżenia dopiero co przebudzonych koni. Może powinien zrobić sobie i Sophii prezent i przeprowadzić się tutaj, do lokalu na terenie majątku, który od kilku miesięcy, a dokładniej od wyjazdu małżeństwa uzdrowicieli, stał pusty. Quentin dopiero wczoraj mu to zaoferował, a czynsz, jakiego oczekiwał, był śmieszny w porównaniu z tym, ile musiałby płacić za czteropokojowe mieszkanie z tarasem w Kelkheim, Königstein czy Bad Soden, gdyby w ogóle cokolwiek tej wielkości dało się znaleźć. Bodenstein nigdy nie radził sobie dobrze z życiem w samotności. Najgorzej znosił brak możliwości dzielenia się z innymi codziennymi sprawami. A w majątku Bodensteinów zawsze było sporo osób, z którymi mógł porozmawiać. Poczynając od rodziców, przez Sophię, aż do Quentina z żoną Marie-Louise i starszą córkę Rosalie z mężem Jeanem-Yvesem. Jadąc przez uformowany z drzew zielony tunel, postanowił, że przy najbliższej okazji przedyskutuje to z Cosimą. I oczywiście z Karoline, dodało szybko jego sumienie, lecz zaraz uświadomił sobie, że jego żona nie ma już wpływu na jego dalsze plany. Nie było sensu się łudzić, że jest inaczej.

Z trasy B455 skręcił w lewo, w stronę Schneidhain, a jego myśli zaczęły krążyć wokół sprawy, którą miał się dziś zajmować. Wciąż uważał za całkiem prawdopodobne, że to wdowa po Alexandre Rocie zamordowała Heike Wersch. Miała najmocniejszy motyw, bo obwiniła Heike za to, że jej mąż, niepijący alkoholik, po tylu latach sięgnął po alkohol. Na dodatek szczerze nienawidziła dawnych przyjaciół swojego zmarłego męża, bo, zgodnie z jej słowami, nigdy nie chcieli jej przyjąć do swojego grona. Tylko czy to była prawda? Przeczyła temu wersja Dorothei Winterscheid-Fink, którą szefowa działu handlowego wydawnictwa przedstawiła poprzedniego wieczoru Pii. Ale jeśli nawet taka była prawda, to czemu nie potrafiła jej zaakceptować? Dlaczego ona i jej mąż przez dwadzieścia pięć lat małżeństwa nie stworzyli własnego grona przyjaciół? Jej

wypowiedzi ociekały głęboką, zastarzałą urazą. Grać w związku zawsze drugie skrzypce – to okropnie bolało. Bodenstein aż nazbyt dobrze o tym wiedział, bo sam tkwił w takim układzie. Dla Cosimy też praca zawsze była ważniejsza niż rodzina. Kiedy jej zespół albo ludzie z telewizji przebywali w ich domu albo kiedy Oliver towarzyszył jej podczas ceremonii wręczenia nagród, zawsze czuł się jak piąte koło u wozu. Dokładnie tak, jak wczoraj opisała to Paula Domski. I podobnie jak ona, Bodenstein nigdy nie rozumiał, o czym Cosima rozmawia albo z czego się śmieje w gronie przyjaciół i znajomych, bo sam nigdy nie stał się częścią tego świata. O, tak: potrafił zrozumieć, jak czuła się wdowa po Alexandrze Rocie, i wiedział też, że tłumiony żal może się szybko przerodzić w pełną zazdrości nienawiść. Sukcesy zawodowe i uznanie nie mają wielkiego znaczenia, kiedy ktoś nie dopuszcza partnera czy partnerki do ważnych obszarów swojego życia. Pia miała prawo wątpić w tę hipotezę, jednak Bodenstein nie mógł wykluczyć prawdopodobieństwa, że to Paula Domski zamordowała Heike Wersch, po czym ukryła jej ciało.

*

Było włamanie do domu Heike Wersch, napisał Tarik na czacie wydziału K11. Wylamane drzwi kuchenne, zerwana nasza plomba, w środku totalny chaos. Technicy są już na miejscu.

– Jeszcze tylko tego brakowało – mruknęła Pia, zła, że nie przeszukali starannie domu od razu w czwartek. – Fantastycznie.

Od dziesięciu minut czekała na szefa, który poszedł odprowadzić do samochodu wyjątkowo opanowaną Paulę Domski i jej histerycznie rozszlochane córki. Mimo że protestowały – bo nie wyobrażały sobie, żeby ciało ich ojca miało zostać „wypatroszone” – zwłoki Alexandra Rotha znajdowały się już w specjalnym samochodzie, w drodze do Frankfurtu, a Henning obiecał, że przeprowadzi sekcję tak szybko, jak tylko da radę.

– O czym tak długo z nią rozmawiałeś? – zapytała policjantka, kiedy Oliver w końcu wrócił z parkingu. Oboje swoje auta zostawili poza terenem szpitala, bo w niedzielny poranek znalezienie wolnego miejsca nie nastroczało trudności, a w dodatku było tańsze, gdyż nie trzeba było płacić za wjazd.

– Staralem się ją trochę pocieszyć – wyjaśnił.

– Aha. A jak?

– Wiem, jak to jest, kiedy partner wyklucza cię ze swojego życia – powiedział Bodenstein. – To w końcu twoja sztuczka, żeby okazać współczucie, prawda? Jak się chce coś z kogoś wyciągnąć, trzeba udawać, że ma się podobne doświadczenia. Przypomnij sobie swoją bajeczkę o śpiworach u weterynarza w Mammolshain.

– Tylko że trik polega na zmyślaniu – odparła Pia i zmierzyła szefa uważnym spojrzeniem. – A z tego, co się orientuję, ty niczego nie zmyślałeś.

– Niby nie. Ale ona o tym nie wie. Koniec końców, dobrze na nią zadziało.

– Szefie. – Pia się zatrzymała. – Wiem, to nie moja sprawa. Ale zdecydowanie odradzam zakochywanie się w Pauli Domski. To nasza podejrzana.

– Że co?! – Bodenstein z wrażenia otworzył szerzej oczy. – Skąd ci w ogóle coś takiego przyszło do głowy?

– Znam cię. I wiem, jaki typ kobiet cię pociąga. Paula Domski odnosi sukcesy zawodowe, ale ma problem z pewnością siebie. Tak samo, jak wcześniej Annika Sommerfeld. I Karoline. Albo Inka Hansen.

Bodenstein oblał się delikatnym rumieńcem.

– Naprawdę masz o mnie takie zdanie? – zapytał gniewnie i ruszył przed siebie. – Dopiero co wyprowadziłem się od żony. Ale to nie znaczy, że rzucę się pierwszej napotkanej kobiecie na szyję!

– Ja tylko mówię.

– Ja też! – zaprotestował Bodenstein. – A jeśli chcesz mnie ostrzec przed podejrzanymi, to przypomnij mi, proszę, w jakich okolicznościach poznałeś swojego męża?

Pia zrozumiała, że posunęła się nieco za daleko.

– Przy naszej pracy trudno spotkać kogoś, kto nie jest podejrany, co? – zażartowała, ale Bodenstein nie podjął tematu. Zatrzymali się przy jej mini. Cholera! Dlaczego nie mogła ugryźć się w język? Ostatnią rzeczą, jakiej jej szef potrzebował, były idiotyczne rady współpracowników.

– Przepraszam – zaczęła skruszonym tonem. – Nie chciałam naruszać twojej prywatności. Masz pełne prawo być na mnie zły.

– Nie jestem na ciebie zły. Wręcz przeciwnie – odparł Oliver z powagą. – Ty się szczerze o mnie troszczysz. A poza tobą i pewnie moją matką nikt się mną nie

przejmuje. Pewnie, wszyscy zapewnniają, jak bardzo im zależy, ale wystarczy się dokładniej przyjrzeć i zaraz widać, że kieruje nimi egoizm albo wygoda. Cosima martwi się ponoć, że słabo wyglądam – ale czy naprawdę interesuje ją, jak się czuję? Czy może raczej boi się, że nie będę mógł zostać dawcą? Moje dzieci, brat czy nawet Nicola: czy rzeczywiście boją się, że mogę nie przeżyć operacji, bo chodzi im o mnie, czy raczej o swoją wygodę, bo nagle zabrakłoby niezawodnego, praktycznego, darmowego i chętnego do pomocy szofera, opiekuna do dzieci czy czego tam akurat potrzebują?

Pia z wrażenia nie była w stanie wykrztusić z siebie głosu.

– Jesteś moją jedyną prawdziwą przyjaciółką, Pia – dodał Bodenstein. – Twoja troska o mnie jest szczerą i bezinteresowną. Jestem ci za to bardzo wdzięczny. Bo nikogo innego nie interesuje, czy właduję się w jakieś nieszczęście, czy nie. Nic ich nie interesuje, dopóki robię wszystko, czego oczekują.

– Ja... ja... to znaczy... – wyjąkała Pia. Czuła się zakłopotana i nie wiedziała, jak zareagować. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, aż w końcu Bodenstein zauważył, że jest jej nieswojo i uśmiechnął się słabo.

– Nie bierz mi tego za złe, ale musiałem ci to powiedzieć. – Miał zmieniony głos, beztroski, jakby właśnie zażartował. – Przy okazji: zapytałem Paulę Domski o alibi na poniedziałkowy wieczór. I wiesz co? Nie ma alibi. Ponoć była sama w domu i przygotowywała się na następny dzień do programu. Świadców oczywiście brak.

*

– Ktoś użył tej brechy do wyważenia drzwi do kuchni. – Christian Kröger, ubrany w biały jednorazowy kombinezon, trzymał w dłoniach łom pomalowany proszkowo na intensywny czerwony kolor. Jeden koniec napotkanej łomu zagięty był pod kątem prostym, a drugi tylko lekko, jednak był mocniej spłaszczony. – Zupełnie nowa zabawka, można powiedzieć, że nieużywana. Jedyne ślady widać na płaskim końcu, bo farba jest nieco podrapana.

– Czy to jakiś rzadki egzemplarz? – zapytała Pia.

– Wręcz przeciwnie, niestety. Masowy i popularny produkt. – Kröger zważył łom w dłoni, z której ani na chwilę nie zdjął rękawiczki, i potrząsnął głową. – Według naklejki z ceną z marketu budowlanego ktoś zapłacił za niego 29,95 euro.

– I co o tym sądzisz? – zapytał Bodenstein, zwracając się do szefa wydziału techniki kryminalistycznej. – Robota profesjonalisty?

– Profesjonalista nie zostawiłby narzędzia wykorzystanego w popełnieniu przestępstwa. Tym bardziej jeśli jest na nim jeszcze metka z ceną – odparł Kröger i podał łom jednemu ze współpracowników, który spakował go do odpowiednio dużej torebki na dowody. – Swoją drogą już wcześniej zdarzały się nam włamania do domów, które zapieczętowaliśmy.

– Możemy wejść?

– To zależy, jakie macie dalsze plany. Jeśli chcecie, żebyśmy zabezpieczyli ślady po włamaniu, będziecie musieli poczekać jeszcze kilka godzin.

– Myślę, że możemy sobie oszczędzić wysiłku – powiedziała Pia. – Ani Heike Wersch, ani jej ojca raczej nie zainteresuje, czy jakiś przypadkowy włamywacz ukradł im telewizor albo jakąś biżuterię.

– A jeśli to nie włamywacz, tylko sprawca, który wrócił na miejsce morderstwa? – zapytał Cem.

– W takim wypadku na pewno nie zostawiłby więcej śladów niż za pierwszym razem – wyjaśniła Pia.

– Jestem tego samego zdania – poparł ją Bodenstein.

– Jak chcecie. – Kröger wzruszył ramionami i gestem zaprosił ich do środka. – Dom należy do was. Od piwnicy po sam strych.

Pia poinstruowała zespół składający się z Cema, Tarika, Kathrin i trzech techników z wydziału Krögera, czego mają szukać.

– Musimy zgromadzić jak najwięcej informacji na temat życia Heike Wersch, żeby zrekonstruować, czym się zajmowała i gdzie i w jakich okolicznościach spotkała mordercę – powiedziała. – Zbierajcie wszystko, co wyda się wam znaczące albo przydatne.

Uzbrojeni w puste kartony i kosze bieliźniane, założyli rękawiczki i weszli do domu. Oba telewizory, na parterze i na piętrze, stały na swoich miejscach, podobnie jak drogi robot kuchenny, zestaw sztućców ze srebra i złoty, wysadzany brylantami damski zegarek marki Piaget, który według Cema kosztował przynajmniej pięć tysięcy euro. Włamywacz nie szukał kosztowności, tylko czegoś konkretnego, i nie miał zbyt wiele czasu, o pośpiechu świadczył bowiem pozostawiony wszędzie bałagan. Szuflady zostały wyciągnięte, a ich zawartość

leżała porozrzucana po podłodze. Wszystkie segregatory w gabinecie – a było ich sporo – zostały przeszukane i rzucone jak popadło. Prawdziwa papierowa powódź przykrywała podłogę i wylewała się aż na korytarz. Wszystkie bez wyjątku szufladki antycznego sekretarzyka były otwarte, podobnie jak tajna skrytka. Obrazy zostały zdjęte ze ścian, spiżarnia i szafki kuchenne opróżnione, a sofy, kanapy i łóżka pocięte aż do sprężyn. Pia mijając kolejne pomieszczenia i miała wrażenie, że ten dom jest jak zbezczeszczone zwłoki. Włamywacz nie oszczędził nawet szafek łazienkowych, kosza z rzeczami do prania czy koszy na śmieci. Jak doktor Harding zinterpretowałby pozostawienie po sobie tak przytłaczającego nieporządku? Jak zareagowałby na ten widok?

– Gdzie i od czego mam zacząć? – zapytała Kathrin i rozejrzała się bezradnie. Stała po kolana w stosie książek i albumów, bo włamywacz zrzucił wszystko, co stało na półkach sięgającego sufitu regału w salonie. – Gdybyśmy mieli chociaż blade pojęcie, czego powinniśmy szukać!

– Interesują nas przede wszystkim notatki, zapiski, listy, dzienniki, kalendarze, terminarze, zdjęcia, wyciągi bankowe i tym podobne – pomogła jej Pia. – Chcę wiedzieć, jak bardzo zaawansowane były prace nad otwarciem nowego wydawnictwa, kto miał w tym udział, a kto trzymał się z dala.

– No dobra. To zaczynamy. – Kathrin westchnęła ciężko i zabrała się do układania leżących dookoła książek.

To, co ich czekało, należało raczej do żmudnych i mało spektakularnych aspektów policyjnej pracy, które w książkach i serialach kryminalnych zazwyczaj bywają pomijane.

Musicie wczuć się w sprawcę i zacząć myśleć tak jak on, przypomniała sobie Pia słowa doktora Hardinga. A co by było, gdyby zamiast wczuwać się w sprawcę zbrodni, o którego motywach nie miała pojęcia, wczuła się w jego ofiarę, Heike Wersch? Schodami dostała się na piętro i idąc powoli korytarzem, zaglądała do kolejnych pokoi. Gdzie Heike schowałaby rzeczy, które miały dla niej prawdziwą wartość? Zegarek, biżuteria i inne kosztowności najwyraźniej niewiele dla niej znaczyły, bo zostawiła je niezabezpieczone na wierzchu.

Po jakimś czasie Pia zeszła na parter i w kuchni natknęła się na Bodensteina zajętego lekturą planera na najbliższy miesiąc, który wisiał obok drzwi. Przed wejściem Kröger zdejmował właśnie kombinezon jednorazowy.

– Słuchaj, gdybyś miał sobie przypomnieć najdziwniejsze skrytki na kosztowności i tajne dokumenty, na jakie trafiliście, to co byś wymienił? – Pia spojrzała na jednego z pomagających im techników.

– Wszelkiego rodzaju miejsca, w których trzyma się zwierzęta – odpowiedział bez wahania mężczyzna, który przy kuchennym stole segregował zebrane papiery. – Znajdowaliśmy skrytki we wszystkich chyba tego typu miejscach: w stajniach, kojcach dla psów, klatkach świnek morskich, wolierach dla ptaków i nawet w akwarium.

– Kiedy jeszcze pracowałam w policji skarbowej i prowadziliśmy przeszukania, kobieta, którą porzucił mąż, podała nam ciekawą informację – do rozmowy włączyła się jego współpracowniczka. – Otóż jej mąż był rzeźnikiem, więc regularnie chował gotówkę i problematyczne dla niego dokumenty bankowe w puszkach z psią karmą, które potem profesjonalnie zamykał, że nie było śladu. Bez jej pomocy nigdy byśmy ich nie znaleźli.

– Oczko wodne w ogrodzie! – podsunął Cem, który pracował w spizarni i słyszał, o czym mówią.

– W plastikowych torebkach pod trawnikiem – dodał Kröger.

– W pianinie.

– Zamrażarka to prawdziwy klasyk.

– Kiedy wyprowadziłem się z rodzeństwem z domu, moi rodzice wszystkie pamiątki z naszego dzieciństwa spakowali do kartonów i odstawili na poddasze. – Bodenstein zdjął kalendarz ze ściany i włożył go do bieliznianego kosza, który miał z sobą. – Może pani Wersch zrobiła to samo?

Jego komórka zaczęła dzwonić, więc odebrał połączenie.

– Halo? – rozległo się wołanie gdzieś na zewnątrz. – Halo, dzień dobry!

Kröger stał w drzwiach, więc odwrócił się i rozejrzał.

– To jakiś gość z budowy po sąsiedzku – poinformował.

– O, proszę, może to ten inwestor, który pani Wersch zawdzięcza przerwę w pracach. – Pia minęła zatopionego w rozmowie szefa i wyszła na zewnątrz. We wnęce okiennej sięgającej od podłogi do sufitu niedokończonego budynku, który górował nad domem pani Wersch niczym ponure ruiny starej twierdzy, stał jakiś mężczyzna i z zaciekawieniem przyglądał się sąsiedniej posesji.

– Dzień dobry – powtórzył, kiedy Pia podeszła do siatki oddzielającej jego działkę od działki denatki. – Pani jest z policji? To prawda, że ta wiedźma zaginęła?

– Niech pan może pofatyguje się na dół, to porozmawiamy – zaproponowała policjantka. Nie miała ochoty zadzierać głowy, żeby zadać mu kilka pytań.

– Już lecę. – Mężczyzna zniknął we wnętrzu budowy w stanie surowym. Pia wykorzystała czas, by sięgnąć po notatnik i sprawdzić, jak się nazywał skłócony z Heike Wersch inwestor.

– Właśnie skończyłem rozmawiać z Henningiem. – Bodenstein stanął obok niej. – Dzisiaj o trzynastej przeprowadzi sekcję Alexandra Rotha.

– Świetnie się składa, że mieszka bezpośrednio nad Instytutem. Przy okazji, ten facet tutaj to Marcel Jahn, inwestor, który procesował się z Heike Wersch – poinformowała szefa, bo na parterze niedokończonego betonowego pałacu pojawił się jej rozmówca i lawirując z trudem między wiadrami, workami z cementem i pokrzywami, ruszył w stronę płotu. Marcel Jahn miał około czterdziestu lat, był rudy, szczupły i miał twarz poznaczoną brzydkimi bliznami po młodzieńczym trądziku. Nie był przystojny, ale roztaczał wokół siebie aureę pewności siebie i przebojowości.

– Mogę się założyć o moje mini, że to bankier inwestycyjny albo adwokat zatrudniony w którejś z tych wielkich frankfurckich kancelarii. Przynajmniej jeden, jeśli nie dwa tytuły doktorskie, a rankiem przed pracą biega półmaratony – szepnęła Pia.

– Możesz nie ryzykować wozu, bo też tak bym obstawiał – odparł Bodenstein z kamienną twarzą. Nawet mu powieka nie drgnęła, kiedy pół minuty później sąsiad denatki wcisnął mu do ręki wizytówkę. *Dr Marcel Jahn, Partner, Head of Private Equity*. Doktor Jahn prawdopodobnie co miesiąc płacił więcej podatków, niż Bodenstein zarabiał przez cały rok. Zaraz za nim z budynku wynurzyła się blondynka z fryzurą na pazia; Pia nie mogła uwierzyć własnym oczom, bo rozpoznała w niej właścicielkę dwóch wyżłów weimarskich, która obrzuciła ją wiązanką wulgaryzmów. Zaczęła się domyślać, jak mogło wyglądać starcie tej pary z Heike Wersch i wymiana epitetów między nimi.

– Od ponad roku ta kobieta nie daje nam dokończyć domu – poskarżył się Bodensteinowi rudy sąsiad denatki. – Bezustannie rzuca nam kłody pod nogi.

– W przyszłości nie będzie to już miało miejsca – odparł policjant chłodno. – Pani Wersch nie żyje.

– O – powiedział doktor Jahn, raczej zdziwiony niż poruszony. Za to jego żona nie potrafiła tak dobrze jak on ukryć radości.

– No i proszę, to się nazywa karma. – Uśmiechnęła się nieprzyjemnie. – Ta stara pudernica zmieniła nam życie w piekło.

– Kto dziedziczy działkę z domem? – Mężczyzna nie próbował choćby z przyzwoitości udawać jakiegokolwiek poruszenia.

– Dotarły do nas informacje, jakoby w zeszłą niedzielę po raz kolejny doszło do publicznej awantury, w czasie której zachowywała się pani bardzo obraźliwie. – Pia zignorowała jego pytanie i przekartkowała swój notatnik. – Zgodnie ze słowami sąsiadów, obrzuciła pani panią Wersch wyzwiskami, tu cytuję, „ty stara pizdo” i „stary kurwiszonie”. Poza tym, w obecności nieletnich, wielokrotnie życzyli jej państwo, żeby „szybko zdechła”.

Pani Jahn w najmniejszym stopniu nie czuła wstydu z powodu tych słów. Co więcej, zrobiła się agresywna.

– Co?! A kto tak powiedział? Nazwiska proszę! – Oparła ręce na biodrach i wysunęła podbródek. – To podłe oszczerstwa! Ja nie używam takich słów. Nazwiska tych ludzi pani mi poda!

– Z całą pewnością nie podam. – Pia zamknęła notatnik. – Prowadzimy dochodzenie, gdyż pani Wersch padła ofiarą przestępstwa. A państwo mieli bardzo dobry motyw.

Żona Marcela Jahna zmrużyła oczy.

– To pani! Poznaję panią! – Wycelowano oskarżycielsko palcem w Pię, a potem ścisnęła męża za ramię. – Marcel, to właścicielka tego agresywnego bydlaka, który pogryzł nam Eddiego! Dwieście pięćdziesiąt euro musiałam zapłacić u weterynarza!

– To dobra nauczka, bo może w przyszłości będzie pani trzymała psy na smyczy – odparła Pia. – Tak jak ja swojego.

– Moje psy były zapięte! – Kobieta podniosła głos. – Moje psy zawsze chodzą na smyczy!

Kłamała tak bezczelnie i z przekonaniem, jakiego Pia rzadko była świadkiem, a przecież bezustannie ktoś mówił jej nieprawdę. Niespodziewanie poczuła coś

w rodzaju sympatii do zmarłej Heike Wersch.

– Gdzie państwo spędzili poniedziałkowy wieczór? – zapytał Bodenstein, zwracając się do doktora Jahna i jego żony.

– To jest skrajna bezczelność! – rozwścieczyła się blondynka, ale zanim rozpoczęła wygłaszanie tyrady, głos zabrał małżonek.

– W niedzielę wieczorem poleciałem w sprawach służbowych do Chicago – wyjaśnił. – Wróciłem dopiero wczoraj rano. Przez panią Wersch spotkało nas bardzo wiele kłopotów, jednak nigdy nie życzyliśmy jej śmierci.

– A pani? Gdzie pani była w poniedziałek wieczorem?

– Brałam udział w evencie organizowanym przez mój bank w Kameha-Lounge we Frankfurcie – wycedziła kobieta przez zaciśnięte zęby. – Przed północą wezwałam taksówkę. A zanim zaczniecie nas podejrzewać o zabicie tej jędzy, porozmawiajcie ze staruchem, który był u niej w niedzielę. Wywaliła go stąd na zbity pysk, zanim rzuciła się na nas.

*

– Kto to mógł być? No wiesz, ten człowiek, z którym Heike Wersch kłóciła się w niedzielę przed Jahnamy? Alexander Roth? – zastanawiała się Pia, kiedy przez Friedensbrücke jechali na drugą stronę Menu. W dni powszednie odcinek między targami a tym mostem zajmował przynajmniej pół godziny, a często nawet dłużej; w niedzielę wystarczyło im dziesięć minut, by go pokonać.

– Roth nie jeździłby do niej w niedzielę i dodatkowo w poniedziałek – stwierdził Bodenstein. – Poza tym, z opisu tej kobiety wynika, że facet był sporo od niego starszy. Może to Henri Winterscheid, jej dawny kochanek i przyszły wspólnik?

Zmienili pas, żeby skręcić w Kennedyallee.

– Nie wiem, ale nie sądzę – pokręciła głową Pia. – Henri Winterscheid ma problemy zdrowotne, tak przynajmniej twierdzi jego córka. Ale możemy zapytać później Carla Winterscheida, czy jego wuj pasuje do opisu przedstawionego przez sąsiadkę.

Po sekcji zwłok, która przy odrobinie szczęścia mogła wyjaśnić przyczynę śmierci Alexandra Rotha, planowali udać się do szefa wydawnictwa i zamienić z nim kilka słów. Musiał istnieć jakiś związek między morderstwem Heike Wersch

i śmiercią Alexandra Rotha. Pia i Bodenstein zbyt długo służyli w policji, by wierzyć w przypadki.

Na parkingu Instytutu Medycyny Sądowej, mieszczącego się w pięknej, secesyjnej willi przy Kennedyallee, stały tylko dwa samochody. Przed „wejściem dla klientów”, jak pracownicy Instytutu nazywali szerokie drzwi z tyłu budynku, przystosowane do transportu zwłok, doktor Frederik Lemmer i Ronnie Böhme, najstarszy stażem asystent sekcyjny, w pełnym słońcu korzystali z przerwy na papierosa.

– Czyli co, zaczynamy – burknął Böhme ponuro. – Jeśli się przyłożymy, może skorzystam jeszcze z resztki weekendu.

– Przecież i tak nie ma nic lepszego do roboty. – Doktor Lemmer uśmiechnął się i zdusił niedopałek. – Przerwa w rozgrywkach ligi krajowej. Bundesliga też nie gra.

– Przykro mi, że obciążamy was pracą w niedzielę – powiedziała Pia, ale potężnie zbudowany lekarz sądowy machnął tylko dłonią.

– Nic się nie stało, naprawdę nic. Ja i tak miałem dyżur, a kolega Böhme za pracę w niedzielę dostaje bardzo przyzwoite pieniądze.

– Co za cholerna bzdura, jakie przyzwoite pieniądze?! Głodowe stawki nam tu płacą, jeśli nie ma się przed nazwiskiem „dr” czy „prof.”! – utyskiwał Böhme, wpuszczając Pię i Bodensteina do Instytutu. – Szef tak często mnie wzywa, że taniej by było, gdybym się tu przeprowadził. Jakbym był tylko ja. Człowiek bez rodziny ma przesrane.

– To nie o rodzinę chodzi, tylko o to, że jest pan naszym najlepszym człowiekiem – zapewnił go doktor Lemmer.

– Taa, najlepszym człowiekiem, sranie w banie – odburknął Böhme ponuro i poprowadził ich korytarzem do dwóch sali sekcyjnych znajdujących się w piwnicach Instytutu. W sali numer 1, na stole ze stali kwasoodpornej leżało już przygotowane ciało Alexandra Rotha. I choć Pia w czasie małżeństwa z Henningiem spędziła tu niezliczone wieczory i weekendy, oglądając przy okazji ciała we wszystkich stadiach rozkładu, widok zwłok człowieka, z którym jeszcze dwa dni wcześniej rozmawiała, wywołał w niej ogromne przygnębienie. Wiele zmieniała znajomość za życia z człowiekiem, którego sekcję miało się zaraz oglądać. Mimo to, gdyby Pia nie wiedziała, że to szczątki Alexandra Rotha, nie

rozpoznałaby go. Jego twarz i ciało pokrywały wybroczyny, sińce i rany tłuczone, a mokre, siwawe, kręcone włosy lepiły się do zniekształconej czaszki.

– Witaj, Pia, witaj, Oliverze. – Henning wstał z taboretu na kółkach, na którym siedział, oglądając zdjęcia rentgenowskie.

– Dzięki, że zgodziłeś się tak szybko wykonać sekcję – powiedziała Pia. – Ta sprawa to jedna wielka zagadka.

– Jeden jej wątek będę chyba w stanie zaraz wyjaśnić – odparł jej były mąż. – Wykonaliśmy całą serię zdjęć rentgenowskich i kilka szybkich testów, które zdają się potwierdzać wyniki laboratoryjne i wyniki badań krwi dostarczone ze szpitala.

– My. No pewnie. Oczywiście. Że też zawsze musi sobie przypisywać zasługi innych – narzekał Böhme pod nosem.

Henning, przyzwyczajony do jego bezustannego zrzędzenia, nie zwracał na nie uwagi.

– Lekarz prowadzący w szpitalu przypuszczał, że Alexander Roth zmarł na atak serca wywołany kwasicą metaboliczną.

– Co to takiego? – zainteresował się Bodenstein.

– Kwasica metaboliczna prowadzi do nadmiernego zakwaszenia całego organizmu. Najczęściej spotykamy ją w przypadku *diabetes mellitus*, jednak może być wywołana ciężkim niedożywieniem, szokiem lub nadużywaniem alkoholu – wyjaśniał Henning. – Kwasica metaboliczna wpływa na pracę serca i funkcjonowanie naczyń krwionośnych. Wzrasta ciśnienie w krążeniu płucnym, a w pozostałej części ciała spada. Częstymi objawami są zaczerwienienie twarzy i podbiegnięte krwią spojówki. Do tego dochodzą niespecyficzne objawy, takie jak bóle głowy, mdłości, wymioty, utrata apetytu...

– Kiedy rozmawiałam z nim w piątek, zwróciłam nawet uwagę, że ma strasznie czerwoną twarz – przerwała mu Pia. – Ciągle tarł oczy i mrugał.

– To by się zgadzało. – Henning potaknął. – Potem pojawiają się kolejne objawy: gwałtowne osłabienie, wymioty, przyspieszony oddech, zaburzenia widzenia, duszności i utrata przytomności. Groźnym dla życia skutkiem kwasicy metabolicznej jest hiperkaliemia, czyli zaburzenie równowagi elektrolitycznej organizmu z bardzo podwyższonym stężeniem potasu we krwi. To z kolei prowadzi do zaburzeń rytmu serca, włącznie z migotaniem komór i przedsionków.

– Skąd to się mogło wziąć? Zakładam, że nie od wypicia kilku kieliszków wina? – zapytał Bodenstein.

– Podejrzewam, że to wszystko jest skutkiem zatrucia metanolem – wyjaśnił Henning. – Dawniej, tuż po wojnie, ale i stosunkowo często w czasach NRD, ludzie chrcili alkohol, więc zatrucia metanolem były na porządku dziennym. Teraz to naprawdę rzadkość, dlatego lekarze niekoniecznie biorą je w ogóle pod uwagę.

– Chcesz powiedzieć, że Roth pił lewy alkohol?

– Możliwe. – Henning potaknął. – Metanol sam w sobie nie jest szczególnie toksyczny, za to toksyczne są jego metabolity, czyli formaldehyd i kwas mrówkowy. Organizm ludzki bardzo powoli metabolizuje kwas mrówkowy, więc w tak zwanej fazie latencji jego obecność powoduje powstanie kwasicy metabolicznej. Istnieje bardzo proste antidotum, inhibitor ADH 4-metylopirazolu, można też podać etanol, a w sytuacji awaryjnej sprawdziłby się nawet wysokoprocentowy alkohol, bo w ten sposób można spowolnić rozkład metanolu w organizmie. Metabolizm kwasu mrówkowego można przyspieszyć, podając kwas foliowy. Dlatego zatrucie metanolem nie jest wyrokiem śmierci, pod warunkiem że odpowiednio szybko zostanie zdiagnozowane i podjęte zostaną odpowiednie środki zaradcze. W tym przypadku było już jednak za późno na jakąkolwiek pomoc.

– Po upadku z roweru przez kilka godzin leżał w rowie przy drodze – dodała Pia.

– O tym właśnie mówię. Przez ten czas doszło najprawdopodobniej do nieodwracalnego uszkodzenia mózgu – wyjaśnił Henning. – Spodziewam się znaleźć obrzęk siatkówki, bo kwas mrówkowy gromadzi się właśnie w gałkach ocznych, prowadząc najpierw do zaburzeń widzenia, a potem do całkowitej ślepoty. W przypadku zatrucia metanolem należy również oczekiwać wyraźnych zmian w tkance mózgowej, serca, nerek i innych organów, co potwierdziłoby moje przypuszczenia.

– Kiedy musiałoby dojść do spożycia chrzczonego alkoholu, żeby było to zgodne z objawami? – zapytał Bodenstein.

– Faza utajenia po minięciu wywołanego działaniem alkoholu stadium upojenia trwa w większości przypadków od sześciu do trzydziestu sześciu godzin – wyrecytował Henning.

– Wypadek miał miejsce w nocy z piątku na sobotę – odpowiedziała Pia. – Prawdopodobnie około godziny przed północą.

– Już w piątek, kiedy z nim rozmawiałaś, przejawiał bardzo zaawansowane symptomy wskazujące na zatrucie metanolem – przypomniał jej Henning. – To by oznaczało, że do spożycia trucizny doszło w czwartek.

W tym czasie doktor Lemmer rozpoczął opis zwłok i przez mikrofon przy słuchawkach dyktował swoje spostrzeżenia. Pia przyglądała się przez chwilę zmarłemu, który zalany jaskrawym światłem jarzeniówek leżał obnażony i bezbronny na stole sekcyjnym. Westchnęła ciężko.

– Żyłby pewnie dzisiaj, gdyby nie ten wypadek na rowerze – powiedziała smutno.

– Nie, nie miałyby szans. Już wtedy było za późno na ratunek – poprawił ją Henning. – Zakładam, że do wypadku doszło na wskutek duszności i utraty przytomności wywołanych zaawansowanym uszkodzeniem systemu nerwowego.

*

Przenikliwe buczenie przepędzało sen. Twarze ludzi dookoła stawały się coraz bledsze i mniej wyraźne, a ich głosy odbijały się echem, jakby docierały gdzieś z daleka. Sen przeradzał się w rzeczywistość. Nie pamiętała już swojego imienia i wiedziała, że zaraz rozplynie się jak wszyscy i zniknie. Ogarnęły ją smutek i tęsknota, bo nie spodziewała się, że kiedykolwiek tu wróci, a chętnie została by tu na dłużej. Julia przez dłuższą chwilę nie otwierała oczu, próbując zachować w pamięci choćby strzępki snu, który wydawał jej się tak realistyczny. Zdezorientowana uniosła w końcu powieki, by przekonać się, że za oknem jest już dzień, a ona leży ubrana na kanapie. Nie lubiła tak długo spać, bo to zaburzało jej biorytm.

– Niech to szlag! – wymamrotała i sięgnęła po telefon. Zbliżało się już południe, a buczenie, które brutalnie wyrwało ją ze snu, sygnalizowało przychodzące połączenie. Dzwonił Carl Winterscheid. Usiadła, ziewając, i poczłapała do łazienki. Do czwartej nad ranem czytała przekazany manuskrypt, który, ku jej rozczarowaniu, nagle się urywał. Ileż by dała, by poznać dalszą część historii! Chciała wiedzieć, jak potoczyły się losy Karli po niespodziewanym odejściu jej męża na zawał serca, który zostawił ją samą z czteroletnim wówczas synkiem. Czy

udało jej się przeciwstawić dominującemu szwagrowi i jego władczej żonie? Czy ktoś się w końcu dowiedział, że grupka przyjaciół męża Karli w czasie pobytu w wakacyjnym domku na francuskiej wyspie Noirmoutier utopiła jego kuzyna w morzu? I czy cała ta historia była jedynie wytworem wyobraźni autorki, czy może w rzeczywistości pierwszoosobową narratorką Karłą była sama Katharina Winterscheid?

W pewnym momencie Julia zaczęła wypisywać imiona i nazwiska bohaterów książki i zgadywać, kto był ich pierwowzorem w rzeczywistości. Zbyt mało wiedziała o matce szefa, by bez najmniejszych wątpliwości stwierdzić, w jakim stopniu powieść była autobiograficzna, jednak te nawiązania do prawdziwych zdarzeń, które potrafiła rozszyfrować, bardzo ją zaintrygowały. Syn Henriego i Margarethe zmarł młodo, jednak w internecie oraz na stronie fundacji imienia Götza Winterscheida mowa była jedynie o „nieszczęśliwym wypadku”, a nie morderstwie. Poza tym opowieść o Karli obudziła w niej jakieś niejasne wspomnienie, którego nie mogła do końca uchwycić, zupełnie jak słowo, które ma się już na końcu języka, a jednak wciąż trochę brakuje, by przypomnieć sobie jego brzmienie. Wszystko to tak mocno ją poruszyło, że tej nocy śniła o wydmach i wyrastającym gdzieś pomiędzy nimi białym domu z jasnoniebieskimi okiennicami, o paczce młodych ludzi, którzy w uroczystej ceremonii na nadmorskich klifach, w promieniach zachodzącego słońca przysięgli sobie wieczną przyjaźń aż do śmierci, i o Karli, młodej dziewczynie, która znalazła wielką miłość, by ledwie kilka lat później ją stracić. Wyjątkowo rzadko się zdarzało, by fabuła jakiejś książki nawet we śnie nie chciała jej opuścić. Musiała koniecznie porozmawiać o tym z Carlem Winterscheidem.

Po prysznicu włożyła świeże ubranie, wypła kawę i oddzwoniła do szefa, jednak nie odebrał, za to chwilę później otrzymała wiadomość tekstową.

Jestem w wydawnictwie. Zebranie kryzysowe. Ubiegłej nocy, w następstwie wypadku, zmarł Alexander Roth.

– O Boże... – szepnęła Julia i poczuła, że na ramionach i plecach dostaje gęsiej skórki. Najpierw Heike Wersch, a teraz jeszcze Alexander Roth! Oboje martwi! A ona była jedną z ostatnich osób, które widziały go żywego. Choć gwoli ścisłości, w piątkowy wieczór nie widziała go, a tylko słyszała jego głos.

To naprawdę straszne – odpisała szefowi. – Zeszłej nocy przeczytałam manuskrypt i koniecznie musimy o nim porozmawiać! Teraz pewnie nie jest najwłaściwsza pora, ale

później pasowałoby Panu może?

Tak, oczywiście – odpowiedział Carl.

*

Sekcja zwłok potwierdziła przypuszczenia Henninga oraz diagnozę lekarzy ze szpitala, do którego trafił Alexander Roth: przyczyną śmierci była niewydolność wielonarządowa wywołana zatruciem metanolem. Bezpośrednią przyczyną zgonu był atak serca, jednak wcześniej doszło do tak poważnego uszkodzenia mózgu, że mężczyzna znajdował się już w stanie śmierci mózgowej, kiedy posłuszeństwa odmawiały kolejno nerki, wątroba i w końcu serce. Wyjaśniło się więc wprawdzie, co sprawiło, że Alexander Roth zmarł, jednak dalej zagadką pozostawało, w jaki sposób. Czy doszło do przypadkowego spożycia metanolu, czy może raczej Alexander Roth wypił go celowo, z zamiarem popełnienia samobójstwa? Kiedy i za czyją sprawą podstępna trucizna dostała się do jego ciała?

Wracając do śródmieścia, Pia siedziała za kierownicą, a Bodenstein zadzwonił do dyżurującego prokuratora z prośbą o wystawienie nakazu przeszukania biura zmarłego oraz jego miejsca zamieszkania. Urzędnik początkowo miał wątpliwości, czy to zasadne, jednak Oliver zdołał go przekonać, że Roth był jednym z głównych podejrzanych w sprawie zamordowania Heike Wersch, a możliwe, że sam padł ofiarą zbrodni. Po zakończeniu tej rozmowy zadzwonił do Carla Winterscheida, który potwierdził, że jest w tej chwili w wydawnictwie.

– Ani trochę nie wierzę, że to było samobójstwo – powiedziała Pia, kiedy jechali przez Untermainbrücke. Lubiła widok, który z drugiej strony rzeki rozciągał się na biurowce dzielnicy bankowej, jednak dziś nie poświęciła mu uwagi. – Nikt nie odbiera sobie życia w taki dziwny sposób. Jest cała masa szybszych i skuteczniejszych metod.

– Mimo wszystko nie wykluczałbym całkowicie samobójstwa. Roth był w bardzo złym stanie emocjonalnym – odparł Bodenstein zamyślonym tonem. – Może celowo wybrał taki nieoczywisty sposób, żeby jego żona i córki nie zmagaly się potem z łatką rodziny faceta, który odebrał sobie życie. Mógł pomyśleć, że jak służby znajdą jego ciało, założą po prostu, że miał wypadek i zmarł.

– Jakby umieranie po upadku z roweru było takie proste – prychnęła Pia.

Jadąc ulicą Neue Mainzer, minęli wieżowce.

– O co właściwie może chodzić z tym kłamstwem, na którym Alexander Rotho parł jakoby całą swoją karierę? – zastanawiał się Bodenstein na głos. – I dlaczego uważał się za „niegodnego”?

– Niegodny... co za dziwny dobór słów, nie sądzisz? – zapytała Pia.

– Hm, a mnie się właśnie wydał bardzo odpowiedni – zaprzeczył Oliver. – O ile dobrze to zrozumiałem, pan Roth uważał, że na coś nie zasłużył. O czym mógł wtedy mówić? O jakimś wyróżnieniu? Czyimś zaufaniu? Zadaniu, którego się podjął, choć było znacznie powyżej jego kompetencji?

– Może myślał o stanowisku redaktora prowadzącego? – podsunęła Pia, jak zawsze pragmatyczna i rzeczowa. – Ten awans musiał wiele osób bardzo zboleć, a on znalazł się nagle w pierwszym szeregu. To wpędziło go w tak ogromny stres, że mimo wieloletniej abstynencji wrócił do picia.

– Nie, nie mogło mu chodzić tylko o to. – Bodenstein pokręcił głową. – Niezależnie od zaangażowania i oddania, to przecież była tylko praca. Nie musiał się zgadzać na tę propozycję. A jak mu nie pasowało, zawsze mógł się zwolnić.

– Ja widzę to trochę inaczej. Dla Alexandra Rotha nowe stanowisko określało jego świadomość. Awans był dla niego tak ważny, że aby nie zaprzepaścić szansy, rzucił na szalę swoją przyjaźń z Heike Wersch. Musiało minąć trochę czasu, zanim do niego dotarło, że nie dorósł do takiej odpowiedzialności i się nie sprawdza. Dla labilnych osobowości takie rozterki wystarczą, żeby instynktownie wybrać ucieczkę. W alkohol albo śmierć.

Dziesięć minut później Pia skręciła z Börsenstrasse w Rahmhofstrasse, a pięćdziesiąt metrów dalej w Schillerstrasse. Niedaleko siedziby wydawnictwa znalazła miejsce parkingowe i wysiedli. Zgodnie z wcześniejszą umową prokurator przesłał nakaz przeszukania w formie pliku PDF na skrzynkę pocztową Bodensteina.

Carl Winterscheid otworzył im drzwi i zaprosił do środka. Pia i Oliver weszli do holu. W niedzielę nikt nie siedział za ladą recepcji. Szef wydawnictwa, ubrany w czarną koszulę i dżinsy w tym samym kolorze, był blady i spięty. Śmierć Alexandra Rotha odcisnęła na nim swoje piętno. Pia i Bodenstein złożyli mu kondolencje. Winterscheid rzucił pobieżnie okiem na nakaz przeszukania, który policjant pokazał mu na ekranie swojego telefonu.

– Róbcie, co trzeba – powiedział. – Nie mam nic przeciwko. Proszę za mną, musimy wjechać na górę.

Idąc do windy, Pia rzuciła okiem na cytat z Nietzschego na ścianie obok schodów.

– O, już zdążył pan wprowadzić poprawkę – zauważyła.

– Słucham? Nie bardzo rozumiem? – Winterscheid spojrzał na nią zdezorientowany.

– Mówię o cytacie – wyjaśniła Pia, wskazując głową na ścianę. *Człowiek jest panem swojej profesji za cenę bycia również jej ofiarą.*

Ktoś opatrzył słowo *panem* gwiazdką, a poniżej umieścił z taką samą gwiazdką słowo *panią*.

– Ach, to! Tak! – Twarz szefa wydawnictwa pojaśniała na chwilę, ale uśmiech zniknął równie szybko, jak się pojawił. – To był pomysł Alexa. Czyli pana Rotha. Wszyscy uznaliśmy, że to świetny kompromis.

– Mnie też się podoba – potaknęła Pia z uśmiechem.

Nagle na klatce schodowej rozległy się czyjeś głosy, a zaraz potem gdzieś powyżej trzasnęły drzwi.

– Ktoś jeszcze jest w wydawnictwie? – zapytał Bodenstein.

– Tak. – Winterscheid wsunął dłonie do kieszeni dżinsów. – Zwołałem posiedzenie kryzysowe. Jest cały zarząd i kierownicy wszystkich działów. Pan Roth był bardzo ważną częścią naszej firmy i wyjątkowo cenionym współpracownikiem. Jego nagła śmierć to duży problem, szczególnie teraz, na chwilę przed targami książki. Odwołanie w ostatniej chwili obecności na targach, nawet ze względu na żalobę, wyrządzi nam trudne do naprawienia szkody. Jeśli nie zrezygnujemy z udziału w imprezie, zarzucą nam brak szacunku. Proszę nie uważać mnie za człowieka pozbawionego uczuć, bo szczerze współczuję rodzinie pana Rotha, jednak jestem odpowiedzialny za całą firmę, a frankfurckie targi książki to jedna z najważniejszych imprez wydawniczych w roku.

– Doskonale pana rozumiemy – zapewnił go Bodenstein.

Śmierć redaktora prowadzącego bardzo poruszyła szefa wydawnictwa i nie dało się tego nie zauważyć, a wzruszenie i smutek próbował zamaskować rozmownością.

– Musimy powiadomić wszystkich autorów, za współpracę z którymi pan Roth był odpowiedzialny. Trzeba przygotować komunikat dla prasy i zamieścić nekrolog. – Carl Winterscheid przygryzł wargę. – Mimo że pani Wersch nie była już naszą pracowniczką, wciąż traktuję ją jako część naszego zespołu. Dwa zgony w ciągu kilku dni to prawdziwa tragedia. Wszyscy jesteśmy tym wstrząśnięci.

Winda zjechała na parter i przy akompaniamencie cichego sygnału rozsunęły się drzwi.

– Pani Domski powiedziała, że jej mąż, po latach abstynencji, znów zaczął sięgać po alkohol – zaczął Bodenstein, kiedy wsiedli. – Przed kilkoma dniami wrócił do domu kompletnie pijany i w rozmowie z żoną stwierdził, że boi się, że wszyscy mogą się dowiedzieć, że jest „niegodny”, i że jego całe życie i cała kariera zostały zbudowane na kłamstwie. Domyśla się pan, co mógł mieć na myśli?

– Nie mam pojęcia. – Carl Winterscheid pokręcił głową. – Też oczywiście zauważyłem, że pan Roth zaczął pić i nawet z nim o tym osobiście rozmawiałem. Zaproponowałem mu pomoc, ale podziękował i zapewnił, że wszystko ma pod kontrolą.

– Może stanowisko redaktora prowadzącego, odpowiedzialnego za plan wydawniczy, to było dla niego zbyt wiele? Może to go zbyt obciążało? – podsunęła Pia.

– Też zadaję sobie to pytanie – przyznał Winterscheid. Zgarbił się, ramiona mu opadły. Wyglądał teraz jak człowiek, który właśnie poniósł porażkę. – I czuję się winny. Bo wydaje mi się, że podejmując taką, a nie inną decyzję personalną, mogłem mieć swój udział w wywołaniu tej katastrofy. Czy Alexander Roth mógł odczuwać nadmierną presję? Czy moja decyzja mogła przyczynić się do wywołania konfliktu lojalnościowego i pośrednio jego powrotu do nałogu?

– Pan Roth miał przecież wybór i mógł odmówić przyjęcia awansu – powiedziała Pia.

– Teoretycznie rzeczywiście mógł to zrobić. – Carl Winterscheid wzruszył ramionami. – Ale byłem pewien, że nie odrzuci mojej oferty. To mu schlebiało. Poza tym nie mógł się doczekać, aż w końcu wyjdzie z cienia Heike Wersch i mojego wuja i stanie na czele.

– No i wiedział pan również, że w ten sposób powstrzyma go pan przed przejściem do nowego wydawnictwa Heike Wersch. – Pia dorzuciła swoją cegielkę

do jego poczucia winy. Zawsze uważała, że przesłuchiwanie ludzi w stanie szoku albo bardzo silnego wzburzenia emocjonalnego jest trochę nie fair. Jednak z drugiej strony, w takich właśnie chwilach, kiedy zawodziły zwykłe mechanizmy obronne mózgu, mogła liczyć na najszczerze odpowiedzi.

– To prawda – przyznał Carl Winterscheid z rozbijającą uczciwością. – To jedna z głównych przyczyn dręczącego mnie poczucia winy. Awans Alexa był decyzją strategiczną, która mogła w konsekwencji doprowadzić do jego śmierci.

W jego słowach próżno było szukać uzalania się nad sobą i żebrania o przebaczenie; to była rzeczowa diagnoza. Młody szef wydawnictwa Winterscheid nie tylko świetnie potrafił zarządzać w sytuacjach kryzysowych, ale też nie cofał się przed przyznaniem się do błędu i umiał wziąć za niego odpowiedzialność. Dokładnie te cechy, a nie wiek czy kwalifikacje, czyniły go świetnym menedżerem.

Wysiedli z windy i ruszyli za Carlem Winterscheidem korytarzem po lewej stronie.

– Czy w budynku działa system monitoringu? – zapytał Bodenstein.

– Nie. Mamy system alarmowy, ale to wszystko. Mój wuj niestety nie inwestował w infrastrukturę. Wszystko jest przestarzałe. A dla mnie wyższy priorytet niż systemy bezpieczeństwa miały nowoczesne rozwiązania informatyczne. – Winterscheid zatrzymał się przed drzwiami biura Alexandra Rotha i uniósł rękę, by je otworzyć.

– Proszę nie dotykać klamki! – zawołała ostrzegawczo policjantka, na co Carl Winterscheid szybko cofnął ramię.

Pia i Bodenstein wciągnęli rękawiczki jednorazowe i otworzyli drzwi. Biuro wyglądało identycznie jak w piątek, kiedy Pia tu była. Na szafkach z aktami, komodzie i stole z dwoma krzesłami piętrzyły się książki i papiery. Za to biurko było starannie uprzątnięte. Pia wysunęła po kolei szuflady pomocnika na kółkach i zajrzała pod podkładkę na biurku. Bodenstein czubkiem buta wysunął spod biurka kosz na śmieci i zajrzał do środka. Był pusty.

W drzwiach obok Carla Winterscheida pojawił się wysoki, szczupły mężczyzna około pięćdziesiątki w marynarce, białej koszuli i czarnym krawacie.

– Pozwoliłem sobie wezwać Waldemara Bära – oznajmił szef wydawnictwa, przedstawiając nieznanego. – Pan Waldemar od przeszło trzydziestu lat jest

dobrą duszą naszej siedziby i zna to miejsce znacznie lepiej ode mnie. Bez trudu odpowie na wszystkie pytania.

– Świetnie. – Bodenstein skinął głową. – Dziękuję, że znalazł pan dla nas czas mimo weekendu, panie Bär.

– W ogóle nie ma o czym mówić – zapewnił go gospodarz budynku uprzejmie.

Jego wąska twarz była blada i pozbawiona wyrazu, a poza głęboko osadzonymi ciemnymi oczyma, ukrytymi pod gęstymi brwiami, i zadbanymi wąsami, wydała się Pii w każdym aspekcie zupełnie przeciętna.

Telefon Winterscheida zaczął buczeć i wibrować. Mężczyzna spojrzął na ekran, po czym przeprosił, że musi iść, i zapewnił, że w razie potrzeby pozostaje do dyspozycji. Potem odwrócił się i spiesznym krokiem ruszył w stronę klatki schodowej, by odebrać połączenie.

Waldemar Bär dalej stał w drzwiach.

– Proszę, niech pan wejdzie do biura – zaprosiła go Pia. – Czy cokolwiek wydaje się tu panu nie na miejscu? Jest tu inaczej niż na co dzień?

Mężczyzna przekroczył próg pomieszczenia i rozejrzał się uważnie. Przesunął wzrokiem po biurku, podłodze, regałach i zatrzymał wzrok na niszczarce do papieru, która stała obok kosza na śmieci.

– W niszczarce jest papier – stwierdził. – Do obowiązków pracowników firmy sprzątajacej należy opróżnianie koszy na śmieci i pojemników niszczarek.

– O której godzinie sprzątają biura?

– Zazwyczaj kończą około dziewiętnastej.

– O której godzinie wyszedł pan z wydawnictwa w zeszły piątek?

– O wpół do szóstej wieczorem. Mam jeszcze obowiązki w willi.

Czy mogło to oznaczać, że Roth został w piątek dłużej w pracy i że to on niszczył dokumenty? Nie byłoby w tym niczego podejrzanego. Teoretycznie każdy z pracowników wydawnictwa mógłby skorzystać z niszczarki w gabinecie Alexandra Rotha, tylko dlaczego ktokolwiek miałby to robić? Pia przypomniała sobie, że przed kilkoma laty zarekwirowała zawartość pojemnika niszczarki do papieru, by potem korzystając z żelazka parowego poświęcić się mrówczej pracy i zrekonstruować pocięty dokument. Dalsze rozpytanie gospodarza budynku Pia pozostawiła Bodensteinowi. Z biegiem lat nauczyli się rozpoznawać, kto lepiej reagował na nią, a komu swobodniej przychodziła rozmowa z szefem. Tym razem

Pia nie miała wątpliwości, że dla kulturalnego i uprzejmego pana Bära doskonałym rozmówcą będzie kulturalny i uprzejmy pan von Bodenstein. Pia otworzyła niszczarkę, wyjęła pojemnik na odpady i ostrożnie przełożyła rozdrobniony papier do woreczka na dowody, starając się przy tym nie mieszać pociętych kawałeczków.

– Panie Bär, zechciałby mi pan powiedzieć, od jak dawna znał pan zmarłego? – zapytał Bodenstein.

– Niemalże całe życie. Pan Roth od czasów przedszkola przyjaźnił się z paniczem Götzem Winterscheidem – odparł Waldemar Bär. – Ja dorastałem w willi państwa Winterscheidów, ponieważ już moi rodzice służyli tej rodzinie. Od 1988 roku jestem ich pracownikiem i odpowiadam za siedzibę wydawnictwa oraz willę w Grüneburgpark.

– Kiedy widział pan pana Rotha po raz ostatni?

– W piątek późnym popołudniem – przypomniał sobie gospodarz budynku. – Przeszedł obok mojego biura do tylnego wyjścia, prowadzącego do zaplecza sanitarnego. Wracając kilka minut później, zajrzał do mnie i życzył mi miłego weekendu, co mnie trochę zdziwiło.

– Dlaczego? Czy to nie było normalne zachowanie w przypadku pana Rotha?

– Nie. Jedynymi osobami, które tak się zachowują, są pan Winterscheid, jego kuzynka, dyrektor do spraw handlowych, pani Winterscheid-Fink, oraz pani Bremora, młoda redaktorka. Pozostali pracownicy życzą mi miłego weekendu albo wieczoru, tylko jeśli wpadną na mnie na korytarzu.

– Czy zaobserwował pan ostatnio zmianę w zachowaniu pana Rotha?

– Owszem, nie był taki jak dawniej.

– W jakim sensie?

– Nie chciałem być niedyskretny, tym bardziej że to przecież moje subiektywne odczucia... – Waldemar Bär zawahał się i kciukiem oraz palcem wskazującym wygładził wąsy. – Otóż miałem wrażenie, że po odejściu pani Wersch... że praca nie sprawiała mu już przyjemności. Często był pogrążony w myślach. Przybity. Tak, jakby wręcz załamany.

Waldemar Bär spojrzał na Pię, która otwierała wszystkie szuflady, jedną po drugiej, i zaglądała do wszystkich szafek.

– Ponoć również wrócił do nadużywania alkoholu? – zapytał Bodenstein.

– Tak jest, niestety. – Gospodarz budynku potaknął z żalem.

– Kiedy mniej więcej do tego doszło?

– Zaczęło się w połowie czerwca. Krótco po tym, jak objął nowe stanowisko. Wtedy zacząłem widywać puste butelki po wódce w kontenerze na śmieci. Od razu skojarzyłem, że to musiała być sprawka pana Rotha, bo chodziło o jego ulubioną wcześniej markę tego alkoholu.

– Czy odbył pan z nim rozmowę na ten temat albo podzielił się pan z kimś tą wiedzą?

Pia ledwie powstrzymywała śmiech, słysząc elegancki, poprawny język, kiedy Bodenstein dostosowywał swój sposób mówienia do sposobu wyrażania się gospodarza budynku.

– Ależ skąd! – Pan Bär potrząsnął energicznie głową. – Takie zachowanie nie przystoi. Ja jestem przecież jedynie odpowiedzialny za budynek. Troszczę się o to, żeby wszystko działało jak należy. I nigdy nie rozmawiałbym z nikim o czymś, co przypadkowo zasłyszałem, chyba że dotyczyłoby to zakresu moich obowiązków.

Pia niespodziewanie zwróciła uwagę na cichy szum. Znieruchomiała i zaczęła nasłuchiwać. Tak, to brzmiało jak działająca lodówka. Skąd dobiegał ten dźwięk?

– Mimo to jestem przekonany, że sporo nieoficjalnych informacji dociera przypadkowo do pańskich uszu, nieprawdaż? – zapytał Bodenstein.

– Cóż, stałem się po części jakby elementem wyposażenia. – Gospodarz budynku zmusił się do słabego uśmiechu. – Pracownicy prawie mnie nie zauważają, kiedy jestem w pobliżu i nie ściszą głośno, kiedy rozmawiają w mojej obecności. Ale dlatego właśnie nauczyłem się nie przysłuchiwać.

Choć Waldemar Bär zapewniał o swojej dyskrecji godnej lokaja królowej Anglii, Bodenstein i tak zdołał wyciągnąć z niego kilka informacji na temat Alexandra Rotha, które jednak tylko potwierdziły to, co i tak już wiedzieli. Kiedy jednak rozmowa zesła na Heike Wersch, twarz gospodarza budynku wyraźnie stężała.

– Zachowanie pani Wersch stało się powodem mojego ogromnego rozczarowania jej osobą – oznajmił oficjalnie. – Nie gryzie się ręki, która przez tyle lat kogoś karmi. To jednak tylko moje skromne zdanie.

– Bardzo dziękuję za rozmowę i informacje, panie Bär. – Bodenstein się uśmiechnął. Wiedział, że w tej chwili i tak niczego więcej by z niego nie wydobył. – Jak skończymy pracę, zapieczętujemy biuro pana Rotha. Może uda się jeszcze

dzisiaj, a jeśli nie, to dopiero jutro podjadą tu technicy kryminalistyki, żeby zabezpieczyć ślady. Zechciałby pan pokazać nam teraz pojemnik na odpady, w którym zauważył pan butelki po wódce?

– Ależ oczywiście.

W tym czasie Pii udało się zlokalizować lodówkę ukrytą pod stołem. Ze sprawdzeniem jej zawartości poczekała, aż gospodarz budynku i Oliver wyjdą z biura. Dopiero wtedy odsunęła krzesła i przykucnęła, by zajrzeć do lodówki wielkością przypominającą hotelowe minibarki. Na jej zawartość składała się jedna butelka szampana, jedna butelka białego wina i trzy butelki wody mineralnej. Wszystkie zamknięte. W zamrażalniku leżała pojedyncza, w połowie opróżniona butelka 0,7 litra wódki marki Black Moose Vodka. Kiedy ją ostrożnie wyjęła, przewrócił się worek z kostkami lodu. Pia zauważyła, że coś za nim leży, więc nachyliła się, żeby mieć lepszy widok. Srebrny przedmiot zamknięty w woreczku strunowym. Tylko co to właściwie było? Sięgnęła po telefon, zrobiła kilka zdjęć, po czym ostrożnie wyjęła przedmiot z zamrażalnika. Kiedy zorientowała się, co trzyma w dłoniach, serce zaczęło jej walić jak dzikie. Miała wrażenie, że nagle wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsca. Wyjęła z plecaka torebkę na dowody, opisała ją i umieściła w środku worek strunowy z zamrażalnika. Dopiero wtedy zamknęła drzwi lodówki.

– Pia? – W progu biura pojawił się Bodenstein. – Gdzie ty się...?

– Spójrz tylko, co znalazłam w zamrażalniku. Woreczek foliowy ukryty za butelką wódki i pod kostkami lodu – przerwała mu Pia i uniosła torebkę z zabezpieczonym przedmiotem.

– Co to takiego? – Bodenstein, mrużąc oczy, przyglądał się jej zdobyczy.

– Powiedziałabym, że to tłuczek do kotletów, wykonany ze stali nierdzewnej – odparła. – Końcówka do uderzania jest płaska, kwadratowa i na moje oko krawędzie mają po około cztery centymetry.

*

Było już późne popołudnie, kiedy Oliver, Pia i pozostali współpracownicy, którzy od rana przeszukiwali dom Heike Wersch, wrócili do komisariatu. Bodenstein zarządził odprawę, by zebrać i uporządkować najnowsze ustalenia.

Kai Ostermann zszedł akurat na parter do automatu po colę, więc się od razu przyłączył.

– Co w piwnicy porabia NPNO? – zainteresował się Tarik w drodze na drugie piętro, gdzie mieściły się biura wydziału. Tajemnicze skróty i anagramy były dość popularne w policyjnym żargonie, a dyrektorka Engel pałała do nich szczególnym uczuciem.

– Obawiam się, że nie zrozumiałam pytania – powiedziała doktor Engel.

– E, nic takiego – mruknął zmieszany Tarik i się zaczerwienił. Nie zauważył, że główna szefowa razem z nimi weszła do klatki schodowej. – Taki żarcik.

– Co oznacza ten skrót? – Dyrektorka nie dawała za wygraną.

– Największego Pisarza Naszej Ojczyzny – wyrzucił z siebie Tarik. Cem, Kathrin i Pia uśmiechnęli się szyderczo za plecami Nicoli.

– Kolega robi sobie ze mnie żarty! – zarzuciła dyrektorka Tarikowi, po czym błyskawicznie się odwróciła. – Wy też!

– A tak na marginesie, miała pani okazję zapytać żurawia o perukę pani Wersch? – przypomniała sobie Pia.

– Owszem, miałam – odparła Nicola Engel. – Pan Welten, bo tak się ten człowiek nazywa i warto by było, żeby pani w końcu nauczyła się tego na pamięć, dopiero tamtego wieczoru dowiedział się, że jego redaktorka nosi perukę. Nigdy wcześniej nie widział jej bez niej i był bardzo zaskoczony, kiedy stanęła przed nim w krótko ostrzyżonych siwych włosach.

– Cały czas utrzymuje, że to on ją zabił? – zapytał Bodenstein i otworzył drzwi, by wpuścić szefową na korytarz, przy którym znajdowały się ich biura.

– Tak. – Nicola Engel wzruszyła ramionami. – Ma do tego prawo. Skoro to go inspiruje, nie widzę przeciwwskazań.

– Oby tylko pewnego dnia nie przyszło mu do głowy popełnić prawdziwej zbrodni, by przezwyciężyć kolejną blokadę twórczą – mruknął Kai, za co szefowa skarciła go ostrym spojrzeniem.

Razem weszli do sali odpraw i usiedli przy stole. Pia zdała relację z wizyty w wydawnictwie i powiedziała, co tam znaleźli, a Kai dopisał szybko nazwisko gospodarza budynku do listy osób wymienionych na tablicy.

W kontenerze na odpady, stojącym na dziedzińcu wydawnictwa, technicy zabezpieczyli trzy puste butelki po wódce marki Black Moose i zabrali je do badań.

Pia i Bodenstein przekazali biuro denata Krögerowi i jego ludziom, a sami zabrali tłuczek do mięsa i udali się z nim do Instytutu Medycyny Sądowej, gdzie Ronnie Böhme wyciągnął w chłodni szufladę ze zwłokami Heike Wersch, a Henning porównał kształt i krawędzie złamań czaszki i ślady po uderzeniach z końcówką kuchennego narzędzia. Wszystko zgadzało się co do milimetra, więc bez najmniejszych wątpliwości policja dysponowała już narzędziem zbrodni.

– Gratulacje – powiedziała doktor Nicola Engel. – Można uznać, że sprawa została rozwiązana.

– I to jak zgrabnie się wszystko potoczyło! Morderca też już nie żyje – zauważyła Pia z lekką ironią w głosie, na co szefowa uniosła brwi i zmierzyła ją pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

Bodenstein powstrzymał się od komentarza. Jego przełożona bezustannie obawiała się złej prasy i wyraźnie była zadowolona, że jej ulubiony autor został oczyszczony z podejrzeń o popełnienie morderstwa. Oliver czuł jednak, że wciąż pozostawało zbyt wiele pytań, na które należało znaleźć odpowiedzi, by mieć pewność, że Alexandra Rotha rzeczywiście można uznać za mordercę Heike Wersch. Czy w poniedziałek wieczorem mógł jeszcze wrócić do swojej długoletniej przyjaciółki, by po kilku głębszych dla kurażu w bestialski sposób pozbawić ją życia?

– Ale przecież Roth bardzo się z nią lubił, prawda? Byli nawet przyjaciółmi – zauważyła Kathrin.

– Przyjaciółmi! – prychnęła Pia pogardliwie. – Już nie mogę o tym słuchać! Co to niby miało oznaczać? Znali się od bardzo dawna, zgoda, ale to nie świadczy o tym, że się lubili! Moim zdaniem oni ze sobą konkurowali i wręcz się nie znosili! A tak pod rozwagę: jeśli jest się z kimś zaprzyjaźnionym, to się raczej nie ukrywa przed tą osobą, że ma się w domu chorego ojca i od lat się nim opiekuje, prawda?

Odpowiedzią na jej pytanie były wzruszenia ramion i niepewne potaknięcia.

– Cem – zwróciła się Pia do kolegi. – Spotkałeś się z Rothem, widziałeś go i rozmawiałeś z nim. Czy uznałbyś, że byłby zdolny do zapakowania do bagażnika zakrwawionych zwłok starej przyjaciółki, którą dopiero co zatłukł na śmierć, wywiezienia jej do lasu, wyciągnięcia i zrzucenia do wąwozu, a potem powrotu na miejsce zbrodni, by z pełnym spokojem umyć kuchnię do czysta?

– Nie. – Cem potrząsnął głową. – Ja w ogóle uważam, że nie potrafiłby nikogo zatłuc, to na początek.

– A niby dlaczego nie? – zapytała Nicola Engel.

– Bo to nie taki typ człowieka – wyjaśnił policjant. – To był delikatny facet z dłońmi nieskażonymi ciężką pracą. Intelktualista...

– Co za bzdury – przerwała mu dyrektorka. – Doskonale pan wie, że mieszanina alkoholu i złości potrafi zmienić człowieka w zwierzę.

– Może żona mu pomogła? – zasugerował Bodenstein, wciągając do układanki swoją główną podejrzaną. – Paula Domski pała nienawiścią do dawnych przyjaciół męża i wcale się z tym nie kryje. A Heike Wersch obwinia za powrót męża do picia.

– Ale przecież zależało jej, żeby Heike Wersch dzień później pojawiła się w jej programie – przypomniał wszystkim Tarik.

– Ciekawe, czy rzeczywiście tego chciała – rozważał Bodenstein na głos. – Heike Wersch przez całe lata kradła jej zainteresowanie widzów. Ludzie włączali telewizory tylko po to, żeby oglądać ją, a nie Paulę Domski, i to mimo że w tytule programu było jej imię. A jak Heike odeszła z zespołu, oglądalność poleciała na łeb na szyję.

– Czyli motywem byłaby zazdrość – stwierdził Kai. – To by nawet pasowało do przesadnej brutalności czynu. Jak z jej alibi?

– Tak słabe, że samo się sypie od patrzenia. – Bodenstein się uśmiechnął. – Poniedziałkowy wieczór miała ponoć spędzić samotnie, przygotowując się do programu następnego dnia.

– A co z alibi jej męża na ten wieczór? – zapytała Nicola Engel.

– Rozmawialiśmy z barmanem w Bad Soden i pokazaliśmy mu zdjęcia Rotha – zabrał głos Tarik. – Przed wpół do siódmej był w sportowym pubie, niedaleko domu pani Wersch. Wypił dwie wódki z tonikiem, zapłacił gotówką i wyszedł. Poza tym jednym lokalem nikt nie mógł go sobie przypomnieć.

– We wtorek o drugiej czterdzieści pięć nad ranem patrol policji znalazł go w Bad Soden, niedaleko szkoły podstawowej imienia Otfrieda Preusslera, skąd został przetransportowany do Niederhöchstadt, bo nie chciał, żeby odwozili go prosto do domu. – Kai otworzył protokół z zatrzymania spisany przez kolegów z Niederhöchstadt, który został już wprowadzony do komputerowego systemu obiegu dokumentów, więc mógł wyświetlić go na ekranie. – Był pijany, ale

spokojny. Nie przeprowadzono badania krwi, bo nie prowadził samochodu. Zgodnie z raportem, w czasie zatrzymania miał przy sobie coś kształtem przypominającego saszetkę.

– Co było w środku? – dopytywała się Nicola Engel.

– Hm... – Kai przesunął wzrokiem po ekranie. – W raporcie nie ma o tym wzmianki.

– Proszę skontaktować się z funkcjonariuszami odpowiedzialnymi za to zatrzymanie i ustalić, czy widzieli zawartość jego saszetki, czy nie – poleciła dyrektorka. – Młotek do rozbijania kotletów na pewno zwróciłby ich uwagę. Poza tym, w jaki właściwie sposób pan Roth dostał się do Bad Soden?

– Zapytam ich o to – potwierdził Kai. – A co do transportu, to podejrzewamy, że dotarł tam kolejką miejską. Roth nie posiadał prawa jazdy. Zostało mu odebrane po tym, jak dwukrotnie został złapany za kółkiem pod wpływem alkoholu. Dlatego do pracy dojeżdżał rowerem albo kolejką miejską S-Bahn.

– Mamy jakieś informacje na temat stacji przekaźnikowych, do jakich logował się jego telefon? – zapytał Bodenstein.

– Już wystąpiłem o te dane do operatora – poinformował go Kai. – Poprosiłem też o przekazanie raportu kolegów, którzy pierwsi byli na miejscu w sobotę rano w Liederbach, gdzie został znaleziony.

– Puste butelki po wódce i jedna w połowie pełna z lodówki w jego biurze są już w drodze do laboratorium, podobnie jak tłuczek do mięsa i zawartość niszczarki do dokumentów – zgłosił się Kröger. – Pierwsze wyniki powinniśmy mieć najpóźniej jutro.

– Henning uważa, że Roth pierwszą dawkę metanolu musiał przyjąć już w czwartek – dodała Pia. – Do wypadku doszło najprawdopodobniej dlatego, że stracił przytomność na skutek duszności i uszkodzenia systemu nerwowego. Do czasu znalezienia go przy drodze uszkodzenia mózgu pogłębiły się do tego stopnia, że stały się nieodwracalne.

– Czy doktor Kirchhoff miał pomysł, w jaki sposób mogło dojść do zatrucia metanolem? – dopytywała się Nicola Engel.

– Nie. Jednak istnieje prawdopodobieństwo, że wypił chrzczony alkohol – wyjaśniła Pia.

– Jego ulubiona wódka, Black Moose, to luksusowa marka, tak zwana wódka jakościowa, a nie jakiś bimber – zauważył Kröger.

– Co nie znaczy, że w czwartek nie mógł napić się jakiegoś bimbru – zaprotestował Bodenstein. – Albo celowo się zatrzał, bo uznał, że niemaskowane samobójstwo byłoby zbyt ostentacyjne. A metanol bez problemu da się kupić na przykład w sklepach modelarskich.

– Absurdalna teoria! – Nicola Engel pokręciła głową. – Dlaczego miałby wybrać tak bolesny i rozwleczony w czasie sposób odebrania sobie życia?

– Może chciał w ten sposób odpokutować za mord na Heike Wersch i inne przewinienia? – zasugerował Bodenstein. – Alexander Roth był pełen poczucia winy. Czuł się „niegodny”, co wiemy od jego żony. A jeśli nie jest się w takim stanie, żeby pod wpływem impulsu odebrać sobie życie, sięga się po metodę bardziej wynikającą z kalkulacji.

Dyrektorka zmierzyła Olivera pełnym wątpliwości spojrzeniem.

– Trafiliście w domu Heike Wersch na coś interesującego? – Pia zwróciła się do reszty zespołu.

– Znaleźliśmy klucz do skrytki bankowej – pochwalił się Tarik.

– Poza tym zabezpieczyliśmy segregator z planami dotyczącymi założenia nowego wydawnictwa – dodał Cem. – Heike Wersch była bardzo zorganizowaną osobą. Przygotowana przez nią dokumentacja jest pełna i szczegółowa. Wyobraźcie sobie, że prowadziła nawet teczkę, w której skrupulatnie gromadziła całą dokumentację sporów prawnych z Marcelem Jahnem. W kwietniu złożyła w swoim banku wniosek o przyznanie kredytu na pięćset tysięcy euro, ale spotkała się z odmową, mimo że chciała tej pożyczki pod zastaw domu.

– W kwietniu? – upewnił się Bodenstein. – A z pracy została zwolniona dopiero pod koniec czerwca.

– Zgadza się, bo wyleciała dopiero wtedy, kiedy zarząd dowiedział się o jej planach założenia nowego wydawnictwa – przypomniała mu Pia.

– No tak, racja – potaknął szef, na co dyrektorka ponownie zmierzyła go krytycznym spojrzeniem.

– Strych jest cały zastawiony zakurzonymi kartonami – kontynuował Cem. – W środku znaleźliśmy albumy ze zdjęciami i jakieś pamiątki, część z bardzo dawnych czasów, część nieco nowszych. Wszystkie oczywiście przejrzymy.

– Laptop pani Wersch wrócił z laboratorium – powiedział Kai. – Ponieważ jest już pewne, że nie był narzędziem zbrodni, będę mógł się nim zająć. Powiniennem poradzić sobie ze złamaniem zabezpieczeń programu pocztowego, a to da nam dostęp do jej korespondencji.

– W jej domu znaleźliśmy listę haseł – zauważyła przytomnie Kathrin. – Jeśli uda się uratować jej telefon i go uruchomić, powinniśmy móc go odblokować i przeczytać wszystkie wiadomości.

– Świetnie. – Doktor Engel wstała. – Proszę informować mnie na bieżąco. Kolego Bodenstein, proszę do mnie do biura, jeśli znajdzie pan chwilkę.

– Oczywiście. – Bodenstein wstał i wyszedł za nią, a Pia zajęła się rozdzielaniem zadań na kolejny dzień.

*

Bodenstein już od dłuższego czasu spodziewał się, że Nicola będzie chciała wiedzieć, co się z nim dzieje i czekał na to, aż zapyta, jednak cały czas cieniem na tę sprawę rzucała się ich wspólna przeszłość. Gdyby była to zwykła młodzięcza miłość, Nicola dawno by ją przeboleła i zapomniała, jednak Bodenstein zakończył wtedy gwałtownie ich dwuletni związek, bo po uszy zakochał się w Cosimie, po czym zaledwie kilka miesięcy później się z nią ożenił i zaraz potem został ojcem. I choć minęło już trzydzieści pięć lat od tamtej historii, dyrektor Engel wciąż nie poradziła sobie z tą porażką i dalej nie mogła ścierpieć byłej żony Bodensteina. Z tego też powodu Oliver nie zdecydował się wcześniej powiadomić jej o sprawie, która tak bardzo go absorbowała.

– Mam wrażenie, że jesteś ostatnio strasznie rozkojarzony – zaczęła Nicola, kiedy zamknął za sobą drzwi jej gabinetu. – Co się z tobą dzieje?

– Cosima ma raka wątroby – wyjaśnił wprost. – Niedługo pójdę na jakiś czas na zwolnienie, bo zdecydowałem się zostać dawcą wątroby do przeszczepu.

– Że co... proszę?! – Kobieta spoglądała na niego kompletnie zaskoczona. – Cosima ma raka? Od kiedy o tym wiesz?

– Od kilku tygodni – przyznał się Bodenstein. – Ona sama dowiedziała się o tym przez czysty przypadek. Podejrzewamy, że to skutek przebytego dawno temu zapalenia wątroby, które złapała na jednej ze swoich wypraw.

– O, Boże... nawet nie wiesz, jak mi przykro – zapewniła go Nicola i żeby podkreślić szczerą swych słów, przycisnęła dłoń do piersi. Bodenstein, który spodziewał się zupełnie odmiennej, raczej chłodnej reakcji szefowej, poczuł wzruszenie.

– Przeszczep wątroby to jej jedyna szansa – powiedział. – Została wpisana na listę oczekujących Eurotransplantu, ale nikt nie wie, ile to potrwa, zanim znajdzie się odpowiedni dawca, od którego będzie można pobrać wątrobę. Zgodnie z prawem, żywym dawcą może zostać jedynie członek rodziny, dlatego dzieci i ja poddaliśmy się testom na zgodność. W moim przypadku wszystkie parametry się zgadzają. I w zasadzie teraz czekamy już tylko na to, żeby Cosima odzyskała siły po ostatniej chemioterapii, przynajmniej na tyle, by mogła przetrwać operację. Teraz to już jest wyścig z czasem.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego mi wcześniej o tym nie powiedziałaś! Będiesz dawcą wątroby! Czekają cię całe tygodnie w szpitalu! – Nicola opuściła dłonie. – Prawdę mówiąc, sądziłam, że z czasem nabraliśmy do siebie więcej zaufania.

Czuła się urażona. A Bodenstein wiedział, że nie bez racji.

– Nie znosiłaś Cosimy – zauważył.

– Z powodów, które są obiektywnie uzasadnione – odparła Nicola. – Ale to było dawno temu i w tej chwili nie ma już znaczenia. I szczerze mówiąc, nie martwię się o Cosimę, tylko o ciebie. Taka operacja to spore ryzyko, a ty, wybac mi, proszę, dosadność, nie jesteś już najmłodszy.

– Za dwa lata rzeczywiście byłbym za stary, żeby się zakwalifikować – odparł Bodenstein. – Szczęście w nieszczęściu, wątroba się odradza i wraca do pierwotnej wielkości, a ja jestem w świetnej formie. Mam za sobą wszystkie konieczne badania, więc lekarze dali mi zielone światło.

– Co na to twoja żona? – zainteresowała się Cosima.

– O niczym nie ma pojęcia. – Bodenstein przysiadł na krawędzi stołu. – Przedwczoraj wyprowadziłem się z domu. Moje małżeństwo z Karoline dobiegło końca.

– Dlaczego? Co się stało? – Tym razem Nicola nawet nie próbowała ukryć szoku. – Przecież byliście razem tacy szczęśliwi! Chyba niecały rok temu mówiłaś mi jeszcze, że udało wam się pokonać wszystkie problemy i w końcu wszystko jest super?

– Myliłem się, niestety – odparł Bodenstein. – Karoline jest zazdrosna o czas, jaki spędzam z rodziną. A ja chcę spędzać czas z rodziną. Chcę widzieć, jak rosną mi wnuki, a ona zawsze odmawiała, kiedy prosiłem, żeby pojechała tam ze mną. Poza tym robiła mi chore sceny, kiedy wypadła mi jakaś rodzinna uroczystość albo święto. Do tego stopnia, że czasem dla świętego spokoju wolałem zostać w domu.

Potem opowiedział Nicoli o problemach z córką Karoline, Gretą, choć wiedział, że może być zdolna wykorzystać tę wiedzę przeciwko niemu w chwili, kiedy najmniej będzie się tego spodziewał.

– Karoline nie chciała zrozumieć, że poza przyjaźnią i dziećmi nic mnie już z Cosimą nie łączy. A przecież wiedziała o tym od samego początku.

– Dziwne, przecież sama też ma byłego męża, z którym jakiś kontakt chyba utrzymuje, prawda?

– Oczywiście, że tak. A ja nie miałem z tym żadnego problemu. – Bodenstein skinął głową. – Tak to już jest, gdy dojrzały człowiek wejdzie w kolejny związek. Każdy ma jakąś przeszłość. Tutaj problem jest inny i dotyczy tego, że Karoline i Greta nie zamierzały podejmować żadnych prób uporania się ze swoją traumą. Ich obawa przed utratą bliskiej osoby, zazdrość, w zasadzie wszystkie ich problemy są zrozumiałe: wystarczy mieć na względzie, przez co obie przeszły. Nie mogę za to zrozumieć, dlaczego żadna z nich nie szukała profesjonalnej pomocy.

– Dlatego, że zmierzenie się z własnymi problemami jest bolesne, wymaga czasu, pracy i wysiłku. – Nicola usiadła na jednym z krzeseł dla interesantów. – Dokładnie przez to samo przechodziłam z Kim. I ona też nie była gotowa zmierzyć się ze swoją przeszłością. Zamiast próbować, wypierała to wszystko albo po prostu uciekała, bo to w końcu znacznie wygodniejsze. Ukrywała przede mną nawet to, że ma córkę. A potem, zamiast zająć się dzieckiem i zbudować z nim jakieś stosunki, wsiadła w samolot i poleciała do Ameryki. Od tamtego czasu ani razu się do mnie nie odezwała.

– Ty przez długi czas też się tak zachowywałaś – zauważył Bodenstein.

– To prawda. Stanowczo zbyt długo. – Nicola westchnęła. – Człowiek w naturalny sposób wzbrania się przed przyznaniem się do pomyłki i do tego, że popełnił błąd. I zawsze ma nadzieję, że to druga strona się zmieni. Na próżno. Ludzie się nie zmieniają. Kiedy wiadomo, że partner czy partnerka ciągną nas

w dół, trzeba podjąć decyzję. W naszym wieku nie mamy już czasu, żeby w nieskończoność czekać na poprawę.

Spojrzeni na siebie ze zrozumieniem.

– W pojedynkę jest mi znacznie lepiej – wyznała Nicola.

– Mnie chyba też – potaknął Bodenstein.

– Już nigdy nie zamierzam marnować czasu, pozwalając innym decydować o moim życiu – dodała Nicola. – I chociaż zdarzało mi się patrzeć z zazdrością na ludzi, którzy mają dzieci, dzisiaj się cieszę, że sama ich nie mam.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, zatopieni w rozmyślaniach, a Bodenstein spoglądał na jej profil. Jak wyglądałoby jego życie, gdyby los nie postawił wtedy na jego drodze Cosimy? Związek z Nicolą najprawdopodobniej i tak nie przetrwałby próby czasu. Czy spotkałby inną kobietę, z którą nie tylko założyliby rodzinę, ale i stworzyli wspólne grono przyjaciół? Jemu i Cosimie nigdy się to nie udało. Ona zawsze miała swoich znajomych i znajome z pracy, z którymi od czasu do czasu trzeba było się spotkać. Ale w przyjaźń należy przecież zainwestować sporo czasu – czasu, którego z kolei on nigdy nie miał. Potrzeby dzieci, utrzymanie domu i praca nie pozostawiały mu miejsca na dbanie o przyjaźnie. Nigdy też nie miał przez to prawdziwego przyjaciela, kumpla, z którym mógłby pogadać o swoich problemach.

Bodenstein pomyślał o Heike Wersch, Alexandrze Rocie i ich gronie znajomych – Odwiecznych – o których Paula Domski była bardzo zazdrosna. Poznali się jeszcze w szkole i od tamtego czasu nigdy nie stracili ze sobą kontaktu, nawet wtedy, kiedy mężczyźni się pożenili, a kobiety powychodziły za mąż, a potem urodziły im się dzieci. Tylko co ich tak naprawdę łączyło? Czy wspomnienia przeżyć z czasów młodości były wystarczającym spoiwem dla przyjaźni na całe życie? A może raczej było to grono zwykłych znajomych żyjących mitem wspólnej przeszłości? No właśnie, ale dlaczego? Przynajmniej jedna z nich, Heike Wersch, nie dzieliła się wszystkim z pozostałymi, a kiedy potrzebowała wsparcia, ani jedna osoba z całej grupy nie była gotowa jej pomóc.

– Kiedy spodziewasz się operacji? – Nicola przerwała ciszę.

– Tak, jak mówiłem: czekamy, aż stan Cosimy się ustabilizuje – wyjaśnił Bodenstein. – Od kilku dni jej wyniki poprawiają się powoli, ale stale. Gdy będę miał jakieś konkretne informacje, dam ci zaraz znać.

– Chcesz do tego czasu iść na zwolnienie? – zapytała dyrektorka.

– Nie, nie ma takiej potrzeby. – Przeraziła go sama myśl, że miałby teraz siedzieć beczynnie i czekać na telefon ze szpitala. – Gdy przyjdzie czas, Pia przejmie kierowanie dochodzeniem.

– Czyli ją też już wtajemniczyłeś? – W głosie Nicoli słychać było lekki wyrzut.

– Tak, ale też dopiero co – odparł Bodenstein. – Nie miałem pojęcia, jak zareagujesz, dlatego podświadomie odsuwałem tę rozmowę, jak mogłem. Mimo wszystko cieszę się teraz, że już wiesz. I bardzo ci dziękuję za zrozumienie.

Oboje wstali.

– Powiedziałaabyś, że jesteśmy przyjaciółmi? – zapytał Bodenstein, kiedy Nicola sięgała już do klamki, by go wypuścić.

– Sama nie wiem... – Cofnęła rękę. – Jestem twoją przełożoną. A kiedyś byłam twoją narzeczoną. W zasadzie to nie, nie sędzę, żebyśmy byli przyjaciółmi w pełnym znaczeniu tego słowa. Choć możliwe, że jesteśmy czymś więcej, bo nie mamy wobec siebie żadnych oczekiwań i wymagań. Wolę mieć dobrych i niezawodnych współpracowników i współpracowniczki niż przyjaciół, którzy nie mają pojęcia, co oznacza praca w policji, szczególnie w naszym wydziale, jak wygląda prowadzenie dochodzenia, jak to jest nie mieć żadnych wolnych wieczorów ani weekendów i na dodatek często służyć opinii publicznej za chłopca do bicia.

Bodenstein skinął powoli głową, po czym na jego twarzy pojawił się uśmiech. Nicola miała rację. Nikt z jego otoczenia w prywatnym życiu nie miał bladego pojęcia, jak mógł się czuć, wyciągając z Menu ciało zgwałconej nastolatki czy polując na psychopatę strzelającego do niewinnych ludzi z karabinu snajperskiego. Tylko koledzy i koleżanki z pracy potrafili zrozumieć, że takich rzeczy nie zostawia się na fajrant w biurze, tylko nosi się wszędzie ze sobą. Oni wiedzieli, że czasem trzeba zostać na noc w pracy albo w weekend wzięć udział w sekcji zwłok czy być przy oględzinach rozkładającego się ciała. W zasadzie nie mógł się dziwić, że jego wszystkie dotychczasowe związki były skazane na niepowodzenie.

– Dobranoc – pożegnała go Nicola. – Widzimy się jutro rano.

– Tobie również dobrej nocy – odparł. – Do zobaczenia.

– Ach, Oliverze, jeszcze jedno. – Dyrektorka zatrzymała go w drzwiach. – Nie mogłam ścierpieć Cosimy, bo mi cię wtedy odebrała. Ale dawno jej to już wybaczyłam i zapomniałam. Szczerze wam życzę, żeby wyzdrowiała. Przekaż jej to, proszę.

*

Julia przez całe popołudnie czekała na telefon od szefa, a kiedy w końcu do niej zadzwonił, było już po siedemnastej. Nie marnowała jednak czasu na bezczynne siedzenie, tylko korzystając ze swojego starego skanera, skopiowała wszystkie sto trzydzieści cztery strony manuskryptu. Ze względu na zużycie sprzętu praca była dość żmudna, jednak opłacała się, bo w ten sposób zabezpieczyła powieść. Czuła smutek na myśl o tym, że przedwczesna śmierć uniemożliwiła Katharinie Winterscheid dokończenie książki i że nigdy już się nie dowie, jak kończyły się wszystkie wątki. W drodze do wydawnictwa Julia zatrzymała się na chwilę w MoschMosch przy placu Goethego i zamówiła na wynos dwie porcje pinatsu karê don, bo pamiętała, że kiedy przypadkowo spotkała Karla przed halą targową i spędzili razem trochę czasu, powiedział jej, że to jego ulubiona potrawa.

Nie miała pojęcia, czy bardziej cieszył się z niespodzianki, czy raczej z tego, że zapamiętała, co mówił o swoich kulinarnych preferencjach, lecz kiedy zasiedli przy stole konferencyjnym w jego gabinecie i ze smakiem zjadali ryż z sosem curry, kokosem, orzeszkami ziemnymi i świeżymi warzywami, Carl wyraźnie się rozluźnił. Z jego twarzy zniknęła troska, a ona miała wrażenie, że nie siedzi tam z szefem, tylko je kolację ze starym znajomym. Zaskoczył ją, okazując jej duże zaufanie, bo opowiedział, co mówiła Paula Domski na temat śmierci Alexandra Rotha, a potem jeszcze o tym, że policja przeszukała gabinet redaktora prowadzącego oraz kontener na śmieci na podwórku. Przypadkowo usłyszał, jak technicy rozmawiają o tym, że w lodówce w gabinecie Rotha funkcjonariusze zabezpieczyli coś, co, jak podejrzewają, może być narzędziem zbrodni.

Julia odłożyła pałeczki.

– Muszę się do czegoś przyznać, bo mam straszne wyrzuty sumienia – wyjawiała.
– To ja powiedziałam pańskiej asystentce o rozmowie między panią Wersch i panem Rothem. Gdybym tego nie zrobiła, nie musiałby pan wyrzucić jej z pracy i pewnie teraz by żyła.

Również Carl Winterscheid przerwał jedzenie. Przez chwilę przyglądał się Julii z tą dziwną intensywnością w spojrzeniu, która wywoływała skurcz w jej piersi. Co mógł sobie o niej myśleć? *Ach więc to ty byłaś tą zdrajczynią! Oczerniasz współpracowników i rozsiewasz plotki, a brakuje ci nawet odrobiny przyzwoitości, żeby przyjść do szefa i osobiście mu donieść?*

– Dowiedziałem się o tym wcześniej, nie od asystentki – wyjaśnił ku jej ogromnej uldze. – Agent jednego z autorów, których Heike Wersch chciała przeciągnąć do siebie, poinformował mnie o jej planach. Poza tym, obawiam się, że to ja wywołałem tę całą tragedię, oferując panu Rothowi stanowisko redaktora prowadzącego. Miałem nadzieję, że po tym ruchu pani Wersch sama rzuci papierami i złoży wymówienie. Niestety, tak się nie stało.

Julia ponownie sięgnęła po pałeczki. Posiłek dokończyli w milczeniu. Carl o manuskrypt zapytał dopiero, kiedy papierowe kartoniki zostały opróżnione z ostatnich ziarenek ryżu, a on przyniósł z kuchni butelkę białego wina, odkorkował ją i napełnił dwa kieliszki

– Jest bardzo dobry – odparła Julia i napiła się wina. – Nie, błąd. Jest fantastyczny. Gdybym dostała go na biurko, z miejsca podsunęłabym autorce umowę do podpisania.

– Doprawdy?

– Zdecydowanie tak, jestem po prostu zachwycona! – Mówiąc to, wyjęła z torebki manuskrypt i swoje notatki. – Abstrahując od treści książki, językowo jest niesamowicie przekonujący. Napięcie budowane jest równomiernie i w świetnym tempie, w czasie lektury czytelnik doskonale wczuwa się w bohaterów i może się z nimi identyfikować. Dialogi są żywe i autentyczne, fabuła rozwija się płynnie i bardzo wciąga. Do tego stopnia, że czytelnik chce za wszelką cenę wiedzieć, co dalej. Czytałam to do czwartej nad ranem. – Ostrożnie położyła dłoń na manuskrypcie. – Ten tekst został stworzony przez autorkę z doświadczeniem. Mistrzynię cliffhangerów, która nie marnuje niepotrzebnie uwagi czytelników na jakies bezsensowne detale. Genialnie się to czytało. Tym większa szkoda, że pańskiej matce nie było dane dokończyć tej historii.

– Co pani ma na myśli?

– No cóż, na stronie sto trzydziestej czwartej powieść się urywa. Bez ostrzeżenia, nagle, choć czytając, miałam wrażenie, że czeka mnie jeszcze wiele

zwrotów akcji – tłumaczyła Julia. – Wiedział pan w ogóle, że pańska matka pisała?

– Nie, nie miałem o tym pojęcia. – Carl się zawahał. Wydawało się, że rozważa, ile może jej powiedzieć, jednak po chwili zdecydował się na większą otwartość. – Nie wiem, ile pani wie o mojej matce. W domu mojego wuja, gdzie się wychowałem, nigdy się jej nie wspominało. Może dlatego, że odebrała sobie życie, kiedy miałem sześć lat. Ledwie trzy dni przed rozpoczęciem pierwszej klasy. Miałem jej to za złe.

– Że ona... że pańska matka... co zrobiła?! – Julia przełknęła łyk wina, który właśnie upiła i z wrażenia otworzyła szeroko usta. Założyła, że Katharina Winterscheid zginęła w wypadku albo zabrała ją jakaś ciężka choroba. Samobójstwo nie przyszłoby jej nawet do głowy, a już w żadnym razie po lekturze jej niedokończonej książki i pełnej miłości dedykacji dla syna.

– Po śmierci ojca moja matka wpadła w depresję – ciągnął Carl. – I pewnego wieczoru wyskoczyła z balkonu mieszkania na piątym piętrze. Zginęła na miejscu. Nawet nie zostawiła listu pożegnalnego.

Julia była skonsternowana. Nie wiedziała, jak się zachować i co powiedzieć. Dorastanie bez rodziców musiało być dla Carla bardzo trudne, ale podejrzewała, że znacznie gorszy był brak wiedzy, co pchnęło jego matkę do tego, by odebrać sobie życie i uczynić go sierotą. Julia uważała samobójców za okropnych egoistów. Podejmują decyzję, by zakończyć swoje cierpienia, jednak zupełnie nie przejmują się tym, co czują ich najbliżsi, przyjaciele i znajomi, z których część do końca życia walczy z poczuciem winy.

– To... strasznie mi przykro – wyjąkała, znajdując w końcu zupełnie niewystarczającą formułkę, nieprzystającą do rozmiarów tragedii, mimo że zdarzyła się kilkadziesiąt lat wcześniej. Niespodziewanie poczuła się nieswojo. Nie mówili przecież o fabule powieści, tylko o życiu Carla, a ona nie miała prawa wspominać o swoich wątpliwościach dotyczących samobójstwa, tym bardziej że poza przeczuciem nie miała na to żadnych dowodów. No i nie mogła też zapominać, że Carl Winterscheid był jej szefem, a nie znajomym, a rozmowa nie dotyczyła pierwszego lepszego manuskryptu przesłanego do wydawnictwa przez nowego autora, tylko tekstu stworzonego przez jego matkę. Tekstu, który w tajemniczy sposób pojawił się nieoczekiwanie na jego biurku, choć przez całe lata nikt nie miał pojęcia o jego istnieniu.

Carl zorientował się, że Julia nie wie, jak się zachować.

– Nie miałem pojęcia, że moja matka pisała powieści – podjął wątek w miejscu, gdzie przerwali rozmowę o książce. – Choć gdy teraz o tym myślę, to cały czas mam w pamięci stukot klawiszy maszyny do pisania, którego słuchałem każdego wieczoru przed zaśnięciem. Byłem przekonany, że to była część jej pracy.

Mówiąc to, patrzył gdzieś przed siebie i błędził wśród wspomnień.

– Dziwne – powiedział po chwili i podrapał się po brodzie. – Jak to jest, że nagle przypomniałem sobie o tej maszynie do pisania? Była żółta i stała na stole w jadalni. Często przy nim malowałem i teraz nawet pamiętam, jak cały blat drżał, kiedy na niej pisała. Nasza kotka też bardzo to lubiła. Często leżała wyciągnięta na stole i spała.

– Miał pan kotkę? – zdziwiła się Julia, która otrząsnęła się z pierwszego szoku. – Czy ona przypadkiem nie była czarna?

– Zgadza się, była czarna. Ale miała białe łapki. – Carl uśmiechnął się tęsknie, sam zaskoczony powracającymi wspomnieniami, które uwalniały się z jakiegoś zakątka w jego pamięci, w którym były dotychczas uwięzione. – Dlaczego pani o to pyta?

– A jak miała na imię? Czy aby nie Fleur de Sel? – Julia bezwiednie nachyliła się nad stołem i w napięciu obserwowała twarz szefa.

– Skąd pani wie takie rzeczy? – Carl Winterscheid przestał się uśmiechać, a w jego spojrzeniu pojawiła się podejrzliwość. – Dokładnie tak na nią wołaliśmy.

– Prawdę mówiąc, w ogóle o tym nie wiedziałam. – Julia palcem wskazującym postukała w leżący przed nią manuskrypt. – Ale w tej powieści, której akcja rozgrywa się najpierw we Frankfurcie, a potem na wyspie Noirmoutier, główna bohaterka znajduje w czasie wakacji małą kotkę i zabiera ją ze sobą do domu. W tekście zwierzę jest czarne jak noc i ma tylko białe łapki. No i właścicielka często używała zdrobnienia Selli.

– Niewiarygodne... naprawdę... – Carl Winterscheid mówił ściśniętym, głuchym głosem. – Tak właśnie wyglądała nasza kotka. Zabrałem ją ze sobą do Willi Wujostwa. Przygarnęli mnie po śmierci rodziców i u nich dorastałem.

– Autorzy często tak się bawią, że ukrywają w swoich książkach jakieś autobiograficzne wątki albo szczegóły – powiedziała Julia i podsunęła mu zdjęcie przedstawiające sześcioro młodych ludzi. – W powieści pańskiej matki mowa jest o studentce, która na uniwersytecie spotyka grupkę przyjaciół. Wśród nich jest

Lutz, syn właściciela dużego wydawnictwa z Frankfurtu, Hardy'ego Vogelsanga. Karla, główna bohaterka książki, zakochuje się w Davidzie, jego bracie, który jest od niej dwanaście lat starszy.

Carl słuchał uważnie i z każdym jej słowem stawał się bledszy.

– Grupka jedzie razem na wakacje do domku letniskowego rodziny Vogelsangów, który znajduje się na francuskiej wyspie Noirmoutier. Karla jest tam sama i czeka na Davida, który ma dołączyć tydzień później – ciągnęła Julia. – Z początku można mieć wrażenie, że to powieść romantyczna, ale szybko zmienia się w kryminał, bo piątka młodych przyjaciół topi w morzu Lutza, syna właściciela wydawnictwa. Potem ustalają wspólnie historię, którą mają wszystkim opowiadać, i zawierają tajny pakt. Przysięgają sobie, że nigdy więcej nie wspomną o tym zdarzeniu. Kiedy David i Karla wracają z wycieczki żaglówką, na miejscu pracuje już francuska policja.

Julia zamilkła.

– Co się dzieje potem? – Carl miał twarz bladą jak ściana i tak mocno zaciskał palce na kieliszku wina, że mimo opalonej skóry pobielaly mu kostki.

– Matka Lutza Vogelsanga uważa, że Karla zawróciła jej synowi w głowie, bo się nudziła, czekając na przyjazd Davida – tłumaczyła dalej Julia. – To była plotka, którą pozostali z grupki przyjaciół celowo puścili w świat. Martha Vogelsang obwiniała Karłę za śmierć syna, bo, jak uważała, z powodu niespełnionej miłości tak bardzo się upił, że pośliznął się na skałach, rozbił sobie głowę, wpadł do wody i się utopił.

– Czy... czy Karla nie radziła sobie z tą plotką? Nie mogła jej zdementować? – zapytał Carl zachrypniętym głosem.

– Najwyraźniej nigdy nie powiedziała, jak było naprawdę. Miała bardzo złe relacje z Marthą Vogelsang, mimo że pół roku po pogrzebie Lutza ona i David wzięli ślub, zaraz po tym, jak Karla się zorientowała, że jest w ciąży – odparła Julia i zajrzała szybko do notatek, żeby sprawdzić, czy niczego nie pominęła. – Miała za to świetny kontakt ze swoim teściem, Arnoldem Vogelsangiem. To jednak i tak nie pomogło jej znaleźć zatrudnienia w wydawnictwie, bo Hardy i Martha bardzo się temu sprzeciwiali. Zamiast niej pracę w redakcji dostali przyjaciele Lutza, tak samo jak w fundacji, którą rodzice chłopaka założyli dla podtrzymania pamięci o nim. Pozostało niestety kilka tajemniczych wątków, które nie zostały

wyjaśnione. Na przykład, co się stało z chłopakiem Corinny, młodszej siostry Lutza. Lutz, który kilka miesięcy wcześniej zerwał ze swoją chorobliwie zazdrosną dziewczyną Mią, też z tej paczki, wcale nie był zakochany w Karli, tylko w Marku. Manuskrypt kończy się nagle, dokładnie w chwili, kiedy Karla dowiaduje się od lekarzy, że jej mąż, jej wielka miłość, zmarł na zawał serca.

Carl wysłuchał jej uważnie, a po chwili odkaszlnął.

– To brzmi trochę, jakby... jakby moja... jakby moja matka wplotła do pisanej przed siebie książki znacznie więcej niż kilka autobiograficznych szczegółów.

Julia była tego samego zdania. Ten manuskrypt był najprawdziwszą powieścią z kluczem. Katharina Winterscheid spisywała szczerze wszystko, co się wokół niej działo. Dlaczego rzuciła się z balkonu, zanim dokończyła książkę? Jeśli Karla była rzeczywiście jej alter ego, to jak wynikało z tekstu, miała dla siebie i dla swojego syna wielkie plany na przyszłość i nie przejawiała śladów depresji. Tylko kto mógłby zagwarantować, że tekst rzeczywiście wyszedł spod jej ręki? Każdy mógł spisać taką historię na maszynie i pierwszą stronę opatrzyć jej nazwiskiem. Brakowało dowodów, za to mnożyły się zagadki.

– Może mógłby pan porozmawiać o tym manuskrypcie z Marią Hauschild i kuzynką – zasugerowała Julia szefowi, który siedział w milczeniu i zamyślony uparcie patrzył gdzieś przed siebie. – Obie musiały przecież całkiem dobrze znać pańską matkę. Może się też okazać, że będą potrafiły wskazać, kto mógł wpaść na pomysł przesłania panu manuskryptu i samochodu.

– I właśnie dlatego nie chciałem z nimi o tym rozmawiać. – Carl wstał i podszedł do okna. Wsunął dłoń do kieszeni. – Nie chciałem niczego wiedzieć o mojej matce. Nigdy. Dawniej byłem na nią naprawdę zły, bo... bo okazała się taką egoistką. Jak mogła popełnić samobójstwo, wiedząc, że tak bardzo jej potrzebuję? Bardzo długo nie potrafiłem jej tego wybaczyć. Teraz już się z tym jakoś pogodziłem. Daję sobie radę. Ona mnie po prostu nie interesuje.

– Myślę, że potrafię zrozumieć pana podejście – potaknęła Julia, choć nie była to prawda. Ona na jego miejscu zajrzałaby w mysią dziurę, byle tylko dowiedzieć się jak najwięcej o kobiecie, która tak nagle go zostawiła. Żeby ją zrozumieć i znaleźć wewnętrzny spokój. – Ale nie chce pan wiedzieć, kto przysłał panu zabawkę i tekst? I dlaczego akurat teraz?

Carl zacisnął usta i odwrócił się w jej stronę. Postawa szefa wydawnictwa wyrażała niechęć, a w jego ciemnych oczach pojawił się błysk, który podkreślał dzielący ich dystans.

– Przemyślę to – oznajmił oficjalnym tonem.

– Oddaję zatem panu manuskrypt. Teraz to pańska własność. – Julia spakowała notatki do torebki. – Uważam, że powinien go pan przeczytać. Jest naprawdę dobry. Być może to nie jedyny tekst pańskiej matki, a osoba, która go panu przesłała, jest w posiadaniu pozostałych. Proszę sobie wyobrazić, jak by to było, wydawać książki własnej matki!

Komórka Carla zaczęła dzwonić. Wyjął ją z kieszeni i wyraźnie spochmurniał, kiedy spojrzał na ekran.

– Obawiam się, że mam w tej chwili znacznie większe zmartwienia, które mnie teraz absorbują. Jeśli kiedyś znajdę czas, na pewno go przeczytam – obiecał jej. – Nie ucieknie przecież.

– Rozumiem. – Julia przewiesiła sobie torebkę przez ramię i sięgnęła po puste kartoniki po jedzeniu, by wyrzucić je do śmieci.

– Ojej, zupełnie nie pomyślałem, ile jestem pani winien? – zapytał Carl. Julia poczuła się urażona. Bardzo jednoznacznie chciał się jej pozbyć. Zupełnie nie spodziewała się tak oczywistego i niepotrzebnego zaznaczenia dominacji. Może był zły, że zbyt wiele jej o sobie opowiedział?

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko, proszę potraktować to jako poczęstunek – odpowiedziała tonem równie chłodnym jak on. – Aż tak źle mi pan nie płaci. Ale jeśli miałby się pan źle z tym czuć, przy okazji może mi pan podrzucić 8,90 euro.

Jednoznacznym gestem uniósł telefon.

– Przepraszam, muszę odebrać – uciał szorstko. – Dziękuję za przyjemny wieczór.

– Ja również. – Spławiona w ten sposób Julia zostawiła puste pudełka na stole i opuściła biuro szefa, czując, jak wzbiera w niej mieszanina wściekłości i rezygnacji. Mimo to nie potrafiła być naprawdę zła. Rozumiała, że zmuszony do konfrontacji z przeszłością, o której chciał za wszelką cenę zapomnieć, ma prawo być zgorzkniały. Dopiero kiedy szła Schillerstrasse w stronę przystanku metra, przypomniała sobie, o czym chciała powiedzieć Carlowi Winterscheidowi, jednak zupełnie wypadło jej to z głowy: o tym, że w piątek późnym wieczorem Alexander

Roth wpuszczał kogoś tylnym wejściem do wydawnictwa. Ale teraz, skoro redaktor prowadzący zmarł po wypadku, pewnie nie miało to już żadnego znaczenia.

DZIEŃ PIĄTY

Poniedziałek 10 września 2018

Kiedy Pia o siódmej rano weszła do korytarza, przy którym znajdowały się biura jej wydziału, większość zespołu była już na miejscu i wszyscy krzatali się, zajęci pracą. Kathrin i Cem zajęli duży stół w sali odpraw i rozłożyli na nim zawartość jednego z kartonów, który zabrali ze strychu zamordowanej Heike Wersch. Segregowali i przeglądali teraz starannie wszystkie zgromadzone pamiątki, dokumenty i zdjęcia, mając nadzieję, że trafią na coś, co mogłoby popchnąć śledztwo do przodu.

Kai i Tarik zajmowali się podobną pracą, jednak zamiast papierowych śladów, analizowali ślady cyfrowe pozostawione za życia przez denatkę. Dzięki liście haseł, na którą natknęli się w czasie przeszukania domu zamordowanej, bez trudu udało im się uruchomić tylko powierzchownie uszkodzony laptop i zasiedli do przeglądania korespondencji mejlowej Heike Wersch z ostatnich kilku tygodni i miesięcy.

– No i? – zapytała Pia. – Trafiliście na coś interesującego?

– Trudno powiedzieć – odparł Kai. – Pisała i odbierała jakieś niewyobrażalne ilości mejli. Najwięcej jest wiadomości dotyczących spraw zawodowych i organizacyjnych. Do tego dochodzi bogata korespondencja z prawnikami w kwestii zwolnienia dyscyplinarnego, postępowania przed sądem pracy oraz planowanego rozpoczęcia działania pod własnym szyldem. No i na koniec nieprzebrane ilości newsletterów z różnych gazet i wydawnictw, które prenumerowała, i ze sklepów internetowych, bo często kupowała online.

– Dużo korespondowała z autorami i agentami – dodał Tarik. – Wszystko wskazuje na to, że konsekwentnie odrzucano propozycje przejścia do jej wydawnictwa. Tylko kilka osób w ogóle wzięło pod rozwagę możliwość nawiązania z nią współpracy na wyłączność, ale, o ile dobrze to rozumiem, nie mogli tego zrobić, bo dopiero co, w kwietniu, podpisali aneksy przedłużające

współpracę z Winterscheidem, wiążące ich na długi czas z jego wydawnictwem. Pani Wersch była wściekła jak cholera. Nazwała autorów i agentów idiotami, którzy z chciwości i głupoty dali się zwabić w pułapkę.

– Aha. – Pia nie była przekonana, czy to wystarczający motyw do dokonania brutalnego morderstwa. Nie miała jednak rozeznania w zawiłościach rynku wydawniczego, więc postanowiła skontaktować się z Marią Hauschild i zapytać ją o kilka spraw. Jako agentka literacka była w stanie najlepiej wyjaśnić jej doniosłość tych decyzji i pomóc zrozumieć, co oznaczały. – Korespondowała z resztą przyjaciół?

– O, tak! – Kai uniósł plik wydrukowanych kartek. – Tylko w ostatnim tygodniu przed śmiercią z samym Alexandrem Rothem wymienili dwadzieścia dziewięć mejli!

– A o co w nich chodzi?

– Hm, właśnie próbujemy to zrozumieć – mruknął Tarik.

– Brzmi to trochę tak, jakby Alexander Roth robił Heike wyrzuty, że próbuje go szantażować – ciągnął Kai. – Pytanie tylko czym, bo z treści wiadomości nijak nie da się tego wyczytać. Może ty lepiej sobie poradzisz.

– Szantaż? – Pia momentalnie wzmogła czujność. Tak, rozważała i taką opcję. W przypadku wymuszenia nie zawsze chodziło o pieniądze. Czasem komuś zależało jedynie na tym, by namieszać w życiu innych i wzbudzić w nich strach i zaniepokojenie. A Heike Wersch wydawała się osobą wyjątkowo chętnie dręczącą i zastraszającą innych. Pia usiadła przy biurku i zaczęła czytać mejle, które pisali do siebie Heike Wersch i Alexander Roth.

Jak możesz coś takiego robić? Serio jesteś aż taką podłą egoistką? Tobie się naprawdę wydaje, że wszystko musi się kręcić wokół ciebie! Ale musisz się w końcu nauczyć, że ludzie to nie partia szachów, żebyś ich rozstawiała po szachownicy, jak ci się żywnie podoba – pisał Alexander Roth dwudziestego trzeciego sierpnia. – To się na tobie zemści, zobaczysz, takie rzeczy wracają! Dlaczego w ogóle zakładałaś, że ktokolwiek będzie chciał cię wspierać? Nikt niczego od ciebie nie oczekiwał, bo zawsze myślałaś tylko o sobie!

Kto jak kto, ale TY powinieneś szczególnie uważać, pozbawiona kręgosłupa klucho! – odpowiedziała mu Heike Wersch. – To, że kryjesz się za plecami Carla, jest tak absurdalne, jak wszystko, co się właśnie wydarzyło! Jestem w stu procentach przekonana, że to był twój pomysł, żeby skusić autorów tymi addendami! Małostkowa zemsta małego

człowieczka. *Pomyślałeś, co się stanie, jak Winterscheidowie się dowiedzą, jaką żalosną zmiję przez całe lata hodowali na własnej piersi? Z wszystkich ludzi to ty masz największe powody, żeby się tego bać, żalosna gnido!*

– O matko, nie ma to jak prawdziwa i szczerą przyjaźń – mruknęła Pia. Alexander Roth kłamał w żywe oczy, kiedy była u niego z Cemem. Teraz miała już pewność, że cel jego wieczornej poniedziałkowej wizyty był zupełnie inny niż deklarowana chęć powstrzymania jej przed występem u Pauli Domski. No dobrze, o co mu w takim razie chodziło? O Severina Veltena? *Pomyślałeś, co się stanie, jak Winterscheidowie się dowiedzą, jaką żalosną zmiję przez całe lata hodowali na własnej piersi?* – To zdanie brzmiało jak groźba. Pia przeczytała wiadomość do końca, po czym sięgnęła po notatnik i odszukała numer telefonu do Marii Hauschild. Planowała zadzwonić do agentki Henninga i dowiedzieć się, czym były te addenda, którymi wydawnictwo miało przekabacić autorów.

– Jestem świeżo po rozmowie telefonicznej z Marią Hauschild i z jej słów wynika, że pani Wersch wsparcia finansowego szukała nie tylko u Henriego Winterscheida, Alexandra Rotha, Josefin Lintner i u niej samej. Okazuje się, że pieniędzy na założenie swojego wydawnictwa szukała również u Stefana Finka – referowała Pia pół godziny później w czasie porannej odprawy. – W sobotę wieczorem, kiedy rozmawiałam ze Stefanem Finkiem i z jego żoną, ani słowem się o tym nie zająknął, choć ten temat też wypłynął. Jego żona czuła się strasznie urażona, bo o planach pani Wersch, by założyć nowe wydawnictwo, dowiedziała się chyba ostatnia, i to od Carla Winterscheida. No i teraz najciekawsze pytanie: dlaczego mąż nie wtajemniczył jej w plany Heike? Dlaczego nie powiedział jej, że prosiła go o pieniądze na rozpoczęcie działalności?

– Jakie to może mieć znaczenie dla dochodzenia? – zapytała Nicola Engel. Kiedy skończyła mówić, jej telefon zaczął wibrować, więc po niego sięgnęła.

– Jak na razie nie jestem jeszcze w stanie tego stwierdzić – odparła Pia. – Ale mam przecucie, że Heike Wersch szantażowała czymś Alexandra Rotha. Możliwe, że również Stefana Finka. A Dorothea Winterscheid-Fink nie należy przecież do Odwiecznych, czyli zgodnie ze słowami żony Rotha, Pauli Domski, do hermetycznego grona bliskich przyjaciół jej zmarłego męża.

– Czy Maria Hauschild domyśla się, czym Heike Wersch mogła szantażować Alexandra Rotha? – zapytał Bodenstein.

– Nie zagadnęłam jej o to wprost, bo to jedynie moje przypuszczenie. – Pia zajrzała do notatnika. – Przy okazji, dowiedziałam się też, czym są te addenda. W ten sposób nazywają aneksy do umów przy prolongatach. Carl Winterscheid przekreślił plany Heike Wersch za pomocą bardzo sprytnego ruchu, a mianowicie pod koniec kwietnia zaproponował autorom, których pani Wersch mogłaby chcieć przejąć, przedłużenie umów okraszone niezwykle szczerą zachętą. Dotyczyło to również umowy Severina Veltena. Jego agent w tamtym czasie nie wiedział jeszcze nic o planach zamordowanej. Dopiero kiedy wszyscy autorzy podpisali nowe umowy, Carl Winterscheid wywalił Heike Wersch z pracy.

– Sprytnie i całkowicie legalnie – uznała Nicola Engel.

– Heike Wersch zakładała, że to był pomysł Alexandra Rotha – ciągnęła Pia i zacytowała zdanie z żalną zmiłą z mejla. – Może dlatego mu groziła. Tylko musimy się dowiedzieć, co na niego miała.

– Dlaczego Maria Hauschild nie wsparła swojej przyjaciółki w potrzebie? – zainteresował się Bodenstein.

– Wręcz przeciwnie, chciała ją wesprzeć. – Pia pokręciła głową. – Ale uważała, że założenie nowego wydawnictwa powinno być znacznie lepiej zaplanowane. To doprowadziło do poważnej kłótni między nią a Heike Wersch. Koniec końców zaoferowała przyjaciółce dwieście pięćdziesiąt tysięcy euro jako finansowe wsparcie na rozpoczęcie działalności, jednak w zamian chciała mieć prawo do współdecydowania i oczekiwała poszerzenia planu wydawniczego. Ostatni postulat trafiał w próżnię, bo Heike była na niego głucha.

– Ćwierć miliona euro na rozpoczęcie działalności! – sapnęła Kathrin. – Na co Wersch była taka kupa kasy?

– Maria Hauschild twierdzi, że na podkupowywanie autorów, którzy publikują w innych wydawnictwach. Pieniądze to od zawsze najpotężniejszy argument. Brzmi dość przekonująco, jeśli mam być szczerą. – Pia potaknęła. – A skoro już o tym mowa, to Stefan Fink i właścicielka księgarni Josefin Lintner odmówili, bo nie byli w stanie finansowo wesprzeć rozwoju projektu zamordowanej. Drukarnia Finka walczy o przetrwanie. Przez wiele lat wydawnictwo Winterscheid było ich największym klientem, na którego zawsze mogli liczyć, ale od kiedy stery w firmie objął Carl Winterscheid, drukowanie zleca w Polsce i w Czechach, bo to zdecydowanie korzystniej wychodzi. Księgarnia Josefin Lintner cienko przędzie.

Czynsze w centrum handlowym Men-Taunus są bardzo wysokie, a do tego dochodzą spore koszty osobowe.

– Kto zadeklarował dołączenie do Heike Wersch przy tworzeniu nowej marki wydawniczej? – zapytała Nicola Engel.

– Zgodnie z wiedzą Marii Hauschild, za cały projekt miały odpowiadać tylko trzy osoby, czyli nasza ofiara, wcześniejszy szef wydawnictwa Henri Winterscheid oraz pisarz Hellmuth Englisch – ciągnęła Pia. – Dowiedziałam się od niej, że między Heike i Hellmuthem Englischem doszło do dzikiej awantury, bo ona wcale nie zamierzała wydawać jego najnowszej powieści, mimo że mówimy tutaj o jednym z najśłynniejszych niemieckich pisarzy, którego książki zgarnęły wszystkie możliwe nagrody literackie w naszym kraju. Carl Winterscheid wypowiedział mu umowę, Heike też go nie chciała, więc staruszek jest teraz wolnym strzelcem bez wydawcy.

– Ale chyba nie czuje się przez to szczęśliwszy – zauważył Bodenstein. – Myślicie, że to on mógł być osobą, z którą Heike pokłóciła się w niedzielę w zeszłym tygodniu?

– W sumie całkiem możliwe. Trzeba będzie pokazać zdjęcie pani Jahn i zobaczyć, czy go pozna – potaknęła Pia.

– No dobrze, to pozwólcie, że podsumuję. – Kai podszedł do tablicy i sięgnął po flamaster. – Stefan Fink ukrył przed żoną, że Heike Wersch prosiła go o finansowe wsparcie dla swojego projektu. Zgadza się?

– Tak jest – zapewniła go Pia.

– A co byłoby w tym takiego złego? – zapytała Nicola Engel, nie odrywając wzroku od ekranu smartfona.

– I skąd macie pewność, że Fink rzeczywiście nic jej nie powiedział? – podsunął Tarik.

– Dorothea Winterscheid-Fink była bardzo urażona, że ojciec nie wtajemniczył jej w plany Heike Wersch – wyjaśniła Pia. – To teraz wyobraźcie sobie, o ile gorzej musiała się czuć z tym, że jej mąż też ukrył przed nią tę wiedzę. Gdyby wcześniej cokolwiek słyszała, wspomniałaby o tym w czasie naszej rozmowy przed szpitalem. Dorothea Winterscheid-Fink musi czuć się podobnie jak Paula Domski, bo są w takiej samej sytuacji: nigdy nie zostały przyjęte do kręgu Odwiecznych.

– Nie rozumiem, dlaczego jej mąż miałby ukrywać przed nią takie informacje. – Dyrektorka odłożyła smartfon na blat i podniosła wzrok.

– Przecież to jest właśnie problem, który cały czas próbujemy rozwikłać! – Pia powoli traciła cierpliwość. – Przypuszczam, że Heike Wersch dysponowała jakimś środkiem nacisku, dzięki któremu trzymała w szachu dawnych przyjaciół i wymuszała od nich wsparcie finansowe swojego projektu.

– Stefan Fink mógł nie mieć interesu w tym, żeby jego tajemnica wyszła na jaw – podsumował Kai. – Takie sprawy mogą rozbić małżeństwa. Moim zdaniem to dobry motyw, żeby popełnić morderstwo.

Mówiąc to, sięgnął po flamaster i na tablicy namalował kreskę łączącą Stefana Finka z Heike Wersch.

– Fink ma metr dziewięćdziesiąt jeden i jest bardzo wysportowany – powiedziała Pia i przypomniała sobie potężnego blondyna. – Akurat dla niego nie byłoby problemem zapakować zwłoki do bagażnika i porzucić je potem w lesie.

– Dobrze – wtrącił Bodenstein. – W takim razie musimy porozmawiać z Finkiem. Mamy coś jeszcze?

Kathrin i Cem zaprezentowali zdjęcia, wycinki z gazet i drobiazgi, które znaleźli w pudełku po butach, schowanym na samym dnie jednego z dużych kartonów na strychu.

– Heike Wersch z pedantyczną starannością prowadziła albumy fotograficzne. – Kathrin zaczęła omawiać znalezisko. – W salonie i na poddaszu znaleźliśmy ich kilkadziesiąt. Do 2010 roku wypełniała przynajmniej jeden rocznie, ale bardzo porządnie, z samoprzylepnymi narożnikami do zdjęć i podpisami. Poza tym umieszczała w nich bilety wstępu z miejsc, które odwiedzała, menu z restauracji, programy i tak dalej. Trafiliśmy też na starsze albumy, które najprawdopodobniej robiła jej matka. Dlatego naszą uwagę zwróciły zdjęcia, które trzymała osobno i nie kleiła ich do albumu.

Analizując zebrany materiał z domu zamordowanej, Kathrin i Cem trzymali się starej policyjnej zasady mówiącej, że szukając o kimś informacji, należy zawsze zwracać baczną uwagę na anomalie, które nie pasują do całości.

Kilka fotografii pochodzących z lat 1978 do 1983 prezentowało zawsze tę samą grupkę młodych ludzi: czterech chłopaków i trzy dziewczyny – z wyjątkiem

ostatniej, z 1983 roku, na której brakowało jednego z chłopaków, za to pojawiła się nowa dziewczyna.

– „Alex, Götz, Steve, Josi, Waldi, Mia i Heike – Noirmoutier, wakacje 1981” – odczytała Kathrin odręczne pismo na odwrocie fotografii przedstawiających grupkę młodych ludzi, a za ich plecami skały i błękitne morze. Poukładana i zorganizowana Heike wszystkie zdjęcia opatrywała krótkim opisem. W 1983 roku na zdjęciu nie było w podpisie Waldiego, a jego miejsce zajęła Kotka. Gdzieś w tle było widać zawsze ten sam biały domek z jasnoniebieskimi okiennicami, a czasem też żaglówkę, plażę albo basen.

– Odwieczni przyjaciele na wakacjach – skomentował Tarik.

– Czy ten Waldi ze zdjęcia to może być Waldemar Bär, gospodarz budynku i willi wydawnictwa? – zastanawiał się Bodenstein na głos. – Pasowałby, sądząc po wieku.

– Heike to oczywiście Heike Wersch, tutaj nie ma wątpliwości – dodała Kathrin.

– Dawniej rzeczywiście miała rude włosy. A Alex to Alexander Roth, łatwo go rozpoznać po lokach i okularach.

– W takim razie Josi to Josefin Lintner. – Cem wskazał palcem na młodą blondynkę, która na fotografii tuliła się do Alexandra Rotha. – Mia to będzie Maria Hauschild. Zostaje nam Götz, czyli Götz Winterscheid.

– Starszy brat Dorothei Winterscheid, zmarł przedwcześnie – wyjaśniła Pia.

– Dlaczego na żadnym ze zdjęć nie ma Dorothei? – dopytywała się Nicola Engel.

– Prawdopodobnie nie należała do tej paczki, bo była kilka lat młodsza od pozostałych – zgadywał Cem. – Za to jej mąż był częścią grupy. Uważamy, że Steve to właśnie Stefan Fink. O, ten potężny blondyn na zdjęciach po prawej to on.

– Aha, to by pasowało. – Pia, mrużąc oczy, przyglądała się fotografiom, by po chwili, jedna po drugiej, ułożyć je przed Bodensteinem. – Waldi to rzeczywiście może być ten gospodarz, Waldemar Bär. Kim jest ta nowa dziewczyna, Kotka?

Pia próbowała rozpoznać po rysach twarzy ciemnoblonde kobietę, która pojawiła się na jednym tylko zdjęciu i w dodatku stała odwrócona bokiem do obiektywu.

– Götz Winterscheid miał umrzeć przedwcześnie, czy ktoś wie, w jaki sposób to się stało? – zainteresowała się Nicola Engel.

Kai usiadł przed komputerem i wpisał w wyszukiwarce jego imię i nazwisko.

– Zgodnie z informacjami z Wikipedii, Götz Winterscheid, syn właściciela frankfurckiego wydawnictwa Henriego Winterscheida i jego żony Margarethe, zginął tragicznie w 1983 roku w wyniku utopienia w czasie wakacji spędzanych we Francji. Miał zaledwie dwadzieścia jeden lat. Po jego śmierci rodzice założyli fundację jego imienia. – Przerwał i z wrażenia aż potrząsnął głową. – O rany, słuchajcie, zgadnijcie teraz, kto jest szefem zarządu tej fundacji. Albo raczej był, jeśli mam być precyzyjny.

– Alexander Roth – powiedziała Pia, sięgnęła po karton po butach i ponownie zacytowała zdanie z mejla Heike Wersch: – „Pomyślałeś, co się stanie, jak Winterscheidowie się dowiedzą, jaką żalosną żmiję przez całe lata hodowali na własnej piersi?”.

Bardzo, bardzo powoli ogólny obraz wreszcie zyskiwał wyrazistość, a poszczególne elementy układanki wskakiwały na swoje miejsca.

– Po czterech latach abstynencji Roth wrócił do nałogu – powiedział Bodenstein. – Czynnikiem, który wyzwolił w nim taką reakcję, wcale nie był awans na redaktora prowadzącego, tylko całkowicie uzasadniona obawa, że Heike Wersch może upublicznić coś, co miałoby dla niego bardzo nieprzyjemne konsekwencje. Przypominam, że wcześniej wyznał żonie, że cała jego kariera została zbudowana na kłamstwie.

Kiedy pozostali omawiali najróżniejsze scenariusze, Pia zajęła się przeglądaniem pozostałej zawartości kartonu. Mała brzuchata butelka po napoju Orangina, wypełniona złotym piaskiem, zakorkowana i dodatkowo zalakowana. Słoik z muszelkami i kamykami. Zasuszona gałązka w plastikowej torebce. Mocno zużyte wydanie w miękkiej okładce *Wilka stepowego* Hermana Hessego – kultowej książki i obowiązkowej lektury w latach osiemdziesiątych. Kilkanaście podkładek do piwa i jakieś wypłowiałe paragony. Ptasie piórko. Obita misternie wyszywanym materiałem drewniana szkatułka, w której znajdowały się okulary z rozbitymi szklami. Plastikowa reklamówka z nadrukiem nieistniejącej już od dawna francuskiej sieci handlowej, a w niej jakiś materiał. Pia przewróciła ją do góry nogami i wytrząsnęła zawartość na blat. Szmataka okazała się jasnoszarym, zaplamionym T-shirtem.

Policjantka znieruchomiała.

– Hej, dajcie mi szybko ostatnie zdjęcie, to z 1983 roku – poprosiła Cema, który bez namysłu podsunął jej cały plik. Pia zaczęła je pospiesznie przekładać, aż trafiła

na to, którego szukała, przedstawiające sześcioro młodych ludzi na schodkach przed białym domem z niebieskimi okiennicami. Położyła je przed sobą na stole. Następnie z plecaka wyjęła parę lateksowych rękawiczek i je wciągnęła. Rozmowy dookoła ucichły i wszyscy z zainteresowaniem przyglądali się Pii. Kobieta rozpostarła T-shirt na blacie. Był jasnoszary, opatrzony logo firmy Fruit of the Loom i upstrzony ciemnymi plamami.

– Mogę się założyć, że to ta sama koszulka, którą Götz Winterscheid miał na sobie w chwili śmierci! – zawołała w końcu podekscytowana. – Przyjrzyjcie się uważnie fotografii!

– W tamtych czasach każdy, kto miał choć trochę kasy, nosił takie koszulki – zauważyła Nicola Engel. – To był obowiązkowy element garderoby.

– Pewnie. Tylko dlaczego Heike Wersch miałyby tak długo przechowywać pierwszy lepszy T-shirt? – zapytała Pia. – Ten tutaj musiał mieć dla niej jakieś szczególne znaczenie.

W tej samej chwili w jej głowie pojawiła się myśl, która sprawiła, że w jej żyłach znalazła się spora dawka adrenaliny; jak zawsze gdy trafiała na coś zupełnie nieoczekiwanego, co nagle przybliżyło ją do odkrycia prawdy. Z drewnianej szkatułki wyjęła ostrożnie rozbite okulary i położyła obok fotografii.

– Heike Wersch przechowywała od tamtego czasu nie tylko koszulkę Götza Winterscheida, ale również jego okulary – oznajmiła z tryumfem. – I jestem przekonana, że nie robiła tego z powodów czysto sentymentalnych, ale dlatego, że to jest materiał dowodowy! – Przerwała i zaczęła gorączkowo myśleć, a po chwili miała w głowie klarowny obraz sytuacji. – Alexander Roth musiał być w jakiś sposób zamieszany w śmierć Götza Winterscheida. Heike Wersch o tym wiedziała i szantażowała go ujawnieniem tej tajemnicy!

– W jakim celu miałyby to robić? – zapytała dyrektorka.

– Zależało jej, żeby odszedł z wydawnictwa Winterscheid i przeszedł do jej nowej firmy – prezentowała Pia swoją hipotezę. – Dla niej to była najważniejsza rzecz na świecie. Heike była osobą, która nie mogła znieść braku wpływów i władzy. Chciała odzyskać znaczenie, realnie kształtować to, co się dzieje, i przy okazji dowalić Carlowi Winterscheidowi.

– Rodzice Götza po śmierci syna założyli fundację, a na czele zarządu postawili właśnie Rotha – dodał Bodenstein. – Facet w wydawnictwie Winterscheid zrobił

karierę, która w naturalny sposób przypadłaby Götzowi. Karierę, która oparta jest na kłamstwie. Nic dziwnego, że Roth uważał się za niegodnego tego wszystkiego, jeśli rzeczywiście miał coś wspólnego ze śmiercią Götz Winterscheida.

Przez chwilę w sali panowała cisza jak makiem zasiał. Wszyscy czuli, że doszło właśnie do przełomu.

– Dobra, to jak zmienimy podejście i co robimy dalej? – zapytał Kai.

– Musimy znaleźć dowody, którymi uwiarygodnimy nasze przypuszczenia, co będzie pewnie wyjątkowo trudne ze względu na czas, jaki minął od tamtych zdarzeń. – Bodenstein trzeźwym podejściem ostudził nadmierny optymizm pozostałych. – Do tego musimy postępować wyjątkowo ostrożnie, żeby nikogo nie ostrzec i nie spalić sprawy, bo potrzebujemy logicznego i nieprzerwanego łańcucha dowodowego, mimo że nasz główny podejrzany jest martwy. Na początek należałoby ustalić, w jaki sposób zmarł Götz Winterscheid, a potem porozmawiać ze wszystkimi, którzy byli z nim wtedy na wyspie. Jeśli pojawi się choć cień wątpliwości, czy jego zgon był wypadkiem, każda osoba z paczki przyjaciół spędzających razem wakacje staje się przynajmniej w takim samym stopniu podejrzana jak Alexander Roth.

– Wszyscy mogli być szantażowani przez Heike Wersch – zamyśliła się Nicola Engel. – Wtedy wszyscy pozostali również mieliby motyw, żeby się jej pozbyć.

– Stefan Fink, Maria Hauschild, Josefin Lintner i kobieta opisana na zdjęciu jako Kotka – wyliczył Tarik. – Heike Wersch i Alexander Roth nie żyją.

– Wyślijmy tę koszulkę i okulary do laboratorium, może uda się pobrać i zbadać materiał DNA – zasugerował Kai.

– Próbkę od Alexandra Rotha już mamy – zauważył Cem.

– Od pozostałych też szybko pobierzemy – zapewniła ich Pia. Paliła się do działania, jak terier, który poczuł zapach lisa.

Faks stojący na niewysokiej szafce na akta przebudził się do życia i zaczął szumieć, po czym wypluł z siebie trzy kartki. Kathrin wstała i podniosła je z tacki.

– Właśnie przyszedł nakaz przeszukania skrytki bankowej – poinformowała pozostałych.

– Świetnie. – Bodenstein wstał z krzesła. – Pia, Tarik, wy jedźcie do banku w Bad Soden i sprawdźcie, co tam przechowywała. Cem, pojedziesz ze mną złożyć wizytę Pauli Domski. Kathrin, ty podskocz do pani Jahn i pokaż jej zdjęcie Hellmutha

Englischa, bo mimo wszystko nie możemy jeszcze wykluczyć, że Heike Wersch zginęła z zupełnie innego powodu. Proszę również sprawdzić sytuację finansową drukarni Stefana Finka. Kai, podzwoń, gdzie się da, i spróbuj dowiedzieć się czegoś na temat Götza Winterscheida.

– Czy rozmowa z ojcem Heike Wersch ma sens? – zapytała Pia. – Staruszek jeszcze nie wyszedł ze szpitala.

– Ja się mogę tym zająć – zaoferowała się Kathrin.

– Okej. – Bodenstein potaknął. – Warto spróbować. W takim razie, do pracy. Najpóźniej o trzeciej spotykamy się tu, na odprawie.

Bodenstein poczuł, jak budzi się w nim instynkt myśliwego, coś czego od lat już nie doświadczał. Praca, którą wykonywał, była przede wszystkim powołaniem, a nie tylko sposobem zarabiania na utrzymanie. Sercem i duszą był śledczym i nigdy nie miał ambicji, by wspinać się po szczeblach kariery. Nie kusily go stanowiska komendanta czy nawet szefa policji, do tego stopnia, że choć wielokrotnie proponowano mu możliwość awansu, on, ku oburzeniu Nicoli Engel, która zarzucała mu brak chęci rozwoju, odrzucał te propozycje jedną za drugą. Został policjantem, bo wierzył w sprawiedliwość, w zasady i wartości, a nie po to, żeby uprawiać politykę, robić karierę, czy coraz lepiej zarabiać, a w wieku pięćdziesięciu kilku lat odejść na emeryturę. Jakiś czas temu musiał jednak udać się na roczny urlop dla poratowania zdrowia, gdyż sprawa snajpera, który zastrzelił między innymi matkę Karoline, doprowadziła go na skraj wytrzymałości. Stracił zdolność zachowywania koniecznego dystansu i zostawiania po fajrancie pracy w biurze. A kiedy prowadząc dochodzenie w Ruppertshain, musiał skonfrontować się z własną przeszłością, zaczął rozważać ostateczne odejście ze służby. Przez jakiś czas zupełnie poważnie myślał o przyjęciu kuszącej propozycji byłej teściowej, gdyż zarządzanie majątkiem hrabiny Gabrielli von Rothkirch było zajęciem tyleż bezstresowym, co wyjątkowo szczerze opłacanym. Mimo to, kiedy jego roczny urlop zdrowotny dobiegł końca, zdecydował się wrócić do policji. Był gotów zostać szeregowym członkiem zespołu, którym wcześniej przez wiele lat kierował, jednak Pia, po roku komisarycznego zarządzania wydziałem K11 pod jego nieobecność, z własnej woli się wycofała, by Nicola Engel mogła na powrót przekazać mu stery. Przerwa dobrze mu zrobiła. Nabral innego, zdrowszego podejścia do pracy, a to, co robił, i ludzie, z którymi

współpracował, stali się dla niego punktem odniesienia i opoką w chwilach, gdy prywatne życie nie dawało mu wytchnienia, jak na przykład obecnie.

Cem jechał trasą A66, by nie musieć przedzierać się przez całe Hofheim. Za rondem na wjeździe do Liederbach zjechał z Höchster Strasse i skręcił w Münsterer Weg, by chwilę później zatrzymać się przed zadbanym bliźniakiem. Na podjeździe, pod wiatą, parkowała srebrna skoda.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Cem.

Bodenstein odpiął pas bezpieczeństwa.

– Lepiej będzie, jeśli przejmiesz prowadzenie rozmowy, Cem. Obawiam się, że jestem trochę uprzedzony.

– Pewnie. – Cem skinął głową i zadzwonił.

Paula Domski otworzyła ledwie kilka sekund później. Była blada i miała fioletowe plamy pod oczyma, jednak nie nosiła żałobnej czerni. Przywitała ich w damskim garniturze, podobnym do tego, który miała na sobie w sobotę w szpitalu i w niedzielę rano, żółtym jedwabnym szaliku na szyi i kolorowych drewnianych koralach.

– Proszę, niech panowie wejdą – zaprosiła ich, kiedy rozpoznała Bodensteina. – Może kawy?

– Z przyjemnością – podziękował Cem grzecznie. Zależało mu, by rozmowa przebiegała w miłej atmosferze

Ruszyli za Paulą Domski do kuchni, w której lakierowane na wysoki połysk jaskrawoczerwone szafki wymagały oswojenia wzroku, i usiedli przy stole. Kiedy odwiedzali domy świadków albo podejrzanych, często byli zapraszani do kuchni. Bodenstein zakładał, że ludźmi musiała kierować jakaś podświadoma potrzeba i że to pomieszczenie wydawało im się mniej formalne niż salon, a jednocześnie nie dało się z niego wyciągnąć zbyt wielu informacji na temat prywatnego życia mieszkańców domu. Cem w oczekiwaniu na kawę poinformował nadzwyczaj opanowaną Paulę Domski o wynikach sekcji zwłok jej męża i przyczynie jego śmierci, a Bodenstein zastanawiał się, gdzie sam zaprosiłby policjantów, gdyby go odwiedzili. Z trudem powstrzymał uśmiech, bo uświadomił sobie, że w najbliższym czasie miał do dyspozycji tylko pokój w hotelu.

– Co to takiego? – zapytała kobieta podejrzliwie, kiedy Cem pokazał jej zdjęcie tłuczka do mięsa znalezionego przez Pię w zamrażarce lodówki w gabinecie

Alexandra Rotha.

– Czy poznaje pani ten tłuczek do mięsa? – zapytał policjant.

– Nie. Pierwszy raz go widzę. – Pani Domski otworzyła jedną z szuflad i wyjęła z niej własny przyrząd do rozbijania kotletów. – Tak wygląda mój tłuczek. Ale i tak go nie używamy, bo jesteśmy wegetarianami.

– Ten znaleźliśmy schowany w lodówce w gabinecie pani męża – ciągnął Cem. – W tej chwili znajduje się w laboratorium, gdzie jest starannie badany, bo z dużą dozą prawdopodobieństwa jest to narzędzie zbrodni, którym została zamordowana pani Wersch.

Paula Domski pobladła gwałtownie i spojrzała na Bodensteina.

– Pan chyba nie sądzi, że mój mąż mógłby ją zabić?

– My nie jesteśmy od sądenia – odparł Bodenstein. – Wiemy za to, że w poniedziałek po południu był u niej w domu i z nią rozmawiał. Staramy się teraz ustalić, gdzie przebywał po tej wizycie, zanim policyjny patrol zgarnął go pijanego z ulicy.

– Pani mąż twierdził w piątek, że niczego nie pamięta – ciągnął Cem. – Zgodnie z naszymi informacjami, w jednym z barów w Bad Soden wypił dwie wódki z tonikiem. To jednak chyba za mało, żeby komuś urwał się film.

– Zdecydowanie. On rzeczywiście potrzebował do tego nieco więcej niż dwóch wódek z tonikiem – potwierdziła Paula Domski ponuro. – No dobrze, to czego panowie ode mnie oczekujecie? Ja również nie mam pojęcia, gdzie wtedy przebywał. Dopiero we wtorek rano zadzwonił do mnie ktoś z policji i poprosił, żebym po niego przyjechała.

– Gdzie pani była w poniedziałek wieczorem? – zapytał Cem.

– Pan chyba nie sądzi... – zaczęła Paula Domski, ale szybko zamilkła, potrząsnęła głową i skrzywiła się, wyrażając mieszaninę niechęci i rezygnacji. – Tak, wiem, nie jesteście od sądenia, oczywiście. W poniedziałek wieczorem byłam tu, w domu. Nie mam świadków, którzy mogliby to potwierdzić, może z wyjątkiem sąsiadów, jeśli widzieli mnie na tarasie. Od wyprowadzki córek pracuję w domu, bo to spora oszczędność, biorąc pod uwagę koszty wynajmu biura w centrum. Przygotowywałam się do wtorkowego programu.

– Programu, który wcześniej prowadziła pani razem z Heike Wersch?

– Tak, tego programu... *Paula czyta...* tak się nazywa. Typowo literackie show, w którym rozmawiam z zapraszanymi do studia gośćmi na temat najnowszych książek.

– Dlaczego pani Wersch odeszła z obsady? I kiedy to się stało?

– W zeszłym roku – wyjaśniła Paula Domski. – Ale to nie było tak, że to był pomysł Heike, żeby zakończyć współpracę. Nadawca stacji chciał się jej pozbyć.

– Zaraz po jej odejściu wskaźniki oglądalności poleciały w dół na łeb, na szyję. – Cem odrobił zadanie domowe. – Zamiast dwóch milionów jak w najlepszych czasach, pani program wybierało ledwie sto pięćdziesiąt tysięcy widzów, przez co nadawca przeniósł panią z dziennego niedzielnego pasma na późny wieczór. Czy to nie oznacza przypadkiem, że widzowie chcieli oglądać Heike Wersch, a nie panią?

– Może pan to interpretować, jak się panu żywnie podoba – odparła Paula Domski oschle. Prowokacyjne pytanie policjanta wyraźnie trafiło w czuły punkt. – Ludzie uwielbiali, jak masakrowała nowości wydawnicze i orała autorów równo z krytykami albo czasem wychwalała jakąś książkę pod niebiosa. To miało w sobie coś z Circus Maximus w starożytnym Rzymie. Problem polegał na tym, że wydawnictwa zaczęły się bać jej bezlitosnych ataków, bo te przekładały się bezpośrednio na dane sprzedażowe. Autorzy już dawno przestali przyjmować zaproszenia do programu. Dlatego wydawca zdecydował się wyrzucić Heike. Czy ta decyzja przyniosła więcej korzyści czy strat, to sprawa drugorzędna.

Paula Domski mówiła o Heike Wersch tylko w pozytywny sposób. Opisywała ją jako pełną pasji, elokwentną i świetnie wykształconą krytyczkę współczesnej literatury, rzetelną, słowną, dokładną i zawsze świetnie przygotowaną. I tylko mimochodem wspomniała, że Heike Wersch przez trzydzieści lat była kochanką Henriego Winterscheida, swojego szefa.

– Wszyscy o tym wiedzieli, włącznie z Margarethe, żoną Henriego – tłumaczyła i zamyślona mieszała łyżeczką kawę, choć jej nie piła. – Tak samo jak wszyscy wiedzieli, że to ona układała plan wydawniczy dla całego wydawnictwa Winterscheid. Alexandrowi bardzo odpowiadało bycie człowiekiem numer dwa. Lubił swoje obowiązki w fundacji i wprost uwielbiał zajmować się autorami. Między nim i Heike nie było żadnego współzawodnictwa. Przyjaźnili się. Od wieków.

Bodenstein odchrząknął i włączył się do rozmowy.

– Obawiam się, że tutaj jest pani w błędzie – powiedział. – Dotarliśmy do korespondencji mejlowej, którą pani mąż wymieniał z Heike Wersch. Z jej treści i tonu wynika, że pani Wersch próbowała go czymś szantażować.

– Szantażować? – Pani Domski przestała mieszać kawę.

Bodenstein sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął zadrukowaną kartkę oraz okulary.

– *Kto jak kto, ale TY powinienesz szczególnie uważać, ty pozbawiona kręgosłupa klucho!*, pisała do niego pani Wersch w mejlu z dwudziestego trzeciego sierpnia – powiedział i czytał dalej: – *To, że kryjesz się za plecami Carla, jest tak absurdalne, jak wszystko, co się właśnie wydarzyło! Pomyślałeś, co się stanie, jak Winterscheidowie się dowiedzą, jaką żalostną zmiję przez całe lata hodowali na własnej piersi? Z wszystkich ludzi to ty masz największe powody, żeby się tego bać, żalostna gnido!*

Na twarzy Pauli Domski odmalował się wyraz kompletnego niedowierzania. Usta jej drżały, jakby chciała się roześmiać.

– Wspomniała pani, że mąż wyznał kiedyś, że czuje się niegodny – ciągnął policjant. – Podejrzewamy, że w wakacje w 1983 roku doszło do zdarzenia, które przyniosło pani mężowi bardzo wymierne korzyści.

– Latem 1983 roku zmarł Götz Winterscheid. – Paula Domski odzyskała mowę. – Z moim mężem znali się od przedszkola, a Alex był jego najbliższym przyjacielem. Po śmierci Götza, Henri i Margarethe traktowali Alexandra jak syna i mimo że miał dopiero dwadzieścia dwa lata, zrobili go szefem zarządu fundacji założonej dla upamiętnienia ich zmarłego dziecka. Potem, zaraz po zakończeniu studiów, Alexander dostał pracę w ich wydawnictwie, od razu na umowę na czas nieokreślony. Co nie było wówczas regułą. Normalnie człowiek musiał najpierw odbyć staż o określonej długości.

– Czy kiedykolwiek rozmawiał z panią o wydarzeniach, do jakich doszło w tamte wakacje? – zapytał Cem.

– Prawie nigdy. A już na pewno nigdy nie mówił o szczegółach. – Paula Domski uśmiechnęła się gorzko. – I jestem przekonana, że też nigdy nie powiedział mi prawdy. Do dzisiaj nie wiem, co było dla niego ważne i co go napędzało. Jak się dobrze zastanowię, ten człowiek do samej śmierci pozostał mi obcy.

– Proszę opowiedzieć nam o Winterscheidach i o przyjaciółach pani męża – zwrócił się do niej Cem.

– Alex Henriego i Margarethe nazywał swoją drugą rodziną – odpowiedziała. – Ze swoimi prawdziwymi rodzicami od wielu lat nie utrzymywał żadnych kontaktów. Nigdy nie wyjawiał, dlaczego do tego doszło. Na nasz ślub, a potem na chrzty naszych córek zapraszaliśmy Winterscheidów, a nie prawdziwą rodzinę Alexa. Może Josi będzie mogła więcej na ten temat powiedzieć, bo zna go znacznie dłużej niż ja.

– Josi?

– Josefin Lintner, ta blondynka, która w sobotę była w szpitalu. Razem z mężem są właścicielami księgarni House of Books w centrum Men-Taunus. Wiele lat temu ona i Alex byli parą.

– Jak wyglądają pani relacje z Winterscheidami i z pozostałymi przyjaciółmi pani męża? – zapytał Bodenstein.

– A jak mają wyglądać moje relacje z ludźmi, którzy mnie nigdy tak naprawdę nie zaakceptowali i nie próbowali nawet przyjąć do swojego grona? – Paula Domski odpowiedziała pytaniem. – Bardzo długo starałam się robić dobrą minę do złej gry. Ale w pewnej chwili przestałam wreszcie walczyć o ich przychyłność. Nie potrzebowałam ich. Miałam własny krąg przyjaciół i rodzinę. Z Heike łączyły nas zdrowe, zawodowe stosunki, ale w zasadzie nigdy nie rozmawiałyśmy o prywatnym życiu. W jakiś sposób ten temat zawsze pozostał tabu.

Bodenstein szczerze współczuł kobiecie, która w swoim małżeństwie doświadczała tego samego, co on z Cosimą. Po jakimś czasie człowiek stawał na rozdrożu i nie miał innego wyboru, jak nauczyć się żyć z tą nieznośną sytuacją albo spakować swoje rzeczy i się wynieść. Jeśli na świecie były już dzieci, wybierało się zazwyczaj trwanie, nawet jeśli to była znacznie bardziej niebezpieczna opcja; niebezpieczna, gdyż tłamszenie w sobie wszystkiego i karmienie się kłamstwami, konieczne, by tkwić w takim małżeństwie, mogło w końcu eksplodować, szczególnie kiedy druga strona znajdowała sobie niespodziewanie nowego partnera. Bodenstein potrafił radzić sobie z nieludzkim cierpieniem, lecz nawet jemu w pewnej chwili puściły nerwy: niewiele brakowało, by w napadzie złości i nienawiści udusił Cosimę na parkingu przed majątkiem rodziców, a atak wywołała wiadomość, że żona już od miesięcy go zdradzała. Gdyby nie szybka reakcja jego ojca i brata, prawdopodobnie pozbawiłby ją życia i siedział teraz

w więzieniu. W tamtej chwili zdał sobie sprawę, że w określonych warunkach każdy człowiek może stać się zabójcą działającym w afekcie.

– Zgodnie z raportem z sekcji zwłok, pani mąż zmarł na skutek zatrucia metanolem – powiedział Bodenstein.

– Zatrucia metanolem? – powtórzyła Paula Domski z niedowierzaniem. – Takie rzeczy jeszcze się zdarzają? W naszych czasach?

– Przypuszczamy, że do zatrucia doszło w wyniku spożycia metanolu zmieszanego z wysokoprocentowym alkoholem – dodał Cem.

– Dlaczego mnie to nie dziwi?! – Dziennikarka zaśmiała się gorzko. – Bo jak inaczej mógłby się zatruć? Kiedy się denerwował, a w jego przypadku niewiele brakowało, żeby stracił panowanie nad sobą, wypijał wszystko, co mu wpadło w ręce.

– Do spożycia metanolu musiało dojść jeszcze w czwartek. Czy wie pani, gdzie tamtego dnia przebywał?

– Zakładam, że w wydawnictwie, bo gdzie indziej? – Paula Domski próbowała przypomnieć sobie przebieg tamtego dnia. – Wieczorem był w domu przede mną i spał już, kiedy wróciłam. Jak to się mogło stać? Pomylił się?

– To właśnie staramy się ustalić – wyjaśnił Bodenstein. – Mam jeszcze jedno, ostatnie pytanie, potem damy pani spokój. Czy pani mąż pozostawił jakiś list pożegnalny?

– Nie rozumiem, dlaczego miałby zostawić list pożegnalny? – Wdowa po Alexandrze Rocie była szczerze zaskoczona.

– No cóż, nie wykluczam, że mógł celowo odebrać sobie życie. Wiele wskazuje na to, że żył pod presją strachu.

– Mimo najszczerzych chęci nie potrafię sobie tego wyobrazić. – Paula Domski była bardzo kategoryczna. – Niezależnie od tego, jak bardzo i czego się bał, mój mąż nie miał w sobie dość odwagi, by popełnić samobójstwo.

Pogarda, jaka biła z jej słów, była dla Bodensteina potwierdzeniem, że Paula Domski w żadnym razie nie brudziłaby sobie rąk dla męża i nie ryzykowałaby zamordowania Heike Wersch. Ze spokojnym sumieniem mógł usunąć ją z listy podejrzanych.

O wpół do jedenastej rano wszyscy pracownicy zebrali się w bibliotece, największym pomieszczeniu w siedzibie wydawnictwa. Szefostwo firmy rozesłało mejl, w którym poinformowano o obowiązku pojawienia się na zwołanym bez zapowiedzi spotkaniu. Jeszcze zanim Carl Winterscheid, Dorothea Winterscheid-Fink i szef działu sprzedaży, wszyscy ubrani na czarno, weszli do sali, zebranych ogarnął nastrój smutku i przygnębienia, bo informacja o tym, co się stało, już wcześniej dotarła do pracowników. Julia stanęła zupełnie z tyłu, w pobliżu wejścia, by móc szybko opuścić bibliotekę. W nocy po raz kolejny przeczytała manuskrypt Kathariny Winterscheid i w czasie lektury jej myśli cały czas krążyły wokół jakiegoś niejasnego wspomnienia ulatującego, jak trzepoczący skrzydłami motyl, którego nie da się schwycić w dłonie. Coś w tym tekście budziło jej skojarzenie z czymś, co ukrywało się tuż za załomem wspomnień... tylko co to było? Z całą pewnością nie chodziło o samą historię, tylko o jakiś szczegół w niej, ale niezależnie od tego, jak się starała, nie potrafiła powiedzieć jaki.

– Moi drodzy, dziś przypadł mi w udziale smutny obowiązek podzielenia się z wami tragiczną informacją o śmierci naszego wieloletniego i bardzo szanowanego pracownika, redaktora prowadzącego Alexandra Rotha. Wczoraj, w godzinach porannych, pan Roth zmarł w wyniku obrażeń odniesionych w czasie wypadku rowerowego – oznajmił Carl Winterscheid. Silvia Blanke, Christine Weil i Manja Hilgendorf, wszystkie z działu redakcji, zaczęły szlochać, siąkać nosami i obejmować się, ale nie one jedyne, bo wiele osób w sali tak zareagowało na słowa szefa. Osoby, które nigdy nie były sobie bliskie, w uściskach innych starały się znaleźć pocieszenie. Jak to bywa zazwyczaj w sytuacjach kryzysowych, do głosu doszła potrzeba otuchy wynikającej z cielesnej bliskości. Carl Winterscheid mówił dalej i opowiadał teraz o Heike Wersch, jednak Julia go nie słuchała, bo myślami usiłowała pochwycić wmykającego się jej motyla. Bezskutecznie.

– Dzień dobry pani – odezwał się ktoś obok. Julia odwróciła się w lewą stronę.

– O, pan Waldemar, dzień dobry – przywitała półgłosem gospodarza budynku. Przez chwilę rozważała, czy należałoby złożyć mu kondolencje, bo przecież od wielu lat znał się z Alexandrem Rothem i Heike Wersch. W końcu uznała, że to trochę nie na miejscu.

– Smutna sprawa – mruknęła jedynie, by cokolwiek powiedzieć.

– Tak, niestety. Naprawdę smutna – potwierdził pan Bär, a jego nieprzenikniona mina nie pozwalała stwierdzić, czy wydarzenia ostatnich dni

rzeczywiście są dla niego smutne, czy raczej przyjmuje je z obojętnością.

Po minucie ciszy dla upamiętnienia zmarłych trzeba było wrócić do pracy. Julia spieszyła się, by wyjść z biblioteki przed Carlem Winterscheidem. Nie miała ochoty na rozmowę z nim. Nie odzywał się do niej od poprzedniego wieczoru, kiedy w zasadzie przegonił ją ze swojego biura. Jego milczenie z jednej strony było dla niej rozczarowujące, a z drugiej przyjmowała je z ulgą. Chyba rozsądniej było zachowywać czysto profesjonalne stosunki z szefem.

Po powrocie do biura Julia próbowała skupić się na newsletterach od agencji literackich, które miesiąc przed targami książki przysyłały jej listy oferowanych nowości. Zawsze czuła ekscytację, sprawdzając, jakie nowe pozycje obsługiwanych przez nie autorów pojawią się na rynku. Julię szczególnie interesowało dwoje amerykańskich pisarzy, których książki nie były jeszcze tłumaczone na niemiecki. Tym razem nie mogła jednak skupić się na pracy. Myślami bezustannie wracała do Kathariny Winterscheid. Próbowała wczuć się w sytuację młodej kobiety, która w chwili śmierci miała dokładnie tyle lat, co ona teraz. Czy ktoś taki odebrałby sobie życie, mając sześciolatniego syna, kochanego nad wszystko? *Jak zawsze, na zawsze – dla Carla, mojego największego skarbu.* Takie brzmienie dedykacji wskazywało na dwie rzeczy: po pierwsze, Katharina musiała już wcześniej napisać coś innego, a nie tylko tę jedną, niedokończoną w dodatku powieść, a po drugie, syn znaczył dla niej więcej niż cokolwiek na świecie. Czy istniała możliwość, że upadek z balkonu nie był jej celowym działaniem, a wypadkiem? Tragicznym przypadkowym zdarzeniem, które wszyscy wzięli za samobójstwo? Tylko dlaczego nikt nie wątpił, że zrobiła to specjalnie?

Z zamyślenia wyrwał ją sygnał telefonu stacjonarnego, a na jego wyświetlaczu pojawił się numer Henninga Kirchhoffa. Wcześniej Julia zostawiła mu wiadomość z prośbą o oddzwonienie, bo chciała omówić z nim kilka kwestii. Terminy jego odczytów w czasie tournée po Niemczech, Austrii i Szwajcarii były wprawdzie ustalone, jednak wciąż spływały pytania i zaproszenia na kolejne spotkania, a dział handlowy nalegał, by, jeśli to możliwe, uwzględnić jeszcze dwóch ważnych klientów: dwie księgarnie, jedną w Allgäu, a drugą w Zagłębiu Ruhry. Redaktor prowadzący program kulturalny *Doppelkopf* w HR2 pytał, czy Henning zechciałby pojawić się w nim w charakterze gościa, a jeśli tak, nagrania musiałyby się odbyć w przyszłym tygodniu. A na koniec pojawiło się również zaproszenie do jednego z telewizyjnych talk-show.

– Miałabym jeszcze jedno pytanie, jeśli można – powiedziała Julia, kiedy skończyli omawiać przygotowaną wcześniej listę. – Czy w przypadku samobójstw prawo też nakazuje przeprowadzenie dochodzenia?

– Jedyne w przypadku zarządzenia takiego dochodzenia przez odpowiedzialnego za tę sprawę prokuratora – wyjaśnił Kirchhoff. – Paragraf 159 kodeksu postępowania karnego zobowiązuje policję do wszczęcia dochodzenia w przypadku każdej śmierci z przyczyn nienaturalnych. Jeśli więc na karcie zgonu przy przyczynie śmierci zakreślona zostanie pozycja „nienaturalna” lub „nieznana”, konieczne jest działanie ze strony prokuratury. Policja próbuje ustalić jednoznaczny i przekonujący motyw, który pchnął denata lub denatkę do popełnienia samobójstwa. Działania takie obejmują zazwyczaj rozmowy z bliskimi, sąsiadami, znajomymi z pracy i wszystkimi, którzy mieli bliższy kontakt ze zmarłym lub zmarłą. Wykonuje się dokumentację fotograficzną zwłok oraz bada się je w miejscu znalezienia, ich otoczenie i całe mieszkanie. Ważnych wskazówek dotyczących motywu mogą dostarczyć takie przedmioty jak dzienniki, pamiętniki czy listy pożegnalne, które policja oczywiście zabezpiecza, by po zakończeniu dochodzenia zwrócić je najbliższemu.

– Czy w przypadku samobójców przeprowadza się sekcje zwłok? – dążyła Julia.

– Niekoniecznie. Pełniący dyżur przedstawiciel prokuratury na podstawie wyników dochodzenia podejmuje decyzję o wydaniu ciała rodzinie zmarłego lub w przypadku powzięcia wątpliwości co do stanu faktycznego nakazuje przeprowadzenie ponownych oględzin zwłok lub ich sekcji. Dopiero kiedy zostanie ustalone, że śmierć nie nastąpiła w wyniku wypadku lub działania osób trzecich, policja może zakończyć dochodzenie.

– A jak długo przechowuje się dokumentację z takich działań po jakimś samobójstwie? – zapytała Julia.

– Z reguły prokuratura przez trzydzieści lat trzyma w swoich archiwach całą dokumentację związaną ze znalezionymi zwłokami, co profesjonalnie nazywa się dokumentacją z dochodzenia w sprawie ustalenia przyczyny śmierci. W skład takiej dokumentacji wchodzi wszystkie policyjne protokoły przesłuchań i raporty z rozpytań, fotografie zwłok oraz miejsca ich znalezienia, raport z oględzin zwłok i raport posekcyjny – tłumaczył Henning obszernie. – Teraz to już naprawdę rozbudziła pani moją ciekawość. Czy pani zainteresowanie tą tematyką ma jakąś konkretną przyczynę?

– Tak, rzeczywiście ma. I w zasadzie mogłaby ona posłużyć panu za kanwę kolejnego kryminału. – Julia się zaśmiała. – Zupełnie przypadkowo trafiłam na ślad wydarzeń, które miały miejsce tutaj, we Frankfurcie. Matka znajomego w 1990 roku jakoby popełniła samobójstwo. Ale mam ogromne wątpliwości, czy rzeczywiście sama odebrała sobie życie.

– Rozumiem. Co wzbudziło pani wątpliwości?

– Hm, to w zasadzie tylko przeczucie – przyznała Julia speszona. Czasem zapominała, że Henning Kirchhoff to nie tylko wybitny autor kryminałów, ale też szef Instytutu Medycyny Sądowej uniwersytetu we Frankfurcie, a do tego uznany autorytet w dziedzinie antropologii sądowej. Nie chciała zabierać mu czasu, mówiąc o swoich niejasnych domniemaniach.

– Często jest tak, że policjanci czy policjantki mają „tylko przeczucia” – odparł profesor Kirchhoff ku jej zaskoczeniu. – I te przeczucia nierzadko prowadzą ich we właściwym kierunku.

Ośmielona jego słowami, Julia zaczęła opowiadać. Z początku z wahaniem, a potem coraz śmielej mówiła o manuskrypcie, który przyszedł pocztą bez nadawcy na kopercie, o jego autorce, która przez czysty przypadek była matką jej szefa, i o dedykacji, z powodu której zaczęła mieć wątpliwości. Na koniec streściła fabułę powieści, która, o czym była już przekonana, zawierała bardzo wiele autobiograficznych szczegółów. Kirchhoff tu i ówdzie wtrącał jakieś pytanie i prosił o dopowiedzenie, a Julia miała wrażenie, jakby odwróciły się ich role. Tym razem to ona czuła się jak autorka opowiadająca redaktorowi o pomysle na nową książkę.

– Pamiętam tę sprawę – oznajmił niespodziewanie lekarz. – W 1982 przyjechałem do Frankfurtu studiować medycynę. W 1983 roku po przerwie wakacyjnej cały wydział był w żałobie po śmierci Götza Winterscheida, który zmarł w jakimś wypadku.

– Znał go pan osobiście? – Julia poczuła ciarki na plecach.

– Przesadziłbym, mówiąc, że tak – odparł Kirchhoff. – Götz Winterscheid był rok wyżej ode mnie. Znałem go tylko z widzenia, nic więcej. Po jego śmierci w „FAZ” ukazała się cała strona nekrologów i kondolencji, co zrobiło na mnie duże wrażenie. Zamieścili je oczywiście jego najbliżsi, uniwersytet i przyjaciele. Potem odbył się pogrzeb, na który przybyło wiele osób i który jeszcze przez wiele dni był

głównym tematem w mieście, a nieco później rodzice założyli fundację imienia zmarłego syna. Podejrzewam, że dalej działa.

Julia z ekscytacji nie mogła usiedzieć spokojnie na krześle. Katharina Winterscheid w swoim manuskrypcie *W imię wiecznej przyjaźni* bardzo szczegółowo opisała pogrzeb Lutza Vogelsanga i nawet wspomniała o kondolencjach i nekrologach, których miało być tyle, „jakby zmarł prezydent kraju”.

– Ma pan rację, ta fundacja cały czas funkcjonuje – potwierdziła Julia. – Szefem jej zarządu był Alexander Roth, nasz redaktor prowadzący, który w niedzielę zmarł w wyniku wypadku na rowerze. Wcześniej był najlepszym przyjacielem Götza Winterscheida. Może miał pan okazję go poznać, bo przyjaźnił się też od bardzo dawna z pana agentką, Marią Hauschild.

– Tak, słyszałem o tym, jednak poznałem go dopiero, kiedy trafił na mój stół sekcyjny – odparł Kirchhoff, a Julia z trudem powstrzymała się przed wybuchnięciem histerycznym chichotem. To wszystko było kompletnie nieprawdopodobne, a gdyby jakiś autor przedstawił jej konspekt historii pełnej podobnych przypadków, z miejsca by go odrzuciła jako zbyt mało realny.

– A czy przypomina pan sobie może sprawę samobójstwa Kathariny Winterscheid? – zapytała z ciekawością. – To się stało siedem lat później, w 1990.

– W czerwcu 1990 roku pobraliśmy się z Pią – zastanawiał się Kirchhoff głośno. – Akurat skończyłem studia i rozpocząłem staż lekarski w klinice uniwersyteckiej Charité w Berlinie. Więc nie, niestety, obawiam się, że mnie to ominęło.

– A pańska żona? To znaczy pańska była żona – poprawiła się szybko. – Pracowała już wtedy w policji?

– Pia w 1989 roku rozpoczęła naukę w wyższej szkole policyjnej w Wiesbaden. Tyle że wtedy jeszcze nie była w policji kryminalnej. – Kirchhoff posiadał nieprawdopodobną pamięć, co Julia już wcześniej zauważyła i potrafiła docenić. – I są raczej bardzo nikłe szanse, żeby znaleźć w szeregach frankfurckiej policji kogoś, kto pamiętałby tamto dochodzenie albo brał w nim udział. Pod warunkiem oczywiście, że takie dochodzenie prowadzono. Jednak... kilka lat temu studenci pod moim nadzorem zdigitalizowali całe archiwum naszego Instytutu. Gdyby chciała pani wpaść, moglibyśmy poszukać, czy istnieją jakieś akta tamtej sprawy.

– Byłoby cudownie! – zawołała Julia z zachwytem. – O której godzinie najbardziej by panu odpowiadało?

– Za chwilę mam do przeprowadzenia sekcję, a potem muszę sporządzić jedną opinię... – odpowiedział Kirchhoff. – Ale ponieważ mieszkam w zasadzie na miejscu, godzina nie gra roli. Proszę po prostu wpaść, jak skończy pani pracę.

– Fantastycznie! Wyślę panu wiadomość, jak będę zbierała się do wyjścia – zapowiedziała Julia, po czym jeszcze raz mu podziękowała i skończyła rozmowę. Nie było szans, by tego dnia zdołała się skupić na pracy. Jej myśli same kierowały się tam, gdzie chciały, ledwie próbowała zająć się jakimkolwiek innym tematem niż Katharina Winterscheid. Czy to, że Carl Winterscheid nie miał pojęcia o istnieniu manuskryptów książek napisanych przez matkę, nie było dziwne? Gdzie podziewały się pozostałe teksty, które najwyraźniej już wcześniej zadedykowała synowi? Co się stało z jej prywatnymi rzeczami po jej śmierci? Pytania nakładały się na siebie, a im dłużej Julia starała się znaleźć jakieś odpowiedzi, wciąż pojawiały się nowe. Mimo to najbardziej interesujące dotyczyło tego, kto przysłał jej szefowi manuskrypt? I dlaczego akurat teraz? Może wieczorem uda jej się znaleźć wyjaśnienie choć kilku wątpliwości. Koniecznie chciała poznać zakończenie tej historii.

*

– Zgodnie z danymi z systemu bankowego, Heike Wersch ze skrytki po raz ostatni korzystała trzydziestego pierwszego sierpnia o jedenastej dwadzieścia – oznajmiła Pia. Wcześniej wezwała cały wydział do powrotu do biura, bo razem z Tarikiem dokonała odkrycia, które mogło diametralnie zmienić kierunek prowadzonego dochodzenia.

– W środku znaleźliśmy całą masę najróżniejszych dokumentów: pełnomocnictwa w przypadku choroby jej albo jej ojca, wyciągi z ksiąg wieczystych, trochę biżuterii, gotówki i testament. I tu zaczyna robić się ciekawie. Na wypadek, gdyby coś jej się stało przed śmiercią ojca, jego pełnomocnikiem ustaliła notariusza Philippa Eberweina z Königstein, który też sporządził jej ostatnią wolę. A na jedyne go spadkobiercę jej całego majątku wskazała Waldemara Bära, bez żadnych wyjątków i uszczupień.

Mówiąc to, uniosła wysoko testament zamordowanej, który Tarik na wszelki wypadek umieścił w przejrzywej koszulce.

– Gospodarza budynku wydawnictwa Winterscheid? – upewnił się Bodenstein, nie kryjąc zdziwienia. To było rzeczywiście zaskakujące. Tym bardziej że poprzedniego dnia ten jedyny spadkobierca bardzo niepochlebnie się o niej wypowiadał. Co mogło ich łączyć?

– Waldi... – mruknęła Kathrin Fachinger i sięgnęła po jedno ze zdjęć, które leżały na stole konferencyjnym. – On również należy do hermetycznego kręgu przyjaciół.

– Waldemar Bär... ale dlaczego akurat on? – zastanawiał się Bodenstein na głos i przyjrzał się fotografii zrobionej w 1981 roku, którą podała mu Kathrin. Szczupły, ciemnowłosy chłopak spoglądał poważnie w stronę obiektywu, ale stał nieco z boku. Nikogo nie obejmował i nikt nie próbował obejmować jego. Był z nimi, ale nie był jednym z nich. Bardzo intrygujący układ.

– Kiedy sporządziła testament w takim brzmieniu? – zapytał Bodenstein.

– W listopadzie 2015 roku – sprawdziła Pia.

– Skontaktowaliśmy się już z kancelarią notarialną, w której został sporządzony – dodał Tarik. – Heike Wersch umówiła się tam na jutro, na jedenastą rano. Z informacji, które podała, wynika, że chciała zmienić treść testamentu.

– Czy Bär miał świadomość, że pani Wersch zostawiła mu wszystko, co posiadała? – zapytał Cem.

– Znacznie bardziej interesujące byłoby się dowiedzieć, czy w jakiś sposób dotarła do niego wiadomość o tym, że chce go wykreślić z testamentu – zauważyła Kathrin.

– Pamiętajmy, że tu chodzi o działkę z domem w Bad Soden – dodał Tarik. – Ceny ziemi i budynków wystrzeliły ostatnio w górę jak szalone. W tej chwili wartość jej nieruchomości to coś między półtora a dwa miliony euro. A ludzie zabijają za daleko niższe sumy.

– Zanim zagubimy się w tych spekulacjach, powinniśmy z nim porozmawiać i zapytać, co wie na ten temat – zauważyła Pia. – Jego adres mamy podany w testamencie.

– Sekundka – przerwał im Kai. – Christian już jest w drodze do nas, ma ze sobą wyniki badań z laboratorium. A ja dostałem w końcu dane logowań komórki

Alexandra Rotha od jego operatora.

– I jakie wnioski?

– W zeszły poniedziałek od szesnastej był zalogowany do stacji przekaźnikowych w Bad Soden – odparł Kai. – Do za piętnaście trzecia nad ranem. Potem jego komórka przelogowała się do stacji w Niederhöchstadt, co pokrywa się z naszymi dotychczasowymi ustaleniami. Ani na chwilę nie opuścił przez ten czas miasta.

– A przynajmniej jego komórka nie opuściła miasta – przypomniał mu Tarik.

– To jasne. – Kai potaknął. – Ale musimy wyjść z założenia, że cały czas miał ją przy sobie. Jeśli było inaczej, cała praca pójdzie na marne.

– Gdzie mógłby się przez ten czas doprowadzić do takiego stanu? – zainteresowała się Kathrin.

– Może miał jakiś alkohol ze sobą i cały czas popijał? – zgadywał Cem. – Albo kupił coś przy okazji i raczył się tym potem gdzieś na ławce w parku? Powinniśmy obejść wszystkie markety i sklepiki w Bad Soden i rozpytać o to.

– Dobry pomysł – przyznał Bodenstein. – Zajmijcie się tym.

– W piątek wieczorem – ciągnął Kai – komórka Rotha do wpół do dwunastej w nocy była zalogowana do tej samej stacji przekaźnikowej w centrum Frankfurtu. Zakładam, że przebywał wtedy w siedzibie wydawnictwa. Później możemy wyznaczyć ślad, jakim się poruszał: przemieszczał się przez Westend, minął wieżę targową, a potem przez Rödelheim aż do Niddy, tam przejechał pod rozjazdem autostradowym Frankfurt Zachód, dalej wzdłuż Niddy, przez środek Höchst i Unterliederbach, pod A66 i w końcu Schmalkaldener Strasse. Od pierwszej dwanaście w nocy jego telefon pozostawał zalogowany do jednej i tej samej stacji przekaźnikowej znajdującej się tuż przed wschodnimi rogatkami Liederbach. Do piątej czterdzieści cztery rano.

– Zgodnie z dostępnym raportem służb, został tam znaleziony w przydrożnym rowie. Stamtąd trafił karetką do szpitala w Bad Soden – podsumowała Kathrin. – Wszystko się zgadza.

– Badania laboratoryjne potwierdziły, że próbki DNA zabezpieczone na młotku do mięsa pochodzą od Heike Wersch. – Kai sięgnął do akt. – Nie ma już wątpliwości, że to narzędzie zbrodni. Doktor Kirchhoff potwierdził, że krawędzie idealnie pasują do śladów na ciele zamordowanej.

Jedno potwierdzenie i kilka nowych ustaleń, które rodziły zupełnie nowe zagadki. Skąd pochodził tłuczek do mięsa? Czy sprawca przyniósł go ze sobą, czy była to raczej przypadkowa broń, po którą sięgnął już na miejscu, w kuchni Heike Wersch?

– Czy to były jedyne ślady zabezpieczone na tłuczku? – zapytała Pia. – Może jakieś odciski palców albo coś?

– Niestety, nie. – Kai wzruszył ramionami.

Rozległo się pukanie do drzwi i do sali odpraw wszedł Kröger. W gabinecie Alexandra Rotha jego ludzie nie znaleźli niczego podejrzanego ani nawet pomocnego. Nie trafiono też na list pożegnalny. Kalendarz zmarłego był w najbliższych tygodniach pełen umówionych spotkań i zadań do wykonania. Miał kilkadziesiąt zaproszeń na rozmowy, a w czasie targów książki zgodził się wystąpić kilka razy publicznie. W jego skrzynce pocztowej nie znaleziono niczego, co mogłoby mieć znaczenie dla dochodzenia.

– Ale moja podwładna naprawdę mocno się przyłożyła do pracy – powiedział Kröger i z dumnym uśmiechem zaprezentował dwie kartki papieru. – Udało jej się poskładać w całość skrawki papieru z niszczarki do dokumentów w gabinecie Rotha. Proszę bardzo, sami sobie przeczytajcie. – Mówiąc to, podał Bodensteinowi kopie posklejanych oryginałów. – To list zaadresowany do denata. Dwa wydrukowane zdania, a potem coś, co wygląda na fragment czyjegoś dziennika.

– *Wiem, co zrobiłeś latem 1983 roku. I ty też to wiesz* – odczytał Bodenstein. – *Frankfurt, 12 sierpnia 1983. Wczoraj odbył się pogrzeb Götza. Istny horror. Żałuję, że w ogóle tam poszłam. Margarethe wyla i krzyczała wniebogłosy, a potem, już nad mogiłą, zupełnie się rozsypała. Henri stał tylko i płakał. W ogóle to wszyscy płakali. Nikt nie zwracał uwagi na biedną Doro. To było przerażające. Alex, ten żaloszny dupowłaz, w końcu dopiął swego i dostał, co chciał. Henri go objął i nie chciał puścić po tym, jak Alex wygłosił fałszywą mowę pożegnalną, w której wspominał swego „najbliższego przyjaciela i bratnią duszę”. A przecież Götz dawno go skreślił. Jak sobie przypominę, jak na niego nawrzeszczał we Francji – ale nie tylko na niego, na Heike i Josi też, i jeszcze na Mię, z tymi jej oczyma dobrodusznej krowy i miną cierpięcicy. Oczywiście żadne z nich nie wspomniało nawet, że Götz kazał im się wynosić, bo nie mógł już na nich patrzeć. Wiem to od Stefana, ale ten tchórz też trzyma gębę na kłódkę. No pewnie, bo oficjalnie jest chłopakiem Doro, a biznes jego rodziców zależy od Henriego i jego wydawnictwa! Czasem mam wielką ochotę, aby Henriemu i Margarethe wykrzyczeć w twarz prawdę (włącznie z prawdą o Götz*

i Stefanie)... ale i tak by mi nie uwierzyli. Dobrze, że przynajmniej John mi wierzy. Ale czy nasze uczucie ma przed sobą przyszłość? Jego brat i bratowa nienawidzą mnie z całego serca. Uważają, że jestem winna śmierci ich syna! Ja! Akurat mnie o to oskarżają! Margarethe nazywa mnie Lady Macbeth od chwili, kiedy się dowiedziała, że jestem z Johnem. Ona zupełnie poważnie uważa, że złamałam Götzowi serce, zdradzając go z Johnem! A diabli wiedzą, jakie kłamstwa Alex sący im do uszu! Od kiedy wrócili, ta pijawka w zasadzie mieszka w ich willi! Co począć, mam to na własne życzenie. Zgodziłam się brać udział w gierkach Götza i Stefana. Jak John do nas dołączył, popłynęłam z nim żaglówką. Więc dlaczego mieliby mi teraz wierzyć? Cholera. Jak teraz o tym myślę, to z zewnątrz to wygląda dokładnie tak, jak twierdzą. Chce mi się ryczeć.

– Autorką tych słów musiała być Kotka. – Kathrin przerwała ciszę, która zapadła po głośnym odczytaniu fragmentu pamiętnika. – To ta nowa dziewczyna w grupce.

– A ta cała Lady Mac to kto? Jakiś burger? – zainteresował się Tarik.

– O Boże, ty masz braki na poziomie podstawówki! – zganiła go Kathrin. – *Macbeth*. To dramat Szekspira. Macbeth ze swoją żoną mordują króla Szkocji, a potem on zostaje królem. Lady Macbeth jest pozbawioną skrupułów i żądną władzy kobietą. Porównanie do niej różnie można nazwać, ale na pewno nie komplementem.

– Okej, dzięki – mruknął zmieszany Tarik.

– Kim jest ten John? – zapytał Cem.

– Matko, przecież wszystko macie tam wyraźnie podane! – Kai, który potrafił błyskawicznie wyciągać wnioski, zabrał Bodensteinowi kopie zrekonstruowanej wiadomości. – John to brat Henriego i tym samym szwagier Margarethe Winterscheid. Autorką pamiętnika jest jego dziewczyna. Carl Winterscheid jest bratankiem Henriego, a że zgodnie z Wikipedią urodził się w 1984 roku, zakładam, że John i autorka pamiętnika to jego rodzice.

– O co mogło chodzić z tą gierką Götza i Stefana? – zastanawiała się Pia.

– Musimy się tego dowiedzieć. – Bodenstein wstał z krzesła. – Świetna robota, Christian. Podziękuj tej pracowniczce. Chodź, Pia, podskoczmy, żeby pogadać z Waldemarem Bärem. Cem, ty przywieź tu na miejsce Stefana Finka. Ale tylko jego, bez żony. Chcę porozmawiać z nim na osobności.

– A Kathrin i ja? Co mamy robić? – zapytał Tarik.

– Przejdźcie się po marketach i sklepikach w Bad Soden i rozpytajcie o Rotha. Pogadajcie też z funkcjonariuszami, którzy zgarnęli go z ulicy – odparł Bodenstein. – Chcę wiedzieć, jakie odnieśli wrażenie, gdy go znaleźli. Czy rzeczywiście był tak pijany, że mu się film urwał, a jeśli tak, skąd miał alkohol.

*

– O matko... – westchnęła Pia, kiedy dotarli do miejsca frankfurckiej dzielnicy Westend, gdzie mieszkał Waldemar Bär, i zatrzymali się przed masywną dwuskrzydłową bramą z kutego żelaza. – Waldi nie narzeka chyba na warunki lokalowe. I patrz, wystarczy być dozorcą u odpowiednich ludzi.

– Spokojnie, mogę się założyć, że zajmuje tu jedynie lokal dla służby – odparł Bodenstein.

Na tabliczce obok dzwonka znajdował się napis „Villa Winterscheid”, wykonany prostymi, dużymi literami, a poniżej: „Fundacja imienia Götza Winterscheida i Archiwum Abrahama Liebmana. Wizyty tylko po umówieniu”.

Pia opuściła szybę, wychyliła się i zadzwoniła. Po chwili z głośnika rozległ się skrzypiący głos.

– Tak?

Policjantka przedstawiła się i poinformowała, czego dotyczy jej wizyta, a potem, na wyraźną prośbę, wyjęła legitymację i podsunęła ją pod obiektyw kamery. Zaraz potem skrzydła bramy otworzyły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W cudownie zaprowadzonym parku ze starymi drzewami, fantazyjnie przyciętymi krzakami i prawdziwym morzem kwitnących hortensji w najprzeróżniejszych kolorach i wielkościach, na końcu długiego podjazdu wysypanego jasnym tłuczniem, znajdowała się willa. Ogromny jasny budynek z szerokimi schodami do drzwi i portykiem wspartym na kolumnach wzniesiony był w stylu architektonicznym, który Pii bardzo się podobał, choć nie miała pojęcia, jak go nazwać ani nawet w jakim okresie tak budowano. Charlotte Horowitz, babka jej byłej najlepszej przyjaciółki Miriam i ważna persona frankfurckiej śmietanki towarzyskiej, mieszkała w podobnym pałacu w najlepszej dzielnicy miasta, a Pia, jako mała dziewczynka, często tam bywała. Willa Winterscheid była nawet jeszcze lepiej zlokalizowana, a rozległa działka, na której

się wznosiła, stanowiła zieloną oazę w ścisłym centrum miasta i z pewnością wyciskała łzy pożądania z oczu każdego handlarza nieruchomości.

Drzwi otworzyła im Margarethe Winterscheid, cała w żałobnej czerni. Jak zazwyczaj w podobnych okolicznościach, Bodenstein zagrał swoją kartą szlacheckiego urodzenia i również tym razem jego nienaganne maniery, pełen kurtuazji ukłon i wizytówka z nazwiskiem osiągnęły zamierzony skutek. Pani domu bardzo chętnie sprowadziła ich schodami na dół i podążyła za narożnik budynku, gdzie z boku znajdowało się osobne wejście. Jednak mimo kilkukrotnego dzwonienia i pukania, nikt im nie otworzył.

– Pan Bär najwyraźniej musiał gdzieś wyjść – wyjaśniła Margarethe Winterscheid.

– Czy może dysponuje telefonem komórkowym? – zapytała Pia.

– Oczywiście. Jak wszyscy. Ale, niestety, nie znam jego numeru na pamięć. Jestem przekonana, że pracuje jeszcze w siedzibie wydawnictwa. Zadzwońię zaraz do córki i poproszę ją, żeby go odszukała.

– Bardzo by nam pani pomogła. – Bodenstein się do niej uśmiechnął.

– Zechciałby mi pan powiedzieć, w jakiej sprawie go szukacie? – dopytywała się małżonka poprzedniego szefa wydawnictwa. W normalnych okolicznościach Bodenstein ani Pia nie udzielali takich informacji, jednak w tym przypadku Oliver uznał, że odpowiedź na jej pytanie może okazać się pomocna. Być może Margarethe Winterscheid powie im coś, co Waldemar Bär by przemilczał.

– Heike zapisała wszystko Waldemarowi w testamencie? – powtórzyła Margarethe i ze zdziwienia uniosła starannie wyregulowane brwi. Jej spojrzenie stało się uważne, podobnie jak ton. – A to zaskakujące.

– Dla nas to również była niespodzianka. – Bodenstein pokiwał głową. – Gdyby znalazła pani chwilę czasu, chętnie porozmawialibyśmy z panią i pani mężem. Natrafiliśmy na kilka niejasnych kwestii, które, być może, moglibyście państwo pomóc nam rozwikłać.

– Ależ oczywiście, że pomożemy! – Usłyszane właśnie informacje wyraźnie wzbudziły jej zainteresowanie. – Mój mąż bardzo przeżył ostatnie smutne wiadomości. Bardzo ściśle współpracował z Alexandrem i Heike przez ostatnich trzydzieści lat, a Alexa traktował niemal jak syna.

Margarethe Winterscheid zaprosiła Pię i Bodensteina do domu, zatrzymała się przy pięknych, paradnych schodach i poprosiła, żeby na nią poczekali, po czym sama weszła do pokoju, na drzwiach którego znajdowała się tabliczka z napisem „Fundacja im. Götza Winterscheida”. Pia dostrzegła w środku dwa biurka i usłyszała, jak pani domu telefonuje. Dwie minuty później wróciła.

– Pan Bär dzisiaj nie pojawił się jeszcze w wydawnictwie – oznajmiła. – Moja córka będzie próbowała skontaktować się z nim przez komórkę.

– To bardzo miłe z pani strony – zapewnił ją Bodenstein. – Od jak dawna pan Bär pracuje dla państwa?

– Już jego rodzice pracowali dla moich teściów, a potem dla nas – odparła Margarethe Winterscheid. – Waldemar dorastał w tym domu razem z naszymi dziećmi. Po służbie wojskowej wyuczył się zawodu elektryka i zaraz potem zatrudnił go mój teść. Z pewnością nie mniej niż trzydzieści lat temu.

– Czy wyjeżdżał z państwa rodziną na wakacje? – zapytała Pia.

– Tak. Od dziecka zabieraliśmy go ze sobą, kiedy jechaliśmy do letniego domku we Francji – potwierdziła starsza kobieta. – Dawniej cierpiał na astmę. A morskie powietrze dobrze mu robiło. Później jeździł tam z naszym synem i jego przyjaciółmi.

– Czy pan Bär ma żonę i rodzinę? – zainteresował się Bodenstein.

– Nie. Jego rodzice już nie żyją, a po rozwodzie dziesięć lat temu Waldemar mieszka samotnie u nas w stróżówce. – Margarethe poprosiła, żeby poszli za nią i poprowadziła ich paradnymi schodami na piętro. – Pan Bär jest nad wyraz rzetelnym i godnym zaufania człowiekiem i pracownikiem. Dbą o siedzibę wydawnictwa i o nasz dom, ale nie tylko, bo zajmuje się również ogrodem i naszymi samochodami. Wszystko potrafi. Nie poradzilibyśmy sobie bez niego.

Uśmiechnęła się życzliwie i wprowadziła Bodensteina i Pię do dużego salonu o wysokim suficie zdobionym sztukateriami, z przeszklonymi regałami na książki i zielonymi tapetami na ścianach. Na niewysokim stoliku stała waza z białymi hortensjami, a z sięgających podłogi okien ze szprosami rozciągał się wspaniały widok na park i panoramę biurowców dzielnicy bankowej. Przy stole w narożniku pomieszczenia siedział starszy, chudy mężczyzna o orlim nosie i zapadłej twarzy, i nachylał się nad szachownicą. Żyłastą dłoń zaciskał na główce laski, a siwe, lekko falowane włosy opadały mu do ramion. Mimo że Henri Winterscheid był w domu,

jego garderoba była nienaganna, jakby zamierzał gdzieś wyjść: ubrany był w jasnoszary garnitur, białą koszulę i czarny krawat, najpewniej by zasygnalizować przeżywaną żalobę.

– Henri, państwo są z policji. W sprawie Heike – zaczęła Margarethe, zwracając się do męża, który uniósł głowę i spojrzeniem przekrwionych oczu zmierzył najpierw Bodensteina, a potem Pię. Patrzył na nich przez chwilę, po czym wstał z wysiłkiem z krzesła. Henri Winterscheid był wysokim mężczyzną. Poruszał się powoli i wyglądał bardziej krucho od żony, która, niezależnie jak przyjazne i babcine wzbudzała uczucia, bez wątpienia trzymała wszystko żelazną ręką i sama podejmowała wszelkie decyzje.

– Proszę nie wstawać i się nie kłopotać – pospiesznie powiedział Bodenstein. – Nie zajmujemy państwu wiele czasu.

– Proszę usiąść. – Staruszek słabym gestem wskazał na sofę obitą dziś wyblakłym, a niegdyś błyszczącym materiałem, i sam wrócił na swoje krzesło. Margarethe podeszła do okna, a Bodenstein i Pia zajęli wskazane miejsca na nieco wysiedzianej kanapie.

– Alexander był dla mnie drugim synem – poskarżył się Henri Winterscheid, kiedy Oliver poruszył temat jego śmierci. – I teraz on również nie żyje.

– Tak samo, jak twoja konkubina. – W głosie Margarethe Winterscheid słyhać było cichy tryumf – jej konkurentka została ostatecznie wyeliminowana. Staruszka pokazała w uśmiechu śnieżnobiałe zęby, jednak jej mąż w żaden sposób nie odniósł się do tej uwagi.

– O kim pani mówi? – Pia udała, że o niczym nie ma pojęcia.

– Mój mąż i Heike Wersch przez dwadzieścia siedem lat mieli romans – wyjaśniła Margarethe ze złośliwym zadowoleniem. – Henri planował nawet opchnąć swoje udziały w wydawnictwie, żeby zdobyć gotówkę na wsparcie firmy, którą chciała założyć. Nie pomyślał tylko, że stracilibyśmy wtedy dom, bo ta willa należy do majątku wydawnictwa.

– Przecież tego nie zrobiłem! – zdenerwował się Henri Winterscheid nie na żarty, a w jego oczach pojawił się błysk złości. – Tylko się zastanawiałem!

– Zastanawiałeś się tak intensywnie, że chciałeś nawet zaproponować odkupienie swoich udziałów Carlowi. – Margarethe z rozkoszą posypywała świeżą ranę małżonka solą wyrzutów. Przez całe życie musiała trzymać się z boku i robić

dobrą minę do złej gry. Znosiła zdradę męża z młodszą kobietą i dopiero teraz, kiedy był już stary i schorowany, mściła się na nim za wszystkie poniżenia, nie żałując celnych złośliwości i uwag. Przez całe lata takiego traktowania zebrała się w niej spora ilość jadu. Bodenstein i Pia nieraz widzieli takie relacje u par, gdzie brakowało bliskości i uczucia. Tacy ludzie zmieniali pozostały czas w piekło, zamiast w odpowiednim momencie powiedzieć sobie dość i rozejść się z godnością. W przypadku Winterscheidów sytuacja wydawała się układać zgodnie z tym właśnie schematem. Ale pozory należało zachowywać, i to za wszelką cenę.

– Dlaczego traktował pan pana Rotha jak syna? – zapytał Bodenstein szybko, zanim staruszkowie rzucili się sobie do gardeł. Niezależnie od tego, jak bardzo niedomagało ciało Henriego Winterscheida, jego mózg pracował zupełnie normalnie.

– Jak zapewne państwo wiecie, nasz syn Götz wiele lat temu zmarł w tragicznym wypadku – wyjaśniła Margarethe Winterscheid, nie dając mężowi dojść do słowa. – Alexander był jego najlepszym przyjacielem, i to od czasów przedszkola. On i narzeczona Götz'a wspierali nas w najtrudniejszym czasie po śmierci syna i nie odsunęli się, gdy ich potrzebowaliśmy. Z biegiem czasu stali się mnie i mojemu mężowi bliscy jak własne dzieci.

Pia przypomniała sobie, jakich słów użyła Maria Hauschild, kiedy w sobotę mówiła o Margarethe Winterscheid.

– Maria? – zapytała mimo wszystko. – Maria Hauschild? Ta agentka literacka?

– Tak, właśnie ona. Była pierwszą i niestety również jedyną miłością naszego syna Götz'a. Parą zostali już w szkole i nic się nie zmieniło, kiedy poszli na studia. My...

Przerwało jej pojawienie się w drzwiach niewysokiego, siwego mężczyzny w pogniecionym, jasnoniebieskim garniturze. Staruszek bez większego zainteresowania omiół wzrokiem salon, ignorując przy tym Bodensteina i Pię, którzy momentalnie go rozpoznali.

– No, Henri, i jak postępy? Wymyśliłeś już jakiś ruch, czy jesteś gotów się przyznać, że to szach-mat? – zapytał, całkowicie ignorując fakt, że przerwał toczącą się rozmowę.

– Czy to nie aby Hellmuth Englisch, nasz wybitny autor? – zawołał Bodenstein, zrywając się z kanapy.

– Ano ja, we własnej osobie. – Mężczyzna wypiął dumnie pierś jak kogut w kurniku. Nie podobało mu się wprawdzie, że musi zadzierać głowę, by spojrzeć Bodensteinowi w twarz, jednak pochlebstwo policjanta rekompensowało mu tę niewygodę.

– Nawet pan nie wie, jak się cieszę, że mogę pana poznać. Uwielbiam pana pióro! – Bodensteinowi nawet nie drgnęła powieka, gdy to mówił, za to Pia z trudem powstrzymała głośny wybuch śmiechu. Była pewna, że jej szef nigdy nie widział na oczy żadnej z książek Hellmutha Engelscha, nie wspominając nawet o ich lekturze. – Nadkomisarz Oliver von Bodenstein, a to moja współpracowniczka, Pia Sander. Moglibyśmy przy okazji zadać panu kilka pytań?

– Jakich znowu pytań? – spytał pisarz łaskawie i westchnął. – Chce pan rozmawiać o literaturze?

– Nie, o Heike Wersch. – Pia również wstała z kanapy. – Jesteśmy z wydziału zabójstw.

Coraz rzadziej używana nazwa wydziału K11 szczególnie na osobach starszej daty wciąż robiła duże wrażenie. Na twarzy Hellmutha Engelscha pojawił się wyraz niepewności, ale szybko otrząsnął się z zaskoczenia, w sposób typowy dla osób, które interesują się tylko sobą i własnymi problemami.

– A co tu jest do powiedzenia o Heike Wersch? – zapytał niechętnie. Rozejrzał się nerwowo po salonie.

– Kiedy rozmawiał pan z nią po raz ostatni? – zapytała Pia.

– Skąd mam niby wiedzieć? Przecież nie prowadzę dziennika, w którym bym zapisywał pozbawione znaczenia banały! – prychnął Englisch niegrzecznie. – Jedyne, co na jej temat mogę powiedzieć, to to, że ta cała Wersch mnie okłamała, niech spłonie w piekle, ten zdradziecki pomiot! Kusila mnie umową na trzy powieści i mamila wykupieniem z wydawnictwa Winterscheid! Przysięgała na wszystkie świętości, bo wiedziała, że nazwisko Hellmutha Engelscha oznaczałoby prestiż dla jej nowego przedsięwzięcia! Przez dwadzieścia pięć lat miała zaszczyt redagować moje powieści. A potem – odwróciła się do mnie plecami! Z zimną krwią mnie odrzuciła, kiedy Carl, ten mały zasraniec, zerwał ze mną umowę i zażądał zwrotu honorarium, jakbym był jakimś pierwszym lepszym pisarzyną!

Czy to się godzi, ja się pytam? I jak? Ten... ten człowiek wie przecież, kim jest Hellmuth Englisch! Hellmuth Englisch, laureat Nagrody Büchnera! Twórca, którego nazwisko kilkakrotnie było typowane do literackiego Nobla! Hellmutha Englischa nie wyrzuca się ot tak sobie, jak gdyby nigdy nic...

Kiedy krzyczał, jego głos stał się o oktawę wyższy, a że najwyraźniej nie miał zamiaru kończyć wylewania żalów, używając w odniesieniu do siebie trzeciej osoby, Pia westchnęła i mu przerwała.

– Poprzedniej niedzieli był pan widziany w trakcie kłótni z panią Wersch. Czy to prawda, że w trakcie tej scysji groził jej pan śmiercią? Liczę na pana zrozumienie, bo jako policja musimy brać takie słowa bardzo poważnie, szczególnie kiedy następnego dnia osoba, której grożono, rzeczywiście pada ofiarą morderstwa.

Englischa zatkało, a zaraz potem dostał napadu kaszlu.

– Kto opowiada takie głupoty? – wykrztusił, krzywiąc się niemiłosiernie. Szyja mu poczerwieniała, przez co jeszcze bardziej przypominał miniaturowego kogucika. – Dopiero w środę wróciłem do Frankfurtu!

– Nieprawda. – Margarethe Winterscheid zadała mu cios w plecy. – Już dwudziestego dziewiątego sierpnia byłeś z powrotem ze Sternberg. Bär w południe odebrał cię przecież z dworca.

Englich zmierzył ją pogardliwym spojrzeniem i wzruszył ramionami.

– No i? To przecież i tak bez znaczenia.

– Wręcz przeciwnie. Gdzie przebywał pan w zeszły poniedziałek wieczorem? – naciskała Pia.

– W poniedziałek wieczorem, w poniedziałek wieczorem! – pieklił się pisarz. – A skąd ja mam takie rzeczy wiedzieć? Wam w tej policji naprawdę się wydaje, że mam czas zajmować się takimi przyziemnymi głupotami?

Pia przez chwilę rozważała, czy nie ustawić tego zakochanego w sobie narcyza do pionu i nie zagrozić mu tymczasowym zatrzymaniem i przewiezieniem do komisariatu, lecz zanim się zdecydowała, do rozmowy włączył się Henri Winterscheid.

– Ja z żoną byliśmy tamtego wieczoru na uroczystości w Domu Literackim – oznajmił. – Pan Englisch nam towarzyszył. Na miejsce zawiózł nas pan Bär przed wpół do siódmej wieczorem, a odebrał nas za piętnaście jedenasta wieczorem. Nasz udział w tej imprezie potwierdzić może bardzo wiele osób i, jestem

przekonany, w prasie dałoby się znaleźć sporo zdjęć, na których nas widać. Czy jesteście państwo zadowoleni?

Wyższość, z jaką to powiedział, Bodensteinowi wybitnie nie przypadła do gustu, podobnie jak całkowity brak współczucia Englischa dla dwóch osób, z którymi znał się od wielu lat, a które dziś już nie żyły. Ale że żadna z tych trzech osób nie była podejrzana ani nawet nie zachodziła obawa ucieczki, mataczenia czy wpływania na zeznania świadków, postanowił interweniować, zanim Pia powie coś mniej przyjemnego.

– Tak, dziękuję, to nam rzeczywiście wystarczy. Przynajmniej na razie – powiedział szybko i zwrócił się do pisarza. – Chcielibyśmy teraz zamienić kilka słów z państwem Winterscheidami. Na osobności. Moglibyśmy pana przeprosić?

Hellmuth Englisch potrzebował kilku sekund, żeby zrozumieć, że został właśnie poproszony o opuszczenie salonu. Prychając ze złością, wyszedł z pomieszczenia i jak naburmuszone dziecko trzasnął za sobą drzwiami.

– Proszę bardzo, usiądźmy jeszcze na chwilę – zaproponował Bodenstein i poczekał, aż Margarethe Winterscheid zajmie miejsce w fotelu. Potem w kilku słowach opowiedział o fragmencie pamiętnika, który ktoś przesłał anonimowo Alexandrowi Rothowi tuż przed jego śmiercią.

– I czyj miałby to być pamiętnik? – zapytała Margarethe Winterscheid sceptycznym tonem.

– Pewności na razie nie mamy – wyjaśnił Bodenstein. – Na fotografii z 1983 roku, którą znaleźliśmy wśród rzeczy należących do Heike Wersch, pojawiła się młoda kobieta opisana na odwrocie jako „Kotka”. Z treści tego fragmentu dziennika wywnioskowaliśmy, że musiała to być późniejsza żona państwa szwagra Johna i tym samym matka Carla Winterscheida, państwa bratanka.

– Katharina?! – Margarethe Winterscheid spojrzała na nich zdezorientowana. – Moja zmarła szwagierka to napisała?

– Jeśli tak właśnie miała na imię, to tak, ona. – Bodenstein potaknął. – Nie wiemy jeszcze ani kto, ani dlaczego i po co wysłał Alexandrowi Rothowi te zapiski, jednak nie mamy wątpliwości, że to fragment dotyczący śmierci państwa syna Götza. Do tekstu dołączona była kartka z pojedynczym zdaniem: *Wiem, co zrobiłeś latem 1983 roku. I ty też to wiesz.*

– O Boże... – wyszeptała starsza pani i chwyciła się za serce. Henri Winterscheid był również bardzo poruszony, jednak nic nie mówił.

– Z treści tego fragmentu wynika również, że tamtego lata państwa syn miał romans ze Stefanem Finkiem – ciągnął Bodenstein. – Katharina o tym wiedziała i zgodziła się ich kryć.

Starsi państwo spoglądali na policjanta, jakby nie rozumieli, co do nich mówi. – To ohydne kłamstwo! – Margarethe Winterscheid pierwsza odzyskała głos. – Nasz syn nie był przecież homoseksualistą! Miał narzeczoną, z którą zamierzał się pobrać! A nasz zięć od trzydziestu lat jest żonaty z naszą córką! I mają dzieci! Jak możecie przychodzić tu i rzucać takimi oszczerstwami! Nasz Götz był szczęśliwy w związku z Marią do chwili, kiedy na horyzoncie pojawiła się Katharina i zaczęła mieszać. Najpierw kompletnie zakręciła Götzowi w głowie, by zaraz potem złamać mu serce, bo tylko się nim bawiła!

Mówiła to wszystko z pełnym przekonaniem.

– Obawiam się, że tkwi pani w błędzie, pani – Winter scheid – oznajmił Bodenstein. Dał Pii znak, na co ona otworzyła na komórce zdjęcie, na którym widać było poskładane w całość pasczki wydobyte z niszczarki w gabinecie Alexandra Rotha i odczytała na głos cały fragment. Małżeństwo Winterscheidów słuchało jej w milczeniu. Na twarzy Henriego malował się wyraz całkowitej dezorientacji, która ustąpiła miejsca niedowierzaniu, by ostatecznie przerodzić się w zaprzeczenie. Margarethe Winterscheid kręciła tylko głową.

– Nie. Nie. Nie – powtarzała kategorycznym tonem, kiedy Pia skończyła czytać ostatnie zdanie. – To nieprawda! To wszystko nieprawda! Ktoś sobie to wszystko zmyślił! To są bzdury. Niepojęta bezczelność i podłość, zarzucać takie rzeczy człowiekowi, który nie ma jak się bronić!

– Skąd w pani taka pewność, że to nie jest prawda? – zapytała Pia.

– Bo ja to po prostu wiem! Każda matka zna swoje dzieci! – upierała się Margarethe Winterscheid. Spojrzała na męża, szukając w nim wsparcia. – Tak nie było, prawda, Henri? Przecież wiemy, że Götz i Maria mieli się pobrać. A Götz byłby dzisiaj szefem wydawnictwa! On, a nie Carl!

Wymawiając imię swojego krewnego, starsza kobieta niemal splunęła z odrazą, jakby miała w ustach kawałek zepsutej ryby.

Henri Winterscheid milczał.

– Czy to prawda, że nazywała pani Katharinę Lady Macbeth? – drążyła Pia.

– Tak, to prawda – przyznała Margarethe. – Pojawiła się tutaj znikąd i zagięła parol na naszego syna, choć on miał już sympatię! A po jego śmierci zaciągnęła do łóżka mojego szwagra i zrobiła sobie z nim dziecko, ta... ta wyrachowana lafirynda! – Pytania Pii rozerwały stare, a mimo to nie do końca zagojone rany. – Nie mogłam znieść, w jaki sposób Katharina szarogęsi się w naszej rodzinie. Jak paraduje z tym wielgachnym brzuchem, wiedząc, że przez nią zmarł mój syn! A potem urodziła syna i dała mu na imię Carl po moim teściu, Carlu Auguście, i szwagier był tak dumny, że zupełnie zapomniał o moim biednym Götzu!

Głos jej się załamał. Przycisnęła dłonie do twarzy i zanosła się szlochem. Pia poczuła smutek, widząc ogrom cierpienia, którego nie mógł złagodzić upływ czasu. Policjantka przeniosła wzrok na Henriego Winterscheida; starszy mężczyzna nie próbował nawet pocieszać żony, jednak i on był w szoku. Twarz mu poszarzała, wzrok miał szklisty jak, komu się właśnie rozpadał świat.

Co takiego zrobili Odwieczni trzydzieści pięć lat temu? Jakim kłamstwem Stefan Fink, Alexander Roth, Maria Hauschild, Josefin Lintner i Heike Wersch zwiedli pogrążonych w żałobie rodziców ich zmarłego przyjaciela Götza? Czy zawarli wówczas pakt milczenia, którego z żelazną konsekwencją dotrzymywali, bo każdemu z nich śmierć chłopaka przyniosła wymierne korzyści? Dlaczego Katharina nigdy nie zaprzeczyła oficjalnej wersji? Dlaczego nie zdementowała ich kłamstwa? A może jednak próbowała, ale nikt nie chciał jej słuchać? Pewne było natomiast jedno, że z biegiem lat wymyślone przez nich kłamstwo zakorzeniło się i dla małżeństwa Winterscheidów stało prawdą, której nie zamierzali teraz tak łatwo porzucić. Tyle że nagle pojawił się ktoś, kto wiedział, co rzeczywiście się stało i zagroził zburzeniem całej tej budowli wzniesionej na kłamstwie. Dwoje Odwiecznych już nie żyło – czy to samo czekało kolejnych?

– Alexander Roth wrócił do nałogu, bo dręczył go strach, że wyjdzie na jaw, że jego całe życie i kariera zbudowane były na kłamstwie. Jego sumienie dało o sobie znać dopiero po tylu latach, bo się zorientował, że jest ktoś, kto zna prawdę i wie, co się wtedy wydarzyło. – Bodenstein przerwał ciszę. Nie rozgrzebywał szczegółów z pamiętnika, nie zamierzał też niepotrzebnie dręczyć staruszków, a do jego obowiązków nie należało przekonywanie ich do zmiany zdania. Jedyne, czego chciał, to znaleźć mordercę, a to wymagało ujawnienia prawdy, której żadne z nich nie chciało zaakceptować. – Wyznał żonie, że czuje się niegodny.

Niegodny. Ostatnie słowo policjanta zdawało się odbijać echem od ścian salonu. Margarethe Winterscheid wstała. Pia była przekonana, że starsza kobieta wyjdzie, jednak ona tylko podeszła do komódki, na której stały fotografie oprawione w różnej wielkości srebrne ramki, i wzięła do ręki jedną z nich.

– W jednym z mejli Heike Wersch wysłanych do Alexandra Rotha trafiliśmy na takie zdanie: *Pomyślałeś, co się stanie, jak Winterscheidowie dowiedzą się, jaką żalostną zmięję przez całe lata hodowali na własnej piersi?* – ciągnął Bodenstein. – W naszym odczuciu to bardzo silna poszlaka świadcząca o nieczystych intencjach Alexandra Rotha względem państwa. Heike Wersch wiedziała, jaka jest prawda, i postanowiła go tym szantażować.

Henri Winterscheid wydał z siebie jakiś nieartykułowany dźwięk, coś w rodzaju jęku zmieszanego z westchnieniem. Wydawało się, że staruszek jest na granicy wytrzymałości. Po jego pooranym zmarszczkami policzku potoczyła się pojedyncza łza, spadła na kołnierzyk i wsiąknęła w materiał. Mężczyzna drżał na całym ciele. Pia rozumiała jego reakcję. Państwu Winterscheidom mogło się wydawać, że przyszli tutaj w złych zamiarach, by skalać pamięć ich nieżyjącego syna.

– Znajomi Götza dostrzegli wówczas swoją wielką szansę i dlatego państwa okłamali – powiedziała mimo to. – Jego śmierć oznaczała dla nich same korzyści. Alexander przejął rolę państwa syna. Przez te wszystkie lata nikt się nawet nie zająknął, że Götz nie utopił się wcale z powodu nieodwzajemnionego uczucia do Kathariny, tylko romansu ze Stefanem. Katharina do końca życia musiała radzić sobie z państwa nienawiścią i świadomością, jak było naprawdę.

Twarz Margarethe Winterscheid stężała. Kobieta z wyraźnym trudem zachowywała panowanie nad sobą.

– Lepiej będzie, jeśli już państwo sobie pójda – wycodziła lodowato.

– Musimy jeszcze zapytać o dwa przedmioty znalezione w domu pani Wersch. – Pia nie dawała za wygraną. – W ukrytym na strychu kartonie po butach trafiliśmy między innymi na poplamiony krwią szary T-shirt i zbite okulary. Podejrzewamy, że obie rzeczy mogły należeć do państwa syna. Opieramy się głównie na tym, że na zabezpieczonych tam zdjęciach Götz ma na sobie podobną koszulkę i okulary w takich samych oprawkach. Wszystko to oczywiście trafiło do laboratorium, gdzie nasi technicy próbują wyodrębnić próbki DNA. Chcielibyśmy poprosić panią

lub pani męża o próbkę śliny, żebyśmy mieli materiał porównawczy do identyfikacji.

Tym razem twarz Margarethe przybrała barwę popiołu. Wstrząśnięta przycisnęła zdjęcie do piersi. Prawdziwość kopii fragmentu czyjegoś pamiątnika dało się łatwo zakwestionować, za to wyników badań laboratoryjnych już nie.

– Proszę opuścić nasz dom! – wyszeptała głucho. – Proszę odejść i zostawić nas w spokoju.

*

– W końcu zaczynam rozumieć, czego obawiał się Alexander Roth – powiedziała Pia, kiedy wyjechali przez bramę ogromnej posiadłości i skręcili w Grüneburgweg. – Niezależnie od tego, co się wtedy stało, on i paczka jego przyjaciół postanowili zachować prawdę tylko dla siebie, a Winterscheidom wcisnęli ustalone wcześniej kłamstwo.

Spojrzała na ekran komórki. Cem przesłał jej wiadomość, w której meldował wykonanie zadania: Stefan Fink siedział w sali przesłuchań w komisariacie. Pia odpisała mu szybko, prosząc o przypilnowanie, żeby mężczyzna nie opuścił piwnicy, w której nie było zasięgu. Nie chciała, żeby zdążył porozmawiać z teściową, zanim ona, Pia, będzie miała szansę zadać mu kilka pytań.

– Całe życie i kariera zawodowa Rotha opierały się na wymyślonym wtedy kłamstwie. Przez trzydzieści pięć lat musiał zmagać się z wyrzutami sumienia – potwierdził Bodenstein. – Nic dziwnego, że nigdy nie powiedział żonie prawdy.

– Wszystko w życiu wyłudził kłamstwem. Nawet nowych rodziców. – Pia aż potrząsnęła głową. – Jak można żyć, mając świadomość, że to wszystko nieprawda?

– Najwyraźniej nie potrafił. Jak sądzisz, dlaczego popadł w nałóg alkoholowy? – odparł Bodenstein. – Pytanie, kto może dysponować pamiątnikiem Kathariny Winterscheid?

– Maria Hauschild mogłaby to wiedzieć – stwierdziła Pia. – Była na tyle blisko z nią zaprzyjaźniona, że Katharina wybrała ją na matkę chrzestną Carla. Myślę, że może pamiętać, co się stało z prywatnymi rzeczami Kathariny po jej śmierci.

– Zupełnie zapomnieliśmy zapytać, jak i na co zmarła! – uświadomił sobie Bodenstein. – Musiała być jeszcze bardzo młoda.

– Tego też mogę dowiedzieć się od Marii Hauschild. – Pia wyjęła notatnik, odszukała telefon do agentki i wybrała go na ekranie smartfona.

– Zajęty – mruknęła. – Domyślam się, że zadzwoniła do niej Margarethe i teraz rozmawiają. No to pani Hauschild będzie musiała się gęsto tłumaczyć...

– Albo już dawno przygotowała się na taką okoliczność i ma w zanadrzu kolejne kłamstwo. – Bodenstein włączył kierunkowskaz i skręcił w Siesmayerstrasse, która po kilkuset metrach łączyła się z trasą Bockenheimer Landstrasse. – Heike Wersch i Alexander Roth nie żyją, więc może spokojnie wszystko zwalić na nich. Ona na równi z pozostałymi należy do ścisłego kręgu podejrzanych.

– Zdecydowanie tak. Pytanie tylko, co miałyby nią kierować? Jaki miała motyw? Nie ma nic wspólnego z wydawnictwem Winterscheid i nie skorzystała na śmierci Götza – zastanawiała się Pia na głos. – Sama zapracowała na swoją pozycję i bardzo dobrze jej się powodzi. Tak bardzo martwiła się o przyjaciółkę, że pojechała sprawdzić, co się z nią dzieje, a potem zadzwoniła do Henninga, który z kolei przekazał sprawę mnie.

– To jeszcze nie świadczy o jej niewinności – mruknął Bodenstein. – Sama wiesz, że sprawcy chętnie wracają na miejsce zbrodni. Albo nawet aktywnie angażują się w pomoc w poszukiwanie mordercy. To ten sam mechanizm, który sprawia, że niektórzy strażacy sami podkładają ogień, żeby go potem gasić.

– Naprawdę uważasz, że założyłaby perukę przyjaciółki, którą chwilę wcześniej zmasakrowała tłuczkiem do kotletów, potem wywiozła jej ciało do lasu i wróciła na miejsce, by posprzątać kuchnię?

– Historia już nie takie przypadki widziała – odparł Bodenstein, jadąc A66. – Może i Maria Hauschild nie jest moją główną podejrzaną, ale w żadnym razie nie możemy jej wykluczyć z tego grona. Dlatego byłoby dobrze, gdybyś poinformowała Henninga, żeby nie dzielił się z nią żadnymi ustaleniami z naszego śledztwa.

– Nic mu nie muszę mówić, już dawno powinien o tym wiedzieć – burknęła Pia.

– To trochę za mało, chcę mieć pewność – powtórzył Bodenstein.

– Dobrze, jeszcze raz mu o tym bardzo wyraźnie przypomnę – zapewniła go.

Nagle odezwała się jej komórka.

– O proszę, o wilku mowa. – Włączyła szybko połączenie Bluetooth i odebrała. – Dzień dobry, pani Hauschild. Dziękuję, że pani oddzwania. Jesteśmy akurat w mieście i chcielibyśmy się spotkać i porozmawiać.

– Dzień dobry – popłynął z głośników urywany głos agentki Henninga. – Jestem teraz w Marburgu i... wieczorem do Frankfu... co chodzi? ... tylko kilka minut... spotkania, ale... może... pomóc. Niestety... zasięg... nie...

– W takim razie postaram się pospieszyć – zdecydowała Pia. – Wśród papierów pana Rotha znaleźliśmy kopię fragmentu dziennika oraz kartkę z tekstem, który brzmiał: *Wiem, co zrobiłeś latem 1983 roku. I ty też to wiesz.* Jesteśmy przekonani, że dotyczy to zdarzeń, które miały miejsce latem 1983 roku we Francji, gdzie zginął Götz Winterscheid. Czy może pani również otrzymała taką przesyłkę?

– Tak... też... – potwierdziła Maria Hauschild. – ...trzema tygodniami. W ...percie bez nadaw... zaskoczona... bo to... musiał... dziennik... Katha... scheid.

– Kathariny Winterscheid, czyli matki obecnego szefa wydawnictwa, tak? – zapytała Pia głośniej.

– Tak. Ja... bardzo dobrze... blisko... – Jakość połączenia była coraz gorsza. – ...dziwiłam się, kto...

– Pani Hauschild? Halo? Słyszysz mnie pani?! – zawołała Pia.

– ... zasięgu... oddzwonię... później... – usłyszała jeszcze policjantka, po czym połączenie zostało przerwane.

– Nie musisz tak krzyczeć. – Bodenstein się uśmiechnął. – Nie będzie cię przez to lepiej słyszeć.

– To taki odruch. – Pia również się uśmiechnęła.

W oddali pojawił się zarys centrum handlowego Men-Taunus.

– Wpadnijmy może złożyć wizytę Josefin Lintner – zaproponowała szefowi. Właścicielka księgarni była jedyną osobą spośród Odwiecznych, z którą jeszcze nie rozmawiali.

– Świetny pomysł. Nic się nie stanie, jeśli Stefan Fink jeszcze trochę na nas poczeka. – Bodenstein zjechał na B8 za stacją Aral i po dwóch kilometrach wybrał zjazd do centrum handlowego. Samochód pozostawili na parkingu, a zanim poszli do księgarni, kupili sobie w mobilnym standzie włoskie grillowane panini z szynką, pomidorami i mozzarellą, po czym usiedli na ławce i zjedli szybki lunch.

W czasie posiłku rozmawiali o tym, kto mógł wysłać kopię fragmentu pamiętnika Kathariny Winterscheid Alexandrowi Rothowi i Marii Hauschild.

– *Wiem, co zrobiłeś latem 1983 roku* – zacytowała Pia z pamięci. – To brzmi jak z tego starego horroru, w którym główni bohaterowie też dostawali takie wiadomości.

– Możliwe, że ten, kto rozesłał kopie pamiętnika, wzorował się właśnie na tym filmie – potwierdził Bodenstein. – A że na sto procent zrobił to anonimowo, musiał wzbudzić prawdziwe przerażenie Alexandra Rotha, który i tak zmagał się z poczuciem winy. Nie mogę się doczekać, żeby zapytać panią Lintner, czy też otrzymała taką przesyłkę.

– Byłabym szczerze zdziwiona, gdyby było inaczej – stwierdziła Pia, jedząc. – Ktoś szantażował Odwiecznych. Możliwe, że tylko po to, żeby ujawnić, co się wtedy naprawdę stało. Tylko pytanie, dlaczego akurat teraz? Dlaczego nie dużo wcześniej?

– Hm. – Bodenstein się zamyślił. – Musiał pojawić się jakiś czynnik, który zapoczątkował taki bieg zdarzeń. Na pewno nie była to śmierć Heike Wersch, bo Roth musiał dostać przesyłkę dużo, dużo wcześniej. Podejrzewam, że dostał ją równocześnie z panią Hauschild, czyli trzy tygodnie temu.

Przez chwilę jedli w milczeniu i myśleli.

– Obawiam się, że nie znamy jeszcze wszystkich graczy. – Bodenstein oczyścił sobie usta chusteczką papierową. – Mam wrażenie, że to jest trochę jak mecz szachowy. Jak z szachownicy spada jedna z głównych figur, gra nabiera zupełnie innej dynamiki. Takie działanie miała śmierć Heike Wersch.

– Ech, ty i te twoje porównania. – Pia zmięta papier, w który zawinięte było jej panini, wyrzuciła go do śmieci i przez chwilę zmagiała się z chęcią sięgnięcia po papierosa, która dopadała ją po każdym posiłku. – Wstawaj, idziemy.

Księgarnia House of Books znajdowała się pośrodku starszej części centrum i szczyciła się wieloletnią tradycją. O tej porze w przestronnej sali sprzedażowej panował zastój. Tylko nieliczni klienci kręcili się wokół stołów z wystawionymi nowościami, dwie młode kobiety z wózkami spacerowały po dziale z literaturą dziecięcą, a jakiś mężczyzna prosił pracownicę księgarni o poradę. Pia już z daleka rozpoznała Josefin Lintner. Kobieta stała przy terminalu kasowym za ladą i z telefonem przyciśniętym do ucha przyjmowała zamówienia. Poczekali

grzecznie, aż właścicielka księgarni zakończy rozmowę i dopiero wtedy pokazali swoje legitymacje.

– O, dzień dobry! – przywitała ich Josefin. – Myśmy się już poznali, w sobotę, w szpitalu.

Popielatoblond włosy nosiła luźno związane na plecach, na nosie miała okulary do czytania, a ubrana była w wyciętą w serek koszulkę z krótkim rękawem i logo księgarni na piersi, dżinsy i buty na szerokim obcasie, co, zważywszy na pracę wymagającą chodzenia przez cały dzień, było rozsądnym wyborem.

– Przyszliśmy w sprawie Alexandra Rotha i Heike Wersch – poinformował ją Bodenstein. – Znalazłaby pani dla nas trochę czasu?

– Oczywiście. – Pani Lintner gestem wezwała jedną z pracowniczek i wyjaśniła jej, że ma przejąć kasę, po czym zaprowadziła Pię i Bodensteina do drzwi między regałami z literaturą młodzieżową i poradnikami zdrowotnymi. Poruszała się zwinnie i z energią, a jej postawa i zachowanie sugerowały, że jest pogodną i radosną osobą. Jakiś uśmiech po drodze, gest w przejściu i całą księgarnię miała pod kontrolą. Za drzwiami piętrzyły się paczki, a wokół nich krzątały się dwie młode dziewczyny, które rozpakowywały książki i wprowadzały je do systemu. Pani Lintner zamieniła z nimi kilka słów i wyjaśniła coś półgłosem, przyjaznym, ale zdecydowanym tonem.

– Codzienna dostawa od dużych dystrybutorów – powiedziała i otworzyła kolejne drzwi, tym razem prowadzące do biura, które było równie zastawione jak korytarz. W środku znajdowały się dwa ustawione naprzeciwko siebie biurka, każde z komputerem i całą masą szufladek na dokumenty, miejsce pod ścianami zajmowały regały wypełnione segregatorami, do tego na komodzie z boku dwie drukarki i fax. Poza tym w każdym możliwym miejscu piętrzyły się książki i katalogi wydawnicze.

– Wszystko z krzesel można zdjąć i odstawić gdzieś na podłogę – poradziła im kobieta. – Jest tu trochę ciasno, ale przy cenach najmu, jakie tu mają, każdy centymetr powierzchni jest na wagę złota.

– Poradzimy sobie, dziękuję – zapewnił ją Bodenstein i podniósł z krzesła karton pełen katalogów, by zestawić go na podłogę.

– Uch, pierwszy raz mam dzisiaj okazję na chwilę usiąść. – Josefin Lintner osunęła się z ulgą na dyrektorski fotel za jednym z biurek, skrzywiła się

i wyciągnęła nogi. Musiała mieć pięćdziesiąt kilka lat, ale wyglądała na znacznie więcej. Zbyt wiele słońca i wypalonych papierosów odcisnęło piętno na jej pokrytej piegami i w zasadzie wolnej od makijażu twarzy.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia w związku ze śmiercią pana Rotha – zaczął Bodenstein po tym, jak Pia zapytała, czy może nagrywać rozmowę telefonem.

– Dziękuję – odparła pani Lintner. – To rzeczywiście strasznie smutna sprawa.

– Dowiedzieliśmy się, że wiele lat temu pan Roth i pani byliście parą.

– O Boże, ileż to już czasu minęło! Całe wieki! – Właścicielka księgarni sprawiała wrażenie szczerze zaskoczonej. – Niedługo pewnie trzydzieści pięć lat. Poznaliśmy się w szkole, w prywatnym gimnazjum w Kelkheim. To była bardzo popularna placówka, wielu uczniów ją wybierało, chcąc lepiej zdać potem maturę. Przeniosłam się tam razem z Heike z podstawówki imienia Świętej Angeli w Königstein, a Alex i Götz Winterscheid ze szkoły we Frankfurcie. Tylko Maria i Stefan chodzili tam od początku.

– Maria Hauschild? – upewniła się Pia.

– Tak, chociaż wówczas nazywała się jeszcze Maria Molitor – potwierdziła Josefin Lintner. – Wszyscy mieliśmy podobne zainteresowania i wybraliśmy te same przedmioty uzupełniające: literatura i wiedza o społeczeństwie.

– Alexander Roth przyjaźnił się z Götzem Winterscheidem, prawda? – dopytywała się Pia.

– Chyba już od kołyski. – Kobieta potaknęła. – Przy czym ta dwójka z pozoru w ogóle do siebie nie pasowała, ba, oni byli swoimi przeciwieństwami. Götz miał urok szarmanckiego łajdaka i był bardzo przystojny, dowcipny i chętnie wszystkim się dzielił. Często zapraszał nas do willi swoich rodziców i organizował nam pracę: kelnerowaliśmy u nich na przyjęciach, w czasie słynnych wieczorów przy kominku czy przy innych okazjach, takich jak odczyty autorskie czy targi książek, gdzie obsługiwaliśmy stanowisko ich wydawnictwa. Daliśmy się oczarować splendorowi nazwisk znanych pisarzy, artystów i filozofów, którzy dom Winterscheidów traktowali jak swój własny. Dla nas to był nieznan wcześniej i szalenie fascynujący świat. Dla Alexa i Stefana to nie było nic nowego, ale Heike, Maria i ja byłyśmy wniebowzięte, mogąc osobiście poznawać tych wszystkich sławnych ludzi. – Przerwała i uśmiechnęła się do swoich wspomnień. – Od dawna ubóstwialiśmy filozofów szkoły frankfurckiej, a tu proszę, nagle spotykałyśmy ich

twarzą w twarz, dyskutowaliśmy z nimi, jadliśmy przy tym samym stole i razem piłyśmy. Walczyłyśmy między sobą o uznanie tych ludzi, podkładałyśmy sobie nogi, czytałyśmy wszystko, co nam wpadło w ręce i co wypadało przeczytać, a kiedy potem ktoś taki jak Alfried Kempermann, Volker Böhm czy Marina Bergmann-Ickes przyznawali nam rację, czułyśmy się jak po pasowaniu na rycerza. Stałyśmy się czymś w rodzaju ich groupies, co z dzisiejszej perspektywy jest kompletnie chore, ale wówczas, gdy miało się osiemnaście czy dziewiętnaście lat, wydawało się niesamowicie cool. Pamiętam, że poszłam wtedy raz do łóżka z Gunnarem Gantenbergiem, który akurat wygrał jakąś ważną nagrodę literacką i mieszkał w apartamencie prezydenckim w hotelu Frankfurter Hof. Nie odmówił, kiedy osiemnaście lat później zaprosiłam go na jakiś odczyt w naszej księgarni. Rzeczywiście wtedy przyjechał i powspominaliśmy tamte dni. – Znów przerwała, a na jej twarzy pojawił się lekki uśmiech, kiedy przypominała sobie wydarzenia sprzed kilkudziesięciu lat. Dopiero po chwili się otrząsnęła i mówiła dalej: – Götz nigdy nie chciał iść w ślady ojca i nie zamierzał prowadzić wydawnictwa. Matureę zdał ze świetnymi wynikami i bez trudu dostał się na medycynę na Uniwersytecie Medycznym we Frankfurcie. Wolał wyjechać do innego miasta, do Monachium czy Hamburga, ale został tu dla Marii.

– Dlaczego? – dopytywała się Pia.

– Ojciec Marii zginął w tragicznych okolicznościach – wytłumaczyła właścicielka księgarni. – W saunie we własnym domu dostał ataku serca, a ona dopiero następnego dnia znalazła jego zwłoki.

– Zechciałaby pani opowiedzieć nam nieco więcej o Alexandrze Rocie? – poprosił Bodenstein. – Wdowa po nim, Paula Domski, twierdzi, że w pewnym momencie całkowicie zerwał kontakt z rodzicami. Wie pani, dlaczego?

Josefin Lintner westchnęła ciężko i zaprzeczyła ruchem głowy.

– Alex miał bardzo silny kompleks niższości, głównie z powodu wykształcenia rodziców, którzy nigdy nie poszli na studia. Jego ojciec posiadał kilka stacji benzynowych i kosił na nich straszne pieniądze, a do tego był naprawdę miłym człowiekiem. Pracował razem z matką, która zajmowała się księgowością w ich firmie. Bardzo ich lubiłam, ale Alex się ich wstydził. Myślę, że jego znajomość z Götzem wzbudziła w nim towarzyską ambicję. Alex ubóstwiał Henriego Winterscheida i jego ojca. Robił, co mógł, żeby się do nich upodobnić, a Götz był dla niego biletem do rajy. – Ściągnęła usta, a przez jej obsypaną piegami twarz

przemknął cień uśmiechu, jednak tym razem więcej było w nim kpiny niż nostalgii. – Dzisiaj tego już po mnie nie widać, ale wtedy byłam najładniejszą dziewczyną w szkole. Mogłam mieć każdego chłopaka, a mimo to zakochałam się jak szalona w Aleksie, choć zupełnie do siebie nie pasowaliśmy. Kiedy dzisiaj o tym myślę, dochodzę do przekonania, że oczarowały mnie jego indywidualizm, intelekt i otaczająca go aura tajemniczości. Götz nosił okulary, więc Alex też musiał, choć nie miał problemów ze wzrokiem. Czytał każdą książkę, jaka ukazywała się w wydawnictwie Winterscheid, tylko po to, żeby móc potem o niej rozmawiać i robić wrażenie na rodzicach przyjaciela, a nie dlatego, że go to interesowało. Heike rzeczywiście była prawdziwą intelektualistką, a on przez całe życie starał się za kogoś takiego uchodzić. Kiedy wybieraliśmy przedmioty rozszerzone, wybrałam te same co on, chociaż dużo pewniej czułam się w naukach przyrodniczych. Przez cały rok robiłam do niego maślane oczy i dawałam mu znaki, aż w końcu raczył mnie zauważyć. Nawet kupiłam sobie okulary, by inteligentniej wyglądać! – Josefin Lintner znów się zaśmiała. – Bo prawdę mówiąc, nie byłam typem intelektualistki, co ja mówię, nie byłam nawet przesadnie bystra. Sławni autorzy i filozofowie dość szybko przestali być dla mnie atrakcyjni, bo zorientowałam się, że większość miała cuchnący oddech, a do tego byli zakochanymi w sobie nudziarzami. Jedyne, co potrafili, to rozmawiać o sobie samych, o swoich książkach i teoriach, i obmacywać młode dziewczęta. Gdyby nie Alex, pewnie szybko straciłabym z tą grupą jakikolwiek kontakt. – Odchrząknęła. – Heike miała decydujący głos. Stefan, Maria i ja trzymaliśmy buzie na kłódkę, kiedy rozprawiała z Alexem i podnosiła temperaturę tych dyskusji, bo musicie wiedzieć, że potrafiła ostro jechać po przeciwniku. Wiedziałam, że uważa mnie za idiotkę, co bardzo mnie wtedy bolało, bo trudno byłoby sobie wyobrazić, ile wysiłku wkładałam, żeby mówić tak jak ona. Strasznie dużo wtedy płakałam, bo wystarczyło, żeby Götz pstryknął palcami, a Alex momentalnie zostawiał mnie samą i znikał. Götz liczył się dla niego ze względu na wydawnictwo i kontakty z tymi wszystkimi sławnymi i wspaniałymi ludźmi. Kilka tygodni po śmierci Götza Alex ze mną zerwał. Tak po prostu, przez telefon. Nie miał już dla mnie czasu, bo rodzice Götza w zasadzie adoptowali jego i Marię, a Heike zaczęła sypiać z Henrim Winterscheidem. Ten to też był pies na baby, nie potrafił trzymać rąk przy sobie. – Kobieta zadrżała na samo wspomnienie. – Katharina dość szybko wyszła za wuja Götza, Johna, a potem jeszcze pobrali się Stefan i Dorothea. I w ten sposób skończyła się historia naszej paczki.

– Katharina stosunkowo krótko przed tymi wydarzeniami dołączyła do waszej grupy, prawda? – dopytywał się Bodenstein, a Pia na bieżąco robiła notatki, żeby nie pogubić się w natłoku imion, nazwisk i stosunków towarzyskich.

– Tak, to prawda. Do Frankfurtu przeprowadziła się jesienią 1982 roku, żeby skończyć tu studia. Była kilka lat starsza od nas – tłumaczyła Josefin Lintner. – Znalazła ogłoszenie Marii, która szukała współlokatorki do naszego wspólnego mieszkania, i zadzwoniła. Maria później pewnie żałowała, że wynajęła jej ten pokój, bo Götzowi zupełnie odbiło na jej punkcie. Zabrał ją na jakąś imprezę u siebie w domu, tam Katharina spotkała Johna i to by było na tyle, jeśli chodzi o Götza, bo ją i Johna, wuja Götza, połączyła miłość od pierwszego wejrzenia.

– Jak się do niej zwracaliście? Miała może jakieś przezwisko?

– Tak, używaliśmy wszyscy zdrobnienia „Kotka”. Sama nie wiem, dlaczego. Z jednej strony to było takie nasze zdrobnienie, a z drugiej ona rzeczywiście uwielbiała koty. W czasie wakacji na Noirmoutier, w porcie wyłowila z wody cztery kocięta. Trzy były już martwe, ale czwartego udało się uratować. Wszędzie brała go ze sobą, a potem nawet wróciła z nim do Frankfurtu.

– Co takiego stało się w wakacje w 1983 roku na tej wyspie? Jak doszło do śmierci Götza Winterscheida? – kontynuowała Pia.

– Byliśmy tam czwarty raz z kolei, w sensie cała nasza paczka – opowiadała Josefin. – Winterscheidowie posiadali na Noirmoutier bardzo duży dom z widokiem na morze, stróżówką i wszystkim, co można sobie wymarzyć. Götz co roku zapraszał nas tam pod koniec lipca, zaraz po tym, jak jego rodzice wracali do kraju. W 1983 roku byliśmy tam w siódmkę i w zasadzie od pierwszego dnia było paskudnie. Maria też przyjechała, mimo że kilka miesięcy wcześniej Götz z nią zerwał. Żadne z nas nie rozumiało, co się między nimi działo, no i dlatego atmosfera była strasznie napięta. Wszyscy pili bez umiaru. Götz flirtował z Kathariną. Oni i Stefan ciągle gdzieś się wymykali, a Maria nie radziła sobie z zazdrością. W końcu dołączył do nas John i zaraz zabrał Katharinę na żaglówkę. Tego samego wieczoru Götz schlał się jak świnia i włączył mu się agresor, ale tak na maksa. Wkurzało go, że Alex i Heike godzinami dyskutują o literaturze, filozofii i polityce. Obrzucał nas wyzwiskami, kpił z nas i wyśmiewał się z planów Alexa i Heike. A on, kiedy się upił, potrafił być naprawdę okrutny i cyniczny. Zarzucił nam, że go wykorzystujemy, a potem wrzeszczał, że następnego dnia mamy się wszyscy wynosić, bo rzygać mu się chce na nasz widok. Już wcześniej

byliśmy świadkami takich wybuchów, więc nie braliśmy ich na poważnie. Wystarczyło poczekać, aż wytrzeźwieje, i sam przychodził przeproszać za swoje zachowanie. Ale tamtego wieczoru posunął się znacznie dalej niż zwykle. Najpierw wyladowywał się na mnie, a potem na całej reszcie. Nazwał nas pasożytami i pijawkami. W końcu uznałam, że miarka się przebrała i wróciłam do pokoju spakować swoje rzeczy. Byłam wściekła i ryczałam jak głupia, przede wszystkim dlatego, że Alex nie stanął w mojej obronie. Następnego ranka obudziła nas wizyta policji. Ktoś znalazł na plaży ciało Götza. To było przerażające. Całe szczęście, że późnym popołudniem z żaglówki wrócili John z Kathariną. John doskonale mówił po francusku i wszystko załatwił. Wieczorem przyjechali Henri i Margarethe. Margarethe prawie się tam rozsypała. Nigdy przedtem ani potem nie widziałam, żeby ktoś tak wył i płakał. Na wyspę przyjechała policja ze stałego łądu i zabrali się za śledztwo. Przesłuchali nas wszystkich. Götz miał we krwi ponad trzy promile alkoholu i pękniętą czaszkę. Śledczy doszli do wniosku, że to był wypadek. Götz musiał się potknąć albo poślizgnąć, uderzyć głową o skały, stracić przytomność i w takim stanie wpaść do wody. Tamtego wieczoru był wysoki przypływ, mocno wiało i były wysokie fale. Matko, to był prawdziwy dramat, koszmar po prostu. Następnego dnia spakowałam się i z Heike i Stefanem wróciliśmy do domów. Przez całą drogę ani słowem się do siebie nie odezwaliśmy. A potem już nigdy nie rozmawialiśmy o tym dniu.

– Za to Henri i Margarethe Winterscheid zaczęli traktować Alexandra Rotha jak rodzzonego syna?

– Tak jest. Chyba widzieli w nim jakby namiastkę Götza. Starego, lojalnego przyjaciela zmarłego syna. W zasadzie przyjęli go do rodziny. Ale Bogiem a prawdą, Alex znacznie lepiej nadawał się do roli, jaką wymarzyli sobie dla Götza. Tymczasem ich syn i tak nigdy nie podjąłby pracy w wydawnictwie. Za to Alex robił zawsze dokładnie to, czego Henri i Margarethe sobie zażyczyli i od niego oczekiwali. Założyli tę całą fundację i zaraz powierzyli jej prowadzenie Alexowi i Marii. Margarethe traktowała ją jak synową. Jestem prawie pewna, że ona do dziś nie ma pojęcia, że Götz i Maria już na długo przed wakacjami nie byli parą.

– A Heike Wersch została sekretną kochanką ojca Götza.

– No nie wiem, nie nazwałabym tego sekretnym romansem. – Josefin Lintner pokręciła głową. – Przy każdej okazji nam o tym przypominała. Wciskała bajki, że są dla siebie bratnimi duszami i że tylko rozmawiają, choć to przecież były bzdury.

Henri przystawiał się do każdej dziewczyny w zasięgu wzroku. Polował na co się da i na drzewo nie uciekał. Ale bądźmy szczerzy, Heike poradziłaby sobie i bez niego. Była naprawdę dobra w tym, co robiła. No, i koniec końców wszyscy wylądowaliśmy w świecie ksiązek, chociaż ja akurat przez czysty przypadek. Męża poznałam na degustacji win i zakochałam się w nim, zanim się dowiedziałam, że ma księgarnię. Ostatecznie też nie skończyłam studiów. Czasem tak sobie myślę, że równie dobrze dawałabym sobie radę jako żona piekarza czy właściciela gospody. – Roześmiała się. – Maria stosunkowo szybko rzuciła pracę w fundacji, ale Henri nie dał jej zginąć i zatrudnił w wydawnictwie, w dziale praw i licencji. Alex i Heike z miejsca dostali umowy na czas nieokreślony w redakcji, a Stefan przejął drukarnię po rodzicach. Po śmierci Johna Katharina odziedziczyła jego udziały w wydawnictwie, a kiedy Maria przeszła do agencji literackiej Hauschild, której szef został później jej mężem, matka Carla zajęła jej miejsce. Nigdy nie zerwaliśmy ze sobą kontaktu, bo na to nasza branża jest za mała. Co roku spotykaliśmy się przy okazji targów, w czwartek wieczorem na wielkiej imprezie u Winterscheidów. Niestety, te towarzyszące targom zabawy skończyły się z powodu restrukturyzacyjnego zapału Carla, więc ostatnio był to już piątek, na stoisku wydawnictwa Fischer czy na zabawie w ostatki, organizowanej przez Josefa Moosbruggera, tego agenta.

Pia spojrzała na ekran smartfona, żeby mieć pewność, że cały czas nagrywa. Takiej ilości informacji i szczegółów, jakimi sypała gadatliwa i otwarta właścicielka księgarni, za żadne skarby nie byłaby w stanie sama zapamiętać. Jednego za to była pewna: Alexander Roth i Heike Wersch bardzo skorzystali na śmierci Götza Winterscheida. Roth awansował społecznie i towarzysko, a oboje zbudowali sobie renomę w świecie literackim.

– A co się właściwie działo z Dorotheą Winterscheid, córką Henriego i Margarethe? – zainteresował się Bodenstein. – Dlaczego to nie jej rodzice powierzyli kierowanie fundacją?

– Pewnie dlatego, że była wtedy na to za młoda – zgadywała Josefin Lintner. – W 1983 mogła mieć osiemnaście, może dziewiętnaście lat, ale nie więcej.

– Jak układały się pani stosunki z panią Wersch? – zapytała Pia.

– Poprawnie. – Kobieta pokiwała głową. – Zawsze dbała, żebyśmy to my przygotowali wystawkę i sprzedaż ksiązek w czasie imprez organizowanych przez wydawnictwo, co jest bardzo opłacalne. Często też sami zapraszaliśmy

czytelników i autorów na odczyty czy podpisywanie książek. W naszej księgarni cały czas coś się dzieje, choćby z racji jej lokalizacji. Może nie byliśmy z Heike psiapsiółkami, ale też nigdy nie traktowała mnie jako konkurentki. – Przerwała na chwilę. – Co teraz będzie z jej ojcem?

– Pan Wersch ma wyznaczonego pełnomocnika i gdy tylko to będzie możliwe, trafi do domu opieki, o co zawczasu zadbała jego córka – wyjaśniła Pia. Josefin Lintner była najwyraźniej jedyną członkinią starej paczki „przyjaciół”, która знаła sytuację rodzinną zamordowanej. – A Maria Hauschild? Jakie były jej stosunki z panią Wersch?

– One to się akurat zawsze bardzo lubiły. Ale dlaczego, to dla mnie do dzisiaj jest tajemnicą – wyznała szczerze Josefin Lintner. – Były jak ogień i woda. Heike była władcza, emocjonalna i cyniczna. Maria za to ambitna, pragmatyczna i bardzo zrównoważona. Zresztą, może to prawda, że przeciwieństwa się przyciągają. A od kiedy Maria owdowiała, jeszcze bardziej się do siebie zbliżyły.

– Maria Hauschild jest wdową? – zdziwił się Bodenstein.

– Tak. Erik, jej mąż, zmarł w 2005 roku w czasie targów w wyniku hipoglikemii.

– Czy Heike Wersch zwróciła się do pani w poszukiwaniu wsparcia dla swojego nowego wydawnictwa?

– Tak, nas też prosiła o pieniądze – potwierdziła Josefin. – Chciała, żebyśmy wszyscy się w to włączyli, bo potrzebowała środków na rozpoczęcie działalności i obiecywała nam jakieś nierealne zyski. Musiałam jej odmówić. Nie dlatego, że nie podobał mi się jej pomysł, ale po prostu nie mamy na takie rzeczy pieniędzy. Całkiem nieźle sobie radzimy, ale kilkadziesiąt tysięcy euro to już nie są drobne, które można wygrzebać z kieszeni. Do tego to przecież dość ryzykowna inwestycja. Z tego, co wiem, wszyscy jej odmówili poza Marią i Henrim, który znów zobaczył siebie w roli wielkiego szefa wydawnictwa. A przecież Heike chciała go na pokładzie tylko dla nazwiska, żeby wkurzyć Carla. No i potrzebowała jeszcze jego kasy. To wszystko.

– Czy mówi coś pani nazwisko Bär, Waldemar Bär? – zapytał Bodenstein.

– Tak, oczywiście. To faktotum Winterscheidów.

– To... kto? – zapytała Pia, która nie słyszała jeszcze tego archaicznego słowa.

– Ich prawa ręka. Totumfacki. Gospodarz domu, ogrodnik, szofer... i to w jednej osobie. – Pani Lintner spojrzała na komórkę, którą położyła wcześniej na biurku

przed sobą. – Czy macie państwo jeszcze jakieś pytania? Bo muszę wracać do pracy.

– Zaraz kończymy – zapewnił ją Bodenstein. – W biurze pana Rotha znaleźliśmy kopię fragmentu dziennika oraz kartkę z dwoma zdaniami.

– *Wiem, co zrobiłaś latem 1983 roku* – uprzedziła go Josefin Lintner. – Tak, ja też otrzymałam taką przesyłkę. Przyszła zwykłą pocztą, anonimowo, jakieś trzy tygodnie temu. Razem z mężem próbowaliśmy zgadnąć, co to miałoby oznaczać i kim może być nadawca. – Sięgnęła do szufladek na dokumenty i zaczęła szukać, aż spomiędzy papierów wyjęła dwie kartki. – Z tego, co widzę, to to są dwie strony z dziennika Kathariny.

– Zechciałyby mi pani zrobić ich kopię? – poprosił Bodenstein.

– Proszę je sobie wziąć – odparła właścicielka księgarni.

Pia wyjęła szefowi kartki z dłoni i przesunęła po nich wzrokiem.

Sz.P. Josefin Lintner

– do rąk własnych –

House of Books

Centrum Handlowe Men-Taunus

65-843 Sulzbach

Wiem, co zrobiłaś latem 1983 roku. I ty też to wiesz.

Île de Noirmoutier, 18 lipca 1983

Wczoraj wieczorem znów poszłam sama na klify, żeby popatrzeć, jak słońce chowa się za latarnią morską, a kiedy wróciłam, ci idioci nie poradzili sobie nawet ze sprzątnięciem ze stołu! Dlaczego jeszcze nie ma Johna?! Z nim pobyt tutaj byłby rajem. Ta zgraja przemądrzałych dzieciaków działa mi na nerwy. Ja – poważnie, sama, z własnej woli (babcia umarłaby chyba ze śmiechu, gdyby się o tym dowiedziała) – wzięłam na siebie gotowanie i zmywanie, tylko po to, żeby nie musieć słuchać niekończących się dyskusji o Handkem, Grassie czy Bernhardzie. A jak oni się przy tym podniecają, jak emocjonują i jak się śmiertelnie poważnie czują, kiedy cytują jakieś fragmenty z ich książek, a potem rozkładają na czynniki pierwsze i zastanawiają nad każdym przecinkiem! Ulubionym słowem Alexa jest wieloznaczność, Heike rzuca takimi sformułowaniami jak estetyka

formalistyczna czy autoreferencyjność, a Josi, biedna, głupiutka dziewczyna, pozwala im się poniżyć. Przy tym cały czas palą skręty, wlewają w siebie całe litry czerwonego wina i uważają się za nie wiadomo jakich intelektualistów. Przerazająco to wszystko głupie. Do późna chraniają jakieś głupoty, każdego wieczoru upijają się w sztok i śpią potem do południa. Alex i Josi pieprzą się co noc, a ja mam pecha spać w pokoju obok nich, więc muszę wystłuchiwać tych jęków i stęków. Tęsknię za Johnem i moją maszyną do pisania! Cudownie by mi się tu pisało, z widokiem na błękitny Atlantyk.

Mia przesadza. Łazi za Götzem jakby nie miała nic lepszego do roboty, demonstruje, jak usycha z tęsknoty, a ten flirtuje ze mną jak szalony, byle tylko nikt się nie zorientował, w kim naprawdę się kocha. Kryję ich, jak tylko się da, ale mam już tego serdecznie dość. To strasznie stresujące. Josi ciągle rzuca jakieś głupie uwagi na temat Johna. A nie jest przecież tak głupia, jaką zgrywa, więc Götz powinien bardziej uważać. Wczoraj dowiedziałam się od Heike, że wszyscy byli pewni, że Götz ożeni się z Mią, bo są razem już od tylu lat! Wiem, co chciała mi przez to powiedzieć: trzymaj się od niego z dala. Rany, to takie męczące! Jak ja mam wytrzymać z nimi jeszcze czternaście dni?

– Dlaczego w dniu, w którym Götz zmarł, wypił tak dużą ilość alkoholu? – zapytał Bodenstein.

Josefin Lintner wahala się przez ułamek sekundy.

– To było tak dawno temu – spróbowała się wykręcić od odpowiedzi. – Był nieszczęśliwie zakochany w Katharinie i topił frustrację w alkoholu.

– To nieprawda i pani przecież dobrze o tym wie. – Pia zaryzykowała strzał w ciemno. – Komu przysięgała pani nigdy o tym nie mówić? Alexandrowi Rothowi? Czy Heike Wersch? Oboje już nie żyją.

– Nikomu niczego nie obiecywałam! – Josefin Lintner pokręciła energicznie głową, ale nie mogła ukryć rumieńców, które pojawiły się na jej policzkach. – Skąd w ogóle taki pomysł?

– Alexander Roth otrzymał w swojej przesyłce inny fragment dziennika niż pani w swojej. – Pia wyszukała w komórce zdjęcie zrekonstruowanego tekstu. – Można w nim znaleźć następujące słowa: „A diabli wiedzą, jakie kłamstwa Alex sący im do uszu! Od kiedy wrócili, ta pijawka w zasadzie mieszka w ich willi! Co począć, mam to na własne życzenie. Zgodziłam się brać udział w gierkach Götza i Stefana”.

Właścicielka księgarni spoglądała na policjantkę ze strachem w oczach. Przełknęła głośno ślinę.

– Maria nie była zazdrosna o Katharinę. Wydawało się, że ją nawet lubi. I to z wzajemnością – ciągnęła Pia. – W przeciwnym razie Katharina nie wybrałaby jej na matkę chrzestną swojego syna, prawda?

Josefin Lintner toczyła wewnętrzną walkę, aż w końcu westchnęła ciężko i zaczęła mówić:

– Tak, ma pani rację. Coś było między Götzem i Stefanem. Wszyscy to widzieli – wyznała wreszcie. – Ten flirt z Kathariną to było tylko na pokaz. W wieczór, kiedy Götz zmarł, byłem świadkiem kłótni między nimi. Nie rozumiałam, o co im dokładnie poszło, bo stali dość daleko, na plaży, a ja byłem na ścieżce wśród wydm, ale wiem, że Götz krzyczał, a potem zaklinał Stefana i go o coś błagał. Potem Stefan pobiegł do domu, wsiadł w samochód i dokądś pojechał. Wieczór był strasznie nieprzyjemny, mówiłam już, jak dalej się potoczył. Ja i Maria poszliśmy w końcu do swoich pokoi się spakować, bo planowałyśmy wracać następnego dnia do siebie, z konieczności etapami, najpierw autobusem do Nantes, a potem pociągiem do Frankfurtu. Nie miałyśmy ochoty dłużej brać w tym udziału. Przeniosłam swoje walizki do pokoju Marii, bo byłam wściekła na Alexa. Musiało być już dobrze po północy. Maria dawno zasnęła, a ja nie mogłam i tylko leżałam w łóżku. Nagle na dole zrobiło się zupełnie cicho. Zakradłam się do pokoju, który wcześniej dzieliłam z Alexem, i wyjrzałam przez okno. Była pełnia księżycy, ale strasznie wiało i słyszałam rozbijające się fale. Widziałam też, jak Alex i Heike idą przez wydmy w kierunku klifu.

Zamilkła. Pia i Bodenstein nie naciskali i cierpliwie czekali.

– Myślałam, że chcą uprawiać seks – podjęła wątek Josefin. – Mało nie eksplodowałam z zazdrości, więc szybko za nimi pobiegłam. Wyobrażałam nawet sobie, co zrobię i co im powiem, jak ich nakryję razem. Okazało się, że nie po to tam szli. Götz siedział na skałach na szczycie klifu, z głową wspartą na ramionach. Miałam wrażenie, że płacze. Myślałam, że Alex i Heike chcą z nim porozmawiać, nie wiem, pocieszyć go... – Josefin zacisnęła usta. – To był środek przyływu. Fale były gigantyczne. Götz nie miał szans... Alex... on go kopnął w plecy, tak, po prostu... bez ostrzeżenia. Chwilę później na skałach zostali tylko on i Heike. Sami. I patrzyli w dół... na tę kipieli. Razem zabili Götza. Zamordowali go z zimną krwią. Policja znalazła później na skałach butelkę po whisky z jego odciskami palców.

Uznano to za dowód, że Götz siedział tam i pił alkohol. Ponoć przez zawód miłosny. Przez Katharinę. – Prychnęła zrezygnowana i pokręciła głową. – Pobiełam z powrotem do domu, najszybciej, jak potrafiłam. Przeraziłam się bałam. Przez całą noc nie zmrużyłam oka, ale też nie odważyłam się obudzić Marii, żeby jej opowiedzieć, co widziałam. Nigdy nikomu nie powiedziałam. Kiedy rano przyjechała policja, bo na plaży znaleziono ciało Götza, Stefan prawie stracił przytomność. Nie mógł się opanować i obwinał się o jego śmierć. Musieliśmy mu przysiąc, że nie piśniemy słówka na temat ich związku. Wymyśliliśmy razem historyjkę, którą opowiadaliśmy potem na policji i rodzicom Götza, konkretnie tę, że on był nieszczęśliwie zakochany w Katharinie. Maria i Stefan do dzisiaj nie wiedzą, że to byli Alex i Heike.

– Jest pani tego pewna? – dopytywał się Bodenstein.

– W każdym razie ode mnie tego nie usłyszeli – odparła Josefin Lintner.

– A jednak ktoś jeszcze musiał o tym wiedzieć – mruknęła Pia. – To osoba, która dysponuje dziennikiem Kathariny.

– Właściwie to dlaczego Katharina nigdy sama tego nie wyjaśniła? – zainteresował się Oliver. – Wyszła za Johna i w ten sposób wżeniła się w rodzinę Winterscheidów, więc musiała zdawać sobie sprawę z tego, że Margarethe jej nienawidzi.

– Jestem w stanie sobie wyobrazić, że trzymała język za zębami dla Stefana – wyjaśniła właścicielka księgarni. – Ale możliwe też, że zdawała sobie sprawę, że i tak nie miałaby szans udowodnić swojej wersji, skoro nasza czwórka zarzekała się, że Götz się w niej kochał.

– Dlaczego nie zerwała pani znajomości i dalej przyjaźniła się z Alexandrem Rothem i Heike Wersch, wiedząc, co zrobili? – zapytała Pia. – Takich rzeczy się nie da zapomnieć, prawda?

– O, nie, nie ma mowy, żeby zapomnieć. Ale można je wyprzeć. I to naprawdę skutecznie. – Josefin Lintner przygryzła dolną wargę i się zamyśliła. – Po tych wakacjach rzuciłam studia i zaczęłam pracę w barze w Sachsenhausen. Niestety, zaczęłam też ćpać. Na początku tylko tabletki, ale szybko przerzuciłam się na kokainę i w końcu heroinę. Poznałam tam amerykańskiego żołnierza i po trzech tygodniach za niego wyszłam. Razem wyprawiliśmy się do USA, ale po pół roku wyrzucił mnie z domu, bo go okradałam, żeby mieć kasę na prochy. Rozwiedliśmy

się. Byłam uzależniona od narkotyków. Wpadłam w czasie jakiegoś włamania i wylądowałam w areszcie dla kobiet w Illinois, skąd po roku zostałam deportowana do kraju. Po powrocie do Niemiec nie miałam grosza przy duszy. Nie miałam pracy, oszczędności ani mieszkania. Jako trzydziestolatka w niczym nie przypominałam już tamtej ślicznej nastolatki. Rodzice tak bardzo byli mną rozczarowani, że zatrzasnęli mi drzwi przed nosem. Wylądowałam na ulicy, w okolicach dworca we Frankfurcie. Staczałam się. Wtedy przez przypadek spotkałam Alexa. Szedł właśnie na pociąg, ale zabrał mnie z sobą i zawiózł do Heike. Ona też ani przez chwilę się nie wahała i odstąpiła mi pokój w swoim mieszkaniu. Maria odwiozła mnie do kliniki odwykowej i zapłaciła za terapię. Stefan dał mi pracę w swojej firmie. Znow miałam ubezpieczenie zdrowotne i nie byłam już bezdomną narkomanką. Dzięki ich pomocy zmieniłam swoje życie i stanęłam na nogi. Od wielu lat pracuję jako wolontariuszka w organizacjach pomagających wyjść z nałogu i angażuję się w pomoc ofiarom przemocy i ich bliskim. W ten sposób mogę spłacać swój dług. Götz nie żyje. I nic, cokolwiek bym powiedziała albo zrobiła, życia mu nie przywróci. Niezależnie od tego, czego się wtedy dopuścili, uratowali mi potem życie i nie chcieli niczego w zamian. Po takim zachowaniu poznaje się prawdziwych przyjaciół.

*

– No i znow zapomnieliśmy zapytać, w jaki sposób zmarła Katharina Winterscheid – przypomniała sobie Pia po piętnastu minutach jazdy, już w drodze z powrotem do Hofheim. Wyjęła komórkę. – Czekaaj, napiszę szybko do Marii Hauschild, ona też pewnie będzie wiedzieć.

 Nie czekając na reakcję Bodensteina, wysłała wiadomość.

– Mieliśmy rację z naszymi podejrzeniami – powiedziała po chwili. – Heike Wersch zginęła zamordowana przez Alexandra Rotha.

– A ta historyjka, którą sobie wymyślili, mianowicie, że Götz miał wypadek, bo upił się przez zawód miłosny, to było to kłamstwo, o którym Roth mówił żonie. – Bodenstein potaknął. – Nic dziwnego, że tak panicznie się bał, żeby „przybrani” rodzice nie dowiedzieli się, że przyjeśli do rodziny mordercę swojego syna.

– Heike Wersch mogła mu grozić, że powiadomi Winterscheidów, co zrobił Götzowi. – Pia zmarszczyła brwi. – Tyle że w ten sposób obciążałaby też samą

siebie. Była tam przecież razem z Alexem, i nawet jeśli nie ona kopnęła Götza, to wszystko widziała i nie zapobiegła tragedii.

– No, pod warunkiem oczywiście, że pani Lintner powiedziała nam prawdę – zauważył Bodenstein. – A szczerze mówiąc, bardzo w to wątpię. Była wtedy bardzo zakochana w Aleksie i robiła, co jej kazał. Gdyby powiedział jej „weź i zepchnij Götza z klifu”, nie wahałaby się tego zrobić, tym bardziej że go nienawidziła.

Nieraz już się przekonywał, że prawda może być czymś czysto umownym. Ludzie nią manipulowali, upiększali w zależności od potrzeb czy opuszczali znaczące drobiazgi. Zazwyczaj robili to odruchowo, głównie dlatego, że postrzeganie rzeczywistości jest bardzo subiektywne, ale zdarzało się, że specjalnie uciekali się do takich zabiegów.

– Czują się o niego zazdrosna, bo dla jej chłopaka Götz był ważniejszy od niej. – Pia przyznała rację szefowi.

– Możliwe, że to był powód jej ucieczki do Ameryki. Obawiała się, że prawda może wyjść na jaw – zgadywał dalej Bodenstein. – A kiedy wróciła do kraju, zażądała wsparcia od przyjaciół, dla których popełniła morderstwo.

– W Stanach Zjednoczonych siedziała w więzieniu – przypomniawszy sobie Pia. – Do tego była bezdomną narkomanką, więc nie miała wiele do stracenia. Kiedy Heike jej zagroziła, że powiadomi Winterscheidów, czy może nawet policję, że zabiła Götza, wpadła we ściekłość i ją zamordowała.

– I tu pojawia się problem, bo ma bardzo mocne alibi – mruknął Bodenstein. – Naprawdę dobre.

W poniedziałek o ósmej wieczorem Josefin Lintner brała udział w posiedzeniu giełdowego stowarzyszenia wydawców we Frankfurcie, po którym była na kolacji w greckiej restauracji przy Adickesallee. Po posiłku podwoziła znajomego do Sossenheim i krótko przed drugą w nocy wróciła do domu.

– Niech to szlag – zaklęła Pia. – Racja. Może i zdążyłaby załatwić Heike Wersch, ale nie starczyłoby jej czasu, żeby pozbyć się ciała. Czyli co, zostaje nam jednak Alexander Roth?

– Poczekajmy może, co usłyszymy od Stefana Finka. – Zaraz po zjeździe z autostrady na L3018 Bodenstein zwolnił do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę bo odcinek tej trasy aż do Hofheim uchodził za bardzo niebezpieczny,

i policja regularnie badała prędkość radarem. – Mogę się założyć, że też dostał kopię dziennika Kathariny Winterscheid.

Wjechał na parking przed komisariatem i skierował się w stronę miejsc dla pracowników. Kiedy wysiedli, natknęli się, Kathrin i Cema, którzy wracali z pobliskiej restauracji, obciążeni torebkami z kebabami. Jedzenie roztaczało tak smakowity aromat, że Pia poczuła, jak jej ślinka cieknie. W drodze do budynku Pia opowiedziała im o przeprowadzonych rozmowach z małżeństwem Winterscheidów i Josefin Lintner, Kathrin natomiast potwierdziła, że pani Jahn rzeczywiście rozpoznała na zdjęciu Hellmutha Englischa jako staruszka, który w niedzielę kłócił się na ulicy z Heike Wersch.

– Rozmowa z ojcem zamordowanej była, niestety, bardzo jednostronna – dodała policjantka. – Przez cały czas zwracał się do mnie per Gisela i za nic nie mógł pojąć, czego właściwie od niego chce.

– No cóż, szkoda. – Bodenstein nie miał wielkich złudzeń, że będzie inaczej. – Czy w materiałach zabranych z domu pani Wersch trafiliście może na list podobny do tych, które otrzymali Alexander Roth i Josefin Lintner?

– Nie. – Cem pokręcił głową. – Nie było tam niczego, co przypominałoby fragment dziennika. Jeśli ktoś jej to rzeczywiście przysłał, to przez trzy tygodnie mogła pozbyć się takiego listu.

– To, albo włamywacz zabrał tę kopię – zgadywał Bodenstein. – Nie zdziwiłbym się, gdyby przyszedł specjalnie po to.

– Po co? Po kopię fragmentu jakiegoś starego dziennika? – Cem potrząsnął głową. – Powiem uczciwie, że to byłby chyba najdziwniejszy powód włamania, o jakim dotychczas słyszałem.

– Alexander Roth dostał inne strony niż Josefin Lintner. – Bodenstein otworzył im drzwi. – Możliwe, że nadawca specjalnie wybierał urywki dopasowane do odbiorców, które budziły w nich największy strach przed ujawnieniem jakiejś kompromitującej ich tajemnicy.

– Ta sprawa dotyczy morderstwa – zauważyła Kathrin.

– W tym przypadku raczej tego, że Winterscheidowie mogliby się dowiedzieć, jak podle byli okłamywani przez przyjaciół zmarłego syna – poprawiła ją Pia.

– To było przecież trzydzieści pięć lat temu! – Cem skinieniem głowy przywitał się z dyżurnym za kuloodporną szybą. – Kogo by to dzisiaj obchodziło?

– Kogoś, kto bardzo późno odkrył, że jednak ma sumienie – powiedział Bodenstein. – Myślę, że znaleźliśmy mordercę. Alexander Roth miał motyw i możliwości. Severin Velten przygotował mu przedpole. A tłuczek do mięsa mógł zabrać z domu ofiary.

Dyżurny poczekał, aż wszyscy wejdą do służby bezpieczeństwa, po czym odblokował wewnętrzne drzwi do dalszej części budynku.

– Na razie nie skreślałabym też gospodarza budynku wydawnictwa – odparła Pia, kiedy mijali automat z napojami, kierując się w stronę klatki schodowej. – O wpół do siódmej wieczorem zawiózł Winterscheidów na tę imprezę literacką i odebrał ich przed jedenastą. Miał cztery godziny, a to spokojnie wystarczy, żeby dotrzeć do Bad Soden, zabić Heike Wersch, wywieźć zwłoki do lasu i posprzątać kuchnię.

– Brakuje tylko odpowiedzi na pytanie, dlaczego w ogóle miałby to robić? – mruknęła Kathrin.

– Może dlatego, że w jakiś sposób dotarła do niego wiadomość, że Heike chce go wykreślić z testamentu?

– Czysta spekulacja. Poza tym, to nie pasuje do godzin, w których sąsiedzi pani Wersch mieli ją widzieć.

– Na śmierci Götza Winterscheida bezdyskusyjnie najbardziej skorzystał Alexander Roth. – Bodenstein bronił swojej teorii na temat głównego podejrzanego. – Koniecznie chciał robić karierę w wydawnictwie. Niczego nie pragnął bardziej, niż stać się częścią wielkiego świata, który poznał dzięki Götzowi. Żeby osiągnąć ten cel, był gotów poświęcić przyjaciela.

Skreśli w korytarz prowadzący do biur wydziału i weszli do sali odpraw. Jediną osobą w pomieszczeniu był Tarik, a pośrodku stołu konferencyjnego stał spory karton w różowym kolorze.

– O rany, w końcu jesteście! – Tarik zerwał się z miejsca. Oczy mu błyszczały z ekscytacji, co oznaczało, że musiał na coś trafić. – Chyba coś mam!

– Jak mogłeś zwać i zostawić mnie samą ze sprawdzaniem wszystkich sklepów i barów? He? – warknęła Kathrin ze złością. – I to akurat dzisiaj!

– A dlaczego akurat dzisiaj nie powinien być tego robić? – zainteresowała się Pia.

– Bo dzisiaj są jej urodziny – wyjaśnił Tarik i popchnął delikatnie pudło w stronę koleżanki. – Wszystkiego najlepszego, Kathrin!

– O matko, prawdziwy tort urodzinowy! – Kobieta rozpromieniła się, kiedy zajrzała do kartonu. Uszła z niej cała złość. – Tarik, jesteś moim ulubionym kolegą!

Tarik uśmiechnął się, mile polechtany pochlebstwem, a Pia ze wstydem ruszyła składać życzenia. Bodenstein przeprosił Kathrin wylewnie za to, że zapomniał o tym rano, choć miał przecież ustawione przypomnienie w kalendarzu.

– Tobie, szefie, wybaczam, bo wiem, ile ważniejszych rzeczy masz na głowie – zgodziła się Kathrin łaskawie, po czym łypnęła na Pię, Tarika i Kaia, który akurat wszedł do sali odpraw. – Ale wam nie! Ja zawsze pamiętam o waszych urodzinach, a wy o mnie po prostu zapomnieliście!

– Chryste, weź zacznij już jeść ten tort, to przynajmniej przestaniesz głupio gadać – zganił ją Kai. – Zachowujesz się jak rozwydrzony dzieciak! Jak myślisz, kto zbierał kasę? Kto zadbał o kartę podarunkową i zamówił dokładnie taki tort, o jakim wspominałaś już rok temu? Bo chyba nie sądzisz, że to robota pana Omari!

Tym razem to Kathrin poczuła się zawstydzona.

– Pójdę po talerze – pisnęła i wyszła do kuchni.

– No to słuchajcie, wczoraj wieczorem napisałem taki programik, który... – zaczął Kai, ale Tarik nie dał mu skończyć.

– Znalazłem butelkę po wódce, z której pił Roth i się zatruł! – obwieścił podekscytowany.

– Doprawdy? – Bodenstein odwrócił się i spojrzał na niego zaskoczony. – Jak i gdzie?

– Raport z sekcji zwłok Alexandra Rotha nie dawał mi spokoju – wyznał Tarik. – Dlatego natychmiast pomyślałem o naszej sprawie, kiedy znajomy lekarz z oddziału ratunkowego szpitala w Höchst powiedział mi w czasie porannej przebieżki o trzech bezdomnych, którzy w nocy z piątku na sobotę trafili do niego z bardzo nietypowymi objawami. Dwóch z nich stosunkowo szybko wróciło do siebie, za to trzeci cały czas leży na oddziale intensywnej terapii. Stracił wzrok i diabli wiedzą, jak to się skończy. Wszyscy trzej mieli bardzo wysokie stężenie metanolu we krwi! Ci, którzy wyszli ze szpitala, przepadli bez śladu, ale udało mi się zamienić kilka słów z trzecim z nich. Powiedział, że razem z kolegami rozłożyli się wygodnie na placu zabaw w pobliżu kościoła pod wezwaniem Świętego Stefana w Unterliederbach i że w pewnej chwili mijął ich jakiś facet na rowerze. Jechał slalomem, a kiedy próbowali go zagadać, gość się po prostu wyłożył. Przy okazji

z koszyka wypadła mu butelka wódki i potoczyła się im prosto pod nogi. Facet, w stu procentach odpowiadający, notabene, rysopisowi Alexandra Rotha, powiedział, że mogą ją zatrzymać, bo dosyć już wypił. Z trudem wsiadł na rower i pojechał dalej. Butelka była w połowie pełna. Dobra, droga marka. Opróżnili ją we trójkę, a po kilku godzinach zrobiło im się niedobrze. No a że ten bezdomny pamiętał, że po wypiciu wywalili butelkę w krzaki obok placu zabaw, pojechałem tam szybko i rzeczywiście ją znalazłem!

– Gdzie jest teraz? – zapytał Cem.

Kathrin wróciła z talerzykami. Postawiła je na stole i zabrała się do krojenia tortu.

– Zawiozłem ją prosto do laboratorium, żeby ją przebadali – wyjaśnił Tarik. – To butelka po wódce Black Moose, ulubionej marce Rotha. Jeśli badania potwierdzą ślady metanolu, będziemy musieli założyć, że Alexander Roth został celowo otruty, prawda, szefie?

– Tak, zdecydowanie. Świetna robota, Omari. – Bodenstein pochwalił najmłodszego współpracownika. Tarik Omari już niejedną raz był tą osobą, od której w czasie dochodzenia pochodził decydujący impuls, bo miał zdolność do zauważania powiązań i zależności tam, gdzie inni ich nie widzieli, a do tego potrafił myśleć nieszablonowo. Już teraz był świetnym policjantem, a miał zadatki na wybitnego dochodzeniowca.

– W zeszły poniedziałek wieczorem Roth kupił butelkę wódki w markecie w Bad Soden – dodała Kathrin. – Kiedy zatrzymali go koledzy z patrolu, nie miał jej przy sobie. Ale też nie miał w torbie zakrwawionego tłuczka do rozbijania kotletów, bo oczywiście go przeszukali.

– Dobrze. – Bodenstein skinął głową, starając się nie okazywać rozczarowania. Alexander Roth mógł mieć bardzo wiele na sumieniu, ale akurat ze śmiercią Heike Roth raczej nie miał nic wspólnego. Trzeba było skończyć z rozmienianiem się na drobne i skupić na właściwym zadaniu, jakie przed nimi stało, a mianowicie na złapaniu mordercy Heike Wersch.

Kathrin nałożyła po kawałku tortu na talerzyki, a Cem wyjął z torebek kebaby, lahmacun i placki o nazwie börek.

– Czy moglibyście wysłuchać mnie w końcu, zanim zaczniesz się wielką wyzerka? – zapytał Kai poirytowanym tonem.

– Wybacz, oczywiście, mów! – poprosił Bodenstein i odgryzł kawałek wystygniętego już placka z owczym serem i szpinakiem.

– Od kilku dni zajmuję się próbami rozsortowania numerów telefonów komórkowych, które w konkretnym czasie były zalogowane do konkretnych stacji przekaźnikowych BTS w Bad Soden – zaczął Kai. – Niestety, to tysiące jednostek i czysto syzyfowa praca. Dlatego napisałem program, który zdaje się nieźle działać. Trafiłem jedynie na dwa numery, które we wtorek czwartego września do pięć po północy były zalogowane do stacji BTS o oznaczeniu 4870IE332, a potem do stacji BTS 4870IE334. Jednak potem tylko jeden z nich...

Rozległ się sygnał komórki Bodensteina.

– Sekunda, Kai, wybacz. To szefowa, muszę odebrać – powiedział, nie przerywając jedzenia, i przyłożył telefon do ucha. Przez chwilę słuchał w milczeniu, po czym oznajmił krótko: – Już idziemy – i zakończył rozmowę.

– Dzwoniła Engel – oznajmił pozostałym. – Severin Velten wyraził chęć rozmowy z nami. Ponoć ma nam do przekazania jakąś wyjątkowo interesującą nowinę. Nie ma na co czekać.

– Oliver! Mógłbyś z łaski swojej poświęcić mi piętnaście sekund i wysłuchać mnie do końca? – Kai nie krył złości. – Ja też mam coś bardzo interesującego do powiedzenia!

– Pewnie. Słucham. – Bodenstein spojrzał na swojego głównego analityka. – Zreferujesz mi to po drodze do Veltena, dobrze?

Jedzenie zostawili na później, wyszli z sali odpraw i ruszyli w stronę klatki schodowej.

– Otóż tylko jeden z dwóch numerów wyłowionych spośród tysięcy innych wrócił do stacji przekaźnikowej o oznaczeniu 4870IE332, dokładnie we wtorek, czwartego września, siedem minut po pierwszej w nocy – tłumaczył Kai, kiedy schodzili po schodach. – Z ciekawości prześledziłem dalej ruch tego numeru. Po raz pierwszy do tej stacji BTS zalogował się w poniedziałek o dwudziestej drugiej dwadzieścia cztery, ostatecznie wylogował się z niej we wtorek czwartego września trzy minuty przed drugą w nocy.

– Aha. Brzmi ciekawie. – Bodenstein słuchał go jednym uchem. Spieszył się, żeby nadążyć za Pią, Cemem i Tarikiem. Bardzo chciał wiedzieć, co takiego ma im do przekazania jednonogi żuraw.

– Cholera, szefie! No błagam, wysłuchaj mnie! – Kai zastąpił mu drogę i uniemożliwił pogoń za podwładnymi. Bodenstein nie pamiętał, by kiedykolwiek widział tego zwykle spokojnego i zrównoważonego policjanta w stanie takiego wzburzenia. Z oddali słyhać było zatraskujące się drzwi przeciwpożarowe klatki schodowej, co oznaczało, że pozostali dotarli już na parter. – Ten numer telefonu, o którym cały czas mówię, należy do Josefa Moosbruggera, agenta naszego żurawia! To oznacza, że w czasie kiedy doszło do morderstwa, Josef Moosbrugger był na miejscu zbrodni, ale to nie wszystko, bo miał ze sobą telefon też wtedy, kiedy pojechał porzucić zwłoki w lesie! Potem miał jeszcze półtorej godziny na posprzątanie kuchni i usunięcie wszystkich śladów. Czy to jest dość interesujące, żebyś się zatrzymał i mnie wysłuchał? I nawet nie próbuj pytać mnie teraz, czy jestem tego pewien!

Bodenstein potrzebował kilku sekund, żeby zrozumieć, co odkrycie Kaia oznaczało dla dochodzenia. Niespodziewanie ogarnęło go uczucie niemal wzruszenia podniosłością chwili, jak zawsze, kiedy po błędzeniu w gąszczu niewiadomych, zwątpienia, śladów, poszlak, założeń i pomyłek, w końcu docierał do miejsca, z którego wszystko było widać jak na dłoni. To właśnie był przełom! Świadomość tego była niczym porażenie prądem, a zaraz potem pojawiło się uczucie obezwładniającej ulgi, tak wielkiej, że ugięły się pod nim kolana. Moosbrugger się z tego nie wyłga; ślad pozostawiony przez jego telefon w infrastrukturze operatora stanowił niepodważalny dowód, że przebywał w miejscu zbrodni w czasie, kiedy do niej doszło. A miał też motyw, by ją popełnić: zemsta za Severina Veltena, jego podopiecznego, którego Heike Wersch wpędziła w straszne kłopoty. Oliver nabrał głęboko powietrza i prawą ręką pomasaował kark. Już niedługo będzie mógł przekazać wszystkie akta prokuraturze i bez wyrzutów sumienia skupić się na prywatnych problemach, bo sprawa zostanie rozwiązana.

– Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby pytać cię o coś takiego, Kai. Znam cię przecież – powiedział. – Dzięki.

– Tylko wykonuję swoją pracę. – Policjant uśmiechnął się skromnie. – Mam się zająć zorganizowaniem nakazu aresztowania?

– Tak, zdecydowanie. – Oliver poklepał go po ramieniu.

Na parterze ktoś otworzył drzwi.

– Szefie? – Na klatce schodowej rozległ się głos Pii. – Gdzie jesteś?

– Chodź na chwilę, Pia! – odkrzyknął Bodenstein. – Kai chyba rozwiązał nam sprawę!

Kilka sekund później policjantka pojawiła się na korytarzu.

– Że co? Tak, po prostu? – zapytała zaskoczona.

– Josef Moosbrugger był tak nieprofesjonalny, że jadąc do Bad Soden dokonać morderstwa, wziął ze sobą komórkę – wyjaśnił Kai nie bez dumy i opowiedział Pii to samo, co przed chwilę referował szefowi.

– Moosbrugger jest naszym sprawcą. – Bodenstein uśmiechnął się z zadowoleniem. – Bez trudu mu to udowodnimy na podstawie danych logowań jego telefonu komórkowego. Poza tym miał bardzo mocny motyw.

– No dobra, w takim razie może wyjaśnicie mi, w jaki sposób narzędzie zbrodni znalazło się w zamrażalniku lodówki w gabinecie Alexandra Rotha? – Pia nie była przekonana.

Radosne zaskoczenie nieoczekiwanym odkryciem błyskawicznie ustąpiło miejsca rozczarowaniu, a z twarzy Kaia zniknął pełen ekscytacji uśmiech.

– Niech to cholera – burknął Bodenstein. Otumaniony euforią w ogóle nie pomyślał o takich szczegółach.

– Ale on na pewno był w Bad Soden – upierał się Kai.

– Doskonale wiesz, że złamałeś przepisy o ochronie danych osobowych – westchnęła Pia, a jej słowa otrzeźwiły Kaia i Olivera. – Poza tym, jedyne, co mógłbyś mu udowodnić, to to, że jego telefon znajdował się w Bad Soden. Bystry adwokat bez wysiłku by go z tego wybronił, tym bardziej że nie mamy żadnych innych dowodów świadczących o jego winie.

– Zgoda, ale nie musimy mu o tym mówić, prawda? – Bodenstein z opanowaniem odparował jej argumenty. – Kai, mimo wszystko załatw nakaz zatrzymania. Pia, chodź, wysłuchamy w końcu, co takiego ma nam do powiedzenia jedenonogi żuraw, a potem zajmiemy się jego agentem.

– Co ze Stefanem Finkiem? – przypomniał im Kai. – Gość od przedpołudnia siedzi w czwórce.

– Cem i Tarik pojedą po Moosbruggera i przywiozą go tutaj – zdecydował Bodenstein. – W tym czasie ja i Pia utniemy sobie pogawędkę z Finkiem.

W tej samej chwili rozległ się sygnał telefonu policjantki.

– No, w końcu Maria Hauschild mi odpisała – stwierdziła po spojrzeniu na ekran i zatrzymała się, żeby odczytać wiadomość, a w trakcie lektury z wrażenia aż otworzyła szerzej oczy.

– No i? – zainteresował się Bodenstein.

– Na to bym nie wpadła – stwierdziła Pia i uniosła wzrok. – Wyobraź sobie, że Katharina Winterscheid w sierpniu 1990 roku popełniła samobójstwo.

*

Julia uznała, że jest zbyt wcześnie, by informować Carla Winterscheida o spotkaniu z Henningiem Kirchhoffem w Instytucie Medyny Sądowej. Wydawca miał w tej chwili dość spraw na głowie, a poza tym może lepiej było poczekać i sprawdzić, czy uda się znaleźć jakiegokolwiek informacje na temat śmierci jego matki. Punktualnie o osiemnastej skończyła pracę, szybkim krokiem pokonała Schillerstrasse i na przystanku Hauptwache wsiadła w S3 w kierunku Darmstadt. O tej porze w pociągu panował okropny tłok, ale to jej nie przeszkadzało, bo miała do przejechania tylko pięć przystanków. W wydawnictwie wydrukowała sobie kilka stron zeskanowanego manuskryptu i wynotowała listę pytań do profesora Kirchhoffa. Wysiadła na przystanku Stresemannallee i resztę drogi wzdłuż ulicy Waidmannstrasse pokonała piechotą. Nie po raz pierwszy odwiedzała Instytut Medycyny Sądowej, a mimo to czuła się zdenerwowana, kiedy skręciła w Kennedyallee i ruszyła w stronę willi, która przypominała jej Bates Motel z *Psychozy*. Może łatwiej byłoby znieść myśl, że w piwnicach Instytutu w chłodzonych szufladach leżą ludzkie zwłoki, gdyby całe otoczenie było bardziej sterylne i klinicznie czyste, bo rzucający się w oczy rozdźwięk między piękną architekturą budynku, drewnianą boazerią na ścianach, oknami z szybami podzielonymi szprosami, a budzącym grozę światem zmarłych z zimnym światłem jarzeniówek, stołami sekcyjnymi ze stali nierdzewnej i wszechobecnym zapachem środków dezynfekcyjnych i formaldehydu przepelniał ją wewnętrznym niepokojem. Henning Kirchhoff przyjął ją w białym lekarskim fartuchu i zaprosił do gabinetu, w którym stały sięgające sufitu regały pełne książek oraz zasypyane papierami biurko, na którym wzrok przyciągał duży mikroskop.

– Pozwoliłem sobie jeszcze przed pani przyjściem przeszukać archiwum i od razu uspokoje: udało mi się coś znaleźć – obwieścił na początek. Jedno z krzesel

dla gości postawił obok swojego fotela i gestem zaprosił Julię, by zajęła miejsce, po czym otworzył na ekranie wyniki kwerendy.

– Otóż tak, jak zakładałem, miała miejsce sekcja zwłok – powiedział. – Konkretnie osiemnastego sierpnia 1990 roku. Została ona przeprowadzona przez dwóch lekarzy specjalistów, z których jeden był ówczesnym szefem Instytutu. To pozwala nam założyć, że wszystko odbyło się zgodnie z procedurami i poprawnie.

Katharina Winterscheid, z domu Komorowski, urodzona 14 września 1959 roku w Bochum, zmarła 17 sierpnia 1990 roku po upadku z wysokości piątego piętra, z balkonu swojego mieszkania przy Stalburgstrasse 82 we Frankfurcie nad Menem – przeczytała Julia i poczuła, jak dostaje gęsiej skórki.

Zgodnie z raportem bezpośrednią przyczyną śmierci był bardzo poważny uraz czaszkowo-mózgowy połączony z rozerwaniem i pęknięciem organów wewnętrznych, badanie krwi wykazało bardzo niski poziom zawartości alkoholu na poziomie dwóch dziesiątych promila, a badania toksykologiczno-chemiczne niczego nie wykazały.

– Zawartość żołądka: chleb, ser, pomidory. – Na myśl o tym, że Katharina zjadła kolację z sześciolatkiem synem, położyła go do łóżka, po czym wyskoczyła z balkonu, Julia na dłuższą chwilę poczuła ucisk w klatce piersiowej.

– To znaczy, że w jej krwi nie znaleziono żadnych środków psychotropowych ani antydepresantów? – upewniła się, spoglądając na profesora Kirchhoffa.

– Nie. W raporcie nie ma o tym słowa. – Lekarz pokręcił głową.

– Czyli przed śmiercią nie zażyła żadnych leków, tak?

– Zgadza się. Gdyby cokolwiek połknęła, sekcja zwłok i badania laboratoryjne dałyby jasny obraz, co to było. Tamtego wieczoru wypła maksymalnie kieliszek wina, bo spożycie takiej ilości przekłada się właśnie na dwie dziesiąte promila alkoholu we krwi.

– Nie mogę po prostu uwierzyć, że sama odebrała sobie życie – wyznała Julia. – Jaka matka zdecydowałaby się na coś takiego, wiedząc, że w mieszkaniu jest jej dziecko? Poza tym pracowała nad książką, której nie skończyła! Zjadła chleb z serem i pomidorem i wypła kieliszek wina. Czy tak zachowują się ludzie, którzy chcą popełnić samobójstwo?

– Niejedno już w tej pracy widziałem. Ludzie robią najdziwniejsze i trudne do wytłumaczenia rzeczy. – Henning zaczął w skupieniu przeglądać raport z sekcji

zwłok sprzed dwudziestu ośmiu lat. Julia przyglądała się z boku jego ostrym rysom i widziała, jak porusza wargami, czytając po cichu niektóre fragmenty. Henning Kirchhoff był wyjątkowo przystojnym mężczyzną, odnoszącym liczne sukcesy i do tego świetnie wykształconym. Dlaczego więc mieszkał jak pustelnik w stróżówce Instytutu? I dlaczego w jego życiu nie było żadnej kobiety? Julia wiedziała, że wcześniej był dwukrotnie żonaty i tyleż razy się rozwodził. Czyżby na pewnym etapie życia stwierdził, że to nie kobiety go pociągają? Znowu przypomniała sobie fabułę powieści Kathariny. Jeśli pierwowzorem powieściowej postaci Lutza Vogelsanga był w prawdziwym życiu Götz Winterscheid, wzorem dla jego tajemniczego kochanka Marka musiałby być Stefan Fink. Czy Dorothea miała świadomość romansu swojego męża z jej bratem? Czy wiedziała, że Katharina była dla Götza tylko przykrywką i że zgodziła się to ciągnąć tylko dlatego, że ją o to poprosił, albo dlatego, że go lubiła i rozumiała jego obawy? Czy mogła dowiedzieć się tego dopiero po latach i z zazdrości i wściekłości wypchnęła w zemście Katharinę z balkonu?

– Dziwne – mruknął Kirchhoff i przerwał jej rozmyślenia.

– Co takiego? – zapytała Julia, wracając nagle do rzeczywistości.

– Poza rozerwaniem płuc, pęknięciem śledziony, wątroby, jelit i serca, stwierdzono liczne złamania kości, krwiaki i otarcia na lewym biodrze i lewej dolnej części pleców, co, w moim odczuciu, nie pasuje do obrazu zespołu urazów wywołanych upadkiem z dużej wysokości – wyjaśnił Kirchhoff. – Tymczasem w czasie sekcji koledzy przypisali je właśnie upadkowi, nie analizując prawdopodobnie innych możliwości, co, prawdę mówiąc, wydaje mi się dziwne.

Oparł się, zdjął okulary i palcami zaczął masować nasadę nosa.

– W przypadku śmierci spowodowanej upadkiem z dużej wysokości obowiązkowo należy rozważyć i zbadać hipotetyczną możliwość udziału osób trzecich. Zupełnie inaczej wygląda to, gdyby ktoś został zepchnięty ze schodów, bo ślady na ciele denata nie pozwalają ustalić rzeczywistego przebiegu genezy tej sytuacji.

– A mimo to z góry przyjęto założenie, że w przypadku Kathariny Winterscheid było to samobójstwo, i nie badano innych możliwości – stwierdziła Julia.

– No właśnie. Moi poprzednicy musieli w każdym razie wyjść właśnie z tego założenia – potwierdził Kirchhoff i z powrotem założył okulary. – Przypadki

zabójstw dokonywanych poprzez zrzućenie kogoś z bardzo dużej wysokości są nadzwyczaj rzadkie. Bierze się to stąd, że realizacja takiego zamiaru jest wyjątkowo trudna do zaplanowania przez cały szereg dynamicznie zmieniających się okoliczności, na które sprawca nie ma wpływu. Konieczne jest albo wykorzystanie przewagi wynikającej z zaskoczenia, albo faktu, że ofiara nie może stawiać oporu. Ale też sprawca obawiałby się świadków, o co w tym przypadku nie byłoby trudno, bo przypomnę, że to był balkon na piątym piętrze, a w wakacje ludzie do późna siedzą na balkonach, a co stanowiło duże ryzyko.

Kirchhoff doczytał raport do końca.

– Czy da się tam znaleźć informację, z kim policja rozmawiała i czy w mieszkaniu Kathariny Winterscheid znaleziono list pożegnalny? – zapytała Julia.

– Nie, nasze archiwum dysponuje jedynie raportem z sekcji zwłok – odparł Henning, nie odrywając wzroku od ekranu. – Cała reszta akt znajduje się w prokuraturze. Krewny denatki mógłby za pośrednictwem prawnika wystąpić o dostęp do dokumentacji. I moim zdaniem pan Winterscheid powinien się tym pilnie zająć. Żeby móc rzetelnie ocenić sytuację, musielibyśmy znać dokładne okoliczności, w jakich doszło do upadku.

Lekarz sądowy odwrócił się w stronę Julii i przyjrzał jej się uważnie. Tutaj, w swoim biurze, w pracy, sprawiał zupełnie inne wrażenie niż w czasie dotychczasowych spotkań, z których wszystkie były związane jedynie z książkami. Roztaczał wokół siebie aurę specjalisty, która z jednej strony onieśmiałała, a z drugiej była pociągająca.

– Muszę się z panią zgodzić, pani Bremora. Również mam wątpliwości, czy to na pewno było samobójstwo – oznajmił krótko.

– Naprawdę? – Serce Julii zabiło szybciej. – Dlaczego?

Kirchhoff się zawahał.

– Do protokołu posekcyjnego dołączone są zdjęcia zwłok. Ale to nie jest przyjemny widok – ostrzegł ją. – Czy mimo wszystko jest pani gotowa je zobaczyć?

– Ja... chyba tak – odparła Julia i przygotowała się wewnętrznie. Kirchhoff kliknął w załącznik, otworzył zdjęcia i zaczął je omawiać.

– W przypadku upadku ze znacznej wysokości na zwłokach powstają urazy tłuczone – tłumaczył. – Zazwyczaj jednak nie mamy żadnych danych na temat

mechaniki takiego upadku, a sposób, w jaki ciało uderza w ziemię, jest często w znacznym stopniu determinowany odruchowymi i celowymi reakcjami mięśniowymi występującymi od pierwszych chwil lotu, które wpływają na zmianę kierunku i ułożenia ciała. To oczywiście nie wszystko, bo istnieje również ryzyko zderzeń w czasie opadania. Dużo dałaby nam też wiedza na temat tego, czy samobójca puścił się czegoś, zsunął się czy wybił, bo to w oczywisty sposób wpływa na odległość miejsca uderzenia w ziemię od ściany budynku. To informacje, które można znaleźć jedynie w protokole policyjnym i jestem przekonany, że funkcjonariusze będący wówczas na miejscu również je tam umieścili.

Trudno było znieść widok fotografii szczegółowo przedstawiających zmasakrowaną twarz Kathariny Winterscheid, wykonanych z małej odległości. Kirchhoff skupił się na uważnej analizie zdjęć, na których widać było lewą stronę ciała.

– Widzi to pani? – Wskazał na ślady otarcia i zadrapania, a Julia potaknęła. – Te urazy w mojej opinii wyglądają na powstałe krótko przed śmiercią. Brak wyraźnego wylewu krwi.

– Co sprawiło, że zwrócił pan na nie uwagę? – zapytała Julia.

Kirchhoff odwrócił się w jej stronę. Jego twarz znajdowała się teraz tak blisko, że widziała ciemniejsze punkciki na jego szarych tęczęwkach.

– Lekarze wykonujący sekcję opisali mechanizm ich powstania jako prawdopodobne zderzenie ze ścianą budynku lub zahaczenie o barierkę balkonu poniżej – wyjaśnił Kirchhoff. – Tymczasem, gdyby rzeczywiście tak było, poza otarciami musiałyby dojść w tych miejscach do złamania kości lub naruszenia ciągłości tkanek, co jednak nie miało miejsca. A w każdym razie nie tam, gdzie można by się ich spodziewać.

– To co pan o tym myśli? – Julia z wrażenia aż wstrzymała oddech.

– Zgaduję, że jej ciało musiało być wleczone lub przepychane po szorstkim lub kanciastym przedmiocie, na przykład po poręczu balkonowej. Kiedy ktoś celowo skacze z balkonu, wspina się na coś i albo skacze, albo siada na poręczu i się jej puszcza. Nikt nie robi tego tak, żeby zsunąć się po niej bokiem, bo to nienaturalne anatomicznie i generalnie trudne do wykonania.

Kirchhoff ze skupioną miną otwierał kolejne zdjęcia.

– Czego pan szuka? – zapytała Julia z ciekawością.

– Tego! – Lekarz uśmiechnął się z tryumfem. – Poznaje pani, co to?

– To ramię? – odparła Julia z wahaniem.

Kirchhoff zerwał się z fotela.

– Proszę wstać! – zawołał, a ona, mimo zaskoczenia, wykonała polecenie.

– Niech pani sobie teraz wyobrazi, że moje biurko to poręcz balkonu, pani to Katharina Winterscheid, a ja... ja mogę być kimkolwiek! Chcę teraz wyrzucić panią przez poręcz, na co pani bez walki się oczywiście nie zgodzi. Dlatego chwytam panią za ramiona. – Pokazał, jak to robi. – I muszę teraz mocno ścisnąć.

– Auć! – poskarżyła się Julia.

– Proszę teraz spróbować się uwolnić! – polecił jej profesor Kirchhoff. Oczy mu błyszczały z ekscytacji. – No, śmiało! Niech pani walczy, przecież chcę wyrzucić panią z balkonu!

Julia szarpała się w jego mocnym uścisku, ale nie miała szans, by wyrwać mu się z rąk. Kiedy w końcu ją puścił, jęknęła z bólu i zaczęła masować ramiona, na których jego place zostawiły wyraźne czerwone ślady.

– Proszę tylko pamiętać, że nie ścisnąłem pani tak mocno, jak Katharinę Winterscheid osoba, która zrzuciła ją z balkonu – pocieszył ją Kirchhoff. – I niech się pani nie martwi, te ślady zaraz znikną. Jednak gdyby w ciągu najbliższych dziesięciu minut pani zginęła, czerwone plamy pozostałyby na skórze.

Profesor wrócił na fotel przed komputerem, powiększył jedno ze zdjęć i wskazał na ledwie widoczne ślady w kształcie półksiężyców.

– Proszę bardzo. To są odciski paznokci – wyjaśnił po prostu. – To też dowód, że do śmierci Kathariny Winterscheid doszło przy udziale osób trzecich.

– Nieprawdopodobne! – wymamrotała Julia. – Dlaczego wcześniej nikt na to nie zwrócił uwagi?

– Pojęcia nie mam. – Kirchhoff potrząsnął głową. – Być może dlatego, że nikt tego nie szukał? Albo przy tak złożonym i obfitym materiale dowodowym po prostu to przeoczyli?

Po chwili spojrzał na Julię. Jego bliskość wywoływała w niej niepewność i czuła, jak oblewa się rumieńcem.

– Mam świetne kontakty w prokuraturze – oznajmił lekarz. – Mógłbym załatwić skróconą ścieżkę postępowania w przypadku wniosku o wgląd do akt.

– A ja jutro z samego rana opowiem o tym szefowi – zapewniła go Julia, starając się zachowywać naturalnie.

Kirchhoff znów spojrzał jej w oczy. Miał bardzo poważną minę.

– Przede wszystkim powinna pani opowiedzieć o wszystkim mojej byłej żonie – poradził. – Bo jeśli jej poprzednikom rzeczywiście zdarzyło się przyjąć błędne założenia i przeoczyli ważne dowody, należałoby ponownie otworzyć sprawę. Bo wie pani, w Niemczech morderstwo się nie przedawnia.

*

Stefan Fink nie skarżył się na to, że przez wiele godzin musiał siedzieć czekać i w ciasnym, pozbawionym okien pomieszczeniu, a Pia i Oliver, kiedy zajęli miejsca naprzeciwko niego, nawet słowem nie próbowali go za to przeproszać. Umundurowany funkcjonariusz wyznaczony do pilnowania zatrzymanego powiedział im przed wejściem, że Fink z początku chodził bez przerwy tam i z powrotem po pokoju i co chwilę próbował dzwonić albo wysłać wiadomości z telefonu, co z racji braku zasięgu i braku sieci wi-fi w piwnicy komisariatu było niemożliwe. Kiedy w końcu pogodził się z bezcelowością swoich wysiłków, usiadł przy stole i popadł w otępienie.

– Panie Fink – zaczęła Pia, kiedy skończyła dyktować do mikrofonu datę, miejsce i nazwiska osób obecnych przy przesłuchaniu. – Czy trzy tygodnie temu otrzymał pan od anonimowego nadawcy kopię fragmentu dziennika Kathariny Winterscheid?

Przed spotkaniem z mężem Dorothei Winterscheid-Fink Pia i Oliver uzgodnili wybór strategii bezpośredniej konfrontacji – nie chcieli marnować czasu na podchody i wstępy, tylko od razu przejść do ofensywy.

– Tak – przyznał potężny mężczyzna. Siedział wyprostowany, jego kanciasta twarz wyrażała powagę, a w spojrzeniu jasnoniebieskich oczu okolonych blond rzęsami czały się skupienie i uwaga. – Dostałem fragment jej wpisu z lipca 1983 roku. Domyślam się, że macie państwo już wiedzę na temat wydarzeń z tamtego okresu.

– Tak, coś niecoś do nas dotarło. – Pia skinęła głową. – Proszę mówić dalej.

– Katharina wzięła mnie na rozmowę o Götzu i starała się na mnie wpłynąć. Ona i Maria były jedynymi osobami, które wiedziały, że nas coś łączy.

– Aha. – Pia notowała. O roli, jaka przypadła Marii tamtego lata, koniecznie musiała porozmawiać później z agentką.

– To był taki okres, że lubiłem się bawić myślą o swojej biseksualności – ciągnął Stefan Fink. Jak wiele osób, które całymi latami noszą w sobie jakąś tajemnicę, również on poczuł wyraźną ulgę, gdy zrozumiał, że już dłużej nie musi niczego ukrywać, i chętnie udzielał wyczerpujących odpowiedzi. – Dla mnie romans z Götzem był ekscytującą przygodą, ale on traktował go znacznie poważniej. Nie docierało do mnie, jak bardzo cierpiał, że musi ukrywać swoją orientację seksualną. Na dodatek jego rodzice nie mieli pojęcia, że studiował medycynę, bo chciał zostać lekarzem. Pod maską uśmiechu i radości krył się smutny, nieszczęśliwy młody człowiek. W wakacje w 1983 roku naciskał na mnie, żebym się w końcu zdecydował, czy chcę być z nim, czy z jego siostrą. Był gotów się ujawnić i powiedzieć rodzicom, że nie widzi się w przyszłości w ich wydawnictwie, a Katharina utwierdzała go w przekonaniu, że to właściwa decyzja. Tylko że ja nie byłem jeszcze na tym etapie. Bałem się reakcji rodziny. Miałem bardzo autorytarnych i staromodnych rodziców, którzy nawet nie próbowaliby mnie zrozumieć. A od dziecka chciałem pracować w drukarni mojego ojca i później ją przejąć. Tylko po to we wszystkie ferie w latach szkolnych tam harowałem i przebrnąłem przez studia z zarządzania. Bardzo długo rozmawialiśmy o tym z Kathariną i właśnie tej rozmowy dotyczył fragment jej dziennika, który dostałem.

– Co się wydarzyło w wakacje w 1983 roku? Jak doszło do śmierci Götza? – zapytał Bodenstein.

Stefan Fink się zawahał.

– Zerwałem z nim. Miałem nadzieję, że zrozumie, dlaczego to zrobiłem, ale pomyliłem się. Wpadł w histerię, płakał i wyzywał mnie od tchórzy. Uciekłem stamtąd. Powiedziałem wszystkim, że idę do Boîte à Sel, czyli do dyskoteki przy głównym porcie wyspy, chociaż tak naprawdę nie byłem w nastroju do tańców. Byłem strasznie nieszczęśliwy, bo nie chciałem stracić Götza. Chciałem, żebyśmy dalej byli przynajmniej przyjaciółmi. Ale nasza kłótnia wszystko zepsuła. Do samego rana siedziałem na plaży i biłem się z myślami. W końcu podjąłem decyzję. Uznałem, że muszę zebrać się na odwagę. Götz znaczył dla mnie więcej niż moi rodzice czy firma ojca. Był dla mnie ważniejszy niż Doro. Miał zostać lekarzem, a ja menedżerem, więc nie potrzebowalibyśmy niczyjej łaski, bo sami

zarabialibyśmy dość pieniędzy. Wróciłem samochodem do domu, jeszcze po drodze zabrałem syna sąsiadów z kolegą, którzy całą noc spędzili w dyskotecie. Na miejscu poszedłem prosto do pokoju Götza. Byłem taki... szczęśliwy i nie mogłem się doczekać, aż mu powiem, co zdecydowałem. Jego łóżko było puste. I pościelone. Wróciłem do swojego pokoju i położyłem się, żeby poczekać, aż wróci, ale w pewnej chwili zasnąłem. – Stefan Fink przerwał. Jego szczegółowe wspomnienia z tamtej nocy pozwalały przypuszczać, że do dzisiaj nie poradził sobie z tym, co się wydarzyło. – Obudziły mnie głośne krzyki. Ktoś wpadł do mnie do pokoju. To była Maria. Płakała. Powiedziała, że przyjechała policja i... i że na plaży znaleziono ciało Götza.

Przełknął z trudem ślinę i kilka razy zacisnął powieki.

– Później dowiedziałem się, że poprzedniego wieczoru, po moim wyjeździe, strasznie się upił. Że... że wrzeszczał na wszystkich, wyzywał ich i w końcu kazał im wynosić się z jego domu, bo twierdził, że nie chce ich już widzieć. Później... później musiał pójść w takim stanie na skały. Tam mieliśmy nasze sekretne miejsce, gdzie się spotykaliśmy. My... często siedzieliśmy tam po prostu i patrzyliśmy na morze. Szczególnie chętnie, kiedy mocno wiało, był przyryw i wysokie fale, bo to był spektakularny widok... jakby kipiela walczyła ze skałami. Zakładam... że musiał stracić równowagę i dlatego spadł do wody. Czuję się winny jego śmierci. To moja wina... przeze mnie zginął. A miał dopiero dwadzieścia jeden lat. Sprawilem, że czuł się nieszczęśliwy. Do końca życia będę to sobie wyrzucał.

Żal, którego nie można było ubrać w słowa, oraz ból i wyrzuty sumienia, które przez ostatnich trzydzieści pięć lat bezustannie mu towarzyszyły, widać było wyraźnie nie tylko w wyrazie jego twarzy, ale i całej posturze.

– Dlaczego w takim razie wymyśliliście historyjkę o tym, że Götz zakochał się w Katharinie, a kiedy spotkał się z odmową, upił się z żalu i miał wypadek? – zapytała Pia.

– To był pomysł Alexandra i Heike – odparł Stefan Fink. W jego głosie było słycać napięcie, a Pia domyślała się, ile wysiłku kosztowało go mówienie o tamtych wydarzeniach. – Uważali, że skoro Götz nie żyje i nie mogą mu w żaden sposób pomóc, powinni zadbać o to, żeby nie pogarszać sytuacji jego rodziców i siostry. Gdyby w takich okolicznościach dowiedzieli się, że ich syn i brat był gejem, i to w dodatku zakochanym w chłopaku swojej siostry, mogliby przejść

poważne załamanie nerwowe. Pozwoliłem na to. Nie oponowałem. Bo jestem tchórzem, o czym już wiecie.

– Tylko dlaczego Katharina zgodziła się wziąć na siebie winę za to, co się stało? Dlaczego nie powiedziała, jak było naprawdę? – dopytywał się Bodenstein.

– Kłamstwo poszło w świat i nawet gdyby chciała, nie dałoby się go tak łatwo cofnąć. – Stefan Fink wzruszył szerokimi ramionami. – Heike powiedziała jej prosto z mostu, że wszyscy przysięgliśmy sobie, że Götz był w niej zakochany, a ona dała mu kosza, bo wołała Johna.

– Dalej nie rozumiem, dlaczego. Coś z tego miała?

Fink myślał przez chwilę.

– Nie wiem, czy mieliście już państwo do czynienia z ludźmi, którzy koniecznie czegoś chcą i są gotowi iść po trupach, by to osiągnąć. – Jego twarz wyrażała teraz zgorzknienie. – Heike i Alex należeli do takich właśnie ludzi. Oni byli wręcz opętani pragnieniem, żeby stać się częścią świata, którego centrum stanowiło wydawnictwo Winterscheid. Wszystko i wszystkich podporządkowali realizacji swojego celu. Bluzgi i przekleństwa Götza spływały po nich jak woda po kaczce. Pozwalali się obrażać. Bez sprzeciwu znosili nazywanie ich pijawkami, kleszczami i pasożytami. Wyśmiewał ich, kpił i poniżał, a oni na to nie reagowali, aż w końcu zaczęło mu się podobać posiadanie takiej władzy nad innymi.

– Czy Maria Hauschild wiedziała o Götzku i o jego związku z panem?

– Tak, ona również. – Stefan Fink potaknął. – Była przecież dla Götza przykrywką. Po jego śmierci nie wychodziła z roli i dalej udawała jego dziewczynę, aż do chwili, gdy się zorientowała, że nigdy już nie uda jej się uciec od tego kłamstwa. Moja teściowa w pełni zaakceptowała taką wersję.

I do dzisiaj w nią bezkrytycznie wierzyła, o czym Pia i Bodenstein przekonali się w sobotę w szpitalu.

– Mnie też nigdy nie udało się uciec od tego kłamstwa i nie wyszedłem z roli – potaknął Fink. – Dorothea miała dopiero dziewiętnaście lat. Od kilku lat byliśmy parą. W tamte wakacje nie była z nami na Noirmoutier, bo z dwiema koleżankami pojechała na wycieczkę pociągiem po Hiszpanii i Portugalii. Do domu wróciła przed południem w dniu, w którym rodzice Götza dowiedzieli się o jego śmierci. Od razu wsiedli w samochód i ruszyli na wyspę. Ona w tym czasie spała. Proszę sobie wyobrazić, nie obudzili jej i nie powiedzieli, co się dzieje. Potem oboje

bardzo zbliżyli się z Alexandrem i Marią, a Heike zaczęła romansować z Henrim. O Doro nikt się nie troszczył. Nikt, poza mną. Było mi jej okropnie żal, a do tego miałem wyrzuty sumienia, że zdradzałem ją z jej bratem. Nasza paczka się rozpadła. Josi rzuciła studia, wyszła za jakiegoś Amerykanina, którego dopiero co poznała, i wyjechała z nim do Ameryki. Alexander i Maria w zasadzie przenieśli się do Winterscheidów i z nimi mieszkali. Katharina wyszła za Johna i zaszła w ciążę. Nigdy już nie rozmawialiśmy o tamtych wakacjach.

– Aż do chwili, kiedy Heike zaczęła was wszystkich szantażować swoją wiedzą, bo chciała, żebyście jej pożyczyci pieniądze na rozruch nowego wydawnictwa – zgadywała Pia.

– Nie! – Stefan Fink spojrzał na nią zaskoczony. – W ogóle nie poruszyła tamtego tematu. Potrzebowała pieniędzy, których po prostu nie miałem. Dlatego jej odmówiłem. Od kiedy Carl, żeby cięć koszty, zaczął zlecać druk książek za granicą, wziąłem sporo kredytów i zainwestowałem w nowe maszyny drukarskie, żeby znów móc konkurować na rynku.

– Dlaczego nie wspomniał pan żonie o prośbie Heike?

– Bo Heike poprosiła mnie o dyskrecję – wyjaśnił Fink. – Doro zasiada w zarządzie wydawnictwa Winterscheid, a ona nie chciała, żeby Carl dowiedział się o jej planach.

– W ten sposób w pewnym sensie zdradził pan żonę. Co będzie, jeśli pewnego dnia się o tym dowie? – zauważył Bodenstein.

– Będzie na mnie zła. Pewnie nawet wściekła. Ale w końcu mi wybaczy. – Fink zdawał się nie przejmować taką ewentualnością. – To, co się stało, nie jest problemem. Problemem by było, gdybym w tajemnicy przed nią zainwestował nasze pieniądze w przedsięwzięcie Heike.

– Kiedy w sobotę rozmawiałam z państwem w szpitalu, był pan wyraźnie zaskoczony, kiedy pańska żona powiedziała, że wie, że Heike zajmowała się chorym ojcem, z którym mieszkała – przypomniała sobie Pia. – Dlaczego?

– Bo nie miałem o tym pojęcia – odpowiedział szczerze Fink. – Ale Doro współpracowała z Heike znacznie bliżej niż ja. Możliwe, że kiedyś o tym rozmawiały, żonie wypadło to z głowy i nigdy mi tego nie powiedziała, bo po prostu nie uważała, że to coś ważnego.

– Dobrze, wróćmy może do fragmentu pamiętnika, który otrzymał pan pocztą. – Bodenstein założył nogę na nogę. – Domyślam się, że to również zataił pan przed żoną?

– Tak. – Stefan Fink westchnął cicho. – Nie wiedziałem, jak mam jej to powiedzieć. Są rzeczy, o których do dzisiaj nie ma pojęcia.

– Podobnie jak Paula Domski. Ona również żyła w nieświadomości.

– Tak, ale Paula zawsze się tym denerwowała. I to bardzo. Czowała się odrzucona. Doro reaguje inaczej. Ona rozumie, że Heike, Alexander, Josi, Maria i ja mamy wspólną przeszłość i nie widzi w tym żadnego problemu. Ale wie również, że nigdy nie byliśmy paczką prawdziwych przyjaciół. Raczej grupą ludzi pracujących nad osiągnięciem wspólnego celu, by z czasem zmienić się w grupę ludzi, których połączył los.

Ostatnie stwierdzenie Stefana Finka wydało się Pii bardzo znaczące i zaczęła się zastanawiać, czy Dorothea rzeczywiście tak myśli. Miała pewne wątpliwości, bo przecież w sobotniej rozmowie powiedziała, że przyjaciele z dawnych lat nie tylko wspólnie świętowali, ale też wspierali się w trudnych sytuacjach.

– Czy ma pan podejrzenia, kto mógłby być nadawcą tych listów? – zapytał Bodenstein z naciskiem i nachylił się w stronę przesłuchiwanego. – Kto mógł wejść w posiadanie papierów i pamiętników Kathariny Winterscheid po jej śmierci?

– Bardzo dużo na ten temat myślałem – wyznał właściciel drukarni. – W pierwszym odruchu powiedziałbym, że Maria. Bo z nas wszystkich ona była najbardziej zaprzyjaźniona z Kathariną. Ale Maria też dostała kopię fragmentu i twierdzi, że nawet nie wiedziała o tym, że Katharina prowadziła pamiętnik. Potem do głowy przyszła mi Margarethe, moja teściowa. Po śmierci Kathariny zaopiekowała się Carlem i wzięła go pod swój dach. No i to ona sprzątała mieszkanie Kathariny po jej śmierci. Razem z moją żoną i Waldemarem Bärem. A że jestem niemal pewny, że to nie Doro – jedną z jej najsympatyczniejszych cech jest to, że nie potrafiłaby zbyt długo zachować takiej tajemnicy tylko dla siebie – pozostaje jedynie Waldemar Bär. On wprost ubóstwiał Katharinę. Poza tym jest absolutnie lojalny wobec rodziny Winterscheidów.

– Hm, pan też należy już do rodziny.

– Nie. Ja tylko poślubiłem osobę z tej rodziny. – Na jego twarzy pojawił się wyraz delikatnego rozbawienia. – Dla Waldemara to bardzo znacząca różnica.

– Gdyby to on rzeczywiście dysponował pamiętnikami, dlaczego akurat teraz miałyby zacząć je rozsyłać? – drażył Bodenstein. – Dlaczego nie zajął się tym dużo wcześniej? I co miałyby w ten sposób osiągnąć?

– Nie wiem, nie mam pojęcia. – Stefan Fink spojrzał na niego zagubiony. – Nie potrafię tego zrozumieć.

Stefan Fink czuł się nieswojo, a Pia zauważyła, że jest spięty, choć wcześniej inaczej się zachowywał. Kłamał zatem. I nagle dotarło do niej, że choć zaprzeczał, musiał znać powód. Czy przypadkiem najlepszymi kłamcami nie są ci, którzy samych siebie potrafią okłamać? Stefan Fink okłamywał siebie od trzydziestu pięciu lat: przecież przed chwilą sam wyznał, że ożenił się z Dorotheą tylko dlatego, że nie mógł wyjść z tej gry.

W tej samej chwili w jej głowie pojawiło się pewne podejrzenie. Z wrażenia poczuła, że dostaje gęsiej skórki. A gdyby było tak, że Waldemar Bär, najlojalniejszy totumfacki rodziny Winterscheidów, po samobójstwie Kathariny zabrał jej pamiętniki i przechowywał jak relikwie, tylko od czasu do czasu je kartkując, podczytując i zupełnie nie rozumiejąc, o czym pisała? W wydawnictwie stał się niemal niewidzialny, do tego stopnia, że ludzie przestali go zauważać i plotkowali w jego obecności, aż pewnego dnia usłyszał coś, co nie było przeznaczone dla jego uszu? Jakąś kłótnię, na przykład między Heike Wersch i Alexandrem Rothem, kiedy rozmawiali o morderstwie Götza Winterscheida, którym Heike chciała zaszantażować swojego starego przyjaciela? Czy mogło wtedy zaświtać w głowie Waldemara Bära, żeby pójść z dziennikiem Kathariny Winterscheid do zaniechanej i lekceważonej przez rodziców Dorothei i powtórzyć jej, co usłyszał? Czy ta dwójka mogła wpaść na pomysł przestraszenia Odwiecznych i rozesłać im wybrane fragmenty dziennika, żeby nastawić ich przeciwko sobie? Wtedy całkiem realna byłaby możliwość, że we dwoje mordują Heike Wersch i podają Rothowi zatruty alkohol, żeby pomścić śmierć Götza! Śmierć brata wyróciła życie Dorothei Winterscheid do góry nogami. A Waldemar Bär bez trudu mógłby podrzucić narzędzie zbrodni do lodówki w gabinecie Alexandra Rotha oraz napełnić jedną z butelek po wódce metanolem.

Pia kopnęła dyskretnie szefa pod stołem i spojrzeniem dała sygnał, że muszą wyjść porozmawiać o czymś na zewnątrz. Ledwie zamknęły się za nimi drzwi pokoju przesłuchań, przedstawiła mu swoją najnowszą hipotezę. Chwilę później z pomieszczenia obok wyjrzała Nicola Engel.

– Co się dzieje? Dlaczego przerwaliście przesłuchanie? – zapytała dyrektorka.

Pia powtórzyła, na co wpadła.

– Dzisiaj po południu Margarethe Winterscheid zadzwoniła do córki, żeby zapytać, czy Waldemar Bär jest w wydawnictwie, bo policja chce mu zadać kilka pytań – tłumaczyła Pia podekscytowanym tonem. – Ponoć nie było go w pracy. Ale tylko ponoć, bo chyba nie macie wątpliwości, że Dorothea go kryła, prawda?

– Dynamika sympatii i antypatii wewnątrz tej grupy może wyglądać zupełnie inaczej, niż zakładaliśmy. – Bodenstein nie był przekonany. – Götz Winterscheid mógł równie dobrze zginąć z ręki Stefana Finka. Po kłótni, do której się przyznał i którą potwierdziła Josefin Lintner, Stefan miał wsiąść w samochód i odjechać, ale zgodnie z tym, co właśnie zeznał, nie dotarł do dyskoteki, tylko siedział samotnie na plaży. A jeśli wcale nie odjechał, lecz ukrył się w domu i poczekał, aż Götz pójdzie na klify? Chłopak chciał wymóc na nim przyznanie się do homoseksualizmu, na co Stefan nie był jeszcze gotowy.

Przez jakiś czas omawiali nowe pomysły, dyskutowali i analizowali najróżniejsze scenariusze i możliwości, by w końcu uznać, że nie są ani trochę bliżej rozwiązania tej sprawy niż na samym początku dochodzenia – a wręcz przeciwnie. Josefin Lintner powiedziała, że widziała, jak Alexander Roth kopnięciem zepchnął Götza Winterscheida na skały, a Heike stała obok i się przyglądała. Tyle że również ona mogłaby to zrobić, żeby przypodobać się pozostałym. Presja grupy to zjawisko doskonale udokumentowane przez psychologów i w żadnym razie nie wolno jej lekceważyć. Zdejmując odpowiedzialność z jednostki, zmienia poczucie odrębności w pragnienie przynależności. Grupa szybko jednoczy się przeciwko wspólnemu wrogowi i działa nie jak zbiór osób, tylko jedno plemię.

– Dobra, to co teraz? – zapytała Pia. – Mamy go skonfrontować z tym, co usłyszeliśmy od Josefin Lintner?

– Absolutnie nie! – Bodenstein potrząsnął energicznie głową. – Najlepiej będzie, jak przetrzymamy Finka przez noc w celi. Dzięki temu nie uda mu się skontaktować ani z teściową, ani z żoną, zanim nie porozmawiamy z Waldemarem Bärem.

– Nie ma takiej możliwości. Na jakiej podstawie chciałbyś go zatrzymać? – Nicola Engel pokręciła głową.

– Jeśli nie ma dobrego alibi na poniedziałkowy wieczór w zeszłym tygodniu, możemy powziąć podejrzenie, że to on zamordował Heike Wersch. – Bodenstein wzruszył ramionami.

– Ludzie, ludzie! Przecież to będzie jaskrawe naruszenie przepisów! – Nicola Engel była zdecydowanie przeciwna. – Takimi akcjami wpakujecie mnie w niezłe kłopoty!

– A masz jakiś lepszy pomysł? – Bodenstein spojrzał na nią wyczekująco. – Fink nie ma pojęcia, co go czeka, gdy jego komórka złapie zasięg. Przecież dzisiaj jego teściowa dowiedziała się od nas, że miał romans z jej synem. Mogę się założyć, że ta wiadomość dotarła już do Dorothei.

– Przetrzymano go dla jego własnego dobra – potwierdził Kai i uśmiechnął się szeroko. – Tu będzie bezpieczny.

– Moosbrugger jest już na miejscu? – zapytał Bodenstein.

– Tak. Przywieźli go pół godziny temu – potwierdził Kai. – Został zatrzymany zgodnie z procedurami i czeka teraz grzecznie w dwójce.

Bodenstein zmarszczył czoło i się zamyślił. W końcu spojrzał na zegarek: zbliżało się wpół do ósmej.

– Dobra, słuchajcie, zrobimy tak. – Podjął decyzję. – Wszyscy zostają na nocnej zmianie. Moosbrugger niech sobie jeszcze trochę poczeka, a my tymczasem mamy przerwę na kolację i wracamy coś zjeść. Potem ja i Pia zejdziemy z nim porozmawiać. Kai, zapytaj Finka o alibi na poniedziałkowy wieczór tydzień temu i przy okazji dowiedz się, czy miałby ochotę zjeść kebab. Jeśli o mnie chodzi, może sobie palić do woli, tylko ktoś musiałby zdemontować czujnik dymu. Na tę chwilę znosimy zakaz palenia. – Spojrzał krótko na przełożoną, na co Nicola Engel wzruszyła ramionami i skinęła głową. – Dobrze. Potem odwieziemy Finka do domu i porozmawiamy z jego żoną. Najpóźniej jutro z samego rana chciałbym mieć w ręku nakaz przeszukania wydawnictwa i prywatnego mieszkania Waldemara Bära. Tarik zajmie się formalnościami. Kathrin niech poszuka wszystkiego, co da się znaleźć na temat samobójstwa Kathariny Winterscheid.

*

Josefa Moosbruggera męczył głód nikotynowy. Od dwóch godzin, czyli w zasadzie od chwili, kiedy Cem i Tarik zatrzymali go w ogródku piwnym

w dzielnicy Ostend w charakterze podejrzanego o zamordowanie Heike Wersch, agent krążył jak dzikie zwierzę po pozbawionym okien pokoju przesłuchań i robił się coraz bardziej nerwowy. Na samym początku został poinformowany o przysługujących mu prawach oraz pouczony, że rozsądnie byłoby skontaktować się z prawnikiem, co uznał za niepotrzebne.

Bodenstein, Pia, Kai i Cem siedzieli w pomieszczeniu obok, jedli podgrzane w kuchence mikrofalowej dania i przez szybę, która od strony pokoju przesłuchań wyglądała jak lustro, obserwowali zachowanie agenta Severina Veltena. O samym pisarzu woleli w tej chwili nie rozmawiać. Od kilku dni siedział w jednej z cel przemeblowanych tak, by mógł w niej pracować, i niczym prawdziwy sęp, a nie jednonogi żuraw, przyjmował łaskawie jedzenie, picie i papierosy, w które zaopatrywała go osobiście Nicola Engel. I dopiero dzisiaj uznał za stosowne przekazać im ważną informację. Ni z tego, ni z owego przypomniał sobie bowiem, że w zeszły poniedziałek, kiedy siedział w biurze swojego agenta i pisał, Moosbrugger wyszedł z domu i wrócił dopiero nad ranem. Tymczasem gdyby wcześniej powiedział im prawdę, oszczędziłby Kaiowi żmudnego przeglądania tysięcy numerów telefonów i pisania programu do ich sortowania, bo od razu by wiedzieli, że zostali beczelnie okłamani.

Drzwi się otworzyły i do pokoju zajrzała Nicola Engel.

– Jak długo jeszcze każecie mu tam kwitnąć? – zapytała zaskakująco przyjaznym tonem. Przy całej sympatii dla Severina Veltena zdawała sobie sprawę, że Bodenstein i cała reszta wydziału miała prawo mieć do niego pretensje.

– Już niedługo. – Oliver wsunął do ust ostatni kawałek kebaba i wytarł usta kawałkiem kuchennego ręcznika. Po kilku tygodniach żywienia się głównie warzywami i sałatą rozkoszował się smakiem tłustego mięsa. – Już kończymy kolację i bierzemy się do roboty.

– Niech sobie spokojnie czeka i myśli, że trafił tu z powodu morderstwa – dodała Pia. – Idę o zakład, że wyobraża sobie teraz, jak by to było spędzić tu najbliższych piętnaście lat.

– Dobrze mu to robi – mruknął Cem.

Punktualnie o dziewiątej wieczorem Bodenstein i Pia weszli do pokoju przesłuchań. Moosbrugger był cieniem samego siebie.

– Proszę, niech pan siada – powiedziała Pia i niedbałym gestem położyła na stole paczkę papierosów, po czym włączyła dyktafon, kamerę i jak zwykle podała do mikrofonu godzinę, datę, miejsce, numer akt oraz nazwiska osób biorących udział w przesłuchaniu.

– Nie zabiłem Heike – wyrzucił z siebie Moosbrugger. Miał zapadniętą twarz, poszarzałą cerę i spocone czoło. – Proszę, musicie mi uwierzyć. Kiedy przyjechałem, ona już nie żyła.

– Wszystko po kolei. – Bodenstein usiadł wygodniej i splótł dłonie na brzuchu. – Proszę szczegółowo opisać, jak wyglądał pana wieczór trzeciego września 2018 roku.

Moosbrugger bez wahania zaczął opowiadać o tym, jak jego podopieczny Severin Velten pojawił się niespodziewanie o wpół do dziewiątej wieczorem u niego w domu i zdenerwowany wyrzucił z siebie, że pokłócił się z Heike Wersch i zatłukł ją laptopem. Kiedy mówił, starał się nie spoglądać w stronę paczki papierosów, którą Pia się bawiła, żeby go sprowokować. Po wszystkim, co wydarzyło się w ostatnich tygodniach, Moosbrugger uważał, że kłótnia między Veltenem i Wersch rzeczywiście mogła eskalować, ale nie przypuszczał, żeby jego autor mógł ją zabić. Z początku próbował się dodzwonić do swojej starej przyjaciółki. Ponieważ kobieta nie odbierała, a Severin siedział przy komputerze i jak opętany stukał w klawiaturę, postanowił zostawić go na trochę samego. Następnie wsiadł w samochód i udał się do Bad Soden.

– Spodziewałem się zobaczyć Heike z rozbitym czołem i wściekłą jak osa, ale kiedy przestąpiłem próg kuchni i zobaczyłem ją na podłodze, całą we krwi, byłem bliski zawału – wyznał Moosbrugger ze łzami w oczach. – Wszystko było dosłownie skąpane we krwi! A jej czaszka... no po prostu zmiażdżona! Nigdy w życiu nie oglądałem czegoś tak strasznego!

– Dlaczego nie zadzwonił pan na policję? – zapytał Bodenstein.

– Ja... sam nie wiem. – Mężczyzna wzruszył bezradnie ramionami. – Zupełnie jakby włączył się we mnie jakiś autopilot i przejął nade mną kontrolę. Jedyne, o czym mogłem myśleć, to Severin. Pan Velten to bardzo spokojny, pokojowy i kochający życie facet. Heike musiała go czymś tak sprowokować, że kompletnie stracił panowanie nad sobą. Próbowałem go ochronić. Nie chciałem, żeby Heike zrujnowała mu całe życie, więc wpadłem na pomysł, że mógłbym spróbować zainscenizować jej śmierć jako wypadek. Na dworze zbierało się na burzę,

a pamiętałem, jak mi mówiła, że ostatnio dzień w dzień chodzi z kijkami. Przyszło mi do głowy, że w takich warunkach mogłoby przewrócić się na nią jakieś drzewo albo że mogłaby się poślizgnąć i wypadek gotowy. No bo co to zmienia, prawda? Skoro nie żyła, to nie mogłem jej pomóc. Więc co za różnica, jak to się stało, prawda?

Błagając wzrokiem o zrozumienie i aprobatę dla swojego rozumowania, spoglądał na przemian na Bodensteina i Pię.

– Z biologicznego punktu widzenia pewnie można by uznać pańską argumentację – mruknął Oliver oschle. – Ale patrząc z prawnego, stwierdzić trzeba, że złamał pan swoim postępowaniem kilka znaczących paragrafów kodeksu karnego.

Moosbrugger westchnął ciężko. Przez dłuższą chwilę siedział nieruchomo i masował sobie brodę. Bodenstein i Pia czekali cierpliwie, aż znów zacznie mówić.

– Na początku nasunąłem Heike na głowę plastikową torbę, a potem zapakowałem resztę jej ciała w dwa duże worki. Kiedy to robiłem, nie mogłem przestać płakać – ciągnął wyraźnie przybity mężczyzna. – Jej twarz i cała głowa przedstawiały okropny widok i strasznie jej współczułem tego, co ją spotkało. Mimo że byłem na nią zły, ani przez chwilę nie uważałem, że zasłużyła sobie na taki koniec. Zatłuczona jak jakiś wściekły pies! Nie odważyłem się przeciągnąć jej przez ogród do garażu, dlatego założyłem perukę, gumowe rękawiczki i wyszedłem po kubel na śmieci. Na szczęście był pusty. Umieściłem ciało w kubie i w nim przewiozłem je do garażu. Dopiero tam się zorientowałem, że zapomniałem zabrać z domu kluczyki do wozu Heike. Na dworze szalała burza, więc pomyślałem, że najpierw posprzątam starannie kuchnię. Zajęło mi to około godziny. Dopiero wtedy wróciłem do garażu. Bagażnik samochodu Heike był wypełniony zakupami i zgrzewkami wody, więc musiałem wszystko rozładować, zanim mogłem umieścić tam jej zwłoki. To jednak okazało się bardzo problematyczne, bo nie wziąłem pod uwagę stężenia pośmiertnego. W tym czasie Heike zaczęła już... no wiecie... ona zeszywniała.

Bodenstein i Pia słuchali tej opowieści z rosnącym osłupieniem, bo niezależnie od tego, jak bardzo brzmiała nieprawdopodobnie i ponuro, miała w sobie sporą dawkę czarnego humoru.

– Na szczęście na dworze szalała burza i rozlegały się grzmoty. – Moosbrugger, podobnie jak Stefan Fink, odczuwał wyraźną ulgę, mogąc podzielić się tajemnicą, która ewidentnie nie dawała mu spokoju. Mógł być krętaczem i cwaniakiem, ale na przestępcę się nie nadawał. Pia wierzyła, że rzeczywiście zrobił wszystko, o czym opowiadał, ale tylko po to, żeby chronić Veltena. Mimo to w jego działaniu można było dopatrzeć się dbałości o własny interes, bo jego podopieczny w więzieniu nie napisałby raczej kolejnej bardzo dochodowej powieści.

– Przewróciłem kubeł, żeby wyciągnąć Heike, ale w trakcie podarły się worki, w które była owinięta – tłumaczył agent, a jego blade policzki powoli odzyskiwały kolory. – Jak już jakoś udało mi się przetransportować ją do bagażnika samochodu, w ostatniej chwili przypomniałem sobie o kijkach do nordic walkingu. A potem przyszło mi jeszcze do głowy, że nie poszłaby przecież do lasu w crocsach, więc wróciłem szybko do domu po jakieś odpowiednie ubranie i buty, a przy okazji wziąłem też jej komórkę. Od środka zamknąłem drzwi kuchenne i wyszedłem głównym wejściem, ale wziąłem ze sobą klucze, żeby włożyć je jej do kieszeni. W garażu musiałem ponownie wyjąć Heike z bagażnika, odwinąć z worków i przebrać, co nie było łatwe, bo była dość ciężka.

Bodenstein i Pia wymienili szybkie spojrzenia. Szczegółowy opis ponurej sceny brzmiał wręcz groteskowo, lecz był wiarygodny, bo zgadzał się z ustaleniami poczynionymi przez techników. Mimo to trudno było im pojąć, że niewiele brakowało, a przeszukiwaliby zawartość głębokiego na niemal dwadzieścia pięć metrów bunkra na odpady tylko dlatego, że Moosbrugger przewiózł ciało Heike z domu do garażu w kubie na odpady! Jego milczenie byłoby bardzo kosztowne, zarówno w aspekcie finansowym, jak i czasowym – a możliwe, że przyczyniło się również do śmierci Alexandra Rotha.

– W końcu udało mi się umieścić ją na powrót w bagażniku. Wszystkie ścierki, torby z zakupami i ubrania, które wcześniej miała na sobie, wyrzuciłem do śmieci, a potem wyprowadziłem samochód z garażu, przy czym niemal potraściłem jakiegoś człowieka z psem. – Moosbrugger mówił coraz szybciej i szybciej. Opowiadał, jak ruszył w stronę Königstein. Na dworze było bardzo ciemno i lał deszcz. Nie znając okolicy, skręcił w pierwszą leśną drogę, jaką zauważył. Kawalek dalej wyjął ciało Heike Wersch z bagażnika, założył jej pętle kijków na nadgarstki, do kieszeni wsunął telefon i klucze i zrzucił ją do głębokiego wąwozu, przy czym nie obyło się bez kilku kopniaków, zanim ciało samo potoczyło się dalej.

– Następnie wróciłem do Bad Soden. Zaparkowałem jej samochód w garażu, a kluczyki odwiesiłem w kuchni, na haczyku.

– W jaki sposób dostał się pan do środka? – zapytała Pia. – Przecież klucze do domu zostawił pan w kieszeni denatki.

– To prawda. – Moosbrugger potaknął. – Ale specjalnie dlatego zostawiłem sobie zapasowy klucz.

– Co się z nim stało?

– Wrzuciłem go do kosza na śmieci, kiedy wystawiałem go na ulicę.

– Co zrobił pan z peruką?

– Wracając do Frankfurtu, wyrzuciłem ją przez okno – wyznał mężczyzna. – Kiedy wszedłem do siebie, Severin cały czas pisał. Wziąłem prysznic i na uspokojenie wypłem podwójną whisky, a potem położyłem się spać.

– Żeby zatuszować swój udział w zniknięciu pani Wersch dalej wysyłał jej pan wiadomości i dzwonił pod jej numer, bo domyślał się pan, że prędzej czy później ktoś to sprawdzi, prawda?

– Tak jest. – Moosbrugger skinął skruszony głową.

– Wielka szkoda, że już w zeszłym tygodniu nie zdecydował się pan nam o tym opowiedzieć – skarciła go Pia. – Pan Velten nie spowodował śmierci pani Wersch, co do tego nie ma wątpliwości. Wychodzimy jednak z założenia, że jej morderca miał też jakiś udział w śmierci pana Alexandra Rotha. A pan, z dużą dozą prawdopodobieństwa, mógł jej zapobiec.

Agent literacki ponownie pobałdł. Siedział ze zwieszoną głową i milczał.

– Zachowałem się jak idiota – przyznał w końcu skruszony. – To było idiotyczne i okropne.

– Dobrze, że pan to przynajmniej rozumie. – Bodenstein wstał z krzesła. – To było nie tylko idiotyczne i okropne, ale też brzemiennie w konsekwencje, bo nie uda się panu uciec przed nimi. Odpowie pan za utrudnianie śledztwa i zbezczeszczenie zwłok.

– Zasłużyłem sobie na to.

– Dobrze, może pan wracać do domu, jest pan wolny – poinformował go Bodenstein. – Proszę jednak nie opuszczać kraju.

Pia podeszła do drzwi i zapukała. Umundurowany policjant trzymający wartę na korytarzu natychmiast jej otworzył.

– Nigdzie się nie wybieram – zapewnił agent Severina Veltena i również wstał.

– Jeszcze tylko jedno pytanie na zakończenie – przypomniała sobie Pia. – Czy miał pan świadomość, że pani Wersch zajmowała się chorym ojcem, z którym mieszkała? Ten człowiek przez cały czas był na piętrze, kiedy pan sprzątał kuchnię.

– Nie. To znaczy tak, wiedziałem, że z nim mieszka – przyznał Moosbrugger i znów załamał mu się głos. – Ale w tamtej chwili... wtedy... w ogóle o tym nie myślałem. Byłem... zbyt rozproszony.

– Ma pan wiele szczęścia, że przeżył – poinformowała go Pia, wychodząc z sali przesłuchań. – Gdyby coś mu się stało, odpowiedziałby pan za nieumyślne spowodowanie śmierci i nieudzielenie pomocy. I nie wracałby pan teraz do domu, tylko jechał do aresztu śledczego.

*

Krótkotrwała euforia i radosna nadzieja, że właśnie udało im się dopaść mordercę Heike Wersch, ustąpiły miejsca rezygnacji i poczuciu porażki. Po wyjściu Moosbruggera Cem, Kathrin i Tarik również wrócili do domów, a w sali odpraw siedzieli tylko Bodenstein, Kai, Pia i Nicola Engel. Przed każdym z nich stał kubek z kawą, która pomagała im bronić się przed sennością. Na dworze już dawno zapadł zmrok. Biura na całym korytarzu były puste. Światło paliło się tylko na dole, w dyżurce czynnej przez całą dobę.

– Po pięciu dniach dochodzenia znaleźliśmy się w punkcie wyjścia. – Pia z frustracją kartkowała notatnik. – Co ja mówię, jest gorzej niż na początku. Musimy na nowo przeanalizować i ocenić wszystkie dotychczasowe ustalenia.

Przez cały czas zakładali, że Heike Wersch została wyjątkowo brutalnie zamordowana i wywieziona do lasu przez jedną i tę samą osobę, co drastycznie ograniczało krąg możliwych podejrzanych, bo część osób mogących mieć motyw wykluczyli z racji wieku czy budowy fizycznej. Teraz każdą z tych osób należało od nowa wziąć pod uwagę, tyle że z zupełnie innej perspektywy.

– Tłuczek do mięsa o wadze nieprzekraczającej kilograma nawet w dłoni staruszki czy staruszka może być śmiertelnie niebezpiecznym narzędziem – zauważyła doktor Nicola Engel.

– Szczególnie w sytuacji, kiedy ofiara jest poważnie osłabiona wcześniej odniesionymi obrażeniami głowy i w związku z tym nie może się bronić – dodał Bodenstein.

– Margarethe Winterscheid wiedziała, że jej mąż przez ponad trzydzieści lat miał romans z Heike Wersch. Mogę się założyć, że nie darzyła jej sympatią – powiedziała Pia. – Co więcej, w czasie rozmowy z nią odniosłam wrażenie, że serdecznie nienawidzi swojego męża. Gdyby Henri Winterscheid dopiął swego i zbył udział w wydawnictwie, straciłaby pozycję, wpływy i dom.

– W takim wypadku powinna zamordować męża, a nie Heike Wersch – stwierdził Kai.

– No cóż. Bez nowego wydawnictwa pani Wersch Henri Winterscheid nie miałby powodu, żeby pozbywać się swoich udziałów – zaprzeczyła Nicola Engel. – Takie rozwiązanie wydaje się bardziej eleganckie.

Kai wstał i podszedł do ściany, na której wisiała tablica.

– Dalej uważam, że sprawcą mógł być Alexander Roth.

– Już o tym rozmawialiśmy – westchnęła Pia. – Słowo klucz to narzędzie zbrodni.

– No tak. Racja. – Kai podrapał się po głowie. – Swoją drogą, zastanawia mnie, dlaczego sprawca zabrał ze sobą ten tłuczek, zamiast zostawić go przy zwłokach?

– Starych Winterscheidów i Hellmutha Englischa wykluczamy – stwierdził Bodenstein zdecydowanym tonem. – W czasie kiedy doszło do morderstwa, czyli między ósmą wieczorem a wpół do dziesiątej wieczorem, brali udział w publicznej imprezie we Frankfurcie i mają na to świadków. Josefin Lintner również była w tym czasie w większym gronie. Jutro będzie to trzeba zweryfikować, to jasne, ale wychodzę z założenia, że ich alibi się potwierdzi.

– A jak wygląda kwestia alibi pozostałych z grona naszych podejrzanych? – zapytała dyrektorka.

– Trzeba z nimi ponownie porozmawiać – odparł Bodenstein. – Najważniejszym dowodem, jakim dysponujemy, jest narzędzie zbrodni ukryte w lodówce w gabinecie Alexandra Rotha. Kto miał nieograniczony dostęp do tego pomieszczenia?

– O tym też już rozmawialiśmy. – Pia ziewnęła. – Dorothea Winterscheid-Fink oraz Waldemar Bär. No i oczywiście Carl Winterscheid.

– Moim faworytem jest Waldemar Bär, gospodarz budynku i jedyny spadkobierca Heike Wersch – potaknął Oliver. – Uważam, że jeśli znał treść testamentu zamordowanej, miał najsilniejszy motyw.

– Jutro z samego rana mamy już umówione spotkanie z notariuszem w Königstein. Może od niego dowiemy się czegoś ciekawego. – Pia ponownie ziewnęła. – Chodź, szefie. Musimy odwiedzić Stefana Finka do domu i porozmawiać z jego żoną.

– Jeszcze jedna sprawa – powstrzymał ich Kai. – Moosbrugger powiedział wcześniej, że miał trudności z przepakowaniem zwłok z kubła do bagażnika, bo pojawiło się stężenie pośmiertne. Jak to możliwe?

– Tamtej nocy panowała wysoka temperatura, a stężenie pośmiertne pojawia się znacznie szybciej, kiedy jest gorąco – wyjaśniła Nicola Engel.

– Mimo to stężenie pośmiertne rozwija się w pełni najwcześniej osiem do dziesięciu godzin po zgonie – potaknęła Pia. – Moim zdaniem musiał się pomylić.

– Albo wcale się nie pomylił, tylko Heike Wersch była martwa znacznie wcześniej, niż zakładamy – stwierdził Kai. – Jeśli zginęła około wpół do ósmej wieczorem, stężenie pośmiertne po czterech godzinach mogło objąć tylko szyję i ramiona.

– Co pan sugeruje? – Nicola Engel spojrzała na niego uważnie.

– Że to jednak żuraw ją zamordował – odparł Kai.

– Bzdura! – Dyrektorka energicznie zmarszczyła brwi, tak że niewiele brakowało, a połączyłyby się u nasady jej nosa. – Gdyby tak było, w jaki sposób narzędzie zbrodni miałyby się znaleźć w gabinecie Alexandra Rotha?

– Skoro jego agent posunął się do uprzątnięcia śladów jatki i pozbycia się zwłok, bez trudu mógł podrzucić tłuczek do wydawnictwa – uznał Kai. – Z tego, co się dowiedziałem, agenci literaccy są regularnymi gośćmi w wydawnictwach swoich autorów. Domyślam się, że Moosbrugger musiał ostatnio często odwiedzać wydawnictwo Winterscheid, bo pracował nad strategią rehabilitacji Veltena po skandalu z plagiatem. Pomyśleliście, że możemy mieć do czynienia z szerokim spiskiem? Co by było, gdyby Carl Winterscheid albo Dorothea Winterscheid-Fink znali ich tajemnicę i zechcieli skierować podejrzenia na Alexandra Rotha?

– I wrobili Severina Veltena w morderstwo, tak? – zapytała Nicola Engel z kpiną w głosie.

– Nikt go nie wrabiał. To on zabił Heike Wersch za pomocą tłuczka do mięsa – stwierdził Kai – bo gotował się z wściekłości, bo nie dość, że zniszczyła jego wiarygodność, to na dodatek nie chciała z nim nawet rozmawiać. Po wszystkim pojechał do swojego agenta. Ten wrócił na miejsce zbrodni, posprzątał po swojej kurze znoszącej złote jajka i zabrał ze sobą tłuczek. Moosbrugger to gość, który nie potrafi dotrzymać tajemnicy, więc poleciał z tym do Winterscheidów i wszystko im opowiedział. Nikt z tej trójki nie miał interesu w wysyłaniu doskonale sprzedającego się autora do kryminału w charakterze mordercy swojej redaktorki, dlatego zaczęli szukać, kogo można by wskazać i uznali, że Alexander Roth doskonale nadaje się na sprawcę. Żeby nie mógł zeznawać i się bronić, podrzucili mu butelkę z metanolem zamiast wódki i może nawet zachęcili do picia, żeby mieć pewność, że spożyje odpowiednią dawkę. Potem wystarczyło czekać. Po jego śmierci ktoś schował narzędzie zbrodni w jego gabinecie i *voilà*.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Rozważali realność takiego scenariusza, analizowali jego przebieg, skutki, oraz wszystkie za i przeciw.

– Naciągane, i to mocno – uznał w końcu Bodenstein, przerywając ciszę. – Ale też niewykluczone.

– Poświęcili Rotha? – Pia się rozbudziła. Resztki senności zniknęły i znów była skupiona. – Hm, Carl Winterscheid sam powiedział, że jego decyzja o awansowaniu Rotha na stanowisko redaktora prowadzącego to ruch natury strategicznej, a nie wynikający z przekonania. Nie miał o nim dobrego zdania.

– I nie miałby problemów, żeby otruć swojego pracownika – dodał Kai, potakując.

– Mężczyźni nie uciekają się do morderstw przy użyciu trucizny – zaprzeczyła Nicola Engel zdecydowanie. – Poza tym, ta cała historia jest tak absurdalna, że aż szkoda gadać. Z pańską wyobraźnią, kolego, powinien pan pisać scenariusze do seriali kryminalnych.

– Mam to traktować jako komplement czy się obrazić? – zapytał Kai, spoglądając na szefową, ale ona tylko machnęła dłonią.

– Nie uważam, żeby ta historia była aż tak nieprawdopodobna, mimo że ma kilka słabych punktów. – Oliver wziął w obronę swojego pracownika. – Jutro rano wyślemy Krögera do siedziby wydawnictwa. Jeśli gdziekolwiek znajdzie pojemnik z metanolem, będziemy musieli zająć się scenariuszem nakreślonym przez Kaia.

– Moją główną podejrzaną jest Dorothea Winterscheid-Fink. – Pia zapaliła się do nowego podejścia. – Miała więcej niż jeden powód, żeby czuć wściekłość na Heike Wersch i Alexandra Rotha. Przez całe jej życie rodzice woleli tych dwoje od niej, swojej córki. Stary Winterscheid planował nawet spieniężyć jej spadek, czyli udziały w wydawnictwie, żeby wesprzeć nowy projekt Heike Wersch. Poza tym, Dorothea mogła się dowiedzieć, że Roth i Wersch mieli jakiś udział w śmierci jej brata.

– Musimy koniecznie ustalić, kto rozsyłał kopie fragmentów dziennika Kathariny Winterscheid – zdecydował Bodenstein. – Osoba, która to robiła, musi mieć dostęp do wiedzy utrzymywanej dotychczas w tajemnicy. Musimy więc odpowiedzieć na następujące pytanie: kto w tym układzie miał najwięcej do stracenia i byłby gotów zabić, żeby jego sekret nie wyszedł na jaw?

Pia przesunęła wzrokiem po liście nazwisk i fotografiach zmarłych oraz podejrzanych.

– Mam wrażenie, że cały czas wymyka się nam coś decydującego – powiedziała zamyślona. – Tylko co?

– Albo inaczej: kogoś przeoczyliśmy. – Bodenstein zmarszczył czoło. – Powinniśmy skupić się na odnalezieniu pamiętnika, z którego pochodziły rozesłane fragmenty.

– Jaki byłby wtedy motyw zamordowania Roth i Wersch? – zapytała Nicola Engel.

– Czyli ogólnie rzecz biorąc, cały czas nic nie wiemy – mruknął Kai ponuro. – A ja mam wrażenie, że morderca jeszcze nie powiedział ostatniego słowa.

– Jutro rano pojedziemy porozmawiać z Carlem Winterscheidem. A teraz zamienimy kilka słów z Dorotheą Winterscheid-Fink. Cem i Tarik z samego rana pojedą po Waldemara Bära i dostarczą go tutaj na przesłuchanie. Jeśli i tym razem go nie zastaniemy, dopiszemy go do listy poszukiwanych. – Bodenstein przeciągnął się, zasłonił usta wierzchem dłoni i ziewnął szeroko. – Chodź, Pia. Nie poddajemy się.

Telefon Stefana Finka był zaskakująco cichy, kiedy na schodach z piwnicy ponownie zalogował się do sieci. Wyglądało na to, że skontaktować się z nim próbowała jedynie żona i nikt poza nią, co bardzo zdziwiło Bodensteina. Razem z Pią zakładali, że Margarethe Winterscheid zaraz po ich wyjściu będzie

próbowała dodzwonić się do zięcia, by robić mu wyrzuty. A jednak tak się nie stało. Za to komórka Bodensteina nie chciała się uspokoić, kiedy odzyskała zasięg i pikała w miarę, jak spływały na nią kolejne wiadomości. Lorenz, zgodnie z prośbą Olivera, odstawił podrapane porsche do lakiernika. Sophia przesłała mu jakąś chyba zakodowaną wiadomość głosową, naszpikowaną słowami z młodzieżowego slangu, takimi jak *cringe*, *safe* i *mega*. Niewiele z niej zrozumiał. Poza tym odezwała się Cosima, również przesyłając mu wiadomość głosową, którą skądinąd łatwiej było mu zrozumieć. Bodenstein zatrzymał się i puścił Pię, Nicole, Kaia i Stefana Finka przodem, żeby uważnie wysłuchać, co była żona miała mu do przekazania. Lekarze dali jej nadzieję na rychłe przeprowadzenie operacji przeszczepu, bo po zakończeniu chemioterapii miała coraz lepsze wyniki krwi. Ucieszył się, jednak poczuł większą presję, by jak najszybciej zamknąć tę sprawę, choć w ogóle się na to nie zanosilo.

– Szefie! – zawołała Kathrin, zbiegając po schodach. – Poczekaj!

– Ty jeszcze nie poszłaś do domu? – Bodenstein był szczerze zdziwiony.

– Nie, jeszcze pracuję. Szukałam w internecie informacji na temat Kathariny Winterscheid i coś udało mi się znaleźć.

– Chodź, dogonimy pozostałych, żebyś nie musiała potem powtarzać – zdecydował Bodenstein.

Pia i Kai czekali z Nicolą Engel i Stefanem Finkiem przy wyjściu. Bodenstein poprosił współpracowników na bok.

– No dobrze – zaczęła Kathrin. – Tylko pamiętajcie, że nie znam żadnych szczegółów, bo do tego musiałabym mieć wgląd do akt, jeśli w ogóle jeszcze istnieją. Udało mi się za to ustalić, że w nocy z siedemnastego na osiemnastego sierpnia 1990 roku niejaka Katharina Winterscheid została znaleziona martwa na podwórzu domu przy Stalburgstrasse 82 we Frankfurcie. Policja uznała, że to było samobójstwo.

Jej słowa przywołały nieoczekiwanie falę wspomnień w głowie Bodensteina. W czerwcu 1990 roku jako świeżo upieczony oficer policji kryminalnej trafił do Frankfurtu, do zespołu zajmującego się oszustwami i wyłudzeniami. Przez doskwierające wówczas braki personalne już po czterech tygodniach przydzielono go do wydziału zabójstw, gdzie pracuje do dzisiaj. Jego szefem był legendarny nadkomisarz Menzel, reprezentant starej szkoły policyjnej, od którego wiele się

nauczył. Często brał dodatkowe nocne zmiany, jak wielu młodych funkcjonariuszy, bo bardzo mu zależało na uznaniu przełożonego, a to najłatwiej było zyskać przez dodatkową pracę.

– Pamiętam tę sprawę – powiedział, wywołując zaskoczenie pozostałych. – Byłem wtedy świeżakiem w K10, a to był jeden z moich pierwszych nocnych dyżurów i pierwsze samobójstwo. Nie wiem, dlaczego akurat ta sprawa tak bardzo zapadła mi w pamięć, ale pewnie dlatego, że syn tej kobiety był dokładnie w wieku Lorenza. Miał dopiero sześć lat. Nie mogłem przestać zadawać sobie pytania, jak jakaś kobieta była w stanie wyskoczyć z balkonu, wiedząc, że zostawia w domu sześciolatnie dziecko. – Bodenstein zmarszczył czoło, próbując przypomnieć sobie szczegóły tamtej sprawy, ale na próżno.

– No i? – Nicola patrzyła na niego wyczekująco.

– No i co? – Bodenstein nie rozumiał, o co jej chodzi.

– Zadawałeś to pytanie tylko sobie, czy poszedłeś z tym do szefa? Kto był twoim przełożonym? Menzel? Rozwialiście wszystkie wątpliwości?

– Nie mam pojęcia, nic więcej nie pamiętam – wyznał Bodenstein. – I tak, moim pierwszym szefem był Menzel. Wydaje mi się, że on zajmował się tym samobójstwem. Możliwe, że ja dostałem inne sprawy. Wiesz, jak to jest, gdy ktoś zupełnie nowy trafia do wydziału. Poza tym to było tyle lat temu! Od tamtego czasu miałem na tapecie niejedno samobójstwo.

– W takim razie należałoby możliwie jak najszybciej wystąpić o te akta – zdecydowała Pia. – Koniecznie musimy dowiedzieć się wszystkiego, co się da, na temat matki Carla Winterscheida. Ja nie potrafiłabym pomyśleć o samobójstwie, gdybym wiedziała, że w mieszkaniu jest mój pies, a zostawić sześciolatnie dziecko, to już w ogóle kosmos.

– Dobrze, zajmę się tym – zapewniła ją Nicola Engel. – Z samego rana zadzwonię do prokuratury.

*

Dorothea Winterscheid-Fink, podobnie jak jej mąż, również nie miała alibi na wieczór, w którym zamordowana została Heike Wersch. Kobieta twierdziła, że najpierw chciała pojechać na zajęcia z jogi do Eschborn, jednak w ostatniej chwili odebrała telefon od jednego z przedstawicieli handlowych wydawnictwa i tak

długo z nim rozmawiała, że prosto z pracy wróciła do domu. Stefan Fink też został do późna w biurze. Jego drukarnia znajdowała się w dzielnicy przemysłowej w Rödelheim, niedaleko spalarni odpadów. W przeciwieństwie do siedziby wydawnictwa Winterscheid, jego firma dysponowała bardzo nowoczesnymi systemami bezpieczeństwa, włącznie z monitoringiem, więc istniała możliwość, że jeszcze uda się dotrzeć do nagrań z trzeciego września, które potwierdziłyby wersję Stefana. Znacznie bardziej interesująca okazała się informacja, którą przekazała policji Dorothea Winterscheid-Fink, bo zupełnie zmieniała kwestię alibi jej rodziców. Okazało się bowiem, że impreza, w której mieli brać udział w towarzystwie Hellmutha Englischa, odbywała się w niedzielny, a nie w poniedziałkowy wieczór. Przez zeznania Moosbruggera starsze małżeństwo niespodziewanie wróciło do grona potencjalnych podejrzanych, zresztą razem z cholerycznym pisarzem, przyjacielem domu. Biorąc pod uwagę złość i urazę, do zadania śmiertelnych ciosów tłuczkiem do mięsa byłaby zdolna zarówno Margarethe Winterscheid, jak i Hellmuth Englisch.

Dom rodziny Finków był ładny, miał nisko schodzący czterospadowy dach, okna ze szprosami i garaż dwustanowiskowy, i znajdował się bezpośrednio przy drodze L3005, na obrzeżach Schwalbach. Mimo ekranów akustycznych, przez otwarte drzwi tarasowe słychać było auta przejeżdżające czteropasmową trasą. Szefowa działu handlowego wydawnictwa Winterscheid bez cienia zaskoczenia czy niezadowolenia późną porą zaprosiła Pię i Bodensteina do środka – mąż wysłał jej prawdopodobnie wiadomość, kiedy tu zmierzali – i teraz wszyscy we czwórkę siedzieli we wspianej kuchni połączonej z jadalnią, przy stole, przy którym pani domu musiała wcześniej pracować, bo stały na nim zamknięty laptop, kieliszek wina i pusty talerz z okruszkami. Dom został urządzony nowocześnie i jednocześnie przyjaźnie dla mieszkańców. Obrazy na ścianach przedstawiały różne style artystyczne, a nad kanapą w salonie wisiało duże zdjęcie całej rodziny, włącznie z psem, którego najwyraźniej nie było już z nimi. Sposób, w jaki małżonkowie odnosili się do siebie, świadczył o tym, że cały czas się bardzo lubią.

– To nie ja zamordowałam Heike Wersch – oznajmiła Dorothea Winterscheid-Fink, kiedy Pia zapytała ją o alibi. – Dlaczego miałabym to zrobić?

– Może dlatego, że dowiedziała się pani o planach ojca, który postanowił zbyć swoje udziały w wydawnictwie, pani spadek notabene, żeby zdobyć pieniądze, które chciał zainwestować w nowe przedsięwzięcie pani Wersch – podsunęła Pia.

– Przyznaję, że byłam bardzo rozczarowana i jeszcze bardziej wściekła, kiedy się o tym dowiedziałam – odparła Dorothea. Była boso, miała na sobie wygodne czarne spodnie od dresu, szarą bluzę z kapturem i proste okulary w czarnych oprawkach. – Nie pierwszy raz w życiu zostałam zignorowana. Moi rodzice zawsze woleli obcych ludzi ode mnie. Po dziadku odziedziczyłam dwanaście procent udziałów w wydawnictwie. Może się wydawać, że co to jest, te dwanaście procent, ale one stanowią mniejszość blokującą. Bez mojej zgody nie może zmienić się właściciel firmy. Gdyby mój ojciec rzeczywiście chciał zbyć swoje udziały, nie wyraziłabym na to zgody i tyle.

Jej argumentacja brzmiała bardzo przekonująco. Pierwszy z potencjalnych motywów morderstwa został zneutralizowany.

– Kiedy po raz ostatni rozmawiała pani z zamordowaną? – pytała dalej Pia.

– Oj, sporo czasu temu. – Dorothea Winterscheid-Fink pokiwała głową i zastanowiła się. – Po raz ostatni chyba w dniu, w którym dostała wypowiedzenie. Przez te wszystkie nerwy i kłopoty, w jakie nas wpędziła, zupełnie nie czułam potrzeby, żeby z nią rozmawiać. Do dzisiaj nie rozumiem, jak mogła zrobić coś takiego, żeby wystawić na publiczny lincz pisarza pokroju Veltena, i to mimo że przecież sama naciskała, żeby zainspirował się czyjąś pracą. Gdybym miała ją zamordować, zrobiłabym to pewnie znacznie wcześniej, zanim zaczęła opowiadać te wszystkie bzdury o Carlu i Severinie.

– Czy czuła się pani zazdrosna o Heike Wersch albo Alexandra Rotha? – zapytał Bodenstein. – Oboje byli traktowani przez pani rodziców jak adoptowane dzieci. To przecież musiało panią boleć.

– O tak, początkowo rzeczywiście bardzo bolało. Dzisiaj to bez znaczenia. – Dorothea Winterscheid-Fink pokiwała głową. – Poza Alexandrem i Heike była jeszcze Maria, którą moja matka uważała za swoją synową. Przez wiele lat czułam się nieswojo i dręczyło mnie to, że moi rodzice zmarłego syna zastąpili sobie Alexandrem. I do tego jeszcze ta cała fundacja jego imienia, mająca wspierać młodych poetów i pisarzy! Niesamowita obłuda! Przecież mój brat w ogóle nie interesował się wydawnictwem i jeszcze mniej literaturą! Marzył, że zostanie lekarzem, i w tajemnicy przed rodzicami studiował medycynę. Ojciec dostałby chyba zawału, gdyby się o tym dowiedział! Jeśli rzeczywiście chcieli upamiętnić jego imię, fundacja powinna zajmować się wspieraniem biednych studentów medycyny.

– Czy ktoś miałby ochotę na coś do picia? – zaproponował Stefan Fink. Bodenstein i Pia podziękowali, za to Dorothea skinęła głową i wskazała na pusty już kieliszek na stole. Jej mąż przeszedł do kuchni i wrócił po chwili z butelką białego wina. Napełnił kieliszek do połowy i podał go Dorothei.

– Dla moich rodziców najbardziej liczą się pozory, to, żeby z zewnątrz wszystko pięknie wyglądało – ciągnęła kobieta, kiedy upiła pierwszy łyk. – Od zawsze tak było i do dziś nic się nie zmieniło. Oni się tak naprawdę nie znoszą, a mimo to trwają w tym małżeństwie, choć ojciec nigdy nie krył się z romansami. Potrafił przy mojej matce mówić o Heike, że to jego zastępcza żona, tylko po to, żeby ją zdenerwować! No cóż. Moja matka zajmowała się głównie pielęgnowaniem żałoby po zmarłym synu i z biegiem czasu coraz bardziej go idealizowała. Pierwszych kilka miesięcy po śmierci Götza Josefin i Maria zamieszkały z nami w domu, żeby na każde zawołanie ocierać mojej matce łzy. – Prychnęła pogardliwie. – Ja się dla rodziców zupełnie nie liczyłam. O śmierci brata musiała powiedzieć mi gospodyni, bo rodzice zostawili mnie, wsiedli w samochód i sami pojechali na Noirmoutier. A jego pogrzeb... to był czysty horror.

Zamilkła i zamyślona wpatrywała się w wino, kręcąc kieliszkiem w dłoni. Jej mąż wstał od stołu i wyszedł na taras. Stał przy otwartych drzwiach i zapalił papierosa.

– Po śmierci Götza rodzice sprzedali dom na wyspie, który tak strasznie kochałam, a pieniądze ze sprzedaży włożyli w tę cholerną fundację. Mój ojciec zatrudnił Heike i Alexandra w redakcji, a Maria trafiła do działu zakupu praw. Dla mnie nie było tam ponoć miejsca, bo uważał, że w ogóle nie znam się na książkach. Dlatego nie poszłam na studia, tylko zajęłam się pracą w handlu i pracowałam potem w biurze u Stefana. Rodzice nigdy nie zapytali nawet, jak mi idzie.

– Ale przez jakiś czas mieszkała pani razem z mężem w willi rodziców, prawda? – upewnił się Bodenstein.

– Tak. Ale nie dla nich, tylko dla mojego dziadka i wuja – wyjaśniła Dorothea Winterscheid-Fink i posmutniała. – Kiedy zmarli, wszystko się zmieniło. Po śmierci wuja jego żona zabrała syna i przeprowadziła się do dzielnicy Nordend.

– Katharina, prawda?

– Tak, Katharina.

– Z tego, co się orientuję, odebrała sobie później życie.

– Zgadza się. Po śmierci Johna, jej męża, zaczęła cierpieć na depresję. John był jej wielką miłością. Zmarł na zawał serca, bardzo młodo, bo miał dopiero czterdzieści jeden lat. Katharina odziedziczyła po nim połowę wydawnictwa, co dla mojego ojca było prawdziwym koszmarem. Katharina nie dała za wygraną i wbrew niemu weszła do zarządu i zajęła stanowisko Marii w dziale praw. Waldemar się nią zajmował, kiedy miała gorsze dni. Robił jej zakupy i tak dalej. Dla Carla zatrudniała opiekunkę.

Bodenstein i Pia wymienili szybkie spojrzenia. Czyżby ich przypuszczenia miały znaleźć potwierdzenie? Czy za akcją rozsyłania anonimowych listów z fragmentami dziennika Kathariny Winterscheid mógł stać Waldemar Bär?

– Czy pana Bära i matkę Carla Winterscheida łączyło coś więcej? – zapytała Pia.

– Ależ skąd! – Dorothea Winterscheid potrząsnęła zdecydowanie głową. – Waldemar ubóstwiał Johna, a po jego śmierci równie nabożną czią otoczył Katharinę.

– Co się stało z rzeczami pozostawionymi przez Katharinę po jej śmierci? – dopytywała się Pia. – Ktoś musiał przecież zająć się jej mieszkaniem, drobiazgami...?

– Hm, już nie pamiętam, jak to było. – Dorothea spojrzała w stronę męża. – Przypominasz sobie, kto się tym zajmował?

– Wydaje mi się, że Margarethe. Razem z Marią i Waldemarem – odparł Stefan Fink. – Ty bardzo długo zajmowałaś się Carlem, bo nie chciał zostawać sam z gospodynią w willi.

– No tak, racja. – Dorothea potaknęła. – Carl bał się pani Bär, czyli matki Waldemara. Nie ma się co dziwić, bo chłopiec był tą sytuacją kompletnie wyglupiony.

– Co się stało z rzeczami z mieszkania Kathariny? Z jej ubraniami, meblami, książkami i osobistymi drobiazgami?

– Z tego, co się orientuję, matka oddała wszystkie ubrania organizacjom charytatywnym, a meble pozostały w mieszkaniu. Natomiast nie mam pojęcia, co się stało z jej osobistymi rzeczami. Pewnie Maria będzie pamiętać, jej powinniście zapytać.

– A dziecko? Jak potoczyły się losy Carla?

– Bardzo chciałam go przygarnąć. Wtedy nie mieliśmy jeszcze własnych dzieci. Maria, jako matka chrzestna, też była gotowa się nim zająć. Ale moja matka uparła się, że chłopiec zostanie z nią. Mimo że nienawidziła Kathariny. Nigdy nie przestała obwiniać jej o śmierć Götza.

– Dlaczego to zrobiła? – zapytała Pia.

– Powiedziała mi kiedyś, że ma prawo do Carla, bo jego matka odebrała jej syna – wyjaśniła Dorothea Winterscheid-Fink. – Życie Carla u moich rodziców nie było usłane różami. Starali się trzymać go z dala od wydawnictwa, a kiedy miał dziesięć lat, wysłali go do szkoły z internatem. Nie posiadali się z radości, kiedy sam zdecydował, że chciałby przenieść się do Ameryki i zamieszkać u swojego ojca chrzestnego. To, że wrócił do kraju i przejął wydawnictwo, zakrawa trochę na ironię losu. – Dokończyła wino. – Możemy przenieść się na taras? Mamy zasadę, że w domu nie palimy, a ja potrzebuję papierosa.

Bodenstein i Pia wyszli za nią na zadaszony taras, na którym w jednym narożniku stał wygodnie wyglądający zestaw mebli ogrodowych, a w drugim przykryty plandeką grill. Dorothea Winterscheid-Fink przyjęła zaoferowanego przez męża papierosa, zapaliła i zaciągnęła się głęboko dymem.

– Nigdy nie straciliśmy kontaktu z Carlem. Wielokrotnie lataliśmy z mężem do niego do Stanów Zjednoczonych. Współpraca z nim jest naprawdę niesamowita. Ma ogromną wiedzę o rynku, ale przede wszystkim jak nikt inny potrafi zarządzać. Mój ojciec zawsze był snobem, Heike zresztą też.

– A Alexander Roth? – zainteresowała się Pia.

– Alex był największym snobem ze wszystkich. Dla niego liczył się tylko status społeczny i jak go zyskać. Kiedyś, kiedy jeszcze byłam w szkole, powiedział mi, że jak dorośnie, to się ze mną ożeni i przyjmie moje nazwisko. Wtedy będzie jednym z nas. To chyba wszystko tłumaczy, prawda? – Dorothea Winterscheid-Fink wypuściła dym nosem. – Poza tym był mięczakiem. Chociaż smutną regułą jest to, że najsłabsi potrafią się najmocniej przyssać. Jego marzeniem było dochrapanie się pewnego dnia stanowiska szefa wydawnictwa. Chciał siedzieć w dużym gabinecie, z cygarem, i kartkować pierwsze wydania Schopenhauera ze złożonymi brzegami. Żeby zrealizować to marzenie, był gotów poddać się woli moich rodziców, którzy go prawie adoptowali. – Skrzywiła się pogardliwie. – W przeciwieństwie do niego, Maria wykazała się znacznie większym rozsądkiem i bardzo szybko wyrwała się spod ich kurateli. Po kilku miesiącach rzuciła pracę

w fundacji, czym bardzo uszczęśliwiła Heike i Alexa. Alex miał wtedy dwadzieścia dwa lata i był przewodniczącym zarządu fundacji, a Heike redaktorką w wydawnictwie, choć wcześniej nawet nie przeszła stażu. Nie musiała! Mój ojciec nie posiadał się z radości, że w miejsce zmarłego syna zyskał dwie osoby, które w dodatku znacznie lepiej pasowały do jego planów niż Götz.

Kobieta zdusiła niedopałek w popielniczce na stole.

– Koniec końców ten układ nie przyniósł im szczęścia, ani Alexowi, ani Heike. Możecie mi wierzyć, nie niszczyłabym sobie szczęśliwie poukładanego życia, mszcząc się na kimś, kto jest mi w zasadzie obojętny. Mam wspaniałego męża i dwóch cudownych synów, piękny dom i pracę, w której się realizuję. A kiedy ojciec pożegna się pewnego dnia z tym ziemskim padołem, mogę odziedziczyć po nim udziały, ale nie muszę. To w zasadzie bez znaczenia, bo część wydawnictwa i tak należy do mnie. Rozumiecie moje racje?

– Tak. – Bodenstein potaknął. – Dobrze panią rozumiemy.

Smartfon Pii zawibrował krótko. Wyjęła go z torebki i spojrzała na ekran. Przyszła wiadomość od Marii Hauschild.

Dobry wieczór, dopiero teraz wróciłam do domu – pisała agentka Henninga. – Przesyłam Pani kopię tego anonimowego listu sprzed trzech tygodni, o który Pani pytała. Dla lepszego zrozumienia, o kogo chodzi: Mia to ja, Heike wiadomo, Alex to Alexander Roth, Josi = Josefin Lintner, a Stefan to Stefan Fink. Jutro przez cały dzień jestem do Pani dyspozycji, proszę dzwonić albo wpaść. Z pozdrowieniami, MH.

Pia założyła okulary do czytania, otworzyła pierwsze zdjęcie i zabrała się do lektury.

Pani

Maria Hauschild

Agencja Literacka Hauschild

Untermainanlage 211

60311 Frankfurt nad Menem

Wiem, co zrobiłaś latem 1983 roku. I ty też to wiesz.

Île de Noirmoutier, 24 lipca 1983

Götz nie żyje. Słodki, szarmancki, dowcipny, radosny Götz! Nie potrafię tego pojąć. Był jedynym normalnym członkiem tej bandy, a teraz nie żyje. Nie umiem tego objąć rozumem. Gdzie teraz jest? Gdzie jest jego dusza? Jak to możliwe, żeby wszystko, co w nim było, nagle przestało istnieć? Co się stało z jego myślami, uczuciami, z jego planami i pomysłami? Utonął? Czy może już nie żył, kiedy wpadł do wody? Czy zdążył cokolwiek zauważyć? Czy tuż przed śmiercią odczuwał strach? John powiedział, że lekarz, który go widział, uważa, że musiał być nieprzytomny od wypitego alkoholu. Skąd może mieć pewność? Skąd to wie? Cieszę się, że John jest na miejscu i wszystkim się zajmuje. Tak bardzo chciałabym umieć płakać i przeżywać żalobę, ale jestem zbyt zszokowana. To...

Île de Noirmoutier, 25 lipca 1983 – 3.55 nad ranem

Wszyscy wrócili do siebie. W końcu mogę spokojnie pomyśleć. Mia i Alex odjechali z rodzicami Götza. Mia gra pogrążoną w rozpaczny wdowę. Żałosne. Oglądanie tego było wręcz bolesne, szczególnie gdy się wie, jak rzeczywiście wyglądał jej związek z Götzem. Jego rodzice zdają się nie mieć świadomości, że od dawna nie byli parą, a nikt nie zdecydował się im tego powiedzieć. Josi wpakowała się Stefanowi do samochodu i odjechali bez pożegnania. Tak im się spieszyło, żeby stąd wyjechać, że niewiele brakowało, a zapomnieliby o Heike. No, i to by było na tyle, jeśli chodzi o przyjaźń. W rzeczywistości oni się nawzajem nie cierpią. We Frankfurcie to się nie rzuca aż tak bardzo w oczy, bo rzadko widać ich wszystkich razem. Ale to, jak zabiegali o przychylność i uznanie Götza, jak podszczytywali się i dogryzali sobie, gdy go nie było w pobliżu, jacy byli zawistni i podstępni... nie, to naprawdę nie ma nic wspólnego z przyjaźnią. A najgorsza z nich wszystkich jest Heike. Pełna jadu, zawistna i obrzydliwie wyrachowana. Zaraz po powrocie poszukam sobie nowego mieszkania. Nie chcę spędzić z nimi ani jednego dnia więcej.

Pia otworzyła kolejne zdjęcie i kontynuowała lekturę.

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że przewidziałam, jak to się skończy. Nie przewidziałam. A powinnam była zgadnąć, w jakim kierunku wszystko zmierza. Zawsze czułam tę z trudem powstrzymaną agresję. Tę niechęć. I nieraz widziałam, że milkną, kiedy pojawiają się w pobliżu. Zauważałam znaczące spojrzenia, jakie wymieniali Heike i Alex. Mimo to nie wierzyłam, że będą zdolni posunąć się do tego, by go zabić. A zrobili to. Ta dwójka to zrobiła, jestem tego pewna. Zmienili się, są zupełnie inni niż wcześniej. Ich żaloba i szok nie są szczerze jak u Josi, Mii i Stefana. Nie, nie mam dowodów, bo skąd, skoro

tamtej nocy nie było mnie w domu, ale jestem pewna, że wszyscy kłamią. Nawet Stefan nie mówi prawdy, co mnie kompletnie rozbija. Ustalili coś razem, cała piątka umówiła się co do jednej wersji, dość przekonującej, by policja im uwierzyła. Dobrze odegrali swoje role. Wcześniej też nie byli szczerzy. Götz zapłacił życiem za to, że nie docenił, jak wiele dla nich znaczyło wstąpienie do jego świata. Ech, gdyby mnie posłuchał i nie pił tyle! Rozumiałam jego frustrację, ale przecież musiało istnieć rozwiązanie dla jego problemów, tym bardziej że i tak miał to całe wydawnictwo w dupie. Dlaczego był tak nieostrożny, żeby co rusz grozić im tym, czego najbardziej się bali? I dlaczego mnie tam nie było???

Götz umierał, kiedy ja spędzałam z Johnem najcudowniejszy czas w życiu. Zawsze będę to sobie wyrzucać. Do samej śmierci. I wiem, że brat Johna i jego obrzydliwa żona też nigdy mi tego nie wybaczą, bo święcie wierzą, że Götz był we mnie zakochany, a ja dałam mu kosza, bo wolałam jego wujka. Pewnie, sama jestem sobie winna, bo zgodziłam się brać udział w tych ich gierkach ze Stefanem. Ale tylko dlatego, że Götz mnie poprosił. No dobrze, to było też trochę ekscytujące, nie zaprzeczam. Tylko skąd miałam wiedzieć, że to się tak skończy? Oby to, co zaczęło się między mną i Johnem, przetrwało tę próbę. Tak bardzo go kocham! Umarłabym, gdyby ze mną zerwał. Przez trzy dni byłam najszczęśliwszą kobietą na świecie. Chyba po prostu nie wolno mi się cieszyć. Ech, Götz, Götz... jak to się mogło tak tragicznie potoczyć?

Pia podała Bodensteinowi swój telefon i okulary do czytania. Państwo Finkowie przyglądali im się w milczeniu.

– Co robiła pani w miniony czwartek wieczorem?

– To był ostatni dzień zjazdu naszych przedstawicieli handlowych. Cały dzień spędziłam w wydawnictwie. Wyszłam około ósmej wieczorem.

– A potem?

– Wróciłam prosto do domu. Czekał na mnie nasz najstarszy syn. Rozpaliliśmy grill.

– Czy widziała się pani w czwartek z Alexandrem Rothem?

– Tak, oczywiście. Wspomniałam już, że spotykaliśmy się z naszymi przedstawicielami handlowymi. Redaktorzy prezentowali nowości wydawnicze przygotowywane na wiosnę 2019 roku. Alex, jako redaktor prowadzący, przez cały czas był na miejscu, podobnie jak kierownicy wszystkich działów. Bardzo o to dbam.

Bodenstein zakończył lekturę przesłanego fragmentu dziennika. Zdjął okulary Pii, oddał jej komórkę i spojrzał na Dorotheę Winterscheid-Fink.

– Kiedy ostatnio widziała pani Waldemara Bära?

– Nie pamiętam dokładnie. Wczoraj pewnie? Tak, wczoraj rano był obecny, kiedy Carl przekazywał wszystkim pracownikom wiadomość o śmierci Alexandra Rotha i Heike Wersch. Potem go już nie widziałam.

– Czy rozmawiała pani dzisiaj z matką? – zapytała Pia.

– Tak, rano, ale bardzo krótko. Chciała wiedzieć, czy widziałam pana Bära. – Dorothea zamilkła i przekrzywiła lekko głowę. – A o czym innym miałyby ze mną rozmawiać?

– Pani rodzice dowiedzieli się dzisiaj, że przez trzydzieści pięć lat żyli, wierząc w kłamstwo – wyjaśnił Bodenstein. – To nie Katharina była powodem, dla którego pani brat upił się przed śmiercią. Pił przez mężczyznę, którego kochał.

– Że co?! – Dorothea Winterscheid-Fink zamarła w połowie ruchu, z dłonią wyciągniętą nad stołem po paczkę papierosów, którą położył tam jej mąż. Powoli przeniosła wzrok na Stefana. Po jej spojrzeniu i minie widać było, co się dzieje w jej głowie, to, jak analizowała usłyszaną informację, jak ją oceniała i wyciągała wnioski, aż w końcu zrozumiała.

– Nie! – zawyła. – Nie, to nie może być prawda. Stefan! Powiedz mi, że się mylę! Powiedz mi, proszę, że nie okłamywaliście nas od samego początku!

Stefan Fink zdawał się kurczyć pod naporem jej spojrzenia. Skruszony spuścił głowę i nawet nie próbował się tłumaczyć.

– Przykro mi – powiedział w końcu.

– Götz... i ty?! – wyszeptała jego żona.

Fink potaknął i poruszył bezradnie ramionami.

– Na początku to była tylko przygoda. Nic poważnego. Nie mogłem przypuszczać, że Götz... że on się naprawdę... no... że się we mnie zakocha.

Dorothea patrzyła na niego w milczeniu i robiła, co mogła, żeby zaskoczenie i szok nie odebrały jej panowania nad sobą. Powoli docierała do niej świadomość rozmiarów tego kłamstwa. Nie chciała być pamiętliwa i małostkowa, ale teraz poczuła się okłamana i zdradzona. Mąż zawiódł jej zaufanie tak strasznie, że raczej nie miał szans na szybkie wybaczenie, jeśli w ogóle mógł na nie liczyć.

– Kto jeszcze o tym wiedział? – wychrypiała z trudem.

– To... moglibyśmy później o tym porozmawiać? – poprosił mężczyzna. Był wyraźnie zawstydzony.

– Nie. Chcę wiedzieć. Teraz! – syknęła Dorothea, próbując zachować kontrolę nad emocjami. – Kto przez te wszystkie lata wiedział, że pieprzyłeś się z moim bratem? Kochałeś go? Jesteś jednym z tych gejów, którzy się ukrywają i w tajemnicy pieprzą się po leśnych parkingach? Zerwałbyś ze mną, gdyby on żył? Czy to ty zabiłeś mojego brata?!

Ostatnie pytanie wykrzyczała i niewiele brakowało, a rzuciłaby się na męża, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Fink czuł się zakłopotany sytuacją, w jakiej się znalazł. Był czerwony ze wstydu.

– Moglibyście zostawić nas samych? – zwrócił się do Bodensteina i Pii, jednak policjantka pokręciła głową.

– Nas również interesują pańskie odpowiedzi na te pytania – odparła i splotła ramiona na piersi.

Na tarasie zapadła cisza. Słysząc było wyraźnie ciężki oddech Dorothei. Co jakiś czas ulicą za ekranami akustycznymi przejeżdżał pojedynczy samochód. Stefan Fink zmagał się z duchami przeszłości.

– Katharina i Maria o wszystkim wiedziały – wyznał w końcu. – Maria przez całe lata była przykrywką dla Götza, bo on dość wcześnie zrozumiał, że nie pociągają go dziewczyny. A Katharina natychmiast się zorientowała, że między nami coś jest... Pozostali... oni... oni dowiedzieli się dużo później... dopiero... dopiero po śmierci Götza.

– Mów dalej! – wycodziła jego żona przez zęby.

– Tamtego wieczoru z nim zerwałem. Powiedziałem mu, że kocham ciebie, Doro! – wyszeptał Fink z rozpaczą. Stał zgarbiony, ze zwieszonymi ramionami i wyglądał, jakby w jednej chwili zmienił się w staruszkę. – Dlatego tak bardzo się upił. Do tego stopnia, że potknął się na skałach i spadł do morza. To ja jestem winny jego śmierci, chociaż tego nie chciałem! Nigdy nie chciałem, żeby coś mu się stało. Od trzydziestu pięciu lat noszę to brzemię. Nie ma dnia, żebym o nim nie myślał.

Dorothea Winterscheid-Fink patrzyła na męża.

– Dlaczego wszystkim powtarzaliście, że to przez Katharinę? – wyszeptła, jakby się bała, że głos odmówi jej posłuszeństwa. – I dlaczego ona nigdy nie powiedziała, jak było naprawdę? Dlaczego zgadzała się znosić nienawiść mojej matki?

Stefan Fink unikał jej patrzenia jej w oczy. Nawet teraz nie potrafił zdobyć się na pełną uczciwość.

– Heike i Alexander przekonali nas, że tak będzie łatwiej, dla ciebie i twoich rodziców. My... my się zgodziliśmy, bo chcieliśmy oszczędzić wam przykrości. A Katharina nie mogła nic powiedzieć, bo twoi rodzice i tak by jej nie uwierzyli. To byłoby jej słowo przeciwko nam wszystkim.

Dorothea milczała przez dłuższy czas. Stała nieruchomo i na przemian zaciskała pięści i prostowała palce. Wstrząsem była dla niej nie tylko wiadomość o bracie, ale chyba przede wszystkim świadomość niewybaczalnej zdrady, jakiej dopuścił się jej mąż.

– Te obrzydliwe, załgane pasożyty – wycedziła w końcu. – Nie chcę ich już nigdy oglądać. Ciebie też, żaloszny tchórze. Przynajmniej na razie. Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek będę w stanie ci zaufać.

Po tych słowach odwróciła się i weszła do domu.

*

Dopiero kiedy wyszli od Finków, Bodenstein sprawdził komórkę i zobaczył, że jego brat trzykrotnie próbował się do niego dodzwonić. Przestraszył się nie na żarty, bo jeśli Quentin o tej porze podejmował próbę kontaktu, mogło to oznaczać, że coś się stało któremuś z ich osiemdziesięcioletnich już rodziców. Oddał Pii kluczyki do auta i oddzwonił. Czekaając, aż Quentin odbierze, uświadomił sobie, że może chodzić również o Sophie.

– No dalej! Odbierz w końcu! – wymruczał pod nosem i zupełnie, jakby brat go słyszał, w słuchawce rozległ się jego głos.

– Właśnie dopadliśmy twoją pasierbicę, jak z dwoma chłopakami z okolicy usiłowała podłożyć ogień w stajni! – oznajmił na powitanie. Quentin aż krzyczał ze złości, a Bodenstein nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. – Oblali jakimś płynem kostki słomy w przejściu i podłożyli ogień, aż wszystko zaczęło się palić. Całe szczęście, że psy się rozszczękały, a wtedy ojciec wyszedł sprawdzić, co się dzieje, i zaraz włączył instalację przeciwpożarową. Ja akurat wracałem z pola, bo dzisiaj

zaczęliśmy zbiory kukurydzy, i trójka tych chuliganów wbiegła mi prawie pod koła!

– Udało wam się opanować pożar? – zapytał Bodenstein.

– Tak, i całe szczęście! Ale zajęło się kilka balotów słomy i sufit w przejściu jest cały osmalony. Co mam zrobić z tą trójką?

Pod Oliverem ugięły się kolana, a ulga była tak wielka, że zakręciło mu się w głowie. Jego rodzice byli cali i zdrowi. Sophii nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Po chwili jednak pojawiła się złość. Ten atak był wymierzony w jego córkę i w niego. onsekwentnie ignorował telefony od Karoline i nie odpisywał na jej wiadomości, a jej córka nie potrafiła znieść takiego lekceważenia. W głowie mu się nie mieściło, że w swojej niechęci była gotowa posunąć się tak daleko, by podpalić stajnię, w której stał kucyk Sophii.

– Dzwonź na policję – poradził bratu. – To jest podpalenie, przestępstwo, za które grożą poważne sankcje. Prokuratura zajmie się tym z urzędu. Za dwadzieścia minut będę na miejscu.

– Co się stało? – zapytała Pia, a Bodenstein zdał jej krótką relację.

– Ta dziewczyna powinna trafić do zamkniętego ośrodka! – pieklił się policjant.
– Ona jest zagrożeniem dla innych! Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby psy nie zaczęły szczekać, a ogień objął całą stajnię i przeniósł się na budynki mieszkalne?

Oliver nie posiadał się ze złości. Zniszczenie jego ubrań i porysowanie samochodu można było potraktować jako złośliwość i przymknąć na to oko, jednak próba podpalenia z użyciem łatwopalnego płynu to coś zupełnie innego! Tym razem żarty się skończyły.

– Chcesz, żebym pojechała tam z tobą? – zapytała Pia.

– Nie, dzięki. Wracaj spokojnie do Hofheim – odparł Bodenstein.

– Bez sensu. Ja wysiądę przy szpitalu, a ty jedź prosto do domu – odparła Pia. – Jutro rano Christoph podrzuci mnie do pracy swoim samochodem, to dla niego żaden problem.

– Ale będziesz musiała iść przez las. – Bodenstein był wdzięczny za jej propozycję, ale mimo to miał pewne obawy. – I to o takiej porze!

– To raptem kilkaset metrów – uspokoiła go Pia. – Na dodatek droga jest dobrze oświetlona, a ja mam przy sobie broń. Nic mi nie będzie.

Skręciła w prawo i po chwili zatrzymała się na wjeździe zarezerwowanym dla karetek. Wysiedli, żeby Bodenstein mógł usiąść za kierownicą.

– Jakby mi jeszcze było mało nerwów! – poskarżył się Bodenstein i złapał się za głowę. – Cosima czuje się na tyle dobrze, że lada chwila mogą wezwać mnie na operację. A nasze dochodzenie tkwi w miejscu!

– Nie, spokojnie, robimy postępy. Już niedługo – zapewniła go Pia. – Mam wrażenie, że dzisiaj udało nam się nieźle namieszać i coś zacznie się dziać. Jutro rano pogadamy z notariuszem Heike Wersch i z Marią Hauschild. Przewrócimy siedzibę wydawnictwa do góry nogami i odszukamy Waldemara Bära. Instynkt mi mówi, że to nasz sprawca.

– Waldemar Bär jest ogrodnikiem. – Bodenstein potaknął i nie mógł powstrzymać uśmiechu, choć w ogóle nie było mu wesoło. – A sprawcą jest zawsze ogrodnik. To taki stereotyp.

– Stereotypy biorą się stąd, że najczęściej są prawdziwe. – Pia również się uśmiechnęła. – Dobra, jedź już. Widzimy się jutro o siódmej rano w biurze.

*

Julia obudziła się gwałtownie w środku nocy. Mając przed oczyma wyraźne obrazy zapamiętane ze snu, pojęła nagle, co za wspomnienie nie dawało jej spokoju, od kiedy przeczytała manuskrypt pozostawiony przez Katharinę Winterscheid. To ta kotka! Fleur del Sel! Czarna, z białymi łapkami! W końcu wiedziała, co od początku chodziło jej po głowie, i była pewna, że to nie mógł być przypadek: już ją kiedyś spotkała, i to wiele lat wcześniej, w innej książce! Włączyła lampkę na stoliku nocnym, zerwała się z łóżka i podbiegła do regału bibliotecznego. Gdzie była książka, o której myślała? Czy w ogóle ją jeszcze miała? A może została wśród tych, których nie zabrała z Berlina, tylko odstawiła do ulicznej biblioteki? Przeszukując o wpół do czwartej nad ranem swój imponujący księgozbiór i wypatrując niepozornego wydania w miękkiej oprawie, które po raz ostatni widziała przynajmniej dziesięć lat wcześniej, myślała o wczorajszej wizycie w Instytucie Medycyny Sądowej u Henninga Kirchhoffa. Zobaczenie go w pracy, przy jego głównym zajęciu, zrobiło na niej ogromne wrażenie. Po przeczytaniu i omówieniu raportu z sekcji zwłok Kathariny Winterscheid Julia zapytała go o kilka spraw związanych z jego profesją. Wiedziała już trochę z kryminałów,

które napisał, ale to była tylko teoria. Odważyła się na wyznanie, że nigdy w życiu nie widziała ludzkich zwłok, więc zaprowadził ją do piwnicy Instytutu i otworzył jedną z szuflad chłodni. Julia spodziewała się smrodu rozkładu i przerażających widoków, jednak denat, młody mężczyzna, który zmarł po przedawkowaniu narkotyków, wyglądał, jakby spokojnie drzemał. Tylko jego blade, niebieskawe usta wskazywały na to, że już nigdy się z tej drzemki nie obudzi.

– Pani Wersch i pan Roth też tu są? – zapytała z ponurą ekscytacją. Henning Kirchhoff potwierdził i zapytał, czy ich też chciałyby zobaczyć, jednak ona szybko podziękowała za tę możliwość. Zwłoki obcej osoby to coś zupełnie innego niż zwłoki kogoś, z kim się współpracowało. Tym bardziej że profesor Kirchhoff zdążył ją ostrzec, że ich ciała nie wyglądają tak czysto i naturalnie.

Wracając na górę, zapytała Kirchhoffa, czy to prawda, że wcześniej spędzał ze swoją żoną weekendy i wieczory w sali sekcyjnej, jak postaci z jego książek, a on potwierdził, że rzeczywiście tak to wyglądało. Koniec końców, między innymi to było przyczyną rozpadu jego pierwszego małżeństwa – że praca była dla niego ważniejsza od żony. Wciąż bardzo ją lubił; Julia potrafiła to wywnioskować ze sposobu, w jaki o niej mówił i co o niej opowiadał. Jego drugie małżeństwo ze szkolną przyjaciółką pierwszej żony od pierwszej chwili okazało się porażką, a on miał najwyraźniej dość kobiet – może z wyjątkiem Pii, której postawił pomnik poprzez sposób, w jaki wykreował postać jej odpowiedniczki, Iny Gravenkamp. Może właśnie dlatego wolał mieszkać samotnie, w małym mieszkanku służbowym nad Instytutem? Julia miała coraz większe problemy, by oddzielić fikcję od rzeczywistości, czego nie ułatwiał jej fakt, że postaci z manuskryptu Kathariny Winterscheid miały swoje odpowiedniki i odpowiedniczki w prawdziwym życiu.

– Ha! Proszę, tu jesteś! – krzyknęła w końcu i z górnej półki zdjęła niewielką książkę. Tomik był już mocno zużyty i nawet poplamiony, a pośrodku, między kartkami, tkwiła tekturka z autografem, na której zamiast zdjęcia autorki widniała jedynie okładka jej książki. Przeszła z książką do kuchni, wsypała kawę do ekspresu i czekając na gorący napar, zaczęła kartkować swoje znalezisko. Stosunkowo szybko trafiła na miejsce, którego szukała, i zalała ją fala szalonego szczęścia! Proszę bardzo, miała rację! Czarna kotka z białymi łapkami! Identyczna, jak w manuskrypcie Kathariny Winterscheid! Przeczytała kilka akapitów, potem jeszcze raz i jeszcze raz. Nie, nie myliła się. Szczęście ustąpiło

miejsca głębokiej satysfakcji. Julia sięgnęła po komórkę i wysłała wiadomość do szefa. Nie przejmowała się tym, że jest czwarta nad ranem. Musiała z nim porozmawiać, tak szybko, jak to tylko możliwe. Bo to, co odkryła, mogło wywrócić jego życie do góry nogami. I nie tylko jego.

DZIEŃ SZÓSTY

Wtorek 11 września 2018

Mój Boże, co pan mówi?! To straszne! Aż się wierzyć nie chce! – Notariusz Philipp Eberwein, chudy pięćdziesięciokilkulatek o miękkich rysach twarzy i przerzedzonych włosach, mimo ciemnej opalenizny zdobytej pod żaglami poblądł na wieść o brutalnej śmierci swojej klientki.

– Niestety, to prawda – odparł Bodenstein.

Miał wrażenie, że doświadcza właśnie déjà vu. Przed dziesięcioma laty, dokładnie w tym samym pomieszczeniu, zasiadł naprzeciwko lekarki Daniela Lauterbach, by poinformować ją, że ktoś zrzucił jej przyjaciółkę Ritę Cramer z kładki dla pieszych. Kancelaria Eberwein Straumann Hübner dziewięć lat wcześniej przejęła biura przy deptaku w Königstein i otworzyła w nich praktykę, niewiele w wystroju zmieniając. Przestronne, jasne pomieszczenia z wysokimi sufitami i błyszczącym parkietem, który skrzypiał przy każdym kroku, wyglądały identycznie i tylko ponure obrazy na ścianach ustąpiły miejsca oprawionym plakatom, a na regałach i biurku, przy którym urzędował notariusz, zamiast książek medycznych doktor Lauterbach leżały pisma prawnicze i kodeksy. Za to z okna w gabinecie roztaczał się identyczny widok na park i ruiny zamku.

– Heike zadzwoniła do mnie dziesięć dni temu, ale nie mogliśmy się spotkać, bo wpływaliśmy właśnie do portu Bari we Włoszech. – Eberwein na wspomnienie ostatniego kontaktu z klientką pokręcił smutno głową. – Poprosiła o jak najwcześniejszy termin, bo chciała zmienić testament. Musicie państwo wiedzieć, że znamy się z Heike od lat. Chodziliśmy razem do szkoły.

– O, doprawdy? – Pia spojrzała na prawnika ze świeżym zainteresowaniem. – Do której szkoły?

– Do gimnazjum imienia Friedricha Schillera w Kelkheim.

– Czyli znał pan również Alexandra Rotha?

– Oczywiście, że się znamy! Ale dlaczego pyta mnie pani o tę znajomość w czasie przeszłym?

– Z tego powodu, że pan Roth również nie żyje. Zmarł w zeszłą sobotę – wyjaśniła Pia.

– Straszne, naprawdę okropne! – Eberwein zacisnął zęby z taką siłą, że widać było, jak pracują mięśnie jego szczęk. Złe nowiny wyraźnie go przybiły.

– Czy był pan blisko z panią Wersch i panem Rothem? – dopytywała się Pia.

– Dla Alexa przed kilkoma laty sporządziłem akt notarialny zakupu domu – odparł notariusz. – Z Heike, to znaczy z panią Wersch, przyjaźniliśmy się nieco bliżej. Poprosiła mnie, żebym został pełnomocnikiem jej ojca, gdyby coś jej się stało przed jego śmiercią.

– No i niestety doszło do takiej właśnie sytuacji.

– Tak, wielka szkoda. – Notariusz uspokoił się nieco. – Ale zapewniam, że nie traktuję tego jako obciążenia, bo zawsze bardzo lubiłem ojca Heike, więc z radością biorę na siebie ten obowiązek.

Pia, która wcześniej zapoznała się z treścią testamentu, musiała mu uwierzyć na słowo, bo zdawała sobie sprawę, że Eberwein będzie za swoje usługi królewsko opłacany z majątku pozostawionego przez panią Wersch. Dużo pieniędzy za niewiele wysiłku, bo przecież pan Wersch był chory na demencję i miał przebywać w domu opieki; prawnik nie będzie musiał odwiedzać go w święta czy choćby telefonować z życzeniami w urodziny.

– Dlaczego pani Wersch wskazała akurat pana Bära jako swojego jedyne go spadkobiercę? – zapytał Bodenstein.

– We wcześniejszej wersji ostatniej woli, spisanej odręcznie, Heike cały majątek chciała pozostawić fundacji Götza Winterscheida, jednak zmieniła zdanie – tłumaczył notariusz. – Zapytała mnie, co ja bym jej doradził. Heike nie miała żadnych zstępnych, nie miała partnera, ba, nie była nawet niczyją chrzestną. Odnosiłem wrażenie, że nie ma w swoim otoczeniu osoby, której by szczerze ufała. Pana Bära znała od wielu lat. Często pomagał jej załatwiać jakieś osobiste sprawy, którymi zazwyczaj zajmują się małżonkowie: drobne naprawy w domu, prace ogrodowe, wieszanie lamp czy podobne kwestie. Heike zawsze mu płaciła, bo nie chciała przysług, ale mimo to ogromnie go szanowała. Dlatego postanowiła zapisać cały spadek jemu.

Bodenstein ziewnął dyskretnie. Do łóżka położył się dopiero o czwartej nad ranem, więc w ogóle się nie wyspał. Quentin wezwał policję, która przewiozła trójkę chuliganów do posterunku w Kelkheim, gdzie dopełniono formalności związanych z zatrzymaniem i umieszczono ich w osobnych celach. Dopiero wtedy powiadomiono ich rodziców. Chłopcy, którzy wzięli udział w próbie podpalenia, byli policji dobrze znani. Mimo niepełnoletniości posiadali imponujący rejestr naruszeń prawa, na który składały się kradzieże sklepowe, jazda na gapę, uszkodzenia ciała i naruszenia przepisów dotyczących obrotu i posiadania substancji psychoaktywnych i odurzających. Ich rodzice najwyraźniej uznali, że noc spędzona w celi dobrze im zrobi, bo żadne z nich nie pofatygowało się na posterunek. Za to Karoline nie wahała się ani chwili i zażądała, by natychmiast wypuścili jej córkę do domu. Słyszając odmowę – Greta była już pełnoletnia i nie miała ograniczonych praw – uznała, że musi do niego zadzwonić. Nie zważając na porę – było przed trzecią w nocy – błagała go, żeby uruchomił swoje znajomości. Odmówił jej, bo wiedział, że policja i tak za kilka godzin wypuści Gretę z celi. Te godziny samotności w takim miejscu wielu potrafią skłonić do refleksji. Tym razem przyjdzie jej zmierzyć się z konsekwencjami swojego postępowania, bo podpalenie to czyn ścigany z urzędu.

– Dlaczego akurat jemu, a nie któremuś ze swoich przyjaciół? – dopytywała się Pia, więc Bodenstein włączył się z powrotem do rozmowy. – Miała przecież najlepszą przyjaciółkę, Marię Hauschild, więc dlaczego nie wybrała jej? Albo Alexandra Rotha? Od lat trzymali się razem.

– Jej zdaniem tych dwoje nie potrzebowało więcej pieniędzy, bo oboje są dobrze sytuowani – wyjaśnił Eberwein. – Maria jest bardzo majątną osobą, a Alexander z żoną też nie mają na co narzekać, przynajmniej jeśli chodzi o kwestie finansowe. Mam wrażenie, że zależało jej, żeby pan Bär był zabezpieczony na starość.

– Cóż za szlachetny gest – zauważyła Pia. Sporo wysiłku kosztowało ją powiedzenie tego w taki sposób, by nie było słyhać sarkazmu. – Ale potem zastanowiła się i zapragnęła zmienić testament. Dlaczego?

Eberwein zawahał się na chwilę.

Wyglądało na to, że rozważa, czy udzielając odpowiedzi na to pytanie, nie naruszy przypadkiem tajemnicy notarialnej. W końcu uznał, że rozmowy, które toczył z panią Wersch, miały charakter prywatny.

– Heike uważała, że pan Bär zdradził kierownictwu firmy jej plany założenia własnego wydawnictwa i przejęcia części autorów – powiedział. – Pomagałem jej przejść przez proces rozkręcania nowej firmy, choć bardzo stanowczo odradzałem jej podejmowanie takich kroków, dopóki z wydawnictwem wiąże ją stosunek pracy. Niestety, była głucha na moje argumenty. Jak zazwyczaj zresztą. Była oburzona postawą Bära, twierdziła, że to zdrajca i gnojek. A to były łagodniejsze z określeń, jakich używała.

Bodenstein i Pia podziękowali notariuszowi za pomoc i się pożegnali.

– Dlaczego Carl Winterscheid nie chciał nam powiedzieć, od kogo miał informację na temat planów Heike? Pytałam go o to, kiedy byłam u niego z Cemem – zastanawiała się Pia, gdy wracali deptakiem do samochodu. – Co mogło nim wtedy kierować?

– Zapytajmy go o to. Jedziemy teraz do Frankfurtu, więc złożmy mu wizytę – odparł Bodenstein. – A potem porozmawiamy z Marią Hauschild.

Nakazy przeszukania pomieszczeń wydawnictwa oraz prywatnego mieszkania Waldemara Bära zostały wystawione, więc Kröger czekał już tylko na sygnał do rozpoczęcia działań. Kai poprosił frankfurcką policję o zatrzymanie małżeństwa Winterscheidów oraz Hellmutha Englischa, kiedy tylko pojawią się w willi wydawnictwa, i przewiezienie ich do Hofheim, gdzie mieli zostać przesłuchani. W laboratorium udało się zabezpieczyć ślady DNA Alexandra Rotha na poplamionej koszulce z krótkim rękawem zabranej z domu Heike Wersch, co wzmacniało podejrzenie, że ta sztuka garderoby mogła należeć do niego, a nie do Götza Winterscheida. Wiadomo było jednak, że krew nie była jego. Gdyby kolejne badania wykazały, że pochodziła od Götza, pojawiłoby się uzasadnione prawdopodobieństwo, że Heike zatrzymała koszulkę jako środek nacisku na Alexandra Rotha. Odwieczni w żadnym razie nie byli przyjaciółmi. W tej grupie każdy okłamywał każdego. I każdy miał tajemnice, którymi nie dzielił się z pozostałymi. Teraz ta skrytość zaczęła się na nich mścić. Małżeństwo Finków nie spędziło raczej ostatniej nocy w dobrej komitywie, podobnie jak małżeństwo Winterscheidów, które dostało wczoraj kilka kwestii do przemyślenia.

Bodenstein wsiadł za kierownicę, wyjechał z zatłoczonego parkingu i ruszył przez niewiele mniej zatłoczone miasteczko Königstein, którego infrastruktura drogowa nie była przygotowana na takie natężenie ruchu. Liczył na to, że możliwie szybko uda im się rozwiązać tę sprawę, co było nierozsądne, bo

w pośpiechu ludzie popełniają głupie błędy. Czekał tylko na zielone światło od lekarzy, żeby gdy się pojawi, rzucić wszystko i udać się prosto do szpitala. W jego pokoju hotelowym czekała spakowana walizeczka. Początkowo postrzegał operację jedynie jako środek ratujący życie Cosimy, lecz im bliższy był termin jej przeprowadzenia, tym większa ogarniała go niepewność na myśl o narkozie i chirurgicznej ingerencji w jego ciało. Kiedy miał siedemnaście lat, w czasie jazdy konnej miał poważny wypadek, po którym kilka tygodni spędził w szpitalu i przeszedł kilka operacji; wówczas nie miał innego wyjścia, ale dziś był przecież zupełnie zdrowy i z własnej woli pakował się w sytuację, która mogła mu poważnie zaszkodzić. W końcu istniała możliwość, że nie wybudzi się z narkozy albo wykrwawi w czasie zabiegu. Czy podjął właściwą decyzję? Co będzie, jeśli przeszczep nie pomoże i Cosima mimo to umrze? Jego niepewność podsyciała świadomość, że o całej sprawie wiedziało już stanowczo zbyt wiele osób. Byłoby mu zdecydowanie łatwiej, gdyby wszystko zostało załatwione dyskretniej. Jego rodzina widziała w nim teraz empatycznego bohatera ratującego czyjeś życie, za to współpracownicy naiwnego frajera, którym zawsze był, gdy chodziło o Cosimę. Kto miał rację? Co by o nim pomyśleli, gdyby teraz nagle się wycofał? Cholera, co to w ogóle ma być? Dlaczego go obchodzi, co myślą inni? W czasie kwalifikującej do zabiegu rozmowy z psycholożką w szpitalu twierdził, że decyzję o oddaniu części wątroby podjął z własnej woli – tylko ile było w tym prawdy? Z drugiej strony, nikt tego po nim – zdradzonym byłym mężu – nie oczekiwał, a już najmniej Cosima. Czy ona zrobiłaby dla niego to samo?

Rozdzwoniła się komórka Pii. Policjantka odebrała, przez chwilę słuchała w milczeniu, po czym podziękowała i się rozłączyła.

– To Kai. W laboratorium przebadali butelkę dostarczoną przez Tarika i w niej oraz w jednej z butelek ze śmietnika w wydawnictwie stwierdzono pozostałości metanolu – oznajmiła, kiedy jadąc do miasta, mijali fotoradar. – I w dodatku w tak wysokim stężeniu, że kilka łyków mogło doprowadzić do śmierci.

– To dowód na to, że Roth został otruty – powiedział Bodenstein.

– Zdecydowanie tak – zgodziła się z nim Pia i pokiwała głową. – Mamy dwie butelki po wódce z pozostałościami metanolu. Roth musiał w czwartek przyjąć śmiertelną dawkę. Ktoś podsunął mu zatrutą wódkę, i to dwie butelki, by mieć pewność, że wypije.

– Musimy ustalić, skąd obie butelki pochodzą – powiedział Bodenstein i przyspieszył. – Tarik i Cem się tym zajmą. A Kathrin zbierze wszystkie dostępne informacje na temat pozostałych Odwiecznych. I przede wszystkim na temat Kathariny Winterscheid. Motywu tych zbrodni trzeba szukać w przeszłości. A my coś przeoczyliśmy. Coś bardzo ważnego.

*

– Błagam panią, naprawdę nie mam na to czasu – bronił się Carl Winterscheid, kiedy Julia zastąpiła mu drogę. – Nie wiem, w co ręce włożyć. Nie moglibyśmy tego omówić później?

– Wiem, że ma pan masę rzeczy na głowie, ale to naprawdę ważne! – upierała się Julia. Od nocnego odkrycia wysłała szefowi kilka wiadomości z prośbą o kontakt, na które on nie zareagował. Dlatego postanowiła przejść do ofensywy. Wjechała prosto na piąte piętro, by z nim porozmawiać, lecz asystentka Carla, Alea, zdradziła jej, że szef miał pojawić się w firmie dopiero o dziesiątej rano. Dlatego Julia zajęła pozycję na narożniku ulicy, skąd widziała hotel, w którym mieszkał Carl. I rzeczywiście, wystarczyło piętnaście minut czekania, by punktualnie za pięć dziesiąta mężczyzna pojawił się na ulicy. Tutaj nie mógł się jej wymknąć, nie zachowując się niegrzecznie.

– No dobrze. Słucham. – Carl westchnął zrezygnowany. – Ale proszę pamiętać, że mam bardzo mało czasu.

Julia poczuła się, jakby dostała za zadanie w trzy minuty sprzedać książkę. Dlatego zdecydowała się przejść od razu do konkretów i wszystko, co w normalnych warunkach opowiedziałaby mu ze szczegółami, streściła w dwóch krótkich zdaniach.

– Pańska matka nie odebrała sobie życia. Została wypchnięta z balkonu – powiedziała bez owijania w bawełnę. To było chyba najkrótsze streszczenie wszech czasów, ale też jedno z lepszych, jakie mogły przyjść jej do głowy, bo Carl Winterscheid zatrzymał się gwałtownie i zmierzył ją spojrzeniem pełnym niedowierzania i irytacji.

– Że co... proszę?! – wydusił z siebie.

– Poza tym najprawdopodobniej napisała znacznie więcej niż tylko ten manuskrypt, który dostał pan pocztą – dodała Julia pospiesznie. – Moją uwagę

zwróciła ta dedykacja. *Jak zawsze, na zawsze – dla Carla, mojego największego skarbu.* Jak zawsze! Takich słów nie użyłby ktoś, kto wcześniej nie napisałby więcej razy takiej samej dedykacji. To znaczy, kiedy ktoś pisze coś po raz pierwszy, nie mówi, że...

– Tak, tak, rozumiem, o co pani chodzi – przerwał jej Carl. – Skąd przyszło pani do głowy, że moja matka została wypchnięta z balkonu?

Julia nabrała głęboko powietrza.

– Manuskrypt autorstwa pańskiej matki opowiada prawdziwą historię, w której zmienione zostały tylko imiona bohaterów. I urywa się zupełnie nagle. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, żeby po prostu wstała od maszyny do pisania, wyszła na balkon i wyskoczyła przez barierkę. Dlatego zaczęłam szukać informacji i zadzwoniłam w końcu do profesora Kirchhoffa, który jest jednym z moich autorów. Poprosiłam go o pomoc. W archiwum Instytutu znaleźliśmy raport z sekcji zwłok pańskiej matki. Kirchhoff oglądał zdjęcia i zwrócił uwagę na otarcia na lewym biodrze i odciski paznokci na ramieniu pańskiej matki.

Carl Winterscheid słuchał jej uważnie, wydymając dolną wargę.

– Proszę mówić dalej – mruknął z kamienną twarzą.

– Profesor Kirchhoff uważa, że jego poprzednicy musieli przeoczyć te ślady albo źle je sklasyfikowali, bo zwłó... ciało pańskiej matki było oczywiście mocno uszkodzone po upadku z piątego piętra. Ale co ważne, w jej krwi nie znaleziono śladów zażywanych lekarstw, tylko bardzo niską zawartość alkoholu, odpowiadającą wypiciu jednego kieliszka wina. Mogliśmy przeanalizować jedynie raport z sekcji zwłok w Instytucie Medycyny Sądowej, ale profesor Kirchhoff twierdzi, że prokuratura dysponuje jeszcze dokumentacją tej sprawy, bo w podobnych przypadkach przechowuje się je przez trzydzieści lat. Członkowie rodziny mogą wystąpić o wgląd do nich i moim zdaniem powinien pan to zrobić! Istnieje możliwość ponownego otworzenia dochodzenia, gdyby profesorowi Kirchhoffowi udało się udowodnić, że jego poprzednicy popełnili błąd. No i powinniśmy również... znaczy, oczywiście, pan powinien powiadomić o wszystkim policję. Poza tym ja...

– Obiecuję, że przemyślę wszystko, co mi pani właśnie powiedziała – przerwał jej Carl Winterscheid, zbliżając się do budynku wydawnictwa. – Ale w tej chwili

mam masę innych kłopotów na głowie. Po dwudziestu ośmiu latach jeden dzień w tę czy w tę nie zrobi różnicy.

Byli już prawie na miejscu, a Julia domyślała się, ile problemów jej szef miał teraz do rozwiązania. Przed głównym wejściem stały dwa radiowozy, srebrny opel i trzy ciemnoniebieskie furgonetki marki Volkswagen, z których kilka osób ubranych w białe kombinezony jednorazowe z napisem „Policja” na plecach wyciwnoło skrzynki i walizeczki.

Alea Schalk, asystentka szefa stała, załamując ręce, i rozglądała się przestraszona. Na widok Carla Winterscheida jej twarz pojaśniała z ulgi i kobieta ruszyła szybko w jego stronę. Spojrzała dziwnie na Julię, po czym zaczęła zdawać relację z tego, co się dzieje. Do redaktorki docierały tylko pojedyncze słowa, takie jak „nakaz przeszukania” czy „technicy kryminalistyczni”. Zatrzymała się i popatrzyła na koleżankę i szefa.

– Otóż jeden dzień w tę czy w tę może robić dużą różnicę – mruknęła pod nosem i ruszyła za nimi, ale zanim ich dogoniła, usłyszała znajomy głos.

– Pani Julio!

Odwróciła się.

– O, dzień dobry! – Zaskoczona przywitała się z agentką Henninga Kirchhoffa, panią Hauschild. – Przyszła pani do mnie? Umawialiśmy się na spotkanie?

– Nie, przyjechałam na prośbę policji, która prowadzi śledztwo w sprawie Heike – wyjaśniła kobieta. – To ci, z którymi Carl właśnie rozmawia. O, tam, przy drzwiach.

Julia odwróciła się i zobaczyła szefa z wysokim, ciemnowłosym mężczyzną i kobietą z krótkim blond kucykiem.

– O rany! – zachwyciła się. – Tristan von Buchwaldt i Ina Grevenkamp!

– W rzeczywistości nazywają się Oliver von Bodenstein i Pia Sander. – Maria Hauschild uśmiechnęła się szeroko. – Henning niewiele odbiegał od rzeczywistości, kiedy tworzył swoich bohaterów.

– Rzeczywiście! – Julia miała wrażenie, że niespodziewanie znalazła się w centrum fabuły jednego z jego kryminałów. Z zainteresowaniem przyglądała się Pii, jego byłej żonie, której zadedykował najnowszą powieść. Była stosunkowo wysoka i szczupła, miała na sobie wąskie, sprane dzinsy i białe buty sportowe, a do tego szary T-shirt z dekoltem w serek. Blond włosy związała w kucyk, a na biodrze

nosiła wyglądającą militarnie kaburę z bronią służbową. Z jej postawy emanowały spokój i pewność siebie; wyglądała dokładnie tak, jak Julia wyobrażała ją sobie na podstawie opisów z książek. Kirchhoff również świetnie odwzorował wygląd jej pochodzącego ze szlacheckiego rodu szefa, który stał obok Pii i słuchał akurat Carla Winterscheida: mężczyzna był wysoki, miał ciemne włosy i przystojną, charakterystyczną twarz. Z trzydniowym zarostem, w ciemnych okularach, ubrany był w dżinsy, skórzane półbuty, koszulę i marynarkę.

Julia nie miała pojęcia, co się stało, że policja przybyła do wydawnictwa w takim składzie, włącznie z kawalkadą samochodów działu techniki kryminalistycznej. Specjaliści zabezpieczający ślady poruszali się niebieskimi furgonetkami Volkswagena, dokładnie tak, jak to opisywał Kirchhoff w *Nielubianej* i *Przyjaciółach po grób*. Jednym z pracowników w białych kombinezonach musiał być Kris Krüger, a raczej jego pierwowzór, bo Julia nie знаła jego prawdziwego nazwiska.

Na chodniku gromadzili się zaciekawieni przechodnie.

– Co oni tu robią? Po co przyjechali do wydawnictwa? – zapytała Julia, spoglądając na agentkę.

– Nie mam pojęcia – wyznała Maria Hauschild. – Wiem tylko, że chcieli ze mną porozmawiać. Nie mówili o czym, ale domyślam się, że chodzi o Heike i Alexa. Pani Sander zaproponowała, żebym przyjechała tutaj się z nimi spotkać.

Julia zaczęła gorączkowo myśleć, czy to aby nie jest dobra okazja, by zapytać Marię Hauschild o manuskrypt Kathariny Winterscheid. Tylko czy miała prawo poruszać ten temat, nie pytając wcześniej Carla Winterscheida o zgodę? Mimo że w sobotę powiedział jej, że jest jedyną osobą, której ufa, miała wrażenie, że popadła w niełaskę, choć nie miała pojęcia, dlaczego tak się stało. Rozumiała oczywiście, że wiele spraw zważyło mu się na głowę, jednak po co w ogóle dawał jej manuskrypt, skoro nie chciał nic o nim wiedzieć? Od Alei wiedziała, że dyrekcja i zarząd stali przed trudną decyzją, czy z powodu śmierci Alexandra Rotha zrezygnować w ostatniej chwili z udziału w Targach Książki, czy pozostać w gronie wystawców. Na dodatek cały czas niewyjaśniona pozostawała sprawa Severina Veltena, a przynajmniej nikt chyba nie wiedział, gdzie przebywa słynny pisarz. Julia pamiętała, że Henning Kirchhoff poradził jej wczoraj, by skontaktowała się z policją i powiedziała jej o swoich podejrzeniach, że śmierć Kathariny Winterscheid nie nastąpiła w wyniku samobójstwa. A kto, jak nie właśnie Maria Hauschild, najbliższa przyjaciółka Kathariny, mogłaby jej

powiedzieć, czy matka Carla Winterscheida zostawiła po sobie cokolwiek więcej niż ten niedokończony manuskrypt?

– Straszna ta sprawa z Alexandrem Rothem. – Julia nie chciała zaskoczyć jej, zadając takie pytanie prosto z mostu, więc rozpoczęła od kurtuazyjnej rozmowy.

– Tak, okropna – potwierdziła Maria Hauschild. – Znałam się z nim przez całe życie w zasadzie, tak samo jak z Heike.

– Podejrzewam, że jestem ostatnią osobą, która widziała go żywego – wyznała Julia. – W piątek późnym wieczorem spotkał się z kimś tutaj, w wydawnictwie. Kilka godzin później miał wypadek.

– Powiedziała pani o tym policji? – zapytała agentka. – Taka informacja może być bardzo ważna.

– Nie, nikomu wcześniej o tym nie wspomniałam – odparła Julia. – Nie mam pojęcia, może miał kochankę, z którą chciał się dyskretnie spotkać? Jego żona pewnie ciężko by to przeżyła, gdyby teraz się o tym dowiedziała, prawda?

– Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Alex miał jakiś sekretny romans. To nie był ten typ człowieka. – Kobieta pokręciła głową. – O, widzę, że już skończyli rozmawiać z Carlem. Może podejdzie pani ze mną, dobrze? Pozna pani pierwowzory postaci Henninga, no i będzie pani mogła podzielić się z nimi swoją wiedzą.

Chwilę później Julia stała naprzeciwko Pii Sander, a Maria wzięła na siebie przedstawienie jej.

– A więc to pani w ostatniej chwili zmieniła tę idiotyczną dedykację! – Zdecydowany uścisk dłoni, badawcze spojrzenie niebieskich oczu, uśmiech.

– Tak, to ja – potwierdziła Julia. Niespodziewanie poczuła, że ogarnia ją dziwna ekscytacja. – Cieszę się, że w końcu mogę panią poznać. Pani były mąż wiele mi o pani opowiadał.

– Mam nadzieję, że same dobre rzeczy. – Pia Sander uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Pani Bremora w piątek wieczorem zwróciła uwagę na pewien fakt, który może być interesujący – wtrąciła się Maria Hauschild. – I chciałaby o tym powiedzieć.

– Co takiego się wydarzyło? – Wyraz niewymuszonej serdeczności zniknął z twarzy Pii. Kobieta przyglądała się jej teraz uważnie i bez cienia uśmiechu. – Wie pani co, może wejdźmy do środka. Pan Winterscheid był tak uprzejmy, że oddał nam do dyspozycji jedno z pomieszczeń, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

*

Carl Winterscheid nie miał konkretnego powodu, dla którego nie chciał wyjawić tożsamości swojego informatora Pii i Cemowi w czasie piątkowej rozmowy. Twierdził, że wiadomość o planach Heike, by założyć nowe wydawnictwo, dotarła do niego z kilku źródeł, a pan Bär był po prostu tylko jednym z nich. Jego wyjaśnienia brzmiały przekonująco, jednak Pia nie pozbyła się wątpliwości, kiedy w towarzystwie agentki Henninga i Julii Bremory, jego redaktorki, wchodziła do budynku wydawnictwa. Carl osobiście wskazał Krögerowi warsztat i biuro Waldemara Bära, który jakby zapadł się pod ziemię. Winterscheid widział go po raz ostatni poprzedniego ranka, a telefon Bära milczał wyłączony. Bodenstein podszedł porozmawiać z recepcjonistką. Za ladą stała inna pracownica niż w czasie piątkowej wizyty Pii. Steffi Lotz, jak wynikało z plakietki z jej imieniem i nazwiskiem, sprawiała wrażenie bardziej kompetentnej od młodszej koleżanki, którą policjantka spotkała przed weekendem. Pia poprosiła Marie Hauschild i Julię Bremorę o chwilę cierpliwości i podeszła do szefa. Akurat kiedy chciała zapytać Steffi Lotz o Waldemara Bära, w holu pojawiła się Dorothea Winterscheid-Fink z telefonem w jednej ręce i jakimiś dokumentami w drugiej. Kiedy ich zauważyła, ruszyła w ich stronę. Wyglądała na niewyspaną.

– Dzień dobry. Mogę jakoś pomóc? – zapytała bez cienia uśmiechu.

– Chcielibyśmy zamienić kilka słów z gospodarzem budynku, panem Bärem – wyjaśniła Pia. – Zastaliśmy go może?

– Nie mam pojęcia. – Kobieta spojrzała na recepcjonistkę. – Pan Bär pojawił się dzisiaj w pracy?

– Nie, jeszcze nie przyszedł. – Steffi Lotz pokręciła głową. – Ale wczoraj też go nie było. Myślałam, że wziął urlop.

– Ja o żadnym urlopie nic nie wiem. Zadzwoń do niego. – Dorothea Winterscheid-Fink podniosła telefon, wybrała numer i przez kilka sekund czekała ze słuchawką przy uchu, po czym opuściła dłoń. – Przykro mi, nie pomogę, bo ma wyłączony telefon. Czego od niego chcecie?

– Gdzie moglibyśmy go znaleźć? – Bodenstein zignorował jej pytanie. – Zechciałaby pani podać nam jego numery, komórkowy i stacjonarny, jeśli takiego też używa? Może dysponuje pani jego aktualnym zdjęciem?

– Nie mam pojęcia, gdzie mógłby przebywać. Może jest u siebie w domu. – Dorothea nachyliła się nad ladą, wzięła notes i długopis i zapisała na karteczce dwa numery, zupełnie z pamięci, bez sprawdzania czegokolwiek w telefonie. – Proszę. Aktualnym zdjęciem niestety nie dysponuję. Czy to wszystko?

Ani jednym słowem nie odniosła się do poprzedniego wieczoru, jednak widać było po niej wyraźnie, jak bardzo ją to wszystko dotknęło. Zgasła cała pozytywna energia, którą wcześniej emanowała, zniknęły też dołeczki na jej policzkach. Przez tę jedną noc postarzała się o dobrych dziesięć lat.

– Czy od wczoraj miała pani okazję rozmawiać z rodzicami? – zapytał Bodenstein.

– To nie powinno pana interesować. Sprawy rodzinne pozostaną w rodzinie – odparła Dorothea Winterscheid-Fink ostrym tonem, a w oczach ukrytych za okularami w różowych oprawkach pojawił się groźny błysk. – Zostawcie moich rodziców w spokoju. To starsi ludzie, a mój ojciec jest na dodatek chory. Cokolwiek wcześniej zrobili, na pewno nie mieli złych zamiarów.

– Rozumiemy pani obawy – zapewniła ją Pia, nie wspominając przy tym, że jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, małżeństwo Winterscheidów oraz przyjaciel ich domu Hellmuth Englisch siedzieli właśnie w radiowozach, w drodze do komisariatu. – Musimy jednak rozmawiać z każdą z osób, które, w naszym odczuciu, mogą posiadać ważne informacje.

– I co, uważacie, że to pozwala wam robić, co tylko chcecie? – Dorothea Winterscheid-Fink zrobiła krok w stronę policjantki i oparła dłonie na biodrach. – Naprawdę nie rozumiecie, za co się bierzecie? Ładujecie się ludziom z buciurami w intymne sfery życia i rozwalacie wszystko bez żadnego wyczucia i taktu! Wam jest wszystko jedno, do czego doprowadzacie, chrzaniąc o jakichś swoich podejrzeniach! Nie obchodzi was, jakie pobożowisko zostawiacie po sobie! Zniszczone małżeństwo? Rozbita rodzina? A co się będziecie przejmować takimi drobnostkami! Najważniejsze to odesłać akta do archiwum i poklepać się po plecach! I wiecie co? Życzę wam, żebyście też bez swojej winy znaleźli się w podobnej sytuacji i musieli patrzeć, jak bezmyślni i nastawieni tylko na wynik policjanci bez oglądania się na dobro waszych rodzin depczą wszystkie wasze więzi i przyjaźnie!

– Skończyła pani? – zapytała Pia chłodno.

– Skończyłam. Przynajmniej z panią – prychnęła Dorothea jeszcze ozięblej. – Wracam do pracy, a wy przestańcie mi marnować czas.

– My też mamy pracę do wykonania – odparła Pia. – Naszym zadaniem jest wyjaśnianie morderstw, bo tak się składa, że prawo zabrania zabijać ludzi, którzy nam nie pasują. Najchętniej nikomu nigdzie byśmy się nie ładowali, tym bardziej z buciorami, ale jesteśmy do tego zmuszeni, bo ciągle nas ktoś okłamuje. Kto jak kto, ale akurat pani powinna najlepiej rozumieć, jak wygląda nasz dzień w pracy, bo pani również była od początku okłamywana: przez brata, rodziców, przyjaciół brata i nawet przez własnego męża.

Te słowa trafiły w czuły punkt, tak jak Pia chciała. Takie zachowanie nie sprawiało jej przyjemności, ale czasem trzeba było wyrzucić dodatkową presję na osoby, które znajdowały się w stanie nadmiernego stresu emocjonalnego, bo to pozwalało wyciągnąć z nich informacje, których w normalnych warunkach by nie udzieliły.

– Mąż raczej w ogóle nie miał do pani zaufania, bo inaczej wspomniałby o tym, że Heike planuje założenie nowego wydawnictwa. Poprosiła go, żeby zachował to dla siebie, bo bała się, że pójdzie pani z tym do szefa. A on bez gadania to zrobił.

Wzrok Dorothei Winterscheid-Fink się zaszklili.

– Podejrzewam, że nie ma pani również pojęcia o kopii fragmentu dziennika, który dostał w anonimowej przesyłce, prawda? – Pia przyglądała się kierownicze działu handlowego i czekała na jakąkolwiek zmianę w wyrazie jej twarzy, jednak Dorothea nie odwróciła wzroku, nie pobrała i się nie zaczerwieniła.

– Nie. Nic o tym nie wiedziałam – wycedziła przez zęby. – Ale nie skłamałam, kiedy powiedziałam, że to nie ja zabiłam Heike. Chociaż uważam, że dostała dokładnie to, na co zasłużyła. Cieszę się, nie, przepraszam, jestem cholernie szczęśliwa, że nie żyje! Alexander zresztą też! Nie uronię po nich ani jednej łzy. I możecie sobie myśleć o mnie, co chcecie!

Odwróciła się i dopiero wtedy zauważyła Marię Hauschild.

– Cześć, Doro – przywitała ją agentka.

– Nie waż się nigdy więcej do mnie odzywać, ty załgana, podła suko! – wysyczała Dorothea Winterscheid-Fink zaskoczony kobiecie w twarz. – Jeśli się dowiem, że rozmawiałaś albo próbowałaś rozmawiać z moimi rodzicami, albo, nie daj Boże, przestąpiłaś próg ich domu, to nie ręczę za siebie. Pożałujesz, że się urodziłaś!

Przysięgam na imię mojego zmarłego brata, którego masz na sumieniu, pożałujesz ty i ci twoi kłamliwi przyjaciele.

Po tych słowach odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę schodów. Maria Hauschild i Julia Bremora odprowadzały ją wzrokiem, nie wiedząc, co się właśnie wydarzyło. Recepcjonistka chrząknęła głośno.

– Może zaprowadziłabym państwa do pokoju, który wskazał pan Winterscheid?
– zaproponowała niepewnym głosem.

– Chętnie, dziękuję. – Bodenstein się uśmiechnął.

Pani Lotz wprowadziła ich do sali konferencyjnej na parterze. Pia poprosiła Marię Hauschild o jeszcze odrobinę cierpliwości, by przed rozpoczęciem rozmowy zamienić kilka słów z redaktorką Henninga, o której jej były mąż wyrażał się w samych superlatywach. Zapisała sobie jej numer telefonu i poprosiła, by powiedziała, co takiego zwróciło jej uwagę. W poprzedni piątek, około wpół do dziesiątej wieczorem, Julia Bremora chciała wyjść z wydawnictwa tylnymi drzwiami, bo główne wejście było o tej porze zamknięte. Po drodze usłyszała jadącą windę i czyjeś kroki. Z niejasnego dla siebie powodu schowała się w punkcie pocztowym w korytarzu. Nic więc nie widziała, jednak słyszała, jak Alexander Roth dziękował komuś za przybycie, by następnie zabrać tę osobę do siebie, do biura. Pani Bremora nie miała pojęcia, czy gościem był mężczyzna czy kobieta. Informacja sama w sobie rzeczywiście była interesująca, jednak niewiele wносиła do sprawy. Mimo to Pia podziękowała młodej kobiecie i przekazała jej swoją wizytówkę, po czym pożegnała się i wróciła do Marii Hauschild.

– Dziękuję, że przyjechała pani na spotkanie z nami – powiedziała Pia i poprosiła agentkę, by usiadła przy stole konferencyjnym. – Czy będzie miała pani coś przeciwko nagrywaniu naszej rozmowy?

– Ależ skąd. – Maria Hauschild nie otrzęsnęła się jeszcze z szoku, jaki wywołała w niej pełna nienawiści tyrada Dorothei Winterscheid-Fink. Była bardzo blada i drżały jej dłonie, kiedy wyjmowała z torebki butelkę z wodą i ją odkręcała.

– Wszystko już wie, prawda? – zapytała, kiedy Pia położyła na stole swój telefon.

– Co ma pani na myśli?

– No, o Götzu. Te wszystkie kłamstwa, które to pierwsze pociągnęło za sobą. – Maria Hauschild westchnęła cicho i zacisnęła powieki. – Przez trzydzieści pięć lat bałam się tego dnia, bo wiedziałam, że w końcu nadejdzie.

– Dlaczego wcześniej nie próbowała pani tego wszystkiego wyjaśnić? – zapytał Bodenstein. – Nie wyobrażam sobie, jak musiało wyglądać życie z takim mieczem Damoklesa nad głową. Szczególnie w sytuacji, kiedy cały czas obracała się pani wśród ludzi, których pani okłamywała.

Maria Hauschild otworzyła oczy i spojrzała na niego.

– Tak, ma pan świętą rację – potaknęła. – Takie życie to istne piekło. Człowiek powtarza sobie bezustannie, że teraz, dzisiaj wszystko powie. Że zaraz wyłoży karty na stół i nie będzie dłużej kłamał. A chwilę później się okazuje, że jednak nie starczy mu odwagi albo że okoliczności nie sprzyjają. I tak mija najpierw tydzień, potem miesiąc i rok... I nagle robi się z tego trzydzieści pięć lat. Kłamstwo jest jak nowotwór. Rośnie, daje przerzuty, które też rosną i w pewnej chwili wszystko jest przesiąknięte tym rakiem. I wtedy już jest za późno, żeby go usunąć.

– Dlaczego od razu, na samym początku, nie powiedziała pani rodzicom Götza Winterscheida, jak wyglądała prawda? – zapytała Pia. – Przecież nie miała pani nic wspólnego z jego śmiercią.

– Niestety, w moim przekonaniu miałam. – Maria Hauschild pokręciła głową. – Odgrywałam jego dziewczynę, a potem nawet narzeczoną. Tylko po to, żeby nikt się nie zorientował, że był gejem. Na początku, w szkole jeszcze, byliśmy prawdziwą parą, ze wszystkim, co robią pary. W czasie wyjazdu maturalnego do Paryża Götz wyznał mi, że podoba mu się jeden chłopak z klasy fizycznej. Z początku miałam wrażenie, jakby ktoś walnął mnie w głowę; dla kobiety to naprawdę okropne uczucie, kiedy jej chłopak wyznaje, że jest homoseksualistą. Szukałam wtedy winy w sobie, co przecież jest bzdurą. Potem byliśmy jak rodzeństwo. Był u mojego boku w najgorszym okresie mojego życia. I zawsze był gotów mnie wysłuchać. Był moim najlepszym przyjacielem i moim powiernikiem.

– Ten najgorszy okres pani życia... ma pani na myśli śmierć ojca? – przerwała jej Pia.

– Tak, o tym właśnie mówię. – Maria Hauschild potaknęła. – Miałam wtedy szesnaście lat i byłam sama, bo mama wyjechała z rodzeństwem. Tata wrócił późno z pracy i zamknął się w saunie, co zimą robił kilka razy w tygodniu. Rano zaczęłam go szukać, bo w całym domu paliło się światło, a w garażu stał jego samochód. Znalazłam go w saunie, martwego. Tego widoku nigdy nie zapomnę. Miał dopiero czterdzieści dziewięć lat. Nikt nie potrafił powiedzieć, co mu się

stało. Sekcja zwłok też nie dała jednoznacznej odpowiedzi. To musiał być jakiś problem z sercem.

– Później straciła pani również męża.

– W październiku 2005 roku, tak – potwierdziła agentka. – Erik był diabetykiem. Trwały akurat targi książki. Wiele spotkań, dużo stresu i sporo alkoholu. Wrócił po coś do agencji, potem mieliśmy spotkać się na przyjęciu jednego z wydawnictw w galerii Schirn, ale już się tam nie pojawił. Nie miałam żadnych złych przeczuc, bo to były przecież targi, z wieloma imprezami towarzyszącymi, więc mógł się gdzieś zasiedzieć. Następnego ranka znalazła go jedna z naszych pracowniczek. Leżał przed lodówką, w której trzymał insulinę. Miał dopiero pięćdziesiąt trzy lata.

W jej głosie słyhać było smutek.

– Dlaczego Götz Winterscheid tak bardzo krył się ze swoją orientacją? – zapytał Bodenstein. – Jego rodzice na co dzień mieli do czynienia z pisarzami i artystami, z których część nigdy nie robiła tajemnicy ze swojego homoseksualizmu, więc akurat oni powinni być wyrozumiali i tolerancyjni.

– Niestety, było zupełnie inaczej, bo tylko udawali tolerancyjnych – wyjaśniła agentka Henninga. – W gruncie rzeczy to był straszny ciemnogród. Götz miał przejąć po nich wydawnictwo i basta. Margarethe od samego początku traktowała mnie jako matkę swoich przyszłych wnuków, co było dla mnie bardzo dziwne. No, ale dzięki temu z łatwością przychodziło mi grać swoją rolę. Z naszej paczki też nikt nie miał podejrzeń. A potem Götz zakochał się w Stefanie i wszystko się zmieniło. Byłam jego alibi. Kryłam ich najlepiej, jak potrafiłam.

– Mimo to Katharina Winterscheid z miejsca was przejrzała.

– To prawda. – Maria Hauschild uśmiechnęła się do swoich wspomnień. – Katharina wprowadziła się do naszego mieszkania zimą 1982 roku i dołączyła w ten sposób do mnie, Josefin i Heike. Nasza poprzednia współlokatorka wyprowadziła się w wakacje. W tym czasie chcieliśmy z Götzem ostatecznie zakończyć nasz oficjalny związek, bo zaczął mieć wyrzuty sumienia: uważał, że mnie wykorzystuje. Katharina w jednej chwili zorientowała się w sytuacji, wystarczyło, że chwilę pobyła w naszym towarzystwie, to znaczy moim, Götza i Stefana. Uważała, że chłopacy powinni znaleźć w sobie odwagę, by być razem, ale obaj za bardzo się bali. Rodzice Stefana byli chyba jeszcze bardziej konserwatywni od Winterscheidów, a poza tym ich drukarnia była w dużej mierze zależna od

zlecen z wydawnictwa. Katharina zakochała się w Johnie Winterscheidzie, a on stracił dla niej głowę. John był trochę od nas starszy i miał sporo więcej doświadczenia życiowego, poradził więc bratankowi, żeby się nie ujawniał. John znał swojego brata i szwagierkę, a przede wszystkim swojego ojca, który jeszcze wtedy żył i o wszystkim decydował. W ten sposób udawaliśmy dalej. Do smutnego końca.

– To znaczy, że nie czuła się pani zazdrosna o Katharinę? – zapytała Pia.

– Zazdrosna? O Katharinę? – Maria Hauschild spojrzała na nią zdziwiona. – Wręcz przeciwnie! Bardzo się do siebie zbliżyliśmy, a po śmierci Götza Katharina została moją jedyną prawdziwą przyjaciółką. Kiedy wyprowadzili się z Johnem z willi, często u nich bywałam, bo pomagałam Katharinie zajmować się Carlem. Dlatego poprosili mnie, żebym została jego matką chrzestną...

– John dość szybko umiera...

– Tak. W maju 1988 roku. Poleciał w jakichś służbowych sprawach do Stanów Zjednoczonych i tam miał zawał. Katharina nigdy się po tym nie podniosła. Nie była już taka jak wcześniej. John był miłością jej życia. Odziedziczyła po nim połowę wydawnictwa, jego ojciec, Carl August, tak bardzo ją polubił, że zapisał jej całe archiwum Liebmana. Katharina wcześniej nie miała nic wspólnego z wydawnictwem, bo Henri i Margarethe bardzo się temu sprzeciwiali, jednak po śmierci Johna uparła się i wywalczyła sobie miejsce w zarządzie.

– I zajęła pani stanowisko w firmie.

– Tak jest. Przy czym to był mój pomysł, żeby przyszła do działu praw – wyjaśniła Maria Hauschild. – Dla mnie ta praca była zbyt monotonna, a na dodatek literatura piękna zupełnie mnie nie pasjonowała. Pociągała mnie za to różnorodność i zmienność, i tak się złożyło, że zaproponowano mi akurat pracę w agencji literackiej Hauschild. Cieszyłam się, że w ten sposób wyrwę się z macek Winterscheidów. Stanowiska w fundacji zrzekłam się już kilka lat wcześniej.

– Co się działo po śmierci Kathariny? Kto zajął się sprzątnięciem jej mieszkania i co się stało z jej osobistymi rzeczami?

– Straciłam już kilka bliskich osób w życiu. Ale śmierć Kathariny była i jest moim najboleśniejszym doświadczeniem. – Twarz Marii Hauschild spochmurniała i musiała minąć chwila, zanim znowu zaczęła mówić. – Po odejściu Johna Katharina miała napady melancholii. Zamykała się wtedy w mieszkaniu i nie

chciała nikogo widzieć. W pewnej chwili takie napady zmieniły się w fazy ciągnące się całymi tygodniami. Katharina wpadała w coś w rodzaju letargu i nie wstawała z łóżka. Po moich naleganiach zgodziła się na pomoc specjalisty i dostała leki przeciwdepresyjne, dzięki którym przez jakiś czas czuła się zupełnie dobrze. Tamtego dnia musiało wydarzyć się coś, co ją zupełnie wytrąciło z równowagi. Telefon Margarethe wyrwał mnie ze snu, a ona krzyczała, że Katharina nie żyje. Z początku nie docierało do mnie znaczenie jej słów i zrozumiałam je dopiero, kiedy znalazłam się w mieszkaniu Kathariny. Zanim przyjechałam, Dorothea zabrała Carla do willi rodziców. Policja też już była na miejscu. Zabronili nam wchodzić do środka. Dopiero dwa dni później dostaliśmy klucze z powrotem. Pojechałam tam z Dorotheą po ubrania i zabawki dla Carla. Margarethe wynajęła firmę sprzątającą – ledwie dwa dni po śmierci Kathariny! Nic nie byłam w stanie zrobić. Wywieźli wszystko, poza kilkoma meblami.

– A co z jej osobistymi rzeczami? – powtórzyła Pia.

– Myśli pani o jej dzienniku? – Maria Hauschild pokręciła głową. – Nie wiem. Może Waldemar zdążył to wszystko zabrać? Kochał Katharinę i ją podziwiał. Obawiam się, że znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że Margarethe spakowała jej rzeczy, przejrzała i większość wyrzuciła.

– W takim razie dopuszcza pani możliwość, że Margarethe weszła w posiadanie jej dzienników i to ona rozesłała kopie ich fragmentów? – zapytał Bodenstein.

– Nie, nie! Z całą pewnością to nie ona za tym stoi. – Agentka potrząsnęła głową. – Już prędzej wskazałabym Dorotheę. Delikatnie mówiąc, nigdy za nami nie przepadała. Ale nie mogę mieć jej tego za złe. Przez całe życie była przez wszystkich odtrącana. Rodzice woleli nas od własnej córki. A Heike przez dwadzieścia pięć lat miała romans z jej ojcem.

– W sobotę, w szpitalu, kiedy z nią rozmawiałam, miałam wrażenie, że pani Winterscheid-Fink wszystkich z państwa traktuje jak przyjaciół – zauważyła Pia. – Nie usłyszałam od niej ani jednego złego słowa na państwa temat.

– Dorothea bardzo szybko nauczyła się zachowywać zgodnie z oczekiwaniami – wyjaśniła Maria Hauschild. – To u niej odruchowe. I nie, nie wynika z nieszczerości. To coś w rodzaju instynktu samozachowawczego.

– No dobrze, dlaczego w takim razie akurat teraz miałyby rozpocząć akcję rozsyłania tych fragmentów?

– Hm. – Maria Hauschild wyjęła przejrzystą koszulkę na dokumenty z pojedynczą kartką w środku i podsunęła ją Pii i Bodensteinowi. – To jest kopia, którą otrzymałam pocztą. Kopertę też zachowałam. Na pieczętce z poczty jest data trzynastego sierpnia. Heike wyleciała z wydawnictwa pod koniec czerwca, po czym udała się z tym do sądu pracy i na początku sierpnia rozpoczęła kampanię oszczerstw przeciwko Carlowi i wydawnictwu. Może to była kropla, która przepełniła czarę? Dorothea nie wytrzymała i zaczęła się na nas mścić.

– Czy w rozmowach z przyjaciółmi poruszaliście państwo temat tych kopii?

– Tylko z Heike i Stefanem. Przy czym on na początku myślał, że to ja mam dziennik Kathariny. Z Josi w zasadzie nie utrzymuję kontaktów. Heike też była zdania, że za wysyłką stoi Dorothea.

– Czego dotyczył fragment, który dostała pani Wersch?

– Nie wiem. – Maria Hauschild wzruszyła ramionami. – Heike powiedziała, że wyrzuciła go do śmieci. I że trzeba być strasznym tchórzem, żeby uciekać się do pisania anonimowych listów.

– Za to wiadomość, którą otrzymał Alexander Roth, kompletnie wybiła go z rytmu – zauważył Bodenstein. – Z opowieści jego żony wiemy, że pewnego wieczoru znalazła go w garażu, kompletnie pijanego i zapłakanego. Bał się, że może się wydać, że jego kariera została zbudowana na kłamstwie.

– Na jego miejscu też bym się tego bała. – Maria Hauschild pokiwała głową. – Nie wiem, jaki fragment dostał, ale musiał dotyczyć wakacji, w czasie których zginął Götz. A przecież wszyscy zdawaliśmy sobie wtedy sprawę, że świadomie puszczamy w świat gigantyczne łgarstwo.

– Kiedy widziała się z nim pani po raz ostatni?

– Jakoś na początku lata? Krótco po tym, jak Carl awansował go na stanowisko redaktora prowadzącego. Alex zorganizował małą, prywatną uroczystość, na którą też zostałam zaproszona. Zawodowo niewiele mieliśmy ze sobą wspólnego, bo nie reprezentuję autorów, którymi on się zajmuje.

– Gdzie przebywała pani w zeszły poniedziałek wieczorem?

– Zostałam dłużej w biurze, bo prowadziłam aukcję praw do książki jednego z moich klientów ze Stanów Zjednoczonych – odpowiedziała agentka, nie okazując irytacji bezpośredniością pytania Pii. – Około dwudziestej pojechałam do

domu. Mieszkam w Kronbergu. Na miejscu dalej pracowałam, mniej więcej do wpół do dwunastej w nocy.

Rozległo się pukanie do drzwi i chwilę później do środka wsunął głowę Christian Kröger.

– Pia, Oliver, mogę was na sekundę poprosić?

– Proszę o chwilę cierpliwości – powiedziała Pia, wzięła telefon ze stołu i wyszła za swoim szefem na korytarz.

– Co się dzieje? – zapytał Bodenstein. Zamiast odpowiedzi, szef wydziału techniki kryminalistycznej uniósł trzy woreczki na dowody i uśmiechnął się tryumfalnie. W jednym znajdowała się rolka woreczków do przechowywania pokarmu, w drugim butelka metanolu, a w trzecim lejek i jakieś pipety.

– To są przedmioty, które właśnie zabezpieczyliśmy w warsztacie gospodarza obiektu – powiedział w końcu. – Na tej rolce zauważyliśmy maleńką plamkę krwi. Mogę się założyć, że woreczek, w którym był tłuczek do mięsa, pochodził z tej właśnie rolki.

– Doskonała robota. – Bodenstein z uznaniem pokiwał głową. – To jest coś!

– W zasadzie już kończymy – dodał Kröger. – Jak się spakujemy, mamy jechać sprawdzić jego mieszkanie?

– Tak. Jeśli Bära nie będzie na miejscu, musicie sobie poradzić z wejściem. I zadzwoń też do Kaia, żeby dodał Bära do listy poszukiwanych. Może w jego mieszkaniu traficie na zdjęcie, które moglibyśmy rozesłać do radiowozów. Dołączymy do was natychmiast, jak skończymy.

– Dobra. – Kröger skinął głową i odszedł, dzierżąc dumnie swoje znaleziska.

– Zeznania pani Hauschild brzmią spójnie, logicznie i przekonująco – zauważyła Pia. – Też tak uważasz?

– Hm, twoja teoria, że Waldemar Bär działał w porozumieniu z Dorotheą Winterscheid-Fink, rzeczywiście coraz bardziej zyskuje na wiarygodności – potaknął Bodenstein. – Dorothea czuła do Heike Wersch taką nienawiść, że kiedy próba zastraszenia nie przyniosła oczekiwanego rezultatu, pojechała do niej z Bārem i on ją zabił...

– Żadne z nich nie ma dobrego alibi na ten wieczór – dodała Pia. – A że Roth też im przeszkadzał, otruli go metanolem i tak zmanipulowali dowody, żeby wskazywały na niego jako sprawcę.

– Jeśli tak było, to dlaczego Bär nie wyrzucił gdzieś woreczków i butelki po metanolu? – zastanawiał się Oliver. – To mi nie daje spokoju.

– Bo, po pierwsze, nie jest profesjonalistą – wyjaśniła Pia. – A po drugie, nie spodziewał się, że znajdzie się w centrum zainteresowania podczas tego dochodzenia.

– To go wcale nie tłumaczy. Ktoś, kto potrafi wymyślić i zrealizować tak złożony plan, na pewno nie zostawiłby oczywistych dowodów swojej winy na widoku. – Bodenstein nie był przekonany.

– Dobrze, to może dokończymy rozmowę z panią Hauschild, bo bardzo bym chciała zobaczyć wnętrze mieszkania Waldemara Bära. – Pia sięgnęła już do klamki, ale zatrzymała się, bo coś sobie przypomniała. – Kim mogła być osoba, którą Roth wpuścił w piątek wieczorem do wydawnictwa?

– To mógł być w zasadzie każdy. – Bodenstein wzruszył ramionami. – Ale może umówił się na to spotkanie przez telefon? Poproszę Tarika, żeby wystąpił o dostęp do listy połączeń z jego telefonu służbowego i komórki, a potem je przeanalizował.

– Świetny pomysł, zaraz do niego napiszę.

– Jaki motyw mógł kierować Waldemarem Bärem? – zapytał Bodenstein.

– Lojalność – uznała Pia. – Pamiętasz, co nam powiedział w niedzielę? Pani Wersch go rozczarowała swoim zachowaniem, bo nie kąsa się ręki, która cię karmi. Czy jakoś tak. Na dodatek mógł się dowiedzieć, że Heike Wersch zamierzała wykreślić go z testamentu. Popęłił to morderstwo w afekcie, jeszcze na dodatek prawdopodobnie podżegany przez Dorotheę Winterscheid-Fink, niezależnie od tego, jak bardzo temu teraz zaprzecza. Za to otrucie Alexandra Rotha to już nie jest zbrodnia pod wpływem emocji. To musiało być starannie zaplanowane. A Waldemar Bär miał i możliwość, i motyw. No i środki również.

– W takim razie, przynajmniej jeśli chodzi o Rotha, Bär jest naszym głównym podejrzanym – zgodził się Bodenstein. – A teraz chodźmy. Musimy się przekonać, czy pani Hauschild rzeczywiście nie ma pojęcia, co się wydarzyło w wakacje 1983 roku.

Wrócili do pokoju konferencyjnego i zajęli miejsca naprzeciwko Marii Hauschild. Pia ponownie uruchomiła nagrywanie i położyła telefon na stole.

– Lato 1983 roku – zaczęła. – Co się wtedy właściwie wydarzyło?

Agentka najwyraźniej liczyła się z takim pytaniem.

– Po raz czwarty pojechaliśmy całą paczką do domu Winterscheidów na francuskiej wyspie Noirmoutier. To było już naszą tradycją – powiedziała. – Tylko że tamtego lata od początku wszystko było nie tak. Można powiedzieć, że zniknęła przyjaźń, która nas kiedyś łączyła. Wszyscy byli spięci. Heike i Alex działali Götzowi na nerwy ciągłym gadaniem o literaturze i autorach. Miałam wrażenie, że najchętniej pojechałby tam sam ze Stefanem, ale w ich sytuacji to było wykluczone, więc wylądowaliśmy na miejscu całą grupą. Okazało się, że to był błąd. Götz nie potrafił już znieść bezustannego podlizywania się. Ukrywał przed rodzicami, że zaczął studiować medycynę, więc żył w stresie, że w końcu się dowiedzą. Chciał zostać lekarzem i zamieszkać ze Stefanem, ale jak mu o tym powiedział, chłopak spanikował. I to był początek tragedii.

– Mogłaby pani opowiedzieć dokładnie, co się wydarzyło tego wieczoru, kiedy zmarł Götz? – poprosił Bodenstein.

– Oczywiście. Zaczęło się od tego, że Götz się strasznie spił. Był smutny i sfrustrowany, bo Stefan mu oznajmił, że z nimi koniec, a on kocha jego siostrę Dorotheę – odparła agentka, a w jej głosie słychać było troskę. – Zaczął tracić panowanie nad sobą. Zwymyślał Heike, Josi i Alexa. Powiedział im, że mają wypieprzać i że nie chce ich więcej widzieć. I że mają zakaz wstępu do willi rodziców i wydawnictwa. Nie mógł ich już znieść, szczególnie Heike i Alexa, z ich chorobliwą ambicją, wręcz opętaniem. Nawet mnie nie chciał słuchać, kiedy próbowałam go uspokoić, choć zazwyczaj dobrze sobie z nim radziłam, kiedy wypił o jednego za dużo i zaczynał obrażać innych.

Maria Hauschild przerwała na chwilę i się zamyśliła.

– Potem wróciłam do swojego pokoju – powiedziała nieco zachrypniętym głosem. – To był ostatni raz, kiedy widziałam go żywego. Jakiś czas później dołączyła do mnie Josi. Płakała i prosiła, czy mogłaby zostać u mnie na noc. Była strasznie zawiedziona Alexem, z którym wtedy byli parą. Miała mu za złe, że nie bronił jej, kiedy Götz obrzucał ją wyzwiskami. Zgodziłam się, żeby została. Josi spakowała swoje rzeczy i wróciła do mojego pokoju. Była zdecydowana, by rano wracać do domu.

– Pani również?

– Nie. – Maria Hauschild pokręciła głową. – Ja się cieszyłam, że Josi wyjedzie. Miałam nadzieję, że Alex i Heike też nas zostawią.

Pia zanotowała sobie jej słowa. Josefin Lintner pamiętała tę chwilę zgoła odmiennie.

– Katharina była z Johnem pod żaglami i planowali wrócić dzień później. Z nimi i Götzem byłoby miło i spokojnie. Tamtego wieczoru położyłam się do łóżka, bo trochę za dużo wypiałam. Z dołu słychać było jeszcze krzyki Götza. W końcu zasnęłam, a kiedy się obudziłam... on już nie żył. Morze wyrzuciło jego ciało na brzeg. – Maria Hauschild zamilkła i przygryzła dolną wargę. – W domu była policja. Gospodyni też. Żadne z nas nie mówiło płynnie po francusku, więc ucieszyliśmy się, kiedy wrócili John i Katharina. Stefan błagał nas, żebyśmy nikomu nie powiedzieli, że coś go łączyło z Götzem. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że Alex i Heike musieli przynajmniej się domyślać. Rodzice Götza byli już w drodze na wyspę. Wszędzie kręcili się jacyś ludzie: sąsiedzi, policja, lekarz... Heike i Alex wymyślili sobie historyjkę, że Götz tak strasznie upił się przez Katharinę, która go odrzuciła. A ona na to przystała. Domyślam się, że powodem był szok. Żadne z nas nie myślało trzeźwo. Przysięgliśmy sobie, że nigdy więcej nie będziemy o tym rozmawiali i będziemy mówili tylko to, co właśnie uzgodniliśmy. Nikt się nigdy nie wyłamał. Zawarliśmy pakt i się go trzymaliśmy.

– Pani Lintner opowiedziała nam inną historię – oznajmił Bodenstein. – Tamtego wieczoru, kiedy pani już spała, ona wstała z łóżka i była świadkiem, jak Heike i Alex wychodzą z domu i idą w stronę skał. Ruszyła za nimi i widziała, jak Alexander Roth zrzucił Götza Winterscheida do morza.

Agentka gwałtownie pobladła i z wrażenia otworzyła szerzej oczy.

– Podejrzewamy, że Heike Wersch szantażowała Alexandra Rotha swoją wiedzą. Grożąc ujawnieniem informacji, że zabił Götza, chciała wymusić na nim wsparcie finansowe dla swojego wydawnictwa.

– Alex...? – wyszeptała Maria. – Nie... nie! To niemożliwe! To wykluczone! On przecież... przecież... – przerwała i zamilkła. Rozglądała się bezradnie po pokoju. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymała się i dalej milczała. Złożyła dłonie jak do modlitwy i przysunęła je do warg. Myślami wróciła do tamtych wakacji i analizowała wszystko, co wydarzyło się potem, aż do dziś. Kiedy myślała, zmieniał się wyraz jej twarzy. Z początku jej mina wyrażała niedowierzanie, by zmienić się w zaskoczenie, dezorientację, aż po szok. Pia zrozumiała, że nie myśli o śmierci Heike Wersch, tylko Götza Winterscheida, swego przyjaciela i powiernika. Podobnie jak Dorothea Winterscheid-Fink poprzedniego wieczoru,

dopiero teraz powoli zaczynała pojmować bezmiar ich kłamstwa. Jej cały świat trząśł się w posadach.

– Przemowa Alexandra w czasie pogrzebu Götza... – jęknęła głucho. – Jego żaloba. Wszystkie rozmowy z Henrim i Margarethe. Projekty fundacji. Wykłady, które później wygłaszał... mówił wtedy o Götzu... on wtedy tylko udawał? To nie była prawda? – Maria Hauschild się rozejrzała. – Jak to możliwe? A Heike? Heike! Przecież ona miała romans z Henrim! Przez trzydzieści lat codziennie się widywali, cała trójka! Pracowali razem i razem świętowali! Jak mogli zrobić coś takiego?

Maria Hauschild odchrząknęła i przez kilka chwil usiłowała się uspokoić, co kosztowało ją wiele wysiłku.

– Przepraszam... Ja... to... Jestem wstrząśnięta. Jeśli to prawda, wszystko, co wydarzyło się przez ostatnie trzydzieści pięć lat, zyskuje zupełnie nowy kontekst. I znaczenie. Heike wiedziała, ile Götz dla mnie znaczył, a mimo to nie zdradziła mi prawdy! Nic powiedziała, jak zginął! Wygląda na to, że zupełnie się dla niej nie liczyłam. Niewiele brakowało, a zainwestowałabym sporo pieniędzy w jej wydawnictwo. Myślałam, że to moja przyjaciółka...

– W domu pani Wersch zabezpieczyliśmy szary T-shirt z plamami krwi i okulary. Zakładamy, że oba przedmioty należały pierwotnie do Alexandra Rotha, a plamy to krew Götza Winterscheida – ciągnęła Pia od miejsca, w którym przerwała, jednak agentka już jej nie słuchała.

– Alex wygłosił strasznie smutną mowę pożegnalną na pogrzebie Götza. Płakał przy tym i obejmował Henriego. A potem... potem zajął miejsca Götza. Wkradł się w łaski Winterscheidów. Mógł to zrobić, bo doskonale wiedział, że Heike nie piśnie słówka. To po prostu niepojęte.

W końcu uniosła wzrok i na nich spojrzała.

– Istnieje również możliwość, że to Josi zabiła Götza. Robiła wszystko, czego Alex od niej zażądał. Może przez to straciła później kontrolę nad życiem? Może nie dawało jej spokoju poczucie winy, bo w przeciwieństwie do Alexa i Heike miała sumienie?

Koniec końców nie miało znaczenia, które z nich, Alex czy może Heike, zepchnęło Götza ze skał na pewną śmierć. Jednak dzięki temu na

prawdopodobieństwie zyskiwała hipotetyczna dotychczas możliwość, że Dorothea Winterscheid-Fink i wierny rodzinie Waldemar Bär pomścili zabójstwo Götza.

*

– A potem ten policjant powiedział, że Alexander zepchnął Götza ze skał do morza, a Heike stała i tylko patrzyła. Oni go zamordowali! Zabili mi przyjaciela, mojego jedyne, kochanego Götza! Pozbyli się go tylko dlatego, że byli opętani wizją pracy w wydawnictwie, a on stał im na drodze! Potem bezczelnie wkradli się w łaski jego rodziny i rozpanoszyli po całym wydawnictwie i nie mieli nawet wyrzutów sumienia! – Maria Hauschild była blada jak ściana. Nagle chwyciła się za gardło i zakółsała. Julia była pewna, że agentka zaraz straci przytomność. – Nie mam słów. Nie wiem, co powiedzieć. Jestem w szoku! Dorothea skłęła mnie dzisiaj przy wszystkich i na oczach tej policjantki nazwała załganą suką, chociaż nie miałam o tym pojęcia! Dopiero von Buchwaldt powiedział mi, co się wtedy naprawdę stało.

– On w rzeczywistości nazywa się Bodenstein – poprawiła ją Julia. – Proszę, może lepiej będzie, jak pani na trochę usiądzie?

Chwyciła ją pod ramię i zaciągnęła roztrzęsioną agentkę do biura Carla Winterscheida, by posadzić ją na krześle.

– Zrobię ci coś do picia, co? Gin z tonikiem? – zaproponował szef wydawnictwa.

– Gin, bez niczego. Zostaw tonik na kiedy indziej. – Maria Hauschild zrobiła kilka głębokich wdechów, oparła się łokciami o blat stołu i ukryła twarz w dłoniach. Carl Winterscheid podszedł do jednej z szafek i otworzył drzwi, za którymi skrywał się świetnie wyposażony barek. Julia uniosła wzrok i ich spojrzenia się skrzyżowały. Mężczyzna pokręcił nieznacznie głową. Potaknęła, bo zrozumiała, co chciał jej przekazać. To, co usłyszeli od pani Hauschild, niepokojąco wiernie pokrywało się z fabułą niedokończonych powieści Kathariny Winterscheid. Carl podał swojej matce chrzestnej szklanekę z ginem, a ona wychyliła ją jednym haustem. Alkohol sprawił, że szybko odzyskała kolory i przestała się trząść.

Julia planowała opowiedzieć policji o niebieskim autku firmy Matchbox i manuskrypcie, które Carl Winterscheid otrzymał w anonimowych przesyłkach pocztą, ale przez wybuch wściekłości Dorothei Winterscheid-Fink zupełnie

wypadło jej to z głowy i nie wspomniała o tym w rozmowie z Pią. Została w holu wydawnictwa, by poczekać, aż była żona Henninga Kirchhoffa skończy spotkanie z Marią Hauschild, i przekazać informacje, o których zapomniała. Ostatecznie jednak rozminęła się z funkcjonariuszami, bo szef wezwał ją do siebie do biura, by, jak się okazało, przeprosić ją za swoje nieprzyjemne zachowanie poprzedniego dnia. W nocy również przeczytał niedokończony manuskrypt matki i zaczął wątpić, czy rzeczywiście sama odebrała sobie życie. Dzięki temu nie miała problemów z przekonaniem go, by razem z nią udał się do Henninga Kirchhoffa, który otrzymał już z prokuratury akta jego matki. W chwili gdy wychodzili z biura, z windy wypadła Maria Hauschild, blada jak duch, i niewiele brakowało, a przewróciłaby się prosto w ramiona Julii.

Carl bez pytania nalał swojej matce chrzestnej kolejną porcję ginu, którą kobieta wychyliła w ten sam sposób, tak jakby w szklance była woda, nie alkohol.

– Co więcej, policja uważa, że to Alexander mógł zamordować Heike, bo go szantażowała ujawnieniem prawdy o śmierci Götza. I wszystko przez ten jej genialny pomysł z zakładaniem wydawnictwa! Próżna egocentryczka! – Głos Marii Hauschild znów brzmiał normalnie. – Wyobrażacie to sobie? Ludzie, których znałam przez całe życie i których uważałam za przyjaciół! A oni robili takie rzeczy!

Julia nie mogła uwierzyć w to, co słyszała. Miły, przyjazny pan Roth miałby zabić tę starą wiedźmę? Najchętniej też poprosiłaby szefa o szklaneczkę ginu. Miała coraz silniejsze wrażenie, że wszystko, co wydarzyło się w czasie ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, było tylko zwariowanym snem. Zupełnie jakby została przeniesiona do innego wymiaru i znalazła się w środku jakiegoś filmu akcji, podobnego do *Bohatera ostatniej akcji* z Arnoldem Schwarzeneggerem.

Carl usiadł na krześle obok agentki Henninga Kirchhoffa.

– Mario, wy się dobrze znałyście z moją matką, prawda? – zaczął.

– Oczywiście, że tak. Wiesz przecież – odparła kobieta. – Katharina była moją najlepszą przyjaciółką, po tym, jak... stało się to z Götzem.

– Wiesz może, czy ona pisała?

– Czy pisała? – Maria Hauschild spojrzała na swojego chrześniaka z wyrazem zaskoczenia na twarzy i odstawiła pustą szklankę na stół. – Co masz na myśli? Czy prowadziła dziennik?

– Nie. Czy pisała powieści. Książki. Opowiadania. Coś w tym rodzaju – odpowiedział jej Carl, a Julia w napięciu czekała na odpowiedź.

– Śmiem wątpić, żeby pisała powieści – odparła Maria Hauschild. Przez jej twarz przemknął uśmiech. – Ale pisanie bardzo długo było jej hobby. Kiedy mieszkaliśmy razem na studiach, każdą wolną chwilę spędzała przy maszynie do pisania. Strasznie nas wkurzało stukanie tego starocia. Dlaczego o to pytasz?

– Co się stało z tym wszystkim, co napisała? – Carl zignorował pytanie matki chrzestnej.

– Większość natychmiast niszczyła. Była okropnie samokrytyczna, szczególnie gdy porównam ją z dzisiejszymi autorami, którzy przysyłają mi każdą szmire, przekonani, że właśnie stworzyli światowy bestseller – ciągnęła Maria Hauschild. – Miałyśmy wtedy w kuchni taką staromodny piec węglowy. Tam kończyła większość jej twórczości. Nigdy nie dawała nam niczego do przeczytania. Kiedyś Heike zarzuciła jej, że zakręciła się wokół Johna, twojego ojca, tylko po to, żeby mieć wydawnictwo, które by ją wydawało, i wszystko się skończyło. Dość szybko się wyprowadziła i nigdy już nie widziałam jej przy maszynie.

Popatrzyła na Carla, a potem przeniosła wzrok na Julię.

– Dlaczego zadajesz mi takie pytania? – nie dawała za wygraną. – Dotychczas nie pozwalałeś mi skończyć, kiedy próbowałam mówić o twojej matce.

– Wiesz przecież, dlaczego tak było. – Carl spojrzał Julii w oczy. – Koleżanka Bremora we współpracy z Henningiem Kirchhoffem zadali sobie trochę trudu, żeby znaleźć informacje na temat jej śmierci i trafili przy tym na... no cóż... na kilka poważnych nieścisłości. Profesor Kirchhoff ma wątpliwości, czy moja matka rzeczywiście popełniła samobójstwo.

Julia widziała, jak zmienia się wyraz twarzy agentki.

– Że on... ma... wątpliwości?! – powtórzyła z niedowierzaniem. – Ale... jak to? Dlaczego? Co się w takim razie stało?

– Profesor Kirchhoff uważa za wysoce prawdopodobne, że ktoś wypchnął ją przez balustradę – wyjaśniła Julia.

– Boże drogi... – Maria Hauschild z wrażenia aż otworzyła usta. – Ale... ale to przecież ktoś to wtedy sprawdzał, prawda? Ja... muszę się przyznać... ja od początku nie chciałam w to wierzyć. Katharina nie była typem człowieka, który odebrałby sobie życie. Poza tym, ona cię bardzo kochała. Mimo że nie chcesz tego

słyszeć, to tak właśnie było, Carl. Byłeś dla niej najważniejszą osobą na świecie, a za kilka dni miałeś po raz pierwszy iść do szkoły. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo się na ten dzień cieszyła! Poza tym miała wielkie plany związane z wydawnictwem. Chciała wprowadzić zmiany, bo wynajęty przez nią biegły księgowy wziął pod lupę finanse firmy i okazało się, że Henri bardzo źle nią zarządzał. – Przerwała na chwilę i zmarszczyła czoło. – Od początku podejrzewałam, że Waldemar może mieć z tym coś wspólnego.

– Waldemar Bär? – zapytali Carl i Julia unisono, przy czym on przerażonym tonem, a ona zaskoczonym. Agentka potaknęła.

– Waldemar kochał się w Katharinie, a ona traktowała go tylko jak przyjaciela – ciągnęła kobieta. – Nie mogła pogodzić się ze śmiercią twojego ojca, Carl. John był miłością jej życia. W jej sercu nie było miejsca dla żadnego innego mężczyzny.

– Poważnie uważacie, że Waldemar Bär byłby zdolny do czegoś takiego? – Julia z trudem wydobyła z siebie głos. Lubiła gospodarza wydawnictwa, jego nienachalny i serdeczny sposób bycia, i mimo najszczerzych chęci nie potrafiła sobie wyobrazić, że mógłby posunąć się do tak brutalnego czynu.

– Zawiedziona miłość to bardzo silny motyw – zauważyła Maria Hauschild nieobecny tonem. – Nie potrafię sobie przypomnieć dokładnie tamtej nocy, ale pamiętam za to, jak wyglądało później sprzątanie mieszkania po Katharinie. Byliśmy tam we trójkę, czyli Margarethe, Dorothea i ja, a do tego Waldemar i trzech polskich pracowników firmy sprzątajacej. Waldemar przez cały czas płakał. – Maria się zasępiła. – Z drugiej strony Alexander też płakał jak bóbr na pogrzebie Götza. Więc to nic nie znaczy. Ale Waldemara ciężko było rozgryźć. Wiecie, jak jest. Cicha woda.

Julia spoglądała z boku na Carla Winterscheida i zadawała sobie pytanie, co sobie myśli. Ona sama nigdy jeszcze nikogo ważnego nie straciła. Nie znała tego bólu. Historia jej rodziny była zupełnie przeciętna, bez żadnych tragicznych zwrotów, tajemnic czy zdrad. Jak to jest, kiedy człowiek przez całe życie wierzy, że jego matka odebrała sobie życie, nie przejmując się losem swojego sześciolatniego synka? Do żywego poruszało ją to, że Carl Winterscheid akurat jej, jednej z wielu podwładnych, zaufał i dał wgląd w najbardziej prywatną część życia.

– Dlaczego Winterscheidowie nigdy nie rozmawiali z Carlem... znaczy, przepraszam, z panem Winterscheidem, na temat jego matki? – odważyła się zapytać.

– Carl jest w porządku. – Szef spojrział na nią krótko. Jej serce zaczęło walić jak szalone. Czyżby jednak nie była mu obojętna? A może chodziło tylko o to, żeby przy najbliższej okazji znowu szorstko wskazać jej miejsce w szeregu? Skłamałaby, gdyby powiedziała, że Carl Winterscheid jej nie pociągał. Wolałaby jednak ugryźć się w język, niż publicznie zwracać się do niego po imieniu.

– Margarethe od początku była o nią strasznie zazdrosna – wyjaśniła Maria Hauschild. – Najpierw bardzo młodo straciła ukochane dziecko, a zaraz potem jej szwagierka urodziła syna, któremu nadała imię na cześć dziadka. Poza tym Katharina była wyjątkową kobietą, której Margarethe w żadnej konkurencji nie dorastała do pięt. Dla nikogo nie było tajemnicą, że Henri poprosił Margarethe o rękę, bo zależało mu na jej pieniądzach. Abstrahując od urody, Katharina była wyjątkowo inteligentna i serdeczna. Miała w sobie ujmujący urok, dzięki któremu wszyscy od razu ją lubili. Włącznie z Carlem Augustem seniorem, który generalnie nie miał dobrego zdania o kobietach; nią był za to zafascynowany. Potrafił toczyć z nią wielogodzinne pogawędki, przedstawiał autorom i nalegał, by siadywała obok niego w czasie wieczorów przy kominku, podczas gdy Margarethe wolno było jedynie podawać napoje i odwieszać garderobę gości. Tak, stary Carl August ubóstwiał swoją synową, do tego stopnia, że to jej, a nie Margarethe przekazał w testamencie zarządzanie archiwum Liebmana. Nigdy zresztą nie krył się z tym, co sądzi o swojej pierwszej synowej. Myślę, że to dostatecznie tłumaczy, dlaczego Margarethe nigdy nie powiedziała o Katharinie niczego dobrego. Podobnie zresztą jak Dorothea. Obie zawsze były pomijane i lekceważone.

Maria Hauschild wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Carla.

– Mogę ci wiele o niej opowiedzieć, jeśli tylko będziesz chciał, Carl.

– Chyba będę chciał. Chyba tak – odparł Carl przez ściśnięte gardło. – Ale najpierw pojedźmy może do profesora Kirchhoffa. Chcę się dowiedzieć, co jest w policyjnych aktach.

*

– Jestem gotowa się założyć, że Margarethe Winterscheid jest zamieszana również w morderstwo Heike Wersch – obwieściła Pia, kiedy wyszli z Bodensteinem z budynku wydawnictwa i wsiedli do białego samochodu służbowego, który stał przed wejściem osamotniony po tym, jak Kröger ze swoimi

ludźmi pojechali do mieszkania Waldemara Bära. – Wyobraź tylko sobie: całe lata znoszenia upokorzeń, a jakby tego było mało, na sam koniec dowiaduje się, że ona i Alexander Roth zabili jej syna.

– A skąd akurat ona miałyby się o tym dowiedzieć? – zapytał Bodenstein.

– Z dziennika, który zabrała z mieszkania Kathariny Winterscheid po jej śmierci!

– I co, dopiero teraz zdecydowała się go przeczytać? – Bodenstein pokręcił głową. – Nie, nie kupuję tej wersji.

– No dobra, to może dziennik był w posiadaniu innej osoby i dopiero niedawno dostał się w jej ręce. – Pia nie dawała za wygraną i broniła swojego pomysłu.

Rozległ się sygnał telefonu, więc Bodenstein odebrał połączenie przez zestaw głośnomówiący.

– To ja, szefie – przywitał się Tarik. – Przykro mi, ale nie daliśmy rady przetransportować starych Winterscheidów. Zaparli się, że nie opuszczą domu i nie pojedą, a tutejsi funkcjonariusze nie chcieli na siłę ciągnąć staruszków do radiowozu.

– Gdzie są teraz?

– W swoim domu, w biurze fundacji, cały czas mamy ich na oku. Jestem tu z Cemem, bo przyjechaliśmy wspomóc lokalnych – wyjaśnił Tarik.

– Ten pisarz jest z nimi?

– Nie. Z tego, co mówiła pani Winterscheid, wynika, że Hellmuth Englisch wyjechał gdzieś wczoraj wieczorem.

– I dobrze. I tak wiemy, gdzie go szukać. Kröger jest już na miejscu?

– Nie. Ale właśnie przyjechała Dorothea Winterscheid-Fink z mężem i upiera się, że musi porozmawiać z matką. Twierdzi, że ma do tego prawo, i jest strasznie wkurzona.

– Pod żadnym pozorem nie może się z nią widzieć ani rozmawiać, przynajmniej dopóki nas nie będzie na miejscu! – krzyknęła Pia. – Zaprowadź ich do osobnego pomieszczenia i pilnuj, żeby nie wchodzili do mieszkania gospodarza!

– Dobra. Dopilnuję. O, właśnie widzę wozy techników.

– My też za kilka minut będziemy na miejscu – dodał Bodenstein. – Pilnuj, żeby do tego czasu Winterscheidowie byli osobno. Odbierz im komórki i sprawdź, czy

nie mają dostępu do telefonów stacjonarnych.

Oczywiście, że mogli już wcześniej skontaktować się z Waldemarem Bärem i go ostrzec, ale istniało prawdopodobieństwo, że jeszcze tego nie zrobili.

Na Eschersheimer Landstrasse trwały roboty drogowe i utworzył się korek, więc Oliver wybrał Gärtnerweg i trasę prowadzącą przez dzielnicę Westend. Potem skręcił w Reuterweg, którą można było dojechać bezpośrednio do Campus Westend, a stamtąd mieli już tylko żabi skok.

– Mówię ci, że się nie mylę. Zresztą sam się przekonasz – mruknęła Pia. Bliskość rozwiązania sprawy działała na nią ekscytująco, aż drżała na całym ciele. Kilka minut później Bodenstein przejechał przez otwartą na całą szerokość bramę i z zawrotną prędkością pomknął podjazdem w stronę willi Winterscheidów. Spod kół służbowego auta wystrzeliwały kamienie, którymi wysypana była droga, i uderzały w podwozie, wydając odgłosy przypominające serie z karabinu maszynowego. Przed domem stały dwa radiowozy i cywilny srebrny opel, którym przyjechali Cem z Tarikiem. Do tego czarny SUV volvo o numerach rejestracyjnych F-WV889, najpewniej służbowy wóz Dorothei Winterscheid-Fink. Bodenstein objechał dom i zatrzymał się za karawaną ciemnoniebieskich furgonetek wydziału techniki kryminalistycznej.

– Mimo dzwonienia i walenia w drzwi, podejrzany nie otwiera – przywitał ich Kröger. – Wchodzimy.

– Działajcie. – Bodenstein był równie podekscytowany jak Pia. Czyżby w końcu trafili na właściwy trop? Czy byli blisko rozwiązania sprawy? Co czekało na nich po drugiej stronie pomalowanych na zielony kolor drewnianych drzwi? Jak zawsze, kiedy wchodzili do mieszkania osoby zaginionej, musieli liczyć się ze wszystkimi ewentualnościami, również takimi, że w środku trafią na jej zwłoki albo uzbrojonego szaleńca. Pia i Bodenstein wyjęli broń służbową i poczekali, aż drzwi się otworzą. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia, zaczerpnęli głęboko powietrza i zwrócieni do siebie plecami przestąpili próg mieszkania. Powoli, przesuając się krok po kroku, sprawdzali wszystkie pomieszczenia, włącznie z ciasną toaletą dla gości, łazienką, kuchnią i spiżarnią. Na koniec mogli odwołać ostrzeżenie.

– Czysto! – oznajmił Bodenstein i schował broń. – W środku nikogo nie ma.

Również Pia wsunęła pistolet do kabury i się rozejrzała. Lokal składał się z niewielkiego wiatrołapu przechodzącego w szeroki, obity drewnianą boazerią korytarz. Pierwszym pomieszczeniem po prawej stronie była kuchnia, jasna i przyjaźnie urządzona.

– Ja sprawdzam lewą, ty prawą, okej? – zaproponował Bodenstein. Pia potaknęła. Oboje założyli rękawiczki jednorazowe i zabrali się za metodyczne badanie mieszkania Waldemara Bära. Kröger i jego ludzie czekali na zewnątrz. W kuchni, na ociekaczu obok zlewu stał kubek do kawy. W podzielonym na trzy komory kuble na śmieci w przedziale na odpady biodegradowalne znajdowały się resztki warzyw i filtr z ekspresu do kawy, a pozostałe dwie przegródki były puste. Na oknie stały kwitnące na biało i fioletowo orchidee w porcelanowych doniczkach. W koszyku na kuchennym blacie znajdowało się kilka jabłek. W szufladach panował porządek. Spiżarnia kryła odkurzacz, wiadro z mopem i regał zastawiony zaprawami i konserwami. Obraz normalnego, spokojnego życia. Również w łazience Pia nie trafiła na nic niepokojącego ani dziwnego. Waldemar Bär był wręcz pedantycznym gospodarzem, więc wszystkie rzeczy znajdowały się na swoich miejscach, w umywalce próżno by szukać niezmytych śladów po paście do zębów czy kremie do golenia. Śmietnik w łazience został wcześniej opróżniony, a prysznic i wanna błyszcząły czystością.

– Pia? – zawołał Bodenstein. – Chodź szybko!

– Gdzie jesteś?

– Ostatni pokój po lewej!

Pia podążyła za głosem szefa i weszła do przestronnego pomieszczenia z wyłożonym ciemnym drewnem sufitem i drzwiami tarasowymi prowadzącymi na dziedziniec willi, gdzie znajdowały się garaże. Naprzeciwko otwartego kominka stała wysiedziana skórzana sofa, a parkiet przykrywał wyblakły i wytarty, ale wciąż piękny perski dywan. Pod ścianą, na nowoczesnej komodzie z aluminium i szkła, ustawiono telewizor, odtwarzacz DVD oraz sprzęt grający. W pomieszczeniu znajdowało się też biurko, mahoniowe monstrum z rzeźbionymi, masywnymi nogami, które najpewniej pochodziło z któregoś z salonów w willi.

– Zostawił komórkę. – Bodenstein wskazał na blat, gdzie leżał telefon starszego typu. – Razem z ładowarką. Jakoś nie sędzę, żeby go przypadkowo zapomniał.

– Ja też nie. Nie uciekał na łeb na szyję, tylko miał czas się przygotować. Wyjechał i celowo zostawił telefon, żebyśmy nie mogli go namierzyć – potaknęła Pia. – Na sięgającej wysokości bioder starej świerkowej skrzyni stała spora liczba zdjęć w srebrnych i drewnianych ramkach.

– Kierowniku, szef pyta, czy możemy zaczynać? – W drzwiach pojawił się jeden z ludzi Krögera, ubrany w biały jednorazowy kombinezon z kapturem i rękawiczki.

– Tak, pewnie, możecie wchodzić – odparł Bodenstein. – Chyba najlepiej będzie, jak zaczniecie od tego pomieszczenia.

Pia wsunęła na nos okulary do czytania i spojrzała na zdjęcia. Wszystkie zostały wykonane przed laty.

– Myślisz, że to może być Katharina Winterscheid? – zapytała Pia i wskazała na zdjęcie przedstawiające zdecydowanie młodszego Waldemara Bära z nieśmiałym puszką nad górną wargą i starannym przedziałkiem obok pięknej, ciemnowłosej dziewczyny, która trzymała w ramionach na oko roczne dziecko. Ta sama osoba była na wielu innych zdjęciach, czasem w towarzystwie bardzo przystojnego mężczyzny; sądząc po podobieństwie, musiał to być ojciec Carla Winterscheida. Niektóre fotografie przedstawiały również samego Carla: jako niemowlaka z matką, ale też z dziewczyną o ciemnoblonde włosach, w wózku, i jako chłopca o poważnej minie, a potem młodego człowieka w czarnej todze i birecie absolwenta. Nieliczne, wyłącznie czarno-białe zdjęcia przedstawiały starsze małżeństwo w różnych sytuacjach; Pia domyślała się, że to rodzice Bära. Młody Waldemar, dumnie uśmiechnięty, obok mężczyzny, którego portret wisiał w gabinecie Carla Winterscheida.

Bodenstein wysunął szufladę, której zawartość potwierdziła zamiłowanie do pedantycznego porządku lokatora mieszkania. Nawet wszystkie ołówki były starannie naostrzone i ułożone wielkością.

– Nic. – Bodenstein wyprostował się, rozczarowany. – Nie widzę tu żadnego dziennika.

Pia rozejrzała się zamyślona po pokoju. Zastanawiała się, gdzie schowałaby coś, co chciałaby ukryć przed postronnymi osobami, ale czego co pewien czas by potrzebowała.

– Skrzynia! – powiedziała w końcu i zaczęła pospiesznie zdejmować poustawiane na jej wieku zdjęcia. Bodenstein ruszył jej z pomocą i odstawiał ramki na blat biurka, a na koniec razem schwycili za pokrywę. Zaskrzypiały zawiasy. Pia zaczęła wyjmować poukładane w środku narzuty i poduszki. Pod nimi trafiła na zapakowany jeszcze ekspres do kawy, wyciskarkę do owoców, kilka par butów, karton z torbami na zakupy i starą skórzaną torbę ze skórzanym paskiem. Żaden z tych przedmiotów nie wystarczył do wystawienia nakazu aresztowania Waldemara Bära.

– Pójdę rozejrzeć się w jego sypialni. – Bodenstein poklepał Pię po ramieniu i wyszedł z salonu.

– Niech to szlag! – zakląła Pia i sfrustrowana sięgnęła po skórzaną torbę. A taka była pewna, że trafią na ślad, który popchnie ich śledztwo do przodu! Jedno z zapieć było trochę zardzewiałe i się zacinało. Pia szarpnęła zniecierpliwiona i... na perski dywan wysypało się kilka czarnych notesów z czerwonymi narożnikami, trzy grube, brązowe koperty A4 i kilka zdjęć. Po podłodze potoczyła się złota obrączka. Dzwoniąc po parkiecie, uderzyła w listwę przypodłogową, przewróciła się i znieruchomiała. Serce Pii zabiło szybciej. Czyżby jednak z gmatwaniny niejasnych przesłanek, ogólnych informacji i przeczuć wyciągnęła właściwe wnioski i trafiła właśnie na przesądzający dowód? Czuła się trochę, jakby grała w odkrywanie kart, i odkryła pasującą do siebie parę. Nachyliła się i podniosła jeden z czarnych notesów z czarną gumą na okładce. Sama kiedyś używała podobnego brulionu do prowadzenia pamiętnika. Przez jakiś czas był to najpopularniejszy podarunek, a ona i jej przyjaciółki kupowały je po kilka marek w sklepie z różnymi drobiazgami. Drżącymi palcami zsunęła gumkę z okładki i obejrzała notes ze wszystkich stron. Roztaczał zapach kurzu i poddasza. W lewym górnym rogu ktoś lakierem do paznokci zapisał dwie literki K, a na pasku czerwonego materiału na grzbiecie widniały cyfry: 1983/1984. Pia w końcu odważyła się zajrzeć do środka. *Dziennik Kathariny Komorowski, rozpoczęty 13 stycznia 1983, zapisano czarnym długopisem zamaszystym, odręcznym charakterem pisma, który Pia знаła już z rozesłanych do Odwiecznych fragmentów. Zakończony 26 lipca 1984 roku, dopisano innym kolorem poniżej.*

– Szefie! – zawołała Pia. – Christian! Znalazłam jej dziennik!

– Ta teczka tutaj to kopia akt postępowania w sprawie ustalenia przyczyny śmierci Kathariny Winterscheid, z domu Komorowski, z sierpnia 1990 roku. Dzisiaj rano dostałem je z prokuratury i zaraz na wstępie chciałbym zaznaczyć, że nie uważam tego, co robimy, za rozsądne. – Henning Kirchhoff stał za swoim biurkiem, a naprzeciwko niego, na krzesłach dla gości, które przyniosła sekretarka, siedzieli Carl Winterscheid, Julia Bremora i Maria Hauschild.

– Dlaczego w ogóle toczyło się dochodzenie w sprawie ustalenia przyczyn śmierci? – zapytał szef wydawnictwa. – To normalna procedura w przypadku samobójstwa?

– Tłumaczyłem to wczoraj pani Bremorze – odparł profesor Kirchhoff i usiadł w skórzanym fotelu. – Czynności takie są prowadzone, gdy przyczyna śmierci nie jest naturalna i pojawiają się wątpliwości w kwestii udziału osób trzecich. W przypadku samobójstwa zawsze się to sprawdza. Policja zabezpiecza ślady w miejscu znalezienia ciała i przesłuchuje świadków zdarzenia oraz krewnych ofiary. Jeśli w wyniku takich wstępnych działań funkcjonariusze powezmą uzasadnione podejrzenie, że śmierć nie nastąpiła w wyniku przyczyn naturalnych, prokuratura zarządza przeprowadzenie sekcji zwłok. Poza zewnętrznymi obrażeniami ciała bada się zgodność stanu zwłok, a więc zespołu oznak śmierci organizmu, z miejscem i czasem ich znalezienia. Jeśli w trakcie tych działań odkryte zostaną ślady wskazujące na udział osób trzecich, wdrażane jest postępowanie w sprawie spowodowania śmierci. Ponieważ jednak w przypadku pańskiej matki wykluczono udział osób trzecich, jej śmierć sklasyfikowano jednoznacznie jako samobójstwo, akta zamknięto, a ciało wydano rodzinie.

– Dlaczego zacząłeś teraz wątpić w to, że sama odebrała sobie życie? – zapytała Maria Hauschild.

Kirchhoff się zawahał.

– W moim przekonaniu istnieją przesłanki pozwalające wskazać alternatywny przebieg tego zdarzenia – wyraził się lekarz ostrożnie. – Tyle że to naprawdę tylko przypuszczenia. Ocena tak złożonej sprawy na podstawie kilku zdjęć i zeznań świadków jest bardzo trudna.

Julię ogarnęło rozczarowanie. Poprzedniego dnia słowa Kirchhoffa brzmiały zupełnie inaczej! Skąd nagle taka zachowawczość? Co takiego znalazł w aktach z prokuratury?

– Aha. – Carl Winterscheid nie dawał po sobie poznać, co się dzieje w jego głowie, choć zapewne był nie mniej zawiedziony niż Julia, która na dodatek czuła się nieswojo, bo niepotrzebnie wzbudziła w nim nadzieję.

– Ale wczoraj mówił pan, że otarcia na jej biodrze świadczą o tym, że nie wyskoczyła z balkonu z własnej woli, tylko została wypchnięta przez barierkę – zarzuciła lekarzowi, by szef nie uznał, że wszystko sobie zmyśliła.

– To prawda. – Profesor Kirchhoff przyznał jej rację. – Należy jednak oceniać te ślady w kontekście całego zdarzenia. I tak, podobnie jak wczoraj wciąż mam wątpliwości, czy to było samobójstwo. Uważam, że istnieją przesłanki do ponownego otwarcia tej sprawy i przeprowadzenia nowego dochodzenia.

No, i to brzmiało znacznie lepiej!

– Czy mógłbym zobaczyć te akta? – poprosił Carl Winterscheid.

– Wolalbym, żeby wystąpił pan osobiście do prokuratury o dostęp do nich. – Lekarz grzecznie, acz zdecydowanie, odmówił. – Jako krewny jest pan do tego uprawniony.

– Czy zechciałby pan przynajmniej zdradzić, czy jako świadek zeznawał niejaki Waldemar Bär? – Julia nie zamierzała tak łatwo składać broni. Zupełnie nie rozumiała naglej ostrożności profesora Kirchhoffa.

– Dlaczego to panią interesuje? – zapytał lekarz.

– Bo podejrzewam, że to on mógł zamordować Katharinę Winterscheid – wtrąciła się Maria Hauschild. – Katharina była moją najbliższą przyjaciółką. Od początku nie mogłam uwierzyć, że popełniła samobójstwo. A wiem również, że Waldemar był w niej nieszczęśliwie zakochany. Często przebywał w jej mieszkaniu. Zajmował się nią i Carlem, kiedy Katharina miała dużo pracy albo zmagala się z ostrą depresją. Tyle że ona zawsze traktowała go jedynie jak przyjaciela, tym bardziej że był od niej młodszy.

Kirchhoff zamyślił się, przygryzł dolną wargę i milczał przez chwilę, stukając palcami w teczkę.

– Nie. Przykro mi, nie mogę – zdecydował.

– Ale mógłby pan chociaż zerknąć na chwilę i sprawdzić? – zachęcała go Julia, lecz on pozostał nieugięty.

– Rozumiem pani ciekawość – oznajmił. – Jednak jeśli moje spostrzeżenia rzeczywiście doprowadzą do ponownego otwarcia dochodzenia przez policję,

mógłbym mieć poważne problemy, gdybym umożliwił dostęp do tych akt osobom nieuprawnionym. Jak już wspomniałem: pan, panie Winterscheid, powinien znaleźć prawnika i z jego pomocą wystąpić do prokuratury. – Następnie spojrzął na Julię. – A pani powinna zgłosić się na policję i powiedzieć im o manuskrypcie, o którym wczoraj mi pani mówiła.

– Manuskrypt? O jaki manuskrypt chodzi? – zapytała Maria Hauschild, nie kryjąc zaskoczenia.

– Przed kilkoma dniami otrzymałem pocztą anonimową przesyłkę z niedokończonym manuskrypcem – wyjaśnił jej Carl. – Jesteśmy z Julią zdania, że jego autorką była moja matka. Fabuła dotyczy paczki młodych ludzi, którzy jadą na wakacje na Noirmoutier, a w czasie pobytu na wyspie jedna z osób traci życie.

– A trzy tygodnie przed tym manuskrypcem ktoś przysłał... e... Carlowi... niebieskie autko! – dodała Julia. O rany! Rzeczywiście zaczęła mówić mu po imieniu! – Też anonimowo.

– To dlatego pytałeś mnie, czy twoja matka pisała. – Agentka zaczęła rozumieć, co się dzieje.

– Tak – potaknął Carl. – To naprawdę dobry tekst. Niestety, brakuje zakończenia. I właśnie dlatego zaczęliśmy podejrzewać z Julią, że ona nie mogła popełnić samobójstwa. Jestem przekonany, że chciałaby dokończyć tę historię.

– Manuskrypt Kathariny – powiedziała Maria Hauschild półgłosem. – Coś niesamowitego! Nigdy mi nie pozwalała czytać niczego, co napisała. Prawdę mówiąc, czułam się wtedy urażona. Pozwolisz mi go przeczytać, Carl?

– Oczywiście. – Mężczyzna uśmiechnął się smutno. – Przy czym to naprawdę kawał dobrej literatury. Miała niewątpliwy talent.

– Kto mógł go mieć przez tyle lat? – Julia spojrzała na agentkę. – I dlaczego akurat teraz przysłał go Carlowi? Dlaczego nie wcześniej?

Tym razem imię szefa zupełnie naturalnie przeszło jej przez usta. Komórka w torebce agentki zaczęła dzwonić.

– Wybaczcie mi, proszę. – Wyjęła telefon i spojrzała na wyświetlacz. – To jedna z autorek. O, Boże, zupełnie zapomniałam, że umówiliśmy się na spotkanie! Muszę lecieć.

Wstała i wyszła z biura profesora Kirchhoffa ze słuchawką przy uchu.

– Pani Bremora, panie Winterscheid – zaczął lekarz sądowy. – Jeszcze raz podkreślam: powinni państwo powiadomić policję. Proszę skontaktować się z panią Sander albo panem von Bodensteinem, i to bezzwłocznie. Jeśli państwo tego nie zrobią, ja będę zmuszony podjąć takie kroki.

*

– To jest skrajna bezczelność, żeby więzić nas we własnym domu i uniemożliwiać nawet wezwanie adwokata! To bezprawne ograniczanie wolności, za które odpowiecie! Ja tego tak nie zostawię! – Dorothea Winterscheid-Fink świdrowała Pię złym wzrokiem, jakby policjantka osobiście była odpowiedzialna za jej położenie.

– Na początek bardzo proszę się uspokoić – przerwał jej Bodenstein. – Bardzo nam przykro z powodu niedogodności, które państwa spotkały.

Cem zaprowadził Stefana Finka wraz z żoną do biura fundacji na parterze willi, gdzie już od kilku godzin bez słowa skargi przebywali rodzice Dorothei. Z obojętnością przystali na prośbę Tarika o zgodę na pobranie próbek z jamy ustnej, potrzebnych do wykonania badań porównawczych DNA plam krwi na koszulce Alexandra Rotha, co pozwoliłoby ustalić, czy pochodziły one od Götza Winterscheida. Od tamtego momentu Henri Winterscheid siedział nieruchomo, miał zamknięte oczy i opierał dłonie na główce laski. Również teraz dalej milczał. Jego żona otrząsnęła się z letargu dopiero na widok Stefana Finka.

– Nie życzę sobie oglądać tego człowieka! Niech mi się do końca życia nie pokazuje na oczy – oznajmiła ze skrajną pogardą w głosie. – Odejdź stąd, żaloszny, zakłamany tchórz.

– Jeszcze przez jakiś czas będzie pani musiała znosić jego obecność – odparła Pia. – Proszę bardzo, niech państwo usiądą. Zakładam, że nikt nie ma nic przeciwko, żebym nagrywała naszą rozmowę.

Nikt nie zaprotestował. Obecność czworga umundurowanych policjantów i takiej samej liczby funkcjonariuszy z wydziału zabójstw robiła wrażenie na wszystkich, włącznie z Dorotheą Winterscheid-Fink, która posłusznie zajęła miejsce.

– W trakcie przeszukania biura i warsztatu pana Bära zabezpieczyliśmy dowody wskazujące na jego możliwy udział w morderstwach Heike Wersch oraz Alexandra

Rotha – zaczął Bodenstein. – Poza tym, w jego mieszkaniu znaleźliśmy dokumenty oraz dzienniki, które, zgodnie z naszą wiedzą, należały do Kathariny Winterscheid.

Kiedy to mówił, Pia przyglądała się uważnie twarzy Margarethe Winterscheid. Staruszka wydawała się równie zaskoczona jak jej córka. Za to Henri Winterscheid nie potrafił kontrolować swoich emocji. Czy to, co policjantka dostrzegła w jego oczach, to był strach? Dlaczego?

– Przed trzema tygodniami pan Roth, pani Hauschild, pani Lintner oraz pan, panie Fink, otrzymaliście kopie fragmentów jednego z tych dzienników, wraz z pojedynczym zdaniem przewodnim, które brzmiało mniej więcej „wiem, co zrobiliście latem 1983 roku”. Treść każdego z fragmentów dotyczyła śmierci Götza Winterscheida.

Dorothea Winterscheid-Fink zacisnęła usta i zęby tak mocno, że zadrżały mięśnie jej szczęk. Jeszcze jedna rzecz, o której mąż jej nie powiedział!

– Dotarliśmy również do naocznego świadka tamtych wydarzeń. Kobieta ta twierdzi, że widziała, jak Alexander Roth kopnięciem zepchnął Götza Winterscheida ze skał do morza – ciągnął policjant. – Obok niego stała Heike Wersch i nic...

– Nie! – Z piersi Margarethe Winterscheid wydobył się głośny jęk. Stara kobieta osunęła się gwałtownie na kolana, odchyliła głowę i zaczęła krzyczeć. Chwilę później jej krzyk przeszedł w wycie; poruszająca scena, która sprawiła, że Pia dostała gęziej skórki. Tak ogromny ból i prawdziwe cierpienie trudno było znieść, nawet tylko je obserwując. Żaden z członków rodziny nie zdecydował się podejść, aby pocieszyć staruszkę, więc Pia przykucnęła obok i chciała jej pomóc. Margarethe Winterscheid odepchnęła ją z gwałtownością i siłą, jakiej policjantka nie spodziewała się po osiemdziesięciolatce. Kobieta zerwała się na równe nogi i skoczyła w stronę męża. Tłumione przez dziesięciolecia żal i nienawiść w końcu przerwały tamę.

– Ty świni! Ty obrzydliwa świni! – wychrypiała i zaczęła uderzać go pięściami. Kruchy staruszek nawet nie próbował się bronić czy zasłaniać. – Wymieniłeś sobie mojego kochanego Götza i zastąpiłeś go jego mordercą! I zmuszałeś mnie, żebym dzień w dzień oglądała tę rudą dziwkę, tę zdrażliwą, fałszywą sukę! – Jeden z jej ciosów zrzucił Henriemu okulary z nosa, ale to jej nie powstrzymało. Margarethe uderzała jak szalona, choć jej mężowi sływały po policzkach łzy. Pii

przemknęła przez głowę myśl, że wcześniej, w napadzie podobnego szału, mogłaby zatłuc Heike Wersch tłuczkiem do rozbijania mięsa.

– Mamo! Proszę! Mamo, przestań już, błagam! – Dorothea Winterscheid-Fink zerwała się z miejsca, objęła matkę ramionami i próbowała uspokoić szarpiącą się staruszkę. Wybuch emocji zakończył się równie gwałtownie, jak się zaczął. Margarethe Winterscheid przestała krzyczeć. Zawisła bezsilnie w ramionach córki i bez oporu dała się zaprowadzić z powrotem na swoje krzesło.

– Jakim prawem robicie takie rzeczy? – Dorothea Winterscheid-Fink spojrzała ze złością na Pię. – Naprawdę nie można przekazywać takich wieści z większym wyczuciem? Delikatniej?

– Puść mnie! – Margarethe zaczęła wyrywać się córce. – Zadzwońcie po Marię! Niech przyjedzie! Maria kochała Götza tak samo jak ja. Ona mnie zrozumie. Zawsze mnie rozumiała.

– Ona też cię cały czas okłamywała, mamo! – Dorothea nie wytrzymała i krzyknęła na matkę. – Naprawdę tego nie rozumiesz, czy nie chcesz zrozumieć? Ta historia, że Götz był zakochany w Katharinie, to kłamstwo, które sobie wymyślili! A wy byliście dość głupi, żeby w nie wierzyć!

– Nie! To niemożliwe! To nieprawda! To nie może być prawda! – bełkotała staruszka, z wzrokiem wbitym w podłogę. – Maria nigdy by mnie nie okłamała. Katharina odebrała mi syna, a jej narzeczonego!

– Mamo! – powiedziała Dorothea ostro. – Götz zakochał się w Stefanie. Był homoseksualistą. Obaj się bali, że wy albo rodzice Stefana się o tym dowiecie. Katharina zgodziła się na to kłamstwo, żeby chronić Stefana. Heike i Alexander zabili Götza i zajęli jego miejsce! Niech to w końcu do ciebie dotrze!

Margarethe Winterscheid zamilkła, ale dalej poruszała ustami, jakby coś bezgłośnie mówiła.

– Pani Winterscheid – zwróciła się do niej Pia. – Wiemy, że pani, pani mąż i Hellmuth Englisch nie byliście w zeszły poniedziałek w Domu Literatury. Impreza, w której wzięliście państwo udział, odbywała się bowiem w niedzielę. Gdzie zatem spędziliście poniedziałkowy wieczór?

– Teraz to już naprawdę przesadziliście! – Dorothea Winterscheid-Fink odwróciła się energicznie i zgromiła Pię i Bodensteina wściekłym wzrokiem. – Ani ja, ani tym bardziej moja matka nie zabiłyśmy Heike. Zostawcie ją w spokoju! Nie

widzicie, w jakim jest stanie? Właśnie się dowiedziała, że jej ukochany syn został zamordowany! I to przez ludzi, którym ufała! Okażcie choć trochę szacunku! Wasze śledztwo nie usprawiedliwia tego, jak się zachowujecie!

Bodenstein skinął głową. Pia również nie zamierzała naciskać. Pewna doza bezwzględności była naturalną częścią jej pracy i dzięki niej udawało im się czasem skłaniać ludzi do mówienia rzeczy, których w innych warunkach by nie powiedzieli.

– Jesteś dobrą córką, Doro, naprawdę wspaniałą. – Margarethe uniosła głowę i spojrzała na Dorotheę ze łzami w oczach i niemal ze współczuciem. – Zawsze się starałaś, by wszystko było dobrze. Ale ciebie też nikt nie traktował poważnie, tak samo jak mnie. Twój ojciec żadnej z nas nie kochał. Mnie potrzebował ze względu na pieniądze, które wniosłam do małżeństwa, ale ty... ty od początku byłaś mu obojętna.

– Wiem, mamó – odparła Dorothea. Ukucnęła przed matką i schwyła ją delikatnie za nadgarstki. – Ale to od dawna nie ma dla mnie znaczenia. Teraz to on jest mi obojętny. Razem z Carlem prowadzimy wydawnictwo i świetnie się z tym czuję. Carl jest równie sprawnym biznesmenem jak jego ojciec, a po matce odziedziczył spryt i urok. Osiągniemy sukces, mamó! Mamy teraz wspaniałą ekipę i fantastycznych autorów. – To był wyjątkowy, wzruszający, ba, wręcz intymny moment między matką i córką. Dorothea Winterscheid-Fink zupełnie zapomniała o obecności policji, a męża od początku spotkania nie zaszczyciła nawet jednym spojrzeniem. – Nasi małżonkowie to mięczaki i tchórze, mamó. Dlatego Alexander do nich pasował, bo był taki sam. Są słabi. Brakuje im naszej siły. Tylko skończeni tchórze muszą kryć się za kłamstwami.

– Oj, moja kochana córeczko! – Po pooranym zmarszczkami policzku Margarethe Winterscheid potoczyła się łza. Dorothea przytuliła twarz do twarzy matki. – Jaka ja byłam wobec ciebie niesprawiedliwa!

– Zapomnijmy o tym, to już bez znaczenia. To wszystko przeszłość, mamó. – Z jej słów przebijały szczere uczucie i ciepło. – To nowy początek. Mamy z Carlem tyle planów!

Bodenstein odchrząknął. Margarethe Winterscheid uspokoiła się nieco, więc mógł zadać jej jeszcze kilka pytań. Nie wiedziała jednak, co się stało z prywatnymi rzeczami Kathariny Winterscheid. Nie miała pojęcia o istnieniu dzienników. Waldemara Bära po raz ostatni widziała w poniedziałek po południu, około wpół

do szóstej, kiedy jechał w stronę bramy swoim prywatnym autem, antracytowoczarным bmw. W czasie kiedy Bodenstein przepytował pozostałych w kwestiach dotyczących Waldemara Bära, Pia doszła do wniosku, że Stefan Fink również miał powód, by zmusić Heike Wersch do milczenia, choć jego motyw nie był aż tak poważny. Tylko w jaki sposób miałby potem umieścić narzędzie zbrodni w lodówce w gabinecie Alexandra Rotha? I czy w ogóle wiedział, że Alexander ma w gabinecie lodówkę? Nagle przypomniała sobie słowa redaktorki Henninga: w piątek wieczorem Alexander Roth przyjął kogoś w wydawnictwie.

– Panie Fink, gdzie pan przebywał w zeszły piątek, około dwudziestej drugiej? – zawróciła się z pytaniem do jeszcze nie byłego męża Dorothei. Nie widziała zbyt wielkich szans, by ich małżeństwo przetrwało, szczególnie biorąc pod uwagę informacje, jakie dotarły do Dorothei Winterscheid-Fink w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

– Jechałem wtedy autostradą, w towarzystwie kierownika mojej drukarni – odpowiedział. – Wieczorem mieliśmy spotkanie w Erfurcie i w drogę powrotną ruszyliśmy dopiero po ósmej wieczorem.

– Czy moglibyście oddać matce telefon komórkowy? – Dorothea spojrzała na Bodensteina. – Chciałaby zadzwonić do Marii Hauschild i poprosić ją, żeby przyjechała.

– Tak, oczywiście. – Oliver dał znak Tarikowi, na co policjant wręczył staruszce jej telefon. Następnie Bodenstein postawił na biurku jedno z oprawionych zdjęć i poprosił, by mu się przyjrzeni. Fotografia przedstawiała młodego, uśmiechniętego Waldemara Bära w towarzystwie pięknej dziewczyny o brązowych, sięgających ramion lokach i dużych, ciemnych oczach. Nieznajoma opierała się na ramieniu Waldemara i promiennie uśmiechała się do obiektywu. Jej wizerunek znaleźli na licznych zdjęciach w mieszkaniu gospodarza budynku, choć przeważnie towarzyszyła Katharinie albo Carlowi.

– Ta fotografia pochodzi z sypialni pana Bära – oznajmił. – Czy ktoś wie, kim jest ta kobieta?

– Waldemar trzymał w sypialni jej zdjęcie?! – zapytała Margarethe z niedowierzaniem. – Dlaczego?

– Bo był w niej zakochany, mamó – wyjaśniła Dorothea. – Z wzajemnością.

– Kim jest ta kobieta? – powtórzył Bodenstein pytanie.

– To ostatnia niania, która pracowała dla Kathariny przed jej śmiercią – odparła Dorothea. – Miała na imię Ségolène, do dzisiaj to pamiętam. Tylko parę razy się spotkałyśmy, może cztery, najwyżej pięć. Przyjechała do Kathariny po śmierci Johna, kiedy już ta wyprowadziła się z willi. Ale nie wydaje mi się, żebyśmy kiedykolwiek rozmawiały.

– Dziękuję za wyjaśnienia.

– Możemy już sobie pójść? – Dorothea nie kryła irytacji, a jej głos ociekał sarkazmem. – Ani mój załgany małżonek, ani ja czy moja matka nie popełniliśmy żadnego morderstwa.

W tym momencie po raz pierwszy od początku rozmowy poruszył się Henri Winterscheid. Wstał i oparł się ciężko na lasce.

– One nie, ale ja kogoś zabiłem. To był wypadek. Nie chciałem tego – wychrypiął łamiącym się głosem, a jego twarz wykrzywił grymas obrzydzenia do samego siebie. – To ja wypchnąłem Katharinę z balkonu.

*

Jechali w stronę Wiesbaden. Cem przekazał informacje Kaiowi, a ten dodał dane bmw gospodarza wydawnictwa i willi do rejestru poszukiwanych aut. Teraz pozostawało już tylko kwestią czasu, aż jakiś patrol go zauważy. Henri Winterscheid przyznał się do zabójstwa Kathariny Winterscheid i złożył obszernie wyjaśnienia, jednak z powodu podeszłego wieku i złego stanu zdrowia zamiast do celi został przewieziony do szpitala przy areszcie śledczym w Kassel. Zgodnie z jego słowami, siedemnastego sierpnia 1990 roku wieczorem, po spożyciu pewnej ilości alkoholu udał się z wizytą do Kathariny, by z nią porozmawiać. Żona jego zmarłego brata odkryła nieprawidłowości w dokumentacji księgowej wydawnictwa i zatrudniła biegłego rewidenta, by zbadał wszystkie operacje z ostatnich kilku lat. Jego praca ujawniła sprawy, które mogły mieć bardzo nieprzyjemne skutki dla Henriego. I nie, nie chodziło o żadne przestępstwa, raczej o niegospodarność, jednak w takich rozmiarach, że powinien był ustąpić z fotela szefa zarządu i wydawnictwa. Katharina była nieprzejednana, doszło między nimi do kłótni, w trakcie której wypchnął ją przez barierkę balkonu. Spanikowany rzucił się do ucieczki i udało mu się umknąć niezauważenie. Kai natychmiast wystąpił do prokuratury o przesłanie akt sprawy śmierci Kathariny Winterscheid. Tarik zabrał

dzienniki matki Carla ze sobą do komisariatu, by zasiąść do ich lektury i spróbować znaleźć jakiegokolwiek informacje potwierdzające wersję śmierci Götza Winterscheida przedstawioną przez Josefin Lintner.

Waldemar Bär, lojalny pracownik rodziny Winterscheid, był wściekły i rozczarowany, bo Heike Wersch zaczęła bardzo szkodzić i wydawnictwu, i Carlowi osobiście. Prawdopodobnie dowiedział się z dzienników, co wydarzyło się latem 1983 roku na wyspie Noirmoutier i jaki udział miała w tym dotychczasowa redaktorka prowadząca. Bär dobrze znał Götza Winterscheida, bo dorastali jak bracia, a poza tym przez całe lata był świadkiem żałoby Margarethe. Czy mogło dojść do scysji, w czasie której Heike oznajmiła Bärowi, że zamierza wykreślić go z testamentu? Czy dlatego ją zamordował? Zaczął nękać anonimowymi przesyłkami całą dawną paczkę Heike, a kiedy Alexander Roth nie wytrzymał ciśnienia i niczego nie podejrzewając, wygadał się przed Waldemarem, ten otruł go metanolem? Jej hipoteza miała kilka słabych punktów, jednak najgorszy był brak jakichkolwiek dowodów, bo wszystko dotychczas opierało się na poszlakach.

– No dobrze, to słucham, jaki motyw miał Bär? – zapytał Bodenstein, który najwyraźniej myślał o tym samym, co Pia.

– Lojalność. – Policjantka pokiwała głową. – Pamiętasz, co nam powiedział w niedzielę? Pani Wersch była dla niego rozczarowaniem, bo nie kęsa się dłoni, która cię karmi. Poza tym tylko on i Dorothea mogli wejść w posiadanie informacji, które przekazała nam Josefin Lintner. Roth mógł się po pijaku ze wszystkiego wygadać. A kiedy Bär poszedł rozmówić się z Heike Wersch, zagroziła mu wykreśleniem z testamentu.

– Przyjmijmy na chwilę, że rzeczywiście tak było. Dlaczego Bär przez dwadzieścia osiem lat przechowywał torbę z pamiątkami Kathariny? Jakie znaczenie miały dla niego osobiste rzeczy matki Carla, skoro był zakochany w tej dziewczynie, Ségolène?

– I dlaczego nie przekazał ich Carlowi, skoro to jemu, jako spadkobiercy, się prawnie należały? – myślała Pia na głos. – Nawet jeśli wcześniej nie miał ku temu okazji, od półtora roku mógł to zrobić w zasadzie każdego dnia.

– Dlaczego wysłał kopię fragmentu dziennika również Henriemu Winterscheidowi? – Staruszek wyznał im wcześniej, że też otrzymał anonimową

przesyłkę, jednak wrzucił ją do niszcarki. – Ponoć Bär był wobec nich bardzo lojalny.

– Szlag by trafił! – Bodenstein uderzył otwartą dłoń w kierownicę. Jego dobry humor zdążył się ulotnić. Co rusz pojawiały się kolejne nieścistości i nie dawały mu spokoju, bo były jak piasek wsypywany między tryby maszyny.

– Masz pomysł, kim mógł być tajemniczy gość, którego Roth przyjął w piątek wieczorem w wydawnictwie? – zapytała Pia, ale nie doczekała się odpowiedzi, bo odezwała się jej komórka.

Dzwonił Kai.

– Dopiero co rozmawiałem z prokuraturą – oznajmił na wstępie. – Nie zgadniecie, co się stało: nie my jedyni zainteresowaliśmy się aktami Kathariny Winterscheid. Oni ich już nie mają.

– Okej. Kto o nie wystąpił i gdzie trafiły? – zapytała Pia.

– Do twojego byłego. Profesor Kirchhoff dziś rano osobiście się po nie zgłosił.

– Słucham?! Dlaczego? – Pia nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała, ale jej zaskoczenie szybko ustąpiło miejsca złości. – Co to ma znaczyć?

– Najlepiej będzie, jeśli sama go o to zapytasz. Kiedy będziecie na miejscu? Engel szaleje, bo zatrzymaliście Henriego Winterscheida i wysłaliście do Kassel. Uważa, że areszt domowy i bransoletka na kostkę całkowicie by wystarczyły.

– Nie w przypadku, kiedy zachodzi obawa targnięcia się na własne życie – odparła Pia krótko. – Właśnie, Kai, sprawdź, proszę, na mapach Google'a ulice w pobliżu siedziby wydawnictwa, dobrze? Szczególnie skup się na wjeździe na dziedziniec. Może gdzieś w okolicach znajdziesz kamery, które obejmowałyby bramę?

– Dobra, już się do tego biorę. Jaki przedział czasowy was interesuje?

– Piątek wieczorem. Między dwudziestą pierwszą a wyjściem Rotha z pracy. Był rowerem. Wieczorem ktoś go jeszcze odwiedził. – Pia usłyszała sygnał informujący o kolejnym przychodzącym połączeniu. Odsunęła telefon od ucha i spojrzała na ekran. Henning!

– Pewnie, zobaczę, co się uda znaleźć – zapewnił ją Kai i zakończył rozmowę.

– Henning! – Pia musiała się powstrzymać, żeby nie krzyknąć, kiedy usłyszała w słuchawce głos swojego byłego męża.

– Cześć, Pia. – Profesor Kirchhoff nie dał jej dojść do słowa. – Słuchaj, musicie przyjechać do mnie. Ty i Oliver, najszybciej, jak się da.

– Żebyś wiedział, że powinniśmy! Głównie po to, żeby cię kopnąć w tyłek!

– W biurze czekają na mnie Carl Winterscheid z jedną ze swoich pracowniczek – ciągnął Henning, ignorując jej wybuch. – Chyba zainteresuje was to, co mają do powiedzenia.

– Jesteśmy za piętnaście minut – poinformowała Pia krótko i zakończyła połączenie.

– Instytut? – zapytał Bodenstein, a policjantka potwierdziła skinieniem głowy.

Oliver skręcił gwałtownie w prawo i przeciął dwa pasy autostrady. Zignorował trąbienie kilku zdenerwowanych kierowców i w ostatniej chwili udało mu się dostać na zjazd na A5 w stronę Darmstadt. Przed sobą mieli czteropasmowe morze świateł stopu: codzienny korek popołudniowy.

– Jasna cholera... dawaj koguta na dach, bo inaczej przejazd zajmie nam godzinę.

– Jak ja tego nienawidzę – mruknęła Pia ze złością.

– Czego?

– Kiedy ludzie uważają, że mogą za nas odwalać robotę, bo naczytali się kryminałów albo starych akt, jak mój przemądrzały były mąż!

Wyjąc syreną i błyskając niebieskimi światłami, bez przeszkód posuwali się naprzód. Uwięzieni w korku kierowcy natychmiast rozsunęli się, tworząc korytarz życia – może z kilkoma niechlubnymi wyjątkami, bo parę osób zamiast patrzeć we wsteczne lusterka, nie odrywało oczu od smartfonów. Pięć minut później dotarli do węzła Frankfurter Kreuz i zjechali na B43 w stronę Waldstadion.

– Ha! – krzyknął Bodenstein tak niespodziewanie i głośno, że Pia podskoczyła ze strachu.

– Chryste, co znowu? – zapytała.

– Pamiętasz, jak powiedziałem, że nie znamy jeszcze wszystkich figur na szachownicy?

– Tak, pamiętam, porównałeś nasze dochodzenie do gry w szachy – potaknęła i w tej samej chwili zrozumiała, o co mu chodzi. – Ta niania?

– Właśnie! – Bodenstein się rozpromienił. – Jakie zadania mają nianie?

- Pojęcia nie mam. Nigdy nie zatrudnialiśmy żadnej.
- Zazwyczaj ich obowiązkiem jest wspieranie pani domu – wyjaśnił Bodenstein.
- Takie prawdziwe operki zajmują się...
 - Dziećmi.
 - Tak jest. Ta dziewczyna zajmowała się Carlem, żeby Katharina mogła chodzić do pracy. Waldemar ubóstwiał matkę Carla, ale to było platoniczne uczucie. Za to w niani zakochał się naprawdę.
 - I mógł liczyć na wzajemność.
 - Tylko że się z nią nie ożenił – zauważył Bodenstein.
 - Skąd wiesz?
 - W mieszkaniu Bära nie trafiliśmy na żadne zdjęcie, na którym miałyby ponad dwadzieścia lat.
 - O ty szczywany lisie! – uśmiechnęła się Pia.
 - Dzięki, wiem, że jestem spostrzegawczy – odpowiedział Bodenstein skromnie i też uśmiechnął się szeroko. – Dobra, dalej: po śmierci Kathariny Margarethe zabrała chłopca do siebie, a dziewczyna została bez pracy.
 - Dlatego wróciła do ojczyzny – kombinowała Pia. – Sądząc po imieniu, była Francuzką.
 - Jak byś się zachowała jako dwudziestolatka, której pracodawczyni rzuciła się z balkonu, a ty nagle zostałabyś zupełnie sama w obcym kraju? – zastanawiał się Bodenstein.
 - Podejrzewam, że spakowałabym natychmiast swoje manatki i wróciła do domu. – Pia wzruszyła ramionami.
 - Ségolène zniknęła – ciągnął Bodenstein, układając w głowie nową wersję zdarzeń. – Jest 1990 rok, komórki nie są jeszcze powszechne, więc nie może napisać do nikogo wiadomości ani skorzystać ze Snap Mapy.
 - Czego?
 - Snap Mapa to taka funkcja Snapchata. Dzięki temu dzieciaki mogą sprawdzić, gdzie przebywają ich znajomi. Sophia mi pokazała. Czyli mamy pewność, że Ségolène od razu wyjechała.
 - Nie żegnając się z Waldemarem Bærem?
 - Myślę, że to możliwe.

– I zabrała ze sobą torbę? Dlaczego miałyby to zrobić?

– Rany, przestań mnie ciągle pytać dlaczego! – Bodenstein zatrzymał się na czerwonym świetle. – Pokombinujmy trochę, może na coś wpadniemy!

– Bardziej zielone już nie będzie – zauważyła Pia, na co Bodenstein dodał gazu. – Chyba lepiej zdejmę już koguta z dachu.

– Czyli zabrała ze sobą torbę z rzeczami Kathariny. – Bodenstein wyłączył syrenę i skręcił w ulicę Isenburger Schneise, która kilkaset metrów dalej przechodziła w Kennedyallee. – I teraz nagle ta torba znów się pojawia.

– W jaki sposób?

– Pojęcia nie mam! – westchnął Bodenstein. – Przecież osiwieć można! Za każdym razem, gdy całość zaczyna się nam układać, trafiamy na coś takiego i wszystko znów się wali.

*

– Co to takiego? – zapytała Pia, kiedy Carl Winterscheid położył przed nią i Oliverem plik zapisanych na maszynie kartek.

– Manuskrypt, którego autorką jest moja matka – wyjaśnił szef wydawnictwa. – Dotarł do mnie w piątek, pocztą. Zwykła koperta, bez nadawcy. W środku była jeszcze fotografia.

Na blacie położył zdjęcie, które Pia i Bodenstein już znali, bo identyczne znaleźli wśród rzeczy Heike Wersch: sześcioro młodych ludzi na schodkach przed białym domem. Pia wzięła je do ręki i odwróciła. Ktoś podpisał je długopisem: NOIRMOUTIER.

– Wcześniej, jakieś dwa albo trzy tygodnie temu otrzymałem inną, również anonimową przesyłkę. – Carl Winterscheid sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej niebieskie autko Matchboxa. – To była moja ulubiona zabawka z dzieciństwa. Dostałem je od Dorothei, mojej kuzynki, kiedy miałem cztery albo pięć lat.

Siedzieli w piątkę przy prostokątnym stole w gabinecie profesora Kirchhoffa: Henning, Julia Bremora i Carl Winterscheid po jednej stronie, a Pia i Bodenstein naprzeciwko nich.

– Manuskrypt opowiada historię kilkorga młodych ludzi, którzy poznali się w szkole i na studiach, i razem spędzają wakacje na wyspie Noirmoutier. – Głos zabrała redaktorka. Dziewczyna raczej nie była piękna, lecz miała dużo wdzięku, do tego nie była próżna, o czym świadczył brak makijażu i długie ciemne włosy zaplecione w warkocz. – Zbieżności z prawdziwymi zdarzeniami z życia Kathariny Winterscheid są aż nazbyt oczywiste. Chodzi o wydawnictwo literackie z Frankfurtu, syn właściciela ginie w czasie wakacji, a morze wyrzuca jego ciało na plażę.

– To tylko sto trzydzieści cztery strony – dodał Carl Winterscheid. – Potem historia urywa się gwałtownie, niedokończona. Matka mi ją zadedykowała.

Nachylił się, wyjął drugą stronę z pliku i podsunął Pii i Oliverowi.

– *Jak zawsze, na zawsze, na zawsze – dla Carla, mojego największego skarbu.*

– Przez tę dedykację zaczęłam wątpić w samobójstwo – wyjaśniła pani Bremora, a w jej spojrzeniu pojawił się błysk. – Kobieta, która mówi o swoim dziecku jako o największym skarbie i jest w połowie pracy nad książką, nie rzuca się tak po prostu z balkonu.

– Dlatego pani Bremora pojawiła się u mnie w Instytucie. – Do rozmowy włączył się Henning. – Znaleźliśmy elektroniczną kopię raportu z oględzin i sekcji zwłok. W trakcie lektury tych akt trafiłem na pewne niezgodności.

Otworzył komputer i pokazał Pii i Oliverowi zdjęcia zwłok, po czym wskazał na otarcia na lewym biodrze oraz odciski po wewnętrznych stronach ramion. Jego uzasadnienie, w jaki sposób mogło dojść do powstania takich obrażeń, brzmiało bardzo wiarygodnie.

– Wtedy zgłosiłem się do prokuratury i poprosiłem o wydanie mi akt tamtej sprawy.

– Henning, musimy zamienić kilka słów na osobności. – Pia podniosła się z niewygodnego plastikowego krzesła. – Wyjdźmy może na korytarz.

Henning zamknął komputer i ruszył za byłą żoną, a zaraz potem dołączył do nich Bodenstein.

– Czy kompletnie ci odbiło? – Ledwie zamknęły się drzwi gabinetu, Pia ściszone głosem zaatakowała byłego męża. – Wydaje ci się, że pisanie kryminałów czyni z ciebie policjanta i możesz do spółki z redaktorką i swoim wydawcą zakładać kółko dochodzeniowe? Od kilku dni staramy się ustalić,

dłaczego ta dwójka z szuflad w twojej chłodni musiała pożegnać się z życiem, a ty rozprawiasz o historii, która mogła być motywem! I co ci strzeliło do głowy, żeby zabierać z prokuratury te akta, nie informując nas o tym? Przekraczasz swoje kompetencje i to potężnie!

– Od samego początku powtarzałem pani Bremorze, że powinna się z wami skontaktować – bronił się Henning. – Tyle że ona nie chciała narzucać swojej woli szefowi, tym bardziej że chodzi przecież o jego matkę.

– Henning! – Pięć wiele wysiłku kosztowało powstrzymanie się, żeby na niego nie krzyknąć. – kiedy znajdę zwłoki i chcę wiedzieć, dlaczego ten ktoś umarł, to nie tnę ich nożyczkami na kuchennym stole, tylko dzwonię do ciebie!

Profesor Kirchhoff stał ze skruszoną miną i choć próbował wtrącić coś na swoją obronę, Pia nie dawała mu dojść do słowa.

– Pięć osób, z których dwie są martwe, a pozostali podejrzani o popełnienie morderstwa, trzy tygodnie temu otrzymało anonimowe listy z fragmentami dzienników Kathariny Winterscheid – ciągnęła policjantka. – Wszystko wskazuje na to, że ta sama osoba wysłała Winterscheidowi ten samochodzik, a później manuskrypt. Jakie wnioski z tego płyną?

– Wyciąganie wniosków na podstawie tych informacji nie jest moim zadaniem – przyznał lekarz sądowy.

– No właśnie. Dlatego zostaw to proszę nam, dobrze?

– Dobrze. – Henning uniósł dłonie w geście poddania. – Przepraszam. To się już nigdy nie powtórzy.

Potem przeniósł wzrok na Olivera.

– Tak przy okazji, w aktach tej kobiety pojawia się twoje nazwisko – oznajmił. – Wiedziałaś o tym?

– Tak. Pamiętam nawet tę sprawę. Syn zmarłej był w wieku Lorenza – odparł Bodenstein. – Strasznie to mną wstrząsnęło.

– Wtedy przeoczono kilka drobiazgów – dodał Henning. – Jestem przekonany, że ta kobieta nie wyskoczyła sama, tylko ktoś jej w tym pomógł.

– Ona została zamordowana. – Oliver potwierdził jego domysły. – Katharina Winterscheid została podczas kłótni wypchnięta z balkonu przez swojego szwagra. – Staruszek dopiero co się do tego przyznał i w tej chwili podróżuje na koszt podatników do Kassel.

Henningowi z wrażenia odebrało mowę i przez chwilę tylko stał i patrzył.

– To jest... to... ja... – próbował coś powiedzieć. Dopiero po kilku sekundach wziął się w garść. – W normalnych warunkach cieszy mnie, kiedy mam rację, ale tym razem sytuacja jest trochę inna. To będzie bardzo smutna wiadomość dla Winterscheida. On przecież dorastał pod ich opieką! Nawet nie wiecie, jaka to ulga, że to nie ja muszę przekazać mu tę nowinę.

– Nie jest pierwszą osobą, której w ostatnich dniach wywracamy życie do góry nogami – mruknęła Pia i westchnęła ciężko. – Przesrana sprawa, nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo. Nic, tylko kłamstwa i ranienie bliskich.

– Henning, zdajemy sobie sprawę, że możesz być uprzedzony i nieobiektywny. – Bodenstein zaczął oficjalnym tonem. – Tutaj chodzi o szefa wydawnictwa, w którym ukazują się twoje książki, i o twoją agentkę. Oboje są w jakiś sposób w to zamieszani, a przynajmniej znali obie dotychczasowe ofiary. W biurze Rotha znaleźliśmy narzędzie zbrodni. Tłuczek do mięsa. Zawinięty w woreczek do przechowywania żywności, urwany najprawdopodobniej z rolki, którą zabezpieczyliśmy w warsztacie gospodarza budynku, razem z butelką metanolu. Nie każdy ma dostęp do siedziby wydawnictwa, a już na pewno nie każdy mógłby dostać się na przedostatnie piętro, do biura Rotha, do jego lodówki. Dlatego grono podejrzanych jest dość mocno ograniczone. Część z tych osób możemy już wykluczyć. Nie wiemy jeszcze, co myśleć o Carlu Winterscheidzie. Znasz go lepiej od nas. Czy uważasz, że mógłby działać w porozumieniu z gospodarzem budynku i zamordować panią Wersch i Alexandra Rotha?

– Chyba nie pytasz mnie poważnie? – Henning Kirchhoff był wstrząśnięty. – Ten człowiek jako małe dziecko stracił matkę. Wychował się w zasadzie bez rodziny, a mimo to parł do celu, a teraz odnosi sukcesy, zarządzając wydawnictwem założonym przez dziadka. Jego kuzyn został zamordowany...

Lekarz zamilkł, bo zdał sobie sprawę, że argumenty, którymi chciał bronić Carla Winterscheida, mają drastycznie odmienny wydźwięk. Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Osoba, która zamordowała Heike Wersch, była jednoznacznie praworęczna – powiedział powoli. – To da się dość prosto wywnioskować z kąta, pod jakim padały ciosy i uderzały w czaszkę i ramiona. Tymczasem Winterscheid jest mańkutem. Sprawcy działający w afekcie odruchowo używają ręki, którą mają silniejszą, i nie zastanawiają się, czy ktoś będzie później badał jakieś kąty. A przecież wcześniej

mówiliście, że zabójca Heike Wersch działał w afekcie i pod wpływem silnych emocji. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby ktoś w takiej sytuacji z wyrachowaniem używał słabszej ręki, by zmylić śledczych.

– Winterscheid mógł domieszać metanolu do wódki Alexandra Rotha – zauważyła Pia.

– Nie tylko on. Pani Bremora również – odparł Henning. – Podobnie jak każdy pracownik wydawnictwa.

– A co z twoją agentką? Dobrze znała Alexandra Rotha i możliwe, że wiedziała o lodówce w jego biurze. Agenci często odwiedzają wydawnictwa, dyskutują z redaktorami i z szefami wydawnictw też.

– Oczywiście, że Maria Hauschild mogła go otruć. Mogła również zamordować Heike Wersch. Przy dostatecznie silnym wzburzeniu i odpowiedniej broni śmiertelne ciosy mogła zadać kobieta. – Henning przyglądał się uważnie byłej żonie. – Na dodatek nie miałyby pewnie problemu, żeby umówić się na spotkanie z panią Bremorą, by porozmawiać, na przykład, o mojej najnowszej książce. Nikt nie zwróciłby uwagi na krótką wizytę w biurze starego przyjaciela Alexa. Tylko dłaczego miałyby się do tego posunąć? Wy, rozumiem, wiecie znacznie więcej ode mnie, ale mnie żaden motyw nie przychodzi do głowy.

– Nam, niestety, też nie – przyznał Bodenstein. – Dobrze, chodźmy może z powrotem do biura. Musimy przekazać panu Winterscheidowi, że przed dwudziestoma ośmioma laty jego wuj zniszczył mu życie.

Bodenstein otworzył drzwi do gabinetu Henninga, ale zanim weszli do środka, lekarz złapał byłą żonę za ramię.

– Jesteś jeszcze na mnie zła? – zapytał.

– Żałuję, ale nie – przyznała Pia i się uśmiechnęła. – Znasz mnie przecież. Nie potrafię długo się gniewać. Na nikogo. A już tym bardziej na ciebie.

Potem wrócili do środka. Carl Winterscheid stał przy oknie z telefonem w dłoni. Był śmiertelnie blady. Julia Bremora siedziała przy stole i miała na twarzy wypisane przerażenie i szok, jakby stanął przed nią morderca z zakrwawioną siekierą.

– Właśnie dzwoniła do mnie kuzynka – oznajmił Winterscheid zachrypniętym głosem. – Przekazała mi, że przed chwilą zatrzymano mojego wuja pod zarzutem zabójstwa mojej matki. Czy to prawda?

*

Julia czuła się nieswojo i nie na miejscu. Ta sprawa w zasadzie nie powinna jej obchodzić, ale kiedy chciała odejść, Carl zatrzymał ją i poprosił, żeby została. Dlatego siedziała teraz przy dużym stole konferencyjnym, z Marią Hauschild i Dorotheą Winterscheid-Fink i liczyła upływające minuty. Nikt nic nie mówił, bo w zasadzie wszystko zostało już powiedziane, a słowa i tak nie mogły zmienić tego, co się już wydarzyło. Przerazająca prawda, która dziś ujrzała światło dzienne, była trudna do pojęcia. Jedzenie, które Julia dwie godziny wcześniej przyniosła z Sushi Circle przy Starej Operze, stało na stole nienapoczęte. Przez okno wpadało gasnące światło dnia, a noc powoli przejmowała władzę nad miastem.

Carl od pół godziny siedział za swoim biurkiem pogrążony w katatonicznym stuporze i wpatrywał się w portret dziadka. Co się działo w jego głowie? Czy spodziewał się odpowiedzi swojego przodka? A jeśli tak, to na jakie pytanie? Smutny widok sprawiał, że Julię bolało serce, ale nie wyobrażała sobie, że mogłaby podejść i pocieszyć go gestem albo słowem. Od południa, kiedy dowiedział się, że jego wuj dwadzieścia osiem lat wcześniej zabił jego matkę, z żelazną konsekwencją tłumił i kontrolował swoje uczucia. Wszystko, co słyszał od policji i co odczytali mu z akt sporządzonych w 1990 roku, przyjmował z kamienną twarzą i nie zadawał żadnych pytań, a Julia nie była pewna, czy w ogóle jest w stanie zrozumieć, co się do niego mówi. W mieszkaniu Waldemara Bära policja zabezpieczyła tajemniczą skórzaną torbę, która najprawdopodobniej należała do matki Carla. Zawierała między innymi dzienniki Kathariny Winterscheid, z których Waldemar skopiował kilka fragmentów i wysłał anonimowo do paru osób, w tym do Alexandra Rotha i Heike Wersch. Funkcjonariusze byli przekonani, że Bär stał również za wysyłką zabawkowego autka i manuskryptu Kathariny, chociaż nie potrafili zrozumieć, dlaczego ani po co to zrobił. Ku niedowierzaniu Julii wydawali się przy tym przekonani, że to on zamordował Heike Wersch, a potem otruił Alexandra Rotha metanolem, jednak nie byli w stanie wyjaśnić, co nim kierowało i co chciał w ten sposób osiągnąć. Wystarczająco przerażającym doświadczeniem było dowiedzieć się, że ludzie, których się znało i z którymi się współpracowało, zostali zamordowani, jednak jeszcze większym wstrząsem okazywała się świadomość, że zna się również sprawcę. I że się go... lubi. Julii nie mieściło się w głowie, że Waldemar Bär mógłby dokonać obu zbrodni. To

najzwyczajniej w świecie do niego nie pasowało. Ale czy nie było przypadkiem tak, że niedowierzanie sąsiadów i znajomych było zjawiskiem powszechnym, kiedy kogoś, kogo, wydawałoby się, dobrze znali, podejrzewano o popełnienie morderstwa?

Po opuszczeniu Instytutu Medycyny Sądowej Carl zadzwonił do kuzynki i do swojej matki chrzestnej i poprosił je o spotkanie w wydawnictwie. Obie kobiety płakały, próbowały mu coś tłumaczyć i go obejmować, jednak szybko zrozumiały, że woli zachować dystans, bez kontaktu fizycznego. Od tamtego momentu siedziały w milczeniu, a cisza, jeśli jej zaufać, przynosiła często jasność i zrozumienie. Julia zauważyła, że jej myśli układają się w logiczny ciąg, który nagle zaczął mieć sens, choć wcześniej go nie dostrzegła.

Kiedy zauważyła papierową torbę w biurze gospodarza wydawnictwa? Zapamiętała ją przez nadruk – *Le dernier espace de liberté sur la terre, c'est la mer* – który tak jej się spodobał, że zapytała go o to. Następnego dnia znalazła ją starannie złożoną na swoim biurku, więc poszła podziękować Waldemarowi za prezent. To było niedawno. Trzy tygodnie temu? Pewnie tak. W każdym razie na pewno nie dłużej niż przed miesiącem. Na pewno przed całym tym cyrkiem z Severinem Veltenem i publicznymi obraźliwymi wypowiedziami Heike Wersch w prasie.

– Był pan we Francji? – zapytała go wówczas.

– Tak, ale tylko na krótko – odpowiedział i się uśmiechnął. – Pojechałem odwiedzić starą przyjaciółkę, która jest ciężko chora.

Stara przyjaciółka. We Francji. A co mówił ten policjant, Bodenstein? Że Waldemar Bär był zakochany w Ségolène, au pair, która pracowała u Kathariny Winterscheid. *Stara przyjaciółka*. Maria Hauschild twierdziła, że był zakochany w matce Carla. Nigdy ani słowem nie wspomniała o istnieniu niani. Dziwne.

– Ile lat miała Ségolène, niania Carla, która pracowała dla jego matki? – Julia miała wrażenie, że jej głos zabrzmiał nienaturalnie, przerywając ciszę.

– Około dwudziestu, z tego, co pamiętam – odparła Maria Hauschild z wyraźną ulgą, że może się odezwać.

– Tak, ledwie dwadzieścia – potwierdziła Dorothea Winterscheid-Fink. – Dlaczego pani o to pyta?

– Tak tylko. – Julię opanowała przemożna chęć zerwania się na równe nogi, wybiegnięcia z biura i sprawdzenia, gdzie ma tę papierową torbę. Pamiętała jak przez mgłę, że pod wydrukowanym cytatem znajdował się adres jakiejś strony internetowej. Policja szukała Waldemara Bära w całym kraju, ale możliwe przecież, że już dawno wyjechał za granicę, do Francji właśnie. Do swojej starej przyjaciółki, która była ciężko chora.

– Pamiętam ją nawet – oznajmił Carl niespodziewanie. – Śpiewała mi francuskie piosenki, a ja poprawiałem ją za każdym razem, kiedy robiła błąd, mówiąc po niemiecku. Powiedziała mi kiedyś, że jej imię w moim języku to Sieglinde. Uważałem, że to niesamowicie zabawne. Często zabierała mnie na basen. Nie bała się skakać z trampoliny wysokiej na siedem metrów. Bawiliśmy się klockami i samochodzikami... – Zamilkł, rozejrzał się i zatrzymał wzrok na Julii. – Dziwne. Od kiedy nie zakazuję sobie myślenia o matce, wraca coraz więcej wspomnień z nią związanych.

Wstał i się przeciągnął. Wyglądał, jakby wracał do życia i znów wypełniała go energia, bo pozbył się z barków ciężaru, który od lat przygniatał go do ziemi. W końcu wiedział. I mimo że poznana prawda była smutna i ponura, zyskał pewność, że jego matka nie była egoistką i nie zostawiła go samego z własnej woli.

– Kiedy czytałem manuskrypt, który mi zadedykowała, czułem się trochę tak, jakby do mnie mówiła. – Sięgnął do opakowania z sushi, które czekało na stole, wyjął ze środka california roll i zaczął jeść.

– Jaki znowu manuskrypt? – Dorothea nie kryła zaskoczenia.

– Książka napisana na maszynie do pisania. Moja matka miała ogromny talent. I świetny styl, prawda, Julio?

– Tak. Ja... – Julia przerwała. Niespodziewanie przypomniała sobie o książce, która bardzo mocno kojarzyła jej się z manuskrytem Kathariny i o tym, że kiedy zdjęła ją z półki, niemal natychmiast znalazła miejsce, którego szukała. – W powieści Kathariny pojawia się kotka, taka czarna, z czterema białymi łapkami...

– ...o imieniu Sel de Mer, jak nasza kotka – dokończył Carl. – Maria, pamiętasz chyba naszą kotkę, prawda?

– Selli! O Boże, oczywiście, że ją pamiętam! – Maria Hauschild była tak poruszona, że głos uwiązł jej w ściśniętym gardle. – Katharina wyłowila ją w porcie

z wody!

– Tak, też ją pamiętam – potaknęła Dorothea. – Dożyła bardzo podeszłego wieku. Zabrałeś ją ze sobą do willi.

Julia zastanawiała się przez chwilę, czy powinna wtajemniczyć ich w swoje wyjątkowo zaskakujące odkrycie, jednak uznała, że to nie jest najlepszy czas, bo zanim powie o tym Dorothei i Marii, wolałaby porozmawiać z Carlem. Była pewna, że niedokończony manuskrypt nie był pierwszym dziełem Kathariny. Co więcej, miała bardzo konkretne podejrzenia, co się stało z jej pozostałymi pracami.

– Ogromnie żałuję, że Katharina nigdy nie dała mi niczego do przeczytania. – Maria Hauschild uśmiechnęła się tęsknie. – Och, Carl! Tyle mogłabym ci o niej opowiedzieć! Strasznie mi jej brakuje.

– Mnie też – szepnęła Dorothea Winterscheid-Fink i zupełnie nieoczekiwanie zalała się łzami.

– Tak mi przykro, tak niewyobrażalnie przykro! – szlochała. – Zrobiłabym wszystko, byle tylko naprawić to, co zrobił mój ojciec!

Słyszając słowa kuzynki, Carl wstał zza biurka i podszedł do niej. Podniósł ją z krzesła, wziął w ramiona i mocno przytulił.

– Nie musisz za niego przeproszać, Doro – powiedział cicho. – To nie była twoja wina, nie ponosisz za to odpowiedzialności. Za to my, we dwoje, możemy uczynić z tego wydawnictwa coś wspaniałego! Przed chwilą radziłem się naszego dziadka i jestem przekonany, że spodobałby mu się mój pomysł.

– Twój pomysł? Jaki? – Dorothea siąknęła nosem i z wdzięcznością skinęła głową, kiedy Julia podała jej chusteczkę.

– Zmienimy nazwę wydawnictwa. – Carl uśmiechnął się radośnie. – Znow będzie się nazywało Liebman, jak na początku.

*

– Jak daleko jesteś z dziennikami? Udało ci się coś znaleźć? – zapytała Pia, kiedy weszła do sali odpraw i zobaczyła Tarika.

– Rany, ty masz w ogóle pojęcie, ile ona pisała? Do tego jeszcze te wszystkie imiona, przezwiska i inicjały, które trzeba rozszyfrowywać! – poskarżył się Tarik. – To potrwa jeszcze kilka dni, mimo że Kathrin zgodziła się mi pomóc. Zacząłem

lekturę od ostatniego dziennika, który kończy się wpisem w przeddzień śmierci Kathariny.

– Ja wprawdzie bardzo szybko czytam, ale absolutnie nie ma mowy, żebyśmy do jutra uporali się z całym materiałem – potaknęła Kathrin. – Pierwszy dziennik już skończyłam, ale w trakcie trzeba robić notatki, więc to się przeciąga.

– Właśnie pomyślałam, że wiem, jak rozwiązać ten problem. – Do rozmowy wtrąciła się dyrektorka Nicola Engel. – Otóż możecie nie wiedzieć, ale Severin Velten ma fotograficzną pamięć. Zejdę i zapytam, czy nie zechciałby nam pomóc.

Odstawiła filiżankę z kawą na stół, wstała i wyszła z sali odpraw.

– Przyjmę każdą pomoc, jaka się nawinie – burknął Tarik z frustracją. – Może ten największy pisarz naszych czasów jednak na coś się przyda.

Bodenstein wrócił do swojego biura i zabrał się do lektury akt. Stare dokumenty obudziły wspomnienia, a fotografie przywołały szczegóły, o których już zapomniał: leniwa, letnia noc, wewnętrzny dziedziniec z wieloma balkonami, na których, mimo późnej pory, zbierało się coraz więcej ciekawskich mieszkańców kamienicy. Na chodniku, w jaskrawym świetle policyjnych reflektorów zakrwawione ciało młodej kobiety; wyglądało jak rzucona bezwładnie szmaciana lalka, z nienaturalnie powykręcanyimi rękoma i nogami. Jakaś kobieta prowadziła do samochodu zapłakanego chłopca. Sąsiedzi, którzy niczego nie widzieli i niczego nie słyszeli. Bodenstein wziął do ręki protokoły przesłuchań świadków. Nikt nie przyłożył się wtedy do pracy, bo rozmowy przeprowadzono jedynie z Margarethe i Dorotheą Winterscheid, Marią Hauschild – wówczas jeszcze noszącą panięskie nazwisko Molitor, Waldemarem Bärem, trzema mieszkającymi po sąsiedzku osobami, kilkoma pracownikami wydawnictwa i lekarzem rodzinnym zmarłej. Brakowało za to protokołu przesłuchania niani, której istnienie zostało jedynie wspomniane przez ówczesnego przełożonego Bodensteina nadkomisarza Menzla w krótkiej notatce, którą Oliver musiał dwukrotnie przeczytać, by ją zrozumieć: „operka???”. Z wyjątkiem Waldemara Bära wszyscy zeznali, że po śmierci męża Katharina Winterscheid zmagająca się z bardzo ciężką depresją i z jej powodu była pod opieką specjalisty. Z zaprotokołowanej rozmowy z jej lekarzem wynikało, że tylko raz przepisał jej delikatny środek uspokajający, i to w dodatku krótko po śmierci Johna Winterscheida. W mieszkaniu kobiety nie trafiono na list pożegnalny, a współpracownicy z wydawnictwa, w których towarzystwie Katharina spędziła

wieczór na jakiejś imprezie firmowej, pamiętali, że bolała ją głowa, więc chciała wcześniej wrócić do domu i wyszła kwadrans przed dziesiątą wieczorem.

Bodenstein próbował zrozumieć, jak jego ówczesny szef podszedł do tej sprawy. Z dzisiejszej perspektywy, z wiedzą, którą teraz dysponował, natychmiast dostrzegł niepokojące braki w dochodzeniu. Czy ktoś sprawdził, kto zajmował się chłopcem, kiedy denatka brała udział w wieczornej imprezie firmowej? Jego au pair? Dlaczego nikt jej nie przesłuchał? Bodenstein wrócił do zdjęć mieszkania, do którego wówczas nie wszedł, i zaczął je analizować. W jaki sposób Henri Winterscheid dostał się do środka? Dlaczego wybrał tak późną porę na rozmowę ze szwagierką? Skoro z imprezy firmowej w muzeum wyszła dopiero kwadrans przed dwudziestą drugą, nie mogła dotrzeć na miejsce przed wpół do jedenastej wieczorem. Bodenstein wrócił do początku akt. Zgłoszenie od kogoś z sąsiadów na numer alarmowy przyszło o dwudziestej drugiej czterdzieści dwie. W tym czasie Katharina już nie żyła i leżała na chodniku pod balkonem. Mężczyzna mieszkający na parterze w kamienicy naprzeciwko zobaczył, jak kobieta spada, sięgnął po telefon i zadzwonił na policję. To z kolei oznaczało, że Henriemu Winterscheidowi niecałe piętnaście minut zajęła rozmowa, która zmieniła się w kłótnię, i wypchnięcie szwagierki przez barierkę. Co w tym czasie robiła au pair małego Carla? Czy do ziewczyna próbowała ich rozdzielić? Czy może była w swoim pokoju? Albo zajmowała się chłopcem?

– Szefie? Christian przyjechał. – Pia zajrzała do jego biura. – W mieszkaniu Waldemara Bära trafili na coś, co cię zainteresuje.

– Ja też trafiłem na coś interesującego w aktach policyjnych. – Oliver wstał z za biurka. – Niestety, strasznie niestarannie potraktowaliśmy wtedy tę sprawę. Mimo to mam wrażenie, że z tą nianią coś nie gra. Nie dość, że nikt jej nie przesłuchał, to, wyobraź sobie, w żadnym miejscu nie pada nawet jej nazwisko!

Razem weszli do sali odpraw. Wszyscy pracownicy K11 byli już na miejscu, poza tym dołączyła do nich Nicola Engel, która z celi w piwnicy przyprowadziła Severina Veltena. Bodenstein zobaczył go przez otwarte drzwi w jednym z pustych biur, jak siedział schylony nad jakimiś papierami, a obok czekał stos dzienników i butelka wody.

– Co on tam czyta? – zapytał Oliver swojej przełożonej.

– Ten manuskrypt, który mi przynieśliście. Jak skończy, zabierze się za resztę twórczości tej kobiety.

– Poradzi sobie z tym?

– Powiedział, że na manuskrypt potrzebuje około dwudziestu minut i po dwie godziny na każdy z dzienników – wyjaśniła. – Fascynujące, prawda? Przeczytanie całego wydania „FAZ” zajmuje mu kwadrans, a jak skończy, zna wszystkie artykuły na pamięć.

– Nieźle. – Bodenstein wrócił do współpracowników.

– Waldemar Bär przygotował sobie kopie anonimowych listów, które rozsyłał i trzymał je w sypialni – zaczął Kröger i podał Bodensteinowi kartkę umieszczoną w przejrzystej koszulce. – Znaleźliśmy to w szufladzie przy jego łóżku.

– Pamiętasz ten fragment, który Maria Hauschild mi wczoraj przesłała, a dzisiaj przyniosła? – zapytała Pia. Głos jej drżał z ekscytacji. – Zgodnie z tym, co znaleźliśmy u Bära, to był fragment, który przesłał Heike Wersch, a nie jej! Maria Hauschild dostała zupełnie inny fragment dziennika!

Szanowna Pani

Maria Hauschild

Agencja Literacka Hauschild

Untermeinanlage 211

60311 Frankfurt nad Menem

Wiem, co zrobiłaś latem 1990 roku. I ty też to wiesz.

Frankfurt, 5 sierpnia 1990

Dłużej już jej nie zniosę, po prostu nie dam rady! Pluję sobie w brodę, że w ogóle przystałam na nalegania Marii i dałam jej coś swojego do przeczytania. Nie mam pojęcia, jak tego dokonała, ale udało jej się przekazać jeden z moich manuskryptów temu całemu Erikowi i gość nie daje teraz spokoju, bo koniecznie chce to wydawać! Musiała mi go wykraść, a ja, głupia, nie zauważyłam. I jeszcze zachowuje się, jakby robiła mi wielką przysługę! Przecież dałam jej jasno i wyraźnie do zrozumienia, że NIGDY nie zgodzę się, żeby któraś z moich książek ukazała się pod pseudonimem w jakimkolwiek innym wydawnictwie niż moje własne! A już na pewno nie rozmawiałabym o tym z Erikiem. Gość jest równie uciążliwy jak ona. Strasznie zawiodła moje zaufanie i jestem na nią wściekła!!!

To są MOJE historie! Nie chcę, żeby ktokolwiek je czytał, dopóki sama nie wyrażę na to zgody. Co wieczór siedzi tu i gapi się na mnie cielecym wzrokiem. Wczoraj zupełnie poważnie się rozryczała i zarzuciła mi, że nie chcę, żeby dostała pracę w agencji Hauschild. Że co, proszę?! Może lepiej niech poszuka autorów, którzy szukają agenta! Kazałam jej zwrócić klucze do mojego mieszkania. Jej argument, że kto się będzie zajmował Carlem, nie ma już żadnego znaczenia. To zadanie Ségolène, przynajmniej do września. Potem się zobaczy. Tak czy inaczej, nie chcę jej tu nigdy więcej widzieć. Dostaję gęziej skórki, kiedy tylko o niej myślę...

– Jakoś nie mam wrażenia, żeby rzeczywiście były takimi superprzyjaciółkami – zauważył Bodenstein.

– No raczej. Maria mnie okłamała. Powinna była zdać się na swoją intuicję. Jej troska o Heike Wersch wydawała mi się troszkę przesadzona. A to, jak potem rozbiła szybkę w drzwiach kuchennych! Dopiero teraz rozumiem, dlaczego była taka przerażona, kiedy zobaczyła wysprzątaną kuchnię i nie mogła znaleźć zwłok! Zupełnie się z tym nie liczyła! – Pia niemal wyrwała mu z ręki koszulkę z kartką. – Rozumiesz, co oznacza fakt, że posiadała fragment, który Bär wysłał Heike Wersch, prawda?

– Oczywiście. Heike wcale nie wyrzuciła anonimowej przesyłki. – Bodenstein potaknął. – Włamanie. Już wiemy, kto go dokonał: Maria Hauschild. Tylko po to, żeby go zabrać. Tak jak przypuszczałem.

– Sorry, szefie, że wąpiłem – mruknął Cem.

– Dobra, to teraz powiedzcie mi, dlaczego jej tak na tym zależało? – Pia zmarszczyła czoło. – Co takiego strasznego wynika z tego fragmentu, może poza tym, że stawia Marię w niezbyt dobrym świetle?

– A co z fragmentem przesłanym do Henriego Winterscheida? – zapytał Bodenstein.

– Też go mamy. Proszę. – Christian podał mu kolejną kopię.

Szanowny Pan

Henri Winterscheid

August-Siebert-Strasse 61

60323 Frankfurt nad Menem

Wiem, co zrobiłeś latem 1990 roku.

Frankfurt, 11 lipca 1990

Henri to obrzydliwa świnia! Zboczeniec, który nie potrafi trzymać rąk przy sobie! Ségolène, biedactwo, nie mogła się uspokoić! Zażądam dzisiaj od niego wyjaśnień. To będzie ostatnie skierowane do niego ostrzeżenie. Tym razem jestem cholernie poważna i porozmawiam z Margarethe. Jestem za tę dziewczynę odpowiedzialna i zgłoszę go na policję, jeśli jeszcze raz w czasie mojej nieobecności wejdzie do mojego mieszkania, żeby ją napastować! Facet myśli kutasem zamiast głową!

Nicola Engel skrzywiła się z obrzydzeniem.

– Wszystko chyba jasne. Zostawcie to mnie – stwierdziła. – Ten facet jednak nie zasłużył na areszt domowy i nadzór elektroniczny.

– Waldemarowi Bärowi musiał zawalić się świat, kiedy się zorientował, wobec kogo był tak lojalny – mruknął Bodenstein.

– Tak nawiasem mówiąc, w pierwszym dzienniku z 1982 roku Katharina też nie przebiera w słowach, kiedy pisze o Marii – odezwała się Kathrin. – Dopiero co wprowadziła się do jej mieszkania i Heike jej powiedziała, że to Maria zamknęła ojca w saunie, bo zabronił jej wyjść gdzieś ze znajomymi. Zresztą, sami posłuchajcie. Sekunda... o, już mam: *Te dziewczyny są strasznie dziwne. Zachowują się, jakby były najlepszymi przyjaciółkami, ale wystarczy, że któraś się oddali, a pozostałe jada po niej jak po tysej kobyle. Czy to możliwe, żeby rzeczywiście było tak, jak mówiła Heike? To by oznaczało, że Maria zabiła własnego ojca! Nie, po prostu nie wierzę. A może jednak? Nie wiem, ale ta dziewczyna jest dziwna. Ma w sobie jakieś takie wyrachowanie. Poza tym jest strasznie zazdrosna, bo z Götzem dobrze się rozumiemy. Kiedy ostatnio zaprosił mnie z nimi na wspólne wakacje we Francji, Maria zalała się łzami i zaczęła krzyczeć! Przedszkole, po prostu przedszkole.*

Bodenstein zrobił głęboki wdech. Odwrócił się w stronę Pii, a wtedy skrzyżowały się ich spojrzenia. Czy to był przełom? Czy Maria Hauschild była osobą, której od początku poszukiwali? Wprawdzie ani razu jej nie skreślił, jednak na liście najpoważniejszych podejrzanych znalazła się na samym dole, bo nie znaleźli motywu, którym mogłaby się kierować. Choć Bogiem a prawdą, nawet

teraz nie potrafił dostrzec w tym wszystkim przyczyny, która mogłaby popchnąć ją do popełnienia dwóch morderstw.

– Cem – powiedział. – Spróbuj ustalić miejsce, gdzie przebywa Maria Hauschild, i przywieź ją tutaj. Chyba powinniśmy jeszcze raz z nią porozmawiać.

– Oczywiście, szefie. Już się do tego biorę. – Cem wyszedł z sali odpraw i udał się do swojego biura.

– Nic z tego nie rozumiem – jęknęła Pia.

– Kai, wydobądź z telekomu dane logowań komórki Marii Hauschild, ale na wczoraj! – Bodenstein wydawał kolejne polecenia. – Zdążyłeś sprawdzić, czy brama na dziedziniec wydawnictwa znajduje się w polu widzenia jakiejś kamery?

– Cały czas nad tym pracuję – odparł Kai. – Za to wyjątkowo pomocny okazał się dostawca usług telekomunikacyjnych sieci, z której korzystał Waldemar Bär. Mam już zestawienie połączeń przychodzących i wychodzących z ostatnich czterech tygodni. Siedem razy dzwonił pod numer z Francji, po raz ostatni w poniedziałek o jedenastej trzydzieści siedem. To numer stacjonarny. Znalazłem go w książce telefonicznej. *Entrepreneur de construction Bonnairre & Fils* przy Rue de la Paix 112 na Noirmoutier. Firma dzisiaj już nie istnieje, ale nikt nie wyrejestrował tego telefonu i ktoś dalej z niego korzysta.

– Proszę, proszę, przynajmniej wiemy teraz, jak się nazywała niania Kathariny Winterscheid – potaknęła Pia.

– Musiała zabrać ze sobą do Francji torbę pracodawczyni, kiedy wyjechała po tym, jak Henri... – Bodenstein przerwał w pół zdania. – No właśnie... może on wybrał tak późną godzinę na odwiedzin, bo dobrze wiedział, że Katharina nie będzie w domu, a Carl o tej porze powinien już spać?

– Nie pojechał rozmawiać ze szwagierką, tylko do Ségolène – potaknęła Nicola Engel.

– Ale Katharina źle się czuła, wróciła wcześniej z imprezy i go zaskoczyła – dokończył Bodenstein. – Więc wcale nie chodziło mu o audyt biegłego księgowego. Henri Winterscheid molestował au pair z Francji, a Katharina go na tym przyłapała.

– Co za pieprzony zbok – syknęła Kathrin z obrzydzeniem w głosie. – Jeśli ją znajdziemy i zgodzi się przeciwko niemu zeznawać, facet nigdy nie wyjdzie z więzienia.

Zegar nad drzwiami wskazywał już jedenastą wieczorem, ale nikomu nie przychodziło do głowy, żeby kończyć pracę i wracać do domu.

– W poniedziałek Bär zadzwonił pod ten francuski numer, a połączenie trwało dokładnie piętnaście sekund. – Kai jeszcze raz sprawdził na wykazie. – No właśnie. Co można powiedzieć przez piętnaście sekund?

– Cześć, Ségolène, co u ciebie, bo ja właśnie zamordowałem dwie osoby i muszę stąd spadać. Mogę się zamelinować u ciebie, na Noirmoutier? – powiedziała Pia, wypluwając z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego. – Coś w tym stylu.

Tarik siedział przy stole i nerwowo kartkował jeden z czarnych notesów.

– Przecież to widziałem, pamiętam dokładnie! – mruzczał. – Gdzieś już to widziałem, to nazwisko! Rzuciło mi się w oczy... Cholera, w którym to było roku? I w jakim kontekście?... Mam! – zawołał nagle. – Dwudziestego trzeciego lipca 1987 roku Katharina zapisała: *Cudowny dzień pod żaglami z Marie-Hélène, Hervé i dziećmiakami. Rzuciliśmy kotwicę przy Plage de Dames i zrobiliśmy sobie piknik, a John i Hervé podpłynęli łódką na brzeg. Z Ségolène zrobiła się prawdziwa kobieta! Już nie można nazwać jej dzieckiem! Za dwa lata, jak tylko skończy szkołę, przyjedzie do nas na cały rok...*

Kiedy Tarik czytał, Kai nie marnował czasu i stukał szybko w klawisze komputera.

– Hervé Bonnaire był szefem firmy budowlanej – poinformował natychmiast. – Ich strona internetowa jest strasznie stara. Ostatnia aktualizacja była w 2007 roku.

– Mogę się założyć, że Waldemar Bär uciekł do swojej młodzieńczej miłości, żeby się tam ukryć – stwierdziła Pia. – Był dość bystry, żeby zostawić komórkę, bo nie chciał, żebyśmy go łatwo zlokalizowali. Nie pomyślał jedynie, że tak szybko uda się nam zdobyć zestawienie jego połączeń.

– Dobra, to co teraz z nim zrobimy? – zapytał Bodenstein. – Zwrócimy się do kolegów z Francji o pomoc?

– Jak uzasadnimy wniosek? – Nicola Egnel spojrzała na niego nieprzekonana. – Te dowody, którymi dysponujemy, są bardzo, bardzo słabe. Nie ma mowy, żeby na ich podstawie wystawić międzynarodowy nakaz aresztowania.

– W przypadku Marii mamy jeszcze mniej – mruknęła Pia ponuro i usiadła zrezygnowana na krześle.

– To jest czyste szaleństwo! Serio mamy jechać teraz prosto do Francji? – Julia nie mogła powstrzymać nerwowego chichotu, choć zupełnie nie było jej do śmiechu.

– Oczywiście! – Carl uśmiechnął się szeroko i wskazał na nawigację samochodu, gdzie Julia przed chwilą wprowadziła adres docelowy. – To tylko 1037 kilometrów. Dziesięć i pół godzinki i jesteśmy na miejscu. Według nawigacji, jutro o dziewiątej rano będziemy nad morzem!

– A jak znajdziemy pana Bära?

– Będziemy pytać miejscowych. Przecież mówisz płynnie po francusku! Damy sobie radę.

Carl włączył kierunkowskaz i wjechał na A5.

– No... tak. Niby tak – przyznała. Teraz i on mówił do niej po imieniu.

– To wszystko, czego potrzebujemy. Całą resztę załatwimy moją kartą kredytową.

Czy ten wyjazd nie był przypadkiem przesadą? Reakcją wywołaną strasznymi rzeczami, których się dziś dowiedział? Wielu ludzi reaguje na takie informacje chaotyczną hiperaktywnością, tylko po to, by po jakimś czasie się załamać.

– Nagle wróciło do mnie tyle wspomnień! Rzeczy, o których wcześniej nie pamiętałem! – mówił Carl, a Julia przyglądała się jego twarzy oświetlonej zieloną poświatą padającą z deski rozdzielczej samochodu. Uśmiechał się swobodnie, a jego chłód i dystans zniknęły bez śladu, jakby nigdy ich nie było. – A przecież miałem ledwie sześć i pół roku, kiedy po raz ostatni widziałem Ségolène. Ilekroć myślałem o przeszłości, przed oczyma miałem jej twarz i słyszałem w głowie jej głos. Moja matka zawsze była cieniem bez twarzy, stukaniem maszyny do pisania i wonią perfum – używała Calèche Hermès – i ogarniało mnie dziwne poczucie bezpieczeństwa i spokoju. Ségolène to dla mnie synonim... nieskrępowanej radości. Zabawy. Kiedy mama była w pracy, urządzaliśmy sobie wyścigi na ulicy.

– A jeśli się pomyliłam? Jeśli to nie było tak? – zapytała Julia. – Jeśli ona tam już nie mieszka? I jeśli nie znajdziemy Bära?

Wcześniej poczekała, aż Dorothea Winterscheid – już niedługo bez Fink, jak im obwieściła – i Maria Hauschild sobie pójdą, po czym zabrała Carla do swojego biura, znalazła papierową torebkę, którą dostała od gospodarza budynku,

i powiedziała szefowi, co Waldemar Bär mówił jej o swojej starej i chorej przyjaciółce, a Carl momentalnie powiązał wszystkie fakty w całość.

– To znaczy, że pojechał prosto do Ségolène, dziewczyny, w której był kiedyś zakochany! – orzekł wówczas i zmarszczył czoło. – Ale ona jest chora. Wiele bym dał, żeby choć jeszcze jeden raz z nią porozmawiać! – Spojrzał na Julię. – Ma pani jakieś plany na dzisiejszy wieczór?

– Ja... nie – odpowiedziała po chwili wahania. – Dlaczego?

– Proszę ze mną! Mam pewien pomysł!

Liczyła się z tym, że będzie chciał czegoś szukać albo pisać wiadomość do Waldemara Bära, ale zupełnie nie spodziewała się wycieczki samochodem do Francji. To był szalony pomysł, ale równocześnie bardzo ekscytujący.

– Jeśli jej tam nie będzie, to przynajmniej przeżyjemy fajną przygodę. Przejdziemy się boso po plaży i zjemy gdzieś ostrygi – powiedział Carl i uśmiechnął się lekko. – Tylko raz byłem na Noirmoutier, jeszcze jako małe dziecko. Mój wujek i ciotka sprzedali ten dom po śmierci Götza i potem już tam nie jeździli, ale mama i tata odwiedzali czasem starych znajomych taty, czyli właśnie rodziców Ségolène. Po wszystkim, czego dowiedziałem się przez kilka ostatnich dni, jestem niesamowicie ciekawy tej wyspy.

Przemknął nad nimi jakiś późny samolot zmierzający w stronę lotniska, które właśnie mijali. Carl przyspieszył. Poza nielicznymi ciężarówkami czteropasmowa autostrada była pusta.

– Nie jestem typem człowieka, który lubi takie spontaniczne akcje – wyznał Julii. – Od zawsze musiałem być rozsądny, bo byłem zdany na łaskę innych i nie czułem się przez to bezpiecznie. Później, gdy dorosłem, ta powściągliwość nie była tak dominująca. Jednak w życiu każdego jest pewien okres, kiedy kształtuje się jego charakter, i zazwyczaj przypada on na późną młodość. Dość szybko nauczyłem się ufać we własne siły i zauważać niebezpieczeństwa. Pewnie dlatego wyrosłem na kogoś zdyscyplinowanego i poukładanego, kto zawsze wszystko analizuje. Rozważam za każdym razem plusy i minusy, myślę o konsekwencjach i staram się rozsądnie podchodzić do problemów, nie angażując się w nie emocjonalnie. Na informację, że wcześniej straciłem rodziców, większość ludzi reaguje współczuciem. Myślę, że takie doświadczenie osłabia. Tymczasem moim zdaniem jest zupełnie na odwrót. Bycie zdany na samego siebie daje siłę. – Spojrzał

szybko na Julię i się uśmiechnął. – Ale, jak widać, lubię czasem zrobić coś szalonego.

– To jesteśmy chyba dość podobni – odparła.

– Wiem. – Ku zaskoczeniu Julii, Carl potaknął. – Może to dlatego od początku czułem, że mogę ci zaufać. Jesteś silną, pewną siebie i odważną kobietą. A przy tym masz zasady i myślisz o innych.

– Hm, z tą odwagą to chyba przesada. – Uśmiechnęła się.

– Jesteś bardzo odważna – zapewnił ją Carl. – A tamta sytuacja, kiedy pokazałaś Hellmuthowi Englischowi jego miejsce i wstawiłaś się za swoimi autorami? Co to było, jeśli nie odwaga?

– Hm. – Zamyśliła się. Nie wiedziała, jak się do niego zwracać, ale uznała, że mówienie sobie po imieniu będzie chyba najwłaściwsze. Mieli spędzić dłuższy czas w samochodzie, więc tak powinno być najwygodniej. – Mogę zadać ci osobiste pytanie?

– Oczywiście. – Spojrzał na chwilę w jej stronę, a ona oblała się rumieńcem. Nie odważyła się odwrócić głowy.

– Tyle złych rzeczy cię spotkało – zaczęła i miała nadzieję, że nie drży jej głos. – Jak w ogóle dajesz radę... i się nie poddajesz?

Carl milczał przez chwilę.

– Zawsze są dwie możliwości, prawda? – zaczął w końcu. – Poddać się albo iść dalej. Dla mnie poddanie się nigdy nie było opcją. Jeśli ktoś wychował się jako sierota, ma już za sobą najgorsze, co może człowieka spotkać w życiu. Większość ludzi żyje w ustawicznym strachu, że ich rodzicom może się coś stać. Mnie to nie dotyczy. A to, czego się dziś dowiedziałem, że mój wuj zabił moją matkę... przyniosło mi ulgę, niezależnie od tego, jak dziwnie to brzmi. Mój wuj jest mi zupełnie obojętny, to ktoś całkowicie bez znaczenia, a życie go dostatecznie ukarało, bo zrozumiał, że był bezwolną marionetką. Cieszę się, bo wiem teraz, jak wiele znaczyłem dla matki. To jest dla mnie ważne. – Zjechał na prawy pas. – Człowiek nie powinien marnować energii na rzeczy, których i tak nie może zmienić. Nie pozwolę, żeby moje życie niszczyli ludzie, którzy nie mają dla mnie znaczenia. Rodzice zostawili mi wydawnictwo i tym się zajmę.

Przez dłuższy czas jechali w milczeniu, a panująca w samochodzie cisza pozwoliła Julii jeszcze pełniej przeżywać bliskość Carla, jego aurę i siłę. Nie, on nie

miał narcystycznych skłonności jak Lennart, jej chory psychicznie były.

– Chciałaś mi coś powiedzieć o manuskrypcie, prawda? Zaczęłaś nawet, ale gwałtownie przerwałam – podjął Carl. – Dlaczego nie dokończyłaś wtedy myśli?

– Bo... – Julia się zawahała. Ależ był spostrzegawczy i uważny! – Bo chciałam omówić to z tobą w cztery oczy. Wydaje mi się, że trafiłam na coś ważnego.

I gdy pędzili przez noc sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, opowiedziała mu, co zwróciło jej uwagę.

*

– Proszę o powtórne podsumowanie wszystkich informacji – zdecydowała dyrektorka Nicola Engel. Bodenstein i Kai wzięli to na siebie i zaczęli na zmianę referować wszystko, co udało się do tej pory ustalić w trakcie śledztwa. Pia w tym czasie założyła okulary do czytania i zabrała się do przeglądania zawartości skórzanej torby znalezionej u Bära. Przyjrzała się obrączce i znalazła w środku grawerunek o treści: *Na zawsze Twój – Johannes – 14 listopada 1983*. W jednej z brązowych kopert znajdował się odpis aktu małżeństwa Johanna i Kathariny Winterscheidów, wystawiony przez Urząd Stanu Cywilnego we Frankfurcie nad Menem 14 listopada 1983 roku, akt urodzenia Carla Winterscheida, akt zgonu Carla Augusta Winterscheida oraz notarialnie poświadczone odpisy testamentów Johanna Carla Winterscheida oraz Carla Augusta Winterscheida, prawdopodobnie dziadka Carla Augusta, dzisiejszego szefa wydawnictwa. W drugiej kopercie znajdował się manuskrypt zatytułowany *Rodzina Winterscheidów*, autorstwa Kathariny Winterscheid, o objętości 384 stron, oraz sześć kartek połączonych biurowym spinaczem, ze starannie zapisaną listą.

– *Wiatry Camargue*, 283 strony, 1979-1980 – odczytała Pia. – *Bogowie Prowansji*, 317 stron, 1980. *Kobieta z Trocadéro*, 362 strony, 1982. – Lista jednoznacznie dotyczyła książek, a przy każdym tytule znajdowało się półstronicowe streszczenie. Policjantka spojrzała na ostatnią kartkę. Spis pozycji zamykał tytuł *W imię wiecznej przyjaźni*, z datą rozpoczęcia prac 1990.

Zazwyczaj uświadomienie sobie pewnych faktów wynikające ze skojarzenia kilku informacji następowało powoli, jednak tym razem Pia miała wrażenie, jakby ktoś oblał ją wiadrem lodowatej wody. Zmusiła się do zachowania spokoju i jeszcze raz zaczęła analizować w myślach wszystko, czego się dowiedziała i co

wcześniej słyszała. Weryfikowała fakty i eliminowała wszystkie sprzeczności, by na końcu otrzymać prawdę, niezależnie od tego, jak bardzo nieprawdopodobną.

– Słuchajcie – powiedziała, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi. Dlatego zaklaskała głośno. Bodenstein zamilkł. Dyrektorka odwróciła się na krześle. Kai oderwał wzrok od komputera. Tarik i Kathrin przestali kartkować dzienniki.

– Już wiem, o co chodzi z Marią Hauschild – powiedziała Pia i uniosła listę ze skórzanej torby. – Ona wtedy ukradła Katharinie Winterscheid łącznie piętnaście manuskryptów i prawie na pewno je opublikowała. Dla niej, agentki literackiej, to musiała być bułka z masłem. Jestem przekonana, że Heike Wersch o wszystkim wiedziała i próbowała szantażować tym Marię. Więc agentka ją zamordowała. Alexander Roth był na skraju załamania, istniało zatem ryzyko, że wszystko zdradzi. Dlatego on też musiał zginąć.

– Słyszeliście kiedyś, żeby ludzie mordowali się za jakieś manuskrypty? – zapytał Bodenstein sceptycznym tonem.

– Za jakieś manuskrypty pewnie nikt nikogo by nie zabił – powiedział ktoś niespodziewanie. Wszyscy odwrócili się zaskoczeni w stronę drzwi. W progu stał Severin Velten, nieogolony i rozczochrany. Wyglądał na zmęczonego, ale przekrwione oczy błyszczały mu ekscytacją. – Ale jeśli to manuskrypty, które przyniosły miliony euro zysku, a na dodatek pojawił się prawowity spadkobierca praw do nich, to już zupełnie inna sprawa, prawda?

– Miliony euro zysku? – Nicola Engel nie rozumiała, o czym jej ulubiony autor mówi. – Jak to?

– Manuskrypt, który właśnie przeczytałem, został napisany przez bestsellerową pisarkę Anitę Kahr. Daję głowę, że to jej pióro – wyjaśnił Velten. – Dokładnie ten sam styl narracji. Sposób doboru słów. Budowa wątków. Nastrój. Typy postaci. Świetnie wyglądający mężczyzna i cudownie piękna kobieta, tragedia lub wizja bankructwa. Czytało dla mas. Ale nie mówię tego z pogardą, wręcz przeciwnie, z dużym szacunkiem, bo to wszystko przyniosło Anicie Kahr ogromny sukces. Pod koniec dwudziestego wieku przez wiele lat była najpoczytniejszą niemiecką autorką. Jej książki zostały przetłumaczona na dwadzieścia cztery języki i nawet na trudnych rynkach w Stanach Zjednoczonych i Anglii były wielkimi przebojami. Część jej książek została sfilmowana.

Pia uśmiechnęła się z zadowoleniem, bo to, co mówił Velten, potwierdzało jej przypuszczenia.

– Kiedy po ślubie Henning zrobił ze mnie panią domu, miałam mnóstwo wolnego czasu i czytałam ogromne ilości książek – powiedziała. – Szczególną miłością darzyłam powieści Anity Kahr. Przeczytałam wszystkie.

– Ja też! – potaknęła Kathrin. – Łamacze serc i wyciskacze łez!

– Mam o nich podobne zdanie. – Nicola Engel przyznała im rację. – Mimo wszystko bardzo je lubiłam. Tylko adaptacje filmowe były dużo słabsze od książek.

– Moim zdaniem powieści są paskudne – powiedział Severin Velten. – Przeczytałem je wszystkie tylko dlatego, że moja matka się nimi zaczytywała. A tak już mam, że kiedy coś wpadnie mi w ręce, nie odłożę, dopóki nie przeczytam. Taki przymus wewnętrzny, który trwa do dzisiaj.

– Akcja wszystkich powieści Anity Kahr rozgrywa się we Francji – ciągnęła Pia. – A autorka nigdy nie pokazała się publicznie.

– To prawda – potaknął Velten. – Nie pojawiło się ani jedno jej zdjęcie, nawet na okładce, nie odbyło się ani jedno publiczne spotkanie, prezentacja powieści czy odczyt. Nic. Zero wywiadów. Ta kobieta była duchem. Strasznie mi to przeszkadzało, bo lubię mieć przed oczyma obraz człowieka, którego książkę czytam.

Pia podeszła do tablicy, na której nie zostało zbyt wiele miejsca, wzięła do ręki flamaster i zapisała ANITA KAHR.

Wszyscy, włącznie z Severinem Veltenem, przyglądali się uważnie temu, co robi. Kai zrozumiał pierwszy.

– Nie do wiary! – sapnął z wrażenia.

– Bomba! – zawył Tarik.

– Tupet, powiedziałabym raczej – uznała Nicola.

– To tylko pseudonim... – mruknął Velten.

– Nie, to żaden pseudonim. – Pia pokręciła głową. – To fałszywe dane, dzięki którym kradzież nigdy nie miała wyjść na światło dzienne.

– Nic nie rozumiem – poskarżyła się Kathrin.

– To patrz! – Pia przepisała powyżej po jednej literce z imienia i nazwiska autorki, ale w innej kolejności i... na tablicy pojawiło się imię KATHARINA.

W tej samej chwili do sali odpraw wrócił Cem.

– Maria Haushild powinna być tu za kilka minut – oznajmił i zatarł dłonie. – Udało mi się dodzwonić do niej do domu, w Kronbergu. Była już w łóżku, ale obiecała zaraz się ubrać i stawić u nas.

Bodenstein westchnął ciężko.

– Zagrała ci na nosie. Mogę się założyć, że nie przyjedzie – powiedział. – Od razu wysyłaj do niej radiowóz. I kolejny do siedziby jej agencji we Frankfurcie. Kai, dopisz dane jej samochodu do listy poszukiwanych aut.

– Coś się stało? – Cem rozejrzał się zaskoczony.

Pia w kilku zdaniach streściła mu najnowsze ustalenia.

– Niech to cholera – zaklął. – Jak mogłem być tak naiwny!

– Ja też zadaję sobie to pytanie – potaknęła Nicola Engel z dezaprobatą. – Dobrze, to co dalej?

Bodenstein marszcząc czoło, przyglądał się nazwisku, które Pia zapisała na tablicy. *Mysł!* Usłyszał w głowie głos byłego szefa, który w sprawie Kathariny Winterscheid zrobił fuszerkę, jednak poza tym był świetnym policjantem i wiele go nauczył. *Podążaj po śladach. Dokąd prowadzą?*

Podążać po śladach! No oczywiście! Jak mógł być taki ślepy! A ślady były przecież szerokie jak kilkupasmoowa autostrada i prowadziły wprost na wyspę Noirmoutier!

– Musimy porozmawiać z tamtą nianią, zanim Maria Hauschild pierwsza do niej dotrze – zdecydował Bodenstein, zmuszając się do zachowania spokoju. – Waldemar Bär przed zniknięciem dzwonił do Ségolène i coś mi mówi, że właśnie tam go znajdziemy. Maria Hauschild musiała dobrze pamiętać, że był w tej dziewczynie zakochany. I nawet jeśli na początku nie kojarzyła faktów po pojawieniu się fragmentów dzienników Kathariny, to w końcu musiała dodać dwa do dwóch i zrozumieć.

– Carl Winterscheid i jedna z jego redaktorek siedzieli razem z nią w biurze Henninga! – przypomniała sobie Pia. – Może będzie wiedział więcej od nas!

– To trzeba go zerwać z łóżka i zapytać – zdecydował Bodenstein. – Dzwonź do Carla Winterscheida i do tej redaktorki, która z nim była. Henning powinien mieć do nich numery. Tarik, ty sprawdź, w jaki sposób najszybciej dostać się na wyspę.

– Na Noirmoutier? Poważnie chcesz tam jechać? – zapytała Nicola Engel. – Moglibyśmy zwrócić się z wnioskiem o pomoc do miejscowej policji, a oni by ją znaleźli.

– Jeśli było tak, jak myślę, to ta cała Ségolène jest obok Marii jedyną osobą, która wiedziała o istnieniu manuskryptów Kathariny. – Bodenstein pokręcił głową. – Jedna z nich wykorzystwała okazję i je zabrała po śmierci matki Carla. I ja obstawiałbym Marię.

– Była bardzo sprytna, więc odczekała kilka lat z publikacją pierwszej pozycji – dokończyła Pia. – A na jej stronie internetowej nie ma ani słowa o Anicie Kahr. Czyli była również dość przebiegła, żeby nie wprowadzać jej do obiegu jako swojej autorki.

– Książki Anity Kahr ukazywały się nakładem raczej nieznanego wcześniej wydawnictwa z Luksemburga – poinformował Severin Velten. – Editions Guy Manesse...

– Maria Hauschild pochodzi z Luksemburga! – skojarzył Kai. – Jej ojciec, Jean Molitor, prowadził tam kancelarię notarialną, zanim przeprowadzili się do Frankfurtu.

Pia uwielbiała takie chwile, kiedy jeden fragment po drugim wskakiwały na swoje miejsca i nagle pojawiał się cały obraz.

– Maria Hauschild to matka chrzestna Carla Winterscheida – powiedziała. – Może nie chceć, żeby się dowiedział, co zrobiła.

– Jeśli się nie pomyliliśmy, Maria Hauschild zamordowała dotychczas dwie osoby. – Bodenstein spojrzał na swoją szefową. – A niewykluczone, że stoi za śmiercią swojego ojca i być może też małżonka, który ponoć zmarł na hiperglikemię. Ta kobieta nie cofnęłaby się przed niczym. Ségolène Bonnaire jest w dużym niebezpieczeństwie. Podobnie jak Waldemar Bär, jeśli u niej przebywa, a zakładam, że tak właśnie jest.

– Najszybciej można się tam dostać, lecąc najpierw do Nantes – poinformował Tarik sprzed komputera. – Pierwszy lot jest jutro pięć po siódmej rano, Air France. Lądowanie dwadzieścia po dziewiątej w Nantes. Stamtąd jest już tylko siedemdziesiąt pięć kilometrów na wyspę lokalnymi drogami. Gdyby udało się skołować helikopter, wystarczyłoby dwadzieścia minut.

– Zarezerwuj dwa bilety, dla mnie i dla Pii – polecił mu Bodenstein.

– I zorganizuj helikopter z Nantes na wyspę – zdecydowała Nicola Engel. – Potem ustalimy plan, co macie zrobić. Tam na miejscu jest chyba jakaś policja.

Gest bardzo oszczędnej i skrupulatnie liczącej wydatki szefowej był tyleż szczodry, co nieoczekiwany, a Pia widziała już siebie w pociągu, w wagonie drugiej klasy.

– Pozostałych chcę widzieć jutro o wpół do szóstej. – Nicola Engel przejęła dowodzenie. – Kolegę Krögera również, proszę się stawić z całym zespołem. Zatroszczę się o międzynarodowy nakaz aresztowania dla Marii Hauschild i nakazy przeszukania jej domu oraz agencji.

– Moim zdaniem może sobie pani oszczędzić wysiłku – oznajmił Severin Velten.

– Z całym szacunkiem, policyjną pracę proszę pozostawić nam – odparła dyrektorka.

– Nie chcę się wymądrzać, szczególnie po tym wszystkim, co pani dla mnie zrobiła – ciągnął Velten. – Ale nie sądzi pani chyba, że ktoś dość bystry, by przez dwadzieścia lat radzić sobie z ukrywaniem tożsamości jednej z najbardziej znanych autorek bestsellerów, w domu albo w biurze trzymał cokolwiek obciążającego, coś, co pozwalałoby przypisać mu odpowiedzialność za dwa morderstwa?

Bodenstein nie mógł powstrzymać uśmiechu. Ten cały jednonogi żuraw ostatecznie nie był aż tak oderwany od rzeczywistości, jak mogło się wydawać!

– No dobrze, to co pan proponuje? Jakie powinny być nasze kolejne kroki? – zapytała Nicola Engel, a w jej tonie słychać było nieco więcej niż tylko nutkę sarkazmu, czego jednak Velten nie zauważył.

– Hm, gdyby ta historia była fabułą kryminału, poszukałbym na jej miejscu schronienia w Luksemburgu – powiedział zupełnie poważnie. – I gdybym był Marią Hauschild, postarałbym się bardzo, żeby w Niemczech nie dało się znaleźć żadnych wskazówek co do lokalizacji tego schronienia. Jako ona, użyłbym pewnie tożsamości któregoś z reprezentowanych autorów, którzy mieszkają i płacą podatki w Luksemburgu. A całkiem możliwe, że w ogóle wymyśliłbym sobie kogoś takiego. Urzędy skarbowe niczym się nie interesują, dopóki spływają podatki.

– Aha. – Nicola Engel splotła ramiona na piersi i z nowym zainteresowaniem przyjrzała się pisarzowi. – Brzmi przekonująco.

– Tak przy okazji, przypomniało mi się, że Maria Hauschild i jej mąż mieli się rozwodzić. Taka informacja obita mi się o uszy krótko przed jego śmiercią – ciągnął Velten. – To był rok, w którym odniosłem pierwszy duży sukces literacki, a śmierć Erika Hauschilda była głównym tematem plotek i rozmów na targach. Powinniście sprawdzić, czy nie kłócili się wtedy z Marią o Anitę Kahr. Może nie czuł się swobodnie z tym sukcesem albo naciskał, żeby osobiście poznać autorkę?

Przez chwilę w sali odpraw panowała cisza. Wszyscy w napięciu czekali na reakcję szefowej.

– Może po prostu uda się pan tam jutro z nami – oznajmiła dyrektorka. – Zobaczymy, a nuż pana fotograficzna pamięć znów okaże się użyteczna.

– Dobrze. Będę gotów na piątą trzydzieści rano. – Velten się rozejrzał. – Zabrałbym chętnie te notatniki ze sobą, do celi, jeśli to nikomu nie przeszkadza. Tam przynajmniej mogę palić w czasie czytania. – Odwrócił się, żeby wyjść, ale wtedy coś jeszcze przyszło mu do głowy. – Przy okazji, zdaję sobie sprawę, że to nie ja zabiłem Heike. Ale strasznie krwawiła po moim ciosie.

*

Minęła północ, kiedy Bodenstein ruszył w stronę swojego porsche, które Lorenz odstawił dla niego na parkingu K11. W świetle latarni czarny lakier błyszczał idealnie gładką powierzchnią.

– Dobry wieczór, Oliverze – odezwał się ktoś zza jego pleców. Niewiele brakowało, a dostałby zawału serca. Odwrócił się szybko i zobaczył swoją żonę.

– Karoline! Rany boskie! Co ty tu robisz tak późno? – wydusił z siebie.

– Wiedziałam, gdzie cię szukać. – Uśmiechnęła się smutno. – Zainstalowaliśmy sobie tę aplikację do lokalizacji.

– Aha. – Bodenstein postanowił usunąć ją natychmiast po zakończeniu rozmowy i na wszelki wypadek ograniczyć innym dostęp do swojej lokalizacji. Nie przeszkadzało mu, że Karoline wie, gdzie jest, bo przecież nie miał niczego do ukrycia, ale zupełnie nie podobała mu się myśl, że Greta również ma dostęp do tych danych, korzystając z komórki mamy. – O co chodzi? Jest już późno, a jutro muszę wcześniej wstać, żeby zdążyć na samolot do Francji.

– Rzucam pracę u hrabiny von Rothkirch – oznajmiła Karoline. – Dzisiaj ją o tym poinformowałam. Nie miała pojęcia, że... że mnie porzuciłeś. Bardzo nią to wstrząsnęło. Jednak przy okazji wspomniała, że zdecydowałaś się oddać fragment wątroby Cosimie.

– Tak, mam taki zamiar – potwierdził Bodenstein.

– Dopiero co przyszło ci to do głowy? – Twarz Karoline była blada i stężała jak woskowa maska.

– Nie. Już jakiś czas temu – wyznał Oliver uczciwie. – Chciałem ci o tym powiedzieć, ale za każdym razem, kiedy wspomniałem jej imię, dostawałaś napadu zazdrości i robiłaś mi sceny.

– To prawda. – Karoline była zaskakująco zgodna. – Od zawsze byłam przekonana, że gdybyś mógł, zdecydowałbyś się do niej wrócić. I miałam rację jak widać.

– Nie. Na nic takiego się nie zdecydowałem. – Bodenstein potrząsnął głową i uniósł dłoń, żegnając Pię i Cema, którzy ich mijali, idąc do swoich aut. – Problem polega na tym, że to ty nigdy się na mnie nie zdecydowałaś. Ja od samego początku zaakceptowałem Gretę, jej ojca i jego nową żonę. Ty nie chciałaś nawet słyszeć o mojej rodzinie, nie mówiąc już o poznawaniu ich.

– Byłam potrzebna Grecie – broniła się Karoline. – Myślałam, że potrafisz to zrozumieć.

– Próbowałem zrozumieć twoje podejście. Ale ty i Greta... to nie jest normalna relacja matki z córką. To chora symbioza – mówił Bodenstein dalej. – I w tym układzie nigdy nie było dla mnie miejsca.

– Dzisiaj rano próbowała popełnić samobójstwo. – Kobiecie drżał głos. Oliver w ostatniej chwili ugryzł się w język, żeby oszczędzić jej złośliwego komentarza „O, znowu?”. Greta bowiem dość często groziła odebraniem sobie życia, jeśli matka nie będzie poświęcała jej dość uwagi. Zdarzyło jej się nawet parę razy przesunąć żyłką po skórze nadgarstka, jednak na tyle delikatnie, by nie zrobić sobie krzywdy.

– Zgodziłaś się na jej pobyt na zamkniętym oddziale psychiatrycznym? – zapytał, choć znał przecież odpowiedź.

– Nie. W porę ją znalazłam. Połknęła tabletki nasenne. Już czuje się lepiej.

Z całą pewnością. Dostała to, na co liczyła: uwagę matki.

– Karoline, nie pomogę ci. Nie potrafię i nie chcę – wyznał Bodenstein. – Nigdy nie słuchałaś moich rad i teraz też byś je zlekceważyła. Greta robi z tobą, co tylko chce. Przestań w końcu skakać wokół niej i usuwać jej wszystkie przeszkody spod nóg! Jest pełnoletnia i w końcu musi się nauczyć, że wszystko, co robimy, ma konsekwencje, z którymi musimy się mierzyć.

– Mówisz o moim dziecku! Jestem jej matką! Kto ma jej pomóc jak nie ja?

Bodenstein westchnął i pokręcił głową. Marnował tylko czas.

– Twoja córka potrzebuje profesjonalnej pomocy – powtórzył zdanie, które słyszała już od niego setki razy. – Ty nie jesteś w stanie jej już pomóc. Ty tylko pogarszasz jej stan. Naprawdę tego nie widzisz?

– To co mam zrobić? – W oczach Karoline pojawiła się rozpacz. Jak zawsze.

– Przestań wpuszczać ją do domu. Przestań dawać jej pieniądze, dopóki nie zgodzi się na pomoc psychologa.

– Nie potrafiłabym patrzeć, jak moje dziecko się stacza! – krzyknęła.

– Przecież ona już się stoczyła! – Bodenstein otworzył pilotem zamek w samochodzie. – Nie skończyła szkoły, nie ma pracy, zadaje się z jakimiś kryminalistami i próbowała podpalić stajnię pełną koni!

– To, czego jej brakowało, to obecność ojca – zaczęła Karoline. – Ja jestem temu winna.

– Przecież Greta ma ojca! Jej biologiczny tata walczył o nią z uporem aż do chwili, kiedy postanowiła okraść jego żonę i namówić ich dzieci do palenia i złodziejstwa! – Bodenstein zaczynał tracić cierpliwość. – I miała też mnie. Przez pełnych pięć lat. Dbałem o nią tak samo, jak dbałem o własne dzieci, ucząc ją też surowości i konsekwencji. Ale tobie się to nie podobało i zakazałaś mi tego.

– Ona cię kocha – wyznała Karoline niespodziewanie. – Wróć, Oliver. Proszę. Porozmawiaj z nią.

– Jeśli tak ma wyglądać jej miłość, to zaczynam się bać – prychnął Bodenstein. – I nie, nie wrócę. To koniec, Karoline. Greta mnie nie kocha. Ona chce jedynie przeforsować swoje zdanie. Za wszelką cenę. Zupełnie szczerze, Karoline, zrobiłem, co było w mojej mocy. I to wystarczy. Powodzenia.

Chciał wsiąść do samochodu.

– Oliver! Poczekaj! – poprosiła kobieta.

– Tak?

– Kochałam cię tak mocno, jak tylko potrafiłam – powiedziała.

Bodenstein przyjrzał się jej twarzy i podejrzanie błyszczącym oczom. Na próżno starał się odnaleźć w sobie to, co kiedyś do niej czuł.

– Wiem, Karoline – powiedział tylko.

– Chcesz rozwodu?

– Nie ma chyba innego wyjścia. Porozmawiajmy o tym za jakiś czas, dobrze?

Mimo tego wszystkiego, co między nimi zaszło, zgorzknienie w jej głosie sprawiło mu ból.

– Dobrze. – Skinęła głową. Pod jej spojrzeniem Bodenstein poczuł ciarki na plecach.

– Uważaj na siebie, Karoline – pożegnał się. – Zadzwoń.

Po tych słowach wsiadł za kierownicę, uruchomił silnik i odjechał.

DZIEŃ SIÓDMY

Środa 12 września 2018

Kawałek za Paryżem zrobili drugi postój. Zatankowali auto do pełna, skorzystali z toalety, kupili kilka słodkich przekąsek, napoje i zamknięte hermetycznie kanapki – nic specjalnego, ale wystarczyło, żeby uciszyć burczący żołądek. Julia usiadła za kierownicą, żeby Carl mógł odpocząć trochę na siedzeniu pasażera. W ogóle nie czuła zmęczenia. Już po kilku kilometrach szef spał w najlepsze, ze zwiniętą marynarką służącą mu za poduszkę. Autostrada była przyjemnie pusta, a asfalt suchy. Poza bramkami punktów pobierających opłaty nic nie przerywało monotonii, ale Julia bardzo lubiła jeździć nocą, a już szczególnie podobało jej się prowadzenie tak wygodnego samochodu. Ustawiła tempomat na 136 kilometrów na godzinę i wyłączyła dźwięk w nawigacji. Szerokie opony firmowego SUV-a pochłaniały kolejne kilometry, a ona pogrążyła się w rozmyślaniach. Całą drogę do Paryża przegadali. Julia chętnie odpowiadała Carlowi na pytania o swoją rodzinę. Była zaskoczona, jak naturalnie i przyjemnie się z nim rozmawiało, do tego stopnia, że czasem musiała upominać się w duchu, że przecież to jej przełożony. Wróciła myślami do Henninga Kirchhoffa i jego twardej byłej żony, która wzbudzała jej niekłamany szacunek. Dlaczego się rozeszli? Dlaczego w ogóle związki się rozpadały? Dlaczego dwoje ludzi, którzy, wydawałoby się, dobrze do siebie pasują, mimo to się rozchodzą? Rzuciła okiem na pochrapującego cicho Carla. Jak niesamowicie młodo i delikatnie wyglądał, kiedy spał! Naprawdę jej ufał! Na myśl o tym znów zrobiło jej się ciepło na sercu.

Czego spodziewała się po osiągnięciu celu tej szalonej nocnej wyprawy? Czy rzeczywiście uda im się spotkać tam, na miejscu, Waldemara Bära i Ségolène? A jeśli się spóźnią i nie zastaną jej przy życiu? Kiedy gospodarz budynku mówił jej o starej, ciężko chorej przyjaciółce, był bardzo zatroskany. Julia miała nadzieję, że Carl nie będzie zmuszony przeżywać kolejnego rozczarowania, bo mogło się przecież okazać, że Maria Hauschild do spółki z Ségolène stały za sprawą

zniknięcia manuskryptów Kathariny Winterscheid. W tej chwili nie miała już żadnych wątpliwości, że Anita Kahr to tylko pseudonim. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych znacznie łatwiej było dokonać takiej mistyfikacji i oszustwa, bo internet nie był tak rozwinięty jak dziś i nie funkcjonowały w zasadzie żadne globalne platformy społecznościowe.

Kawałek za La Manche autostrada się rozdzielała. W lewo prowadziła A11, L'Océane, do Nantes i Angers, a w prawo w kierunku Rennes w Bretanii.

Carl obudził się dopiero pod Nantes, kiedy zjeżdżali z autostrady. Za nimi, na wschodzie, zaczynało już świtać. Julia widziała w lusterku wstecznym różową kreskę horyzontu, z której promienie wschodzącego słońca rozświetlały coraz większy fragment nieba. Tymczasem przed nimi wciąż panowała noc.

– Mogłaś mnie przecież obudzić! Musiałaś sama prowadzić całą drogą od Paryża! – Carl zamrugnął zaspany, ziewnął i otworzył schowek przed sobą. – Chcesz energetyka?

– Pewnie. Chętnie. – Julia skinęła głową. Carl otworzył jej puszkę, która w klimatyzowanym schowku przyjemnie się schłodziła. Wnętrze samochodu momentalnie wypełnił przenikliwy zapach żelkowych miśków. Julia nie była wielką fanką przesłodzonego ulepku, ale napój spełnił swoje zadanie i przepędził zmęczenie, które coraz bardziej jej dokuczało. Zamienili się miejscami. Julia sięgnęła po plecak i znalazła w nim komórkę.

– O, Henning Kirchhoff próbował się do mnie dodzwonić, i to dwa razy! – stwierdziła. – Wczoraj, pół godziny przed północą.

– Racja, zupełnie zapomniałem o komórce. – Carl otworzył schowek między fotelami i wyjął swój smartfon. Był wyłączony. – Niech to diabli, powinienem był go podłączyć.

Julia weszła w ustawienia i uruchomiła roaming. Po sekundzie w samochodzie rozległa się kakofonia sygnałów powiadomień. Kilka nieodebranych połączeń, wiadomości głosowe od profesora Kirchhoffa i z jakiegoś nieznanego numeru. Otworzyła pierwszą z nich. Akurat kiedy miała się zacząć odtwarzać, również jej bateria wyzionęła ducha.

– Masz może kabelek do ładowania? – zapytała Carla.

– Nie, obawiam się, że go nie spakowałem – odparł i uśmiechnął się smutno. – Tak się spieszyliśmy z wyjazdem, że nawet mi to do głowy nie przyszło.

– Ja też zapomniałam. – Schowała wyłączoną komórkę do plecaka. – I proszę, oboje jesteśmy offline.

Dziwnie się czuła ze świadomością, że nikt nie będzie mógł się do niej dodzwonić i że sama również nie będzie miała dostępu do internetu, lecz w jakiś sposób było to też wyzwalające. Jedynym problemem było to, że nie mieli bladego pojęcia, gdzie na wyspie szukać Ségolène i Waldemara! Tyle rozmawiali na inne tematy, że właściwy cel wyprawy zszedł na drugi plan, a Carl zapomniał poprosić kuzynkę o adres domu, który dawniej należał do Winterscheidów. Dziś mógłby im posłużyć za punkt orientacyjny, tak jak pierwotnie planowali. Julii przyszło niespodziewanie do głowy, że przecież w trakcie lektury manuskryptu robiła notatki, które później wrzuciła do plecaka. W jednej z bocznych kieszonek znalazła zapisaną kartkę i odetchnęła z ulgą. Nawet jeśli Katharina Winterscheid wymyśliła sobie część tej historii, fabuła rozgrywała się w prawdziwych miejscach; Julia nie miała wątpliwości, bo sprawdzała je w miarę czytania. Na Noirmoutier rzeczywiście funkcjonowała Café Noir, a miejsce, gdzie wznosił się dom, nosiło nazwę L'Herbaudière. Może i niewiele, ale na początek powinno wystarczyć!

– Spójrz! – Carl wskazał na znak drogowy. – Jeszcze tylko sześćdziesiąt pięć kilometrów! Półtorej godziny i jesteśmy na miejscu!

*

Nicola Engel dotrzymała słowa i zadbała, by cała podróż była idealnie zorganizowana. Kiedy maszyna Air France wylądowała dziesięć minut po dziewiątej rano na lotnisku w Nantes i kołowała w pobliże terminala, Pia włączyła komórkę. Kai już jakiś czas wcześniej próbował się z nią skontaktować. Wsunęła earpods do uszu i oddzwoniła. Pasażerowie zostali poproszeni o pozostanie na swoich miejscach i ledwie samolot znieruchomiał, a silniki ucichły, stewardesa podeszła do Pii i Bodensteina, by zaprowadzić ich do wyjścia pierwszych.

– Wciąż nie mamy żadnych wieści ani kontaktu z Carlem Winterscheidem i Julią Bremorą – informował Kai. – Oboje mają wyłączone telefony. Winterscheid nie wrócił na noc do hotelu, w którym mieszka, a w mieszkaniu pani Bremory chyba nikogo nie ma, a w każdym razie nikt nie reaguje na dzwonek. Brakuje samochodu szefa wydawnictwa, więc mamy pewne obawy, czy nie zostali porwani

przez Marię Hauschild. Jej też nie możemy znaleźć. Samochód zostawiła przed agencją i wyłączyła komórkę.

– Szlag by trafił. – Pia miała wielką nadzieję, że ani redaktorze Henninga, ani szefowi wydawnictwa nie stało się nic złego. Czy mogli wpaść na ślad działalności Marii Hauschild, a ona uznała ich za zagrożenie? Już zeszłej nocy Kai i Henning próbowali się do nich dodzwonić. Wtedy jeszcze ich komórki działały. Co to mogło oznaczać? Może Maria Hauschild uciekła do Luksemburga, żeby zatrzeć ślady?! Jeśli rzeczywiście to ona stała za Anitą Kahr, na twórczości Kathariny zarobiła grube miliony i mogła sobie pozwolić na posiadanie kilku samochodów.

– Dzwoniłeś do Dorothei Winterscheid?

– Tak, rozmawiałem z nią – potwierdził Kai. – Całą trójkę po raz ostatni widziała wczoraj wieczorem, w biurze Carla Winterscheida w siedzibie wydawnictwa. Ponoć rozmawiali tylko o jakichś rzeczach bez znaczenia. Dorothea wyszła z budynku razem z Marią Hauschild.

– Dobra, w takim razie informuj...

– Czekaj, Pia! Jeszcze jedna sprawa, dość ważna. Zgłosił się do nas taksówkarz, który słyszał informację o poszukiwaniu Marii Hauschild. W zeszły piątek wieczorem, około dwudziestej pierwszej, z agencji literackiej Winterscheid odebrał niewielką kopertę. Przekazała mu ją Maria. Dobrze ją zapamiętał, bo dała mu sto euro i nie chciała rachunku. Miał zawieźć paczuszkę pod jakiś dom w Kronbergu i zostawić przy drzwiach, za doniczką.

Pia myślała gorączkowo.

– Około dwudziestej pierwszej trzydzieści Julia Bremora słyszała, jak Alexander Roth wpuszcza kogoś tylnymi drzwiami – pomógł jej Kai. – Idę o zakład, że pani Hauschild wyszła do domu swoją komórkę, żeby mieć alibi, gdybyśmy chcieli sprawdzić po logowaniach do stacji przekaźnikowych, gdzie wtedy przebywała. Ta kobieta jest cholernie bystra, Pia! Myśli o wszystkich ewentualnościach! – W jego głosie słychać było troskę. – Udało nam się znaleźć jej siostrę. Kobieta mieszka w Hanowerze i zaraz będę z nią rozmawiał.

– Daj znać, czego się dowiedziałeś – poprosiła go Pia. – I wielkie dzięki, Kai.

– Nie ma o czym mówić. Uważajcie na siebie.

Kawałek dalej czekał na nich radiowóz z dwoma osobami w środku, funkcjonariuszami *police judiciaire*, kobietą i mężczyzną w cywilu, których imion

ani nazwisk żadne z nich nie potrafiłoby powtórzyć. Okazało się na szczęście, że policjantka całkiem niezłe mówiła po niemiecku. Wyjaśniła, że jej współpracownik Yves i ona, Régine, będą towarzyszyli Pii i Bodensteinowi w trakcie wykonywania zadania na Noirmoutier. Przejechali radiowozem w inne miejsce lotniska. Na ogrodzonym siatką placu czekał helikopter z uruchomionym silnikiem i obracającymi się leniwie łopatami wirnika. Kiedy wsiedli na tylną ławkę i zapięli pasy, pilot przywitał ich skinieniem głowy.

– Za około dwadzieścia minut dotrzemy na wyspę – krzyknęła policjantka, która zajęła miejsce z przodu. Była bardzo delikatną kobietą z twarzą pokrytą piegami. Miała radosny, przyjazny uśmiech i krótkie, ciemne loki, a w odróżnieniu od swojego współpracownika wręcz emanowała pozytywną energią i niecierpliwością. Yves był raczej spokojnym, wysokim i silnym mężczyzną, którego każdy ruch wydawał się przemyślany. To były jednak pozory, bo spojrzenie miał bystre i uważne.

– Na miejscu odbierze nas ktoś z *police municipale* – poinformowała Régine. – *Gendarmerie* stacjonuje na wyspie tylko w czasie wakacji, kiedy jest dużo turystów.

– Wiecie już może, pod jaki adres mamy się udać? – zapytał Bodenstein zaskakująco poprawnym francuskim, co momentalnie wywołało potok słów ze strony milczącego dotychczas Yves'a.

– Tak, mamy adres – przetłumaczyła policjantka zdziwionej Pii.

Pilot przesunął drążek do przodu, a spokojny szum łopat wirnika zmienił się w ogłuszający łoskot.

*

Na wyspę wjechali długim mostem, a potem poruszali się dwupasmową drogą pełną rond, w kierunku Noirmoutier-en-l'Île, głównej miejscowości na wyspie. Po obu stronach rozciągały się pola ziemniaków i kukurydzy, i co kawałek mijali szyldy z napisami takimi jak *Bar aux Huitres*, *Dégustation de Crustacés & Coquillages*, *Pommes de Terres del'Île*.

– Zaraz minie dziewięta – powiedziała Julia. – Myślisz, że wypada nawiedzać o tej porze kompletnie obcą osobę?

– Najpierw musielibyśmy znać adres, żeby kogokolwiek nawiedzać. – Carl się uśmiechnął. – Zróbmy może tak: dojedziemy do tej miejscowości, kupię gdzieś

croissanty i kawę i popytamy miejscowych, czy wiedzą, gdzie znajdziemy Ségolène.

– Croissanty i kawa brzmią świetnie – uznała Julia. Znów burczało jej w żołądku. Minęło już kilka godzin od ostatniego posiłku, na który złożyły się słodczyce i kanapki z punktu przy autostradzie. Była troszkę zawiedziona samą wyspą, która na razie wydawała jej się nudna i, co tu kryć, dość brzydka. Możliwe, że po lekturze opisów Kathariny liczyła na coś znacznie bardziej romantycznego. Minęli po kolei tablicę zachęcającą do odwiedzenia motylarni, dzielnicę przemysłową, supermarket Intermarché i kilka innych sklepów. Dziwił ją nieprzyjemny zapach unoszący się w powietrzu. W końcu zobaczyła zbieracza soli przy pracy. Mężczyzna stał na brzegu płytkiego stawu wypełnionego wodą morską i długą żerdzią przyciągał do siebie bryły soli. Pozyskana w ten sposób sól gromadzona była na groblach między stawami, gdzie zastygała w śnieżnobiałe piramidki.

– Spójrz! – Aż pisnęła z zachwytu. – Fleur de Sel!

Zjechali na obwodnicę w kierunku L'Herbaudière. Mijali po drodze rozległe parkingi, które latem były pewnie całe zastawione kamperami, i niespodziewanie Julia dostrzegła to oblicze wyspy, którego od początku wyglądała. Białe domki z jasnoniebieskimi albo szarymi okiennicami, ogródki solne po obu stronach drogi, śnieżnobiała wieża ciśnieniowa, *château d'eau*, stary młyn... konie na spalonych słońcem łąkach poprzecinanych kanałami, drewniane słupy podtrzymujące przewody dostarczające prąd, co w Niemczech było nie do pomyslenia, ale za to we Francji okazało się zupełnie normalne. Port L'Herbaudière znajdował się na najbardziej wysuniętym na zachód krańcu wyspy. Carl znalazł miejsce do parkowania, wysiadł i się przeciągnął. Prawa strona mariny była zarezerwowana dla sportowych łodzi i jachtów, a po lewej cumowały najprawdziwsze kutry rybackie. Do portu wpływał akurat jeden z nich, w akompaniamencie stukotu silnika i krzyków krążących nad nim mew. Julia się rozejrzała. Niewielkie sklepiki oferujące pamiątki dla turystów, wyposażenie żeglarskie i do plażowania. Przy samym porcie kilka stłoczonych kawiarni i restauracji.

– O, tam na narożniku jest Boulangerie. – Carl się ucieszył i wskazał na szereg domów powyżej portu. W tej samej chwili Julia dostrzegła szyld z nazwą firmy, zawieszony na szarym, niepozornym budynku na rogu, po drugiej stronie parkingu.

– Dobrze trafiliśmy! Patrz, widzisz tamten sklep? To Comptoir de la mer! – zawołała. – Waldemar Bär miał torebę z jego nazwą i adresem internetowym!

– No proszę, czyli nie przyjechaliśmy tu na marne – potaknął Carl z zadowoleniem. – Chodź, kupimy coś do jedzenia i przy okazji zapytamy w piekarni, czy wskażą nam adres. Może będą wiedzieli, gdzie mieszka Ségolène.

Podeszli do piekarni, przed którą uformowała się kolejka, jednak szybko się przesuwała. Ze środka wychodzili kolejni klienci ze świeżymi bagietkami pod pachą. Julia spojrzała na wystawę i wciągnęła nosem zapach pieczywa; to wystarczyło, żeby poczuła, jak jej usta wypełnia ślina.

– Koniecznie muszę spróbować tego czekoladowego eklera – powiedziała i spojrzała na Carla, przy czym prawie wpadła na jakiegoś człowieka, który wychodził z naręczem bagietek.

– *Pardon*. – Uśmiechnęła się przepaszająco, by w następnej chwili z wrażenia prawie zaniemówić. – O, pan Bär! Dzień dobry!

*

Helikopter wzniósł się pionowo w górę, po czym szerokim łukiem skręcił w lewo i skierowany lekko w dół ruszył na południe. Pia siedziała przy samym oknie i miała wrażenie, że daleko na horyzoncie dostrzega morze. Rozpoczął się piękny dzień kończącego się lata, a ona żałowała, że jest tu sama, a nie z Christophem, z którym mogłaby spędzić leniwe popołudnie nad morzem, zjeść kilka ostryg i wychylić jedną czy dwie lampki sancerre. Zamiast wypoczynku, na wyspie, na której trzydzieści pięć lat wcześniej doszło do nigdy niewyjaśnionej zbrodni, czekała ją jedynie niepewność. Maria Hauschild miała wiele do stracenia, więc raczej nie była skora do konfrontacji. Nie mogła się spodziewać, że zdołali ją powiązać z obydwojma morderstwami. Czy może jednak tak? Co wiedziała i czego się domyślała? I czy miała na sumieniu również męża i ojca?

Jej telefon zaczął wibrować. Henning! Pia odebrała połączenie. Łomot silnika zagłuszał słowa jej byłego męża, lecz miała nadzieję, że on ją usłyszy. Wykrzyzczała do słuchawki, że Carl Winterscheid oraz jego redaktorka zniknęli i nie ma z nimi kontaktu, a jeśli ma coś ważnego do przekazania, ma napisać wiadomość na WhatsAppie.

Helikopter pędził nad płaskim terenem bagien, pełnych zieleni i poprzetykanych srebrnymi plamami wody, ze wznoszącymi się co jakiś czas farmami potężnych turbin wiatrowych. Przelatywali nad niewielkimi miejscowościami, każda z kościołem o spiczastej wieży, z białymi domami i licznymi warsztatami. W końcu pilot skierował maszynę lekko na prawo i pod nimi pojawiło się morze – niebieskie i nieskończone, gładkie aż po horyzont na zachodzie. Wyspa znajdowała się niedaleko wybrzeża. Można było dostać się na nią przez most, ale też nietypową drogą, przejezdną tylko w czasie najniższych odpływów. Helikopter leciał coraz niżej, by po kilku minutach wylądować miękko za białym budynkiem o płaskim dachu, na łące o krótko przyciętej i żółkniętej od słońca trawie. Yves otworzył drzwi helikoptera, wypuścił Bodensteina i elegancko podał Pii dłoń, by pomóc jej wysiąść.

– *Merci* – podziękowała policjantka i się uśmiechnęła.

– *Avec plaisir, madame* – odparł Yves i odwzajemnił uśmiech.

Powietrze było świeże i pachniało wyschniętą trawą i piniami.

Czekał na nich młody człowiek, który przedstawił się jako Rémy, ale jego nazwisko zabrzmiało niezrozumiale. Nosił ciemnoniebieski mundur i miał najwyżej dwadzieścia pięć lat, odstające uszy i opaloną, dziecięcą twarz.

Mógłby być moim synem – przemknęło Pii przez głowę i momentalnie poczuła się staro. Z ulgą wszystkie rozmowy zostawiła Bodensteinowi, a sama wyjęła komórkę. Brak wiadomości od Henninga. Od Kaia również żadnych wieści. Zostało pięć minut do dziesiątej rano. Najwyższy czas złożyć wizytę Ségolène, która nie nazywała się już Bonnaire, tylko Thibault.

*

Dom, w którym mieszkała Ségolène, znajdował się na obrzeżach L’Herbaudière i przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz. Na dużej działce otoczonej sięgającym pasa murkiem z naturalnego kamienia stało kilka rozpadających się szop i rudera, która błagała wręcz o rozbiórkę. Na wyblakłej tabliczce umieszczonej na ścianie dawnego magazynu przy odrobinie wysiłku dało się odczytać napis: *Entrepreneur de construction Bonnaire & Fils – Votre premier choix sur l’île*. Krzywo zawieszona brama. Po całym terenie walały się pordzewiałe maszyny budowlane, połamane sprzęty, setki zużytych opon i nawet elementy dźwigu, a wszystko to poprzerała

nieścinana trawa i zielsko. Ponury widok opowiadający smutną historię upadku niegdyś kwitnącego rodzinnego przedsięwzięcia.

– Strasznie tu wygląda, wiem. – Bär czuł potrzebę usprawiedliwienia się przed Carlem, jakby osobiście był odpowiedzialny za stan tego miejsca. – Trzeba by to gruntownie posprzątać, ale Ségolène nie jest w stanie się tym zająć. W zeszłym roku wróciła na wyspę pochować swoją matkę i wtedy już tak to miejsce zastała.

Zaparkowali na kawałku wolnej przestrzeni między wyschniętym oczkiem wodnym i stertą jakichś rupieci. Dwupiętrowy dom w charakterystycznym stylu był jedynym budynkiem, który jeszcze od biedy nadawał się do zamieszkania mimo całkowicie wyblakłych ścian i okiennic oraz dachu pokrytego mchem i opadłymi szpilkami potężnego cyprysa.

– Jej ojciec od dawna nie żyje, a rodzeństwa nigdy nie miała – tłumaczył dalej Waldemar Bär. – Przez dwadzieścia pięć lat prowadziła z mężem hotel na Martynice na Karaibach, ale ich małżeństwo się rozpadło. Krótco po rozwodzie dowiedziała się, że jest ciężko chora. Rak. Dwa miesiące temu lekarze powiedzieli jej, że już niczego więcej nie da się zrobić. Odesłali ją do domu, żeby czekała na śmierć, ale Ségolène nie miała przecież domu, więc wprowadziła się tutaj, do domu rodziców. Na poddaszu znalazła torbę, którą zabrała ze sobą z Frankfurtu, bo Katharina – pańska matka – poprosiła ją o to. Torba leżała przez ćwierć wieku nieruszona, a Ségolène w ogóle o niej nie myślała – wyparła jej istnienie z głowy – zaraz wyjaśnię, dlaczego – ale teraz postanowiła, że czas ją zwrócić. Nie wiedziała tylko, jak się do tego zabrać. Dlatego napisała do mnie list. – Waldemar Bär przerwał, a kiedy wrócił do opowieści, mówił zachrypniętym głosem: – Ostatni raz widziałem ją dwadzieścia osiem lat temu. Po... po śmierci pana matki Ségolène po prostu zniknęła. Nawet się ze mną nie pożegnała. Ja... pisałem do niej przez jakiś czas, ale na żaden z listów nie doczekałem się odpowiedzi. A potem nagle, po tylu latach, odezwała się do mnie. Napisała, że jest ciężko chora i niedługo umrze, ale przed śmiercią chciałaby mnie jeszcze raz zobaczyć, bo nigdy o mnie nie zapomniała.

Serdeczny i zawsze gotowy do pomocy mężczyzna, którego Julia nigdy wcześniej nie widziała w koszulce polo i džinsach, odłożył bagietki na dach swojego samochodu i wyjął chusteczkę, by wytrzeć nos. Ależ smutno brzmiała ta historia, tym bardziej że nie miała szans na dobre zakończenie.

– Ani przez chwilę się nie wahałem. Od razu przyjechałem na Noirmoutier. To był początek sierpnia – ciągnął Bär. Jego twarz na chwilę rozjaśnił delikatny uśmiech. – Nie spodziewałem się, że jeszcze kiedykolwiek w życiu ją zobaczę. Ségolène była i jest miłością mojego życia. I mówię to z pełnym przekonaniem. Nie było ani jednego dnia, od kiedy wyjechała, żebym o niej nie myślał i nie zadawał sobie pytania, dlaczego mnie zostawiła. Nawet nie wyobrażacie sobie, jak trudno jest żyć, nie znając odpowiedzi na takie pytanie.

– Potrafię to sobie wyobrazić – powiedziała Julia ze współczuciem.

– No cóż. – Bär nabrał kilka razy głęboko powietrza. – Cudownie było znów ją zobaczyć i jednocześnie strasznie, bo jest bardzo ciężko chora i wiem, że to nie jest druga szansa od losu. Dała mi tę torbę. W środku znajdowały się dzienniki pańskiej matki. Miałem zamiar od razu ją panu przekazać, bo to przecież pańska własność. Ale kiedy wróciłem do Frankfurtu, pani Wersch rozpoczęła właśnie swoją mściwą krucjatę i nie znalazłem odpowiedniego momentu, by z panem porozmawiać. Pozwoliłem sobie przeczytać manuskrypt, który też był w środku, a który później wysłałem panu pocztą.

– Tak samo jak moje niebieskie autko – domyślił się Carl.

– Tak jest. Ono też było w tej torbie. Ségolène zabrała je ze sobą. – Bär potaknął. – Musi pan wiedzieć, że jako dziecko każde wakacje spędzałem tu, na wyspie. Dorastałem z Dorotheą i Götzem. Byliśmy jak rodzeństwo, a państwo Winterscheidowie zabierali mnie zawsze ze sobą, bo już jako dziecko cierpiałem na astmę. W trakcie lektury powieści pańskiej matki rozpoznawałem wszystkie opisy i oczywiście od razu zrozumiałem, czego dotyczy ta historia. Wiem, że nie wypadało zaglądać do jej dzienników, ale nie mogłem się powstrzymać. Bardzo proszę o wybaczenie.

– Nie ma o czym mówić, naprawdę nie ma – zapewnił go Carl Winterscheid.

– Zrozumiałem, że nic nie wyglądało tak, jak mi się wydawało. To mną wstrząsnęło. Wpadłem... wpadłem we wściekłość. Ale nie tylko ja byłem okłamywany. Największa krzywda spotkała panią Winterscheid. Nie wiedziałem, co zrobić. Byłem bezradny. Musiałem przyglądać się w milczeniu, jak pani Wersch próbuje zniszczyć wydawnictwo. Wtedy wpadłem na pewien pomysł. Postanowiłem dać im wszystkim nauczkę. Chciałem... chciałem ich ukarać. I napędzić strachu. Dlatego skopiowałem i rozesłałem do wszystkich odpowiednie fragmenty z dzienników pańskiej matki. Do pani Wersch. Pana Rotha. Pani

Hauschild. Pani Lintner. Pana Finka. W swojej naiwności pomyślałem, że poczują wyrzuty sumienia i okażą skruchę. Jediną osobą z ich grona, która zaczęła się bać, był pan Roth.

– Mojemu wujowi również wysłał pan fragment dziennika. – Przypomniał sobie Carl. – Dlaczego?

– Henri Winterscheid jest największym rozczarowaniem mojego życia. – Gospodarz wydawnictwa potrząsnął głową. Jego oczy niespodziewanie wypełniły się łzami, choć nie ze smutku, a okropnej złości, która przebijała z każdego słowa, które później wypowiedział. – Przez całe życie byłem lojalnym i wiernym pracownikiem, choć wiedziałem, że pan Winterscheid nie był dobrym człowiekiem. Starszemu panu Winterscheidowi, pańskiemu dziadkowi, obiecałem na łożu śmierci, że nigdy nie zostawię jego rodziny w potrzebie. I mimo że często musiałem postępować wbrew swoim zasadom, słowa dotrzymałem. Ale... ale... ten... ta świnią... to, co zrobił... i za co nigdy nie poniósł odpowiedzialności... to jest...

Ku przerażeniu Julii mężczyzna zaczął szlochać.

– Panie Bär! – Carl położył delikatnie dłoń na jego ramieniu. – Panie Bär, już wiemy, co Henri zrobił. Wczoraj przyznał się policji, że wypchnął moją matkę z balkonu i ją zabił. W tej chwili przebywa już w areszcie.

Waldemar Bär spojrział na niego z niedowierzaniem. Poruszające się gwałtownie jabłko Adama zdradzało ogromne wzburzenie. Przez chwilę nie mógł wydusić z siebie głosu.

– Ta obrzydliwa świnią zgwałciła Ségolène! – wyszeptał w końcu ściśniętym i nabrzmiętym łzami głosem. – Miała wtedy dopiero dziewiętnaście lat... i... i była jeszcze niewinna. Ale jego to nie obchodziło! Zgwałcił ją, pobił i dusił, a w tym czasie pan... pan spał w pokoju obok! On... on myślał, że Katharina pózno wróci, ale ona... źle się poczuła i szybciej wyszła z uroczystości.

– O Boże... – wyszeptała Julia i ścisnęła dłoń Carla. Jego palce zamknęły się wokół jej dłoni i mocno zacisnęły. Był równie poruszony i zaskoczony jak ona.

– Katharina... ona odciągnęła Henriego od Ségolène – ciągnął Waldemar Bär. – Była... była strasznie odważna! Chciała wezwać policję, ale... ale ten śmieć wyrwał jej telefon z ręki. Wtedy Katharina wybiegła na balkon... żeby stamtąd wezwać pomoc... ale... ale ta świnią wypchnęła ją wtedy przez barierkę. Zanim uciekł,

ścisnął Ségolène za gardło i zapowiedział jej, że jeśli komukolwiek powie, co się stało, on zniszczy jej rodzinę, bo zostanie burmistrzem, a poza tym zna wszystkich ważnych ludzi na wyspie i dobrze wie, że jej ojciec robi lewe interesy.

Bär zgarbił się i zapadł w sobie. Ból i troska pożerały go od środka. Musiał oprzeć się o samochód.

– Moja biedna Ségolène! Ze strachu prawie postradała zmysły – powiedział cicho. – Uciekła do siebie, do domu, i nie chciała już nigdy... przenigdy... myśleć o Frankfurcie. Potem wyjechała na Martynikę, bo w jakiejś gazecie znalazła ogłoszenie o pracy, i poślubiła tam pierwszego, który ją zechciał. Choć przez cały czas kochała tylko mnie. – Załamał mu się głos. Nachylił się, ukrył twarz w dłoniach i zaczął płakać. – I to akurat on, człowiek, któremu zawsze byłem wierny... on zniszczył życie Kathariny i przy okazji pana! Zniszczył życie Ségolène i moje. Kiedy się o tym dowiedziałem, miałem ochotę zabić go własnymi rękoma... nie starczyło mi do tego odwagi, a może jestem po prostu zbyt porządny. Dlatego wysłałem mu fragment dziennika... żeby się bał! Żeby ogarnęło go śmiertelne przerażenie, takie, jakie czuła Ségolène.

Julia też nie mogła powstrzymać płaczu. Straszna była historia, którą właśnie usłyszała, a już zupełnie się rozkleiła, kiedy Carl objął ramieniem Waldemara Bära, przytulił go i drugą ręką uściśnął mu dłoń. Świadomość, że Henri Winterscheid resztę życia spędzi za kratkami, była marnym pocieszeniem. Nic nie mogło zwrócić Ségolène i Waldemarowi Bärowi straconego czasu i nic nie mogło przywrócić życia Katharinie. Mimo wszystko mężczyzna poczuł ulgę, że mógł zrzucić z ramion brzemień tej tajemnicy. Zrobił głęboki wdech, wytarł nos i otarł łzy z policzków.

– Może wejdźmy do środka – powiedział i sięgnął po bagietki. – Ségolène bardzo się ucieszy, gdy znów pana zobaczy.

Carl i Julia ruszyli za nim do środka dwupiętrowego domu, który z bliska wyglądał jeszcze gorzej. Bär otworzył drzwi i wprowadził ich do niewielkiej kuchni. Odłożył pieczywo na blacie.

– *Je suis de retour!* – zawołał głośno. – *Et j'ai emmené des visiteurs.*

Skierowali się w stronę dużego salonu. Przez okna wchodziły do środka promienie słońca i padały na obitą materiałem w kwiaty sofę. Siedziała na niej wychudzona kobieta, której twarz świadczyła o zbliżającej się śmierci. Głowę

miała obwiązaną chustą, jej skóra przybrała niezdrowy, niebieskawy odcień. W jej szeroko otwartych oczach czaił się strach. Julia usłyszała, jak Carl, który szedł przodem, nabiera głośno powietrza. Mężczyzna zatrzymał się w progu tak gwałtownie, że na niego wpadła.

– Maria! Nie! Nie rób tego! Dopiero co ją... – wyjąkał Waldemar Bär.

– Zamknij się, Waldi – syknęła Maria Hauschild. – Domyślałam, że też się tu pojawisz, Carl. Zakładałam tylko, że zajmie ci to więcej czasu. Wtedy byłoby już po wszystkim.

Julia zacisnęła dłonie na ramieniu Carla. Z początku nie pojmowała, co się tu właściwie dzieje. Co Maria Hauschild robiła w domu Ségolène? Dopiero wtedy dostrzegła w jej ręku pistolet wymierzony w głowę schorowanej kobiety. Serce zaczęło jej bić jak szalone. Krew szumiała w uszach tak głośno, że nie mogła skupić myśli.

– Nie zrób niczego głupiego, Mario. – Głos Carla Winterscheida brzmiał nieprawdopodobnie spokojnie, biorąc pod uwagę fakt, że naprzeciwko stała jego matka chrzestna z bronią gotową do strzału. – Odłóż pistolet. Możemy o wszystkim porozmawiać.

– I właśnie tego błędu nie zamierzam popełnić. – Roześmiała się nieprzyjemnie. – Zawsze denerwuje mnie na filmach, kiedy ludzie tyle chrzanią, zanim pociągną za spust. Więc nie licz na to.

Jej palec przesunął się w stronę spustu. Julia przywarła twarzą do ramienia Carla. Nie chciała patrzeć, jak ta kobieta strzeli Ségolène w głowę. Ale nie chciała też, żeby postrzeliła potem Carla albo Waldemara Bära! A już zupełnie nie podobała jej się myśl, że złośliwy śmiech Marii Hauschild miałby być ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszy przed śmiercią. Jej wzrok padł na świeże pieczywo, które Bär zostawił na blacie. Puściła ramię Carla, schwyciła jedną z bagietek i nabrała głęboko powietrza. W następnej chwili kilka rzeczy wydarzyło się naraz: Julia precyzyjnie przycisnęła się obok szefa i z dzikim wrzaskiem cisnęła Marii Hauschild bagietkę w twarz, Waldemar Bär skoczył przed siebie, by osłonić kobietę na sofie, a Carl minął Julię i schwycił dłoń swojej matki chrzestnej, w której trzymała pistolet. Przez chwilę walczyli zacięcie o broń, aż nagle rozległ się wystrzał.

Pia zamarła z przerażenia. Widok, który zobaczyła przez okno, zmroził jej krew w żyłach: w dużym pokoju z ciemnymi meblami na tle otwartych drzwi tarasowych stał Carl Winterscheid z pistoletem w dłoni i celował w stronę dwóch osób skulonych na kanapie. Nachyliła się odruchowo i sięgnęła do biodra po broń służbową, lecz jej dłoń trafiła w pustkę. Cholera! Pistolet zostawiła przecież w Niemczech! Serce waliło jej jak szalone, kiedy próbowała pojąć, co się dzieje.

– *Que se passe-t-il là-dedans? Est-ce que quelqu'un a une arme?* – zapytała szeptem Régine, która przykucnęła obok, ale Pia nie zrozumiała ani słowa.

Ledwie zobaczyli volvo Carla Winterscheida i inny samochód na frankfurckich tablicach rejestracyjnych zaparkowane obok kupy gruzu i sterty porzuczonego żelastwa, Pia poczuła, jak zamiera jej serce, a Bodenstein ostrzegł od razu obecnych Francuzów, że sytuacja może stać się nieprzewidywalna i szybko eskalować, bo najwyraźniej w środku była również Maria Hauschild. A teraz przez okno widać było Carla Winterscheida z bronią w ręku! Czyżby popełnili błąd? Przyjęli błędne założenia? Czy rzeczywistość miała wyglądać zupełnie inaczej, niż myśleli?

– Pia! – szepnął Bodenstein z naciskiem. – Co tam się dzieje?

– Carl Winterscheid ma pistolet – odszepnęła, co Oliver natychmiast przetłumaczył pozostałym. Yves i Régine nie wahali się długo. Podnieśli się gwałtownie i ku przerażeniu Pii, która uznała to za skrajną lekkomyślność, bez kamizelek kuloodpornych wbiegli do domu.

– *Lâchez l'arme! Lâchez l'arme! Immédiatement!* – krzyczeli, celując ze służbowej broni w stronę Carla Winterscheida. Ten uniósł ręce nad głowę i zbaraniały patrzył na funkcjonariuszy. Z powodu otwartych na oścież drzwi zrobił się przeciąg. Na kanapie leżał Waldemar Bär i trzymał w ramionach chorobliwie wychudzoną kobietę, a na podłodze obok kulila się redaktorka Henninga i rozglądała się przerażonym wzrokiem. Julia Bremora zaczęła krzyczeć po francusku, lecz kiedy zauważyła Pię i Bodensteina, natychmiast przeszła na niemiecki.

– To nie jest broń Carla! – Głos jej się załamywał z emocji. – Odebrał ją Marii!

– Marii? Marii Hauschild? – upewnił się Bodenstein. – Gdzie ona jest?

– Chciała nas zastrzelić! Przed chwilą uciekła!

Julia Bremora wskazała na otwarte drzwi. Kobieta nie mogła opanować drżenia. Yves i Régine z bronią w rękach przeszli przez parter domu, a kiedy upewnili się, że nikogo nie ma, schowali ją do kabur. Yves założył rękawiczki i podniósł z ziemi pistolet Marii Hauschild. Wprawnym ruchem wyjął z niego magazynek, zabezpieczył i schował do woreczka na dowody. Carl Winterscheid przytulił Julię Bremorę i gładził ją uspokajająco po plecach. Waldemar Bär wstał z kanapy. Cała trójka próbowała mówić jedno przez drugie, więc Bodenstein interweniował i poprosił Carla, żeby opowiedział, co się stało. Jednak zanim szef wydawnictwa zaczął mówić, do domu wpadł młody miejscowy policjant i zaczął coś krzyczeć w stronę Yves'a i Régine, gestykulując przy tym dziko rękoma i wskazując gdzieś za siebie.

– Z tego, co zrozumiałam, Maria prawie go potrąciła – przetłumaczyła szybko Julia, która zdążyła się uspokoić. – Zapamiętał, jakim jechała autem, i zapisał numery rejestracyjne.

Po krótkiej wymianie zdań w obu językach udało się wyjaśnić francuskim funkcjonariuszom, że kobieta, która niemal przejechała Remy'ego, to osoba podejrzana o popełnienie dwóch morderstw, za którą wystawiono międzynarodowy nakaz aresztowania.

– *Venez! Venez!* – poleciła Régine z niecierpliwością i gestem dała znać Bodensteinowi i Pii, żeby ruszyli za nią.

– Zaraz wrócimy – obiecał Oliver, zwracając się do Carla Winterscheida. – Dobrze się pan czuje? Da pan sobie radę?

– Teraz już tak. – Mężczyzna skinął głową. – Nie sądzę, żeby jeszcze raz spróbowała nas dopaść.

Chwilę później Pia i Oliver siedzieli w radiowozie prowadzonym przez Rémy'ego, z Yves'em na miejscu pasażera. Z szaloną prędkością gnali wąskimi lokalnymi drogami, a kierowca nerwowo wykrzykiwał coś do mikrofonu policyjnej radiostacji.

– Będziemy mieli wsparcie, dołączy do nas jego trzech kolegów – wyjaśniła Régine, a Bodenstein przetłumaczył to Pii. – Czy ta kobieta zna okolicę?

– Obawiam się, że troszkę może znać – odparł Bodenstein. – Przed laty każde wakacje spędzała na Noirmoutier.

– Wyspę da się opuścić samochodem tylko na dwa sposoby – rozważała Régine.
– Przez most, który zaraz zamkną koledzy z *gendarmerie fromentine*, oraz *gois*, znikającą pod wodą groblą.

– Dwie godziny temu minął najniższy stan odpływu. – Yves sprawdził to na smartfonie. Nie da rady przez groblę, musi pojechać mostem.

– Moja szefowa powiadomiła policję w Beauvoir po drugiej stronie. – Rémy wyprzedził jakiś traktor i włączył sygnały świetlne oraz dźwiękowe. Miał czerwone z wrażeń uszy i przygryzał czubek języka. Pewnie marzył całe życie o prawdziwym pościgu, a nie dość, że trafiła mu się taka pogoń, to jeszcze za morderczynią! Pia była pewna, że młody człowiek przez kilka miesięcy będzie miał o czym opowiadać w lokalnej knajpie.

– Jak myślisz, co zrobi? – zapytała szefa półgłosem. – Pewnie już do niej dotarło, że nie ma szans.

– Mimo to spróbuje uciec. – Bodenstein pokiwał głową. – Maria Hauschild nie należy do ludzi, którzy się poddają.

– Oby tylko nie miała z sobą więcej broni – mruknęła Pia.

Rémy z piskiem opon pokonał rondo. Jechał tak szybko, że siła odśrodkowa zepchnęła Pię na Régine, która siedziała między nią a Bodensteinem. Francuska policjantka wydawała się rzeczowa i gotowa do działania. Pia żałowała trochę, że nie jest w stanie z nią porozmawiać. Radiostacja cały czas wydawała dziwne dźwięki. Rémy najwyraźniej powiadomił już swoich kolegów, bo znacząco zwolnili, kiedy minęli główny port wyspy i wjechali na krętą lokalną drogę. Do wszystkich dotarła już wiadomość, że Maria Hauschild ucieka srebrnym renault mégane, wynajętym samochodem na francuskich numerach.

– Nasi ludzie z lokalnego posterunku nie będą próbowali zatrzymać tej kobiety i nie zablokują drogi – przetłumaczył Bodenstein ostatnie słowa Yves'a. – Tu na co dzień nie nosi się broni. Za to na stałym lądzie mają czekać na nią funkcjonariusze z *gendarmerie nationale*, odpowiednio wyposażeni i przeszkoleni, by ją przywitać.

Ostatecznie to nie Maria zdecydowała o wyborze drogi, a ślepy los. Na rondzie w Barbâtre przewrócił się traktor wyładowany ostrygami, całkowicie blokując trasę prowadzącą do mostu. To sprawiło, że pani Hauschild pozostała jedynie grobla.

– Tam jest! – krzyknął Rémy. – Ona chyba żartuje! Nie wierzę! Chce jechać przez *gois*?! W nocy była pełnia, więc przypyływ będzie bardzo wysoki!

Po obu stronach drogi parkowały samochody. Ludzie objuczeni wiadrami i podbierakami wracali do swoich aut i odskakiwali z przerażeniem, widząc pędzącą w ich stronę srebrne renault mégane. Niektórzy wymachiwali ramionami i próbowali zatrzymać prowadzącą samochód kobietę, ale Maria Hauschild nie zważała na ich ostrzeżenia i gnała dalej. Rémy zatrzymał się przy dużej tablicy z napisami w kilku językach, włącznie z niemieckim, informującej o regularnym zalewaniu drogi przez przypyływ. Wysiedli. Pia przysłoniła oczy dłonią. Srebrny samochód szybko się oddalał, wzbijając w powietrze fontanny wody.

– Da radę! – zawołała. – Przejedzie!

– Nie, nie ma szans – zaprzeczył Rémy, który mieszkał na wyspie. – Woda wraca szybko jak galopujący koń. Grobla ma cztery i pół kilometra długości. Przypyływ dopadnie ją najpóźniej w połowie.

– Co wtedy się stanie? – zapytał Bodenstein.

– Prąd wody porwie samochód – wyjaśnił Rémy ze spokojem. – Wzdłuż drogi są dziury, których głębokość sięga sześciu czy nawet ośmiu metrów. Niestety, mimo ostrzeżeń rok w rok giną tu ludzie, którym się wydaje, że sobie poradzą, albo zasiedzieli się wcześniej w *Pêche à pied* i stracili poczucie czasu.

– Ale przecież nie możemy siedzieć z założonymi rękoma i przyglądać się, jak ktoś się topi! – oburzyła się Pia.

– Jej nie da się już pomóc.

Na miejsce przybyli kolejni lokalni policjanci i wysiedli z samochodów. Ludzie, którzy przyjechali oglądać spektakl błyskawicznie podnoszącej się wody, zorientowali się, że dziś widowisko będzie ciekawsze, niż się spodziewali. Wszyscy patrzyli na drogę, która w ciągu kilku minut zniknęła przykryta wodą, a wielu wyjęło komórki, żeby nagrywać. Yves przyjął zaoferowaną przez Rémy'ego lornetkę, wspiął się na murek i po chwili pokazał uniesiony kciuk.

– Co to znaczy? – zapytała Pia. Była oburzona, że tak po prostu puszcza się kogoś na pewną śmierć. – Co on mówi?

– Proszę się niczym nie przejmować, *madame* – odezwał się starszy miejscowy policjant, a Rémy przetłumaczył jego słowa Pii i Bodensteinowi. – Ona może się schronić w *balise*, to wieże ratunkowe z platformami, wzniesione co kilometr

wzdłuż *gois*. Niejednemu człowiekowi ocaliły życie. Ba, przyływ potrafi zaskoczyć nawet miejscowych, choć powinni być bardziej świadomi niebezpieczeństwa.

– Co teraz?

Musieli cofnąć się kawałek, bo z każdą chwilą przybliżała się do nich podnosząca się woda.

– Mamy dwa wyjścia. Możemy poczekać sześć godzin, aż przyjdzie odpływ. – Policjant uśmiechnął się szeroko. – Albo koledzy ze straży przybrzeżnej w Pornic przyłyną podjąc ją z *balise*. Tymczasem na pewno nie ucieknie.

Pia poczuła ulgę. Niezależnie od tego, jak wiele zła wyrządziła Maria Hauschild, odpowiedzialność powinna ponieść przed sądem i odbyć zasądzoną karę, a nie utonąć w Atlantyku. Choć przedtem pozostawało jeszcze udowodnić jej oba morderstwa. Ale z tym nie powinno być problemu.

Odezwała się komórka Bodensteina. Dzwoniła Nicola Engel, by zapytać o sytuację. Oliver wyjaśnił jej, co się wydarzyło, i dlaczego będą prawdopodobnie musieli poczekać jeszcze kilka godzin, zanim uda im się oficjalnie zatrzymać agentkę literacką i razem z nią opuścić wyspę. Przy odrobinie szczęścia powinni zdążyć na wieczorny lot z Nantes do Frankfurtu, jednak przed odlotem o wpół do dziesiątej chcieli jeszcze porozmawiać z Waldemarem Bärem, dawną nianią Kathariny, Carlem Winterscheidem i Julią Bremorą.

– Tak przy okazji, Velten miał wczoraj rację. – Pia zupełnie wyraźnie słyszała głos swojej szefowej. Tutaj, na południowych krańcach Europy zasięg i jakość połączenia były nieporównywalnie lepsze niż w okolicach Frankfurtu. – Na liście klientów agencji Marii Hauschild trafiliśmy na pewną autorkę z Luksemburga. Kobieta ma dziewięćdziesiąt siedem lat i przebywa w luksusowym domu opieki. Z racji demencji starczej nie ma z nią w zasadzie kontaktu, co jest bardzo praktyczne. Teraz zajmiemy się ustaleniem dróg przepływu pieniędzy wypłacanych Anicie Kahr. Co ciekawe, Maria Hauschild reprezentuje łącznie siedem osób, autorów i autorek. Nie ma ani jednego pracownika, z wyjątkiem sprzątaczk.

– Bała się pewnie, że w przeciwnym razie wyszedłby na jaw jej szwindel z Anitą – potaknął Bodenstein.

– Nie mam zielonego pojęcia, jak się to wszystko udało, ale zwróciliśmy się już z prośbą o wsparcie do władz w Luksemburgu – ciągnęła dyrektorka. – Kto wie,

może sama zainteresowana zdecyduje się na współpracę, kiedy dotrze do niej, że nie ma już szans. Ostermann rozmawiał z jej siostrą. Okazuje się, że ona nie wyklucza, że to Maria zamknęła ich ojca w saunie, a potem zabiła męża zastrzykiem insuliny. Dotarliśmy do dawnej pracownicy agencji, która pamiętała, że przez kilka tygodni przed śmiercią Erik Hauschild kłócił się o coś z żoną. Przy okazji była mowa o rozwodzie i podziale majątku.

– Mamy wystarczająco silne dowody, żeby nie wymigała się od odpowiedzialności za morderstwo Heike Wersch i Alexandra Rotha? – zapytał Bodenstein.

– Ostermann dotarł do zapisów monitoringu sklepu obuwniczego, który dzieli podwórze z wydawnictwem Winterscheid. Masz trzy próby, żeby zgadnąć, kto w piątek wieczorem krótko przed wpół do dziesiątej idzie w kierunku tylnego wejścia, a potem wychodzi dwadzieścia pięć minut po jedenastej wieczorem, w towarzystwie Alexandra Rotha z rowerem. Już? No właśnie: Maria Hauschild.

– To niczego nie dowodzi – zauważył Bodenstein.

– Zgoda. Jednak będzie jej bardzo trudno udowodnić, w jaki sposób weszła w posiadanie fragmentu dziennika Kathariny, wysłanego do Heike Wersch. – Nicola Engel była w wyjątkowo dobrym humorze. – Najlepsze i tak zostawiłam na sam koniec. Znacie mnie przecież. Alexandra Rotha dopadły jednak wyrzuty sumienia, kiedy się zorientował, że lada chwila zostanie zdemaskowane największe kłamstwo jego życia. Dzisiaj w południe odwiedziła nas jego żona i przekazała sześciostronicowy list zmarłego męża. Alexander Roth spisał go odręcznie i piątego września, a więc dwa dni po śmierci Heike Wersch, przekazał prawnikowi z adnotacją, że w razie jego śmierci ma go otworzyć. Opisał w nim wszystko, co go gryzło, od samego początku, czyli od zabójstwa Götza Winterscheida, które popełnił w obecności, choć bez aktywnego udziału Heike Wersch. Roth pisał, że Heike Wersch próbowała szantażować go tą wiedzą. Poza tym zdradziła mu, że Maria Hauschild ukradła manuskrypty powieści Kathariny Winterscheid i publikowała je potem pod pseudonimem. Tą wiedzą z kolei Heike próbowała szantażować agentkę. W poniedziałek Roth pokłócił się z panią Wersch, po czym poszedł kupić butelkę wódki, żeby wypić dla kurażu, bo chciał wrócić do Heike i jeszcze raz się z nią rozmówić. Dotarł jakoś na miejsce i w końcu wszedł nawet na posesję, bo w kuchni paliło się światło. Przez okno widział, jak Heike kłóci się z Marią. Drzwi były zamknięte, więc nie słyszał, o co im poszło, ale

agentka otwierała szufladę po szufladzie, aż w jej dłoni błysnęło coś srebrnego. I tym przedmiotem Maria Hauschild zatłukła Heike Wersch. Roth uciekł.

– Niesamowite... – Bodenstein pokręcił głową.

– Nic dziwnego, że Roth był taki nerwowy, kiedy odwiedziłam go z Cemem. – Pia się uśmiechnęła. – Film mu się urwał. Akurat!

– W piątek, w czasie wizyty w wydawnictwie, pani Hauschild najprawdopodobniej ukryła narzędzie zbrodni w lodówce w gabinecie Rotha – ciągnęła Nicola Engel.

– A butelkę z metanolem oraz rolkę woreczków w warsztacie Bära – dokończył Bodenstein. – Tylko dlaczego Maria miałaby go zabijać? Po co?

– Bo był niestabilny. Uznała, że istnieje ryzyko, że straci kontrolę i zdradzi wszystko, co wie – powiedziała dyrektorka.

– Ale przecież miał już w czwartek wypić wódkę z metanolem – przypomniała im Pia.

– No tak, racja, jeszcze jedna sprawa! – Pia i Bodenstein byli niemal pewni, że Nicola Engel uśmiecha się właśnie szeroko. – Informacje o poszukiwanych emitowane w radio i lokalnych gazetach to niedoceniana żyła złota. Jedna z sąsiadek pani Domski zeznała, że późnym popołudniem piątego września, czyli w środę w zeszłym tygodniu, widziała panią Hauschild z panem Rothem na tarasie jego domu! Pili. Zapamiętała, jakim samochodem przyjechała: białym smartem z rejestracją z Frankfurtu, bo agentka zaparkowała na miejscu, z którego ona zawsze korzysta.

– Nie wierzę – sapnął Bodenstein.

– Nic się nie przejmuj. Jutro weźmiemy panią Hauschild w obroty i zobaczysz, że do wszystkiego się przyzna. Jestem o tym przekonana – oznajmiła Nicola Engel z ogromną pewnością siebie. – Przy odrobinie szczęścia Kröger znajdzie w jej domu albo na jej ubraniu ślady krwi. I to będzie kropka nad i.

Błyszczącą tafelę wody przecięła szybka łódź, która płynęła w ich stronę.

– Muszę już kończyć – powiedział Bodenstein. – Chyba właśnie przyплыnęła straż przybrzeżna, żeby podjąć panią Hauschild z wieży przy grobli. Damy znać, jak będziemy wiedzieć, czy zdążymy na wieczorny lot.

Przerwał połączenie i spojrzał na Pię.

– Co się z nią dzieje? – zapytał, nie mogąc otrząsnąć się ze zdziwienia. – Rzadko bywa w tak doskonałym nastroju.

– Może to przez jednonogiego żurawia? – podesunęła Pia. – Nie mam pojęcia, co się między nimi dzieje, ale coś na pewno, i to coś daje jej szczęście. Cudownie.

Łódź zatrzymała się kilka metrów od brzegu, a płynący nią funkcjonariusze, krzycząc głośno, wymieniali się informacjami ze swoimi kolegami na wyspie.

Bodenstein spojrział na telefon, który krótkim sygnałem obwieścił nadejście wiadomości tekstowej.

Otworzył ją i przeczytał. Zachowując kamienną twarz.

– Wszystko w porządku? – upewniła się Pia, kiedy bez słowa komentarza wsunął komórkę do kieszeni.

– To zależy. – Oliver westchnął i spojrział na morze. – Jutro mam się stawić w szpitalu. – Stan Cosimy jest stabilny. Operacja jest zaplanowana na jutrzejsze popołudnie.

– O! – Pia stanęła obok niego. – To bierzemy się do roboty, żeby do tego czasu było już po rozmowach z Winterscheidem i spółką, a Hauschild siedziała w celi.

Łódź straży przybrzeżnej zawróciła i ruszyła spokojnie w stronę wieży, na którą Maria salwowała się ucieczką z tonącego samochodu.

– Szaleństwo – mruknął Bodenstein zafascynowany. – Nie ma śladu po tej drodze! I ile to trwało, dziesięć minut najwyżej!

– Woda wraca szybko jak galopujący koń – powtórzyła Pia zasłyszane słowa.

Czuła, jak się odpręża. Teraz Maria Hauschild nie mogła im już uciec. Jej sprawa została rozwiązana.

EPILOG

Frankfurt, 22 września 2018

Ale tłum, niesamowite! – zdziwił się Christoph, kiedy razem z Cemem Altunayem i Tarikiem Omari, ich żonami, Kathrin Fachinger i Christianem Krögerem szli przez tereny Campusu Westend w kierunku budynku IG Farben. Za barierkami tłoczyło się kilkaset osób, które z wyrazem oczekiwania na twarzach wypatrywały cierpliwie otwarcia bramek, by wejść do środka.

– Tutaj będzie też jakiś koncert? – zapytał, uśmiechając się szeroko.

– Christoph! – Pia zganiła męża i potrząsnęła głową. O czwartej po południu rozpoczynała się impreza promocyjna najnowszej powieści Henninga, noszącej tytuł *Przyjaciele po grób*, która zaraz po ukazaniu się w sprzedaży wskoczyła na czwarte miejsce listy bestsellerów.

– Oni przyszli tu tylko z ciekawości – upierał się Kröger.

– No nie, przynajmniej nie ci. – Cem pokręcił głową i wskazał na długą kolejkę oczekujących, a potem na coś przed sobą. – Jak już, to tamci.

Przed wejściem zgromadziła się spora grupka przedstawicieli mediów, włącznie z kilkoma ekipami telewizyjnymi. Ale na pewno nie tylko z powodu nowej książki Henninga. Wieść o aresztowaniu Henriego Winterscheida pod zarzutem popełnienia morderstwa szwagierki przed prawie trzydziestoma laty w całym kraju wzbudziła wielkie emocje i zapewniła dawnemu szefowi wydawnictwa wątpliwą sławę. Z podobnym zainteresowaniem opinia publiczna przyjęła ujawnienie tożsamości Anity Kahr, jak i wiadomość, że agentka Henninga Kirchhoffa okazała się podwójną morderczynią.

– Zobaczycie, że to będzie temat kolejnej książki naszego zimnego chirurga – prychnął Kröger. – On nie ma za grosz wyobraźni. Jedyne, co potrafi, to przepisywać stare akta, w których dla niepoznaki zmienia imiona i nazwiska.

– No nie, to nie jest aż tak proste, jak by się mogło wydawać. – Kathrin Fachinger wzięła w obronę byłego męża Pii Sander. – Mnie się jego książki podobają. Trzymają w napięciu i przede wszystkim są realistyczne. Poza tym fajnie, że wszyscy w nich występujemy.

– Nicola Engel jako Nadine Devil! – Tarik zachichotał. – Nieźle to wykombinował!

Wydawnictwo Winterscheid najwyraźniej liczyło się z tłumem gości, bo zawczasu rozstawiono barierki, a wejścia pilnowali ochroniarze w jednakowych czarnych ubraniach. Dzięki VIP-owskim zaproszeniom, które zorganizował dla nich Henning, bez kolejki dostali się do przestronnego holu, gdzie za kilka minut impreza miała rozpocząć się powitalną lampką szampana. Na wielkich stołach leżały wyłożone książki Henninga, które sprzedawała zaprzyjaźniona księgarnia, a obok znajdowało się stanowisko informacyjne organizacji Weisser Ring, której konto miały zasilić przychody z imprezy. Na miejscu byli już Kai Ostermann oraz Votan Velázquez, leśnik, któremu Henning również przyobiecał zaproszenie. Uważne oczy Pii wyłowiły z tłumu komendanta głównego policji we Frankfurcie i Westhessen, współpracowników jej byłego męża, dziekana Uniwersytetu Medycznego i licznych honorowych gości. Ku jej zaskoczeniu pojawił się również profesor Elard Zeydlitz-Lauenberg – dawniej Kaltensee – ze swoim partnerem Marcusem Nowakiem. Rzadko się zdarzało, by spotykała swoich dawnych podejrzanych. Początkowo była zaskoczona, lecz szybko uświadomiła sobie, że Elard musiał znać się z Henningiem, bo wcześniej wykładał na uniwersytecie, a później, już jako profesor emeritus, z pewnością uczestniczył w wielu oficjalnych uroczystościach. No i Henning był przecież świadkiem ich perypetii jedenaście lat wcześniej w ruinach pałacu w Polsce. Pia dowiedziała się od nich, że Vera Kaltensee zmarła dwa lata wcześniej w więzieniu. Siegbert również już nie żył. Jutta Kaltensee została posłanką w Parlamencie Europejskim w Brukseli, a Marleen Ritter z sukcesami zarządzała KMF. Elard i Marcus Nowak mieszkali w Mühlenhof, a w ratuszu dalej funkcjonował dom kultury. Obaj wyglądali na rozluźnionych. Nie ścigały ich już demony przeszłości. Ruiny nad Jeziorem Dobskim, w piwnicach których Pia spędziła kilka najgorszych minut życia, zostały odrestaurowane, a w dawnym pałacu powstał hotel.

– Pia – szepnął jej ktoś na ucho. Odwróciła się i zobaczyła swoją szefową. – Chodź na chwilę.

Pia przeprosiła swoich rozmówców, chwyciła Christopha za rękę i ruszyła za Nicolą Engel. Jej współpracownicy zebrali się przy stanowisku z książkami.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Robimy transmisję na żywo dla szefa – oznajmił Kai i uniósł tablet. – Bez ciebie nie zaczniemy.

– Pewnie, już jestem! – Pia się uśmiechnęła.

Bodenstein i Cosima dobrze znieśli operację. Poprzedniej środy Pii i Oliverowi udało się zdążyć na ostatni wieczorny lot z Nantes i wrócili do Frankfurtu. Maria Hauschild czekała w celi *police municipale*, aż Pia z szefem skończą rozmawiać z Ségolène Thibault, która opowiedziała im ze szczegółami, co wydarzyło się w sierpniu 1990 roku. Carl Winterscheid nagrał całą rozmowę kamerką w telefonie, a redaktorka Henninga wszystko tłumaczyła. W żaden sposób nie dało się podważyć prawdziwości zeznań dawnej *au pair*. I mimo że zarzut gwałtu dawno uległ przedawnieniu, to zabójstwo Kathariny Winterscheid nie, prokuratura zamierzała więc postawić Henriemu Winterscheidowi zarzuty. Maria Hauschild zrozumiała beznadziejność swojego położenia. W czasie jej przesłuchania Bodenstein nie był już obecny, jednak Pia opowiedziała mu później ze szczegółami, co mówiła była już agentka Henninga. Kobieta przyznała się do kradzieży manuskryptów Kathariny Winterscheid i publikacji ich pod pseudonimem Anita Kahr. Pieniądze, które w ten sposób zarobiła, miały przypaść Carlowi Winterscheidowi, prawowitemu spadkobiercy matki. Wszystkie powieści miały zostać ponownie zredagowane i wydane pod prawdziwym nazwiskiem autorki w wydawnictwie syna. Po tym wyznaniu Maria Hauschild nabrała wody w usta, jednak Pia i Nicola były przekonane, że zgromadziły dość dowodów i poszlak, by prokuratura mogła oskarżyć ją o morderstwo Heike Wersch oraz Alexandra Rotha. Nie dało się za to udowodnić, czy jako szesnastolatka rzeczywiście zamknęła swojego ojca w saunie, licząc się z jego śmiercią w takich warunkach, podobnie jak nie dało się jej dowieść, że uśmierciła męża za pomocą zastrzyku insuliny.

Kilka dni wcześniej Carl Winterscheid zwołał konferencję prasową i obwieścił, że jego wydawnictwo wraca do pierwotnej nazwy, czyli nazwiska pierwszego założyciela, i od teraz będzie publikować książki pod szyldem Wydawnictwo Liebman. Razem z kuzynką Dorotheą mieli bardzo ambitne plany, a Pia była przekonana, że było w nich miejsce również dla redaktorki Julii Bremory. Za

środki odzyskane od Marii Hauschild, pochodzące ze sprzedaży ksiązek jego matki, Carl zamierzał odkupić dom na Noirmoutier, który dawniej należał do jego rodziny. Chciał również zainwestować w fundację imienia Götza Winterscheida, która miała zająć się udzielaniem stypendiów studentom medycyny.

Kai ustawiał coś jeszcze na tablicie, więc Pia przesunęła wzrokiem po twarzach gości i dostrzegła Henninga pogrążonego w rozmowie z Josefem Moosbruggerem. Były mąż przesłał jej błagalne spojrzenie. Każdy agent literacki w kraju wiedział już, że profesor Kirchhoff nie ma w tej chwili reprezentanta, a pan Moosbrugger z pewnością nie był ostatnim, który tego wieczoru zamierzał spróbować szczęścia.

Pia przywołała go gestem, na co były mąż z ulgą przeprosił rozmówcę i ruszył w jej stronę. Nie obawiał się wystąpienia przed publicznością, bo jako wykładowca przywykł już do przemawiania przed setkami studentów i studentek i świetnie sobie z tym radził, jednak nienawidził small talku i kurtuazyjnych rozmów.

– Dzięki za ratunek – powiedział.

– Uwaga, zaraz zaczynamy! – zawołał Kai i uniósł tablet.

Na ekranie pojawiła się uśmiechnięta twarz Bodensteina.

– Hej, szefie, co u ciebie? – zawołali Kathrin i Tarik.

– Cześć, Oliver! – Henning uniósł kieliszek. – Za twoje zdrowie!

– Dzięki, Henning! – odpowiedział Bodenstein. – Gdybym miał cokolwiek do picia, wypiłbym za ciebie! Za twoją nową książkę.

– Za twoją nową książkę! – Wszyscy wzniesli toast, włącznie z Christophem, który mocno objął Pię.

– Również dziękuję! – Henning się uśmiechnął, wyraźnie poruszony. – Fantastycznie, że mogliście przyjść i świętować tę chwilę ze mną! To bardzo dużo dla mnie znaczy. Bez was nie powstałaby żadna z moich książek.

– Zapamiętamy! – zawołał Cem.

– A szczególnie cieszę się z twojej obecności, Christophe – zwrócił się Henning do męża Pii. – Wiem, że byłeś na mnie trochę zły, ale nigdy nie pisałem niczego, żeby cię celowo rozzłościć.

– Panie profesorze, chcielibyśmy wpuszczać już widownię. – Obok Henninga pojawiła się Julia Bremora. – Możemy zaczynać?

– Oczywiście! – Henning uśmiechnął się szeroko. – Oliver, powodzenia i szybko wracaj do zdrowia! A wam dobrej zabawy!

Henning ruszył przez tłum, a oni powoli szli za nim, by zająć zarezerwowane dla nich miejsca. Kai siedział w pierwszym rzędzie, żeby Bodenstein miał dobry widok. Posadzenie wszystkich gości na widowni zajęło dobrych dwadzieścia minut. Pierwszy na podeście pojawił się rektor uniwersytetu, a po nim krótką przemowę wygłosił Carl Winterscheid. W końcu na scenie pojawił się sam Henning Kirchhoff. Usiadł za stolikiem, otworzył książkę i zaczął czytać:

– Czwartek, piętnasty czerwca dwa tysiące szóstego roku. Piętnaście minut przed ósmą rano odezwał się telefon komórkowy nadkomisarza Tristana von Buchwalda, pozbawiając go nadziei, że nadchodzący wolny dzień spędzi w spokoju.

– O Boże... – szepnął Christoph do Pii. – Oby tylko nie doszedł do miejsca, w którym dyrektor zoo wymiotuje!

– Jestem pewna, że sobie tego nie odmówi – odparła Pia i uśmiechnęła się do męża.

PODZIĘKOWANIA

Z pomysłu, który chodził za mną już od kilku lat, zrodziła się dziesiąta część przygód Pii Sander, Olivera von Bodensteina i ich zespołu. Część akcji rozgrywa się na francuskiej wyspie Noirmoutier, którą od dziecka kocham jak swój drugi dom, co moi czytelnicy zapewne zauważyli!

Mam nadzieję, że w trakcie lektury bawiliście się równie dobrze jak ja w czasie pisania!

Dziękuję wszystkim, którzy wspierali mnie w trakcie pisania *W imię wiecznej przyjaźni*: przede wszystkim mojemu mężowi, Matthiasowi Knößowi i mojej pasierbicy Zoé. Moim rodzicom Bernwardowi i Caroli Löwenbergom dziękuję za moralne wsparcie i gotowość do słuchania, bo często jest tak, że trzeba głośno myśleć, a to najlepiej wychodzi przy uważnych słuchaczach. Dziękuję tacie i mamie za wszystkie cudowne wakacje na Noirmoutier!

Dziękuję moim cudownym i błyskawicznym beta readerkom za ich pomocne uwagi, słowa wsparcia i pracę – moim cudownym siostrom Claudii Löwenberg-Cohen i Camilli Altvater, Simone Jakobi i mojej wspaniałej przyjaciółce Catrin Runge, do której mogę zwrócić się z prośbą o pomoc niezależnie od pory dnia czy nocy.

Ogromne podziękowania kieruję do mojej agentki Andrei Wildgruber za pełne motywacji rozmowy telefoniczne, zrozumienie, wsparcie i dzielenie się wiedzą o rynku wydawniczym w ogóle, a w szczególności za informacje o pracy agentki.

Dziękuję mojej redaktorce Marion Wichmann, której z całego serca dedykuję tę książkę, mój dziesiąty kryminał. W styczniu 2008 roku ściągnęła mnie do wydawnictwa Ullstein i odmieniła moje życie. Od samego początku we mnie wierzyła. Przeszliśmy razem bardzo długą i wspaniałą drogę i mam nadzieję, że jeszcze wiele przed nami!

Dziękuję wydawnictwu Ullstein i wszystkim pracownikom i pracowniczkom za ogromne zaufanie pokładane we mnie oraz bezproblemową i cudowną współpracę.

W mojej książce zawsze pojawia się wiele postaci, stąd bezustannie poszukuję dla nich imion i nazwisk. Cudownie, że jest wiele osób, które chcą się dzielić swoimi! W szczególności są to: Julia Bremora, Anja Dellamura, George Dragon, Stefan Fink, André Grenda, Mathis Haas, Manja Hilgendorf, Kristina Jagow, Marcel Jahn, Daniel Klee, Josefin Lintner, Steffi Lotz, Petra-Maria Mayer-Büchele, Claus-Peter Sniehotta, Silvia Wittich, Marina Bergmann-Ickes, Robert Sachtleben, Shannon Schwarz, Alea Schalk, Christine Weil, Klaus Wiedebusch, Philipp Eberwein, Millie Fischer oraz Eckwart List.

I na koniec dziękuję oczywiście szczególnie serdecznie wszystkim księgarzom i księgarkom oraz Wam, moim czytelnikom i czytelniczkom. Bez Was my, autorzy, bylibyśmy niczym.

Nele Neuhaus

wrzesień 2021